PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY ÓSMY. — TOM CX.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1911.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1911.

ZEPSUCIE DZISIEJSZEJ MŁODZIEŻY GIMNAZYALNEJ I ŚRODKI ZARADCZE.

I.

Okólnik Rady Szkolnej Krajowej z d. 8 lutego 1911 roku, L. 795/IV, poddając rozwadze gron nauczycielskich sprawę zaprowadzenia legitymacyi dla uczniów, łączy potrzebę tego środka z zepsuciem dzisiejszej młodzieży.

»Smutne a coraz liczniejsze objawy niewłaściwego zachowania się młodzieży szkolnej poza szkołą, jak różne wybryki na ulicy, uczęszczanie gromadne do lokalów publicznych, już od dawna napełniają troską i lękiem nie tylko nauczycieli, ale i szerokie koła publiczności. Mimo usilnych starań nauczycieli, nadzór opiekuńczy nad młodzieżą poza szkołą jest wobec wzrastającej z roku na rok ilości tej młodzieży niezmiernie utrudniony, zwłaszcza w miastach większych, mieszczących w swym obrębie wiele zakładów i tysiące uczniów, których ewidencyi niepodobna utrzymać. To też często się zdarza, że uczniowie, którzy dopuściwszy się jakiegoś wykroczenia, bywają za to pociągani do odpowiedzialności przez publiczność lub organa władzy, podają nazwiska zmyślone, wskutek czego niemożliwem się staje wykrycie właściwego winowajcy, względnie stwierdzenie, czy nim jest naprawdę uczeń, jak na to wskazuje mundur, noszony przez sprawcę karygodnego czynu«.

Stąd powstała myśl wprowadzenia legitymacyi, zaopatrzonych w fotografie, podpisane własnoręcznie przez posiadacza.

Nie ulega wątpliwości, że dla młodzieży zwłaszcza starszej, nie kontrolowanej na każdym kroku przez rodzinę lub dozór domowy, legitymacye nawet z fotografiami mogą stać się w miastach większych bardzo pożyteczne. Dla uczniów klasy I i II w przeważnej części odegrają legitymacye rolę nieszkodliwej a zaszczytnej odznaki, dogadzającej próżnostce, niby żeton sportowca, chociaż we Lwowie i w Krakowie nawet i tej grupie niedorosłej młodzieży nie zaszkodzą one dlatego, że w tym wieku strach przed odpowiedzialnością bywa większy, zatem i środek ten silniej oddziała; powtóre dlatego, że dwa lata, przeżyte bez winy, łatwiej nadal od winy uchronią, po trzecie dlatego, że i w tym wieku (11—12 lat) trafiają się złodzieje i tytoniowi palacze.

Legitymacye już w 1908 roku na konferencyi dyrektorów proponował dyrektor Nogaj, gorąco je polecali dyrektorowie Jamrógiewicz i Maciszewski. Środek to zatem nie nowy i może nieraz zapewne oddać usługę: rzadziej chyba policyi na wypadek przytrzymania, gdyż policya i bez legitymacyi daje sobie radę, częściej samym uczniom, jako środek ostrzegawczy i wstrzymujący przed spełnieniem złego czynu. Nie bardzo przemawia za legitymacyami argument, że one odejmą obcym indywiduom możność podszywania się pod godność uczniów. Po pierwsze indywiduów takich nawet w dwóch stolicach naszych niema dużo: setka na kilka tysięcy uczniów. Powtóre indywidua te będą mogły być tylko wówczas demaskowane przez policyę, kiedy coś przeskrobią, gdy zaś takie indywiduum będzie spokojne i niekarygodne, policya nie wkroczy i fałszywego munduru nie odkryje. Po trzecie ten, kto fałszuje godność studencką, nie zawaha się legitymacyi fałszować. Bezpośrednim władzom szkolnym przybędzie niełatwe zadanie ścisłej kontroli nad legitymacyami, zwłaszcza przy skłonności uczniów do zmiany zakładów.

Pomimo tego jestem za legitymacyami, jako za środkiem na psychologię studencką oddziaływać mogącym dodatnio.

Dziwi mię, że Koło Krakowskie Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych oświadczyło się za zniesieniem mundurów.

Bez wątpienia legitymacya i mundur są środkami wycho-

wawczymi jednakowego pokroju. Nasz uczniowski mundur atoli musi być uważany za środek wyższy od legitymacyi. Z nim się już uczeń zżył, w największej ilości wypadków przyzwyczaił się doń, nawet polubił go. Przekonał się, że mundur zapewnia mu u społeczeństwa ochronę, pewnego rodzaju sympatyę, nawet estymę. Zniesienie teraz munduru, równałoby się — jestem najgłębiej przekonany — rozpuszczeniu cugli młodzieży i narażeniu jej na manowce przez znaczny przeciąg czasu. Wprowadzenie ich przed siedemnastu laty przyczyniło się bardzo do zmniejszenia występności wśród młodzieży, wpłynęło na podniesienie poczucia osobistej godności i nareszcie nakłada wciąż pewien przymus utrzymania się na poziomie kultury, do której daje prawo szkoła wyższa. Można mieć dużo przeciw przystrojeniu w takie same mundury wychowańców szkół przemysłowych czy też seminaryów nauczycielskich; ale projekt zniesienia mundurów sama starsza młodzież uznaje za niedobry. Odczuwa ona wybornie, że przez to naraziłoby się na szwank uzyskany przez mundury ład, porządek, czystość szaty — utrudniłaby się kontrola, wytworzyłyby się tysiączne sposobności do złego.

Wszelako czy legitymacye, czy mundury — to są wychowawcze środki zewnętrzne, materyalne, pomocnicze, nie zaś główne. Duszy one nie przeistoczą. Najlepszy dowód w tem, że i w Warszawie i w Rosyi od dawna istnieją zarówno mundury, jak legitymacye, a jednak możemy się pochlubić lepszą młodzieżą, niż jest warszawska, tem bardziej rosyjska, choć legitymacyi u nas dotąd nie było.

Gdy istnieje wewnętrzne zepsucie, nie pomogą na nie tak łatwo ani mundury ani legitymacye. Wszelako cieszyć się tylko możemy, że Rada Szkolna w kwestyi tak ważnej, jak zepsucie młodzieży, którą wychowujemy, odwołuje się do wychowawców, dając im dowód zaufania. Nie od dziś nad zepsuciem młodzieży debatują różne związki i towarzystwa, nie od dziś różni ludzie ręce załamują i szaty rozdzierają w rozpaczy nad niem. Godzi się spojrzeć kwestyi prosto w oblicze. Przedewszystkiem zdaje mi się, że ponure głosy, mówiące o ogromie zepsucia, dyktowane są przez strach, który ma wielkie oczy. Trzeba tu rozróżnić dwie

sprawy: ilość i jakość wykroczeń. Czy ilość ich upoważnia do uogólnienia i rozciągnięcia zepsucia na całą młodzież?

Statystyka wykazuje następujące daty:

Rok	Ilość uczniów	Ilość wykluczeń	Procent.
1891/2	14.109	110	4/5 %
[W następnym roku zaprowadzono mundury			
1892/3	14.067	68	2/5 %
1893/4	14.649	65	2/5 »
1894/5	15.518	57	2/5 »
1895/6	16.507	54	1/5 »
1896/7	17.638	86	1/2 »
1897/8	18.892	83	1/2 »
1898/9	20.262	118	3/5 »
1899/900	21.393	130	3/5 »
1900/1	23.259	80	3/10 »
1901/2	25.345	77	3/10 »
1902/3	27.262	146	1/2 »
1904/5	29.000	118	2/5 »
1905/6	31.009	154	1/2 »
1906/7	32.926	129	2/5 »
1907/8	33.714	130	2/5 »
1908/9	34.462	141	2/5 »

Z tej statystyki wynika, że bezpośrednio po zaprowadzeniu mundurów występność młodzieży zmniejszyła się niemal o połowę. Podnosić się nieco zaczęła znowu z biegiem lat, lecz w latach najgorszych 1898/9 i 1899/900 nie dosięgła tego poziomu, jaki miała w r. 1891/2 t. j. przed mundurami. W ostatnich zaś latach procent występności młodzieży nie jest wprawdzie tak mały, jak w latach 1900/1 i 1901/2, lecz równa się procentowi trzechlecia po wprowadzeniu mundurów, jest na ogół procentem przeciętnym i wcale nie dostarczałby powodu do silnych obaw, gdyby się brało w rachubę tylko ilość wykluczeń. Prawda i to, że znaczna liczba małych przekroczeń nie dochodzi do wiadomości władz szkolnych, że znaczna część ich załatwia się w krótkiej drodze dyscyplinarnej i przy użyciu mniejszego aparatu kar, skąd wypływa, że cyfry wykluczeń nie są jeszcze absolutnie miarodajne, gdy chodzi o uogólnienie sądu co do zepsucia młodzieży. Byłbym mimo tego skłonny mniemać, że nie jest ono tak przestraszająco rozszerzone,

nie jest tak epidemicznie dla ogółu młodzieży groźne i niebezpieczne, jak się to powszechnie mniema.

A zresztą jeszcze jeden szczegół w sprawie powiększania się ilości wykroczeń, karanych ekskluzyą. W ostatniem dwudziesto, a nawet dziesięcioleciu ilość występków wogóle wzrosła w Europie, ponieważ poziom etyczny ludzi nie tylko u nas obniża się z roku na rok. Oto np. w Niemczech na sto tysięcy ludności ponad 12 lat wieku karano w 1883 — 984 ludzi, w 1884 — 1025 i t. d. do 1903 — 1234 ludzi, co rok o kilkunastu lub kilkudziesięciu więcej. Przed laty 15 był jeden występny na 73 ludzi, w 1908 roku jeden na 60 [1]. U nas jeden występny uczeń przypadał w r. 1891/2 przed wprowadzeniem mundurów na 128 uczniów, w r. 1892/3 bezpośrednio po wprowadzeniu mundurów jeden na 221, w r. 1895/6 jeden na 306, w 1901/2, najpomyślniejszym, jeden na 329, nareszcie w r. 1908/9 jeden na 248 — stan bądź co bądź dwakroć lepszy, niż przed mundurami.

W Anglii »niebieska księga kryminalistyki« za rok 1909 skarży się, że cyfra występków przed laty pięciu nie dosięgała 62.000, w 1909 r. przekroczyła 68.000.

We Włoszech minister oświaty w 1910 stwierdza, że z roku na rok wzrasta występność małoletnich. Wykroczenia przeciw własności rosną normalnie, natomiast wielki zaznacza się wzrost zbrodni przeciwko ludziom. W niektórych prowincyach w 40 a nawet w 60 wypadkach zbrodni na sto sprawcami byli małoletni. Nawet wieś dostarcza ich dużego procentu, a miasta Medyolan, Palermo, Neapol roją się od band sutenerów, złodziei, bandytów i morderców.

Gdy mowa o występnej młodzieży, nieodbicie nasuwa się myśli inna kategorya młodzieży — nieszczęśliwej, tej, która kulą lub trucizną przedwcześnie załatwia rachunki swoje z życiem. Kwestya samobójstw jest o wiele boleśniejsza, niż wykroczenia; przeciwko ostatnim jesteśmy jako wychowawcy o wiele silniej uzbrojeni, niż przeciw samobójstwom. Tymczasem stoimy

[1] Tad. Stark: »O przyczynach występków i sposobie ich zwalczania«. Poznań 1908.

być może w przededniu wzrostu samobójstw młodzieży. Sąsiadujemy z Rosyą: wszystkie prądy, tam nurt sobie wśród młodzieży czyniące, dotykają nas niezawodnie, dzięki ciągłej komunikacyi naszej i zakordonowej młodzieży. Otóż w Rosyi ilość samobójców w szkole wzmaga się od r. 1904 ogromnie. W r. 1904 było ich na ogół 20; w 1905 — 47; w 1906 - 71; w 1907 — 112; w 1908 — 312; w 1909 — 449. W sześciu latach zatem liczba samobójstw dzieci wzrosła z 20 na 449. Tam obecnie już ministeryum oświaty szuka środków zaradczych, starannie zbiera statystykę, ogłasza wezwania do społeczeństwa; inteligencya tworzy komitety, toczą się obrady; w pismach wciąż artykuły. W 1908 roku medykosanitarny wydział przy ministeryum spraw wewnętrznych dołączył do sprawozdania o samobójstwach, ułożonego przez prof. Chłopina, dwadzieścia ośm notatek samobójców uczniów. Parę dla przykładu:

— »Zdaje mi się — pisze samobójca siódmoklasista — że główną moją wadą brak woli. Należało usunąć tę wadę. Gdybym był spotkał człowieka, któryby mną pokierował, któregobym pokochał i czcił całą duszą, zdaje mi się, żebym wszedł na dobrą drogę; okazało się to niemożliwe. Wszyscy teraz słabi, wszyscy potrzebują podpory — a jam tylko zwiększał ilość bezsilnych ludzi. Mówią mi: przed tobą życie, nauka, sztuka, miłość! A ja do niczego! Widzicie więc: — ot, głupia historya...«

— »Nauczywszy się geometryi — pisze samobójca szóstej klasy — odpowiadałem i nie wiem, co mi się stało — zryłem. Odtąd ogarnęła mię rozpacz, a myśl o samobójstwie przeszkadzała mi się uczyć. Znów zryłem i postanowiłem się zabić. Jakże chciałbym cofnąć rok szkolny i zacząć od początku! Wstyd mi profesorów, kolegów i rodziców. Oni myślą, żem leń, a tymczasem gdyby nie rozpacz, nie byłoby tak źle«.

I tak mniej więcej we wszystkich tych listach: szkoła gra wybitną rolę. A u nas też od lat paru samobójstwa pojawiają się — i może nie szkodziłoby, aby Sprawozdania Rady Szkolnej wprowadziły ich objektywną rubrykę obok rubryki wykluczeń. Bez wątpienia idą one w parze z występkami, gdyż są rezultatem

bardzo podobnych przesłanek psychicznych i moralnych, należy też je obok zepsucia młodzieży traktować.

Ale ani ilość wykluczeń z zakładów, ani ilość ukarań, notowanych w czarnych księgach, ani nawet ilość samobójstw w naszych szkołach nie upoważniałaby do rozpaczliwych wywodów i wniosków, gdyby nie rodzaj, jakość i nie forma wykroczeń. Wybryki istniały i dawniej. Niepokoi i dręczy cynizm obecnych wybryków, czasem ich brutalność. Wątpliwości religijne istniały i dawniej u młodzieży, ale forma ich miewała charakter procesu duszy, szukającej prawdy. Dziś tej psychicznej niemocy towarzyszy bezmyślność i bydlęce niemal rozkiełznanie. Wykroczenia przeciw obyczajności i folgowanie popędowi mąciły zawsze pogodę serc młodych; ale kryły się one w mrokach i nie występowały z taką bezczelnością i bezwstydem. Statystyka wykluczeń Rady szkolnej uczy, że np. taka *par excellence* szkolna rubryka wykluczeń, za lenistwo, niedbałe pełnienie obowiązków w ostatnich latach znika; natomiast utrzymuje się zawsze z tą samą znaczną ilością wykluczeń rubryka: zniewaga nauczyciela a rośnie rubryka wykluczeń za kradzieże; w dawniejszych latach (1893—1897) reprezentowały ją cyfry: 9, 10, 12 i t. d. Od r. zaś 1900 przeciętną cyfrą wykluczeń za kradzież jest cyfra 36, a w r. 1907/8 nawet 45!

Wywód stąd jasny: z wykluczeń za zniewagi profesora wynika, że przepaść między uczniem a profesorem wciąż istnieje, ze zwiększenia się przekroczeń przepisów o cudzej własności wynika, że dusza dziatwy do 15 roku życia zepsuła się i winę w tej mierze ponosi dom, jest bowiem rzeczą jasną, że za kradzieże wykluczani bywają w ogromnej większości uczniowie klas niższych, jakkolwiek statystyka szkolna nie rozdziela wykluczeń na dwie kategorye: młodszej i starszej młodzieży.

Obok rodzaju występków nie bez znaczenia bywa ich forma.

Uczeń kl. VII utrzymywał przez czas dłuższy stosunek z panną, która skutkiem tego miała zostać matką. Chcąc uniknąć kłopotu, nakłonił pannę, aby przyjęła kilku jego kolegów w mniemaniu, że w ten sposób uniknie ojcostwa. Gdy się to stało, gdy wszystko w powiększonej przez plotkę postaci wyszło na jaw,

gdy policya aresztowała pannę, jako uprawiającą pewien proceder bez lekarskiej i policyjnej kontroli, gdy młodzieńcowi groziło wykluczenie ze wszystkich szkół kraju, wystąpił szybko i dobrowolnie ze swego zakładu, a wiedząc, że całe miasto mówi o skandalu, zaczął się ukazywać na linii A-B w chwilach tłumnego spaceru publiczności z aplombem i podniesioną bezczelnie głową, jako bohater sensacyi...

Inny przykład.

Od marca 1907 roku do marca 1908 r. popełniono w prowincyonalnem mieście trzy kradzieże z włamaniem. Śledztwo wykryło, że sprawcami wszystkich kradzieży byli dwaj 14-letni uczniowie szkoły wydziałowej i uczeń 4 klasy gimnazyalnej. Sami się włamywali, sami pełnili funkcye strażników, pośredników i paserów. Szanowni wychowankowie bursy.., Słowem zorganizowany bandytyzm u dzieci.

Jeszcze jeden przykład.

Stu abituryentów szkoły X domagało się rekolekcyi przed maturą. Z pociechą i zadowoleniem władze zgodziły się na to. Po trzydniowych rekolekcyach, udzielanych z zapałem przez znakomitego kapłana — do spowiedzi i komunii zgłosiło się czterdziestu.

— Pan się temu dziwisz? — powiedziano mi. — To jeszcze bardzo dobrze. Chyba pan o tem nie wiesz, że abituryenci szkoły Y przeszłego roku po rekolekcyach a przed komunią całą noc pili, nad ranem kazali sobie podać duże porcye soczystych befsztyków, a o g. 8 przystąpili do Stołu Pańskiego.

I ten charakter zepsucia jest niepokojący. Skąd on płynie?

Zródłem jego jest, mojem zdaniem, zgrubienie natury ludzkiej, wybujały egoizm, propagowany w czasach najnowszych, jako zasada siły, jest nadto nadzieja uzyskania jeśli nie aprobaty to zaciekawienia, może współczucia społeczeństwa, a przynajmniej części prasy.

Jednem słowem przyczyn strojenia się występku w maskę bohaterstwa szukać trzeba nie gdzieindziej, jak tam, gdzie szukać trzeba przyczyn samego występku t. j. po pierwsze przedewszystkiem w środowisku i w społeczeństwie samem.

Taka młodzież, jakie społeczeństwo. I znów przytaczam parę przykładów.

Przechodząc raz ulicą Szpitalną, zauważyłem na wystawie antykwarni książkę ze sprosnym obrazkiem p. t. »O życiu i czynach markiza Sadego« — romans. Wstąpiłem do sklepu i prosiłem żyda, aby uprzątnął książkę z wystawy, ale żyd nie chciał; zagroziłem policyą, ale żyd śmiał mi się w oczy, czując moc swej bezkarności.

Innym razem przed Bożem Narodzeniem, kiedy wszystkie okna wystawy na jednej z głównych ulic były pełne książek i obrazków o rozpustnej treści, musiałem jednego ze znajomych księży prosić, by wpłynął na uprzątnięcie śmiecia. Witryny księgarni kolejowych założone od podłogi do sufitu stosami bezecnych romansów, wystawy sklepów lśnią się golizną kobiet; gdy się pojawi taka skandalicznie porngraficzna książka, jak »Sanin« Arcybaszewa albo »Jama« Kuprina, w drobiazgowych szczegółach opisująca życie nowożytnego lupanaru, u nas za trzy miesiące ją wydają po polsku, wypożyczalnie skwapliwie kupują po trzy egzemplarze i młodzież czyta. Niedość, że wybitni pisarze, jak Kaz. Tetmajer, Daniłowski, Żeromski, Sieroszewski ze szczególną soczystością malują sceny płciowych upojeń nieślubnych par; nadto wszystko, co najgorsze z obcych literatur, nasi wydawcy Starego Zakonu z pośpiechem kolportują — dla młodzieży.

Wiedeń się broni: raz skonfiskował kilkanaście tysięcy broszur pornograficznej makulatury: to znów utworzył biuro celem jej zwalczania.

U n a s n i c.

Przyleciała jaskółka w postaci uchwały lwowskiej Rady miejskiej — ale czy wywróży wiosnę?

To pytanie.

Rozsadnikiem obniżenia poziomu etycznych ideałów jest obecnie k i n e m a t o g r a f. Sceny miłosne i rodzajowe, okazywane tam, należą do kategoryi płaskich, niesmacznych, nieraz brutalnych i zdziczałych. Jakże często przesuwają się tam w szeregu obrazów wszystkie perypetye morderstwa, kradzieży, podpalenia i t. p. Cóż dziwnego, jeżeli uczeń nasyciwszy się widokiem takich

scen, kupuje gołębia, idzie do parku krakowskiego, przepycha go przez rozszerzone otwory klatki krogulczej i ze słodyczą przypatruje się, jak orzeł morduje gołębia. Sam byłem świadkiem tej sceny. Błoto życia, różne kombinacye występków zużytkowywa dzisiejszy kinematograf, obliczany na nizkie instynkty ulicy.

Znowu powtarzam. Włochy bronią się. My nie. We Włoszech ustawa w r. 1910 nałożyła podatek na wstęgi kinematografu z wyjątkiem wychowawczych, oświatowych, wypadków z narodowego życia, przemysłu domowego, pejzażu, widoków miast, pomników i sportu. Przedstawienie kinematograficzne tam wymaga w miasteczkach i we wsiach zgody komisyi, złożonej z dyrektora szkoły, sędziego dla spraw małoletnich przestępców, lekarza i ojca rodziny. Za gorszące widowiska płacą się kary: po raz pierwszy 300 lirów, po raz wtóry 1000 lirów — a kary idą na fundusz wychowawczy dla nieletnich przestępców.

Poza społeczeństwem, prasą, literaturą — na zepsucie młodzieży ujemnie działa dzisiejsza rodzina.

Pozwalam sobie przytoczyć łatwy rachunek. Jeżeli szkoła dobrze spełnia swe naukowe zadanie, to uczy tak, że dla pracy domowej potrzeba uczniowi w najgorszym razie paru tylko godzin czasu. Nawet słabsi uczniowie mogą w trzech godzinach dziennej pracy domowej wypełnić wszelkie naukowe dezyderaty szkolne.

Mówię to na mocy obserwacyi: żaden z moich czterech synów nie uczył się i nie uczy dłużej nad trzy godziny dziennie. A jednak od godziny południowej pierwszej do dziewiątej wieczornej, po strąceniu 3 godzin nauki i 2 godzin przy chlebowym stole, pozostają codzień 3 godziny swobody. Na nie musi rodzina wynaleźć zatrudnienie, aby nie służyły ku bezmyślnej, a czasem szkodliwej włóczędze poza domem. Tymczasem olbrzymia część rodzin nie dba o wynalezienie zajęć na ten codzienny zbytek wolnego czasu. Dodajmy na miesiąc 4 niedziele, w których do trzech godzin dziennie przybywa najmniej pięć wolnych, a otrzymamy co miesiąca potężną ilość 110 godzin, które chłopiec musi czemś wypełnić. Tu leży najprzykrzejsze zaniedbanie obowiązków rodziny.

Ale czy tylko tu?

Czy nie zdarza się, że ojcowie, za poradą lekarzy, organizują rozpustę dla własnych synów? Czy nie stało się celem rodzicielskiego wychowania dzieci utuczyć, powiększyć wzrost, przesycić, przyozdobić? U tych przekarmionych dzieci czy nie rozwija się przedwcześnie popęd płciowy i czy nie staje się ich męką? Strój, lektura, widowiska, tańce, słodycze, cała dekoracya życia od obrazków na pudełkach do poematów i romansów rozpłomieniają uczuciowość i chorobliwie ostrzą wyobraźnię, a skutkiem tego młodocianemu wiekowi towarzyszą płciowe występki i choroby. »Należy zaniechać wychowywania dzieci, jak bydląt — powiedział słusznie niedawno zmarły Tołstoj — a ludzkie dzieci należy zacząć wychowywać dla celów duchowych, nie wyłącznie cielesnych«.

Nieraz odwołujemy się na zdanie Juvenala: *Mens sana in corpore sano.* Jużci ja to rozumiem, że u nas fizyczne wychowanie dużo znaczy, że nasza hygiena szkolna wiele pozostawia do życzenia; ale czy należy zasadę czynić materyalistycznym dogmatem, któryby w sposób jednostronny i niebezpieczny ducha czynił zależnym od zdrowego organizmu? W Toledo w Ameryce (Ohio) istnieje sławna szkoła *Lagrange city.* Dyrekcya tej szkoły w jednym z prospektów wyraża taką opinię: »Szkoła publiczna dotychczas rozwijała tylko dwie strony natury dziecka: umysłową i fizyczną, powinna dziś się zająć z wielką uwagą trzecią, t. j. stroną moralną«. »Mam to przekonanie — pisze pastor Moxom — że powinniśmy ograniczyć szczegóły planu nauki, natomiast korzystać z okoliczności, by rozwijać prawdomowność, szacunek dla innych, czystość i uczciwość charakteru. Wyostrzony intellekt bez wysubtelnionego sumienia może tylko wydać Mefistofelesów«. Podobnie sądzą i europejscy wybitni uczeni. Znakomity lekarz chorób duszy dr. Schäfer w Hamburgu, gani szkoły niemieckie, że nie czuwają nad kształceniem charakteru. »Czy są tam wykłady o cnocie? Oto główne pytanie. Naucz mię, jak mam kochać ojczyznę, rodziców, dzieci, pokaż mi, co to jest moralność i jaka jej wartość. Wiesz, co jest prosta linia, ale na co ci się to przyda, skoro nie

wiesz, co jest w życiu proste, co krzywe. Tylko jedno kształci doskonale ducha, mianowicie jasne rozróżnienie złego od dobrego« [1].

Wydaje się to pewnem, że niezadowalający, moralny stan młodzieży naszej jest wypływem czynników, głęboko w duchu czasu tkwiących i ze stanem moralnym czy to środowiska, czy też społeczeństwa związanych, a nawet zależnych od prądów europejskich. Jeżeli się tedy chce oddziałać na zmianę tego moralnego stanu, to trzebaby użyć środków bardzo rozległych w kierunku odmiany społeczeństwa i rodziny. Sprawa to tak trudna, że nie należy się dziwić niejednej szkole, nazbyt pochopnie rezygnującej z tego zadania. Mogę tę niewczesną gotowość poprzeć szeregiem zdań pedagogów.

— Zazwyczaj uczniowie nie podlegają dozorowi szkolnemu w godzinach wolnych od nauki — mówi Hartwell Jones [2].

— Kontrola uczniów poza szkołą ogranicza się do zakazu palenia w drodze do szkoły i ze szkoły — mówi dr. Drachmann, prof. gimnazyalny w Kopenhadze.

— W wielkich miastach dozór pozaszkolny musi być nader niedostateczny, lecz wykroczenia, dochodzące do wiadomości szkoły bywają karane — pisze profesor jednego z monachijskich gimnazyów. To samo powtarza dr. Samter, prof. *Sophiengymnasium* w Berlinie.

— Rzadko wtrącamy się do życia rodziny, gdzie powaga rodziców powinna być wystarczającą — mówi p. Bazin, dyrektor *(proviseur)* liceum *La canal* pod Paryżem. Toż samo utrzymuje p. Georgin, profesor liceum Henryka IV w Paryżu.

— Zakład naukowy nie śledzi zachowania się uczniów poza szkołą. To należy w zupełności do rodziców — utrzymuje p. Cammerelán, rektor *Instituto del cardinal Cisneros* w Madrycie.

— Szkoła nie rozszerza swego dozoru nad uczniami poza mury zakładu. Nie jest to zwyczajem naszego kraju, a rodzice też sprzeciwiliby się temu — donosi Adolf Coelho, dyrektor *Curso superior a Lettras* w Lizbonie.

— Zakład tylko wówczas zwraca uwagę na zachowanie się

---

[1] Dr. Schäfer: *Der moralische Schwachsinn.* Halle. 1906.

[2] Hartwell Jones, rector of Nutfield, Surrey a representative of the crown on the cour of the Welsh university, formerly professor of latin at

uczniów poza szkołą, gdy wykroczenie popełnione w drodze do szkoły lub gdy doniesie policya; w innych razach odpowiedzialni są rodzice — pisze dr. Preiswerk, rektor wolnego gimnazyum *(Rector des freien Gymn.)* w Bernie, z czem się zupełnie godzi inny berneński pedagog, dr. Finsler, rektor *der Litteraturabteilung des städtischen Gymnasium.*

— Zachowanie się uczniów poza szkołą nie bywa osobno dozorowane; powinna je kontrolować rodzina, w prawa której nam wtrącać się nie przystoi — pisze dr. Hugo Moužik, profesor *Elisabethgymn.* w Wiedniu.

— Nie da się nawet pomyśleć o dozorze uczniów za szkołą: w danym razie trzebaby korzystać z pomocy tureckiej policyi — pisze p. Kiryak Janniki, prof. greckiej szkoły w Smyrnie, a zdanie to podziela Spirydon Dalla, dyrektor gimnazyum greckiego ἐν Λευκάδι (wyspy Jońskie), znany w Grecyi pedagog.

Oto chór europejski, zgodnie odrzucający sięganie w głąb rodziny w celach poprawczych. Szkoła tedy bez wyrzutu sumienia może w tym względzie o g r a n i c z y ć swoją rolę. Stąd wszakże nie wypływa, aby z r z e k ł a się roli wychowawczej i poprzestała na naukowej.

Jeżeli gdzie, to u nas tem droższem i tem ważniejszem jest spełnianie zadań wychowawczych, bo my, nie mając dziejowej akcyi samodzielnej, dążymy do przyszłości i z większą niż inne narody prawdą możemy powiedzieć: jaką m ł o d z i e ż sobie wychowamy, taką p r z y s z ł o ś ć mieć będziemy.

II.

Przy rozważaniu środków zaradczych trzeba liczyć się z jednym pewnikiem, że młodzież dzisiejsza a dawna to są dwie kategorye ludzi odmienne co do psychicznego ustroju. »Dawna dyscyplina szkolna dziś zła — mówi Foerster [1] — ponieważ młodzież psychologicznie inna, niż dawne pokolenie. Z powodu ogólnego rozwoju kulturalnego nawet w niższych klasach obudził się tak wielki po-

the university-college of South Wales. Autor: The down of European civilisation. London 1903.

[1] »Szkoła a charakter«, str. 51.

pęd do samodzielności i tak silne poczucie godności u dzieci, że karność utrzymywana zapomocą środków represyjnych, prowadzi wszędzie do większego rozpuszczenia«. Skoro już atoli szkoła raz doszła do tego przeświadczenia, że wśród młodzieży istnieje zepsucie, nie ilościowo, lecz jakościowo ostrą swą formą niepokojące, obowiązaną jest, mimo trudności, do obmyślenia wszystkich środków, na jakie ją stać, aby usunąć tę niemoc u młodzieży.

Jakie to mogą być środki?

Pozwolę sobie wskazać niektóre z nich, zgoła nie roszcząc pretensyi ani do oryginalności pomysłów ani do wyczerpania przedmiotu.

I. Na czele położyć tu należy kwestyę religijną. U nas powtarzają się od czasu do czasu zakusy wytrącania krzyża z rąk młodzieży. Zakłada się we Lwowie pismo *Wolna szkoła*, agituje się przeciw spowiedzi i komunii, obrzuca się księży błotem, słowem, próbuje się, czy nie da się ogarnąć młodzieży i zwrócić w kierunku poganizmu lub bezwyznaniowości. A nasza młodzież jest w $^3/_4$ obojętną — dotąd. Obojętność ta niekiedy bywa nawet rażącą, n. p podczas nabożeństwa. Nabożeństwo $^3/_4$ naszej dojrzalszej młodzieży polega na gnuśnem, jak pańszczyzna wykonywanem, siedzeniu przez $^1/_2$ godziny w ławce kaplicy, na niechętnem przyklęknięciu w czas podniesienia i na prędkiem, prawie radosnem wyjściu z kaplicy. Modli się co piąty z książeczki, reszta śpi, rozmawia lub o czemś myśli. Spowiedź o tyle dobra, o ile przynosi dni wolne; sama — przyjmuje się jako dodatkowe *malum necessarium.*

Jak się ma rzecz w Europie?

a) Większość angielskich zakładów średnich dzień świąteczny całkowicie oddaje obowiązkom religijnym. Uczniowie trzy razy chodzą do świątyń — godzina od 3—4 służy na lekcyę religii lub czytanie Biblii, poczem następuje religijny koncert; wieczór spędza się na nauce religii na poniedziałek, w którym pierwszą godziną bywa religia. Niedziela tedy nie jest właściwie świętem. Odpoczynek daje się uczniom w sobotę, a nadto wolne popołudnie miewają w poniedziałek i środę.

b) W katolickich Niemczech (n. p. Monachium) szkoła kon-

troluje pełnienie powinności religijnych: Trzykrotna spowiedź do roku, wspólne nabożeństwa, wielka powaga katechetów, zależnych wyłącznie od biskupów, zapewniają religii wpływ potrzebny.

Natomiast we Francyi, Hiszpanii, Włoszech, Grecyi, Rumunii, Bułgaryi, Szwajcaryi, Niemczech — szkoła nie kontroluje religijnych obowiązków, nie miesza się do nich, pozostawia je domowi i rodzicom.

W Austryi Zarys organizacyjny w § 66 poleca, »by szkoły za istotną część swego zadania poczytywały współudział w religijnem i moralnem wychowaniu młodzieży«. Czwarty punkt tego paragrafu dodaje: »wszyscy nauczyciele, jakiegokolwiekby uczyli przedmiotu, mają ścisły obowiązek zwracać jak najsumienniejszą uwagę na moralność uczniów«.

»Idea religii i moralności ma być punktem środkowym, do którego wszystkie przedmioty zmierzać powinny«.

To w Austryi, a u nas w Polsce? U nas tem bardziej. Wielki hetman, Stanisław Żółkiewski, na czele swego testamentu, jako wolę z za grobu synowi dyktowaną, polecał: »Przed wszystkiemi rzeczami najpierwej wiarę świętą chrześcijańską mocno i statecznie trzymaj i dla niej krwi rozlać, żywota położyć nie żałuj«. Nasz filozof Libelt w dekalogu swoim, jako dziewiąte przykazanie poda: »Religia Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim związku z niewidomym, a bliżej: religia katolicka, zniżająca samowładztwo rozumu — jest religią słowiańską«. Nasz poeta-filozof Krasiński w dziele »O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku« powie: »Już w rodzinnem usposobieniu Słowian tkwią dwa główne przykazy: Boga miłować nadewszystko, bliźniego na równi z sobą. Ten przepis jest ich religią, bo to wiąże, spaja, »religuje«. Dlatego można plemię słowiańskie w porównaniu z politycznem romańskiem i filozoficznem germańskiem — oznaczyć mianem religijnego, a to w tem najobszerniejszem znaczeniu, że nie dopuszcza rozdziału między prawem bożem w niebie a ludzkiem na ziemi, ale owszem w jeden ład godzi byt z ideałem, porządek świecki z duchowym, państwo z Kościołem, politykę z miłością, wszystko, co jest, z tem, co być powinno«.

A u nas wielcy ludzie byli zawsze religijni, czy się nazywali Kopernikiem, Sobieskim, Zamojskim lub Żółkiewskim, czy Mickiewiczem, Słowackim lub Krasińskim.

Zasadniczą atoli tu rzeczą jest nie wdawać się w kompromisy i logicznie a ściśle wyznawać chrześcijanizm.

Nasz uczeń, gdyby go zapytano: jesteś chrześcijaninem? odpowiedziałby bez namysłu: tak!

Ale w czasie mszy, podczas komunii kapłańskiej nie przyklęka z lenistwa, posty bez skrupułu łamie, własności cudzej nie szanuje (ławki kraje, sprzęty szkolne niszczy, ogrodzenia, drzewka łamie, książki kradnie i t. d.) Przychodzi w święta na mszę, bo grozi nieusprawiedliwienie, ale nie modli się, pobożnie nie rozmyśla, Boga w sobie nie szuka. Na jego częściowe usprawiedliwienie trzeba tu powiedzieć, że zasad religii wprawdzie go uczą, lecz sposobów i form w y z n a w s t w a i konsekwentnej, ścisłej, logicznej praktyki chrześcijanizmu nie zawsze uczą. Tymczasem »potęga i wartość wewnętrzna religii i moralności polega nie tylko na treści, lecz na formie i bezwzględności jej postulatów: gdyby z pobudek życiowych i wogóle praktycznych można było wchodzić z religią i moralnością w kompromis, stałaby się jedna i druga tylko hipotezą, posiadającą wartość tymczasową, o tyle trwałą, o ile myśl ludzka czegoś lepszego nie wynajdzie, a wówczas utraciłaby całą doniosłość i przestałaby być jedynem kryteryum dla oceny i dyrektywy czynów ludzkich« (I. K. Dworzaczek). Na częściowe też usprawiedliwienie naszego ucznia powiedzieć się godzi, że nasze książeczki do modlitw w bardzo znacznej części redagowane są nieudolnie pod względem formalnym, częstokroć bezdusznie, czasem płytko. Nie masz w nich ognia Bożego, nie są w stanie rozżarzyć duszy młodzieńczej; ma być troską katechetów podsuwać odpowiednie książki do modlitw.

W 1909 roku w sierpniu, w Petersburgu, w czasie zjazdu katechetów z całej Rosyi, jednogłośnie wśród zapału uchwalono poświęcać dużo czasu lekturze Nowego Zakonu, gdy pop Gładków zeznał, że z gimnazyum wyszedł zdecydowanym ateuszem, dopiero dzięki Pismu św. stał się wierzącym. Wiem, że »kanony zakazują« czytania Biblii bez komentarza, ale czyby na to rady

już nie było? Czyby nie należało pomyśleć o podręcznem wydaniu Nowego Zakonu z komentarzem? Czy nie okazałoby się dobrem choćby Naśladowanie Tomasza à Kempis?

Rzecz prosta, że indywidualność duszpasterzy gimnazyalnych olbrzymią rolę w tej kwestyi odgrywać musi. Rzecz atoli niezawodna, że pierwszym i głównym środkiem przemiany złej duszy młodzieży byłoby wzmocnienie uczuć religijnych, gdyż, jak mówi św. Augustyn: *Difficile est, ut male vivat, qui bene credit.*

II. Drugim zaś środkiem byłoby uszlachetnienie uczuć patryotycznych. Za moich szkolnych czasów uczeń nie myślał zgoła o polityce, o narodowości, o wrogach tej narodowości, o jej obronie. Raz na rok urządzaliśmy o 6 rano, bez wiedzy władz szkolnych nabożeństwo za Polskę w grobach i śpiewaliśmy na niem »Boże, coś Polskę«, a potem chyłkiem rozchodziliśmy się po domach i do szkoły. Dziś uczucie przywiązania do nieszczęśliwej ojczyzny obudziło się i potężnie wzrosło w piersiach młodzieży. Starsza młodzież nie tylko w znacznej części czyta gazety i zajmuje się sprawami narodowemi, ale co roku i w każdym zakładzie znajdą się jednostki, które za swój koleżeński obowiązek uważają propagować uczucia te śród młodszych.

Jednakże ci premierzy w apostolstwie patryotyzmu otrzymują dziś natchnienia od młodzieży uniwersyteckiej. A nasza młodzież uniwersytecka znajduje się w stanie fermentu, o czem świadczy chociażby ilość krakowskich kółek akademickich o odmiennych nastrojach politycznych: »Polonia«, »Sodalicya«, »Czytelnia«, »Zjednoczenie«, »Ognisko«, »Znicz«, »Promień«, »Spójnia«, »Jedność«, »Ethos«, »Haschachar« i inne. Wyobraźmy sobie tych młodych pedagogów, kształcących politycznie — młodszych gimnazyalistów. A jednak oni to właśnie ci akademicy kształcą średnią szkołę co do uczuć i przekonań patryotycznych.

Kilka dni temu pewien uczeń x gimnazyum pozwał przed sąd honorowy ucznia gimnazyum y, i prosił mnie, abym na sąd przyszedł. Chodziło o drobiazgi, ale natury nie osobistej, lecz ogólnej. Sąd miał się odbyć 12 marca w gimnazyum x. Drugi przyprowadził ze sobą arbitrów akademików, pierwszy zaś wziął

swoich kolegów. Wynikł spór, czy można zgodzić się na taki skład sądu. Wezwano mojej interwencyi: rozstrzygnąłem sprawę przeciw dopuszczeniu akademików. Ośmieliłem się nawet powołać na to, iż wiem, że dyrektor gimnazyum x, jako gospodarz zakładu, nie pozwoliłby akademikom w wewnętrzne jego sprawy się wtrącać. Na to dostałem przekąsem wyrażoną opinię: »prawda, że gimnazyum x jest pod tym względem »izolowane«, u nas jednak wolno akademikom przestawać z uczniami«.

Tak jest: akademicy dziś w obu stolicach kształcą opinie patryotyczne uczniów, oni rozwijają w uczniach polityczne poglądy, wcześnie przechylają ku jakiejś partyi. Nadaremnie tylokrotnie do umęczenia powtarza się: »uczeń niech się uczy, polityka nic go obchodzić nie powinna«. Kogo takie powtarzanie uspokaja, ten podobny do strusia, kryjącego głowę pod skrzydło. Takby bowiem wprawdzie być powinno, lecz tak nie jest i tak nie będzie. Starsi uczniowie czytają gazety, interesują się polityką bliższą, narodową: jeżeli czytają nie w szkole, to czynią to w domu. *Notabene* nie tylko u nas.

Oto p. Hartwell Jones z Londynu pisze: »W każdej szkole publicznej u nas jest czytelnia, w której znajdują się codzienne pisma«.

— Dr. Winter z Norwegii donosi: »U nas w Norwegii bardzo interesują się wszyscy polityką«.

— Dr. Brunn z Kołdyngi w Danii mówi: »Śród niektórych uczniów starszych u nas przejawia się zajęcie się polityką«.

— Pedagog E. B. z Monachium stwierdza: »Większość uczniów, zacząwszy od klas średnich, w istocie czyta w domu gazety«.

I takie sądy płyną z Francyi, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, a osobliwie z Bułgaryi, Grecyi, Rumunii. Prawda, że wychowawcy dwóch ostatnich krajów ubolewają nad tem zjawiskiem, nie znajdując na nie rady.

Wedle mego zdania, zamiast ubolewać nad tem zjawiskiem, trzebaby niem kierować; profesorowie nie powinniby zezwolić na wydzieranie sobie młodzieży przez akademickich dyletantów. Trzeba wejść wśród młodzież, przejąć się jej życiem nie tylko naukowem, interesować się tem,

co ją interesuje, bez wymagań dla siebie, z jedyną żądzą dobra ogólnego. W ten sposób odpadłyby partye i stronnictwa, a pozostałaby ojczyzna — jedna, wielka i nieszczęśliwa. Na takiem wyższem stanowisku już porozumienie łatwe: młode serca dadzą się pokierować, zdobędzie się ich zaufanie i miłość, przyjdą same po rady i wskazówki.

W chwili obecnej akcya akademicka śród młodzieży szkolnej wysila się w tym kierunku, aby w nich wyrobić opinię, że należy walką Polsce niepodległość uzyskać. Powstały w Krakowie dwa związki: jeden rok temu »Promień«, drugi bieżącego roku »Znicz« pierwszy niepodległościowo-postępowy, drugi niepodległościowo-umiarkowany i należy oczekiwać z roku na rok wielkiego spotężnienia tych dwóch związków, gdyż z prowincyonalnych Kółek samokształcenia przybywająca młodzież będzie do jednego z nich przystępowała. Oba te związki odszczepiły się od narodowo-demokratycznego »Zjednoczenia«. Oba one są owocem agitacyi wszechpolskiej, apostołującej egoizm narodowy — tylko, że wyższe teorye i myśli, wcielone niewcześnie przez młodzież w życie, mogą narodowi przynieść nieszczęście.

Dla profesorów, którzy chcą być nie tylko nauczycielami, lecz i wychowawcami, odkrywa się powinność uświadamiania młodzieży szkolnej co do patryotyzmu nie spisków, lecz pracy. Ten najlepszy patryota, kto dla ojczyzny najlepiej pracować potrafi Dziś, jak w r. 1828, jak w 1846, jak w 1861, jak w 1903 trzeba rozróżniać patryotyzm szlachetny i patryotyzm robaczywy. Ten pierwszy z nich pielęgnuje szkoła — i to rozumiem przez uszlachetnienie w duszach młodzieży uczucia miłości ojczyzny.

III. Jednakże uszlachetnienia potrzebuje także układ towarzyski młodzieży. Starsi ludzie niejednokrotnie mają sposobność podziwiać niewłaściwe zachowanie się, brak grzeczności, sobkostwo, chciwość na pieniądze, grubiaństwo nawet doroślejszej młodzieży. Ponieważ pozostaje to w związku z ogólną nowożytną kulturą, z wilczą bezwzględnością człowieka względem człowieka, a z drugiej strony z tem u nas zjawiskiem, że szkołę średnią w ostatnich dziesięcioleciach zalała fala ludu i mieszczaństwa, przeto mnie-

małbym, że trzeba sporo włożyć trudu wychowawczego, iżby przeedukować jeśli nie obecne, to przynajmniej przyszłe pokolenie młodzieży.

We Włoszech niedawno powstały związki *Pro gentilezza*, w Niemczech od trzech miesięcy szerzą się za tym przykładem filie związku berlińskiego *Bund für Höflichkeit*. Jedyną powinnością tych zrzeszeń jest praktyka uprzejmości.

§ 1. Cel: pamiętać o grzeczności w każdem położeniu życia względem każdego człowieka. Jakim chcesz, żeby ludzie byli w stosunku do ciebie, bądź względem nich.

§ 2. Członkiem ligi może być każdy, kto godzi się z celem ligi i chce współdziałać.

§ 3. Jedyny wkład: własna uprzejmość.

§ 4. Niech każdy nosi znak należenia do ligi, aby mu przypominał obowiązek względem ogółu.

Wcaleby nie szkodziło u nas wśród młodzieży stworzyć podobną ligę. Za nierównie ważniejszy atoli środek uszlachetnienia towarzyskiego układu uważam podniesienie kultury estetycznej młodzieży w myśl sentencyi: *ars mollit mores nec sinit esse feros.*

My, niestety, w niejednem podążamy za Europą w tyle nazbyt wolno, to też i ta kwestya — estetycznego wykształcenia — u nas dopiero świtać poczyna.

Posłuchajmy opinii Europy:

— W Anglii — pisze Hartwell Jones — coraz pilniej zwraca się uwagę na estetyczną stronę wychowania. Rysunki od dawna zajmują w niższych klasach wybitne miejsce, w realnych zaś szkołach *(modern Schools)* rysunki zaliczają się do najważniejszych przedmiotów. Muzyka również stanowi przedmiot nauki, szczególniej w wyższych klasach. Większość szkół ma własne chóry i orkiestry. Przedstawienia teatralne i koncerty bywają od czasu do czasu w zakładach urządzane« W Londynie istnieje towarzystwo *The Art for Schools Association*, mające za zadanie zdobić szkoły dziełami sztuki i budzić do tego interes u ogółu.

— My — donosi dr. Axel Jacobsson ze Sztokholmu — usta-

wicznie dbamy o estetyczne wychowanie młodzieży. Szkoły nasze są to monumentalne, piękne i czyste budowle. Wielu mecenasów daje obrazy i inne dzieła sztuki dla ozdobienia szkół. Śpiewem w szkołach zajmuje się młodzież chętnie. Istnieją orkiestry, urządzają się przedstawienia sceniczne, koncerty i produkcye wokalne.

— Usiłujemy — mówi p. Bazin, dyrektor liceum pod Paryżem — rozwinąć u młodzieży zamiłowanie piękna. Osobliwością liceum jest od lat 14 istniejąca nauka historyi sztuki. Co miesiąc urządzamy koncert lub wieczór literacki, na którym bywają obecne rodziny uczniów, a wykonawcami są uczniowie i zaproszeni artyści.

Podobne głosy odzywają się ze Szwajcaryi i z Włoch.

A u nas?

Prawda, że rysunki w najnowszych planach uwzględniono i należy oczekiwać z tej nauki znacznego pożytku. Ale gorzej ma się rzecz ze śpiewem i muzyką, nieosobliwie z orkiestrami.

Co się tyczy koncertów, to w bieżącym roku usiłowałem za zgodą i zezwoleniem władzy zorganizować w zakładzie szereg koncertów kameralnych dla uczniów. Sił śród uczniów znalazł się dostatek, niektórzy starsi grają nawet pięknie; ceny wstępu komitet uczniowski ustanowił minimalne. Ponieważ skarżono się, że 15 centów za wstęp — to dużo, spowodowałem zniżenie na 10. Ponieważ nie chodziło o zysk, lecz o pożytek, poleciłem na każdych 10 biletów sprzedanych dawać 5 darmo, byle powiększyć frekwencyę. Nie osiągnąłem celu. Nie udało mi się na razie obudzić dla sztuki porywu. Dopiero czas i cierpliwość muszą przyjść z pomocą.

A jednak nikt nie odmówiłby zapewne znaczenia i wpływu koncertom muzycznym, łącznie ze śpiewem i deklamacyą. Wpływ łagodzący na charaktery i obyczaje, wpływ dobroczynny okazałby się niezawodnie i niezadługo, trzebaby tylko tłum młodzieży na te koncerty skierować, czego mogłaby dokonać zachęta, poparcie i staranie zbiorowe nie jednostkowe. Do tego samego rodzaju pośrednictwa i wmieszania się profesorów w sprawy uczniów należy dozór nad strojem, porządkiem, czystością uczniów. Wielu z nich

przychodzi do klasy niemytych, o brudnych rękach i paznokciach, w brudnych koszulach i kołnierzach. Zwłaszcza w niższych klasach estetyka stroju i wzięcia się powinna być przedmiotem uwagi nie tylko gospodarza klasy, lecz i każdego profesora. W ten tylko sposób wyrugowałoby się zanieczyszczanie ścian, ławek, katedry, i mnóstwo nieestetycznych i niesmacznych czynów młodzieży.

W niejakim związku przyczynowym z psychiką obecnej młodzieży są podręczniki. Młodzież, kształcąc nieustannie umysł podług podręczników przez lat kilka, mimowolnie układa go odpowiednio do ich ducha. Nasze zaś podręczniki, nasze instrukcye tworzyły się w okresie reformy przed niespełna trzydziestu laty, w dobie t. zw. u nas realizmu. Stąd pochodzi pierwiastek trzeźwości i krytycyzmu, wypiętnowany na całym systemie nauki i na niektórych — zwłaszcza humanistycznych — podręcznikach. Uczniowie na wyższym stopniu nauki nie umieją zachwycać się i uwielbiać, natomiast wybornie umieją poddawać zjawiska i osoby ostrej krytyce.

Znikły ideały, znikł zapał; »Ody do młodości« nikt z młodych nie deklamuje, bo nikt jej nie czuje. Ale za to pojawiają się częste talenty do karykatury i paszkwilów. Szara a nieraz nadgniła atmosfera szkoły, duszne powietrze nad miarę przepełnionych zblazowaną młodzieżą klas, sprowadza nudę *(angoisse)*, dręczy i wytrawia wszelki zapał i polot ku szlachetnym uniesieniom serca.

Należałoby też zarówno w nowo tworzonych podręcznikach, jak w nauce silniej akcentować nakazy, twierdzenia, walory dodatnie, a rugować z dusz młodych negacyę, krytycyzm, skłonność do pesymizmu.

Myślę, że do większej kulturalności młodzieży niemało przyczyniłyby się odpowiednio dobrane i udzielane pochwały za obyczajność, zachowanie się, uprzejmość, słowem za wzorową kulturę. Przynosi to zaszczyt zakładowi, a zwłaszcza jego kierownikowi, jeżeli wprowadził pochwały konferencyjne dla uczniów najlepszych. Taki kierownik rozumie ducha czasu i jego potrzeby. Muszę tu zaznaczyć, że nowość ta u nas — nie jest i nie byłaby nowością w Europie.

W Anglii w St. Paul's School (West Kensington) istnieją fundacye licznych nagród:

a) fundacya profesorów: 5 ftów za najlepsze jamby greckie,

b) d-ra Sleath, b. dyrektora: 2 ft. 15 szyl. za najlepsze wypracowanie łacińskie,

c) lorda kanclerza Truro: złoty medal i książki za 15 ftów za najlepsze wypracowanie angielskie,

d) nagroda Clarkego: 6 ft. za religijny poemat po angielsku,

e) nagroda b. ucznia Kynaston'a: 7 ft. 10 szyl. za najlepszy postęp w gramatyce,

f) nagroda Jozuego Bafterworth'a: 3 ft. za najlepszy postęp w angielskiej literaturze, zwłaszcza za znajomość Szekspira i t. d., co roku kilkanaście nagród za różne przedmioty w nauce.

Tak samo we Francyi istnieje w każdym zakładzie t. z. *Conseil de discipline* (z profesorów), która przyznaje pochwały uczniom wzorowym i pilnym, a nazwiska ich poleca wpisywać do księgi honorowej *(tableau d'honneur)*.

Nie pojmuję, dlaczego nasza szkoła średnia wyróżnia tylko występki i zna nagany, dotąd nie zna pochwał i nagród, a nie wyróżnia zalet i cnót.

Prawda, że wydatnej pracy wychowawczej profesorów u nas stoi na przeszkodzie jedna okoliczność: silne przeciążenie sił nauczycielskich naukową pracą, skutkiem przepełnienia zakładów. W większej części zakładów naszych profesorowie uczą dwa razy większą ilość uczniów, niż gdzieindziej.

W Anglii liczba uczniów bywa przeciętnie w klasie 20—25. *Trinity College* ma 10—20 uczniów w klasie.

W Danii w szkołach rządowych bywa ogółem od 150—200, w prywatnych 200—300 uczniów. W jedynej wielkiej prywatnej szkole w Kopenhadze, gdzie 600 uczniów, profesorów jest 49, t. zn. jeden profesor na 12 uczniów.

We Francyi rozporządzenie ministeryalne normuje liczbę uczniów klasy na 20—25. W Sceaux pod Paryżem — jak stwierdza p. Bazin — w r. 1906 było 550 uczniów, ale 50 profesorów, t. z. jeden profesor na 11 uczniów.

W Bernie szwajcarskiem w zakładzie, gdzie 700 uczniów, uczy 50 profesorów, t. zn. jeden profesor na 14 uczniów.

We Włoszech rozporządzeniem ministerstwa unormowano liczbę uczniów na *maximum* 40 w klasie.

Tylko w Hiszpanii, Rumunii, Grecyi liczba bywa jeszcze większa, niż u nas — dochodzi bowiem do 70.

U nas w r. 1908/9 mieliśmy w galicyjskich gimnazyach 30.000 uczniów i 1450 profesorów t. z. na jednego profesora przypadło 30 uczniów, jak nigdzie. — Wyobraźmy sobie, że nasz profesor przez lat 30 uczy w klasach o podwójnej frekwencyi — czyż nie można o nim powiedzieć, że pracował za d w ó c h ludzi?

Trzeba niespożytej energii, całego wysiłku woli, aby się za prędko nie zetrzeć, aby nie zgorznieć w tych warunkach, w których władza — gdy się pracuje bez wytchnienia — przyjmuje to w milczeniu i obojętnie, jak rzecz powinną, gdy się zaś o włos od wysiłku roboczego uchyli, napomina. Ten sam system pochwał i nagród, jaki się zaczyna względem uczniów w gronach rozpowszechniać, należałoby szczodrzej wymierzać względem profesorów. Na tem nie wyjdzie źle ani szkoła, ani społeczeństwo, gdy władza, jeżeli nie podporą materyalną, to przynajmniej słowem uznania da poznać, że rozumie syzyfowy trud swych białych niewolników.

Łatwiej niezawodnie przy zielonym stole krytycznie roztrząsać i osądzać rzekome lub rzeczywiste niepowodzenia w sferze nauki czy wychowania; daleko trudniej utrzymać przez lat dziesiątki zapał w piersiach, sycąc go tylko poczuciem obywatelskich powinności; gdy się mianowicie przez lat dziesiątki dzień po dniu, godzina po godzinie patrzy na to, jak najszczersze intencye, najlepsze pomysły w gruzy i proch się sypią, jedynie dzięki temu, że wciąż ma się przed sobą na ławach tłum, z pięćdziesięciu głów złożony.

Streszczam cały wywód powyższy:

Po p i e r w s z e: Legitymacye i mundury uważam za z e w n ę t r z n e środki, mogące na psychologię młodzieży wpływać dodatnio, ale tylko pomocniczo.

P o w t ó r e: Jakkolwiek głosy o zepsuciu młodzieży są prze-

sadzone, to jednak charakter występków głównych może zaniepokoić dbałych o skuteczne wychowanie pedagogów.

Po trzecie: Przyczyny atoli zepsucia tkwią zarówno w społeczeństwie, jak w młodzieży i w celu poprawy należałoby na obie te grupy oddziaływać.

Po czwarte: Poprawa społecznych prądów należy nie do szkoły, lecz do czynników kierujących narodowem życiem.

Po piąte: Szkoła nasza powinna zająć się moralnem wyrobieniem dziecka polskiego obok zadania wyrobienia jego intellektu.

Po szóste: Rzeczą zasadniczą jest, aby profesorowie weszli pośród młodzież, zbliżyli się do niej i w dobrze zrozumianym obowiązku obywateli-Polaków usiłowali: *a)* podnieść moralno-religijny poziom młodzieży; *b)* uszlachetnić jej uczucia patryotyczne, wydzierając ją z objęć niepowołanych apostołów; *c)* wpłynąć na podniesienie układu towarzyskiego i uczuć estetycznych.

Po siódme: Poprawa wychowania, usunięcie gruntowne zepsucia młodzieży, wzrost wpływu wychowawców na wychowanków znajdzie z pewnością niezawodny środek zaradczy w zmniejszeniu frekwencyi uczniów, która w ostatniem ćwierćwieczu w dwójnasób u nas wzrosła.

Antoni Mazanowski.

W Krakowie d. 15 marca 1911 r.

EMIGRACYA POLSKA DO FRANCYI W NAJŚWIEŻSZEJ DOBIE.

Zdaje się, że losy przeznaczyły ziemie polskie na kolebkę rodu, który nie mogąc pomieścić się w ojczystych sadybach, rozchodzi się po świecie i tam bez opieki ginie. Przecież to z polskich ziem, jeżeli prawdę głoszą najnowsze badania, rozeszły się plemiona słowiańskie na wschód, południe i zachód aż hen po Wezerę i Szwajcaryę i stały się podścieliskiem dla zwycięskiej nacyi germańskiej. Wszak stąd wyroiły się gromady osadników chłopskich lub szlacheckich, by zaludniać czy pruskie czy ruskie czy litewskie pustkowia. Setki tysięcy przepadły wskutek braku dostatecznej opieki narodowej czy kościelnej na rzecz żywiołu ruskiego lub prusko-niemieckiego, a inne setki tysięcy wybierał przez pięć wieków blizko Mongoł, Tatar lub Turek dla swych haremów, dla swych posług najcięższych, dla swych targów niewolniczych. Dziś znowu polskie ziemie słyną z dostarczania światu cywilizowanemu robotników. Same Niemcy rocznie ich otrzymują przeszło 700.000 i to około trzysta tysięcy z Galicyi, a przeszło 400.000 z Królestwa. Cały wielki przemysł i intensywne rolnictwo niemieckie rozwija się i kwitnie dzięki niezmordowanym muszkułom polskich robotników. Do Węgier ciągnie rocznie około dwadzieścia tysięcy robotników galicyjskich, do Danii około siedm tysięcy z Galicyi i Królestwa, do Szwecyi około ośm tysięcy, około 500 do Szwajcaryi, do Stanów Zjednoczonych około 110 tysięcy, w tem 50.000 z Galicyi, do Brazylii około 1000 Polaków i Rusinów na rok. Idą nasi robotnicy do Argentyny, do Hono-

lulu, do Australii, do Jawy, południowej Afryki, ale już w drobniejszej liczbie. Wprawdzie przynoszą do Galicyi z Niemiec samych około 24 miliony K., z Ameryki około 30 do 40 milionów K., ale ile zdrowia fizycznego i moralnego stargają, ile z tych nowożytnych polskich niewolników ginie bezpowrotnie dla kraju, a przedewszystkiem, jak olbrzymie korzyści przysparzają naszym największym wrogom!

W najnowszych czasach polska fala emigracyjna dotarła do Francyi, zagrożonej dziś wymieraniem ludności. Francya rolnicza ginie dziś wprost z braku rąk roboczych. Robotnik francuski tak samo, jak niemiecki, pcha się do przemysłu. Stąd też aż żal patrzeć, gdy się jedzie przez sioła francuskie i widzi się pola puste bez żywej duszy. Sami agraryusze francuscy lękają się kryzysu agrarnego nie z powodu klęsk elementarnych lub nieurodzajów, lecz z powodu braku rąk roboczych. Wobec tego zaczęto sprowadzać robotników z Belgii, ale ci byli i mniej liczni a bardziej wymagający tak, iż nie odpowiedzieli nadziejom. Przed pięciu coś laty pojawili się na terenie francuskim pierwsi robotnicy polscy. Byli to uciekinierzy z Prus, którzy tamże kontrakty pozrywali lub przez agentów francuskich przywabieni, przyszli nie bez uprzedzeń do Francyi. Jak dalece skierowanie robotnika polskiego do Francyi zaniepokoiło władze pruskie, tego najlepszą ilustracyą jest tak niezwykła surowość, którą sąd pruski ścigał wysiłki czynione, aby kilkaset robotników polskich, kończących kontraktową robotę wyprowadzić z Westfalii, w celu dostarczenia im lepszych zarobków w kopalniach węgla w północnej Francyi: głównego agitatora skazano na grzywnę 3000 M. stwierdzając tem samem olbrzymią doniosłość robotnika polskiego dla przemysłu pruskiego.

Dziś we Francyi polskich robotników zajętych jest około 5 do 6000 na rok. Głównemi agencyami tej emigracyi jest obok innych polskie Towarzystwo emigracyjne. Działalność jego wielu uważa za szkodliwą. Faktem jest, iż Towarzystwo emigracyjne, aczkolwiek zajmuje się skierowaniem robotnika polskiego z Prus do Francyi lub Ameryki, to jednak silnie agitując za opuszczeniem kraju przez robotnika naszego pozbawia go siły roboczej;

nadto faktem też jest, iż przedstawiciel Towarzystwa był wspólnikiem bezwyznaniowca, który świeżo założył syndykat rolniczy we Francyi, *Syndicat mutuel.* Owocem tego »porozumienia« miało być skasowanie w kontraktach święcenia nie tylko świąt, ale nawet z czasem i niedzieli, tak, że robotnik nasz moralnie zdziczeć musi a fizycznie wyczerpać swe siły.

Jeżeli obecnie ci przyjaciele się rozstali, to dlatego, że Towarzystwo emigracyjne czy ich Syndykat stracili przez tego pana tysiąc i kilkaset franków (dziś już zresztą policya tego pana ściga). On też w agencyi swojej *La France* utrzymywał jeszcze niedawno biuro w Aubervilliers pod Paryżem, forsownie ściągał ludzi z Galicyi albo bezwstydnie odmawiał już umieszczonych pracodawcom. Używał zaś do tego celu młodzieży polskiej, uczącej się w Paryżu. W ostatnich czasach Tow. emigracyjne wzięło do służby swej we Francyi człowieka, którego Syndykat siły roboczej rolnej mógł sobie ująć, a wyrzekł się tego, bo nie chciał mieć do czynienia z człowiekiem, który swego nadzwyczajnego sprytu użył do tego, żeby ze sprawy emigracyjnej zrobić handel ludźmi: Wyzyskiwał bez miary tak pracodawców, jak robotników (wprawił się zapewne do tego, handlując poprzednio bydłem i końmi), Tow. em. nie zawahało się skorzystać z usług tego pana mimo, że poprzednio zwalczało go długi czas jako niebezpiecznego współzawodnika. Skądinąd znani są ludzie, którzy na stosunkach z Tow. emigr. stracili do kilku tysięcy franków.

Najgłośniejszą jednak agencyą dla emigracyi polskiej we Francyi jest biuro posła Skołyszewskiego. Ma mnóstwo agentów w Galicyi i we Francyi; głównym agentem we Francyi był do niedawna p. Marlot w Dijon, który swą działalność rozszerzał na blizko 30 departamentów. Pan Skołyszewski głównie dostarcza ludzi do Swajcaryi i Francyi. Smutny los robotnika polskiego w Szwajcaryi opisywał niedawno w *Przeglądzie emigracyjnym* p. Kaszubski z Zurychu. W Szwajcaryi robotnik polski zamiast 5 franków płaconych dziennie robotnikowi szwajcarskiemu, zadawalnia się płacą 2 franków 50 centymów, niekiedy przestaje na 50 centymach dziennie. Wprawdzie dostaje prócz tego 25 funtów ziemniaków, litr mleka i mieszkanie, ale tylko ziemniaki do-

chodzą go w postaci właściwej, mieszkanie i mleko dalekie są od tego, co ludzie zwykli nazywać mieszkaniem i mlekiem. »Wogóle włosy na głowie stają, opowiada naoczny świadek, gdy się widzi z blizka niesumienne postępowanie agentów«. Parę przykładów podamy niżej; ale najprzód o kontraktach.

Na papierze warunki dla naszego robotnika wyglądają wcale zachęcająco. Mam przed sobą blankiety kontraktów za rok 1910 dla robotników rolnych sezonowych oraz kontrakt dla ośmiu północno-wschodnich departamentów Francyi polskiego Towarzystwa emigracyjnego, akceptowany przez francuskie Towarzystwo rolnicze w Nancy, robotników rocznych folwarcznych, oraz kontrakt pracy z biura posła Skołyszewskiego. Wedle kontraktu Towarzystwa emigracyjnego, płaca robotników rocznych w wieku od 25 do 40 lat wynosi 500 franków, płaca roczna mężczyzny młodszego silniejszego w wieku 20—25 lat wynosi 450 franków, dziewczęta folwarczne pobierać mają płacę roczną 360 franków robotnicy sezonowi w wieku od 20—40 lat i parobcy w wieku od 18 do 22 lat, umiejący kosić otrzymują 42 franki, parobek nie umiejący kosić, jako też kobieta pobiera 38 franków miesięcznie.

Wedle kontraktu p. Skołyszewskiego, roczne wynagrodzenie w departamentach Haute-Marne, Côte d'Or, Haute Saône, Doubs, Jura, Vosges, Meurthe et Moselle i Meuse, dla kobiet, dziewcząt i słabszych chłopców wynosi po 350 fr., dla silniejszych chłopców i słabszych mężczyzn po 400 franków, mężczyzn umiejących kosić 450 franków, mężczyzn bardzo silnych i szczególnie uzdolnionych 500 franków. W departamentach Ardennes, Marne, Aubem, Yonne, Nievre, Saône et Loire, Rhône, Ain, Savoie, Haute Savoie i Loire o 10 franków więcej, — w departamentach Pas de Calais, Nord, Somme, Aisne, Seine Inferieure, Oise, Seine et Oise, Seine et Marne, Eure, Eure et Loire, Loire, Indre et Loire, Loiret, Loire et Cher, Indre, Cher, Allier, Creuse, Vienne i Haute Vienne o 20 franków więcej. W razie przedłużenia pracy o rok otrzymują wszystkie kategorye robotników o 100 franków więcej. Jest to płaca stosunkowo korzystna. Nawet w Stanach Zjednoczonych

robotnik, pracujący na roli, nie otrzymuje więcej jak tylko 80 dolarów t. z. 382 koron.

W Niemczech zarobek robotników na roli nie przekracza 300 marek.

Oprócz płac powyżej wymienionych każdy robotnik otrzymuje mieszkanie i stosowne, wystarczające pożywienie wedle miejscowych zwyczajów. Zwykle otrzymuje jedna osoba litr mleka niezbieranego, pół litra wina, nadto na osobę tygodniowo wypada dowolna ilość ziemniaków, $^3/_4$ kg. świeżego mięsa, $1\,^1/_2$ kg. słoniny, $1\,^1/_2$ kg. ryżu, 5 kg. chleba, $^1/_2$ kg. mąki, $^1/_4$ kg. soli. Jadło gotuje zwykle jedna robotnica, która w tym celu otrzymuje połowę dnia wolnego jeżeli liczba robotnika nie przekracza 20; jeżeli jest więcej rozporządza całym wolnym dniem. Także i wypranie bielizny robotników odbywa się na koszt pracodawcy, który winien dostarczać robotnikowi mieszkania suchego i zdrowego, oddzielnego dla mężczyzn i kobiet wraz z pościelą, składającą się z łóżka, siennika wypchanego słomą, poduszki i koca, nadto lokalu do gotowania i wszystkich przyrządów kuchennych i opału. Praca w gospodarstwie rozpoczyna się o godzinie 5 rano i kończy się o 7 godzinie wieczór z przerwami po pół godziny na śniadanie i podwieczorek i $1\,^1/_2$ godziny na obiad, wedle kontraktu biura Towarzystwa emigracyjnego. Wedle kontraktu p. Skołyszewskiego jest unormowana wedle zwyczaju miejscowego, jednakże nie trwa dłużej jak od 4 godziny z rana do 8 wieczorem w lecie, a od 5 godz. z rana do 5 wieczorem w zimie, z przerwą po pół godziny na śniadanie i podwieczorek a jedną godziną na obiad — co jest stanowczo za mało, przy 60 ct. kary za niezachowanie porządku domowego. Robotnicy mają być wolni od pracy w niedzielę i święta następujące: Nowy Rok, Trzech Króli, Poniedziałek Wielkiej Nocy, Wniebowstąpienie, Poniedziałek Zielonych świąt, Boże Ciało, św. Piotra i Pawła, Wniebowzięcie, Narodzenie M. B., Wszystkich Świętych, Boże Narodzenie i św. Szczepana. Świąt wspomnianych nie obchodzi się już we Francyi, są przeniesione na następującą niedzielę. Robotnik nasz tego nie rozumie, a ponieważ przywykł do ich obchodzenia, agencye licząc się z tem, umieszczają w kontraktach, że dnie te są wolne od pracy. W rze-

czywistości jednak pracodawcy francuscy tego warunku zwykle nie dotrzymują, co jest powodem zatargów między nimi a naszymi robotnikami. We wszystkie te dni mają robotnicy nie pracować w polu, ale są jednak obowiązani z rana opiekować się i czyścić bydło, jako też pójść w pole po paszę. Od pracy są wolni najpóźniej o 9 godzinie z rana, aby mogli być na mszy św. Wieczór muszą pracować jeszcze jedną godzinę dla nakarmienia i pojenia zwierząt folwarcznych. Podczas sianokosów robotnicy stosownie do miejscowego zwyczaju obowiązani są pracować w niedzielę i święta, lecz tylko po sumie i to wyjątkowo. W najnowszych kontraktach święta te zostały zupełnie skasowane.

Jako kaucyę dla zabezpieczenia dotrzymania kontraktu odciąga pracodawca przy każdej wypłacie robotnikowi tak długo połowę zarobku, dopóki kwota 60 franków nie będzie uzyskaną. Te strącone pieniądze zostają robotnikowi w całości oddane z końcem pierwszego roku pracy. Robotnik, zrywający kontrakt samowolnie i bez prawnych przyczyn, traci prawo do kaucyi, jak i do kosztów podróży z powrotem. Pracodawcy przysługuje prawo umowę służbową rozwiązać, jeżeli robotnik: pracodawcę albo w jego imieniu dozorujących zastępców znieważa lub czynnie im się sprzeciwia, jeżeli robotnik dopuści się kradzieży lub podburzań, jeżeli niezamężna robotnica zajdzie w ciążę, jeżeli robotnik dręczy zwierzęta do służbodawcy należące. W tych wypadkach taki robotnik obowiązanym jest natychmiast udzielone mu mieszkanie opróżnić, a w razie wzbraniania się pracodawcy przysługuje prawo natychmiast przymusowo go oddalić. W tych wypadkach pracodawca ma prawo strącić robotnikowi (robotnicy) z kaucyi za koszta podróży z Oświęcimia do miejsca pracy wyłożoną sumę. Jeżeli robotnik zaprzestanie pracy bez pozwolenia pracodawcy albo w czasie do pracy przeznaczonym dopuści się pijaństwa albo mimo poprzedniego wyraźnego przypomnienia porządku domowego nie zachowuje, ma pracodawca w każdym poszczególnym wypadku prawo, przy najbliższej wypłacie przestępcy 60 cent. od należnego mu wynagrodzenia jako karę konwencyonalną ściągnąć. Jeżeli kara przy najbliższej wypłacie nie zostanie odciągniętą, ma się uważać za darowaną. Za jeden dzień roboczy

wskutek nieobecności albo pijaństwa robotnika dla pracodawcy stracony, może pracodawca strącić dla siebie 2 fr. Robotnik (robotnica) ma prawo zobowiązanie natychmiast rozwiązać, jeżeli pracodawca nie wypłaca w umówionych terminach oznaczonego zarobku, jeżeli pracodawca czynnie robotnika znieważa, jeżeli pracodawca lub jego zastępca nieobyczajnie z robotnikiem (robotnicą) się obchodzą. W każdym z tych wypadków pracodawca zobowiązanym jest wypłacić robotnika (robotnicę) za czas, przez który był zajęty, także kwotę odpowiadającą wysokości szkody, na jaką robotnik przez niedotrzymanie kontraktu został narażony, oraz zapłacić robotnikom koszta podróży z powrotem aż do Oświęcimia.

W razie gdyby kto z rodziny lub bliższych krewnych zachorował, lub inne zdarzenie elementarne w domu nastąpiło, wskutek czego robotnik (robotnica) byłby zmuszony do domu jechać, musi się przedtem wykazać potwierdzeniem naczelnika gminy, księdza i lekarza, poczem pracodawca ma go uwolnić; traci wtedy jednakże robotnik prawo do bezpłatnej jazdy koleją z powrotem z miejsca pracy do Oświęcimia. Jeżeli konieczność powrotu nie zostanie w taki wiarygodny sposób udowodnioną, albo jeżeli robotnik własnowolnie kontrakt pracy łamie, ma prawo pracodawca także kwotę wyłożoną na podróż do miejsca pracy z kaucyi ściągnąć. Pracodawca przyznaje robotnikom jazdę koleją III klasą z Krakowa do Salzburga, IV klasą z Salzburga do Avricourt i III kl. z Avricourt na miejsce przeznaczenia, jako też 1 franka dla robotnika na każdą dobę, tytułem strawnego w czasie podróży z Krakowa na miejsce przeznaczenia, i obowiązuje się odesłać na swój koszt robotnika do domu. Jeżeli robotnik przez dwa lata po sobie następujące u niego służył, na tę podróż powrotną wypłaci robotnikowi odpowiednią kwotę.

Z kontraktów tych wynika, że warunki p. Skołyszewskiego, aczkolwiek dają 4 mniej święta robotnikom naszym, korzystniejsze są od warunków Towarzystwa emigracyjnego, nadto kontrakt p. Skołyszewskiego zwraca specyalną uwagę francuskim pracodawcom na poszanowanie niedziel i świąt kontraktem zawarowa-

nych, »albowiem robotnik polski i ruski poczytuje spoczynek niedzielny, jako najświętszy obowiązek religijny«.

Skądinąd we Francyi jest zdanie takie: Kontrakty Polskiego Towarzystwa emigracyjnego zdają się być korzystniejsze dla robotników, ponieważ obiecują wyższą płacę, lecz, niestety, zbyt często są niedotrzymywane. Na wysoką kontraktową cenę zgadzają się często tacy pracodawcy, którzy nie mają zamiaru dotrzymać warunków. Sumienni gospodarze zaś wolą kontrakty o mniej wygórowanych cenach p. Skołyszewskiego, który, stawiając się nadto ostro w obronie święcenia niedzieli, daje gwarancyę, że mu nie tylko o kieszeń, ale i o dobro robotnika chodzi.

Tak wyglądają kontrakty naszych robotników z francuskimi pracodawcami na papierze. Jak jednak warunki te przedstawiają się w rzeczywistości? Najlepiej charakteryzuje położenie robotników we Francyi list p. Z. do Wydziału krajowego:

»Tysiące robotników polskich, zwabionych obietnicami agentów, udaje się do Francyi. Ludzie ci bez języka, bez opieki, narażeni są na barbarzyński wyzysk, na nędzę moralną i materyalną, jak osobiście stwierdziłam. Wprawdzie dotkliwie odczuć się dający we Francyi brak sił roboczych zmusza pracodawców do posługiwania się robotnikiem obcym, a ogólnie mówiąc robotnik polski jest przez nich ceniony. Jednak brak opieki nad robotnikiem i kontroli nąd wyzyskującymi go agentami sprawia, że emigracya do Francyi, któraby mogła przynosić pożytek jednostkom i krajowi naszemu, na nieszczęśliwe poszła tory. Szerzy się nędza wśród emigrujących robotników, a na obczyznie niesława pada na kraj nasz. Jeżeli u większych właścicieli przeważnie dobrze się z robotnikiem obchodzą, to zbyt często pracodawca, chłop francuski, katem się wprost staje względem oddanego mu w ręce bezbronnego robotnika. Nie tylko nie płaci tego, do czego się zobowiązał, nie dotrzymuje warunków kontraktu, ale mu listy konfiskuje z obawy, by dowiedziawszy się o lepszem miejscu, nie uciekł. Wreszcie robotnik polski w tych nowych dla niego warunkach, bez języka, bez kościoła demoralizuje się i wprost dziczeje, a jak do kraju wróci, stanie się rozsadnikiem wszelkiego złego, rozpusty i wyuzdania«.

Najliczniejszy zastęp naszych robotników znajduje się w okolicach Côte d'Or. Cechą charakterystyczną tej okolicy jest, że pracodawcy, po większej części antyklerykalni, są twardzi, okrutni i nic sobie nie robią z kontraktu, zawartego z robotnikami. W tych kontraktach jest wprawdzie zawarowane, że niedziele będą wolne od 9 godz. rano, ażeby robotnicy mogli iść na mszę św., tymczasem pracodawcy puszczają ich dopiero o 12 godzinie, kiedy już na mszę św. jest za późno. Szydzą z nich, gdy chcą iść do spowiedzi lub im w tem przeszkadzają, nie płacą im wcale lub tak marnie, że np. jeden chłopiec po 4 miesiącach pracy dostał 4 franki, zaś dziewczyna jedna, która, według kontraktu, miała dostać 300 franków, otrzymała 150 fr. pod pozorem, że nie odpowiadała wymaganiom, ale tego pracodawca nie wziął w rachubę, że sam nie dotrzymywał kontraktu, rzadko kiedy puszczając ją na mszę św.

W jednej miejscowości robotnicy nie mają co jeść, a to, co im dają, jest złe; niektórzy w ciągu 9-ciu miesięcy dwa razy tylko mieli zmieniane prześcieradła; jeden robotnik ma obsłużyć 10 koni, 10 krów, 200 baranów i zająć się nadto uprawą roli. Niektórzy z tych ludzi mieszkają w wozach jak cyganie, inni w stajni, gdzie zaduch i zimno im dokucza, a żywność otrzymują niedostateczną w stosunku do ciężkiej pracy.

Agenci wogóle nie biorą wcale w rachubę tego, czego żądają pracodawcy, i tym sposobem narażają naszych robotników na ostatnią nędzę, bo właściciel, który potrzebuje ludzi do żniwa, a dostaje furmanów, stolarzy i t. p., naturalnie wyrzuca ich, a oni nie wiedząc gdzie się podziać, włóczą się całymi dniami i przymierają z głodu. Strasznem też nadużyciem jest, że wysyłając ludzi do uprawy buraków, to jest do pracy, która się w dwóch różnych porach roku odbywa, nie żądają agenci od właścicieli zobowiązania, że w międzyczasie dadzą tym ludziom jakie zajęcie i utrzymanie, przez co ci biedacy narażeni są na włóczęgę i nędzę.

Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że i wśród naszych robotników jest też wiele elementów złych i zepsutych; np. w departamencie Eure nieraz zdarzało się, że pod wpływem agitatorów ludzie nasi nie chcieli chodzić do kościoła wtedy nawet, gdy

właściciele do tego ich zachęcali, że uciekali lub urządzali sobie strejki. Dowodzi to tylko, jak bardzo polskim ludziom potrzeba opieki, któraby ich broniła przed złym wpływem niedowiarków. Najgorsi są podobno ci robotnicy, którzy poprzednio byli w Prusiech.

Nie wszyscy pracodawcy francuscy przedstawiają się jednak w tak ujemnem świetle. Jest wśród nich wielu ludzi wielkiej szlachetności, ludzi wierzących, którzy wobec naszego robotnika zachowują się z wielką życzliwością i wyrozumiałością. Pan Dejardins, administrator kopalni w Nord, oświadczył, że przyjmie choćby 1000 rodzin polskich; każdej zapewnia opał, pracę tylko od 5 rano do 2 po południu, a 7 franków zapłaty; ma zamiar założyć szkołę dla robotników polskich. Troskliwość szlachetnych Francuzów o dobro moralne i materyalne naszych robotników poświadcza szereg listów. Pani Choinard pisze 18 paźdz. 1910 r.: »Proszę i błagam, aby ksiądz Lurat powrócił do nas na Boże Narodzenie. Któżby go zastąpił przy naszych Polakach? A ci ludzie prawdziwie potrzebują umocnienia na duchu, bo wystawieni na złe przykłady, podlegają złym radom. Jakże byłabym szczęśliwą, gdyby chciano przychylić się do mej prośby. Sądzę, że nikt nie miałby takiego wpływu, jak ksiądz Lurat. Jest on, że się tak wyrażę, jednocześnie Francuzem i Polakiem, a zatem najlepszym pośrednikiem między pracodawcą a robotnikami, a przytem taki dobry, taki gorliwy. Proszę nie odmówić moim polskim dzieciom pokarmu duchownego na Boże Narodzenie. Dobrzy to ludzie, pobożni, pracowici i oddani. Ale potrzeba im moralnej podpory«. Duchowieństwo odznacza się wielką życzliwością i gorliwością o zaspokajanie potrzeb religijnych robotników w ich ojczystym języku. Charakterystycznym w tym względzie jest list ks. proboszcza z Barlin (Pas de Calais) do ks. Lurat; przytaczamy go tutaj w całości:

»Jestem proboszczem — pisze tenże — znacznej parafii w okolicy, gdzie są kopalnie węgla. Od pewnego czasu Towarzystwo werbuje robotników obcych, szczególnie Polaków. Liczba rodzin polskich dochodzi do 150, a może i więcej, co znaczy od 600—700 parafian. Ci biedni robotnicy, wszyscy katolicy, a większość prakty-

kująca, ubolewają nad tem, że nie mają księdza rozumiejącego po polsku. Już trzy razy OO. Misyonarze-Lazaryści przybywali tutaj z misyą na parę dni. Lecz nam potrzeba księdza stałego, któryby się osiedlił w Barlin, jako polski wikary. Ponieważ istnieje instytucya, zajmująca się posyłaniem księży mówiących po polsku do Francyi, a nawet utrzymywaniem ich, zwracam się więc do uprzejmości księdza dobrodzieja, przedkładając mu prośbę moich parafian Polaków. Domagają się oni księdza swojej narodowości. Robiliśmy już w tym celu starania, lecz bezskutecznie. Sekretarz księcia Czartoryskiego pisał do arcybiskupa we Lwowie, biskup z Arras tak samo pisał, ale nie otrzymujemy odpowiedzi. Wyznaję, że to mnie bardzo martwi, bo widzę, że ci biedni, dzielni Polacy, pozbawieni pomocy religijnej, tracą dobre obyczaje, a nabierają złych dlatego, że niema nikogo, ktoby im przypominał obowiązki ich, a jednak ksiądz Polak mógłby tu żyć. Towarzystwo zapewnia mu 1000 franków pensyi rocznej, daje mieszkanie, opał, światło i t. d. Rodziny polskie zobowiązują się płacić miesięcznie składki. Z łatwością ksiądz Polak mógłby mieć 3000 franków rocznie. Ja mógłbym zapewnić utrzymanie za 1500 fr. rocznie, jak ksiądz widzi, nie umarłby z głodu w Barlin. Jeśli list ksiądz otrzyma, proszę być tak łaskawym i odpowiedzieć, czy możemy się spodziewać pomyślnej odpowiedzi i na kiedy. Trzeba, żeby to nastąpiło jak najprędzej, bo mamy wielkie trudności z powodu małżeństw i chrztów i katechizmu. Mam tu Siostrę Miłosierdzia, która mówi po polsku i zajmuje się dziećmi, lecz spowiadać nie może. Nim się udam do biskupa i dyrekcyi kopalni, oczekuję odpowiedzi. Już naprzód dziękuję za usługę oddaną Polakom, którzy też byliby księdzu bardzo wdzięczni, gdybyś mógł im przysłać kapłana, żeby im dopomógł utrzymać się na dobrej drodze wśród ludności obojętnej«.

Przykłady przytoczone wykazują niezawodnie z jednej strony wielkie niebezpieczeństwo dla naszego społeczeństwa z emigracyi robotnika naszego do Francyi. Pozostawiony bez opieki na łaskę i niełaskę pracodawców francuskich, robotnik polski demoralizuje się, zaraża bezbożnością francuską i ślizkością obyczajów, traci wiarę i obyczaje i staje się narzędziem podatnem dla propagandy

socyalistycznej. Z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że robotnik nasz, umieszczony u pracodawców sumiennych, którzy starają się o jego dobro materyalne i moralne, odnieść może wiele korzyści, ucząc się oszczędności francuskiej i ogłady, zarabiając więcej, niż w Niemczech, a wspierając swą pracą społeczeństwo więcej nam przychylne. Robotnik uczciwy polski mógłby Francuzom dobrej woli swym przykładem przypomnieć dawne przywiązanie do wiary i Kościoła, a w każdym razie nie potrzebowałby swym potem i swą pracą pomnażać potęgi gniotącego nas wroga. Wszystko to są możliwości, dające się zrealizować pod jednym tylko warunkiem, gdyby się dało rozciągnąć nad naszą emigracyą robotniczą do Francyi bezinteresowną opiekę religijno-narodową. Do takiej opieki nad robotnikami obowiązane są uświadomione moralnie, religijnie wszystkie inteligentne warstwy społeczeństwa, aby nie kusił się o nią agent wyzyskiwacz lub agitator socyalistyczny.

Córce największego przyjaciela Polaków we Francyi, pani de Montalembert, zawdzięczamy rozpoczęcie akcyi opiekuńczej we Francyi. Ona to w Laroche (w okolicy Dijon), gdzie jej ojciec żył i o Polsce naszej pisał, pierwsza alarm podniosła, zwracając uwagę na niebezpieczeństwo grożące naszym robotnikom polskim, z jednej strony strasznie wyzyskiwanym przez drobnych właścicieli, z drugiej, narażonym na utratę wiary. Nagliła, by coś dla nich zrobić. Właśnie wtedy znajdował się we Francyi dla odbycia służby wojskowej kapelan Zakładu Kórnickiego (w Zakopanem), ks. Lurat, Francuz, umiejący po polsku. Jego to uproszono, aby wstąpił do Dijon i objechał te parafie, w których znajdowali się polscy robotnicy.

W rok później posypały się znów listy z prośbą, aby wystarano się o księdza, któryby odwiedził robotników i ułatwił im spowiedź wielkanocną, dla której chcieli wracać do kraju, nie ukończywszy swych prac kontraktowych. I znów ks. Lurat pojechał do Dijon, innego bowiem księdza nie można było znaleźć. We Francyi przyjazd jego zapowiedziano listem, umieszczonym w gazecie *La Croix*, czytanej w całym kraju. Listem tym wzy-

wano wszystkich proboszczów, aby dali znać biskupowi w Dijon, czy i gdzie są robotnicy polscy. W odpowiedzi, zanim jeszcze ksiądz do Francyi dojechał, już na niego czekały liczne zaproszenia.

Podajemy niektóre ustępy z dzienniczka, w którym ks. Lurat opisuje swoje misyjne wycieczki.

»*Niedziela 3 kwietnia. Nogent les Montbard.* Jest tu 5 robotników stałych i dwóch czekających na miejsce. Jeden tylko Polak, inni Rusini, z których jeden schizmatyk. Rozmawiałem z nimi, poczem Polak i dwóch Rusinów przyszli się spowiadać«.

»*Poniedziałek 4 kwietnia.* Rozmawiałem z czterema młodymi ludźmi bardzo sympatycznymi, jeden z Puits, jeden Rusin także bardzo miły. Nazajutrz rano wszyscy się spowiadają. Dostałem się do rodziny prawdziwie patryarchalnej, do głębi chrześcijańskiej; dają dobry przykład pod względem praktyk religijnych i zostawiają robotnikom swoim całkowitą swobodę w niedzielę. To też wszyscy regularnie na nabożeństwa uczęszczają. Pracodawcy i robotnicy wzajemnie są z siebie zadowoleni«.

»*Wtorek 5 kwietnia.* O godzinie 5 rano spowiedź, msza św., kazanie, potem »Boże coś Polskę«. Wszyscy są uszczęśliwieni, chcieliby dostać książek do nabożeństwa, różańcy, medalików; zapisuję ich życzenia. W chwili, gdy już wybierałem się w drogę do Savisy, przybiega ten młody człowiek z Puits, bardzo inteligentny, umiejący już prawie wszystko powiedzieć po francusku i oznajmia mi, że jego pracodawca dał mu z mojego powodu dzień wolny i że rad byłby towarzyszyć mi na rowerze do pracodawców, u których są polscy robotnicy, których on prawie wszystkich zna. Ten młody człowiek nazywa się Piotr Bilus, jest ze wsi Ihrowice w powiecie tarnopolskim. Przejechawszy 23 kilometrów, żeby dostać się do miejscowości, gdzie mieliśmy zastać Polaków, dowiadujemy się, że wcale ich niema. Jedziemy dalej o 6 kilometrów, znajdujemy 2 Polaków, o 4 kilometry dalej znowu jedną Polkę, jeszcze o 5 kilometrów dalej jednego Polaka. Mówią nam, że w Origny o 9 kilometrów jest dwóch Polaków. Przybywamy tam, oni uszczęśliwieni z naszych odwiedzin, pracodawcy, chociaż obojętni, bardzo są uprzejmi i ujęci tem, że ktoś się ich

robotnikami zajmuje. Początkowo mieli zamiar kazać pracować w niedzielę do 12 godziny, ale robotnicy, powołując się na kontrakt, stanowczo odmówili i zostawiono ich w spokoju. Pracodawcy obiecują mi posłać robotników swoich nazajutrz rano na mszę św. i do spowiedzi. Jest zupełnie ciemno, gdy opuszczamy Origny, bo trzeba było z każdym się zatrzymać, porozmawiać, nawet trącić się kieliszkiem, żeby im sprawić przyjemność. Wróciwszy po 10 wieczór do Magnylembert, gdzie mam mieć nazajutrz mszę św. Nocuję w jedynym zajezdzie tutejszym; w czasie kolacyi przychodzi do mnie mały Polak, którego widziałem rano, przysłał go Rusin, który z nim razem pracuje u jednego pracodawcy. Rusin przez niego każe się zapytać mnie, z której części Polski jestem, czy jestem Polakiem czy Rusinem. Na odpowiedź moją, że jestem Francuzem, zaręcza mi, że się ten Rusin bardzo ucieszy, bo żadną miarą nie chciał się spowiadać u księdza Polaka. I rzeczywiście nazajutrz przyszedł też i Rusin z rozradowaną miną i kilku innych. Spowiadam ich, potem msza św. i kazanie, zawsze nieprzygotowane, ale zaczerpnięte z głębi serca. Na końcu mszy śpiewamy »Boże, coś Polskę«, jedyną pieśń, której nutę umiem, i trzy razy: »Królowo Korony polskiej, módl się za nami!«, poczem zapraszam ich na śniadanie do kawiarni. Rozstajemy się w najlepszej przyjaźni i wzajemnie z siebie zadowoleni«.

»*Czwartek 7 kwietnia.* W Etornay i La Villeneuve jest 2 robotników; jeden, według świadectwa pracodawców, jest nicpoń i wcale do kościoła nie chodzi, drugi jest pod jego złym wpływem, wskutek czego też do kościoła nie chodzi, a cały zarobek wydaje w karczmie tak, że nawet nie ma się w co ubrać. Idę w pole i spotykam tego lepszego z dwóch, i istotnie po krótkiej rozmowie przekonywam się, że to słaba głowa, i że z łatwością dałby sobą pokierować, gdyby ktoś na miejscu bronił go od złego wpływu towarzysza. Jest on z Kalwaryi Zebrzydowskiej, obiecuje przyjść nazajutrz do spowiedzi i towarzysza swego przyprowadzić. Nazajutrz rano czekam na nich, ale daremnie. Jeden tylko przyszedł, drugi podobno szukał mnie, ale nie wiedząc, gdzie się udać, wrócił do siebie. Spowiadam tego jednego i odprawiam mszę św., do której

służy ks. proboszcz. Jemy śniadanie we trzech (a on przygotował dla wszystkich pięciu robotników). Ażeby wynagrodzić dobrą wolę tego, który mnie tak szukał, wracam napowrót do folwarku, gdzie pracuje i dowiaduję się, że wrócił wczoraj bardzo smutny ze swoich bezowocnych poszukiwań. Sprowadzają go z pola i spowiadam go. Poczem spełniam rolę pośrednika między pracodawcą a robotnikiem w różnych kwestyach praktycznych. Nieporozumienia od razu znikają, zaufanie wraca u robotnika, który był prawie zdecydowany swego pana opuścić«.

»*Ravouse.* Jeden robotnik polski; pracodawca prowadzi mię do niego w pole; ponieważ dla jednego trudno mi aż do następnego ranka się zatrzymywać, więc go spowiadam w polu«.

»*Grésigny.* Jest tu jeden Rusin, rozmawiam z nim, biedak, uszczęśliwiony, mówi, że niema w okolicy ani jednego robotnika rodaka, że nie umie pisać ani czytać. Mówi, że uważa mnie za ojca. Pytam, czy nie chce się spowiadać, owszem najchętniej, ale nie jest przygotowany. Wolałby, żebym tu nocował, toby miał dużo czasu na opowiadania, bo się czuje taki opuszczony, nie otrzymując żadnych z kraju wiadomości. Nie mogę nocować, ale obiecuję mu wrócić nazajutrz. Nazajutrz spowiadam go, a że już jest 7-ma wieczór, więc mam zamiar jechać dalej. Ale robotnik pragnie jeszcze ze mną porozmawiać, idziemy więc kawałek razem piechotą. Prosi mię, by napisać do jego teścia, siostry i opiekuna. Wreszcie rozstaje się ze mną gorąco mi dziękując«.

»*Niedziela 10 kwietnia. Dijon.* Dowiaduję się od agenta francuskiego, że nie chce już sprowadzać z Polski młodych dziewcząt, któreby przyjeżdżały tu same bez brata lub ojca, bo te, które przyjeżdżają same, najgorzej się prowadzą. Dwie z tych biednych istot były powodem zgorszenia we wszystkich domach, gdzie służyły, wreszcie zostały przez pracodawców wypędzone. Przez dwa dni błądziły po ulicach Dijon, nic nie jedząc, nakoniec jakiś właściciel hotelu zabrał je, dał im jeść i ostrzegł agenta, który je odesłał do ambasady austryackiej. Tego dnia miało przybyć do Dijon 68 Polaków. Wychodzę na ich spotkanie. Uszczęśliwieni są, że mogą się rozmówić z księdzem z ich kraju. Wszyscy całują mię w ręce bez żadnych względów ludzkich. Za kilka mie-

sięcy możeby już tego nie zrobili. Rozmawiam też z kilku pracodawcami, uszczęśliwieni są, że znaleźli we mnie pośrednika i mogą robotnikom przeze mnie wyłożyć warunki swoje i polecenia, bo naczelnik tej grupy zaledwie kilka słów umie po francusku a agent, p. Marlot, ani słowa po polsku«.

»*11 kwietnia.* Wyjeżdżam rano na rowerze z Dijon, przybywam do wioski M., oddalonej o kilka km. Zatrzymuję pierwszą spotkaną osobę i pytam, czy nie zna Polaków w tej okolicy. Odpowiada mi, że nie, i pyta kto jestem. Usłyszawszy, że jestem księdzem, oświadcza mi, że nie byłby się tego domyślił po kapeluszu, płaszczu i sutannie podniesionej (księża francuscy ubierają się inaczej) — to zmienia postać rzeczy, przyznaje, że ma u siebie Polaków i tłumaczy, że jeśli dał mi taką odpowiedź z początku, to dlatego, że widział we mnie studenta, a takich się strzeże, bo są socyalistami, i objeżdżają robotników, agitując wśród nich. Zajeżdżam do niego, zaprasza mnie na obiad, w czasie którego rozmawiamy o Polsce, o robotnikach, o polityce i t. p. »Ciężkie czasy, mówi, chcianoby nas ujarzmić, ale się nie poddamy dzisiejszym rządom«. — To młody człowiek, nie ma 30 lat, pracuje u niego 28 robotników, prawie wszyscy Francuzi; to jedna z większych ferm w Côte d'Or. Zadowolony jest z dwóch Polaków i Polki, których ma u siebie, im też dobrze u niego, ale jednak nie mają zupełnej wolności w chodzeniu do kościoła, i jest obawa, że raczej pójdą za przykładem robotników francuskich, niż za głosem sumienia. Zapewniam go, że nasi ludzie przekonań nie zmieniają tylko przestają praktykować, gdy są w złem otoczeniu. Odwiedziwszy jeszcze 4 folwarki przyjeżdżam do O«.

»Robotnik spotkany po drodze mówi mi, gdzie zastanę polskich robotników, są na polu, pracują we trzech z synem p. L. młodym człowiekiem 30-tu lat najwyżej, składają słomę. »Dzień dobry panu«, mówię do p. L. — »Dzień dobry«, odpowiada tenże z uśmiechem pogardliwym i szyderskim. Po wyrazie twarzy widzę od razu z kim mam do czynienia. Wymieniam moje tytuły i przedstawiam cel mojej misyi. »Przychodzę pana prosić o pozwolenie porozmawiania z pańskimi polskimi robotnikami i wyspowiadania ich jutro w O. jeżeli będą sobie tego życzyli«. — »Co, chciałby ich

ksiądz spowiadać i głupstw im nagadać? Nie, niema czasu do tracenia, jutro do O. nie pójdą«. — »Wiem doskonale, odparłem, że pan w tygodniu ma zupełną swobodę pozwolić lub zakazać swoim robotnikom pójść do kościoła, wiem, że podług kontraktu są wolni tylko w niedzielę, dlatego udaję się do pańskiej uprzejmości«. — »A po co to? czyż żeby im niedorzeczności mówić?«, rzekł tonem wyśmiewającym. Odparłem na to: »Proszę mi wierzyć, że nie przybywam tutaj aż z Polski dla prostej zabawy, jest to, zdaje mi się, poświęceniem jeździć na wszystkie strony bez względu na pogodę tylko na to, aby widzieć i spowiadać Polaków. Gdybym w sercu nie miał trochę wiary i miłości, z pewnością-bym tego nie czynił, a pan, jestem tego pewnym, takżeby się na to nie zdobył«. — »W takim razie ksiądz dobrze używa swego czasu na podobne niedorzeczności, bo przecież ksiądz nie będzie chciał nas przekonać, że to wszystko nie jest głupstwem«. Temi słowami uczułem się trochę dotknięty, jednak dostatecznie zapanowałem nad sobą, aby zacząć dyskusyę o religii. »Tak, rzekł, religia to blaga«. — »Może sobie pan o tem myśleć, co się panu podoba, odpowiedziałem. Jednakże znajduję, że człowiek rozsądny musi rozumieć to, co głosi i nie utrzymywać tego, czego nie mógłby dowieść. Na jakiej podstawie buduje pan swoją teoryę?« — »Na moim honorze«, odpowiedział z wielką powagą. — »Doskonale, odrzekłem, lecz honor jest także podstawą moralności socyalistów i anarchistów. Usuńcie Boga jako podstawę moralności, a każdy za regułę życia położy sobie swój domniemany honor, czyli właściwie to, co mu jest najdogodniejsze i to, co schlebia jego namiętnościom. Punkt honoru u socyalisty polega na chęci zagarniania tego, czego pragnie, a co do niego nie należy. Honor anarchisty zaś w wywracaniu porządku społecznego i w zadowoleniu swej namiętności. Oto ludzie, którzy żyją w zgodzie ze swojemi przekonaniami i którzy dążą konsekwentnie do swego celu. Oto ludzie pańskich zasad, takich panu potrzeba!... Dziwię się zatem, że pan używasz Polaków, którzy mają wiarę, Boga uznają i z tego powodu są ludźmi spokojnymi, posłusznymi, szanującymi swego pana. Brak u pana logiki, panu potrzeba ludzi innych, tych samych zasad, co pan, a nie Polaków«. — »Ach, oni

sobie z wiary nic nie robią, ani z Boga, nie chodzą do spowiedzi, bo nie są na tyle głupi, noga ich nie postała w kościele odkąd tu są, nawet na Wielkanoc. Nie bój się ksiądz, niebawem będą podobni do francuskich robotników«. — »Doskonale, mój panie,... dzięki panu,... zaczynam rozumieć..., pan jesteś niebyto wolnomyślnym, chcesz myśleć bez przeszkody, co tylko ci się podoba, ale chcesz zarazem przeszkodzić innym w wolnem myśleniu. Chcesz przez szyderstwa, ironię i gwałty zadane ich sumieniom, doprowadzić ich, aby się stali podobni tobie. Bardzo dobrze, panie! taką jest taktyka tych, którzy sarkają na brak tolerancyi, sami starając się wszelkiemi siłami zmusić innych do przyjęcia ich sposobu myślenia. I to mnie z pańskiej strony nie dziwi, ale pamiętaj pan, że starając się wydrzeć z serca tych ludzi wiarę, która jest ich najdroższym skarbem, dopuszczasz się pan krzyczącej niesprawiedliwości przed Bogiem i przed ludźmi a nadto przygotowujesz sobie robotników, którzy kiedyś nie mając żadnego hamulca, naśladować będą francuskich socyalistów i anarchistów, których nie chcesz u siebie, i lada dzień przyjdą do pana z żądaniem: daj mi tyle a tyle, rób to lub tamto, bo gdy nie zechcesz, porzucimy ciebie. Co posiejesz to zbierzesz, powtarzam, trzeba ci socyalistów i anarchistów, na nich zasługujesz«. Dyskusya o religii ciągnie się dalej, mówię nie unosząc się wcale, wreszcie mój przeciwnik odpowiada: »Ach, wiem doskonale, że na tym punkcie ksiądz jest bardzo wykształcony i będzie miał zawsze ostatnie słowo (widać, że mój panek spuścił z tonu), w każdym razie robotnik pracuje tu w niedzielę aż do południa«. — »A kontrakt?«, zapytałem. »Czyż nie zawiera ugody, że robotnik w niedzielę ma być wolnym od 9-ej, by mógł iść do kościoła, i że w żadnej porze roku i dla żadnej przyczyny nie ma być przy pracy przytrzymany między 9 a 12 godz. w południe i że gdy zmuszony jest czasem po południu pracować, to tylko w czasie żniw i to bardzo wyjątkowo« — »Może być, że tak jest w kontrakcie, ale cóż mnie to obchodzi!« — »Ach, więc takim jest pański honor? Kontrakt jest podpisany przez robotnika i pracodawcę, robotnik musi słuchać, ale pracodawcy wolno nie dotrzymać tego, co podpisał, — jaki to szlachetny honor! A czy pan

wiesz, że mógłbym kazać odebrać panu robotników i że na przyszłość więcejbyś ich pan nie dostał? Czy wiesz, że mógłbym cię zaskarżyć, bo to nie racya, że robotnik nie umiejąc języka nie może się bronić, żeby go wolno było wyzyskiwać«. — Na to mój pan spuszcza głowę i nie wie, co odpowiedzieć. »W każdym razie, odrzekł, by zmienić temat przykrej dla niego rozmowy, spytaj ich ksiądz, czy chcą się spowiadać, zobaczysz, co odpowiedzą«. Pytam się ich, mimo że wiedzą, iż tego młody ich chlebodawca nie pochwala, odpowiadają mi natychmiast: »Ależ naturalnie, że chcemy!« Powtarzam to p. Levêque, a on: »Ach, oni tak mówią«, i obracając się do nich, tonem szyderskim: »Wy chcecie się spowiadać!« — Na to oni po francusku: »Tak, panie«. Powtarzam im wtedy wszystko, co ich pracodawca mi o nich naopowiadał, że z religii się wyśmiewają, do kościoła nie chodzą i nawet na Wielkanoc tam nie byli. Oni na to protestują, że nigdy się z wiary nie wyśmiewali i że jeżeli na Wielkanoc w kościele nie byli, to dla braku porządnego odzienia. Powtarzam to p. Levêque, który nie wiedząc co odpowiedzieć, uśmiechnął się z zakłopotaniem i wzruszył ramionami. Na to przybywa stary p. Levêque, pytam go się o pozwolenie wyspowiadania robotników, na co on uprzejmie pozwala, mówiąc: »Bardzo chętnie, raz, to nie zwyczaj, daję im jutro cały dzień wolny, jeżeli zechcą«. — »Dziękuję panu, odpowiedziałem, pół dnia wystarczy«. Przez ten czas syn stał ze spuszczoną głową i nic nie mówił. Rozmawiamy dalej z ojcem bardzo uprzejmie, ale w chwili wyjazdu rzekłem do syna: »Do widzenia, nie zachowujmy żalu«. »No, dobrze«, odpowiedział trochę zawstydzony. Ojciec wtedy pyta, co zaszło. W kilku słowach opowiadam całą rzecz i mówię do obu: »Kto chce być sprawiedliwym i uchodzić za toleranta musi szanować zasady innych, a nie chcieć zapanować nad nimi sarkazmem«. Ojciec zaprasza mnie gwałtownie na wino. Bardzo wzruszony, choć tego nie okazałem, odmawiam mimo jego próśb, dając za powód zbliżającą się noc i długą drogę, odjeżdżam«.

»Jadę 8 km. dalej do folwarku. Dwóch robotników, z których jeden Polak, drugi Rusin; właściciel antyklerykał, nie robi jednak trudności co do spowiedzi. Rozmawiam z robotnikami.

Polak oświadcza, że się spowiadać nie chce, co mnie nie dziwi, bo ma minę łotra. Rusin mówi, że nie chce się spowiadać u księdza polskiego. Dowiedziawszy się, że jestem Francuzem, zgadza się na spowiedź. Wobec tego Polak także zmienia zdanie. Mówi, że nawet przeżegnać się nie może, bo się z niego wyśmiewają, że ile razy chciał się modlić lub iść na mszę, spotykały go szyderstwa, tak, że teraz już wcale na mszę nie chodzi, a gdy się chce pomodlić, to się chowa w najciemniejszy kąt stajni, by go nie spostrzeżono. Ostatecznie nie zdecydował się na spowiedź, a Rusin porozumiawszy się z nim, także oświadczył, że ponieważ za 3 miesiące wraca do kraju, więc woli wtedy wyspowiadać się u księdza ruskiego«.

(Dok. nast.)

Dr. K. Krotoski.

KOPERNIK W ŚWIETLE NOWYCH SZCZEGÓŁÓW.

»Mikołaj Kopernik«. Cz. I. L. A. Birkenmajer. Folio 711. — »Nova Copernicana«. Vorlaeufige Mitteilung ueber iuengst in schwedischen Archiven und Bibliotheken aufgefundene, bisher unbekannte Autographen des Copernicus von Dr. Ludwig Birkenmajer und Dr. Isak Collijn. — Extrait du bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. 8-vo, 36. — Ludwik Birkenmajer: »Mikołaj Kopernik a Zakon krzyżacki«. Lwów 8-o, 28.

Piękny rząd przedstawicieli polskiej nauki widnieje śród przeszukiwaczy księgozbiorów szwedzkich, w których odnajdują się coraz ciekawsze szczegóły o dziejach Kopernika i z dziedziny naukowych jego zdobyczy i z zakresu prac jego obywatelskich. Jeździł tam już w pierwszej połowie 18-go stulecia uczony Załuski, następnie biskup kijowski. W pół wieku po nim udał się na podobną pracę skrzętny Albertrandy. W środku 19-go stulecia poszedł ich śladami Tyszkiewicz. Z nim prawie razem zjawił się niemiecki badacz dziejów Kopernika, Prawe; tego pracę ciągnął dalej jego rodak Curtze. I znów Polak pośpieszył w r. 1897, wyprawiony do Szwecyi przez Akademię Umiejętności krakowską, prof. L. Birkenmajer; nienasycony jednak piękną zdobyczą, zebraną w pierwszej podróży, odbył drugą w r. 1908-m i spotkał już między Szwedami gorliwego pracownika na temże polu, Collijna. Wrócił też bogato zaopatrzony w nowe szczegóły o Koperniku i już w nim nie tylko myśliciela dał lepiej ocenić, ale też zupełnie jasno wykrywa polskiego obywatela.

Ostatnie te szczegóły niewątpliwie zajmą niejednego z czytelników *Przeglądu.*

»Za życia zaznał Kopernik nieprzyjacielem Wielkiego Mistrza Krzyżaków«, — a czemże zaskarbił sobie nieprzyjaźń Niemieckiego Zakonu? W odpowiedzi na to pytanie streścić można, do czego ze swoich odkryć doszedł prof. Birkenmajer: stwierdził tedy najprzód, że owa nienawiść Krzyżaków dla Kopernika jest wypadkiem dziejowym, a następnie przedstawił już nam wykryte zupełnie źródło owej nienawiści.

Świadkiem jej pierwszym jest warmiński kanonik, zaprzyjaźniony z Kopernikiem, Gize, biskup później chełmiński a następnie warmiński. Na własnoręczne listy Gizego odwołuje się następnie najwcześniejszy z pisarzy polskich, którzy opracowywali żywot Kopernika, ks. Starowolski w Setni Uczonych Polaków. Dalej streszczał owe listy i cząstkę ich wydał Jan Brożek.

Aby osłabić powagę świadectwa, niewygodnego dla teoryi o niemieckości Kopernika, zwolennicy jej posługiwali się wszelakiem krętactwem historycznem i przeszukiwali archiwa, gdzie liczyli na pomyślniejsze dla ich teoryi wskazówki o obywatelskich stosunkach Kopernika.

Na czele tego ruchu stanął dr. Leopold Prawe i wykrył właśnie przeciw sobie świadectwo drugie o najgorszych stosunkach między Zakonem Niemieckim a Kopernikiem. Odnalazł mianowicie rozgłośną następnie skargę, którą własnoręcznie Kopernik napisał jako kanclerz kapituły warmińskiej na Krzyżaków za ich wiarołomstwo: grabieże, rozboje i łupiestwa, popełniane mimo rozejmu w r. 1521-m na ziemi warmińskiej.

Za tem świadectwem już samego Kopernika o jego stanowisku wobec Krzyżaków, poczęły od pół wieku wychodzić na jaw coraz inne pisma i świadectwa, — dowody, niemniej od poprzedniego wymowne. Dziś ostatnim śród dotychczas wykrytych, jest znowu własnoręczny list Kopernika do króla Zygmunta Starego o Krzyżakach, jako o występnych i bezczelnych rozbójnikach, zbrodniarzach i rabusiach.

Odnalazca takiego opisu występnych Krzyżaków, prof. Birkenmajer, stwierdził tedy dowodem najdosadniejszym prawdę dziejową, że między Kopernikiem a Zakonem Niemieckim panowały stosunki spotykane chyba u ludzi z obozów wręcz sobie wrogich.

Zatem ciekawie czytamy wywód, skąd Kopernik znalazł się śród obozu wrogiego Krzyżakom.

Nikt nie potrzebuje wykładu, skąd w Prusach Królewskich znalazły się śród obozu polskiego przeciw Krzyżakom szlacheckie rodziny Kostków, Jordanów, Czemów, Działyńskich, Konopackich, Orłowskich i inne, polskie bezsprzecznie. Otóż z tego samego powodu, iż polskiemi były, znalazły się w obozie wrogim Krzyżactwu rodziny obojga rodziców astronoma Kopernikowie i Waczenrodowie, obie spowinowacone najbliżej z zasłużonym rodem Konopackich, a w dalszym stopniu z Czapskimi i Działyńskimi.

Najtroskliwiej pozbierane dowody archiwalne wykazały, że gniazdo rodzinne Koperników, wieś Kopernik, leży na Górnym Szląsku w pobliżu Nissy i Odmuchowa, i nosi tak samo nazwę niewątpliwie słowiańską, polską, jak mnóstwo innych wsi w najbliższem sąsiedztwie. Nazwa ta tak razi w teoryi o niemieckości astronoma, że zmuszała jej zwolenników do potwornych pisowni np. Koeppernigk, aby wyglądać nie polsko, ale najdawniejsze dyplomata od r. 1272-go wykluczają takie dziwolągi.

Zakątek ów Szląska był w stuleciu 13-m bardziej nawet, niż niektóre inne okolice, rdzennie polskim. Jak prastara ludność, wyłącznie polska, zamieszkiwała całą tę okolicę, niezwykle odporna przeciw postępom osadnictwa niemieckiego, dowiadujemy się z wypadku, niezmiernie rzadkiego przy ówczesnych stosunkach a wielce znamiennego, że tuż sąsiednie, a po Nissie najgłówniejsze w okolicy miasto, że Odmuchów, niegdyś kasztelania, rządził się p o l s k i e m prawem aż po ostatnią ćwierć 14-go stulecia.

Rozchodziła się stąd rodzina Koperników: i do Wrocławia doszedł na mansyonaryę świętego Krzyża Stanislaus de Copernik w r. 1383, i znów Stanislaus de Copernik w stuleciu następnem, i na innych miejscach podpisują się w 14-m i 15-m stuleciu Piotry, Jany i Mikołaje Koperniki, i w Krakowie osiedli już za Piastów Koperniki o tych samych imionach chrzestnych.

Oznaka szlachecka w owych czasach: »de« — zjawia się czasem przy nazwisku Koperników, czasem znika zupełnie albo

przechodzi w końcówkę łacińską: Copernicius. Tak już za czasów astronoma pisze nazwisko jego jeden z jego przyjaciół, a następne wieki stale w Polsce mianowały astronoma po łacinie Copernicius — co w Polsce odpowiada nazwisku Kopernickich.

Krakowscy Kopernikowie (czy Koperniccy) nie dali się jeszcze wedle źródeł archiwalnych ustawić w drzewo rodowe, ale dość zostawili po sobie szczegółów, aby z nich już pewnie wiedzieć, że z tego to rodu pochodził ojciec astronoma, Krakowianin rodowity i tu zamieszkały, nim w dojrzałym wieku przeniósł się do Torunia, gdzie utrzymywał stosunki zażyłe i ścisłe z miastem rodzinnem.

Ojciec astronoma, imieniem tak samo Mikołaj jak syn, za krakowskich jeszcze swoich czasów wszedł w bliską przyjaźń z prowincyałem dominikańskim, Jakóbem Godziembą z Bydgoszczy, następnie sufraganem krakowskim przy biskupie Janie Rzeszowskim [1]. Pod jakim wpływem wskutek tej przyjaźni zostawał Mikołaj senior, poznać to można z krzyżackiego źródła, z listu komtura toruńskiego, który Wielkiemu Mistrzowi donosi w r. 1452-m, że kanclerz Koniecpolski z prowincyałem dominikańskim przybyli incognito do miasta; nazajutrz wysyła list drugi a w dwa dni później trzeci z trwożną przestrogą, że owi przybysze polscy znoszą się potajemnie z przywódcami duchów niespokojnych i cichej roboty przeciw władzy Zakonu: Winterem i Bayzenami.

O czem radzili kanclerz i późniejszy sufragan z przywódcami miasta ledwo nie w przeddzień rokoszu, bo ten wybuchł już po kilkunastu miesiącach? Toruń właśnie pierwszy śród miast pruskich chwycił za broń i wypowiedział posłuszeństwo Zakonowi w piśmie, które odważnie powieźli Bayzeni. Szczegół ten wskazuje, o czem z nimi przy boku kanclerza radził przyjaciel rodziny Koperników w chwili następstwami brzemiennej, — w ja-

[1] Z kilku dziejopisami dawniejszymi także jeszcze ksiądz Barącz w »Rysie dziejów« t. 2-gi, str. 50 różni się od szanownego autora co do nazwiska owego Jakóba z Bydgoszczy: oparty zwłaszcza na Ruszlu nazywa go Zarębą nie Godziembą. Stanowczo sprzeciwiają się dawnym nowsi z ks. Fijałkiem: »Studya do dziejów uniw. krak.« 1898, str. 116, 117.

kich zamiarach szedł z pierwszym urzędnikiem królestwa w paszczękę krzyżackiego tygrysa.

Wnet po Toruniu podnoszą broń inne miasta i ziemie; wysyłają poselstwo do króla z prośbą o powrót pod jego berło; doznają zwłoki z odpowiedzią stanowczą, bo brakło w skarbcu pieniędzy na wojnę: dostają natychmiast od Mikołaja Kopernika ojca i dwóch innych Krakowian sumę tak znaczną, że król znajduje przeszkodę usuniętą; wojna wybucha i w tejże chwili Mikołaj senior rzuca spokojny Kraków i przenosi się w samo ognisko niebezpieczeństwa: do Torunia.

W Toruniu Mikołaj starszy zbliżył się do »rodu najbardziej zawziętego na Zakon«, — wedle opisu rocznikarza krzyżackiego, — i z tego rodu pojął za żonę Barbarę, córkę bogatego patrycyusza, Łukasza Waczelrodego i Katarzyny Modlibożanki, po pierwszym mężu Pękowej.

Waczelrodów nazwisko, pisane przeróżnie, (w herbarzu Niesieckiego nawet Walenrodt) pochodzi od ich rodzinnego gniazda blizko Świdnicy na Szląsku, wsi, z której wielu szlachetnie urodzonych »de Waczelrod« zajmuje poczestne miejsca w dziejach Świdnicy i Wrocławia, aż znikają od drugiej połowy 14-go wieku na Szląsku i zjawiają się w ziemi chełmińskiej, gdzie pierwej nie występowali na żadnym pomniku piśmiennym. Tu częścią osiedli na majątku dziedzicznym Sławkowo, częścią w Toruniu i już od 14-go wieku piastują zaszczytne i ważne urzędy miejskie i ziemskie.

Teść Kopernika ojca, Łukasz, należał do najprzedniejszych i najgorliwszych zwolenników tajnego związku przeciw Krzyżakom, do najczynniejszych przywódców później otwartego rokoszu. Walczył pod Malborgiem i pod Łaszynem w hufcach polskich; nie poprzestał na wydatkach wojennych, poniesionych przez całe miasto; włożył nadto dobrowolnie bardzo wielką część znacznego majątku w potrzeby wojsk.

Pani Łukaszowa zasłużyła w rocznikach miejskich na nazwę matrony cnotliwej i korony w swoim czasie wszystkich niewiast toruńskich.

W takim to domu poznał Mikołaj Kopernik ojciec przyszłą

matkę astronoma Barbarę. Po ślubie młode małżeństwo oboje pozostali wiernie przy obozie najbliższych przyjaciół i krewnych. Zażyłą przyjaźń z Krakowianami utrzymują przez lata. Mają w Toruniu klasztor Dominikanów, a przecie w Krakowie od księdza Godziemby dostają atestat, że wraz z dziećmi przystępują do uczestnictwa w trzecim zakonie św. Dominika. W Krakowie także Barbara Kopernikowa powinowaci się z domem Gertnerów, bo za jednego z nich, Bartłomieja, wyszła jej siostra Katarzyna. Także inne powinowactwo związało znowu ściślej rodzinę Koperników z polskim obozem. Druga ciotka astronoma, — może stryjeczna siostra jego matki, — wyszła za Macieja Konopackiego, podkomorzego chełmińskiego, z którym był już po mieczu spokrewniony przyszły astronom. Zachował też serdeczne stosunki z tą rodziną senatorską, która już około roku 1260-go używała tytułu baronów, za Jana Konopackiego, ożenionego z błogosławioną Judytą ze Sangerhausenów. Jej żywot (Bolland. t. 19, str. 595) wywodzi ród jej z książąt brunświckich a męża jej zwie potomkiem rodu sławnego, starodawnego i równego szlachectwem z Sangerhausenami. Wuj Kopernika, Maciej Konopacki, wydał córkę za Sebastyana Czapskiego. Jej brat rodzony a wujeczny astronoma otrzymał list od Zygmunta Starego, jako »ród jego beznagrodnie a nawierniey y z wszelaką cnotą oraz wprawą nie bez stałości we wierze nienaruszoney zawżdy w Polszcze dobru pospolitemu służył«. Ten to wujeczny brat astronoma wydał córkę za Krzysztofa Kostkę a syna Jerzego ożenił z Anną Kostczanką, stryjeczno-stryjeczną siostrą świętego Stanisława (Niesiecki przy Kostkach). Mianowany kasztelanem gdańskim w r. 1515-m, a wojewodą pomorskim w 1519-m, osierocił przed rokiem 1544-m syna Rafała, którym zajął się Kopernik astronom niemal jakby własnym synem.

Umiał astronom rozumieć obowiązek opieki nad blizkim krewnym sierotą, bo sam za młodu podobnej opieki potrzebował: już w dziesiątym roku życia stracił ojca; zastępcę znalazł w rodzonym wuju Łukaszu, warmińskim później biskupie. Jakim wpływom ulegał przy tym księciu Kościoła, jakim duchem się ożywiał w nieprzerwanych z nim stosunkach i w jego później to-

warzystwie nierozłącznem — »jako Achates wierny przy Eneaszu«, — według świadka naocznego: o tem możemy dość wiedzieć ze zbadanych już dokładnie szczegółów o żywocie wuja i wychowawcy astronoma.

Kanonikiem jeszcze będąc, ksiądz Łukasz znalazł życzliwe dla siebie względy u Zbigniewa Oleśnickiego (młodszego), królewskiego namiestnika Prus, od roku 1482-go arcybiskupa gnieźnieńskiego. Z nim znalazł się Łukasz na sejmie w r. 1478-m, gdzie odzyskane kraje składały przysięgę królowi; z arcybiskupem nieustannie występuje jako prawny doradca, zamieszkały stale we Włocławku. Tu też przy sobie zatrzymał siostrzeńca i posyłał do szkoły katedralnej, rozgłośnej sławą najlepszą — oczywiście polskiej.

Następnie jako biskup i udzielny pan warmiński, zasiadał w senacie i został najzaufańszym doradcą trzech po kolei Jagiellończyków: Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta. Krzyżaków znalazł wrogami, odkąd wstąpił na biskupstwo: wszak ci na warmińskiej stolicy mieli poprzednio ślepe swoje narzędzie w biskupie Jungenie; z nim knuli przeciw Polsce spiski wraz z węgierskim królem Maciejem. Po wiernym sprzymierzeńcu ujrzeli przed sobą Waczelrodego, który już samym nazwiskiem budził odrazę.

I ten przedstawiciel rodu nienawistnego, okazał się prędko wiernym synem spomnianego wyżej ojca: wystąpił przy Kallimachu z wnioskiem, żeby Zakon Niemiecki, już nieprzydatny nad Bałtykiem do walki z poganami, zamiast ziem nadanych za Piastów, dostał Podole, gdzie jako strażnica chrześcijaństwa przeciw Turkowi, mógłby w sposób właściwy spełniać rycerski obowiązek.

Radził Kallimach usilnie przenieść Krzyżaków nad Czarne Morze z nad Bałtyckiego, — i z tą myślą przyczynił się, jako sprawca główny, do wyprawy mołdawskiej za króla Olbrachta: Mołdawia miała z Podolem dostać się Krzyżakom. O zabiegach Kallimacha w tej sprawie wiedzieliśmy z jednozgodnego świadectwa spółczesnych, ale obecnie dowiadujemy się, że nie Kallimach sam powziął myśl ową: już spostrzegał dziejopis Caro, że

Kallimach porozumiewał się z wujem Kopernika w każdej sprawie, zwłaszcza donioślejszej, i że według wskazówek niewątpliwych ową myśl co do Krzyżaków podsunął Olbrachtowi właśnie biskup Łukasz, bo przedewszystkiem jemu dokuczało sąsiedztwo krzyżackie.

Za tym domysłem dziejopisa przemówił dobitnie rękopis Kopernika, dzięki prof. Birkenmajerowi wykryty za ostatniej jego wyprawy do Sztokholmu. Kopernik mianowicie, jako sekretarz wuja biskupa, przepisał opis klęski bukowińskiej, wysłany imieniem polskiego króla do węgierskiego w latach najbliższych po klęsce. Nie Kallimach zajął się poselstwem z opisem zdrady wołoskiej, — bo już przed nią umarł. Gdyby Caro był wpadł na błędny trop, gdyby biskup Waczelrode nie był duszą całego zamysłu co do Krzyżaków i wołoskiej wyprawy, — wtedy spotkaliby dziejopisowie niepojętą zagadkę w rękopisie Kopernika: skąd astronom znał rzecz, której nie zdradziłaby tajna kancelarya królewska? Zagadkę rozwiązuje biskup-senator i poufały doradca królewski w sprawie krzyżackiej, który tej sprawy nie zaniedbał po śmierci Kallimacha i z jednomyślnym siostrzeńcem układają dla króla list, przeznaczony dla posłów do Węgier.

Inną ręką wykonany odpis tego listu, wykryty dawniej, nie dostarczał jeszcze nowego dowodu za pierwszorzędnym udziałem Waczelroda w myśli o Krzyżakach na Podolu. Ale *veritas temporis filia* nie mogła na zawsze niemą pozostać. Dzięki prof. B. wykryty własnoręczny oryginał Kopernika nie zostawia nic wątpliwego o zamiarze względem Krzyżaków, powziętym przez biskupa Łukasza z udziałem siostrzeńca.

Król Olbracht przyjął doniosłą myśl z zapałem; spodziewał się przez swojego dziewierza, margrabiego brandenburskiego, pozyskać dla niej króla niemieckiego; zawiadomił o niej bez zwłoki Stolicę Apostolską i znalazł ją życzliwą dla zamiaru śmiało powziętego a właśnie na czasie, kiedy widok Europy osłabionej przejmował obawą wobec potęgi tureckiej. Biskup warmiński, całemu królestwu polskiemu znany z najlepszej strony, — za świadectwem współczesnem, — i za świadectwem samych Jagiellonów w ich listach: jako najdzielniejsza podpora dynastyi i naj-

wierniejszy w królestwie obywatel, znalazł się najpomyślniej popartym zewsząd, aby przeprowadzić myśl, zdolną zapobiedz niezliczonym klęskom następnym.

Krzyżacy ją udaremnili... i taką zajęli postawę poprawną wobec Polski, że zdołali znaleźć nawet na dworze królewskim stronników swojego pomysłu, żeby wziąć od Polski w dzierżawę Prusy Zachodnie i Warmię. Ale wtedy biskup Waczelrode wystąpił z takim zapałem i wymową wobec króla i Stanów na zjeździe poznańskim, że przecie rozbił stronnictwo zjednane dla krzyżackiego zamiaru.

Nie dziw tedy, że nieodrodny od krwi Waczelrodów, spojony duchem z pokrewnymi domami polskich senatorów wuj Kopernika zasłynął w rocznikach krzyżackich, jako wielki przeniewierca, potomek rodziny najzawziętszej przeciw Zakonowi, gotów na wszelki czyn najniegodziwszy. »Oby zechciał Bóg, żeby ten wcielony bies, jak o to codzień błagamy Boga, tak nam z przed drogi sprzątnięty zginął, aby przy dłuższym jego żywocie, więcej złego nie spadło«: tak bezbożnie modli się zakonnik po opisie przygód z Waczelrodem. Nie tylko w bezbożnej modlitwie wzdychali Krzyżacy do zguby Waczelrodego: namówili arcybiskupa ryskiego, że Łukasza na synod złożony w Inflanciech wzywał, ale się Łukasz stawić tam nie chciał. Zmarł nagłą śmiercią, — a w Toruniu powiadają, że trucizną zniesiony, — za świadectwem Niesieckiego.

Takiego wuja siostrzeniec, wychowanek, powiernik najtajniejszych zamiarów jako sekretarz, lekarz przyboczny, towarzysz częstych podróży na różne sejmiki i zjazdy, w Malborgu, Sztumie, Elblągu i na ów sławny w Poznaniu, gdzie jak wspomniano, nieudany zamiar krzyżacki rozpętał przeciw wujowi i przy jego boku siostrzeńcowi całą nienawiść Zakonu: taki Kopernik nie doznał od Waczelrodów podniety, aby wobec Krzyżaków opuścił obóz, w którym ojciec jego odznaczył się wiekopomnie, kiedy samotrzeć dostarczył środków na wojnę z Zakonem.

Krzyżacy nie powściągali, — choćby na pozór, — gniewu zażartego, iż Warmia im się wymknęła: ciężką wywarli zemstę nad nieszczęśliwą krainą. Rozsypali najprzód po niej gęsto gro-

mady zbójów, sami je zaciągali, i zbroili, i wspierali zupełnie otwarcie; sami brali udział w ich wyprawach i często właśnie nimi dowodzili. Przez całe lata pastwili się nad krajem, znaczyli ślady swoje rzezią, pożogą, łupiestwem.

W takich to stosunkach zaszedł wypadek, o którym Kopernik pisze do króla w liście wykrytym przez prof. Birkenmajera. Donosi, że na początku lipca 1516-go ośmiu opryszków na gościńcu powiesiło obywatela z Elbląga, poodcinali mu ręce i obdarli ze wszystkiego. Tedy burgrabia kapitulny co prędzej zebrał małą garstkę poddanych, śladami krwią ociekłych opryszków szedł w ziemie Zakonu prawie sześć mil ciągłym pościgiem, zastał ich w bagnistym gaju zajętych podziałem łupu, nimby pod strzechę przybyli, jednego z nich ujął po ucieczce innych i tego to szlachcica z Marchii zabrał do domu z całym łupem oraz końmi i bronią rabusiów, za wiedzą i zgodą, — mniej potrzebną, — szlachcica, któremu to miejsce podlega. Jednak nie ten jeden wywodzi, że krzywdy doznał, (bo może poznaje, że i nad nim wisi sprawa,) ale i komtur w Boldze, i sam nawet dostojny W. Mistrz nie tylko wymaga, ale także wysiłki robi, żeby ów ujęty opryszek wrócił z całym odebranym łupem do Bolgi, o czem szerzej uwiadomił Waszą Królewską Mość Przewielebny nasz Pasterz. Stąd także opryszki podnoszą łby sroższe, niż pierwej; przedtem miastom grozili, teraz przeciw kapitule wszyscy się zwracają, naigrawają się, łupią, łżą i często grożą; następnie widać, że i niebezpieczeństwo od W. Mistrza i przemoc nadchodzi prawie, a temu zapobiedz nie w mocy kapituły, która modlić się przywykła a nie wojować.

Prosi tedy Kopernik w imieniu kapituły o pomoc królewską przeciw tym niecnym zamachom a przedstawia, że już pełnych lat siedm znoszą oszczerstwa przez zuchwalstwo występnych ludzi, że kanonicy i ich poddani nękani ogniem, żelazem, napadami i łotrostwem, żyją jakby do więzienia powpędzani i ani przez godzinę nie mieszkają bezpiecznie po domach wystawionych w miejscu nieobwarowanem na swawolę opryszków; zaledwie uchowali przed zniewagą świątynię bożą i ołtarze. A wiadomo, kto pielęgnuje i gdzie karmi tych rabusiów, kto ich uzbraja, do-

kąd z łupami zwracają kroki. Dotychczas kanonicy zwyciężali napady opryszków cierpliwością, teraz niebezpieczeństwo grozi od Zakonu zupełnie otwarcie: proszą o obronę przed niecnym zamachem.

Pastwił się Zakon nad kapitułą siedm lat bezkarnie, aż zjazd w Elblągu wydał uchwałę, którą król potwierdził, że kto może, ma stawić czoło najemnym opryszkom krzyżackim. Ledwo do tego rozkazu zastosował się burgrabia, już W. Mistrz ogłosił kanoników krzywdzicielami i groził jawnym zamachem.

W liście Kopernika uderza odwaga, z jaką grzecznie wykłada królowi gorzką prawdę o jego siostrzeńcu na czele Zakonu rozbójniczego.

W dwa lata później Kopernik, zamieszkały w obwarowanym Olsztynku, pisze do kapituły warmińskiej inny list znamienny, w którym jej doradza przezorną odpowiedź na pismo W. Mistrza, przysłane w imieniu całego Zakonu; przestrzega przed każdem słowem mniej uważnem, z którego Krzyżak gotów wyciągać wnioski przewrotne i podstępne; donosi, że toczone tajemnie układy Zakonu z innowierczem państwem przeciw Polsce nie doszły do skutku, bo król uprzedził Zakon i sam zawarł z Wielkim Księciem przymierze; zadowolony Kopernik kończy uwagą: »tak zapada się cała sąsiadów naszych otucha«.

Zawiedziony w nadziejach Zakon dyszy żądzą odwetu: bez żadnej zapowiedzi spada na Polskę, zdradą zajmuje Braniewo i łupi, dobywa i pali Frauenburg, zalewa Krzyżakami całą Warmię, otacza Olsztynek, gdzie na czele załogi znajdzie dowódcą Kopernika. Ale ten już przysposobił zamek do obrony, stawił opór sile, przejrzał podstępy, zachował Olsztynek przy Polsce.

Nastąpił rozejm, jak zwykle nie przestrzegany przez wiarołomny Zakon; mimo zaprzysiężonej umowy, Krzyżacy pustoszą Warmię. Wtedy to Kopernik napisał wspomnianą skargę, z którą kapituał wystąpiła na sejmie w Grudziądzu przeciw tak oczywiście pogwałconym prawom rycerskim w czasie rozejmu.

W rok potem na pruskim sejmiku posłowie narzekali na krajową monetę, którą do ostateczności pozbawiał ceny W. Mistrz przez niezliczoną moc pieniędzy fałszywych, wybijanych w kró-

lewieckiej mennicy. Obecny na sejmiku Kopernik wystąpił z pamiętną rozprawą, — która do dziś zdumiewa ekonomistów głębokimi poglądami na sprawę monetarną, — i między środkami niezbędnymi do poprawy monety Kopernik żądał, żeby bezzwłocznie zamknąć kuźnię fałszerstwa, królewiecką mennicę.

Po opisie stanowiska, na jakiem Kopernik trwał wobec Zakonu Niemieckiego przy jego stosunkach z Polską, już nie długo trzeba zwracać czytelnikowi uwagę na wnioski, które stąd płyną.

Najprzód postać Kopernika, przez powyższe szczegóły oświetlona w swoich związkach rodzinnych, występuje na tle stosunków obywatelskich; pomiędzy nimi znajdują się i takie, które stwierdziły dziejowe świadectwo Starowolskiego o nieprzyjaźni W. Mistrza ku Kopernikowi, — i inne, które prowadzą do samego źródła owej nienawiści.

Następnie: jeden z najbystrzejszych myślicieli świata spółpracuje poufale z jagiellońskim doradcą w pismach, układanych dla ochrony państwa polskiego przed Zakonem Niemieckim; wynik tej pracy musiał potężnie zawadzać Krzyżakom.

Widzimy tu dalej narodowe stanowisko Kopernika w świetle jego czynów, wymowniejszych niż jego ród z piastowskiej Polski, niż miejsca rodzinne pradziadów na Szląsku i dziadów w Krakowie, niż wymowa nazwiska i niż język potoczny, choć ten przeziera u Kopernika polonizmami z pism łacińskich. Narodowe czyny Kopernika występują przed owe wszystkie wskazówki poboczne, bo tamtych nie można brać za wyłączną rękojmię i od polskiego narodu odsądzać Bonerów, Hozyuszów, Kalksteinów, Mosbachów, Helclów i mnóstwa ich innych dla ich nazwiska, albo Łaskich, Tomickich, Ciołków, Drzewickich, Wapowskich i znowu wielu innych dla niemieckiego języka, którym zarówno jak ojczystym mówili i pisali. Wszak przez cały wiek 15-y i znaczną część następnego w codziennej mowie używały obok polskiego języka także niemieckiego zamieszkałe w Prusach rodziny szlacheckie nawet Działyńskich, Orłowskich, Konopackich Kostków...

Na tych pobocznych wskazówkach opierane wnioski potrzebują rękojmi i czynów zwłaszcza w średnich wiekach. Wtedy

nikt zapytany o ojczyznę nie umiał odpowiedzieć inaczej, jak jeszcze Jakób Wujek podpisuje się: z Wągrowca. Obywatele dostatecznie w sobie wyrabiali i żywo czuli patryotyzm miejscowy, przywiązany do rodzinnej okolicy, i poza tem nawet światlejszemu człowiekowi owoczesnemu wystarczało najczęściej uznawać się przynależnym do tego albo owego ustroju państwowego, a to nie doprowadzało narodowej samowiedzy do stopnia równie wyrazistego jak dziś. Dziś narodowe oznaki, rzeczowo rozliczne, okazują się w samowiedzy tak zespolone ze sobą żywymi więzami, że jedne o drugich zapewniają: z niewielu objawów narodowego ducha można dziś poznać ojczyznę Włocha czy Anglika, i stosownie z nim postępować, choćby jeden nie zapowiedział, że obraża się na wzmiankę o klęskach w Abisynii a drugi niechętnie słuchał o najeździe Boerów.

I taką, jednolitą jak dziś, samowiedzę narodową stawiali sobie nieraz badacze nowocześni przed oczy, kiedy szukali w Koperniku czy Niemca czy Polaka. Na podstawie takiego to pojęcia, prawdziwego anachronizmu w tej mierze, powstawały gorące rozprawy, i nie wiodły do wyniku właściwie: tylko dały popęd do pilnych prac po zbiorach pomników, aby zdobyć przybór dowodowy.

Wyniki tych prac dały nam usłyszeć niczem niezamącony głos prawdy dziejowej. Do szczegółów innych i wskazówek wymownych przybywa nadewszystko obywatel: Kopernik w czynach, po których najlepiej osądził go W. Mistrz Zakonu Niemieckiego. Istotnie trudno było Krzyżakowi pokochać Kopernika i pragnąć go widzieć między swoimi, jakby miłego rodaka: zanadto w nim widział żywe podobieństwo do ojca Krakowianina, który dla Polski nie żałował majątku na wojnę z Zakonem, — zanadto kanonik Mikołaj przypominał wuja Łukasza, o którego śmierć Krzyżacy wzdychali w bezbożnej modlitwie. W nieprzyjaźnem tedy sercu czuł to W. Mistrz żywo, do którego narodu siostrzeniec Waczelrodego należał ciałem i duszą: zanadto bo też często przypominał mu o tem sam kanonik Mikołaj.

Temi słowami zasłużonego badacza pamiątek kopernikańskich możnaby zakończyć powyższą treść jego dorobku, gdyby

nie należało przed końcem, zamiast podzięki, wyrazić żalu, iż tylko tyle nam dotąd udzielił z bogatych zbiorów, pełnych jeszcze mnóstwa szczegółów o mędrcu toruńskim. Prawda, że może nam najpilniej było upewnić się, że mamy w nim rodaka, krwią i duchem spokrewnionego z przodkami wielu rodzin do dziś nie wygasłych.

Ks. K. Czaykowski.

BYZANTYNISTYKA I KRUMBACHER.

Dokończenie.

II.

Karol Krumbacher, urodzony 23 września 1856 r. w wiosce Kürnach, niedaleko miasta Kempten, ukończył gimnazyum w Kempten. W r. 1875 udał się do Monachium, żeby studyować klasyczną filologię. Jeszcze jako gimnazyalista interesował się Krumbacher żywo bohaterskiemi walkami nowożytnych Greków z Turkami W Monachium zetknął się z wielu Grekami, zapoznał się bliżej z ich literaturą i wyuczył się doskonale ich języka. Zdawszy egzamin państwowy, został 1879 profesorem w jednem z gimnazyów w Monachium, przytem zajmował się dalej językiem i literaturą nowogrecką. Krumbacher nie należał jednak do liczby tych idealistów i utopistów, którzy historyę i wogóle całą cywilizacyę nowożytnej Grecyi bezpośrednio o czasy wojen perskich zaczepiali; widział, że aby tę nowożytną Grecyę zrozumieć, potrzeba najpierw zbadać i wyjaśnić tę tysiącletnią przestrzeń, jaka się znajduje między starą a nową Helladą. Tak więc z Krumbachera-neogrecysty zrodził się Krumbacher-byzantynista. W r. 1883 otrzymał Krumbacher na podstawie gruntownej pracy piśmiennej i egzaminu ustnego stopień doktora filologii, w rok później habilitował się na uniwersytecie w Monachium dla filologii i literatury średnio- i nowogreckiej. Nim jednak rozpoczął swoje wykłady odbył ośmiomiesięczną podróż naukową po Grecyi i Turcyi. Krumbacher nie

podróżował tu »według obrządku Melchizedeka« t. j. nie szukał w nowej Grecyi ziarnek starożytnej kultury, ale głównie zwracał swoją uwagę na język i na cywilizacyę obecnej Grecyi. Powróciwszy do Monachium, rozpoczął swoje wykłady na uniwersytecie, jako prywatny docent. Po długich walkach i naradach uchwalił w r. 1897 parlament bawarski osobny fundusz na zwyczajną profesurę i na seminaryum dla byzantyńskiej i nowogreckiej filologii. Jest to do dziś dnia jedyna zwyczajna katedra dla tego przedmiotu. Z wielkim zapałem i poświęceniem pracował Krumbacher na polu byzantynistyki; nagła śmierć wytrąciła 12 grudnia 1909 r. pióro z jego wciąż czynnej ręki i zamknęła mu usta na zawsze.

Prof. Krumbacher poświęcił całe swoje życie pracy nad podniesieniem i wyzwoleniem studyów byzantyńskich, ponieważ zrozumiał ich wielkie, doniosłe znaczenie.

To tysiącletnie imperyum rzymsko-wschodnie, to nie był w sobie zamknięty, powoli ale ciągle kostniejący organizm; on żył, walczył, podbijał obce sobie narody i wchłaniał je w siebie, bronił siebie i całą zachodnią Europę przez setki lat przed dzikimi narodami pogańskimi. A zatem i cywilizacya tego państwa to przeszło tysiącletnia oświata nie skostniała i bez życia, ale w ciągłym ruchu, która obok nizkich upadków podnosiła się chwilami do rozwoju, któremu średniowieczny Zachód nic podobnego nie może przeciwstawić. Swoją drogą ta cywilizacya byzantyńska nie jest cywilizacyą klasycznej Hellady i Romy; nie mogła nią być, bo podstawy, na których się zrodziła i czynniki, pod których wpływem wyrosła, były zupełnie inne. Kultura hellenistyczna, idea państwowa Rzymian, cywilizacya narodów wschodnich, zwłaszcza syryjskich i słowiańskich, wreszcie chrześcijaństwo — oto główne czynniki, które wpłynęły na powstanie i rozwój cywilizacyi byzantyńskiej. Ale te czynniki nie tworzyły czysto zewnętrznego konglomeratu. Byzancyum podbijało i wchłaniało w siebie obce narody; te narody rosły i rozwijały się pod działaniem ducha greckiego, przyjęły język i cywilizacyę grecką, stały się greckimi. Z drugiej zaś strony każdy z tych ludów wniósł w to państwo coś ze swojego, swój sposób myślenia i pojmowania rzeczy, swoje

nieraz nieuchwytne właściwości narodowe; chrystyanizm, jako religia panująca, przenikał to całe państwo, był jego istotną częścią. W ten sposób rósł i rozwijał się ten olbrzymi organizm państwowy ze swoim Bazyleusem i Patryarchą na czele; pod działaniem tych czynników przedzierzgała się powoli cywilizacya starej Hellady w nową, synkretystyczną, dla Zachodu przez wieki niezrozumiałą cywilizacyę byzantyńską.

Żeby zaś tę cywilizacyę zrozumieć i zgłębić, to nie wystarczy studyować pojedyncze objawy tej cywilizacyi z punktu widzenia filologa-klasyka, ale trzeba je badać ze stanowiska byzantynisty.

Jeżeli np. filolog-klasyk, badając literaturę florilegiów byzantyńskich, główną swoją uwagę zwraca na zdania pochodzące z literatury klasycznej, to byzantynista widzi w każdem florilegium przedewszystkiem wyraz umysłowego kierunku i smaku owego czasu, w którym to florilegium ze starszych źródeł zostało zestawione; popełniłby zatem wielki błąd, gdyby pewną kategoryę tych zdań, np. zdania chrześcijańskie, pominął. Taki Eustathios, że jeszcze jednego przykładu użyję, jest w oczach zwolennika starożytności suchym zbieraczem i rozwlekłym scholastą, którego dzieła o tyle tylko mają wartość, o ile zawierają w sobie stare ziarnka, tymczasem byzantynista widzi w Eustathiuszu zarówno ciekawą dla niej samej, jako też dla ocenienia XII wieku miarodajną osobistość; on go bada w ścisłym związku z kościelnemi, społecznemi, politycznemi i literackiemi dążnościami tego czasu; studyuje w nim zasłużonego nauczyciela, sumiennego konserwatora i obrońcę starożytnej literatury, mądrego polityka, odważnego teologa, znakomitego mowcę i zajmującego *essai*'istę. Dlatego może się byzantynista prawdziwie interesować tą postacią, której imię u filologa-klasyka wywołuje tylko mdłe i przykre wyobrażenie nieskończonego i na lichej bibule oddrukowanego szeregu scholiów.

Tak zatem to samodzielne badanie cywilizacyi byzantyńskiej rzuca ożywiający promień świetlny na postacie historyczne, na płody literatury i sztuki, na fakty historyi kościelnej i politycznej

które dalej stojącemu przedstawiają się jakby osłoniętymi gęstą mgłą obojętności.

Atoli cywilizacya byzantyńska nie była w sobie zamknięta, lecz wywierała wielki wpływ na cywilizacyę sąsiednich narodów; liczne i nieraz ścisłe węzły łączą ją z innemi naukami filologicznemi i historycznemi. Ten ścisły stosunek języka i literatury byzantyńskiej do filologii klasycznej, romańskiej, a przedewszystkiem słowiańskiej, jest tak widoczny, że wystarczy tylko zwrócić nań uwagę.

Na polu sztuki byzantyńskiej panuje do dziś wielka niejasność; uczeni obracali się tu w ekstremach. Podczas gdy Laborte i inni całą sztukę zachodnią wprost za byzantyńską uznali, to Schnaase, Springer i inni starali się wpływ byzantyńskiej sztuki na zachodnią zredukować do *minimum*. Strygowski zaś, jeden z pierwszych znawców sztuki wschodniej, stara się wmówić w świat cały i przekonać go, że cała sztuka byzantyńska z Zachodu pochodzi. Każdy widzi, że na tem polu jeszcze wiele, bardzo wiele pozostaje do zrobienia. Atoli z ostatnich prac w tym kierunku możemy już teraz na pewno wnioskować, że historya byzantyńskiej architektury, plastyki, malarstwa, wraz z ich wielorakimi stosunkami do sztuki zachodniej, wschodniej i słowiańskiej, zdobędzie sobie w niedalekiej przyszłości wybitne stanowisko.

Niemniej ważnemi są studya byzantyńskie dla historyka. Pisarze byzantyńscy przechowali nam wiele starszych źródeł ważnych dla historyi starożytnej, zaś dla historyi byzantyńskiej mają oni znaczenie wprost samodzielne i niczem nie dające się zastąpić. Dzisiejszy naród grecki jest dla nas niezrozumiały, jeżeli się najpierw nie zapoznamy z jego średniowieczną przeszłością. Były czasy, w których w historyi nowogreckiej z wojen perskich wprost do pierwszego króla nowej Hellady Ottona I przeskakiwno, a w nowoczesnych Grekach bezpośrednich potomków Peryklesa upatrywano, ale dziś już nawet sami Grecy porzucili te zbyt idealne pojęcia o swej przeszłości. W zachodniej Europie jeszcze do dziś dnia nie wiele więcej zna się z historyi byzantyńskiej nad imię Ju-

styniana i dwukrotne zdobycie Konstantynopola. Wystarczy choćby pobieżny rzut oka na podręczniki szkolne, z których większa część kształcących się i wykształconych swoją wiedzę historyczną czerpie, żeby się o tem przekonać. Podczas gdy historya państw zachodnich opowiedziana jest dokładnie, z dołączeniem spisu panujących, to dzieje byzantyńskie ujęte są na kilku zaledwie stronicach, scharakteryzowane w kilku krótkich, w lakoniczną formę ujętych zdaniach.

Najważniejszą jest jednak byzantynistyka dla teologa. Żadna cecha nie odróżnia dobitniej czasów byzantyńskich od czasów starogreckich i rzymskich, jak charakter chrześcijański; żaden dział literatury byzantyńskiej nie jest oryginalniejszym, jak literatura kościelna. Tu leży to wielkie znaczenie studyów byzantyńskich dla teologii, głównie dla historyi dogmatów i teologii mistycznej. Z drugiej zaś strony teologia i wogóle życie umysłowo-religijne w Byzancyum jest na Zachodzie najmniej znanem; z powodu rozdziału kościelnego nie zajmowano się teologią wschodnią. Zachodni uczeni przekonani, że od VI wieku teologia łacińska rozwijała się samodzielnie i niezależnie od Wschodu, do ostatnich czasów zadawalniali się tem naiwnem twierdzeniem, że od czasu św. Jana z Damaszku życie w Kościele wschodnim zgasło; ta niechęć do prawosławnej teologii wywołała nawet pewną obojętność dla wschodnich Ojców przednicejskich.

Obok historyi dogmatów i poezyi liturgicznej zawiera przedewszystkiem ten wielki obszar hagiografii wraz ze swoimi stosunkami do średniowiecznej literatury legendowej i powieściowej wiele problemów do rozwiązania.

To wielkie znaczenie cywilizacyi byzantyńskiej pojął i zrozumiał prof. Krumbacher i dlatego wziął sobie za zadanie, żeby studya tej cywilizacyi podnieść i zorganizować. Piórem i słowem starał się rozbudzić dla nich zapał; na kongresach międzynarodowych naukowych, na posiedzeniach akademii nauk, w drobniejszych artykułach i w licznych monografiach większych zwracał uwagę publiczności na ten przedmiot, sam szukał nowych dróg i sposobów badania na tem polu i innym je wskazywał. Głównie zaś osiągnął swój cel przy pomocy trzech następujących środków.

1) Napisał równie obszerną jak gruntowną historyę literatury

byzantyńskiej. Wielki znawca filologii i literatury starożytnej, postanowił w porozumieniu z innymi fachowcami wydać systematyczny zbiór wszechstronnie i gruntownie opracowanych podręczników nauk starożytnych. Znakomity filolog W. Christ podjął się opracowania literatury greckiej aż do czasów Justyniana. Karol Krumbacher, wówczas docent na uniwersytecie w Monachium, miał dać krótki rzut oka na piśmiennictwo tych »ciemnych czasów« od Justyniana aż do upadku Konstantynopola. W rzeczy samej nie była to żadna nowość; już długo przedtem inne podręczniki literatury greckiej uwzględniały również epokę byzantyńską; ale tak, jak Krumbacher tę literaturę przedstawił, nie uczynił tego nikt przed nim; w tem właśnie leży to wielkie znaczenie jego historyi literatury byzantyńskiej. Wszyscy, którzy przed Krumbacherem zajmowali się literaturą średniowieczną grecką, oceniali i przedstawiali tę literaturę z punktu widzenia filologa starożytnego, pisarzy byzantyńskich mierzyli tą samą miarą, co pisarzy starogreckich. Nic więc dziwnego, że szukając w byzantyńczykach starych Greków, widzieli w nich zwyrodniałych Hellenów; porównując zaś ich literaturę z literaturą klasyczną, osądzili tę pierwszą za niegodną, żeby się nią bliżej zajmować. Krumbacher zaś nie brał miary z obcych gałęzi wiedzy, ale żeby zrozumieć tę literaturę, zastosował do niej zdrową historyczną metodę; starał się zrozumieć pisarzy byzantyńskich z nich samych, badał i studyował ich w ich własnem środowisku, w którem wyrośli i dla którego pisali; przez to ściągnął tym »suchym, nudnym scholiastom byzantyńskim« ten od moli podziurawiony kożuch starożytności, w który ich filolodzy-klasycy przyodziali, rozświecił te »ciemne wieki«, i oto naraz stają przed nami nie »zwyrodniali, spaczeni« Hellenowie od podnóża Akropolis, ale głębocy dogmatycy i polemicy, znakomici historycy, natchnieni poeci, wielcy dyplomaci, używający rozkoszy i wielkoświatowi arystokraci: wszyscy prawdziwi byzantyńczycy. Jednym zamachem zbił Krumbacher ten setki lat trwający przesąd o martwocie literatury byzantyńskiej. To też wrażenie, jakie ta historya literatury w świecie uczonym wywołała, było wielkie. Krumbacher, dotychczas skromny docent-byzantynista, na którego z politowa-

niem pewni swojej wyższości klasycy spoglądali, stał się naraz sławnym w świecie uczonym. Bawarska akademia nauk zamianowała go natychmiast swoim nadzwyczajnym członkiem, a ministeryum oświaty podniosło go, na prośby senatu uniwersyteckiego, do rzędu nadzwyczajnych profesorów. Już w r. 1896 musiał Krumbacher rozpocząć przygotowanie drugiego wydania swojej historyi literatury. To drugie wydanie postanowił oprzeć na szerszych jeszcze podstawach. W pierwszem wydaniu zauważono wiele braków, przedewszystkiem odczuto bardzo przykro zupełny brak literatury kościelnej. Krumbacher, nie czując się na siłach, żeby ten rozdział literatury byzantyńskiej gruntownie opracować, zyskał dla tej pracy prof. A. Ehrharda. Bystrym zmysłem dla wszystkiego co istotne i charakterystyczne, z wielką znajomością rzeczy i źródeł, zrobił Ehrhard na polu literatury kościelnej byzantyńskiej to, co Krumbacher na polu literatury świeckiej. Treściwy rzut oka na historyę .polityczną dał znakomity historyk Gelzer; pod koniec tego drugiego wydania dołączył Krumbacher wyczerpujący spis cesarzy i patryarchów byzantyńskich. Tak więc literatura byzantyńska była w tem drugiem wydaniu we wszystkich jej kierunkach uwzględniona. Jeżeli wszystkie dotychczasowe szkice literatury byzantyńskiej dawały nam na pozór wykończone obrazy i pewne sądy, to Krumbacher w swojej historyi literatury akcentował przeciwnie prawie na każdym kroku niedoskonałość, niepewność, braki naszej wiedzy; zwracał uwagę na fałszywe sposoby, jakich wielu uczonych w studyach byzantyńskich się trzymało i dziś jeszcze trzyma, i wskazywał nową metodę w badaniach historyczno-literackich. Dlatego to, jeżeli historya literatury byzantyńskiej Krumbachera nadzwyczaj ważną jest z powodu bardzo wielu nowych rezultatów, to jeszcze ważniejszą jest ona ze względów pedagogicznych. Właściwość, metoda i cele cywilizacyi byzantyńskiej są tu po raz pierwszy z całym naciskiem obszernie i jasno zaznaczone. To też ta historya Krumbachera była olbrzymim krokiem naprzód do równouprawnienia byzantynistyki. Zaraz po ukazaniu się drugiego wydania tej historyi został Krumbacher zwyczajnym członkiem bawarskiej Akademii nauk a honorowym członkiem Akademii paryskiej, wiedeńskiej

i węgierskiej; równocześnie parlament bawarski pozwolił na urządzenie zwyczajnej profesury dla byzantynistyki na uniwersytecie monachijskim.

2) Peryodyczne czasopismo byzantyńskie. Krumbacher nie zadowolnił się tymi rezultatami, w swojej historyi literatury byzantyńskiej przedstawił całemu światu, że ta literatura nie jest martwą, »nizką i brzydką«, ale że zasługuje na to, żeby się nią zajmowano, zwracał uwagę na wiele kwestyi, które muszą być zbadane w monografiach i osobnych studyach, wskazał drogę, jakiej się trzeba w tych badaniach trzymać. Otóż, żeby teraz te drobniejsze i większe studya byzantyńskie nie potrzebowały się tułać i szukać gościnności po innych czasopismach, postanowił założyć osobne czasopismo peryodyczne przeznaczone wyłącznie dla studyów byzantyńskich. W tem czasopiśmie[1] skoncentrował Krumbacher wszystkie prace i studya nad cywilizacyą byzantyńską, oraz kierował temi studyami, omawiając rozmaite sposoby i drogi, jakich się trzeba trzymać w tych studyach. A zatem podwójny cel: naukowy i pedagogiczny. Temu celowi odpowiada organizacya tego pisma. Jest to kwartalnik wychódzący 2 razy w roku w podwójnych zeszytach. Każdy podwójny zeszyt składa się z trzech części: *a)* samodzielne studya, referaty lub krytyczne opracowanie tekstu jakiegoś z komentarzem, *b)* obszerniejsze recenzye, *c)* zapiski bibliograficzne. W tej ostatniej rubryce są zaznaczone i krótko scharakteryzowane wszystkie większe i mniejsze dzieła, wszystkie artykuły i referaty, które w innych możliwie dostępnych czasopismach się znajdują lub są zaznaczone i które jakąś łączność mają z bizantynistyką. W ten sposób daje to czasopismo możliwie dokładną bibliografię byzantyńską i przez to staje się dla fachowca niezbędnem narzędziem pracy. Przedmiot tego czasopisma określa sam Krumbacher dokładnie w przedmowie do pierwszego zeszytu: ma ono obejmować całe życie umysłowe średniowiecznych Greków od końca starożytnych, aż do progu nowożytnych czasów. Granice te jednak nie są tak stałe, żeby ich nie można według potrzeby przesunąć. Do współ-

[1] *Byzantynische Zeitschrift.*

pracownictwa wezwani są uczeni całego świata cywilizowanego; artykuły mogą być pisane w językach niemieckim, francuskim, angielskim, rosyjskim, włoskim i nowogreckim; a zatem charakter międzynarodowy w całem tego słowa znaczeniu. Jak w XVII wieku Philip Labbe S. J. zwracał się w wzniosłych wyrazach do całego świata uczonego, przedstawiając mu swój plan wydania historyków byzantyńskich, tak w r. 1892 prof. Karol Krumbacher przedstawiając światu ten nowo założony organ byzantyński, zwracał uwagę na wielką doniosłość literatury byzantyńskiej i wzywał uczonych do współpracy. Ten głos nie przebrzmiał bez skutku. Najwybitniejsi uczeni Europy ogłaszali swoje studya w tem czasopiśmie; sam Krumbacher zaś jako wydawca i redaktor, wierny danej obietnicy, czuwał z całą energią i bezwzględnością nad tem, żeby ten organ zatrzymał swój charakter naukowo-pedagogiczny. Dziś stoi to czasopismo przed nami w 19 tomie i należy do najpoważniejszych i najlepiej redagowanych czasopism peryodycznych.

3) Trzeci środek, przy pomocy którego Krumbacher wywalczył niepodległość studyom byzantyńskim, to jego na całą Europę sławne »Seminaryum byzantyńskie«. Seminaryum jest wogóle niezbędnem uzupełnieniem zwyczajnych wykładów uniwersyteckich; we wykładach pracuje wyłącznie profesor, w seminaryach zaś odbywają się praktyczne ćwiczenia uczących się. Jest to konieczna szkoła, w naszych czasach najważniejsza część studyów uniwersyteckich, nie tylko dla tych, którzy się gotują do egzaminu, ale głównie dla tych, którzy się chcą bliżej zapoznać z pewną gałęzią wiedzy, którzy chcą zgłębić i zrozumieć jej ducha oraz poznać sposoby pracy na tem polu.

Jako niezbędny środek pomocniczy w pracach seminaryjnych musi być zawsza obecna i dla wszystkich członków seminaryum przystępna biblioteka seminaryjna *(Praesensbibliotek)*. Nic więc dziwnego, że Krumbacher wszelkich starań dokładał, by dla swojego przedmiotu urządzić takie seminaryum. Ponieważ rząd bawarski zwlekał z uchwaleniem funduszu na bibliotekę seminaryjną, więc Krumbacher gromadził swoich współpracowników we własnem mieszkaniu. Z czasem zebrał drogą prywatną mały fun-

dusz, a otrzymawszy w gmachu uniwersyteckim odpowiednią salę, urządził w niej małą bibliotekę i otworzył seminaryum; tu zbierali się prawie codziennie przyszli byzantyniści i pracowali pod kierunkiem Krumbachera. Od r. 1898 do 1902 dawał temu seminaryum rząd grecki 2000 drachm rocznej zapomogi. Wreszcie i rząd bawarski, przekonawszy się o potrzebie tej instytucyi i nalegany ciągłemi prośbami, uchwalił stały fundusz roczny na utrzymanie seminaryum. W tych ćwiczeniach seminaryjnych dążył Krumbacher do podwójnego celu: Najpierw dążył do tego, aby swoich współpracowników wtajemniczyć w filologię i cywilizacyę byzantyńską i aby zapoznać ich ze sposobami pracy. Ktokolwiek choć przez krótki czas zajmował się literaturą byzantyńską, zrobił to przykre doświadczenie, że ogólne zasady i reguły tu nie wystarczą. Prawie dla każdej kwestyi trzeba własnym przemysłem szukać nowych sposobów badania. Otóż w seminaryjnych ćwiczeniach zwracał Krumbacher uwagę na to, jak sobie w danym wypadku radzić. Ogólniejszym, dalszym celem tych ćwiczeń seminaryjnych było wtajemniczenie członków wogóle w metodę historyczno-krytyczną. Odpowiednio do tego celu był przestrzegany następujący sposób pracy w seminaryum: Za podstawę służył jakiś ważniejszy pisarz byzantyński lub nowogrecki; przeważnie wybierał Krumbacher takich autorów, których tekst był bardzo licho opracowany i wydany, żeby dać większą okazyę uczniom do pracy nad krytyką tekstu i wtajemniczyć ich w technikę wydawania i opracowywania tekstów byzantyńskich. Dalej były samodzielnie opracowywane wykłady, referaty, recenzye dzieł, po nich następowała żywa dyskusya. Tematy dawał albo sam Krumbacher albo zostawiał do własnego wyboru. Wreszcie piśmienne zadania. Nie były to większe traktaty, lecz drobne ale w swoim rodzaju wykończone prace: *Man muss zuerst lernen, einen Frosch zu sezieren, ehe man sich an einen Menschen wage.* Te zadania przeglądał i poprawiał Krumbacher sumiennie w swojem mieszkaniu i w czasie posiedzenia seminaryjnego przechodził praktycznie całe, zwracając uwagę na różne sposoby, przy pomocy których tę lub ową kwestyę zadania można było rozwiązać lub opracować. W tych praktycznych ćwiczeniach musiał każdy członek brać

czynny udział; po kolei wywoływał każdego do tablicy, kazał analizować jakąś kwestyę; każdy mógł zawsze śmiało wypowiedzieć swoje zdanie lub stawiać pytania; fałszywy wstyd nie miał miejsca.

Członkowie seminaryum składali się z przedstawicieli różnych narodowości Europy; przytem byli to przeważnie ludzie już w pewnym kierunku wykształceni, skończeni, jak n. p. docenci uniwersytetów, profesorowie gimnazyalni, archeolodzy, prywatni uczeni i t. d., dla akademików po 3 lub 4 semestrach były te ćwiczenia seminaryjne jeszcze za trudne. Liczba członków przekraczała rzadko 20; każdy otrzymywał klucz od biblioteki seminaryjnej i mógł tam swobodnie pracować przez cały dzień. Sam Krumbacher nigdy nie występował w seminaryum jako *Praeceptor Germaniae,* ale zawsze tylko jako starszy współpracownik, który radą i wskazówkami całą pracą seminaryjną kierował; nigdy nie żądał dla swoich poglądów bezwzględnej wiary, ale poddawał je chętnie pod dyskusyę. Publicznych wykładów był Krumbacher wielkim wrogiem, jego ideałem było być w stałym kontakcie z uczniami, dlatego o ile możności koncentrował swoje prace profesorskie w seminaryum i w prywatnych rozmowach.

Już z tego ogólnego szkicu można wnioskować, że to seminaryum nie było jednem z wielu, lecz że zajmowało zupełnie wyjątkowe stanowisko. Ktokolwiek chciał pracować na polu byzantynistyki, był moralnie zmuszony pracować jakiś czas pod kierunkiem Krumbachera. Wysocy dygnitarze (jak ambasadorzy obcych państw), wybitni profesorowie większych uniwersytetów Europy, przybywszy choćby na krótki czas do Monachium, nigdy nie opuszczali tej sposobności, żeby wziąć udział w posiedzeniach seminaryjnych. Wskutek tego było to seminaryum otoczone pewnym nimbem. Ale potrzeba było być Krumbacherem, żeby je tak prowadzić, jak je on prowadził. Pedant do niemożliwości, uważał w pracach naukowych i w posiedzeniach seminaryjnych na najdrobniejsze, na pozór dziecinne rzeczy, ale tą bezwzględnością swoją nie odpychał lecz pociągał do siebie; oddany badaniu specyalnych kwestyi miał zawsze wzrok otwarty na wszystko co wielkie, na ogólno-ludzkie kwestye i historyczne stosunki. Przedewszystkiem

posiadał Krumbacher tę wielką zaletę, że potrafił w uczniach swoich rozbudzić dążność do samodzielnej pracy.

Tak zatem przez swoją historyę literatury byzantyńskiej rozjaśnił Krumbacher te »ciemne wieki«, wykazał wielkość i godność cywilizacyi byzantyńskiej, usunął przesądy i obojętność i wywołał zainteresowanie się; przez czasopismo i seminaryum byzantyńskie kierował temi studyami i panował nad niemi; zaś przez wszystko to razem wywalczył byzantynistyce równouprawnienie i postawił ją na równi z filologią klasyczną i z innemi gałęziami wiedzy.

Na zakończenie parę słów o prywatnej stronie charakteru i życia prof. Krumbachera. Scharakteryzować osobistość Krumbachera jest rzeczą trudną. Uczyniono to po części w tych licznych nekrologach, które zaraz po jego śmierci prawie we wszystkich językach europejskich się pojawiły. Wieśniaczy syn algäuskich wyżyn przerobił się powoli w człowieka wielko-światowego, przytem zatrzymał swoją szwabsko-bawarską dobroduszność i serdeczność. Mówił płynnie po nowogrecku, francusku, angielsku, włosku, rosyjsku; obracał się w wysokich i najwyższych kołach z pewnością siebie i z łatwością, nie zawsze filologom właściwą, wszędzie był bardzo mile widziany i pożądany. Aczkolwiek świadomy swojej wielkości i nie mogąc się skarżyć na brak oficyalnych i prywatnych odznaczeń, był jednak dalekim od zarozumiałości i wyniosłości. Kto widział na ulicy tę skromną, bezpretensyonalną, nieco pochyloną postać, nie mógł nawet przypuścić, że to znany całemu światu uczony, prof. Krumbacher.

W jego pojęciach religijnych zaszła w ostatnich latach pewna zmiana. Krumbacher pochodził z wieśniaczego, bardzo religijnego domu. W walce o stanowisko i w drobiazgach codziennych prac nie zapomniał wprawdzie o swojej religii, ale zobojętniał dla jej praktyk, dlatego uważały go koła liberalne i antyreligijne za swojego. W ostatnich latach mógł się jednak dobitnie przekonać, jak ta wolność wygląda w obozie tych, którzy głoszą, że pod sztandarem wolności walczą. Przez bliższe zetknięcie się z niektórymi teologami, których za swoich najpilniejszych ucz-

niów uważał i z którymi w sposób przyjacielski obcował, wyrobił sobie o duchu katolickiej religii i teologii i o duchowem usposobieniu jej przedstawicieli inne pojęcie od tego, które zwykło kursować w kołach antyreligijnych i obojętnych. Stałe zajmowanie się chrześcijańskimi i kościelnymi tekstami greckimi, wspomnienia młodości, obcowanie w katolickich rodzinach arystokratycznych, wkońcu i cierpienia fizyczne — to wszystko działało w jednym i tym samym kierunku. Jako wróg wszelkiej połowiczności, wyciągnął Krumbacher z tej zmiany w swoich zapatrywaniach praktyczne wnioski. Na krótki czas przed śmiercią uczynił ostatni krok, przez który każdy katolik swoją przynależność do Kościoła zaznacza: poszedł do spowiedzi i Komunii św. Odtąd można go było często widzieć modlącego się w kościele św. Ludwika. Tak więc pod zmierzch swojego życia stoi przed nami Krumbacher jako przykład pokornej wiary, przed którym się więcej trzeba korzyć, niż przed jego wielkimi talentami.

Kilka dni przed śmiercią spędziłem przeszło dwie godziny na poufnej rozmowie z Krumbacherem; przy pożegnaniu przyrzekłem mu, że w krótkim czasie znowu go odwiedzę; w niedzielę 12 grudnia stanąłem niespodzianie nad łożem śmierci mojego mistrza i przyjaciela. Niezatartymi zostaną mi te spokojne rysy jego odmienionej twarzy. *Nike*, zwyciężył — tak czytamy na starochrześcijańskich nagrobkach. I on odniósł podwójne zwycięstwo.

Ks. Karol Ranoszek.

KS. PATRON WAWRZYNIAK.

(Dokończenie).

Tak było mianowicie z ocenieniem jego duszpasterskiej działalności i życia kapłańskiego.

Ludziom przeciętnym się wydawało, że człowiek, o którym ciągle słyszeli, że ma do czynienia nieustannie z cyframi, bilansami, kasami, paragrafami, organizacyami, niezliczonemi interesami finansowemi, nie może być ani gorliwym duszpasterzem, ani pobożnym kapłanem.

Jak było w rzeczywistości, tego nie wiedzieli i o to się nie pytali, tylko tak, jak sobie wystawiali, tak twierdzili.

Wawrzyniak nie był dla dewotek, ani dla moralnie złego lub płytkiego człowieka, tak jak nie nadawał się do oceny przez bezkrytyczny umysł jednostki ani pospolitego tłumu. On jak każdy twórca tem był wielkim, że nic dla »publiczności« nie tworzył, że z gminem nie zawierał kompromisów, nie pospolitował się ani nie obniżał, tylko dla rzeczy samej działał — wyższy ponad zrozumienie chwili i względy popularności.

Opinii publicznej — świadom swego charakteru kapłańskiego, — nie lekceważył, ale nie szedł za tem, co najbliższe, co łatwe do osiągnięcia, ale nie główne ni istotne. Jak każdego ducha wielkiego nęciło go to, co godne i wymagające trudu. Uginał się w znoju i dlatego coś stworzył. Nie brał od drugich rzeczy gotowych. Szablon w życiu jego nie zachodził.

W każdym calu był sobą, każdej chwili wielką był, w podziw wprawiającą potęgą indywidualną.

Więc raczej dlatego, niż mimo to, działalność jego jako kapłana i wszechstronną była i doniosłą — a pobożność głęboką, budującą, a osobistą.

O wczesnej godzinie, w obu siedzibach swoich, w Mogilnie i w Poznaniu, odprawiał regularnie Mszę św. W parafii swojej słuchał spowiedzi zawsze na czczo tak długo, póki byli penitenci — a trwało to w czasie wielkanocnym godzin parę — mimo że parafia była na wsie i dni doskonale zorganizowana, że miał dwóch współpracowników i przez ten czas wielkanocny stale siedział w domu. W dzień przed odpustami i *ipsa die* wczesnym rankiem słuchanie rozpoczynał tak, iż przyjeżdżający na sumę księża często tylko niedobitki napotykali penitentów. Dobierał sobie współpracowników najodpowiedniejszych i nawet jednego więcej nad zwykłą miarę, uszczuplając sobie dochodów, utrzymywał, by wszelkie potrzeby parafian tem lepiej były zaspokojone. A mimo to celem dopełnienia przypadających nań oficyów, sumy czy kazania, z najdalszych stron zjeżdżał; rano w sobotę jeszcze pod Gdańskiem rewidował spółkę lub w Bytomiu odbywał narady, a na noc był w Mogilnie. Nigdy parafianie jego dla zajęć społecznych nie doznali uszczerbku w duszpasterstwie. Sam prowadził stowarzyszenia matek chrześcijańskich, bractw wstrzemięźliwości i inne, jakie zastał w parafii. By nie przeciążać parafian podatkami kościelnymi i nie zniechęcać ich do Kościoła przez repartycyę, sam, zastawszy wielkie niedostatki, potrzebne wkłady z własnej kieszeni poczynił (na odnowienie kościołów i budynków parafialnych, powiększenie cmentarza i otoczenie go murem i t. d.) a potem przez lata zbierał składki dobrowolne. Wszystko było w najlepszym porządku, a nikt nie odczuł jakiegokolwiek ciężaru. Ścisłe też z parafianami zachowywał stosunki osobiste przez spotykanie się z nimi przy najrozmaitszych okazyach i znał dobrze położenie, charakter, zapatrywania jednostek. Jakie miał poczucie duszpasterskiej przynależności do dusz sobie powierzonych, jakie przywiązanie do parafii, o tem świadczy jego rozporządzenie, iż gdziekolwiekby był miał umrzeć, chce być w Mogilnie pochowany, gdyż »proboszcz winien

wśród swoich parafian spoczywać«. I tam wśród jego parafian też go złożono. Nad tem jeziorem cichem, na pagórku, pod kościółkiem i krzyżem, wśród drzew i krzewów ulubionych, na tym polskim cmentarzu — w niepozornej mogile.

Ale i poza parafią gorliwie chodził około religijnych potrzeb dusz. Żaden z polskich posłów-księży tyle nie pracował w Berlinie i sąsiednich miastach na polu duszpasterskiem i społecznem w koloniach polskich, bardzo licznych i bardzo — jak wiadomo — opuszczonych — co Wawrzyniak. Starsi i najpoważniejsi przedstawiciele kolonii polskiej w Berlinie utrzymują nawet, że przez ostatnie parędziesiąt lat wszyscy posłowie polscy księża razem nie wygłosili tyle kazań i nie słuchali tyle spowiedzi po polsku, co jeden Wawrzyniak przez jedną kadencyę sejmową. Poza tem nie opuścił żadnego ważniejszego zebrania polskich towarzystw, dawał inicyatywę do rozwoju, wciągał kolegów. Kto wie, jak łakną nasi wychodźcy słowa Bożego w ojczystym języku, obecności księdza polskiego i nauki jego, ten zrozumie, dlączego dzisiaj po latach tylu imię ks. Wawrzyniaka tak żywo wspomina w Berlinie.

Tak samo czynny był podczas swej głośnej swego czasu podróży po Stanach Zjednoczonych Ameryki. Nie tylko badał instytucye gospodarcze i finansowe i budził wśród rodaków patryotyzm, ale starał się o pojednanie »Kościoła narodowego« z właściwą hierarchią, godził parafian z ich duszpasterzami i księży pomiędzy sobą, występował przeciw usunięciu duchowieństwa od pracy narodowej, a na I polsko-katolickim kongresie (22—25 września 1896) odbytym w Buffalo, najwybitniejszą grał rolę, tak w kościele jak i na wiecu.

Wszędzie, gdzie jeździł po krajach obcych, wstępował do kościołów i zwiedzał klasztory, dowiadywał się o stosunkach — tak jak znów podejmował pielgrzymki do miejsc cudami słynących, Częstochowy, Kalwaryi, Lourdes. Szczególną zaś pieczą otaczał Zgromádzenia zakonne, zajmował się ich potrzebami starał o ich zaspokojenie. Przy tem wszystkiem nigdy nie używał koturnu, pozy, akcesoryi, umyślnego namaszczenia — nigdy nie uwydatniał swego charakteru stanowego, do argumentacyi

nigdy nie posługiwał się formami przezeń stylizowanemi, to nie był człowiek cechu mimo całego zrozumienia godności swego charakteru kapłańskiego i wypełniania obowiązków względem niego.

Sam budował swojem nabożeństwem prywatnem. Należał do III zakonu św. Franciszka; pasek zakonny nosił pod suknią.

Nad łóżkiem jego wisiały obrazki takie, jakie pod chłopską bywają strzechą, skromne, pełne skupienia, modlitwy i prostoty i przed nimi swoje wieczorne odmawiał pacierze. Gdy którego z kapłanów zobowiązał do wdzięczności, gotowość jego do wzajemnej usługi w ten sposób wykorzystał, że prosił go o odprawienie mszy św. do Najsłodszego Serca Jezusowego na swoją intencyę. Na wszelkie nieszpory i inne nabożeństwa dodatkowe chadzał i podczas nich odprawiał brewiarz — zawsze mimo największych zajęć czas nań znalazł, jak mówił — a wieczorem po ogrodzie chadzając lub pokoju odmawiał podobnie jak i w pociągu różaniec. Wzgląd, że wikaryusz nabożeństwo odprawi, nie uniewinniał go w regularnej bytności na nabożeństwie. Gość świecki mógł zostać podczas tego w domu lub ogrodzie, od księdza przybyłego w odwiedziny wymagał, by szedł do kościoła. »Coby sobie ludzie pomyśleli, tam jest nabożeństwo, a księża nie idą do kościoła«!

Wszystko to nie są rzeczy dziwne ani nadzwyczajne, ale dla tych, którzy uważali Wawrzyniaka za bankiera, którzy gorszyli się tem, że »nie siedzi w parafii«, którzy oburzali się na to, że parafianie rzekomo nigdy Wawrzyniaka nie widzą, którzy nie odczuwali w nim kapłana, którzy nie chcieli, aby tak było, bo sobie go wystawiali innym, chcąc mieć przedmiot do oburzania się — sprawiały wieści te wrażenie zdumiewającej rewelacyi.

A tak, jak u wielu istniało fałszywe pojęcie o duszpasterstwie Wawrzyniaka i jego życiu kapłańskiem osobistem, tak wydał się niejednemu Wawrzyniak niejako niekoleżeński, iż rzekomo w odwiedziny nie jeździł w sąsiedztwa, w karty nie grywał dla rozrywki nawet, z świeckimi nie mniej utrzymywał towarzyskich stosunków jak z księżmi.

A jednak przy całej różnolitości zajęć, przy konieczności przestawania nieustannie z świeckimi, zawierania z nimi bliższych zna-

jomości i przyjaźni — Wawrzyniak był nadzwyczaj stanowy. Prawda, że niepotrzebnie nikogo nie najeżdżał, czasu mu nie zabierał i nie nudził, ale stosunki sąsiedzkie zachowywał w miarę indywidualności sąsiadów, usłużny był i przyjaźnią gorącą, wzajemną w wszystkich epokach swego życia wśród kapłanów się cieszył.

Już sama świadomość sakry i wyodrębnienia jako członka kleru i samo poczucie charakteru kapłańskiego były u niego bardzo wybitne i silne.

Stan kapłański obchodził go w dwojaki sposób; jako stan, do którego należał, i który cenił nad inne, i jako stan, który wiele ważył dla społeczeństwa i sprawy przezeń umiłowanej. »Mnie wystarczy — mawiał stąd — jeśli ktoś nosi obojczyk, aby stanąć w jego obronie i nieść mu pomoc«.

Wierny tej zasadzie, przez całe swoje życie niósł też współbraciom pomoc. Nie rozumiał, iż można, gdy się komu noga pośliźnie, jeszcze pod drugą podstawić szkopuł, aby się całkiem wywrócił. Dopomagał materyalnie, rozwiązywał zawikłane interesy, ratował honor na szwank narażony, regulował stosunki finansowe, przyjmował sprawy spadkowe na siebie. Aż gdy widział, że nie dość jest samemu radzić, że więcej zdziałać można wspólnemi siłami, że potrzeby są większe, niż jego własna możność, że zrozumieją ludzie, o co chodzi, że zbliżył się czas na sprawę, wystąpił z planem, który uzupełniał w miarę przygotowań i nowych potrzeb — z organizacyą.

Widział, że w świecie tak jak ongi w osobnych formach stanowo-prawnych, tak dzisiaj, odpowiednio do zmienionego ustawodawstwa, poszczególne warstwy jednoczą się z konieczności celem reprezentacyi swoich wspólnych interesów, materyalnych, intelektualnych, moralnych, a łączą się wszyscy: oficerowie, urzędnicy, fabrykanci, rolnicy, kupcy, artyści, autorzy, robotnicy — i konieczność takiej organizacyi dojrzał i w stanie świeckiego duchowieństwa.

Wobec piętrzących się potrzeb społeczeństwa i zadań, spadających stąd na duchowieństwo, ujawniała się oczom Wawrzyniaka coraz dotkliwiej konieczność wspólnego porozumiewania się, jak się do spełniania obowiązków społecznych zabierać, gotować i ćwi-

czyć należy, jak podnosić poziom umysłowy duchowieństwa w miarę objawów rozwoju zagadnień aktualnych. Stawała mu też przed oczyma odczuwana od dawna konieczność zbliżenia się księży do siebie, wyrabiania poczucia solidarności i szukania środków do obrony wspólnych interesów stanu, ułatwienia pomocy materyalnej i pracy dla sprawy.

Zależało mu zarazem na tem, aby z całą świadomością powagi ekonomicznej i społecznej, jakiej na mocy swego upoważnienia i swej działalności publicznej, zażywają księża wielkopolscy, należycie załatwiać takie sprawy, jak zabezpieczenie (na życie, chorobę, przypadki wszelkiego rodzaju, od ognia, włamania i t. d.). Chodziło mu o to, aby czynić to bez szkody dla świeckich przedsiębiorstw polskich, a z korzyścią dla jednostek i całego stanu duchownego; pamiętać o obowiązkach, jakie kapłani mają wobec społeczeństwa, a zarazem uwydatnić prawo z ich strony do rozwagi, komu ma ich grosz dostać się do ręki. Istniała niejedna instytucya bardzo blizka z natury swej i celów swych duchowieństwu, zasługująca na poparcie a nie ciesząca się niem dla braku dostatecznej wiadomości o niej i zrozumienia sprawy.

W tym celu stworzył związek kapłanów *Unitas*.

Założenie takiej organizacyi wykazywało na wstępie liczne trudności. Przed założeniem tej organizacyi obawiali się jedni, że władza duchowna niechętnem okiem patrzeć będzie na związek, upatrując w jego działalności wtargnięcie w sferę swoich praw — zwracali drudzy uwagę na to, że intencyi związku nie zrozumieją księża Niemcy i posądzać go będą o zamiary separatystyczne i antyniemieckie, skierowane przeciw nim lub przyszłemu arcybiskupowi Niemcowi — nie brakło i takich, którzy przewidywali kolizyę z rządem.

Nic z tego się nie spełniło, tak Wawrzyniak wszystko mądrze przygotował i poprowadził. Administratorzy dyecezyi uznali od samego początku doniosłość akcyi, a mając zaufanie do jej kierownika, wiedzieli, że związek nie tylko nie stanie w kolizyi z władzą duchowną, lecz przeciwnie popierać ją będzie na każdym kroku w słusznych jej dążeniach. Nigdy też związek nie dał po-

wodu władzy duchownej do wystąpienia przeciw swej działalności, lecz owszem w wielu ważnych dla niej sprawach poparł ją i wyświadczył jej przysługę. Niemcy-księża przybyli na zebranie konstytucyjne i poprzystępowali do związku — nie wszyscy wprawdzie — ale i nie wszyscy Polacy doń należą. Z rządem nie było nigdy kolizyi, tak ściśle zarząd przestrzegał przepisów prawnych.

To też zaraz po ukonstytuowaniu się, w obrębie *Unitas* przeprowadzał Wawrzyniak ważne dla duchowieństwa sprawy.

Zajęto się nasamprzód najkonkretniejszemi kwestyami, najpochwytniejszemi i najdotkliwszemi zarazem, zajęcia się któremi nie mógł nikt odmówić prawa księżom, jako osobnemu a równouprawnionemu z drugimi zawodowi.

W dziedzinie materyalnej załatwiono więc nader ważną sprawę zabezpieczenia [1].

Celem dania sposobności członkom swoim do spędzenia wakacyi w miejscowości, w którejby się łączyły warunki lecznicze z wygodą, przystępnem wynagrodzeniem za utrzymanie (o ile możności bezpłatnem dla kleryków), rozrywką w towarzystwie kolegów oraz sposobnością do wymiany zdań o sprawach, dotyczących całe duchowieństwo polskie, zajął się Wawrzyniak sprawą Domu zdrowia dla kapłanów w Zakopanem. Osobiście na miejscu kwestyę zbadał, poparł dojście do skutku kupna ofiarą osobistą

[1] Dotąd nawet ten ksiądz, który rozumiał potrzebę zabezpieczenia się na życie, od ognia, od choroby, od wypadku nieszczęśliwego, od odpowiedzialności prawnej (za nieszczęśliwe wypadki drugich osób, zaszłe na terytoryum proboszczowskiem lub kościelnem), od włamania, aż do pomniejszych wypadków, tłuczenia okien i t. d., nie wiedział często dokąd się udać, lub dostawał się w ręce towarzystw asekuracyjnych, które niedogodne lub wygórowane stawiały warunki. Dzisiaj każdy członek związku otrzymuje od zarządu wezwanie i objaśnienia co do wszelkiego rodzaju ubezpieczeń, ale nie potrzebuje wcale z pojedynczemi towarzystwami pertraktować, lecz tylko wypełnia nadesłany przez *Unitas* formularz i przesyła go do biura *Unitas*, a *Unitas* wszystko załatwia sama z towarzystwami, które dają największą gwarancyę i ulgi. Ze względu na tę centralizacyę dają towarzystwa dywidendę Związkowi, a członkom zniżkę premii. W ten sposób nie tylko jednostki mają korzyść, lecz i wpływają do kasy *Unitas* rocznie znaczne kwoty do dyspozycyi związku, a wreszcie zysk mają towarzystwa polskie (jak *Westa*), z których księża dla nieznajomości rzeczy dotąd nie korzystali, jak należy.

10.000 koron, kazał odpowiednio dom wedle wszelkich nowoczesnych wymagań kulturalnych urządzić i przykładem swoim i autorytetem spowodował członków *Unitas*, jak wogóle kapłanów z wszystkich zaborów, do poparcia przedsiębiorstwa przez podpisanie udziałów [1].

Z materyalną stroną połączyła się — znów całkiem legalnie — sprawa moralnych interesów stanu i zawodu. A więc obrona honoru i czci stanu duchownego.

Tak w prasie polskiej jak niemieckiej, pojawiały się często wiadomości nieprawdziwe a uwłaczające tak jednostkom, jak całemu stanowi. Związek zaabonował, idąc tradycyą ś. p. arcybiskupa Stablewskiego, wszystkie gazety, wchodzące pod tym względem w zaborze pruskim w rachubę, zalecił ich przeglądanie w sekretaryacie swoim i wycinki z zarzutami posyła zaczepionemu księdzu, dając mu w ten sposób możność obrony i sprostowania. Zważywszy jednak, iż sprostowanie nigdy nie zdoła wyrównać zupełnie krzywdy wyrządzonej bezpodstawną zaczepką, oraz, że przez umieszczanie niesprawdzonych wiadomości a następnie sprostowań tracą pisma polskie na poszanowaniu i powadze wśród społeczeństwa, udał się zarząd do Stowarzyszenia Dziennikarzy i Literatów na Rzeszę niemiecką w Poznaniu, z oświadczeniem, że chętnie ułatwi sprawdzanie zarzutów dotyczących członków stowarzyszenia i dostarczy spiesznej informacyi, ilekroć która redakcya zwróci się po nią przed wydrukowaniem odnośnej korespondencyi.

Dostarczaniem informacyi dotyczącej faktów bynajmniej zarząd nie myślał krępować swobody podnoszenia zarzutów uzasadnionych lub wyrażenia swych zapatrywań na podstawie stwierdzonego rzeczywistego stanu rzeczy. Krok ten przyniósł w krótkim czasie pomyślne rezultaty. Większa część pism polskich zastosowała się do prośby zarządu. Zarzuty przez nie nadsyłane przedkładano

---

[1] Przedsiębiorstwo to ubiegłego roku wytrzymało próbę krytyczną, odpowiedziało wszelkim pretensyom, a przedewszystkiem zbliżyło duchowieństwo z najrozmaitszych okolic, stosunków duszpasterstwa i warunków pracy kapłańskiej do siebie, dając okazyę do inicyatywy, pouczenia się i najcenniejszej dyskusyi...

członkom, a informacye od tychże otrzymane odsyłano redakcyom. Zazwyczaj skutek bywa taki, iż redakcya nie umieszcza korespondencyi, ponieważ wykazuje się bezpodstawność, przekręcenie faktów lub przesada w zdarzeniu mniejszej wagi.

W obrębie *Unitas* ułatwiał też Wawrzyniak duchowieństwu wypełnianie swych obowiązków społecznych, dając im odpowiednie wskazówki [1].

Pracę tę ułatwiał Wawrzyniak duchowieństwu przez to, iż na życzenie arcybiskupa Stablewskiego objął zarząd instytucyi, mającej służyć potrzebom duchowieństwa i dyecezyi (odłącznie od władzy ordynaryatu, ze względu na jego zmienne losy), głośnej dzisiaj w Polsce z ruchliwości swej wydawniczej, mianowicie na polu społecznem, »Drukarni i Księgarni św. Wojciecha«. Cały postęp, jaki widnieje w tendencyi, ustroju, technice zakładu odzwierciedla pojęcia i dążności Wawrzyniaka. Wiedział on, że nie każda oszczędność jest korzyścią, a nieoględna wprost na straty naraża. Wawrzyniak rozumiał doskonale podział wydawnictw na takie, które bezwzględnie korzyść materyalną przynoszą, i z których zyski służą na wydawnictwa, nie opłacające się finansowo, ale koniecznie potrzebne ze względu na ideę — i na takie, na które niewiele będzie nabywców, ale które są potrzebne, aby świadczyły o kulturze ogólnej i poziomie umysłowym społeczeństwa, aby służyły przywódcom, aby podnosiły świadomość wogóle że takie rzeczy wychodzą w kraju i w dyecezyi.

Pod jego zarządem stała się zatem instytucya ta centralnem

---

[1] Jak dalece w różnorodne dziedziny życia wkracza *Unitas*, wykazuje spis tematów, poleconych do omówienia w ostatnim roku:

Stowarzyszenia istniejące w powiecie, ich nazwa, liczba członków i rozwój — Monistenbund, jego zasady i organizacya — Zadania i cele Ewangelischer Bund — Sprawa Ferrera — Pożyteczne a szkodliwe wymiary na gospodarstwach — Jak pracować w towarzystwach młodzieży? — Jakie wykłady miewać na zebraniach towarzystw robotniczych? — Jakimi sposobami szerzyć zdrowe zasady wychowawcze wśród ludu naszego? — Jakimi sposobami ułatwiać starania się o rentę? — Praktyczne sposoby szerzenia oszczędności — Jak wyglądają hipoteki naszych gospodarzy i jakimi sposobami ułatwić oczyszczenie i uregulowanie hipoteki? — Jak mogą księża w naszych warunkach pracować naukowo? — O ogródkach dla dzieci — O pracy duchowieństwa nad oświatą ludową.

ogniskiem katolickiej akcyi społecznej pod zaborem pruskim. Tu powstały, z jej pomocą i poparciem materyalnem lub moralnem, peryodyczne pisma społeczne, sekretaryaty ludowe, biura porady prawnej, ona stanowi przybytek wydawniczy dla przedsiębiorstw literackich, ona gromadzi najnowsze wydawnictwa potrzebne do pracy, jak i zapobiega, by księgozbiory nie dostawały się w nieodpowiednie ręce.

Ze względu na potrzeby duchowieństwa dbał Wawrzyniak o ważną dla rozwoju pracy społecznej instytucyę: Bibliotekę społeczną do użytku archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, założoną również z polecenia arcybiskupa Stablewskiego. Rozumiał on doniosłość istnienia instytucyi, któraby najnowszemi wydawnictwami, książkami i pismami, na wszystkich polach pracy około dobra społecznego służyła wszystkim pracującym w redakcyach pism socyalnych, jak i pragnącym się stale informować w tych dziedzinach i kształcić mianowicie w celu dzielenia się wynikami swych studyów w prasie, na zebraniach, kursach socyalnych i t. d. W trudnych warunkach nie spuszczał jej rozwoju z oka.

Ostatnim z jego zamiarów, jaki w czyn wprowadził, była sprawa systematycznego informowania prasy w kwestyach dotyczących religii i stosunków Kościoła.

Prasa polska pod zaborem pruskim nie dość pozytywnie informuje swoich czytelników o aktualnych zagadnieniach, o nauce katolickiej i nie daje im materyału apologetycznego, któryby służył ku obronie wobec zaczepek zasad religii i Kościoła; zdarzają się nieraz nawet uchybienia; niedostatki te nie są wynikiem złej woli, lecz skutkiem braku współpracownictwa w prasie wykształconych teologów.

Ponieważ leży w interesie krzewienia oświaty religijnej i obrony zdrowych zasad, aby duchowieństwo dostarczało prasie odpowiednich artykułów, więc odpowiednio do tego uchwalił Główny Zarząd *Unitas* wydawać *Wiadomości religijne,* przeznaczone li tylko dla redakcyi gazet katolickich, zawierające gotowe artykuły treści apologetycznej i religijnej (z wykluczeniem spraw po-

litycznych i polemiki partyjnej). Do współpracownictwa wezwał Zarząd wszystkich kapłanów i uzyskał w ten sposób potrzebne siły.

Takie zorganizowanie działalności dla wspólnego dobra Kościoła i społeczeństwa miało, ma i mieć będzie zawsze niezmierne dla interesowanych czynników znaczenie.

Ale ognisko to, to tylko jeden wyraz tego wcielającego się bezustannie w najrozmaitsze objawy życia ducha, jakiego w sobie miał, rozwijał i drugim udzielał i zostawił w spuściznie Wawrzyniak.

Nie było w Wielkopolsce rodzaju organizacyi politycznej, gospodarczej, finansowej, społecznej, oświatowej czy naukowej, do któregoby Wawrzyniak nie należał i przez swoją obecność mimowoli lub bezpośrednio nie zachęcał księży do brania w nich udziału.

Tym faktem przyczyniał się Wawrzyniak w wielkiej mierze do wcielenia duchowieństwa wielkopolskiego w organizm społeczny i działania wybitnego na korzyść wszechstronną społeczeństwa.

Mocą swej siły indywidualnej, wartości bezwzględnej swych przedsiębiorstw i ich sukcesów, legalności swego postępowania pozyskiwał on coraz liczniejsze zastępy duchowieństwa dla swej idei i zaprzęgał do pracy społecznej. Stąd w Wielkopolsce jest tak niezwykła zwartość społeczeństwa, stąd ksiądz w Wielkopolsce nie jest przedstawicielem kasty, uznawanej tylko przez część społeczeństwa, przez pewne jego kategorye, ale jego integralną cząstką, jest obywatelem, członkiem pożytecznego i poświęcającego się dla dobra publicznego stanu, który nie mówi o przywilejach, lecz o równych prawach i obowiązkach z resztą narodu — stąd społeczeństwo wielkopolskie więcej jest jednolite, niż którekolwiek inne. Przytem Wawrzyniak w niczem nie był klerykałem, t. j. wyznawcą pojęcia i postulatu, aby duchowieństwo panowało w społeczeństwie przez zagarnięcie władzy świeckiej.

»Praca nasza jest uciążliwa, niekiedy wprost niesympatyczna — były jego słowa — i z upragnieniem oczekujemy czasów, gdy nasze spółpracownictwo stanie się zbyteczne, gdy nam świeccy odbiorą pracę, do której dzisiaj nie wystarczają... wtedy z chęcią pójdziemy niepodzielni do kościoła i stamtąd błogosławić będziemy uczciwej świeckiej pracy«.

Ale też z drugiej strony nie rozumiał zdania, że nawet wtedy gdy jest potrzeba, skoro jest konieczność, skoro gwałt największy, a świeccy sprawy załatwić nie mogą lub nie umieją, to ksiądz nie powinien dopomódz społeczeństwu ani zaspokoić poszczególnej jego potrzeby, ponieważ jest księdzem. Ze stanowiska swego społeczno-gospodarczego pojąć nie mógł, iżby można wykluczyć z ubogiego społeczeństwa kilkaset zdolnych do każdej pracy publicznej sił, jedynie dla urojenia, iż tem stan może zyskać na powadze. Zmysł jego logiczny na to mu nie pozwalał. Skoro wedle woli Bożej miłość nasza niema być konwencyonalna lecz skuteczna, i skoro każdego obowiązuje, więc też każdy stan w tym kierunku odpowiednimi sposobami i środkami działać winien.

»Od lat toczy się u nas walka, w której stało się potrzebą, iż jako księża musimy naśladować onych mężów izraelskich, którzy oblężoną Jerozolimę fortyfikowali, dzierżąc w jednej ręce miecz, a w drugiej kielnię do wznoszenia murów. Tym mieczem jest dla nas praca około społeczeństwa w jednej ręce, podczas gdy drugą trzymamy się ołtarza i krzyża. Ktoby z nas zadania swego nie rozumiejąc obudwu rękami trzymał się ołtarza, ten świątobliwym być może, ale obowiązków całego człowieka nie wykona« — to znów jego słowa.

Stąd typem księdza wielkopolskiego to ten, który na pierwszem miejscu kładzie obowiązek kapłański i sumiennie go wypełnia, ale który zarazem sądzi, że nie może być dobrym kapłanem, kto nie jest dobrym obywatelem; który służy społeczeństwu w miarę odzywania się jego potrzeb, nie oglądając się na przyjście nakazu oficyalnego ani nie ma względu na wrażliwość rządu pruskiego, który nie myśli o przywilejach swego stanu i nie rości sobie pretensyi nieodpowiednich do dzisiejszego ustroju socyalno-politycznego i usposobienia społeczeństwa, ale który chce, jako równy z równymi, wypełniać swe obowiązki i korzystać z swych praw obywatelskich.

Stąd też w społeczeństwie wielkopolskiem nie spotyka się z zarzutem, że Kościół ma cele odrębne od celów społeczeństwa, i jednostronnie kierując myśl poza światy, każe swoim członkom zaniedbywać obowiązki względem rozwoju jednostki, rodziny,

kraju, kultury ogólnej i zamykać się w ascezie i mistyce. Stąd w Wielkopolsce nie sądzą księża, że chcąc być dobrym duszpasterzem, trzeba się usunąć od zajmowania się rozwiązywaniem najaktualniejszych kwestyi socyalnych a zadowolić się paliatywnymi środkami wobec potrzeb społeczeństwa, że można być dobrym kapłanem świeckim, ale nie potrzeba wypełniać obowiązków obywatelskich i narodowych. Nie, Wawrzyniak mniemał, że skoro jest potrzeba i gwałt, to trzeba ratować i pracować, choćby nikt nie kazał, ani pozwolenia wyraźnego nie dał, i choćby to było »w szabat i święto«.

Tak rozumiał ewangelię i chrześcijaństwo i miłość bliźniego i kapłaństwo i obowiązek jednostki duchownej wobec społeczeństwa — i w tym duchu oddziaływał na drugich.

U niego Bóg i jego królestwo na ziemi stało przed wszystkiem i nad wszystkiem, i zajęcia jego, jak myśli i dążności jego, nie zmierzały w żadną inną stronę, tylko w tę, gdzie się z tem królestwem spotkać musiały. Tylko że potrzeb to królestwo ma tyle, a on sił i zdolności miał więcej od innych, więc też jego działalność była na daleką metę, rozmiar i rodzaje.

Ale jeśli dwa do niego przystępowały obowiązki: jeden bezpośrednio dotyczący duszy ludzkiej, pilny i nieodzowny — a drugi odnoszący się do dobra wielu, ale nie bezpośrednio ani natychmiast do uświęcenia duszy, to potrzeba duchowna duszy ludzkiej zawsze miała pierwszeństwo. Obowiązków duszpasterskich dla pracy społecznej nie poświęcił nigdy, ale sprawiał, że jedne drugim nigdy nie wchodziły w drogę, a zawsze się uzupełniały w owocach.

Mimo pozorów Wawrzyniak materyalistą nie był. Pierwiastek duchowy nie tylko zawsze u niego przeważał, ale wręcz zawsze dominował.

Wawrzyniak zawsze mawiał: Narody mierzy się wedle tego, jak płacą swoje rachunki. Natychmiastowe płacenie rachunków, szybkie załatwianie interesów, odpowiadanie na listy, jest miarą kultury danego społeczeństwa. — Chcecie mieć wpływ na sprawy w gminie, powiecie, prowincyi, sejmie, to płaćcie większe podatki! (t. zn. pracujcie i dorabiajcie się, abyście się dostali do wyższej

klasy podatkowej). — Gmachu gospodarstwa społecznego nie można zacząć budować od wieży ani ozdób na dachu, lecz od fundamentów. — Kto nie ma co jeść, nie powinien zbierać kwiatuszków [1], lecz patrzeć, skądby miał chleb...

Ale jak wyglądała Wielkopolska, gdy Wawrzyniak zaczął pracować?! Przemysłu wielkiego nie było, (jeszcze go do dzisiaj niema); większa własność rolna walczyła z nieumiejętnością racyonalnego gospodarstwa, z brakiem zasad ekonomicznych i kapitału obrotowego i istnienie swe znaczyła subhastami i sprzedażami w ręce niemieckie, a gdy przyszła komisya kolonizacyjna, hurtownie poczęła wyprzedawać dobra; włościanin marniał w ciemnocie, opilstwie i lichwie żydowskiej; rzemieślnik był synonimem niesłowności, partactwa i wstecznictwa wszelakiego, a robotnik stanowił najnędzniejszy, pogardzany przez swoich i obcych proletaryat. Miałże Wawrzyniak takie społeczeństwo zacząć przedewszystkiem leczyć literaturą, filozofią i historyą sztuki i urządzać z tych dziedzin wykłady i odczyty po wsiach i miastach?

Nauka i patryotyzm miały u niego honorowe, poczesne miejsce; popierał je od młodości z zapałem i zawsze swoim ideałom pozostał wierny. Ale zmysł jego logiczny i praktyczny nie pozwalał mu leczyć społeczeństwa nieodpowiedniemi środkami — jak to tylko największa ciemnota czyni, zbierając najpiękniejsze i najwonniejsze zioła na okadzanie niemi złamanego, zbiedzonego lub zgangrenowanego organizmu.

Więc on nie opuszczając nigdy pracy nad uświadomieniem narodowem ludu, udziału w życiu politycznem, kształceniu w historyi i literaturze — zabrał się do podstaw bytu.

On się Wielkopolsce nie przyczynił do zmateryalizowania. On się przyczynił do tego, aby Wielkopolska podnosiła się równocześnie materyalnie i intelektualnie, a zyskawszy silne materyalne podstawy mogła zadość uczynić obowiązkom swoim względem kultury i ogólnoludzkiej i polskiej. Teraz dopiero od lat paru przybywa jednostek, zyskujących swoją pracą po kilkanaście

[1] Stale przezeń używana forma zdrobniała.

i kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu — dawniej człowiek zamożny był rzadkością.

Żeby byli ludzie, co mogą dzieci kształcić i wysyłać na uniwersytety, żeby wieś została polską i dwór polski z chatą polską, żeby po miastach i miasteczkach byli i pomnażali się kupcy i rzemieślnicy polscy, żeby byli ludzie, co mają czas i pieniądze uczęszczać do teatru, kupować książki, chodzić na wystawy sztuki, nabywać obrazy i rzeźby, a choćby tylko reprodukcye i nuty polskich artystów — na to Wawrzyniak musiał pracować.

I tę pracę nad stworzeniem podstaw bytu i nad jego rozwojem uważał Wawrzyniak za powołanie Boże. I słusznie.

Pierwszem przykazaniem danem przez Boga ludzkości, to przykazanie rozwoju [1]. »Słowo to, które zabrzmiało w zaraniu stworzenia, nigdy nie zostało odwołane« [2] i nie będzie. Pismo św. przyłączyło to przykazanie Boże do sprawozdania o rzeczach nadprzyrodzonych, jako dalszą część programu Bożego łącząc oba w harmonijną całość. Zakaz wydał Bóg względem obojętności i gnuśności, rozkaz względem starania się o rozwój wszechrzeczy. Właśnie ta ludzkość, która w pierwszym rzędzie potrzebuje i pragnie nadprzyrodzonych dóbr, właśnie »dzieci Boże« mają się mnożyć na ziemi, wnikać we wszystkie stosunki, nie pomijać żadnego zawodu i żadnego zakresu wiedzy, piąć się na wyżyny, wszędzie poznawać i wszędzie wypełniać coraz to trudniejsze zadania, coraz to doskonalej swoje ideały wcielać i róść w sposoby ujarzmiania ziemi i panowania nad siłami przyrody i wyzyskiwać zdolności człowieka.

To był też ideał Wawrzyniaka. On żył dla rozwoju ludzkości. Religii nieczynnej tak samo nie rozumiał dla ludzkości, jak czynów ludzkich bez boskich idei.

Chrystus przedstawiał mu się jako zbawiciel i założyciel religii, a nie reformator lub ustawodawca społeczny. Więc też

---

[1] »Rośćie i mnóżcie się i napełniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną i panujcie«. Rozdz. 1, 28.

[2] Powiedział arcybiskup Perugii Joachim Pecci, w liście pasterskim z 6 lutego 1877, tuż przed wstąpieniem na Stolicę apostolską.

Wawrzyniak nie uważał chrześcijaństwa za ruch społeczny, lecz za ruch religijny. Ale nie ruch, któryby tamował rozwój ludzkości, lecz go popierał, dawał mu inicyatywę, pracę i ofiarę uświęcał, ogrzewał i oświecał łaskami nadprzyrodzonemi w drodze ku odwiecznemu celowi ludzkości, nie ruch, któryby najlepsze siły unieruchomiał i wyłączał od starania nad rozwojem ludzkości, któryby dawał uniewinnienie na nieproduktywność i bezczynność duchową czy cielesną. Wawrzyniak wziął z ewangelii tego ducha, który nie znosi gnuśnego człowieka, jak zakopywania skarbów, jak rośnięcia drzewa niepłodnego. Świat i człowiek każdy i rzecz każda mu się przedstawiała, jak przez Stwórcę przeznaczone do rozwoju, więc nie mógł znieść martwoty, kwietyzmu, zacofania.

Więc u Wawrzyniaka nie było różnicy zasadniczej pomiędzy zadaniem człowieka, kapłana, duszpasterza, Polaka, członka społeczeństwa nowoczesnego, biorącego udział w nowoczesnem gospodarstwie społecznem i objawach kultury. Bo to wszystko było złączone i do jednego zmierzało celu. Więc też wiedział on, że ma obowiązek i musi brać udział w gospodarstwie i kulturze i to tem więcej, im mniej w gospodarstwie i w kulturze jest ducha chrześcijańskiego, boskoro wycofają się ze świata ci, co tego ducha mają, wtedy pozostawią pole całe synom tego świata. Dlatego nie walcząc nigdy bezpośrednio z przeciwnikami światopoglądu swego, z żydami, socyalistami, liberałami czy ateuszami, tak był on i jego szkoła dla nich niebezpieczny; bo on mówił i czynił ludziom to, czego potrzebowali i co było słuszne i prawdziwe i co wartość posiadało bezwzględną, a nadto dawał to, czego inni dać nie mogli, bo nie mieli.

Stąd też wszystko, do czego dążył, dla czego działał, nazywał bardzo charakterystycznie — mimo różnorodności przedmiotów — sprawą.

Czem była ta »sprawa«? Była ona odmienna, zależna od celów i potrzeb i czasu, ale istota i kierunek jej się nie zmieniał. Sprawą był Bóg, chwała Jego, Kościół, postęp kulturalny ludzkości, dobro narodu polskiego, potrzeby i zadania społeczeństwa naszego, moralne i materyalne podniesienie wszyst-

kich warstw w miarę stosunków, oświata, jak i prawdziwe a słuszne dobro jednostki, prawda, dobro, sprawiedliwość. Wszystko w odpowiednim czasie i odpowiedniej proporcyi i harmonii.

I z tego wszystkiego złożyło się jego życie bujne, potężne, różnorodne w objawach, budzące podziw i zapał — w całokształcie swem jednolite, rozumowane, okupione ofiarą, olśnione zrozumieniem celów człowieka, narodu i ludzkości — wielkie Excelsior — Sursum corda — Naprzód!

Ks. Kazimierz Zimmermann.

NIEZNANY DOKUMENT WŁADYSŁAWA IV.

W jednym z poprzednich tomów *Przeglądu Powszechnego* (tom CVII, nr. 220, str. 205—215) rzuciłem kilka myśli o stosunku Władysława IV do Kościoła katolickiego i religii. Zapatrywania te sprzeciwiają się zupełnie poglądom tych, którzyby chcieli z Władysława IV zrobić nie tylko króla, głoszącego wyższą ponad swoje czasy tolerancyę religijną, ale wprost nieprzychylnego Kościołowi katolickiemu, wrogo usposobionemu dla religii.

Twierdzenie owo było właściwie tylko wnioskiem, wysnutym ze szczegółów prawie nieznacznych, jakie dawały badania źródłowe materyału głównie rękopiśmiennego, — dziś mamy już dokument w ręku, list Władysława IV do papieża, który nie tylko potwierdza ów poprzedni wniosek, ale nawet wykazuje, w jakim stopniu był Władysław religijnym, bo w praktykach życia codziennego.

Dokumentu tego nie można było wprzód przytoczyć, ponieważ nie był znanym, i dopiero w jesieni 1910 r. przeszedł on drogą kupna (u jednego z antykwaryatów niemieckich) do zbiorów hr. Tarnowskich na Szlaku, skąd go łaskawie udzielono do opublikowania.

W przekładzie brzmi ten list następująco:

»Ucałowawszy z czcią stopy Waszej Świątobliwości, polecam najpokorniej Jego łasce siebie wraz z memi państwami i dzierżawami. Nie chciałbym być niepomnym tego wielkiego dobrodziejstwa Bożego, którego doznałem dwa lata temu za wstawiennic-

twem Błog. Stanisława Kostki, kiedy to bardzo cierpiąc na kamień, wzywałem jego pomocy; i dlatego jak najgoręcej błagam Świątobliwość Waszą, aby pozwolił osobnem nabożeństwem we mszy i pacierzach kapłańskich czcić tego pełnego niewinności ducha, który tu niegdyś śmiertelny spędził żywot, teraz zaś wśród błogosławionych duchów króluje, aby pozwolił na to zwłaszcza św. Towarzystwu i mieszkańcom tego królestwa, w którem ujrzał światło dzienne i swój anielski rozpoczął żywot. Na takie bowiem wyniesienie zasługiwać mi się zdaje cnotami swemi, które w bardzo wielu miejscach rozbłysnęły, a także i dobrodziejstwami, które stwierdzono wielorakimi i bardzo świetnymi dowodami. Co się mnie samego tyczy, to wyznaję, że wróciłem od razu do dawnego stanu zdrowia, głównie dzięki temu świętemu. Dlatego nie wątpię, że Świątobliwość Wasza zadosyćuczyni prośbom i życzeniom nie tylko tak wielu poddanych i krajów, lecz i moim własnym i zezwoli, aby błogosławiony Młodzieniec otrzymał ów zaszczyt, który z łaski Stolicy Apostolskiej zwykł przypadać w udziale ludziom wypróbowanej niegdyś i znakomitej cnoty. A to przyczyni się do coraz większego wzrostu chwały Bożej i zwiąże ściślejszym jeszcze węzłem miłości z najlepszym i najwyższym Bogiem dusze ludzi, którzy silnie ufają, że pamięć pozgonna o świętych i ich głos wobec onego niewyczerpanego Zródła Dobroci wiele może i znaczy. Zarazem pragnę, aby Wasza Świątobliwość lat jeszcze wiele w szczęściu i spokoju władał Kościołem Bożym i oddaję się razem z memi królestwami i dzierżawami Jego dobrotliwości i świętej opiece« [1].

Jak z przytoczonej podobizny widać, jest to list, zdaje się, własnoręczny króla Władysława (»zdaje się«, ponieważ przeglą-

[1] Nawiasowo przypomnieć tu można, że król Władysław obrał sobie błog. Stanisława Kostkę, jakby za specyalnego patrona. Po raz pierwszy spotykamy się z tym objawem w 1613, gdy śle do Rzymu, do grobu św. Stanisława wielką tablicę wotywną, dziękując mu za odzyskane zdrowie. O tej swej czci dla błog. Stanisława Kostki pisze wyraźnie w dokumencie z 1633 r. 30 marca, w którym darowuje Jezuitom cenną relikwię błog. Stanisława i publicznie oznajmia i oświadcza, »że z szczególniejszej czci i nabożeństwa do błog. Stanisława Kostki«. Wiemy też, że mu w 1642 r. zawie-

Sanctissime ac Beatissime in Christo
Pri Domine Clementissime.

arcrum Sanctitatis, meiq Regnorum ac Dominiorum meorum
ionem. Cognitione ni me clim ipse immensæ beneficij magnitudo, mihi
per meritu B. Stanislai Kostcæ, quem in maximis calcati doloribus, im-
exhibuit a Sanctitate Tua ferventius postulare, ut innocentissimam
nitis, nunc vero cum Beatis Spiritibus regnantem animam, à Sancta
ius proteque incolis, inque vitæ beatæ auram et primordia accepit
lq. officio persequi ac venerari indulgeat. Quod meritus eius
rus cantus, cum beneficia, variis ysq clarissimis argumenta
dam suis videatur movere. Ego sanè gratus me Beati huius
meritis alq adeo repentinæ sanitati ipsi restitutum. Quapropter
em Tuam rogando tot Hominum ac Provinciarum nostrarum spes
e habuerim, ut nimirum Beatus Stanislaus, cum innocuem qui exspi
plicatis hominibus à fide Apostolica, non raro decreverit
er Te ad Divinam gloriam magis ac magis accendendam pertinebit,
unum maiori spiritalis vinculo Deo Opt. Max. adstringat,
vis humanam Divorum memoriam vorum suffragium apud illum
stis fortem, multum possit et valere confidam. Ipse autem
multis adhuc annis Ecclesiam Dei feliciter et tranquille
rigat atque sacra Tua me cum Regnis Dominijsq comm
27. Decembris. Anno Dni MDCXXXVI Regni

dając mnóstwo listów, wyszłych z kancelaryi Władysława, przekonać się można, że jeden z jego sekretarzy znakomicie naśladował charakter ręki królewskiej), pisany na pergaminie do Ojca św. Urbana VIII z prośbą o kanonizacyę błog. Stanisława Kostki, datowany w Grodnie 27 grudnia 1636.

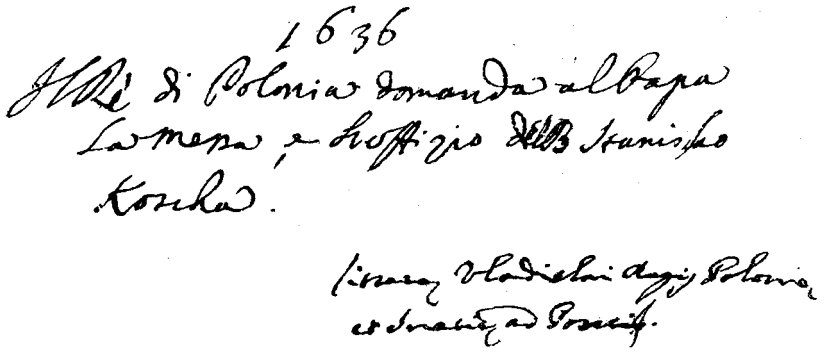

Sam fakt pisania tego listu przez Władysława nie dowodzi jeszcze jego wielkiej bardzo religijności, wszak mógł on to zrobić dla pewnych celów, pod czyimś wpływem, dla zjednania sobie może tak potężnego podówczas w Polsce Zakonu.

A więc nie o fakt pisania tego listu pytać trzeba, ale o treść, z której wynika coś więcej, a mianowicie, że u Władysława była praktyczna religijność i widać głęboko w sercu zaszczepiona, tak, że w swych kłopotach i dolegliwościach codziennego życia szukał pomocy i pociechy w religii, w praktykach pobożnych, jakie Kościół swym wiernym zaleca. Przypomnijmy sobie tekst, gdzie pisze król, że nie chce »być niepomnym tego wielkiego dobrodziejstwa Bożego, którego doznałem dwa lata temu za wstawiennictwem błog. Stanisława Kostki, kiedyto bardzo ciężko cierpiąc na kamień, wzywałem jego pomocy i dlatego jak najgoręcej bła-

---

szono znowu złote wotum przy ołtarzu bł. Stanisława Kostki w kościele jezuickim w Warszawie.

Mając te dane, możemy też łatwiej zrozumieć odę Sarbiewskiego, wydrukowaną w lib. v, od. 16, wyd. Starowiejskie, dlaczego to królowi, wyjeżdżającemu na kuracyę do wód badeńskich, pisze Sarbiewski odę do błog. Stanisława Kostki i błaga w niej o zdrowie dla króla. (Cf. Załęski: »Jezuici w Polsce«, t. III, cz. 2, str. 925, 928, 940).

gam Świątobliwość Waszą« i t. d., by papież pozwolił w całej Polsce, oraz i wszystkim mieszkańcom i zakonowi Jezuitów odmawiać osobne pacierze kapłańskie i mszę św. ku czci tego wyznawcy. I jeszcze raz stwierdza król, że »co się mnie samego tyczy, to wyznaję, że wróciłem od razu do dawnego stanu zdrowia, głównie dzięki temu świętemu«.

Więc w liście tym otwarcie przyznaje się król, że w ciężkich dolegliwościach swoich wzywał pomocy bł. Stanisława Kostki, że głównie dzięki temu wzywaniu, jak mniemał, został nagle uleczony, »bo powrócił do dawnego stanu zdrowia«.

A więc widać, że król musiał w tych właśnie czasach przed r. 1636 udawać się w modlitwie z prośbą o przyczynę błog. Stanisława Kostki w swych dolegliwościach, czyli innemi słowy, że król odprawiał tutaj zupełnie dobrowolnie jedną z praktyk Kościoła, i to taką praktykę, jak ufność w przyczynę świętych i pomoc ich, która to praktyka, wymaga nie bylejakiego, powierzchownego katolicyzmu, ale przekonania i głębokiego przeświadczenia i przejęcia się zasadami kościelnemi.

List niniejszy jest ważnym jeszcze pod innym względem. Oto jak w rozprawie naszej, wyżej cytowanej, »o religijności Władysława IV« stwierdziliśmy, najwięcej wątpliwości w ortodoksyę Władysława wzbudzaćby mogły tylko pierwsze lata jego panowania, gdy jego religijność we wczesnej młodości i w latach późniejszych po 1636 r. jest dość jasnemi dowodami stwierdzoną. Otóż list nasz zapełnia tę właśnie lukę, jaką stanowił pierwszy i drugi rok Władysławowego królowania.

Bo w jakim to czasie król praktykował owe pobożne modły do błog. Stanisława Kostki o uzdrowienie?

Jeśli w r. 1636 dziękuje za otrzymane łaski, a pisze wyraźnie, że otrzymał je »dwa lata temu«, to znaczy, że w r. 1634, czyli właściwie w tych latach, co do których jeszcze nie można było z wszelką pewnością dokładnie stwierdzić, czy wtedy właśnie nie hołdował nieprzychylnym religii katolickiej prądom.

Wobec niniejszego dokumentu upada więc i ta ostatnia możebność czyli innemi słowy, mamy obecnie dowody, że żadna epoka panowania Władysława IV nie może dostarczyć silnych

pewnych argumentów, stwierdzających nieprzychylne stanowisko tego króla dla Kościoła katolickiego; i naodwrót, obecnie wiadomo, że każda niemal chwila ważniejsza z życia tego króla dostarczyć może argumentów, czy szczegółów, które nieuprzedzonemu badaczowi wskażą, że usposobienie tego króla było w gruncie religijnem, mimo wszystkie wady, błędy i zboczenia, popełnione bądź z powodu temperamentu, bądź z powodu jego polityki, czy błędnej, czy nieszczęśliwej.

Ks. K. Konopka.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z literatury homiletycznej.

(Dokończenie)

Pokrewnym omawianym kompletom katechetycznym i perykopetycznym w homiletyce jest dział egzort szkolnych, obejmujący w swoim zakresie podobną tamtym całość. Mimo wielkich braków na tem polu piśmiennictwo to jest dotychczas niezmiernie ubogiem, aż zadziwiająco ubogiem. Tem bardziej jednak przyrost dzieł na polu wymowy kościelno-szkolnej świadczy nam doskonale, że ona poczyna wyrabiać należne sobie stanowisko, że są kierownicy młodzieży, którzy nie szczędzą swojej pracy w skojarzeniu obowiązków powszedniego znoju z wzbogacaniem bibliotek kaznodziejskich.

Dwie najnowsze prace w tym dziale są chlubnym obrazem przymiotów tej wymowy, jak w niej można wyzyskać serdeczną prostotę wśród młodych słuchaczów, a głębokość i wzniosłość krasomówczą, stwarzając nowy rodzaj homiletyczny.

»Egzorty niedzielne, świąteczne i przygodne dla młodzieży szkolnej«[1] ks. d-ra Władysława Wrany przedstawiają nam dzieło kompletne w tem znaczeniu, że znajdujemy w niem egzorty na wszystkie niedziele, przypadające na rok szkolny i święta, oraz z okazyi uroczystości szkolnych t. j. rozpoczęcia roku (2) i na zakończenie (2), przed pierwszą Komunią (2) i cykl nauk rekolekcyjnych (3). Skiero-

[1] Kraków 1910, str. 328.

wane są do uczenic szkół wydziałowych. Szczerze powiedzieć możemy, że brakowało nam takiego dzieła. A tym, którzy tak często powołują się na ubóstwo podręczników rodzimych, wiecznie tylko niemieckie wysuwając na pierwszy plan, możemy dziś wskazać, że jeśli nie lepsze, mamy coraz to więcej zupełnie im równych. W tem zdaniu porównawczem chcieliśmy streścić zalety dzieła. Jakież one są? Treść egzort pojął autor w obecnej pracy, jako praktyczne uzupełnienie wprost życiowe więcej teoretycznej nauki katechizmowej w wykładzie szkolnym. Dlatego tematy te obejmują potrzeby życiowe uczenicy, jej praktyczne stosunki religijne, rodzinne i szkolne, wyświetlone w zaletach i jej wadach powszednich. Znać, że nie chodzi temu duszpasterzowi młodych o przebiegnienie tylko najważniejszych stron życia, ale szuka skrzętnie na złe lekarstwa, do dobrego jasną pokazuje drogę, pragnie wyrzeźbić charakter w poczuciu nawet dążenia do pewnej dostępnej tym duszom doskonałości. A jednak nie znać ani przesady, ani szukania nadzwyczajności na tej drodze, ale czuć wszędzie dobrego pedagoga.

Obrobienie tematów znajdujemy zawsze nader starannem, przystępnie wyłożonem i z szlachetną delikatnością zwróconem do uczenic. Tym praktycznym, moralnym tematom odpowiada niewyszukana ale jasna w swem logicznem rozłożeniu wykładu forma, urozmaicona zwrotami do życia uczenic i łagodnemi zwrotami mówczemi, uczuciami, aktami strzelistemi, udatnie dobranymi wyimkami świeckiej poezyi, przykładami. W zastosowaniu formy kaznodziejskiej znajdujemy: formy homilijne i zwykłego kazania. Styl bynajmniej niewyszukany, w budowie zdań i wyrażeniach dostraja się do tej skromnej, a swą odpowiedniością pod każdym względem ładnej i miłej całości. Egzorty rekolekcyjne nie przedstawiają nam całości nauk rekolekcyjnych w ścisłem słowa znaczeniu, lecz raczej są naukami o sakramencie pokuty, doskonałem przygotowaniem do spowiedzi wielkanocnej. Bardzo będziemy wdzięczni szanownemu autorowi, gdy spełni swą obietnicę wyrażoną w przedmowie i da nam do rąk następne serye swoich egzort. Zapatrywania jego na szablonowe traktowanie przedmiotu egzort szkolnych zupełnie są słuszne; i w tym rodzaju wymowy cykle są bardzo pożądanymi i pouczającymi; młodzież szkolna wiele z nich korzysta i chętniej słucha, niż oderwanych nauk. Również w egzortach powinno się zaznajamiać odpowiednio młodzież z sprawami ogólnie-katolickiemi z głosem ich także pasterzy i Zastępcy Chrystusowego na ziemi.

O ile powyżej omawiane egzorty przedstawiły nam ścisły typ

wymowy religijnej, pasterskiej wśród młodzieży, o tyle inny zgoła charakter noszą »Egzorty świętalne« do uczniów wyższych klas szkół średnich, ks. d-ra A. Bystrzonowskiego [1]. Tu słuchacz inny, tu inne otoczenie, tu słowem świat cały odmienny. Musiał on powołać do życia inne momenta kaznodziejskie, inny sposób rozwinięcia przedmiotu, inną wymowę, któraby dała się wylać duszy kaznodziei z tem wszystkiem, co ona zobaczyła, odczuła i zbadała w potrzebach, ba nawet oczekiwaniach i pochopnie krytycznem oku słuchacza. Tu czuć bez wątpienia także troskliwego pasterza młodzieży, co więcej, kapłana, związanego obopólnem zaufaniem, wzajemnem przywiązaniem, a stąd płynącą szczerością. Ale to wszystko ubrać musiała wymowa zdobna, erudycya interesująca, argumentacya odpowiednim krytycyzmem przekonywująca (co w odnośnikach nawet doskonale uwidoczniono), uczucie patryotyczne, by schodząc do praktyki można było nie bez serdeczności, ale wypowiedzieć nieraz twarde słowo prawdy i zedrzeć łuskę z fałszu zaślepionego uniesienia ideału młodzieńczego. Obok źródeł świętych, na których opiera się wykład tych nauk, przesuwają nam się przed oczyma postacie uczonych na różnych polach wiedzy ludzkiej, z ich zapatrywaniami na kwestye religijne i życiowe; przerzucamy karty z dziejów świata i ojczyzny naszej drogiej; występują jakby z grobów świetlane postacie naszych królów, bohaterów, szermierzy wiary, naszych miłosiernych a pobożnych matron; przemawiają święci wybrańcy Bozi z ołtarzy; słyszym pieśni, co wzbierały pierś mocą swą ku czci Boga; gęśle i lutnie, co chwałę najwyższego melodyjnie wyrażały; widzimy świątynie i dzieła rzeźby i pendzla, co wszystkie służyły Panu Panów — Królowi wieków. To Wawel i u stóp jego, sercem Polski zwany, Kraków, opowiada swą przeszłość chwalebną, to wśród tych ruin pomiędzy starem a nowem miastem szmer Wisły chce pośredniczyć, tłumaczyć tradycyę wiary ojców naszych i podać ją, jak on wiarus z łbem poszczerbionym pod lipą starą, młodemu wiekowipodstawę i siłę i związkę naszą wspólną — wiarę.

Wszystko to stylowo przeprowadzone, związane ze sobą bez przesady, stanowi całość, pod względem kaznodziejskim niemało wykwintną, odzwierciedla zdolność dla krasomówstwa kościelnego wcale niepoślednią i dobrze przytem wyszkoloną. Cały wzniosły nastrój doskonale odpowiada świątecznemu pewnemu oczekiwaniu słuchacza,

[1] Kraków 1909, str. 319.

prawdziwie go podnosi i psychologicznie buduje z pełnem zadowoleniem.

O formie kaznodziejskiej tych egzort więcej mówić już trudno, są to egzorty w szerokiem tego słowa znaczeniu świąteczne w ścisłych ramach krasomówczych, egzorty o Świętych mają formę panegiryku moralnego. Treść ich porusza najważniejszą kwestyę dla młodzieńca: podnosi konieczność nauki i pracy, moralności, obowiązków względem ojczyzny i Kościoła, pobożność i jej akty, nabożeństwo do Najśw. Dziewicy Maryi. Nie wszystkich egzort treść jest zupełnie samodzielną. Tak n. p. przy egzorcie o świętym Stanisławie Kostce zwraca autor naszą uwagę, że treść jej zaczerpnął z dziełka ascetycznego ks. Bratkowskiego »Najśw. Sakrament w życiu św. Stanisława Kostki«. Wstęp do tej egzorty jednakże wyjął autor z obrazowego przejścia do aplikacyi w kazaniu innego autora na uroczystość św. Alojzego (por. »Kazania i szkice« księży Tow. Jez. t. IV, str. 457 i 458, r. 1900), dając nam przykład jak można rozmaicie efektowne miejsca krasnomówcze wyzyskać. W całem dziele mamy 21 egzort: na rozpoczęcie roku-szkolnego (2), do abituryentów (1), na zakończenie roku szkolnego (1), świętalnych (8), o świętych (7), reszta innej treści.

Przechodzimy do przejrzenia kazań ujętych w cykle. Mamy najpierw cykle kazań pasyjnych.

Ks. kanonik Franciszek Walczyński podaje nam w swem dziele »Kazania pasyjne o tajemnicach Krzyża Pana Jezusa«[1] dwa cykle. Obydwa biorą za przedmiot chwile męki Pańskiej, związane szczególnie z drzewem krzyża św. A więc, w pierwszym patrzymy na P. Jezusa kiedy przyjmuje i dźwiga krzyż, trzykroć pod nim upada, jak Szymon Cyrenejczyk pomaga w dźwiganiu krzyża, dalej na obnażonego Zbawcę i przybitego do krzyża, śmierć Jego krzyżową, zdjęcie z drzewa zbawienia a kończy go kazanie o trzech krzyżach. W cyklu drugim stawia nas kaznodzieja pod krzyżem, jako przy ołtarzu ofiarnym, zwierciedle, chorągwi zwycięstwa i pokoju, otwiera w nim księgę zbawienia, podaje drzewo żywota, laskę pasterską i pielgrzymią, lekarstwo na godzinę śmierci. Pierwszy cykl opowiada nam dzieje męki Pańskiej, gdy wtóry usuwa niejako ten przedmiot na drugi plan a pokazuje samo drzewo krzyża św. w znaczeniu, jakie ma dla życia człowieka. Tematu wszelako męki Zbawiciela bynajmniej nie usuwa z przed oka słuchacza, jak widzimy z powyższych tytułów, tylko

[1] Tarnów 1909, str. 169.

z innego punktu je rozpatruje. W pierwszym idzie konsekwentnie z ewangeliczną opowieścią, o ile ona wchodzi w zakres tematu, spożytkowuje odpowiednie obrazy biblijne, innych źródeł wobec tego słusznie nie szukając. Bo każde zbyt już słabemby się okazało do zrozumienia wielkomyślności Boga w odkupieniu, grozie natury grzechu, a wywołaniu gorących uczuć i postanowień koniecznych ku poprawie życia. Podobnie jak w poprzednio wydawanych seryach eucharystycznych dla praktyki, bardziej tu poświęca autor ciągłość, odsłaniając dobrze znaczoną budowę rozwinięcia myśli. Cała ta serya ma budowę homilii syntetycznych. We właściwem słowa znaczeniu bardziej formę kazania ma serya druga, gdzie zachodzi temat bardziej pełny, obrobiony, z punktu szerszego widzenia, bo opowieść samej męki Pana Jezusa nie krępuje go tak ściśle z biegiem ewangelicznym; już znajdujemy tu i myśli zastosowane skądinąd i przykłady zwłaszcza z Dziejów Apostolskich i wybrane teksty Ojców św. i ścisłe zastosowanie praktyczne. Acz nie we wszystkich kazaniach ale i tutaj odkrywa się forma w swych jawnych podziałach. W obu seryach, co zresztą właściwością jest autora, widzimy wypracowanie kazań starannem, dobrze zbudowanem i obrobionem. Wszędzie znać dobrą technikę jak w ogólnej formie, tak w przeprowadzeniu tematu, figur i uczuć. Harmonia wskutek tego panuje w kazaniach, aczkolwiek nie zatarła ona wrażeń, jakim ulegał kaznodzieja w różnych tematach. Do zalet również należy urozmaicenie tych kazań myślami głębokiemi, przemyślanemi oraz podstawą do wywołania afektów lub dekoracyi mowczej w pieśniarstwie pasyjno-religijnem.

»Kazania pasyjne« ks. Kądzioły [1], lubo skromne pod każdym względem stanowią dziełko, nie mogą obojętnie przejść w piśmiennictwie kaznodziejskiem. Sposób wydania od razu uprzedza nas o formie kaznodziejskiej. Każde kazanie poprzedza doskonale zestawiona odnośna konkordancya ewangeliczna. A więc mamy przed sobą homilie o męce Pańskiej, homilie nie tyle syntetyczne, ile analityczne. Dlatego nie masz tu prócz określonego z góry tematem podziału. Jako temat zaś wziął sobie kaznodzieja: ogrojec, pojmanie, osądzenie na śmierć P. Jezusa, zaparcie Piotra, Piłata, biczowanie i krzyżowanie. Ale ile tu zapału, ile uczucia, ile refleksyi roztrząsających życie i sumienie, ile tych uczuć miłości ku Zbawcy Panu, ale i ku słuchaczowi. Autor obok stylu obrazowego, ma dużą dozę przejęcia się przedmiotem, owszem

[1] Kraków 1909, str. 80.

uniesienia, szeroki akord uczucia, które zarówno potrafi rozrzewnić słuchacza, jak wprawić w głębokie oburzenie i wstrząsnąć. I tem panuje nad swem audytoryum, przykuwa, porywa i kieruje do celu swego kazania. Cykl ten należy do bardzo dobrych opracowań, takich, w których nie tyle znać mozoł trudu i pracy ciężkiej, ale łatwą zdolność kaznodziejską.

Cykl eucharystycznych kazań ks. Edmunda Gryglewicza, proboszcza w Ślesinie w Ks. Poznańskiem, »Kazania o Najśw. Sakramencie« [1], ukazał się już w drugiem wydaniu. W szesnastu kazaniach objął autor najważniejsze punkta nauki Kościoła o Najśw. Sakramencie. Rozpoczyna cykl kazanie ściśle dogmatyczne »o rzeczywistej obecności P. Jezusa w Najśw. Sakramencie«. Gdzie dobrym a popularnym stylem kaznodziejskim wyłożył ścisłą naukę Kościoła o tej tajemnicy. Konsekwencyą tego jest kazanie o czci należnej. Utajonemu Panu. Dalej idą kazania natury moralnej i ascetycznej, o przygotowaniu do Komunii św., skutkach godnej Komunii, o Komunii świętokradzkiej i jej skutkach, o dziękczynieniu i zachowaniu się po Komunii św., nawiedzeniu Najśw. Sakramentu, Komunii duchownej i bardzo potrzebne, a w temacie zbyt mało poruszonym o wiatyku. Do kompletu chętnie widzianemby było kazanie o codziennej Komunii i o Komunii dzieci. Tych najnowszych dekretów papieskich w omawianej kwestyi nie mógł wyzyskać autor, gdyż później dopiero zostały ogłoszonymi i wskutek tego nie zostały wskazanymi w konkursie, dla którego ten cykl autor opracował. Kazania to nie przeciągłe, temat jędrnie i bardzo poważnie traktowany, forma kaznodziejska lubo prosta wszędzie poprawna, styl nie wzniosły ale w dobrym wykładowym tonie kaznodziejskim trzymany, uczucie nie unoszące się nigdy ale spokojne, równomierne. Noszą na sobie te kazania piętno przetrawionego przedmiotu, pracowitego obrobienia i dobrego dla ambony popularnej przygotowania. Dzieło to odznaczone zostało na konkursie redakcyi dawnego *Dwutygodnika katechetycznego i duszpasterskiego* w Tarnowie.

Tak niezmiernie popularny i bardzo dobry podręcznik Zollnera *Die lauretanische Litanei,* przyswoił naszemu piśmiennictwu homiletycznemu ks. Tomasz Dąbrowski. »64 nauk majowych o litanii loretańskiej« [2] różnią się jednak od pracy Zollnera, którą ks. Dąbrowski nazywa właściwie tylko podłożem swojej. Różnią się mianowicie liczbą

[1] Tarnów 1910, str. 283.
[2] Lwów 1908, str. 323.

nauk. Ks. Dąbrowski podzielił bowiem materyał na dwie części t. j. wykład litanii podzielił na dwa maje (w praktyce kaznodziejskiej, sądzimy, byłoby to anomalią), podwójne mamy skutkiem tego nauki: wstępną i konkluzyjną; z natury rzeczy dodał prócz tego brakujące jeszcze u Zollnera wezwania: »Matko dobrej rady«, »Królowo Różańca św.« i dla nas specyalnie »Królowo Korony Polskiej«, obrobił je wszakże i utrzymał doskonale w charakterze reszty nauk. Również 16 przykładów u Zollnera zastąpił dla nas odpowiedniejszymi. Nauki, które w niemieckiem autentycznem wydaniu zbyt może były długiemi, skrócił i skierował w zastosowaniu praktycznem bardziej do swojskich stosunków. Dzieło też nie nosi na sobie kajdan niewolnictwa, na jakie zwykle tłumaczenia są narażone. Styl czysty i miły, wykład kaznodziejski dostrojony do tego rodzaju wymowy wykładowej, dużo myśli jasnych a głębokich, łatwość oryentacyi, oto zalety tego dzieła. Wykład litanii loretańskiej Zollnera należy do najlepszych; wielką też przysługę oddał ks. Dąbrowski podając nam w bardziej rodzimej formie do przygotowania nauk majowych. Doskonale jednak pewne tematy mogą służyć do kazań i nauk poświęconych czci Matki Bożej, głoszonych w rozmaitych okazyach kaznodziejskich.

Skromniejszym o wiele od poprzednich cyklów w zakresie homiletycznym jest zbiór nauk, przeznaczony dla matek chrześcijańskich: »O wychowaniu«, wydany z papierów pośmiertnych po ś. p. ks. lic. Augustynie Jaskulskim († 1906) przez ks. Stanisława Okoniewskiego [1]. Wydawca w przedmowie rzucił nam kilka rysów życia tego gorliwego kapłana, oraz pogląd na dzieła jego kaznodziejskie tak ogłoszone już drukiem jako też pozostałe w rękopisach. Jednem z największych dzieł życia ks. Jaskulskiego, to praca religijna nad odrodzeniem społeczeństwa przez matkę. Rzuciwszy szczęśliwie myśl w swej mowie na wiecu w Poznaniu zakładania Bractw Matek chrześcijańskich, sam całą duszą oddał się ulubionej pracy. Owocem jej szereg również prac drukiem ogłoszonych i ta obecnie z rękopisów wydana. W 83 naukach przedstawił autor znaczenie kobiety i matki pod względem religijnym i społecznym, opisał jej wpływ na wychowanie jednostek, rodzin i społeczeństw; ich obowiązki i cnoty; środki i sposoby, jakimi posługiwać się powinny i podnieść poziom chrześcijańskiego spełniania swych najpiękniejszych zadań życia. Ale to nie tylko ogólne jakieś rysy. Bardzo szczegółowo wyczerpuje swój temat, roztrząsając drobiazgowo mo-

[1] Poznań 1909, str. 311.

menta pedagogiczne, dotyczące tak wykształcenia ciała jak duszy dziecka, wszczepiania cnót nadprzyrodzonych zarówno jak i tych zalet, które odnoszą się do naturalnego uszczęśliwienia człowieka. Nauki te treścią swoją przeznaczone są dla klas średniomieszczańskich i cykl ten dla matek tej sfery jest doskonale wykończonym kursem religijno-pedagogicznym. W każdej nauce przedmiot jasno i treściwie opracowany, forma kaznodziejska również prosta, odpowiadająca krótkim przemówieniom kościelnym, styl jędrny, mający w sobie chwilami dużo żywej swojskości; słowem całość w swym skromnym zakresie widzimy wzorowo przeprowadzoną.

Od szeregu lat w czasie wielkopostnym przyjętym już dzisiaj powszechnie zwyczajem, wygłasza do mężczyzn w Warszawie w kościele pokarmelickim ks. prof. Antoni Szlagowski konferencye rekolekcyjne. W ścisłem słowa znaczeniu nie przedstawiają one systematycznego wykładu tematów rekolekcyjnych. Są to cykle konferencyjne o różnorodnym temacie religijnym, zawsze budującym, często poświęconym kwestyom aktualnym, przeznaczone szerokim warstwom inteligencyi. Takim np. jest właśnie szósty rocznik, jaki mamy przed oczyma, poświęcony głównie sprawie modernizmu [1]. Znajdujemy w nim cztery konferencye: 1. Wiara w pojęciu katolickiem a modernistycznem; 2. Wiara w życiu; 3. Prawda według nauki Kościoła oraz twierdzeń modernistów; 4. Prawda w życiu. W tytułach samych odzwierciedla się nam doskonale układ konferencyi, z których pierwsza i trzecia są natury teoretyczno-apologetycznej, dwie pozostałe konsekwencyą ich praktyczną. Trudny temat zbliżyć do słuchacza, a słuchacza do tego uprzedzonego a w swej ignorancyi religijnej przeświadczonego o własnym rozumie, to niełatwe zadanie. Ale przyznać należy, że ks. Szlagowski zrozumiał świetnie swoje zadanie. Pod szatą pewnego poloru, uczoności, pewnej towarzyskiej wykwintności formy, pewnego jakby szacunku dla owego samomniemania o sobie słuchacza, stylem lapidarnym nawet często, wykłada mu najprostsze, zasadnicze prawdy katechizmowe; usuwa wtedy już na bok powłokę naukową, którą chciał ująć słuchacza, i występuje jawnie, jako nauczyciel Kościoła, wbija mu owe prawdy w przekonanie, jak dziecku w szkole. Praktyczne konferencye są bardzo trafnem roztrząśnieniem sumienia inteligencyi naszej z obowiązków względem wiary w codziennem życiu. Ale i tu, kiedy wykazuje sławny

[1] »Konferencye wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn«... Warszawa 1909.

w tych sferach brak wykształcenia religijnego, brak konsekwencyi pomiędzy imieniem katolika a jego życiem, kiedy gani i karci surowo lekceważenie sprawy religijnej w życiu, chwyta słuchacza ustawicznie szanującem jego miłość własną przedstawieniem, a uczuciem kapłańskiem doprowadza do uznania winy i praktycznego postanowienia w odnowieniu wyznania wiary ustami i w uczynkach. Obserwując serye konferencyi rekolekcyjnych ks. Szlagowskiego, widzimy w tym kierunku coraz większe udoskonalenie. Jeżeli w pierwszych było zbyt dużo błyskotliwości, aż do przesady wykwintności formy, popisywania się rozległą erudycyą świecką, tak, że przedmiot i cel właściwy konferencyi ginął, to dziś ten talent bujny i barwny znalazł dla siebie właściwy ton dekoracyjny dla przedstawienia w szlachetnej wykwintności formy pełnego powagi i majestatu przedmiotu. Ten przedmiot wysunął się na pierwszy wobec tego plan, pogłębił, zaokrąglił i znalazł we właściwej mu oprawie źródeł świętych. Niepośledni naprawdę w tym kierunku talent ks. Szlagowskiego, stanął też o wiele wyżej pomiędzy pierwszymi wśród naszych konferencyonistów religijnych.

Bez wątpienia, w rodzaju konferencyjnym niepośledniemi zdolnościami cieszy się ks. Szlagowski, właściwym jednak terenem jego talentu to krasomówstwo okolicznościowe. Te dzieła jego należą w ścisłem już słowa znaczeniu do literatury pięknej. To już nie dzieła rękodzielnicze usilnej pracy i mozołu, to nawet nie dzieło zwykłego artysty, ale utwory pewnego geniuszu, przechodzące zwykły poziom szeregu podobnych dzieł zarówno pięknością pomysłu, harmonią układu i stylu, jak głębokością myśli i wzniosłością szerokiego, chwilami, rzeklibyśmy, natchnionego uczucia. »Mowy żałobne« [1] w zupełności usprawiedliwić powinny nawet po kilkakrotnem czytaniu, owszem wzmocnić to jakoby pierwsze nasze wrażenie. Dzieło to należy do najpiękniejszych, jakie w ostatnich latach literatura kaznodziejska pozyskała. Dawno już znękana, kajdanami rządu skrępowana Polska Kongresowa nie słyszała tej prawdziwie rodzimej wymowy kapłańskiej, wiążącej przed tronem Bożym dzisiejszych czasów z dawnymi. Zapewne, że niezwykły dla nas właśnie powab stanowi ten element obywatelsko-patryotyczny, ta swoboda, kiedy po długich, więziennych latach tam przed nami »nowe horyzonty rozsnuwają się, nowe pola otworzyły się

[1] Z przedmową ks. kan. d-ra Zygm. Chełmickiego. Warszawa 1909. Str. 184.

do pracy, nowa moc zbudziła się w nas i myśl pracuje żywiej i serce bije głośniej i krzyż wzbija się wyżej i proporce narodowe powiewają«. To nie efekt więc tylko teatralny, to poczucie zbudzone wylewa naturalnym biegiem całą duszę, otwiera serce tem pełnem, tajonem dotąd uczuciem. I to jest właśnie, co nie stanowi już taniego szablonu lub prostej reklamy, ale jest koniecznem a wiernem odbiciem historycznej chwili dnia, co nadaje również niepoślednią wartość tym mowom żałobnym.

Inną ich zaletę znowu stanowi umiejętność kaznodziejska odczucia zarówno momentów w życiu zmarłych osób, nad zwłokami których przemawia, i okoliczności, jako też usposobienia słuchacza dla wyzyskania go dla celu budującego, kościelnego. On zarówno umie z wszelką delikatną elegancyą przemówić wśród inteligencyi wielkomiejskiej, jak podniosły styl złączyć z jasnem zrozumieniem siermiężnego ludu w wiejskim kościółku. Wskutek tego treść też tych mów żałobnych nie tylko że pozostawia estetyczne wrażenie, ale przytem posiada wartość rzeczową. To znowu nie zbiór tylko komunałów i pochlebstw, których mowca stanowczo unika, ale strona życiowa, opracowana starannie albo na szerokiem tle przeżytych czasów, albo w cichych cnotach kółka rodzinnego, miłosierdzia czy krzyża Pańskiego, stanowi zawsze pouczający wzór, zachętę i pobudkę do dobrego. Przesuwają nam się postacie kapłanów, zasłużonych obywateli i czcigodnych, dobroczynnych matron, a każda w swej sferze tak prawdziwie odmalowana.

Formą kaznodziejską ks. Szlagowski włada biegle. To też i tutaj dał ją prawidłową w takich mowach, a jednak płynie mu ona z całą naturalnością, nie krępując talentu, ale go ozdabiając. Aczkolwiek używa często udatnych wyimków poetycznych, to jednak przeważa wszędzie ten stosunek należny w Kościele, jako pierwszorzędny Pismu Bożemu; zawsze znać, że to przemawia kapłan i na miejscu świętem.

Dzieło całe podzielił autor na dwie części. W pierwszej pomieścił mowę żałobną na nabożeństwie za papieża Leona XIII, dalej mowy nad zwłokami zmarłych kapłanów: ks. Wawrzyńca Gawrońskiego, Władysława Magnuskiego, Andrzeja Retkego, Stanisława Kazańskiego, Teofila Osińskiego, Wacława Martwińskiego, Jana Gołaszewskiego, Józefa Piarowskiego, Antoniego Stelmaszczyka i Józefa Pliszczaka. Druga część zawiera mowy z powodu śmierci ludzi świeckich: Ludwika Górskiego, Witolda Pisanki, Adolfa Fiatowskiego, Stanisława Niemiry

i dwóch niewiast: Julii Wiemanowej i Teresy z Gutkowskich Paciorkowskiej.

Jeszcze słowo o pomocniczych pracach homiletycznych.

Dzieł o Matce Bożej nigdy nam nie zawiele. W praktyce kaznodziejskiej tyle razy przychodzi nam wszakże mówić o Pani Niebieskiej, a zawsze w tem niewyczerpanem źródle myśl znajdzie nowe światła i nowe drogi, które tworzą nowe dzieła duszy, wmyślającej się w Jej żywot. Do takich należy też »Podręcznik do nauk i kazań o Matce Boskiej« [1], opracowany przez ks. kan. Fr. Walczyńskiego. Autor podaje nam 30 nauk. W pierwszych nakreśla stosunek Matki Bożej do Chrystusa, stąd Jej piękność, wielkość, świętość, doskonałość. Najświętsza Panna jest jednak najwierniejszem odzwierciedleniem wzoru Jezusowego w chrześcijaństwie, Ona praktycznie w cnotach życia świętego codziennego, w spełnianiu jego obowiązków, pokazuje nam »drogę, prawdę i żywot« — Jezusa! O to chodziło też autorowi w rozwinięciu swoich nauk, t. j. o pogłębienie wewnętrznego życia i pomnożenie cnoty. W szeregu tych nauk przedstawia też ów niezrównany ideał w różnorodnym kierunku wewnętrznej dążności spełnienia jakby programu Apostoła: »żyję ja już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus«. I właśnie dlatego ma szczególniejszą dla nas wartość, że skłania nasze życie do naśladowania Maryi, Jej cnót i ozdób, co nas zachwycają, pociągają nierzadko jednak bez oddźwięku praktycznego w duszy. Jasność i zwięzłość ujęcia przedmiotu, trzeźwe i nader praktyczne zapatrywanie na codzienne potrzeby, dobrze, synoptycznie rozłożony materyał zalecają ten podręcznik do łatwego przygotowania się zeń na ambonę.

Niemałe usługi homiletyce oddają zbiory przykładów. Zbiorów takich przykładów mamy kilkanaście bardzo obfitych wydań. Niestety są to przeważnie przeróbki, kombinacye lub tłumaczenia podobnych wydawnictw niemieckich, łacińskich i francuskich. Stąd może właśnie pochodzi, że i w utworach kaznodziejskich znajdujemy przeważnie przykłady brane z obcego nam świata i obcych stosunków. Odczuwaliśmy bardzo ten brak poszanowania ku własnej przeszłości i pamiątkom, niejednokrotnie zaznaczając nawet w krytykach kaznodziejskich. Tem bardziej interesującem jest dla nas i, jak mniemamy, przyczyni się dużo do poprawy w tym względzie stosunków wydawnictwo ks. Jó-

[1] Tarnów 1910, str. 350.

zefa Makłowicza »Przykłady ojczyste do nauki katechizmu« [1]. »Blizki a domowy przykład krwi twojej — cytuje autor słowa Skargi — prędzej cię poruszy ku naśladowaniu cnót, nabożeństwa starożytnego, i karanie niepobożności rychlej cię przestraszy«. Oto cel i najogólniejszy program, jaki zakreślił żmudnej, iście mrówczej pracy swojej, a o tak pięknej idei. Mamy więc pierwszy zbiór przykładów ojczystych. Autor zebrał dla niego kilka tysięcy przykładów ojczystych. Rzecz rozłożył według rozdziałów i tytułów katechizmowych na cztery tomy. Jeśli chodzi o tomy, jakie mamy przed sobą, wolelibyśmy dla maryologicznej części znaleźć osobną część, nie wtrąconą niewolniczo pod trzeci artykuł wiary. Przyznać trzeba, że wybór przykładów mamy i obfity i przepiękny, przykładów, jakich ta ziemia nasza, »matka świętych« i krwią męczeńską przesiąkła, dostarczyła nam wiekami. Prawda, że nie wszystkie są równo opracowane i opowiedziane w zupełności, wiele tylko napomkniętych i naszkicowanych, ale są to przeważnie albo bardziej znane i łatwiejsze do odszukania, albo takie, które prócz faktu samego żadnych okoliczności nam nie przekazały, zostawując ich opowiedzenie odpowiedniemu stylowi oratorskiemu. Prócz przykładów, co czynami do nas przemawiają, zamieścił autor mnóstwo przepięknych wspomnień starożytnych, wyimków poetów i pisarzy, sentencyi. Lubo w ścisłem znaczeniu nie są one przykładami, przecież, oceniając dzieło tu wyłącznie z punktu widzenia homiletycznego, musimy podnieść ich ważność dla kaznodziejstwa a zwłaszcza w stylu konferencyjnym. Ileż to razy i tą drogą poloru, erudycyi musi dzisiaj kapłan zyskać sobie słuchacza. Niepodobna zawsze mieć pod ręką całych bibliotek literackich, a choćby się miało w danej chwili one wertować dla paru cytatów. Ważniejsze i lepsze i bardziej budujące dla ambony znajdziemy już dzisiaj w zbiorze ks. Makłowicza. Za tę pracę prawdziwie kaznodzieje będą autorowi wdzięcznymi, bo oddaje im w ręce rzecz nie tylko bardzo pożyteczną i potrzebną, ale dzieło, które niemało w ich ustach wpłynąć może na ożywienie ambony duchem ojczystym i rozbudzenie tem większej miłości i wdzięczności ku Bogu, który w Opatrzności swojej tyle ukochał ojczyznę naszą. Tu na każdej karcie znajdziesz najwierniejsze tłumaczenie, co znaczy to chlubne nasze hasło: *Polonia semper fidelis.*

Ks. Jarosław Rejowicz.

---

[1] Lwów—Warszawa. 1910. Tom I, str. 353. Tom II, 1911, str. 352.

Z literatury krytycznej.

Zygmunt Wasilewski: »O sztuce i człowieku wiecznym«. — Kornel Makuszyński: »Dusze z papieru«. I—II. Lwów 1911.

Książka Zygmunta Wasilewskiego: »O sztuce i człowieku wiecznym« jest jedną z najpoważniejszych książek z zakresu krytyki literackiej, które ukazały się w ostatnich czasach.

Przyczyną tego jasno określona myśl przewodnia tej publikacyi, którą to myśl autor przy każdej sposobności podkreśla, umacnia i uzasadnia. Ideałem zaś Wasilewskiego jest »człowiek wieczny«, którego tak definiuje: »Jest to człowiek etyczny, zdolny do czynu, jako rzecznik sumienia narodowego« (str. 163). Postulat ten jest głównym punktem, z którego autor wychodzi lub do którego zmierza niemal we wszystkich szkicach zawartych w książce. Ze stanowiska tego poglądając, krytykuje on, ocenia i charakteryzuje twórczość Słowackiego (»Poeta w apoteozie narodowej«, »Między poezyą a czynem«), ze stanowiska tego ostrej krytyce poddaje wywody A. Górskiego w znanej jego książce »Monsalwat«, ze stanowiska tego omawia »spór o człowieka« pomiędzy Pieńkowskim i Lutosławskim, by w ostatnim szkicu swej książki (»Człowiek wieczny«) pojęcie swe »człowieka wiecznego« uzasadnić i wydedukować na podstawie poezyi i poglądów filolozoficznych Adama Mickiewicza. W jednym tylko szkicu nie porusza autor tego zagadnienia, a to w szkicu: »Opowieść i poezya«, w którym zastanawia się nad różnicą zachodzącą pomiędzy powieścią »ludową«, w najszerszem tego słowa znaczeniu, to jest powieścią, gdzie przedewszystkiem chodzi o fabułę, a powieścią artystyczną, literacką.

Wogóle podkreślić należy, że książka Wasilewskiego pisana jest poważnie, na podstawie głębszego przemyślenia każdego poruszonego tematu, i jeżeli nie zawsze przekonywa, to w każdym razie zmusza do zastanowienia i poważnych refleksyi. I w tem jej wielka zaleta.

Znany nowelista i recenzent teatralny lwowski, Kornel Makuszyński, przereklamowany (nieraz nawet w sposób niesmaczny) ku własnej szkodzie przez organ, w którym pracuje, przez swych wydawców i przez cały legion »literackich przyjaciół«, zebrał swe recenzye teatralne, przejrzał i skrócił, i ułożył z nich dwa tomy, nadając im tytuł dość dziwaczny: »Dusze z papieru«.

Nieraz już miałem sposobność stwierdzić, że Kornel Makuszyński posiada przedewszystkiem talent reportersko-dziennikarski, nadający się

bardzo do zapełniania fejletonów dziennika rzeczami pisanemi stylem gładkim, lekkim, błyskotliwym, okraszonym (a nieraz przeładowanym) zgrabnymi dowcipami, czasem tylko przechodzącymi w tani, zdawkowy dowcip brukowej humorystyki, specyalnie lwowskiej. To sprawia, że artykuły i nowele Makuszyńskiego czytają się bardzo mile, że nieraz wywołają uśmiech na ustach największego hipochondryka, ale... są przy tych wszystkich swych rzetelnych zaletach, bardzo, bardzo... niegłębokie, tak powierzchowne, że ta ich płytkość wypływa, gdyby oliwa na wierzch, z pod całej, usiłującej zwieść czytelnika, jaskrawej osłony fajerwerków słów, dowcipnych i pseudodowcipnych »witzów« i innych, bardzo uciesznych słownych »kawałków«.

Tę właściwość posiadają i recenzye teatralne Kornela Makuszyńskiego. Nie można twierdzić, że pozbawione są one wszelkich zalet. Przeciwnie, wiele w nich trafnych uwag (czasem nawet znajdziemy i zapał chwilowy i szczery liryzm, jeżeli autor zapomni na sekundę, że jego »powołaniem« jest sztucznem »witzowaniem« bawić P. T. Publikę lwowską, w co zapewne sam wierzy, albo weń wmówiono), ale nieraz zamiast krytycznej oceny, mamy jedynie pseudohumoreski, pisane na tle granej w teatrze lwowskim sztuki, co świadczy wprawdzie dobrze o podkreślonych właściwościach talentu (i rodzaju talentu) Makuszyńskiego, ale równocześnie powoduje, że jego recenzye teatralne, jako sprawozdania teatralne, nie mają żadnej wartości, gdyż ani laika nie zmuszą do zastanowienia się nad sztuką widzianą w teatrze, ani też dla kierownictwa teatru nie są materyałem do jakichś wskazań obowiązujących. Rzecz jasna, że takie traktowanie kwestyi sprawozdań teatralnych odbiera im znaczenie czynnika decydującego lub kierowniczego w sprawach teatralnych lwowskich, mało bowiem kto wyławia z pod osłony pustych dowcipów to, co niekiedy jest w tych recenzyach rzeczywiście wartościowem, a prawie wszyscy czytają je, jako zabijające nudę lub zły humor błyskotliwe humoreski. Korzyść przeto z dwutomowej publikacyi Makuszyńskiego chyba ta, że omawiają one repertuar teatru lwowskiego w ostatnich latach, a samo poznanie tego repertuaru w pewnym okresie czasu, pozwoli baczniejszemu czytelnikowi, na podstawie własnych sądów krytycznych, dojść do odpowiednich wniosków o stanie sztuki dramatycznej w Polsce i zagranicą, w jej odbiciu na lwowskiej scenie.

Adam Stodor.

Medycyna pastoralna. Podręcznik dla kleru katolickiego. Opracował *dr. Julian Czarnecki,* lekarz w Gnieznie. Wydanie drugie. Gniezno 1910.

Jak bardzo pożytecznemi, a nawet niezbędnemi w duszpasterstwie są pewne wiadomości z dziedziny medycznej, nie tajnem zapewne żadnemu z kapłanów. Wielorakie obowiązki jego względem szukających u niego pomocy, pociechy, wzmocnienia i lekarstwa na choroby duszy, które niestety bardzo często mają swe źródło w chorobie organizmu, stawiają go nieraz w przykrem położeniu niepewności, jak sobie w danym wypadku postąpić, jakiej rady potrzebującym udzielić. Niektóre z tych wiadomości uwzględniają autorzy teologii moralnych i pastoralnych, ale bardzo krótko i jakby mimochodem. Dzieł medycznych alumni seminaryów ani kapłani nie mają sposobności ni czasu pogłębiać; nadto dużo tam rzeczy wcale niepotrzebnych w urzędzie kapłańskim; dlatego bardzo upragnioną było z dawna rzeczą, aby ktoś, który odczuwając z jednej strony te braki w wykształceniu duchowieństwa, a z drugiej znowu posiadając odpowiednią ku temu wiedzę, powyciągał z literatury medycznej te wiadomości, które czyto konieczne, czy też pożyteczne są w duszpasterstwie, ułożył je należycie, wydał i oddał na usługi duchowieństwa. Pracy tej podjęło się kilku zagranicznych pisarzy duchownych i świeckich. U nas dwa tylko takie i to od niedawnego czasu posiadamy dzieła: jedno napisane przez JE. Ks. Biskupa Pelczara, drugie przez d-ra Juliana Czarneckiego, lekarza w Gnieznie. Z radością powitano te książki, jedną i drugą trzeba było w przeciągu lat kilku wydać powtórnie, co najlepiej świadczy o ich potrzebie i wartości.

Trudnego zadania podjął się dr. Czarnecki, ale wywiązał się z niego chwalebnie. Jako lekarz posiada dostateczne w swoim zawodzie wiadomości, nadto jako człowiek już starszy — wiele także praktyki, zna zatem przeróżne biedy i potrzeby ludzkie. Z drugiej strony, jak pisze w przedmowie do pierwszego wydania swojej medycyny pastoralnej, obracał się wiele w rozmaitych kołach naszego duchowieństwa i poznał jego braki i wielką potrzebę znajomości nauk medycznych, szukał też u niego rad i wskazówek jakby najlepiej temu brakowi zaradzić, przez napisanie odpowiedniego dlań podręcznika. Napisał go i wydał po raz pierwszy w r. 1905 w Gnieznie p. t. »Medycyna pastoralna«. Książka ta tyle znalazła u duchowieństwa polskiego słusznego uznania, iż wobec ciągłego popytu autor zmuszony był przystąpić w drugiej połowie ubiegłego roku do ponownego jej wydania.

Skrzętnie i doborowo zebrany materyał ułożył szan. autor logicznie i wzorowo, dzieląc cały na trzy części. W pierwszej, »ogólnej«, kreśli krótki, ale treściwy i wyczerpujący zarys anatomii i fizyologii człowieka, podając następnie nader praktyczne, zastosowane jedynie do życia kapłanów, wskazówki hygieniczne.

W części drugiej, »moralnej«, rozbiera według zasad teologii moralnej te przykazania Boże, w których właśnie wiadomości medyczne najwięcej mają zastosowania, a kończy uwagami ze stanowiska lekarskiego o słuchaniu Mszy św., o poście i ascezie. W ostatniej wreszcie części, »pastoralnej«, w 9-ciu rozdziałach przedstawia, jaki ma być stosunek duszpasterza do lekarza i do chorych oddanych jego pieczy duchownej.

Jak przedstawiają się pojedyncze części, jak całość omawianego dzieła?

Części pierwszej nic zarzucić nie można, przeciwnie, należne oddać jej trzeba pochwały. Napisana zwięźle, jasno, pewnie, jako przez człowieka fachowego, po przyjacielsku i praktycznie, z zastosowaniem do pojęć i potrzeb kapłanów. Część druga sama w sobie bardzo dobra, do potrzeb jednak duchowieństwa nie dość szczęśliwie dostosowana. Wiele kwestyi, zwłaszcza dotyczących ścisłej teologii moralnej, jest zbytecznie za szeroko opracowanych, te bowiem kwestye znają kapłani z teologii moralnych i pastoralnych. Zresztą co w tych kwestyach wolno, co zakazane nikt z kapłanów na powadze lub zdaniu lekarzy opierać się nie będzie; przytaczane często i prawie jedynie przez autora powagi w teologii moralnej, jak św. Alfons Liguori i Gury, w niektórych punktach już są przestarzałe, wobec rosnących z dniem każdym postępów patologii, chirurgii, embryologii, anatomii i fizyologii człowieka, na które moraliści koniecznie oglądać się muszą. Zauważyć nie trudno, że na tem polu jakoś autorowi nie swojsko, każdy krok jego niepewny, ostrożny, by nie obrazić w czem zapatrywań moralistów. Po cóż te kłopoty, kiedy wszystkie te kwestye czysto moralne mógł autor najspokojniej milczeniem pominąć, a stanąć natomiast na swojem polu, i jako lekarz z powagą sobie należną daleko szerzej, dokładniej i swobodnie się rozwinąć, zwłaszcza, że jeżeli gdzie i kiedy, to właśnie w tych kwestyach odpowiednie wiadomości z dziedziny medycznej są dla kapłanów i moralistów najkonieczniejsze. Inne zaś rzeczy czyto z zakresu hygieny czy patologii, każdy już łatwiej uzupełnić sobie potrafi wobec tylu książek i broszur bardzo nieraz dobrych i praktycznych wydawanych obecnie, a dla każdego przystępnych.

Część ostatnia, podobnie jak pierwsza, bardzo dobra, nader pożyteczna i godna pochwały. Zawiera dużo cennych rad i wskazówek dla duszpasterza, jak ma sobie radzić i postępować z różnego rodzaju chorymi na ciele i duszy, i jak o tem innych pouczać.

Byłoby nader pożyteczną rzeczą, gdyby szan. autor był nieco szerzej i dokładniej opracował rozdziały XVII i XVIII o chorobach nerwowych i umysłowych, tak częstych w obecnych czasach, a objawiających się w tylu przeróżnych odcieniach. Znajomość ich jest tak ważną dla kapłana, aby tym chorym udzielić zdrowej rady i odpowiednie podać im lekarstwa, a samemu przytem nie stać się ofiarą ich chorobliwych uczuć i przywidzeń. Duszpasterz, znając ich chorobliwe stany duszy, inaczej zupełnie będzie postępował z nimi, ich grzeszne na pozór wybryki będzie umiał jak trzeba osądzić, i z miłością i współczuciem z nimi się obchodzić. Zupełnie na miejscu byłby tu dodatek o myślach, stanach i czynach przymusowych, o wpływie temperamentów na czyny moralne.

Zresztą całość dzieła tylko pochwalić trzeba i gorąco zalecić Przewielebnemu Duchowieństwu.

Szkoda, że szanowny autor nie podał na końcu swej książki alfabetycznego spisu rzeczy, jak to uczynił w pierwszem wydaniu, i dla lepszej oryentacyi dobrzeby może było dodać obok nagłówka na stronicach: »Medycyna pastoralna« odpowiednią część książki.

Ks. J. Dragosz.

Z piśmiennictw obcych.

Theologia dogmatica orthodoxa (ecclesiae graeco-russicae) ad lumen catholicae doctrinae examinata et discussa. *A. Palmieri.* Tomus I. Prolegomena. Florentiae, libreria editrice Fiorentina. 1911. Pag. XXV + 815.

Jako owoc długoletnich poszukiwań na Wschodzie ukazał się I-szy tom na szerszą skalę zakrojonego dzieła z dziedziny teologii porównawczej. Tom ten nie pomieścił w sobie nawet samych wstępnych traktatów, pozostawiając niektóre z nich tomowi następnemu. We wstępie O. Palmieri zaznacza, że nie ma zamiaru przechodzić całej teologii wschodniej, tylko te traktaty i te kwestye, w których zachodzi różnica między teologią »prawosławną« a katolicką, owszem nawet z ogółu spornych kwestyi ma zamiar pominąć niektóre, jako już dosta-

tecznie znane i omówione w literaturze teologicznej. Za to ze szczególną uwagą uwzględnia te partye teologii, w których dotąd nie spostrzegano, albo lekceważono różnice między Wschodem i Zachodem, jak na przykład traktat o źródłach Objawienia.

Jak sam tytuł dzieła opiewa, O. Palmieri ma roztrząsnąć twierdzenia teologii wschodniej w świetle nauki katolickiej. Pierwszem więc zadaniem jego jest przytoczyć owe twierdzenia, które mają być poddane katolickiej krytyce. Z tego zadania O. Palmieri wywiązuje się świetnie. W każdej kwestyi mamy nagromadzoną przezeń obfitość tekstów z dzieł teologicznych greckich i rosyjskich, zwłaszcza tych ostatnich, z dokładnem zacytowaniem źródeł. Skrzętność i sumienność zbieracza trzeba wprost podziwiać.

Druga część zadania autora polega na krytyce teologii wschodniej. Pod tym względem również O. Palmieri zasługuje na pochwałę. Trzyma się on tej metody, że przytoczywszy szeregi cytatów z dzieł teologów wschodnich, stara się najpierw wynaleźć w ich twierdzeniach tę cząstkę, w której oni zgadzają się z teologią katolicką, przyczem niekiedy wykazuje interesujące *curiosa* zgody obydwóch stron w tych razach, kiedy wschodnim teologom wydaje się, że zwalczają swych zachodnich kolegów. Ireniczna ta tendencya bardzo podnosi cenę dzieła. Następnie, gdzie zachodzi rzeczywista sprzeczność między twierdzeniami teologów wschodnich, a nauką katolicką, lub faktami historycznymi, tam O. Palmieri poddaje fałszywe twierdzenia nieubłaganej krytyce. Żadnemu błędowi ustępstwa nie robi [1].

Przejdźmy pokrótce treść rozdziałów tego tomu.

W rozdz. I (str. 1—10) przytacza autor definicye teologii, podawane przez autorów prawosławnych i stwierdza zgodność ich pod tym względem z nauką katolicką. Wykazuje zarazem, że niesłusznie owi autorowie nazywają swoją teologię »prawosławną«, gdyż z wła-

[1] W jednem z czasopism, przeznaczonem dla naszego kleru, ukazała się krótka notatka w ogólnych słowach zalecająca książkę O. Palmierego. Niebawem toż samo pismo, jakby żałując, że pochwaliło autora z wielu względów w Polsce niepopularnego, umieściło drugą notatkę, jeszcze krótszą, z przestrogą, że książkę O. Palmierego należy czytać *cum grano salis*, jako zacierającą niekiedy różnice między prawosławiem a katolicyzmem. Na poparcie tej notatki z książki żadnego ustępu nie przytoczyło. Zdaje się, że obie notatki napisane zostały bez poznania treści książki, przez różnych, rozmaicie do osoby autora usposobionych recenzentów. Druga notatka o tyle jest gorszą od pierwszej, że mogła komuś narzucić podejrzenie co do prawowierności O. Palmierego.

snych wyznań wielu pisarzy wschodnich okazuje się, że przymiotnik ten w zastosowaniu do owej teologii pozbawiony jest pozytywnej treści. Przedewszystkiem na Wschodzie niema powagi, która mogłaby służyć za normę i rękojmię »prawosławia« teologii.

W rozdz. II (str. 11—30) roztrząsa autor pojęcie, określenia i podziały dogmatów w teologii »prawosławnej«. Twierdzenia najpoważniejszych teologów wschodnich są zgodne i tu z nauką katolicką, chociaż niekiedy innemi wypowiadane są słowami. Z tych twierdzeń O. Palmieri wyciąga pewne logiczne wnioski na korzyść Kościoła katolickiego, a fatalne dla Wschodu. Odpiera zarzuty, stawiane naszej teologii co do podziału dogmatów, zarzuty oparte na nieporozumieniu.

Rozdział III (str. 31—89) omawia ważną kwestyę rozwoju dogmatycznego *(progressus dogmatici)*. Rozdział ten streszcza właściwie osobną książkę O. Palmierego: *Il progresso dommatico nel concetto cattolico,* wydaną we Florencyi 1910 r. Kwestya rozwoju dogmatycznego pono najwięcej dostarcza autorom prawosławnym okazyi do napaści na Kościół katolicki i jego teologię. Mianowicie utarło się na Wschodzie przekonanie, gorliwie rozszerzane przez polemistów, jakoby według nauki katolickiej Kościołowi przysługiwało prawo »wynajdywania« i »tworzenia« zupełnie nowych dogmatów, nie objawionych przez Boga i wcale nieznanych starożytności. Ta rzekomo katolicka teorya ma jakoby służyć do usprawiedliwienia nowych dogmatów o Niep. Poczęciu, o nieomylności papieskiej i innych. Żeby odeprzeć ten zarzut, autor rozbiera protestanckie, racyonalistyczne i modernistyczne poglądy na rozwój dogmatów i udowadnia, że te teorye stale przez Kościół były odrzucane. Następnie poucza w kilku tezach, jaki postęp dogmatyczny nauka katolicka dopuszcza. Dalej wykazuje, że w głównych rysach trzymają się katolickiej teoryi i teologowie prawosławni, którzy w części polemicznej swych traktatów, rzekomo zwalczając katolickie poglądy na rozwój dogmatów, walczą z własnem tylko urojeniem. Nadto pomiędzy teoryą o względnym postępie dogmatycznym, jaki ci teologowie na równi z katolikami przyjmują, a praktyką Cerkwi wschodniej panuje sprzeczność, bo po VII Koncylium powszechnem Cerkiew nie uczyniła ani kroku na drodze takiego postępu. Pod koniec tego rozdziału wyjaśnia O. Palmieri znaczenie znanego kanonu św. Wincentego Liryneńskiego: *Quod ubique, quod semper, quod ab omnibus,* tendencyjnie tłumaczonego przez rosyjskich teologów.

Rozdział IV referuje *de necessitate, methodo ac divisione theo-*

logiae apud scriptores orthodoxos (str. 89—137). Odpiera najpierw teoryę adogmatyzmu, szerzoną przez pisarzy rosyjskich Tołstoja, Rozanowa i Mereżkowskiego, — naszem zdaniem zbytecznie, gdyż ci pisarze stoją poza wszelką prawdziwą teologią i rozprawiać się z nimi jest rzeczą apologetyki nie zaś teologii porównawczej, — poczem zastanawia się nad żądaniami tych, co w teologii chcieliby dać przewagę historyi dogmatów nad właściwą dogmatyką, i miarkuje te żądania. Następnie wylicza szkoły teologiczne greckie, rosyjskie i rumuńskie i wydawane przez nie czasopisma. Opuścił, chyba przez zapomnienie, wydział teologii prawosławnej w Czerniowcach. Wspomina o dążeniach niektórych teologów do niezależności teologii od tradycyi cerkiewnych. Wreszcie daje rozkład traktatów w podręcznikach teologii wschodniej. Rozdział ten mieści różnorodne kwestye mało jedna z drugą powiązane.

Rozdz. V (str. 138—185), zatytułowany: *De compendiis theologicis in ecclesia orientali graeco-russica,* jest jakoby próbą historyi literatury teologicznej, historyi zresztą niezupełnej, bo ograniczającej się do podręczników. Zaczyna od św. Jana z Damaszku, przechodzi teologów greckich, potem ruskich i rosyjskich aż do najnowszych czasów. Zasługą O. Palmierego, że zebrał tu dużo nazwisk i tytułów, uwzględniając nawet traktaty, jakie pozostały w rękopisach Akademii kijowskiej, i dał charakterystykę prądów, jakie w teologii wschodniej różnymi czasy panowały.

W rozdz. VI (str. 186—266) wraca O. Palmieri do materyi rozpoczętych w rozdz. III; mianowicie omawia znaczenie i funkcye rozumu w rzeczach wiary i znaczenia teologii scholastycznej. Tu się nastręczyła sposobność O. Palmieremu wystąpić w roli apologety scholastyki, napadanej i wyśmiewanej przez teologów wschodnich, którzy nie zadali sobie pracy poznać przedmiot swych napaści. Przyznaje, że niektóre zarzuty są usprawiedliwione w stosunku do późniejszej scholastyki, ale twierdzi, że przeciwko wadom jej występowali nawet papieże. Na dowód tego cytuje list Grzegorza IX. Cytat nieszczęśliwie wybrano, boć przecież wiek Grzegorza IX nie był wiekiem późniejszej scholastyki. Wskazuje, że napaści na scholastykę datują się od Prokopowicza, znanego pomocnika Piotra W. w reformie Cerkwi, przesiąkłego protestantyzmem, udowadnia, że scholastyka jest pochodzenia greckiego (św. Jan Damasc.) i w Byzancyum była pielęgnowaną niemniej, jak na Zachodzie. Szeroko omówiony został stosunek filozofii do teologii, jak również teologii scholastycznej do pozytywnej. Rozdział ten ma

charakter lekcyi wykładanej teologom wschodnim o metodzie teologii katolickiej.

Rozdziały VII i VIII (str. 267—424; 425 – 660) należy zaliczyć do najlepszych. Pierwszy z nich traktuje o symbolach wiary, drugi — o symbolicznych księgach Kościoła wschodniego, jako źródłach teologii. Zawiera się zatem w nich jakoby wstęp do teologii symbolicznej. Po określeniu, co rozumieć należy przez teologię symboliczną, i omówieniu kilku zbiorów pism symbolicznych Kościoła wschodniego o różnej naukowej wartości, przystępuje autor do omówienia starożytnych symbolów. Najpierw obszernie broni składu wiary apostolskiego, lekceważonego na Wschodzie i wyjaśnia, jak »apostolskość« tego symbolu wobec krytyki rozumieć należy. Trzyma się zdania pośredniego, umiarkowanego, odrzucając legendę Rufina o sposobie ułożenia tego symbolu przez Apostołów. Drugi z kolei skład wiary, niceno-konstantynopolski jest również obszernie omówiony, podana jego historya, źródła, roztrząśnięte różne sporne historyczne kwestye, odparty zarzut korupcyi tego symbolu przez dodanie *Filioque*. Na trzeciem miejscu jest mowa o t. zw. »symbolu św. Atanazego«, również jak apostolski lekceważonym na Wschodzie. O. Palmieri odrzuca oczywiście autorstwo Atanazego, lecz rewindykuje pomimo to powagę tego symbolu przeciwko zarzutom wschodnich i wielu anglikańskich teologów. Dodany jest do rozdz. VII ustęp o znaczeniu dogmatycznem aktów soborów powszechnych głównie przeciwko protestanckim poglądom Prokopowicza. Drugi z wymienionych rozdziałów omawia historyę powstania, dalsze losy i wartość teologiczną kilkunastu dokumentów z nowszych czasów (od XV wieku), którym bywa przypisywane symboliczne znaczenie. Ten rozdział zdaje się najsumienniej został przez autora opracowany i dużo interesujących szczegółów teologowi katolickiemu może dostarczyć. Rezultat przeglądu wszystkich tych dokumentów jest taki: teologowie wschodni nie zgadzają się między sobą co do wartości poszczególnych dokumentów »symbolicznych«; każdy z nich wybiera i przekłada nad inne te, które bardziej odpowiadają jego kierunkowi myśli. Bo też te konfesye, katechizmy i t. d. nie przedstawiają jednolitego materyału, lecz noszą na sobie cechy tych doktryn, pod wpływem których powstawały. Chwieją się między katolicyzmem a protestantyzmem. Taka np. konfesya Cyryla Lukarysa jest wprost kalwińską. Wobec tego O. Palmieri odmawia tym dokumentom prawdziwego symbolicznego znaczenia, którego im nie nadał cały Kościół wschodni. Toż samo można powiedzieć i o synodach partykularnych na Wschodzie, które

O. Palmieri wylicza, szkicując ich historyę. Wydawały one niekiedy wprost sprzeczne orzeczenia w rzeczach wiary. Nie lepiej się rzecz ma z encyklikami patryarchów i katechizmami partykularnych Kościołów. Brak powagi wszystkich wyliczonych »symbolicznych« dokumentów pochodzi z braku organu nieomylnego nauczycielstwa w odłączonych Kościołach.

Od rozdz. IX (str. 661—698) rozpoczyna O. Palmieri praktyczny kurs na temat, jak prowadzić polemikę ze Wschodem. Określa teologię polemiczną, wykazuje jej potrzebę i pożytek, rozwodzi się nad błędami, jakich teolog katolicki ma w polemice unikać. Nic prawdziwszego nad podane przezeń reguły; niestety, autor sam łamie je w tymże rozdziale, ciągle napadając na nieprzyjaciół, których mu fantazya jego stworzyła. Wyobraża sobie, że istnieje w Polsce jakaś potężna sekta czy frakcya duchowieństwa, nazwana przezeń »mohlianistami« od rzekomego wodza O. Mohla, sekta, która gotowa kwestyonować każde zdanie O. Palmierego. On broniąc się przed zarzutami nawet tymi, które tylko przewiduje, nie szczędzi epitetów dla jak najczarniejszego odmalowania tej przewrotnej sekty.

Rozdz. X (str. 699—763) wylicza te pomocnicze umiejętności, które posiadać winien polemista katolicki. Znajdujemy tu i dogmatykę, i filozofię, i języki wschodnie, starożytne i nowe, i historyę Kościoła, i patrystykę, i prawo kanoniczne wschodniego Kościoła. Każdy dział zaopatrzony w szereg nazwisk autorów greckich, rosyjskich i t. d.

Ostatni XI rozdział tych niedokończonych jeszcze prolegomenów (str. 763—805) wylicza wschodnich polemistów, piszących przeciwko Kościołowi katolickiemu, charakteryzując metodę pisania tych autorów. Pod koniec rozdziału wspomina o Sołowiewie, który zainaugurował nową metodę pisania o zachodnim Kościele. Kończy się cały tom modlitwą autora do Najśw. Panny, aby wyjednała mu łaskę dokończenia całego dzieła.

Po tym przeglądzie treści całego tomu możemy wrócić do ogólnych o nim uwag. Pod względem katolickości twierdzeń, wygłaszanych przez O. Palmierego nic mu zarzucić nie można. Jeden zauważyłem tylko błąd objektywny, ale musi to być tylko *lapsus calami;* mianowicie na str. 22, wyliczając warunki, żeby jakaś nauka mogła stać się dogmatem, na pierwszem miejscu stawia warunek: *ut contineatur in sacra Scriptura.* Oczywiście, jak się nieco niżej okazuje, miał tu na myśli Objawienie Boże wogóle, które mogło być przekazane i pomimo Pisma św. za pośrednictwem ustnego podania. Tu i owdzie

w przeprowadzaniu dowodów na twierdzenia prawdziwe są słabsze miejsca. Na przykład na str. 40, żeby udowodnić, iż Objawienie Boże objektywnie zamkniętem zostało, rozumuje autor, że Chrystus nauczył Apostołów wszelkiej prawdy. Tymczasem wiadomo, że należy część jakąś Objawienia odsunąć na czas po Zesłaniu Ducha św., według słów Chrystusa: »Wiele mam jeszcze mówić do was, lecz teraz znieść nie możecie, gdy zaś przyjdzie On Duch Prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy« (św. Jan 16, 12).

Pod względem rozkładu i ugrupowania materyału możnaby podnieść poważne zarzuty. Poszczególne rozdziały, a w niektórych rozdziałach nawet poddziały nie są ze sobą organicznie powiązane. Cały tom przedstawia raczej luźny zbiór odrębnych traktatów, których porządek dałoby się dowolnie zmienić. Np. rozdziały IX i X mogłyby również dobrze, a może nawet właściwiej znaleźć się na początku książki. Całość nasuwa czytelnikowi sąd, że autorowi brak syntetycznych zdolności do opanowania bogatego materyału, przetopienia go i stworzenia zeń całości jednolitej. Inny zarzut, pokrewny temu, można zrobić autorowi i z tego, że swą książkę zbyt rozszerzył niepotrzebnymi długimi cytatami. Rozumiem potrzebę dłuższych cytatów z dzieł wschodnich teologów, by dać ich poznać zachodnim teologom, lecz po co cytować długie ustępy z dzieł teologów katolickich, gdzie można się ograniczyć do wypowiedzenia własnego zdania, którego nikt nie będzie miał interesu zbijać? Tymczasem chyba każde prawie twierdzenie, nawet takie proste i zrozumiałe wskazówki, jak te, jak polemikę prowadzić, popierane są długimi wyciągami z dzieł Ojców św. i teologów. Robi to wrażenie, jakoby autor na każdym kroku wyobrażał sobie jakiegoś przeciwnika, przeciw któremu chce się powagami zabezpieczyć. Rozszerza się niepotrzebnie objętość książki, tem bardziej, że często cytaty takie są przytaczane w paru językach. Niekiedy znowu zbytek erudycyi utrudnia naturalny bieg rozumowania. *Cui bono* np. przytaczać turecki przekład konfesyi Gennadyusza, który nic szczególnego czytelnikowi nie mówi, oprócz tego tylko, że dla O. Palmierego i język turecki jest dostępny?

Chwalimy bogactwo wciągniętego materyału z teologów wschodnich, ale i tu doprowadził O. Palmieri swoją erudycyę do przesady, robiąc zaszczyt takim »teologom«, na których nie warto było zwracać żadnej uwagi. Po co np. było tracić aż kilkanaście stron druku na odpieranie niedołężnych zarzutów jakiegoś marnego skryby greckiego Technopulosa przeciwko symbolowi atanazyańskiemu? Zbytnią krótkość

tylko w jednem miejscu zauważyłem; mianowicie należało szerzej omówić poglądy Sołowiewa na rozwój dogmatów ze względu na wielkie znaczenie tego pisarza.

Można podziwiać znajomość tylu języków u O. Palmieri, ułatwiającą mu korzystanie z piśmiennictw wszystkich narodów, mających coś wspólnego z kwestyą wschodnią. Dzięki tej łatwości językowej nie zignorował O. Palmieri i polskiego piśmiennictwa teologicznego. Spotykamy na właściwych miejscach nazwiska Skargi, Sokołowskiego, Herbesta i innych naszych teologów i polemistów. Szkoda tylko, że w tłumaczeniu zdań tak polskich, jak i rosyjskich autorów, O. Palmieri dopuszczał się czasami zbyt wielkiej swobody i nieścisłości, nieszkodliwej zresztą. Trafiło się mu atoli, że czasem zaufał zbytnio swej intuicyi i fałszywie jakiś tekst przetłumaczył. Np. słowa Skargi: »Byśmy byli czujni, mogliśmy dawno ruskie szkoły mieć, a wszystkie pisma ruskie przejrzeć i w słowiańskim ich języku mieć swoje katoliki ćwiczone«, słowa te przełożone zostały tak: »Si vigilantiores essemus, potuissemus quidem iamdudum russicas scholas habere, et omnia Russorum opera pervolutare, et in eorum lingua slavica preces catholicas recitare«.

Trafił się dziwny anachronizm. Na str. 159 jest mowa, że akademię kijowską odwiedzał *magnus dux Kioviae*. Kogo tu autor mógł mieć na myśli? Może hetmana Kozaków?

Nie z winy już autora pochodzi, że wyrazy rosyjskie, polskie i t. d. roją się od drukarskich błędów. Wielkie rosyjskie *T* prawie wszędzie zamieniono na Ш (= sz), wskutek czego czytamy Szołstoj, Szrudy i t. p., zamiast Tołstoj, Trudy. Takich błędów są setki.

Język łaciński wogóle piękny, potoczysty, bogaty, może tylko niepotrzebnie upstrzony grecyzmami, których dałoby się uniknąć. Ale co stanowczo na naganę zasługuje, to zeszpecenie tego języka drwinami, wyzwiskami i docinkami, skierowanymi w stronę przeciwników, tak wschodnich, jak tem bardziej katolickich. Tem bardziej to razi, że tych błędów O. Palmieri każe unikać w polemice, sam jednak na każdym kroku też same błędy popełnia. Dla niego przeciwnicy jego są *perditissimi scioli, libellorum sutores, catuli procaces, garrula cohors* i t. d. O. Palmieri upatruje u pewnego z polskich redaktorów *totum maledicentiae polonicae onomasticon;* zdaje się jednak, że jego łaciński język jest pod tym względem też nieubogi. Skorzystał zdaje się, ze wszystkich możliwych mocnych epitetów, jakimi posługiwała się łacina we wszystkich epokach swej egzystencyi. Najbardziej do-

staje się od O. Palmierego owej *perditissimae factioni mohlianistarum,* której widmo prześladuje go na każdym kroku. Niekiedy aż wstręt czytelnika ogarnia, kiedy wśród poważnej naukowej rozprawy spotyka się naraz z wycieczką na owych bajecznych »mohlianistów«. I tylko ta okoliczność, że te wycieczki, jako godzące w nieistniejące wcale istoty, nie pozbawione są pewnego komizmu, rozbraja gniew czytelnika. W każdym razie, dzięki tym chorobliwym przywidzeniom O. Palmierego, książka jego ogromnie traci na wartości.

Błędem z naszej strony byłoby, gdybyśmy wskutek wyliczonych dotąd niedostatków pracy O. Palmierego mieli zniechęcić się wogóle do jego książki, lub gdybyśmy twierdzili, że ona pozbawiona jest zalet. Pomimo wszystko, dzieło O. Palmierego jest tego rodzaju, że dziś żaden teolog, zajmujący się kwestyą wschodnią, nie może się bez niego obejść. Sądzę też, że każdy, kto się zapozna z pierwszym tomem dzieła O. Palmierego, będzie niecierpliwie oczekiwał na tomy następne, życząc tylko tego, aby one okazały się wolnymi od błędów pierwszego tomu.

Ks. J. Urban.

Die Wiederkunft Christi nach den paulinischen Briefen. Von *Dr. Theol. Fritz Tillmann.* Freiburg 1909.

W. niniejszej monografii usiłuje prof. Tillmann określić stanowisko św. Pawła wobec powtórnego przyjścia Chrystusa Pana. W tym celu zestawia nasamprzód wszystkie odnośne miejsca z jego listów i rozbiera je gruntownie. Po szerokiej analizie świata teraźniejszego i przyszłego (αἰὼν οὗτος i μέλλων) przechodzi autor do drażliwej kwestyi czasu przyjścia i dochodzi do wniosku, że zdaniem św. Pawła żyjąca jeszcze generacya miała się go doczekać. Jasnem więc jest, że św. Paweł w tej kwestyi pobłądził. Błąd to tylko chronologiczny, jak się przy innej sposobności wyraża Belser, gdyż tylko sam fakt przyjścia, nie zaś czas należy do prawd objawionych. Następnie omawia autor oznaki, które negatywnie przynajmniej określają zbliżającą się chwilę. Najważniejszą z nich jest antychryst, który nie jest jakimś prądem w społeczeństwie wrogiem chrześcijaństwu, ale osobą indywidualną. Zjawienie się jego, a tem samem przyjście Syna człowieczego, stoi jeszcze na przeszkodzie ὁ κατέχων albo τὸ κατέχον, coś w myśli św. Pawła niedość określonego, nieosobowego.

Po usunięciu przeszkody zstąpi Chrystus z nieba na ziemię, by sądzić żywych i umarłych. Wyrok ostateczny wyda jednak sam Bóg.

W końcowym rozdziale zajmuje się autor stosunkiem przyjścia do zmartwychwstania. Zdaniem autora, nie zna św. Paweł między śmiercią a przyjściem, względnie zmartwychwstaniem, żadnego przejściowego stanu, podobnego do snu, gdyż podstawa tego zapatrywania, słowo κοιμᾶσθαι nie wytrzymuje krytyki.

Κοιμᾶσθαι nawet u św. Pawła oznacza śmierć rzeczywistą, którą sobie można nazwać snem ze względu na przyszłe zmartwychwstanie, ale pamiętać trzeba, że to tylko przenośnia. Obcą jest także św. Pawłowi myśl, że tylko dobrzy zmartwychwstaną, jak tego chcą niektórzy protestanci; również obcą jest i ta myśl, jakoby dusza po śmierci posiadała coś w rodzaju ciała, z czegoby się w przyszłości rozwinęło ciało uwielbione.

Ks. L. Bolesławski.

Rédemption. *André Lichtenberger.* I vol. Paris. Libr. Plon.

Trudno o piękniejszy styl francuski, niż u autora »Centaurów«, o których sprawozdanie podaliśmy przed paru laty czytelnikom *Przeglądu Powszechnego.* Tym razem mamy przed sobą nie już poemat prozą, ale współczesną powieść obyczajową, bardzo psychologiczną choć niekoniecznie przyjemną. Teza jest piękna, dobrze przeprowadzona ale, niestety, nie nowa. Co prawda stosunek małżeński, to przedmiot odnawiający się wraz z każdą pobierającą się parą i przedstawiający dla tejże pary najważniejsze z zagadnień życiowych — w powieści jednak niepodobna wynajdować sytuacyi coraz to innych, niebezpiecznem byłoby nawet za niemi gonić, bo łatwoby wpaść w niedorzeczność. Małżonkami przedstawionymi przez p. Lichtenbergera są Filip i Lucyanna Merton, oboje przystojni i młodzi i, co w powieści jest rzadkiem, obdarzeni trojgiem dzieci. Pobrali się z miłości. Lucyanna, wychowana na wsi, zakochała się wprzód w tomie ulotnych wierszy młodego poety i sądziła, że gwiazda z nieba do jej stóp się zniżyła, gdy tenże poeta we własnej osobie poznał ją i wkrótce poślubił. Przenieśli się do Paryża, gdzie stosunki literackie Filipa wprowadziły młodą kobietę w świat nowy, pełen umysłowego ruchu, w którym własny jej umysł rozwinął się i dojrzał. W miarę jednak jak się rozjaśniało w jej głowie, ujawniał się fakt, że owe ubóstwiane wiersze Filipa, równie jak i jego późniejsze powieści nie przekraczały wartością ładnej, powszedniej miernoty. Miłość jej dla męża na tem nie ucierpiała, tylko uwielbienie zamieniło się w stosunek zupełnej równości, co Filip wnet zrozumiał i odczuł boleśnie. Ucierpiało nie jego

serce, ale miłość własna. Począł tedy szukać poza domem pochlebstw i przymilań, co znów obudziło zazdrość Lucyanny. W chwili rozpoczęcia opowiadania zastajemy ich wraz z dziećmi, z matką Filipa i ojcem Lucyanny w Combasy, cudnej nadmorskiej osadzie, pełnej słońca i eleganckiego paryskiego świata. Tu już grono pięknych wielbicielek otoczyło Filipa, budząc niesmak żony upokorzonej tem, że mu tak płaskie wystarczą zaszczyty i tak banalne pochlebstwa. Jedna zwłaszcza, jasnowłosa, ładna ale mizdrząca się i głupia pani Tessé niecierpliwi ją a wabi Filipa. W tym psychologicznym okresie zjawia się (nieodzowny w takiej powieści) znakomity pisarz i myśliciel Sartex, posiadający wszystkie, zalety, jakich Filipowi brak, więc Filip ze swojej strony zaczyna się niecierpliwić jego długiemi rozmowami z Lucyanną i dzieje się, że oboje małżonkowie kochający się w gruncie szczerze i uczciwie, znajdują się nad brzegiem przepaści, mającej niebawem pochłonąć ich miłość i szczęście domowe. Nad tem szczęściem jednak czuwa ośmioletnia ich córeczka Netta, dziecko nerwowe, gwałtowne a przeczulone, jakie już parę razy ukazało się w powieściach francuskich. Ustawicznie łajana i przekonana, że jej nikt nie kocha i kochać nie może, a pomimo to namiętnie przywiązana do obojga rodziców, śledzi z niepokojem każdy objaw wzrastającego między nimi rozstroju, ściąga na siebie kary za okazywaną niechęć do Sartexa, męczy biedną główkę nad sposobami zaradzenia złemu. Na nieszczęście dosłyszana rozmowa jej dziadka, nastręcza jej nieprzewidziany sposób. Ów dziadek, oklepany typ paryskiego *viveur'a*, czuje się przecież zaniepokojony o losy córki i zięcia: »Jedno mogłoby ich uratować — rzecze do starej pani Merton — to wielkie jakieś wzruszenie, bodaj wielka boleść«... Otóż Netta podejmuje się dostarczenia rodzicom takiej zbawczej boleści. W najgroźniejszej moralnie dla nich chwili rzuca się z wysokości na nadbrzeżne skały i wnet nad jej śmiertelnem posłaniem zbliżają się serca Filipa i Lucyanny. »Byłam często zła — szepcze chwilę przed zgonem Netta do przyjaciółki matki — ale sobie przyrzekłam, że raz zrobię coś grzecznego, coś tak bardzo grzecznego...« Umiera, grób jej niknie pod snopami kwiatów, a w kilka miesięcy nowa nadzieja macierzyństwa zapowiada, iż pustka, przez jej śmierć zrządzona w rodzinie, niebawem się zapełni. To też rozpamiętywając te sprawy owa przyjaciółka Lucyanny, postanawia wyrzec się na zawsze miłości, nie szukać szczęścia, które w samolubnej nieświadomości zdoła żyć i odnawiać się kosztem krwi i poświęcenia drugich.

Finał nieco przesadny, choć część prawdy w sobie zawiera. Prze-

sadny też charakter Netty, przypomina nieco dziewczynkę z *Une page d'amour*... Zoli. Tylko, że (wyjątkowo) teza Zoli jest wyższa, bo u niego dziecko chore, namiętnie kochające matkę póki ta jest cnotliwą, nabiera do niej instyktownie odrazy od chwili gdy stała się winną, w odrazie tej umiera i w grobie jeszcze stanowi wyrzut sumienia, rzucający cień na szczęście zaczęte w grzechu... Lichtenberger nie sięgnął tak daleko — chciał tylko dowieść dobroczynnych nieraz wyników boleści i nie chybił zamiaru.

T. W.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

O kościół w Opolu. Rozprawy w Izbie państwowej petersburskiej nad interpelacyą Koła Polskiego, wydane staraniem Bronisł. Szlubowskiego. Warszawa 1910.

Chołmskij Wopros (Kwestya chełmska). Przez L. Dymszę. Petersb. 1910.

Pierwsza z wymienionych dwóch książek to echo, może ostatnie, głośnej sprawy opolskiej, druga — przyczynek do kwestyi, która się zbliża ku ostatecznemu rozstrzygnięciu, kwestyi wyłączenia Chełmszczyzny.

Tłumaczenie polskie stenogramów przemówień w Dumie w sprawie opolskiego kościoła, poprzedzone jest wstępem, szkicującym historyę całej tej sprawy. Same stenogramy dyskusyi bez żadnych skróceń dokładniej mogą zaznajomić czytelnika z tą sprawą, niż podawane w swoim czasie przez dzienniki streszczenia. Wypełniły one przeszło 240 stron druku. Dyskusyi nad sprawą opolską przysłuchiwała się, według jednego z mowców, Bobryńskiego, cała Ruś od Uralu do Karpat; powiedziano za mało, kwestyę tę winnaby poznać Europa. Opole to tylko epizod z szerszej daleko całości, to tylko okazya, przy której wystąpiła na jaw moralna wartość tych czynników, które dzisiejszej wewnętrznej polityce Rosyi kierunek nadają. Nie trafiły do sumienia większości Izby ani historyczne, ani moralne, ani prawnicze względy: na wszystko odpowiedziano: nie możemy oddać tego, co raz zajęliśmy. Jedno tylko cenne wyznanie wyszło zarówno z ust Eulogiusza, jak i Bobryńskiego, mianowicie, że sposób nawracania unitów, praktykowany około 1875 roku, zasługuje na wszelką naganę. Nie zdobyli się jednak ci panowie na to, by zrezygnować z owoców tej nagannej misyi.

Książka p. Dymszy, posła do Dumy od ziemi Siedleckiej, napisana po rosyjsku, przeznaczoną jest widocznie dla informacyi posłów i wogóle tych, którzy na przebieg sprawy odłączenia Chełmszczyzny wpłynąć mogą. Oczywiście jest to jeden z ostatnich wysiłków człowieka, który chce mieć przeświadczenie, że uczynił wszystko, co było można uczynić. Realnych korzyści trudno się spodziewać, skoro się przemawia do tych, którzy w większości swej dawno są nieczuli na najjaśniejsze dowody. Pan Dymsza kreśli w kilku rysach historyę Chełmszczy-

zny i Podlasia, mówi o etnografii tych prowincyi, bierze pod uwagę statystykę wyznaniową, rozpatruje projekt wyłączenia pod względem skutków, jakie łatwo przewidzieć. Wykazuje całą bezpodstawność tego projektu i jego bezcelowość. Udowadnia tendencyjność i fałszywość tych danych, jakiemi wnioskodawcy projekt swój podeprzeć usiłują. Jedno jednak autorowi zarzucić trzeba: grube niedokładności, jeśli nie coś więcej, kiedy mowa jest o religii i Kościele, a zwłaszcza o Unii. Mówiąc o Unii, autor wyraża się językiem Iłowajskich, może z przyzwyczajenia w szkołach. Obrządki łaciński i unicki traktuje jako dwa wyznania, mówi o nawróceniach z unii na katolicyzm i t. d. A co najgorsza — zaprowadzenie Unii brzeskiej przedstawia jako rzecz gwałtu, a biskupów unickich, wystawia w roli fanatyków i okrutników. Tak przedstawionym został i św. Jozafat Kuncewicz na podstawie listu Lwa Sapiehy, listu, na który godnie odpowiedział sam święty męczennik. Czytając p. Dymszę, ma się wrażenie, jakoby on nie znał literatury, która wartość zarzutów, czynionych przez Sapiehę św. Jozafatowi, do zera sprowadziła. Rozdział o kasacie Unii w 1875 r. napisany za słabo i za blado.

J. U.

Krótki zarys rzek polskich. *Radwański Jan Wiesław.* Lwów 1909. Nakładem autora. 8-ka. Str. 124.

Fakt, uwagi i ubolewania godny, nasuwa mi się z okazyi książki p. Radwańskiego. Bo i jakże po macoszemu traktowane jest w szkołach naszych krajoznawstwo?! Dzięki tej opieszałości uczeń, który ukończy nawet gimnazyum, potrafi daleko więcej powiedzieć o Niagarze, Jang-tse-Kiangu czy Nilu, aniżeli o Wiśle, Niemnie lub o Warcie, więcej o Himalajach i o Alpach, aniżeli o naszych Karpatach. O własnym kraju szkoła uczy go jak najmniej, niestety! choć prawdziwy patryotyzm każe troszczyć się przedewszystkiem nie o frazesy patryotyczne, tylko o dokładną znajomość właśnie tej ziemi, na której człowiek urodził się, żyje i kiedyś działać będzie.

Brak było nam nawet odpowiedniego podręcznika, z któregoby młodzież mogła bodaj prywatnie nabyć potrzebnych wiadomości. To też z prawdziwą radością należy powitać pracę p. Radwańskiego, jako jedyny dotąd podręcznik popularny krajoznawstwa swojskiego. Zaczyna ją »Podział geograficzno-polityczny ziem polskich« w latach najpotężniejszego rozkwitu Rzeczypospolitej, poczem dopiero następuje część właściwa, zestawiona bardzo sumiennie i pracowicie, a przytem pisana przystępnie i zajmująco. Oby rodzice, zamiast rozmaitych powieści amerykańskich, obdarzali swoją dziatwę książką, która rozszerzy zakres wiadomości w zakresie nauki, którą szkoła tak po macoszemu traktuje.

St. Z.

Miscellanea historyczne. XXXV Kartka z życia Narcyzy Żmichowskiej (1844—1850). *Aleksander Kraushar.* Warszawa 1909.

W szeregu drobnych notatek, będących niejednokrotnie ważnymi przyczynkami do życia umysłowego, kulturalnego i samej historyi Warszawy, ukazał się szkic, który dorzuca kilka szczegółów do skarbnicy faktów, wyjaśniających dzieje życia jednego z najwybitniejszych umysłów niewieścich polskich. Zasłużony historyk dawnej Warszawy, mecenas A. Kraushar, przyszedłszy w posiadanie papie-

rów, pozostałych po rówieśniczce i towarzyszce Gabryeli — p. Paulinie Zbyszewskiej, wykazuje także pośrednio związek, jaki zachodził pomiędzy znaną sprawą księdza Ściegiennego a ruchem emancypacyjnym »entuzyastek«. Dokumenty, zużytkowane przez p. Kraushara, są pierwszorzędnego znaczenia, ponieważ stanowią rezultat tajnej korespondencyi pomiędzy byłym namiestnikiem Królestwa Polskiego, kniaziem Paskiewiczem a byłym marszałkiem szlachty lubelskiej Janem hr. Jezierskim z r. 1850, t. j. z tych czasów, w których Żmichowska wraz ze swoją towarzyszką niedoli, p. Zbyszewską, była więziona w klasztorze Karmelitanek w Lublinie, jako podejrzana o współudział w ruchu ludowym, jaki wówczas objawił się silnie w Królestwie. *St. Z.*

Ostatni Hamlet. *Artur Schröder.* Lwów 1910.

Romantyczne historye. *Kornel Makuszyński.* Lwów 1910.

Pan Artur Schröder wydał dotąd tomik poezyi p. t. »Chwile«, oraz tom nowel, który właśnie omawiamy. Jest więc właściwie jako nowelista debiutantem. A przyznać należy, że debiut to bardzo szczęśliwy i wróżący dobrze o przyszłości autora. Znamionuje te nowele bystra obserwacya życiowa, uczciwe pod względem literackim opracowanie tematu i ten przedewszystkiem dodatni rys, że autor wie, co i jak ma napisać. Z wyjątkiem nowelki »Za co?«, gdzie nadmiar słów obciąża treść oraz dobry pomysł, wszystkie nowele posiadają pierwszorzędne zalety, a tytułowa nowela: »Ostatni Hamlet«, przy podkreślonych zaletach, rozmiarami stoi na pograniczu między nowelą a powieścią.

Nie jest debiutantem p. Kornel Makuszyński, ale za to jest w wadach swych niepoprawnym. I dlatego niezły nieraz pomysł psuje autor pustą, dziennikarską frazeologią, tanimi à la *Śmigus* dowcipami i tym niepotrzebnym nadmiarem czczych słów, który świadczy, że autorowi chodziło o długość a nie o jakość utworu. A ponieważ książka niniejsza jest już, zdaje się, czwartą z rzędu, jaką autor napisał, przeto wady podkreślone uważać należy za stan chroniczny autora, jako pisarza. I stąd pierwsza książka p. Schrödera stoi o całe niebo wyżej od ostatniej książki p. Makuszyńskiego. *a. st.*

Kesa. Utwory dramatyczne i obrazy niknące. *Józef Jankowski.* »Nowości literackie«. Nakład księgarni St. Sadowskiego. Warszawa 1910.

Na tom ten składają się utwory różnego rodzaju, pochodzące z różnych czasów twórczości subtelnego autora, jakim jest p. Józef Jankowski. Rozpoczyna książkę krótki artykulik o teatrze japońskim, poczem autor daje dramat »Kesa«, pisany wierszem i prozą, przetworzony z motywów japońskich na język polski.

Może jednak najpiękniejszą częścią książki jest zbiorek przedziwnie pięknych nowelek wierszem p. t.: »Te co kochały«. Są to prawdziwe klejnociki liryczne, zamknięte w nieskazitelnie piękną formę. Również wartościowe są krótkie nowelki, nazwane skromnie przez autora »obrazami niknącymi«. Psują jedynie wysoką wartość estetyczną książki, niedostrojone wartością do całości przeróbka bajki Lafontaine'a i estetycznie niedociągnięty, acz oryginalny w pomyśle, »moment sceniczny« p. t.: »Zbrodniarz«. Prócz tych dwu wszystkie pozostałe utwory zadowolić muszą najbardziej surowe wymogi krytyczne. *a. st.*

Mieczysław Romanowski. Studyum ideowe i literackie. *Gustaw Baumfeld.* Brody 1909.

Autor charakteryzuje Romanowskiego, jako poetę rewolucyi. Rozbiera też tylko te jego utwory, które mają styczność z dążeniami do wolności, z walką o niepodległość. Szukając tych tylko idei w utworach poety, pomija dzieła tym myślom obce. Jako studyum jednej strony twórczości poetyckiej stanowi praca ta cenny przyczynek do szczupłego bardzo, rzec można prawie żadnego, dorobku naukowego Romanowskiego.

A. B.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1909, str. 481.

Piąty z kolei tom bardzo pożytecznego i sumiennego wydawnictwa powstał wspólnemi siłami pp. Br. Chlebowskiego, I. Chrzanowskiego, H. Gallego, G. Korbuta i St. Krzemińskiego, obejmując życiorysy Seweryna Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Augusta Cieszkowskiego, Zygmunta Krasińskiego i Konstantego Gaszyńskiego. Umiejętnie dobrane wyjątki z dzieł wraz ze streszczeniami doskonale popularyzują twórczość tych pisarzy. Dołączona do każdego życiorysu bibliografia pozwala czytelnikowi i zachęca go do wyjścia poza obręby podręcznika.

W. B.

Z dziejów współzawodnictwa Anglii, Niemiec, Rosyi i Polski. *Adam Szelągowski.* Nakładem T-wa Wydawniczego. Lwów 1910, str. 316.

Gruntowny znawca stosunków społecznych i ekonomicznych Polski niepodległej zaznajamia nas w niniejszej pracy z rozwojem rywalizacyi handlowej między Polską a Moskwą z jednej, a Niemcami i Anglią z drugiej strony. — Polska, zaopatrująca w XVI i XVII wieku w surowce cały Zachód, ustępuje powoli Moskwie, co nie pozostaje bez wpływu i na stosunki polityczne. — Niemców zaś bierze Anglia przez t. z. kompanię wschodnią. — Cała rzecz rzuca nowe światło na te ciekawe i obfite w skutki stosunki wspomnianych państw. Rzecz cała oparta jest na nowych, nieznanych dotąd, rękopiśmiennych materyałach z Archiwum królewskiego w Simancas, z londyńskiego British-Muzeum, z Biblioteki Narodowej w Paryżu i z Archiwum królewskiego państwowego w Gdańsku.

W. B.

Historya kościołów Michałowskiego i Obiechowskiego. *Ks. Franciszek Navarra* G. Gebethner i Spółka. Kraków 1909, str. 220.

Powyższa historya jest raczej kroniką, obejmującą wszelkie zapiski odnoszące się do obydwóch kościołów. Kopie dokumentów, spis inwentarza, tabele zaznajamiające z dochodami i wydatkami, krótka historya powstawania kościoła, położenie geograficzne probostw powyższych, nawet układ geologiczny i rozkład etnologiczny, wszystko to zebrane skrupulatnie. Gdzieniegdzie wiersz okolicznościowy lub rycina przerwie na chwilę suchy dość wykład. Książka pożyteczną może być dla specyalistów jako cenne źródło.

W. B.

Przygody kijowsko-sybirskie od wiosny 1892 do jesieni 1900 r. *St. Kądzielski.* Wyd. drugie z 8-miu ryc. Kraków 1910, str. 320, w 8-ce.

Autor opowiada własne dzieje. We wstępie wyjaśnia, co było przyczyną jego zsyłki, poczem rozdziałów kreśli

cały szereg — rozdziałów nader ciekawych. Dają one dokładny obraz postępowania władz rosyjskich, dają mnóstwo szczegółów z życia więziennego — od najzwyklejszych zajęć aż do piśmiennictwa. Dodane są na końcu wyciągi z powieści Morrowcewa, *Sahajdaczny*. Książka, ozdobiona paru rycinami, pociąga czytelnika swoją treścią.

W. B.

Dwa pokolenia. *Marya Bielińska.* Nakład W. L. Anczyca i Spółki Kraków 1909, str. 209.

Ku nauce młodego pokolenia dzisiejszego skreśliła autorka życie pułkownika Bielińskiego, co za złudną gwiazdą Napoleona spiesząc, kampanię pod jego wodzą przebywał z tą nadzieją, jaką zresztą powszechnie żołnierz polski żywił — że ojczyźnie służy. I to jedno pokolenie w książce p. Bielińskiej. Syn pułkownika Aleksander żył w czasach późniejszych, kiedy już i nadzieja nawet niknąć poczęła, a miast sławy czekały wolności tęsknych bohaterów — lody Sybiru. Wszystko to opowiedziała autorka stylem pięknym i dla szerszych mas przystępnym, a nie fantazya dyktowała jej te słowa; czerpała je z pozostałych listów swych bohaterów.

W. B.

Z przeszłości 1861—1862. *Maryan Dubiecki.* Nakładem L. Idzikowskiego Kijów 1910, str. 236.

Autor dał się już nieraz poznać pracami z zakresu historyi. Uczestnik krwawych przejść narodu po 60 roku, dzieli się z czytelnikiem wrażeniami, jakie na nim wyryło jego jedenastomiesięczne wygnanie. Książka jest rodzajem pamiętnika o kartach z wielkiem ciepłem i ze szczerem uczuciem pisanych. Los wygnańców nielicznych wtedy jeszcze we Wiatce i Tambowie, opis zjazdu horodelskiego, obrazy kraju i charakterystyka ludzi budzą zaciekawienie czytelnika.

W. B.

Katalog rozumowany wydawnictw »Biblioteki dzieł chrześcijańskich«. Gebethner i Spółka. Kraków — Gebethner i Wolff. Warszawa 1910, str. 47.

Katalogiem swoim daje »Biblioteka dzieł chrześcijańskich« przykład, który winien znaleźć powszechne naśladownictwo. Tak bowiem (jak powyższy) zredagowany katalog ułatwia oryentowanie się w owym różnorodnym tłumie ksiąg, książek i broszur, jakiemi piszący zasypują świat.

W. B.

Katalog wydawnictw Drukarni i księgarni św. Wojciecha, służących do pracy społecznej. Poznań 1909, str. 48.

Dział wydawniczy Drukarni i księgarni św. Wojciecha po kilkoletniej swej pracy informuje w niniejszym katalogu o wynikach swej działalności. Są one stosownie do założenia i celów zupełnie wystarczające. Uwzględnione bowiem były wszystkie prawie potrzeby życia społecznego z katolickiego punktu widzenia. Kwestya kobieca, samopomoc ekonomiczna, hygiena, etyka, zasady ogólnej i specyalnej ekonomii politycznej, z jednej; apologetyka i inne kwestye religijne z drugiej strony, wreszcie podręczniki i gotowe wykłady w tych zakresach znalazły tu należyte i znakomite uwzględnienie. *W. B.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tegoroczne imieniny Piusa X.

Ze wszystkich stron doszły do nas wiadomości, że tego roku w dniu św. Józefa imieniny Ojca św. po całym nieomal świecie chrześcijańskim bardzo uroczyście obchodzono. Zwłaszcza episkopat francuski, hiszpański i angielski skorzystał z tej sposobności, aby w listach pasterskich i urządzeniem nadzwyczajnych uroczystości po kościołach ożywić przywiązanie wiernych do Stolicy św. Powody są jasne. Obok uczuć najgłębszej czci, które zawsze tkwić powinny w sercach katolików dla dostojnej osoby Namiestnika Chrystusowego, czasy obecne, a zwłaszcza rok bieżący, w szczególniejszy sposób wysuwają dla katolika Stolicę św. na pierwszy plan. Dziś obrona praw Stolicy św. i tem samem istotnych praw Kościoła katolickiego więcej, niż kiedykolwiek powinna być ogólną i pierwszorzędną sprawą wszystkich katolików, gdyż w obecnem położeniu jednomyślne i solidarne ujęcie się całego świata katolickiego za powagą i prawami Ojca św. jest najsilniejszą, jeżeli nie jedyną jego obroną. Spuścić się na zagwarantowaną lojalność rządu włoskiego dla Stolicy św. po zajściach lat ostatnich trudno, a po oświadczeniach rządu i agitacyach ostatnich miesięcy nawet jest niemożliwem. Niedawno przecież oficyalny organ rządu *Tribuna* starał się światu wytłu-

maczyć, że renta wyznaczona papieżowi prawem z 13 maja 1871 r. ulega przedawnieniu. Takie postępowanie rządu włoskiego jest wobec kłopotliwego położenia finansów włoskich zrozumiałe, ale nieuczciwe, gdyż tu o przedawnieniu mowy być nie może. Renta owa, z której do tego czasu papieże nie korzystali, wynosi dziś już 109,650.000 frank.; procenta z niej (5%) dałyby roczną rentę 5,482.500, co razem z roczną rentą, do której się państwo na mocy § 4 owego prawa zobowiązało, dałoby sumę 8,707.500 frank., które państwo włoskie obecnie obowiązanem byłoby wypłacać Stolicy św. Rzecz to dla rządu masońskiego bardzo niemiła, ale prawnie jasna. Owe bowiem 3,225.000 franków rocznej dotacyi zostały zapisane w wielkiej księdze długów publicznych, jako wieczna i nietykalna renta pod nazwiskiem Stolicy św., która i podczas wakowania tronu papieskiego wypłacaną być musi. Przytem wolna jest ta dotacya od wszelkich ciężarów i podatków tak państwowych, jako też miastowych i prowincyonalnych i nigdy umniejszona być nie może. Prawo to zostało przez parlament uchwalone, przez króla Wiktora Emanuela II podpisane i 13 maja 1871 ogłoszone. Przedawnienie zaś tej renty, zwolennicy tego zdania opierają na artykule 37 prawa z 19 lipca 1861, który orzeka, że wszelkie zapisy w wielkiej księdze długu państwowego są przedawnione, jeżeli odnośnych sum nie upominano się przez 30 lat. Na podstawie tego artykułu nastąpiłoby więc przedawnienie papieskiej dotacyi już 13 maja 1901. Lecz co do tej dotacyi papieskiej sam rząd postarał się, aby nie dzieliła losu innych zapisów. W nocie ministra spraw zewnętrznych, wysłanej do obcych mocarstw 18 października 1870, oświadcza rząd, że obok nietykalności osoby papieża i osobistych jego praw jako suwerena, gwarantuje także jego listę cywilną. Rada państwowa włoska oświadczyła pod dniem 19 lutego 1878: »Prawo z 13 maja 1871, zwane gwarancyjnem, jest prawem osobliwej natury, o charakterze jemu tylko właściwym, prawo publicznego wewnętrznego prawa państwowego największego znaczenia; jest prawem organicznem i politycznem, które za fundamentalne prawo państwa uważane być musi«. I prezydent rady ministeryalnej Lanza oświadczył w Izbie deputowanych, że dotacya owa otrzymała największą możliwą pewność — że jes

wieczną i niezmienną, że honor narodu, wiara ręczą za nią wobec całego świata katolickiego.

Z tego wszystkiego widać, że renta papieska jest długiem państwowym szczególnego rodzaju, z gwarancyą usuwającą wszelką naruszalność wiecznej tej dotacyi. Że oficyalna *Tribuna* wobec tego śmie mówić o przedawnieniu renty, charakteryzuje tendencyę i usposobienie obecnego rządu bardzo wyraźnie i słowom króla włoskiego, wypowiedzianym przy otwarciu tegorocznych uroczystości narodowych, że mianowicie państwo włoskie jest wzorem pokojowego pożycia państwa z Kościołem, chyba nikt na całym świecie nie wierzy, nie wyłączając może nawet samego mowcy. Gdyby honor narodu włoskiego poczuwał się wobec całego świata katolickiego do większej lojalności wobec Stolicy św. jak dotąd i większą dał gwarancyę ogłoszonych i przez króla sankcyonowanych praw jak dotąd, wdzięcznieby to świat katolicki przyjął, ale trudno wierzyć szumnym zapewnieniom, kiedy fakta o czem innem świadczą. Dlatego obowiązkiem jest katolików głośno stawać w obronie Stolicy św. i solidarnością swoją starać się o największą i najświętszą jego powagę w świecie.

W ostatnich czasach była wzmianka w prasie o tem, że za staraniem dyrektora *Moderne Gallerie* w Wiedniu, wysłane być mają na wystawę rzymską najlepsze dzieła malarstwa polskiego, znajdujące się w zbiorach prywatnych krakowskich. Katolicka Polska niema zaiste żadnego powodu, by przyczyniać się do uświetnienia włoskich uroczystości i dlatego wskazanemby było, aby sfery miarodajne takim zamiarom się oparły. Postępowanie takie wobec protestów i zachowania się Stolicy św. mogłoby w świecie katolickim wywołać tylko jak najgorsze wrażenie.

40-letni jubileusz niemieckiego Centrum.

Centrum niemieckie nie chce być partyą wyznaniowo-polityczną, ale jego początki i cały rozwój historyczny sprawiły, że reprezentowało zawsze katolików w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim. Stąd jego 40-letni jubileusz, który uroczyście obchodzono 22 marca w wielkiej sali pod kopułą pałacu parlamentarnego w Berlinie, jest zdarzeniem ogólniejszego, bo katolickiego znaczenia. Można na polu społecznem

lub narodowem, w polityce lub nawet w religii być innego zdania, niż Centrum niemieckie, ale nie może być różnicy zdań co do faktu, że opierając się na zasadach chrześcijańskich, Centrum zawsze stawało w obronie najświętszych praw i dóbr społeczeństwa i na wszystkich polach życia publicznego położyło niezmierne zasługi. Historya Centrum niemieckiego jest świetną kartą w dziejach katolicyzmu wogóle, bo jest niezbitym dowodem, że katolickie przekonania nie tylko się dają pogodzić z całą kulturą dzisiejszą, ale że nadto zawierają w sobie zasady zdrowego postępu i źródło potężnej żywotności.

Kierując się we wszystkich kwestyach wyższemi normami prawdy, prawa i na chrześcijańskiej moralności opartej wolności, zdołało Centrum ustrzedz się jednostronnej polityki partyjnej i walczyć o dobro ogółu. Stąd też nigdy nie cieszyło się sympatyą ani skrajnej liberalnej prawicy, ani też socyalistycznej lewicy, trzymając się jednak zdrowego środka, mogło dojść do tego znaczenia, przynajmniej w parlamencie, że dłuższy czas dzierżyło hegemonię. Olbrzymie zasługi w tej pozycyi położyło zwłaszcza na polu polityki socyalnej, która zawsze starała się uwzględnić słuszne żądania i prawa wszystkich klas społeczeństwa; stąd też dzisiejszy świetny stan gospodarczy i kulturalny Niemiec i Prus w znacznej części jest zasługą Centrum. W kwestyi polskiej, choć Centrum może nie poszło zawsze tak daleko, jak to nieraz było życzeniem polskiej ludności, to jednak chyba niezaprzeczoną jest prawdą, że Centrum zawsze było wrogiem antypolskiej polityki rządu pruskiego i gorliwym obrońcą słusznych praw i wymagań polskiej ludności.

Od roku 1898 nawet członek Centrum, nie dawno zmarły hr. Ballestrem, przez 8 lat był prezydentem parlamentu, fakt, który nie był życzeniem wielkiego Windhorsta, ale, zdaniem wszystkich, w dziejach parlamentu niemieckiego świetnemi zgłoskami jest zapisany. Jeżeli w obecnych czasach położenie Centrum wobec rozszalałej agitacyi antykatolickiej znowu stało się trudniejszem, to na podstawie całej jego przeszłości i wobec tylu znakomitych jego reprezentantów spodziewać się należy, że nie tylko na stanowisku swem solidarnie wytrwa, ale że ataki na najświętsze prawa ka-

tolickie odpierać i nadal potrafi. Ostatnie burze w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, wywołane przez liberałów z powodu encykliki o św. Karolu Boromeuszu i przysięgi antymodernistycznej, pokazały, że Centrum umie mężnie stawać w obronie Kościoła i że głos jego u rządu niemałe ma znaczenie.

Blizka przyszłość narzuci Centrum niemieckiemu jeszcze więcej tych walk i może niebezpieczniejszych od poprzednich; uświadamia to sobie najlepiej samo Centrum i dlatego przez dzielną pracę i doskonalenie swojej organizacyi, możliwym klęskom zapobiegać się stara. Niedawno bowiem wypracowano i uchwalono nowy statut państwowego wydziału Centrum, uwzględniający potrzeby całego cesarstwa, podczas gdy wydziały krajowe zajmują się sprawami partyi w pojedynczych krajach cesarstwa. Tak znakomitą organizacyę partyi można uważać za skończoną i uzdolnioną do energiczniejszej i wszędzie jednolitej akcyi. W ten sposób przedstawia się dzień 40-letniego jubileuszu Centrum niemieckiego, jako przyjemne wspomnienie przebytych walk i trudów obok świetnych zwycięstw i jako zadatek jeszcze świetniejszej przyszłości. W interesie Kościoła katolickiego i dobra ogółu można tylko życzyć, żeby Centrum niemieckie, wierne przykładom wielkich swych mężów i wzniosłym zasadom, solidarnie dalej walczyło w imię najwyższych ideałów.

Nowa gałąź wiedzy katolickiej.

Nadzwyczajny zapał misyjny, który w ostatnich latach ogarnął Niemcy, i silna inicyatywa, z którą na tem polu wystąpiły ogólne wiece katolików niemieckich wobec konkurencyi protestanckiej, złożyły się na to, że w kołach uczonych katolików niemieckich coraz więcej budziło się także zainteresowanie dla wiedzy misyjnej. W Monasterze już powstała osobna katedra w połączeniu ze seminaryum dla wiedzy misyjnej, dla uniwersytetów zaś w Strasburgu, Tybindze i dla innych katolickich wydziałów wykłady z tego zakresu są również już w projekcie. W ostatnich dniach wyszedł w Monasterze także pierwszy numer pierwszego czasopisma dla wiedzy misyjnej, pod redakcyą profesora historyi kościelnej d-ra Schmidlina. Są to rzeczy tak doniosłe, że trudno o nich milczeć piszącemu o sprawach Kościoła.

W znakomitym artykule wzmiankowego czasopisma odpowiada Schmidlin na pytanie: na czem wiedza misyjna a w szczególności katolicka polega? Jest to wiedza, odpowiada, która systematycznie bada i przedstawia rozszerzenie się chrześcijaństwa tak co do jego faktycznego rozwoju w obecnych czasach i przeszłości, jako też co do jego podstaw i praw. Albowiem nie tylko teraźniejszość i przeszłość działalności misyjnej, lecz także jej zasady i normy mogą się stać przedmiotem naukowych badań i metody krytycznej, mogą w swej wewnętrznej treści i pragmatycznym związku być pojęte, z celowych i idealnych punktów widzenia osądzone i nareszcie w logicznie jednolity system ujęte. Że zaś tak pojęta wiedza misyjna nie tylko dopuszcza ale domaga się traktowania i z katolickiego stanowiska, każdemu jest jasnem, bo do tego nie tylko uprawnia wspaniała przeszłość i teraźniejszość działalności misyjnej Kościoła katolickiego, ale także jej większa przedmiotowość i hierarchiczna organizacya; zresztą także z natury rzeczy same normy i zasady wiedzy misyjnej katolickiej, zwłaszcza w stosunku do protestanckiej, inne być muszą. Sama definicya i treść tej wiedzy obiecują przynieść wielkie korzyści dla samychże misyi; umożebni ona oryentacyę w statystyce, metodach, prawie misyjnem, w etnologii i innych cennych dla każdego misyonarza szczegółach; nie bez pożytku będzie ona nawet dla teologii wogóle. Dlatego słusznie narzeka Schmidlin, że z katolickiej strony tak długo tę tak ważną gałąź nauki zaniedbano, pomimo że protestanci już dawno na tem polu rozwijali ruchliwą i cenną działalność. W Edynburgu bowiem pierwsza katedra wiedzy misyjnej, której pierwszym profesorem był Duff, powstała jeszcze w 1867, w Halli w 1897, a literatura protestancka na tem polu już jest bardzo znaczna. Dlatego też z radością czytamy w wzmiankowanym czasopiśmie *Zeitschrift für Missionswissenschaft* (Münster, Aschendorff'sche Verlagsbuchhandlung), że katoliccy uczeni niemieccy postanowili zabrać się do wielkiej publikacyi źródeł, odnoszących się do historyi misyi. O. Robert Streit już wypracował plan, według którego ma być stworzona wielka biblioteka misyjna i przedsięwzięte wydawnictwo archiwalnego materyału. Nad urzeczywistnieniem tego olbrzymiego projektu czuwa komisya misyjna

centralnego komitetu wieców katolików niemieckich, stąd uzasadniona nadzieja, że projekt nie spełznie na niczem. Jak znakomite siły należą do współpracowników czasopisma katolickiego, pokazuje pogląd na dzisiejszy stan misyi katolickich między poganami pióra znakomitego znawcy tej kwestyi, O. Fryderyka Schwagera S. V. D. Trudno całą bogatą treść tego rzutu oka na dzisiejszy stan misyi tutaj powtórzyć, ale warto podnieść przynajmniej kilka myśli oryentujących w dzisiejszej sytuacyi.

Dziś tak samo, jak kiedyś w epoce kolonialnej portugalsko-hiszpańskiej, wielka część świata pogańskiego pozostaje pod panowaniem chrześcijańskich mocarstw europejskich; mocarstwa te atoli są przeważnie protestanckie i propagandę protestantyzmu silnie popierają. Stąd już nie sama misya katolicka, ale także propaganda protestantyzmu i zachodniego niedowiarstwa walczą o hegemonię w świecie. W tej walce przychodzi w pomoc dzisiejsza dążność krajów misyjnych do przyswajania sobie kultury Zachodu; stąd też dla wpływów kulturalnych misyi katolickiej, ale także protestanckiej i bezwyznaniowej lub antyreligijnej, są one więcej przystępne. Dlatego od sukcesów działalności misyjnej w XX wieku zależeć będzie przyszłość religijna całej jeszcze poza chrześcijaństwem stojącej ludzkości. Przyczyny tej sytuacyi są różne. Najgłówniejsza z nich — to ułatwienie komunikacyi światowej: podczas gdy św. Franciszek Ksawery potrzebował 13 miesięcy na podróż z Lizbony do Goa, dziś w dwóch tygodniach odbywa się podróż koleją z Berlina do Tsingtan. W niedalekiej przyszłości kolej połączy północ Afryki z Przylądkiem Dobrej Nadziei. Za łatwiejszą komunikacyą idzie intensywniejsza kolonizacya amerykańska i europejska w celach przedewszystkiem handlowych, tak że ludy owych krajów coraz więcej wychodzą ze swej izolacyi i poddają się pod wpływy kultury zachodniej. Polityczne, społeczne, naukowe, moralne i religijne poglądy i idee Zachodu przyjmują się tam, powodując proces asymilacyjny, cały świat ogarniający. Ale wszystkie te ludy bardzo chętnie przejściowo stają się uczniami Zachodu, lecz nie chcą na zawsze pozostać politycznie i duchowo zależnymi od Europy lub Ameryki. Idee wolności i narodowościowe, przeniesione z Zachodu wraz z kulturą na Wschód, obudziły i tam dążność do politycznej,

gospodarczej i kulturalnej niezależności. Wobec tego budzi się także pragnienie niezależności na polu religijnem. Stare religie krajowe usiłują środkami i metodami Zachodu przystosować się do nowych potrzeb i warunków, aby wytrzymać konkurencyę z religiami Europejczyków. Do tej więc misyi chrześcijańskiej należeć będzie przyszłość w owych krajach, która okaże się jako większa siła duchowa, silniejszym czynnikiem kulturalnym i która coraz więcej oprze swą działalność na siłach swojskich owych krajów i tem samem zadość uczyni owemu pragnieniu niezależności. Że Kościół katolicki ma moc i środki po temu, aby wszystkim owym wymaganiom zadość uczynić, nie ulega wątpliwości; chodzi tylko o to, aby je dostatecznie poznać i do zadośćuczynienia słusznym dążeniom ludów przygotować się. Jeżeli Kościół w całem znaczeniu tego słowa stanie się Kościołem misyjnym, to niezawodnie swemu zadaniu wielkiemu sprostać potrafi.

Piękne to słowa, świadczące o głębokiej znajomości obecnej sytuacyi; miejmy nadzieję, że nowa wiedza misyjna obudzi w szeregach katolików, i to nie tylko niemieckich, szersze zainteresowanie się tą ważną i żywotną kwestyą Kościoła i dopomoże mu w tem, by niezmiernemu swemu zadaniu mógł zadość uczynić.

Głos biskupi o prasie.

Jeżeli o jakim liście pasterskim powiedzieć można, że bardzo jest na czasie, to chyba śmiało rzec to trzeba o liście pasterskim, mówiącym o prasie. Że dziś prasa jest jednym z najsilniejszych środków kulturalnych ale zarazem najniebezpieczniejszym, o tem cały świat wie, lecz że obowiązkiem katolików jest zamknąć drzwi domów swoich przed prasą niemoralną i antykatolicką, popierać natomiast prasę katolicką i starać się o jak największe rozszerzenie, przypominać o tem nie jest bynajmniej rzeczą zbyteczną. Uczynił to właśnie w postnym liście pasterskim Najprzewielebniejszy Ks. Biskup płocki Antoni Julian Nowowiejski, wyraźnie zaznaczając, że mówić chce nie tak o produkcyi literackiej, jak raczej o czytelnictwie. Po charakterystyce złej prasy i szkód z jej czytania wynikających, zwłaszcza wśród młodzieży, podaje dziesięć bardzo praktycznych dla katolików wskazówek o czytelnictwie i zachowaniu się wobec

prasy dzisiejszej, wskazówek, które warto polecić wszystkim katolikom jako dziesięcioro przykazań o prasie. Nareszcie przypomina, co tak często już powtarzano, ale czego dotychczas jeszcze dostatecznie nie zrozumiano: »Pamiętajmy, że gdyby (wydawnictwa katolickie) miały więcej prenumeratorów i kupujących, w krótkim czasie przewyższyłyby inne« i we formie i w treści; »od nas to samych zależy«! Nikt chyba powiedzieć nie może, że ze strony katolickiej brak usiłowań i ofiar, aby katolikom dostarczyć i gazet i książek odpowiadających dzisiejszym wymaganiom, ale bez ofiarności a przynajmniej solidarności katolików i najlepsze chęci spełzną na niczem. Brak u nas jeszcze dobrze zorganizowanego związku prasy katolickiej, którego głównem zadaniem byłoby popieranie i szerzenie takowej, gdyż tylko silna organizacya mogłaby dla prasy katolickiej stworzyć grunt stały i silną obronę przeciw konkurencyi antykatolickiej.

Ks. A. Starker.

Ze świata nauk i wynalazków.

Nowe stwierdzenie teoryi rozkładu atomu. — Mezotor. — Znaczenie lecznicze ciał promieniotwórczych, zwłaszcza radu. — Leczenie skira i wilka. — Ze świata zwierząt: szczury i dżuma, influenza między kotami i konkurs kwok.

Znaną, na tem miejscu i w osobnych artykułach »Przeglądu« wiele razy omawianą jest kwestya rozkładu, czyli desintegracyi atomu, albo, jak chcą niektórzy, ewolucyi materyi nieorganicznej. Zapoczątkowana przez odkrycia Becquerela doprowadziła wkrótce do wydobycia z łona natury radu i polonu, a za nimi całego szeregu ciał tak zwanych promieniotwórczych, których znamy już obecnie więcej, niż dwadzieścia. Wszystkie te substancye promieniotwórcze tem się odznaczają, że ich atomy nie są stałe, lecz ulegają ciągłemu rozkładowi, dając przez to początek innym atomom, rodząc nowe substancye chemiczne. Kiedy nas w szkołach przed paru dziesiątkami lat uczono o pierwiastkach chemicznych, i ich stałości, nie omieszkano nieraz ośmieszyć ciemnotę średniowiecza, gdzie to ludzie usiłowali zrobić złoto z innych, tańszych materyałów — nie wiedząc, że złoto jest pierwiastkiem, a więc ciałem stałem, nieskończenie trwałem, którego ani zmienić, ani też z innego zrobić nie można. I gdy tak z polito-

waniem śmialiśmy się wtedy z alchemików, nie wiedzieliśmy, że nie każdy przynajmniej pierwiastek jest ciałem stałem, że on może od innych pochodzić, i w inne z biegiem czasu ustawicznie się zmieniać. *Panta rei!* Zmieniają się pierwiastki, zmieniają się poglądy.

Czy jednak ta ewolucya, przemiana substancyi, które dotychczas powszechnie uważano za stałe, jest teoryą, więcej lub mniej prawdopodobnem przypuszczeniem, czy faktem? Na to pytanie odpowiedziećby trzeba, że o ile chodzi o powstanie z danego ciała substancyi nowej, np. z radu utworzenie się helu, to ona jest faktem, zdobytym wieloma już doświadczeniami. Oczywiście, gdy chodzi natomiast o wytłumaczenie tego zjawiska, to, jak widzimy, oparte jest ono na obecnie powszechnie panującej w nauce teoryi budowy materyi, która twierdzi, że ciała materyalne złożone są z cząstek, zwanych atomami — a więc tłumaczenie to ma wartość objektywną o tyle, o ile uznamy za prawdziwą teoryę atomów chemicznych. W obrębie tej teoryi przypuszczalny przez Rutherforda i Soddyégo rozkład atomu znajduje ustawiczne i coraz to nowe potwierdzenie w licznych, po całym świecie cywilizowanym nad tym przedmiotem czynionych badaniach.

Świeżo, bo w połowie stycznia b. r., przedstawili w londyńskiem Royal Society znowu w tej sprawie wyniki swych prac dwaj sławni uczeni angielscy Sir William Ramsay i R. W. Gray, w których, jak sądzą, teorya desintegracyi nowe i świetne znajduje potwierdzenie; żeby znaczenie tych badań zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie, że według dotychczasowych poglądów rad ulega ciągłej zmianie, jego atomy rozkładają się, dając początek tak zwanej emanacyi, z której pochodzą dalsze ciała promieniotwórcze, oznaczane po przodku swoim, z którego wyszły, jako rad A, rad B i t. d., aż do radu F. Zjawisko to tłumaczy Ramsay w ten sposób, że z atomu radu, którego ciężar atomowy według najnowszych obliczeń trzeba ostatecznie przyjąć równy 226,4, ulatują ustawicznie skutkiem jakichś wewnętrznych kataklizmów cząstki, zwane cząstkami α, a które są identyczne zupełnie z atomami substancyi pierwiastka, znanego pod nazwą helu, sławnego jeszcze i tem, że go po raz pierwszy odkryto nie na ziemi, lecz aż na słońcu, mianowicie za pomocą analizy widmowej. Cząstka α, dlatego otrzymała takie miano, gdyż prócz niej wybiegają z atomu radu i wielu innych substancyi promieniotwórczych inne jeszcze cząstki, odmiennego rodzaju promienie, które nazwano z kolei promieniami β i γ. Promienie β są analogiczne do promieni katodowych, tych samych, które w rurce Crookesa uderzając o antykatodę, lub ja-

kiekolwiek inne ciało, dają początek promieniom Röntgena. Składają się one z cząstek, ujemną naładowanych elektrycznością, a biegną z zawrotną prędkością, o połowę tylko mniejszą od promieni świetlnych. Cząstki te są tak małe, że pozorne ich masy tysiąc przeszło razy są mniejsze od najmniejszego ze znanych dotychczas atomów, atomu wodoru. Promienie γ znowu, najwięcej tajemnicze, własnościami swemi równają się wprost promieniom Röntgena. Promienie wreszcie α tem się odznaczają, że złożone są one właśnie z cząstek α, również naładowanych elektrycznością, ale nie ujemną, jak cząstki β, lecz noszą na sobie ładunki elektryczności dodatniej.

Te cząstki α są olbrzymami w porównaniu z poprzedniemi, bo ich masa dwakroć przewyższa masę atomu wodoru. Będąc znacznie cięższe, poruszają się też wolniej, zawsze jednak ruch ich przewyższa wszystko, co dotychczas znamy, bo tylko dziesięć mniej więcej razy jest wolniejszy od światła. Ponieważ i masa cząstki takiej jest dosyć pokaźna, więc nic dziwnego, że jej energia kinetyczna, równająca się, jak wiadomo, połowie iloczynu z masy i kwadratu prędkości, jest stosunkowo niesłychanie wielka. Gdy powiemy, że wynosi ona blizko 6 milionowych części erga, to oczywiście niewtajemniczonym nic to nie zaimponuje, chyba o tyle, o ile wogóle rzecz nieznana imponuje, ale łatwiej wielkość tę przedstawić sobie zapomocą porównania. Otóż gdybyśmy z takich cząstek zlepili kulę karabinową, którąby poruszała się taką samą prędkością, jak cząstka α, toby jej energia sto milionów razy przewyższała energię zwykłej kuli, gdyby się więc żołnierze odpowiednio ustawili, to jedna taka kula wystarczyłaby na zabicie całego wojska. Na pochwałę cząstki α dodać jeszcze trzeba, że ma ona dla nas znaczenie także idealniejsze, niż materyalna energia, jest ona dla nas Polaków szczególnie sympatyczną z tego względu, że polon, owa substancya promieniotwórcza, wynaleziona przez panią Skłodowską jeszcze przed radem, a mająca światu nazwą przypominać istnienie narodu naszego, wydaje ze siebie właśnie tylko te cząstki α. Ale nie tu koniec ich chwały. Już dawniej Rutherford przypuszczał, że cząstki α są albo atomami wodoru, albo też raczej helu. Otóż przewidywania te w zupełności się potwierdziły, i pokazało się, że cząstka α straciwszy swój dodatni ładunek elektryczności, nie znika z rozpaczy, jak to czyni elektron promienia β, lecz staje w rzędzie zwykłych atomów, i zapisuje się w ich listę, jako zwykły atom helu. Mamy tu więc dowód doświadczalny na to, że w przyrodzie nie wszystkie przynajmniej pierwiastki są stałe, i że z jednego mogą przez rozkład ato-

mów powstawać inne. I tak rad, według wszelkich dotychczasowych danych, tworzy się z uranu, sam zaś daje początek całemu szeregowi nowych substancyi, które powstają przez kolejne odrywanie się od głównego atomu jednej cząstki α, czyli helu. Oczywiście zmiana taka odbywa się nie w całej masie radu od razu, lecz kolejno poszczególne atomy jego ulegają katastrofie. Mimo to, według obliczeń Rutherforda, potwierdzonych całkowicie badaniami Dewara, na rok z jednego gramu radu wydostaje się na wolność około 4 trylionów cząstek, to znaczy tyle, że starczyłoby na hojne obdzielenie niemi wszystkich ludzi żyjących na ziemi, a każdy otrzymałby około trzy tysiące milionów takich cząstek. Jest to oczywiście ilość niesłychanie wielka, każdy z nas jednak z łatwościąby ją uniósł, bo wszystkie razem wzięte, te cztery tryliony, tworzą pod zwykłem ciśnieniem atmosferycznem i w zwykłej temperaturze gaz o objętości jednej dziesiątej części centymetra sześciennego.

Jak wspomnieliśmy, gdy wskutek jakichś nieznanych nam bliżej przyczyn z atomu radu wymknie się jedna cząstka α, to atom ten, którego przedtem ciężar był 226,4 razy większy od atomu wodoru, teraz jest już lżejszy i jeżeli dotychczasowe teorye były słuszne, to utracić powinien cztery jednostki wodorowe na ciężarze, jego ciężar atomowy powinien teraz wynosić 222,4. Chodzi więc o to, ażeby doświadczalnie to stwierdzić. Lecz jak? Atom ten tak jest małym, że nie tylko mikroskop, ale nawet najbujniejsza wyobraźnia rozmiarów jego dosięgnąć nie zdoła, a cóż tu dopiero mówić o tem, by go zważyć, ba nawet przekonać się, iż stracił na swym ciężarze cztery jednostki, to znaczy 56-tą przeszło część swej wagi! Problem oczywiście zgoła nieprawdopodobny — ale fizycy, którzy dawno już przedtem zważyli ziemię i słońce na gramy, a z drugiej strony policzyli, ile jest atomów w centymetrze sześciennym gazu, i przed tym zagadnieniem się nie cofnęli — i obecnie, jak zaraz zobaczymy, wyszli znowu zwycięsko.

Jeszcze dziesięć z górą lat temu uczeni, zajmując się badaniem ciał promieniotwórczych, zauważyli, że z niektórych wydostaje się zwolna jakaś substancya, która ma silne własności radyoaktywne, to znaczy jonizuje, czyli czyni dobrymi przewodnikami gazy, i działa na płytę fotograficzną. Zajęto się oczywiście natychmiast dziwnym przybyszem bliżej i przekonano się wkrótce, że jest to gaz o własnościach promieniotwórczych, że można go pod wpływem temperatury płynnego powietrza zagęścić, i wtedy widać nawet, jak pod jego wpływem szkło

fosforyzuje i wreszcie, co niedawno pokazał Ramsay wobec członków Royal Society, można go skroplić a nawet zamienić na ciało stałe i wtedy jego światło fosforescencyjne szczególnie żywego nabiera blasku. Rzecz jest jeszcze ciekawa o tyle, że nie wszystkie substancye promieniotwórcze wydają ze siebie tę emanacyę. Posiada ową własność tylko rad, tor i aktyn, zaś uran i polon są jej zupełnie pozbawione.

Zrobiono przypuszczenie, że emanacya np. radu jest niczem innem jak tylko gazem, złożonym z cząstek, powstałych z radu w ten sposób, że atom radu utraciwszy jedną cząstkę α, tworzy nową substancyę, którą właśnie odkryliśmy jako emanacyę. Oczekiwać należy, że gdy w takim atomie radu raz zachwianą została równowaga, to wewnętrzne katastrofy będą powtarzać się w nim dalej — i rzeczywiście, emanacya wydaje znowu ze siebie cząstki α, jedną po drugiej i przekształciwszy się w ten sposób na nowy rodzaj materyi, osadza się sama na powierzchni ciał, z któremi się styka i wywołuje zjawisko ciekawe, nadaje im mianowicie na czas jakiś własności promieniotwórcze. Wzbudzona w ten sposób promieniotwórczość ma swoiste własności, które nas jednak obecnie mniej interesują — wrócimy więc do samej emanacyi.

To, co powiedzieliśmy o utracie cząstek, jaką ponosi atom radu i następnie atom emanacyi, jest oczywiście tylko teoryą, mającą na celu wytłumaczenie faktu, odkrytego doświadczalnie, mianowicie powstanie z radu owej emanacyi, t. j. gazu o własnościach radyoaktywnych, i wysyłającego ze siebie ustawicznie promienie, złożone wyłącznie z cząstek α, i wywołującego w ciałach innych własności aktywne. Aby się przekonać o słuszności tej teoryi, trzebaby było przedewszystkiem zmierzyć gęstość emanacyi jako gazu — lecz przeszkodę nieprzezwyciężoną stanowiła ta okoliczność, że emanacyi tej z toru wyłania się niezmiernie mało, bo z jednej tony toru (t. j. tysiąc kilo) można jej otrzymać zaledwie 5 stutysięcznych części milimetra sześciennego. Z radu byłoby jej wprawdzie bez porównania więcej, bo z jednego kilograma byłoby emanacyi około trzy dziesiąte centymetra sześciennego, ale takiej ilości niema jeszcze na świecie. Wiadomo bowiem, że rad jest najdroższą, niesłychanie trudną do otrzymania substancyą. Czystego radu otrzymano po wielkich wysiłkach dopiero ślady, po laboratoryach zaś pracuje się dotychczas, a gram czystej soli radu kosztuje dzisiaj zgórą pół miliona koron. Jakżeż więc obliczać ciężar gatunkowy tych znikomo małych ilości radu, ja-

kie laboratorya chociażby świata całego mają do rozporządzenia! Żadne dotychczasowe przyrządy nie mogły się o taką czułość pokusić. Lecz do pomocy przyszły przyrządy miernicze elektryczne, które właśnie w wieku 19-m, pod wpływem Kellvina i wielu innych do niesłychanej doszły doskonałości. Oczywiście przyrządy elektryczne mierzą bezpośrednio tylko elektryczność, lecz pośrednio wskazują także ilość cząstek α, gdyż każda z nich, biegnąc wśród gazu, w jakim się znajduje, jonizuje ten gaz, to znaczy wytwarza wolne jony, z których każdy naładowany jest elektrycznością. Nie będziemy wchodzili tutaj w szczegóły tej niesłychanie zresztą pomysłowej metody, wystarczy powiedzieć, że za pomocą elektrometru wykryć można obecność 230 cząstek α w jednym centymetrze sześciennym. Na pozór cyfra ta nie uderza swą nadzwyczajnością — gdy jednak przypomnimy sobie, że w centymetrze sześciennym gazu pod zwykłem ciśnieniem i w zwykłej pokojowej temperaturze wynosi 360 trylionów, to łatwo teraz zrozumieć, że w elektrometrze mamy przyrząd, który w danym wypadku dochodzi do czułości wprost niewiarogodnej — wykrywa on bowiem gaz tak rozrzedzony, że ciśnienie tego gazu równa się blizko trylionowej części atmosfery.

Zapomocą tedy tak czułego przyrządu próbowano oznaczyć gęstość czyli ciężar gatunkowy emanacyi, a użyto do tego zjawiska tak zwanej dyfuzyi. Mianowicie jeżeli gaz jakiś zetkniemy z innym, to oba te gazy mieszają się, dyfundują — i wykryto, że szybkość tej dyfuzyi stoi w pewnym związku z ciężarem molekularnym, a więc i atomowym obu gazów, tak, że znając tę szybkość i mając ciężar drobinowy jednego gazu, można z dość znacznem przybliżeniem obliczyć ciężar atomowy gazu drugiego. Otóż zapomocą takich doświadczeń, czynionych najpierw przez prof. Rutherforda i pannę Brooks, ciężar atomowy oceniono — bo o dokładnem zupełnie oznaczeniu tą metodą nie może być mowy — na niespełna 225, a więc niewiele mniejszą od samego radu, a także zgodną dosyć z teoryą rozkładu atomu, która wymaga dla ciężaru atomowego emanacyi cyfry 222,4, skoro atom emanacyi powstaje przez oderwanie się od atomu radu, o ciężarze 226,4, jednego atomu helu, czyli cząstki α, którego ciężar atomowy jest 4. Na ścisłe potwierdzenie trzeba jednak było czekać, bo ono mogło przyjść tylko od badań, dających wyniki zupełnie pewne i dokładniejsze. Metoda ta już obecnie się zjawiła, a jej wyniki przedstawia Rutherford i Gray w wymienionej na początku pracy.

Fizycy ci skorzystali mianowicie z wagi nowo zbudowanej przez

Steele'a i Granta, wagi tak czułej, że reaguje ona już na ciężar wynoszący zaledwie jedną trzechmilionową część miligrama. Gdyby więc na jednem końcu tej wagi usiadło czterdzieści ciałek krwi, których jak wiadomo 5 milionów mieści się w jednym milimetrze sześciennym krwi i jeszcze nie zapełni połowy jej objętości, to waga ta jużby na taki ciężar reagowała. Dalszym obrazem czułości tej nowej wagi jest doświadczenie następujące. Gdy na jednym końcu umieszczono maleńką, bo tylko 20 milimetrów kubicznych powietrza zawierającą bańkę kryształową, i zrównoważono ją dokładnie, następnie zaś pod kloszem, pod którym waga stała, rozrzedzono powietrze, to nastąpiło przechylenie na stronę, po której była bańka. Przechylenie więc to sprawił ciężar 20 milimetrów powietrza, znajdującego się w bańce, ciężar, który wynosił 27 tysięcznych miligrama. Otóż mając do rozporządzenia taką niebywałą wagę, przystąpiono do oznaczania zapomocą niej gęstości, czyli ciężaru właściwego a stąd i ciężaru atomowego emanacyi, której Ramsay daje obecnie nazwę nową »Niton«.

Doświadczenia robił Ramsay w ten sposób, że w bardzo małej rurce, zawierającej niton, a pozostawionej na wadze przez trzy miesiące, by cała substancya miała czas uledz przemianom — na co potrzeba tylko około miesiąca — wyznaczał ciężar wytworzonego z nitonu helu. Ciężar ten wynosił 27 milionowych miligrama, tymczasem według teoretycznych obliczań, z danego materyału powinno się było wytworzyć 38 milionowych miligrama. Podejrzenie jednak zachodziło, że brakująca reszta ukryła się w ścianach rurki szklanej. Ażeby ją stamtąd wywabić, potrzeba było ogrzać rurkę ostrożnie i przepłukać ją tlenem. Użyto do tego jednego centymetra sześciennego tlenu, poczem tlen ten oddzielono, hel skondensowano zapomocą oziębienia rurki w płynnem powietrzu i pochłonięcia przez węgiel drewniany, poczem pokazało się, że otrzymano w ten sposób dodatkowo z ścian rurki jeszcze 8 milionowych helu. Brakowało więc tylko trzech milionowych, co przy tego rodzaju doświadczeniach uważać można za rezultat dokładnością wprost zdumiewający. Co zaś do samego nitonu, to 5 razy wyznaczano przez ważenie tą metodą jego gęstość i jako średnią wartość otrzymano 223, a więc zupełnie prawie zgodne z teoretycznem 222,4. Okazuje się więc, że jedynym produktem rozkładu radu jest niton, i następnie hel. Niton zaliczyć trzeba, według Ramsaya, do szeregów gazów nieczynnych, znajdujących się wolno w atmosferze, tak, że teraz szereg ten, uporządkowany według rosnących ciężarów, wyglądać będzie tak: hel, ciężar atomowy 4, neon 20, argon 40, krypton

83, ksenon 130 a niton 222,4. Dodać jeszcze trzeba, że doświadczenia powyższe wykazały nadto, co także z teoryi przewidywano, iż objętość wytworzonego helu trzy razy przewyższa objętość nitonu, z którego ten hel powstał.

Zdumiewające i coraz to nowe własności promieniotwórcze materyi dodają bodźca do gorączkowych po prostu badań nad tym przedmiotem, i laboratorya naukowe nie tylko fizyczne, lecz jak zobaczymy niżej medyczne i biologiczne, rozsiane po całym cywilizowanym świecie, rywalizują ze sobą, by wydobywać na jaw coraz to nowe fakty i zjawiska z tej dziedziny. Prace te z takim zapałem i wytężeniem umysłu prowadzone, chociaż bogate bardzo w plony, dałyby rezultaty z pewnością jeszcze obfitsze, gdyby nie brak i szalona drożyzna materyału. Gram soli radu, mianowicie bromku radu, wypada dzisiaj, jak wspomnieliśmy, przeszło na pół miliona koron, a według obliczeń fachowych, niema go obecnie więcej na całym świecie nad 10 gramów. Nic też dziwnego, że każde odkrycie nowego, tańszego materyału promieniotwórczego, już z samych praktycznych powodów musi wywołać silne zainteresowanie w świecie nie tylko ściśle naukowym. Taką właśnie sensacyą promienistą są odkrycia poczynione przez prof. Ottona Hahna, w chemicznem laboratorym uniwersytetu berlińskiego. Pracując przez szereg lat nad własnościami promieniotwórczemi toru, używanego do fabrykacyi siatek żarowych, wykrył cały szereg pierwiastków radyoaktywnych, z pomiędzy których swą siłą promieniotwórczą i stosunkową taniością na pierwsze miejsce wybija się substancya, którą nazwał mezotorem. Otrzymać ją można z bezwartościowych odpadków, pozostałych przy fabrykacyi toru, a znany dotychczas bromek mezotoru siłą promieniotwórczą nie ustępuje radowi, mimo to, że jest trzy razy od niego tańszy. W krótkim czasie akademia berlińska, dzięki darowiźnie dra Bitingera, będzie w posiadaniu drogocennego skarbu, bo 250 miligramów tej substancyi i odda ją do badań naukowych uczonym niemieckim. Rocznie z odpadków toru wyrabiaćby można w samych Niemczech tej substancyi więcej, niż obecnie jest bromku radu na całym świecie. Oczywiście wobec takich polepszonych warunków badania, oczekiwać należy nowych odkryć, których te ciała są niewyczerpanem źródłem.

(Dok. nast.).

Ks. F. Hortyński.

Przegląd artystyczny.

Zakupy do Muzeum Narodowego i Wystawa gwiazdkowa. — Wystawa architektury.

Urządzona w grudniu wystawa sztuki w gmachu Tow. Przyjaciół szt. p. nosi nazwę gwiazdkowej. Obok celu wyrażonego już w afiszu, miała ona jeszcze inny, głębszy. Miała bowiem przedstawić materyał, mogący posłużyć do zakupu dla Muzeum Narodowego. W tym roku ministerstwo oświaty przeznaczyło sumę 5.000 kor. dla zakupienia najlepszych dzieł z obecnej sztuki, wybranych przez osobny komitet. Jest to wskazówką na przyszłość, że ze strony rządu można domagać się wydatniejszego poparcia na tem polu, ale i trzeba. Bo jeżeli państwo na te cele może przeznaczać w Wiedniu i w Pradze znaczne fundusze, to napewne i nam nie odmówi. Chodzi tylko o to, aby odnośne czynniki umiały się upomnieć w stosownej drodze i porze. Za przykład niech posłuży Lwów, gdzie rząd na zakupy do Galeryi miejskiej przyznał subwencyę po 10.000 kor. rocznie przez pięć lat. Jest to zasługą miasta, dowodem jego troskliwości i starań około ciągłego wzrostu Galeryi.

Tymczasem u nas pod tym względem panuje wielka obojętność. Odnośne czynniki bardzo mało tem się zajmują. A przecież — zdaje się mnie, że to sprawa pierwszorzędnego znaczenia. Mamy jedno, jedyne Muzeum Narodowe w kraju. W porównaniu z czeskiem muzeum w Pradze i węgierskiem w Budapeszcie, a więc z takiemi samemi muzeami dwóch narodów, o połowę od nas mniejszych, nasze jest dopiero w zawiązku. Gdy zaś przeglądniemy budżet krakowskiego muzeum, przekonamy się, że np. w ostatnim roku na sto sześćdziesiąt tysięcy, zaledwie 7.600 wydano na zakupno dzieł sztuki, przedewszystkiem dawnej. Z tego wynika, że sztukę dzisiejszą traktuje się bardzo po macoszemu, podczas gdy wszędzie za granicą jest wprost odwrotnie. U nas zaś z wielu względów powinno się zmienić politykę głównie dlatego, że do stworzenia np. galeryi dawnego malarstwa w znaczeniu europejskiem, mamy za małe fundusze. Natomiast mamy doskonałą sztukę obecną, wcale nie gorszą od obcych. Dlaczegóż zatem nie starać się o stałe powiększanie działu sztuki nowoczesnej w Muzeum, tem bardziej, że tu rząd może przyjść łatwo z pomocą? Przy niewielkich zabiegach możnaby osiągnąć w przyszłym roku podwójną sumę na zakupy obrazów. Sprawa ta jest ważniejszą, niż na pozór się wydaje i dlatego powinna tu nastąpić zbiorowa akcya ze strony Muzeum

Narod., miasta, Tow. Przyj. sztuk p., Akademii sztuk p. i Koła polskiego w Wiedniu. Równocześnie powinien się ukonstytuować komitet, do któregoby należał wybór dzieł i zakupno.

Wystawa ta zgromadziła duży szereg dzieł sztuki. Uwaga nasza zwraca się najpierw oczywiście na obrazy, zakupione do Muzeum. Jest ich cztery: Weissa »Przy świetle lampy«, Boznańskiej »Portret damy«, Karpińskiego »Studyum kobiece« i Hofmanna »Madonna«. Na ten wybór trudno się zgodzić. Obok dwóch pierwszych, nie można uważać ostatniego za najlepsze płótno z obecnej wystawy. Razi ono banalnością myśli. Na tle śnieżnego pola siedzi skulona »Madonna«, jako wiejska dziewczyna z dzieckiem, po bokach zaś dwie dziewczynki z miasta, w granatowych paltocikach, zarękawkach i czapeczkach. Prawda, że Hofmanna dotąd jeszcze niema w Muzeum. Ale bynajmniej z tego nie wynika, żeby kupować pierwszy lepszy obraz. Artysta ten, dziś wysoko ceniony za granicą, daje naprawdę kapitalne rzeczy. Dlatego należało zaczekać, a nie wydawać największej sumy za płótno, nie stojące na wyżynach jego talentu.

Wogóle przy podobnych zakupach w przyszłości trzeba będzie stosować dużo większą rozwagę w wyborze dzieł a przedewszystkiem wykluczyć pośpiech. Na podobne zakupy powinien się składać plon z całego roku, a nie z jednej dorywczej wystawy. Komitet, kierujący zakupami, powinienby się zbierać w czasie każdej wystawy i naznaczać najlepsze dzieła do ewentualnego zakupu z końcem roku. W ten sposób otrzymanoby z całorocznego dorobku pewną liczbę najtęższych prac, z którychby dopiero po wspólnych naradach i roztrząsaniach zakupiono kilka najcelniejszych. Naturalnie, że w wyjątkowych wypadkach możnaby odstąpić od tej taktyki, zakupując jakąś daną rzecz od razu. W ten sposób galerya sztuki nowoczesnej — jaka jest projektowaną w salach Sukiennic, po przeniesieniu Muzeum na Wawel — wzrastałaby corocznie o parę doskonałych prac.

Zakupiony obraz Weissa, średniej wielkości, przedstawia starą kobietę, o pospolitych rysach, która usiadła na tle oszklonej szafy i przy świetle lampy pozuje spokojnie malarzowi. Obraz ten — harmonia całej gamy żółtych tonów — w swej dziwnej prostocie, szczerości odczucia i upozowania całości jest jedną z najlepszych rzeczy wystawy. Podobnie w »Portrecie damy« Boznańskiej zatrzymuje uwagę subtelność techniki, wykwintność kompozycyi i doskonałe zestrojenie tła z kolorem sukni. Są to istotnie dwa świetne dzieła malarskie, słusznie wybrane do galeryi.

Obok wymienionych płócien wybija się na pierwsze miejsce Kazimierz Sichulski. Od pewnego czasu, odkąd przerzucił się na pole dekoracyi, znajduje się w fazie nowego rozwoju. Dotąd znaliśmy jego tężyznę malarską z licznych obrazów rodzajowych, z którą tak godziło się pierwotne, na pół dzikie jeszcze życie Huculów. Teraz znowu poznajemy w nim olbrzymi talent dekoracyjny, będący dopiero w początkach rozwoju. A przytem widać tutaj nie jakiś przeskok, ale pewną ciągłość ewolucyi. Ten sam twardy, szaro-ceglasty koloryt, co w studyach huculskich, a także te same motywy składają się na jego pierwsze kartony do witraży. Z początku jeszcze napół obrazy, napół witraże, komponowane zwykle w formie tryptyków, przeradzają się zwolna w coraz śmielsze i bardziej zdecydowane kompozycye witrażowe. Stopniowo powstają coraz tęższe, doskonalsze dzieła, jak np. »Zwiastowanie«, reprodukowane w jednym z ostatnich numerów »Architekta«, albo karton do mozaiki »Madonna«, prześliczny w prostocie i kompozycyi aniołów adorujących, podziwiany na ostatniej wystawie »Sztuki«. Na powszechnej wystawie sztuki polskiej we Lwowie miał Sichulski całą salę swych projektów do witraży. Obecnie wystawił karton do mozaiki »Sztuka«. Była ona pierwotnie projektowaną na fasadę Pałacu sztuki we Lwowie, którego budowa jednak nie doszła do skutku. Na tle ciemnego błękitu wyrasta w środku młoda dziewczyna, prawdziwa jutrzenka nowej sztuki, w srebrnej szacie obrzuconej kwiatami, przecudna w ruchu. Dokoła niej cztery rozhukane konie, stylizowane na wzór greckich i parę postaci w niemym zachwycie. Dalej lewa część przedstawia gromadę ludu wiejskiego w hołdzie uwielbienia, prawa zaś grupę młodych ludzi, pionierów nowych dróg. Trzeba tu podkreślić doskonałe skomponowanie całego projektu, jego budowę, złożoną z trzech części ze sobą ściśle związanych. Uderza także nadzwyczajny wdzięk, piękno i kolorystyczna dekoracyjność kartonu.

Oprócz tego ma Sichulski na obecnej wystawie parę świetnych portretów, zwłaszcza dwa niezrównane: p. Solskiego w roli Fryderyka Wielkiego i Cara Samozwańca. Brawura rysunkowa, intensywność barwna i trafność i upozowania obu tych typów jest wyjątkową. Fryderyka W. widać tylko po piersi, z profilu: zgarbiony, chytry i przebiegły starzec, w trójrożnem kapeluszu i granatowym mundurze z czerwonymi rabatami. Car Samozwaniec ma w sobie jakiś niepokój, w ruchach i twarzy, na pozór spokojnych. Stoi przed nami jak widziadło

czy mara, w rozwianym, mieniącym się płaszczu. Jeden z tych portretów — jeśli nie oba — powinien się znaleźć w galeryi Muzeum.

Poza tem widzimy na wystawie szereg znanych artystów. Axentowicza »Rusinka« ma dużą wykwintność kolorystyczną, coś jakby zapożyczonego od Velazqueza. Bardzo dobrym jest »Ganek« Józefa Czajkowskiego, także »Jesień« Stanisława Czajkowskiego. Filipkiewicz, prócz zimowego »Poranku w Tatrach«, ma ładne »Bulle de neige«: biały bukiet w zielonym dzbanku na tle starych materyi. Karpiński, obok zakupionego do Muzeum, wystawił »Portret« damy w czarnej sukni i dużym kapeluszu, bardzo efektowny i cieszący się dużem uznaniem w szerokich sferach. Parę doskonałych obrazów ma Pankiewicz, a zwłaszcza »Owoce«: na tle czerwonej makaty o zatartym deseniu, na białym obrusie ustawiona miska z biało-niebieskiej porcelany, w niej jabłka, obok zaś pękata, zielona flaszka. Uderza tutaj ogromna świeżość i soczystość kolorytu. Te również cechy mają jego pejzaże.

Malczewski w swojej »Muzie« rozkłada raz jeszcze cały aparat powtarzających się zawsze symbolów, kwiatków, smyczków, faunów i tych samych modeli. Poza tem zresztą obrazek ten ma nawet wyjątkowo dużo wdzięku. Duży talent zapowiada Tymon Niesiołowski. Niedawno miał zbiorową wystawę, z której parę rzeczy przeszło do obecnej. Widać tam było, że u niego ważą się teraz dwa wpływy: Gaugaina i Wyspiańskiego. Pierwszy działa szczególnie na koloryt, drugi na fantazyę. Młodzieńczą siłę znać w obrazach Kuglera. Zajmuje go głównie studyum konia. Bardzo dekoracyjne i ładne są »Chryzantemy« Procajłowicza. Szczególny wdzięk wyczuwa się w pejzażach Karszniewicza. Dobrą jest Grombeckiego »Chłopska modlitwa«, o dziwnej prostocie. Zwracają także uwagę rzeźby Breyera, Geblera i Szczepkowskiego. Dalej mamy jeszcze szereg bardzo ciekawych prac Żelechowskiego, Witkowskiego, Rzegocińskiego, Uziembły, Podgórskiego, Kazimirowskiego, ładne akwaforty Jabłczyńskiego, rzeźby Małaczyńskiej, dwa bardzo dobre Tetmajera pejzaże i doskonały portret Lentza.

Mimo wielu dobrych rzeczy, wystawa ta ze względu na zapowiedziany zakup do Muzeum narodowego dość słabo wypadła. Przeciętny poziom jest raczej nizki. Komitet kierujący zakupami powinien był dołożyć starań i zapewnić jej udział najlepszych prac i artystów. Wina także spada na Muzeum narodowe, które jako głównie interesowane, musi w przyszłości okazać więcej zainteresowania w tych sprawach.

W tych dniach otwarto w »Pałacu Sztuki« na Placu Szczepańskim wystawę architektury, urządzoną w niewielkiej salce. Po raz pierwszy jesteśmy świadkami podobnego faktu. Czasami — ale rzadko — pojawiały się tu szkice i plany architektoniczne. Teraz po raz pierwszy urządzono zbiorową wystawę architektury, pojętej jako sztukę. Jest to ciekawy i doniosły objaw w życiu artystycznem narodu.

Architektura pojmowana jako sztuka może brzmi trochę dziwnie. Budownictwo jednak ostatnich kilku dziesiątków lat miało niewiele wspólnego z tą piękną sztuką mas i płaszczyzn, jaką w rzeczywistości jest architektura. Powtarzało ono niewolniczo formy historycznych stylów, nie czując zupełnie ani plastyki tych form, ani istoty danego stylu. Dopiero przed kilkunastu laty nastąpił pożądany zwrot. Budownictwo znowu zaczęło stawać się sztuką. Stało się to przy pomocy malarstwa w ten sposób, że artyści-malarze, czując konieczność współdziałania obu tych sztuk, dopomogli architekturze do podźwignięcia się z upadku. Zwrócono się mimowiednie do końca ośmnastego i początku minionego wieku i zaczęło się na wielka skalę studyum form stylu *empire* i *biedermeier*. Pierwsze podniosły się Niemcy, pod wpływem Anglii, w której rozwój nauki budowniczej trwał zawsze nieprzerwanie. Nowy ten ożywczy prąd, który się niebawem rozszerzył po wszystkich mniej więcej krajach, zapowiada na przyszłość jak najlepsze nadzieje, dlatego właśnie, że nawiązał on znowu do tego miejsca, gdzie przerwała się artystyczna twórczość architektury. Gdyż tylko przez zupełne odczucie istoty i plastyki tych form, przez ich wchłonięcie sztuka budownicza może posunąć się dalej. Podobnie koniecznym niezbędnie był renesans t. j. czas niewolniczego nieraz naśladownictwa form klasycznych, by z nich mógł się wyrodzić nowy wspaniały okres sztuki, zwany barokiem.

Nowy ten ruch artystyczny ma daleko głębsze podstawy, zmierzające do odrodzenia życia całych społeczeństw. I o ile poprzedniej epoki upadku głównemi cechami były bezmyślność, niepraktyczność i nieszczerość, to obecnie przeciwnie, rozwaga, celowość i prostota odznaczają nowy prąd nie tylko w sztuce, ale właśnie w samem życiu. Ludziom sprzykrzyło się to ciągłe pozowanie. Zapragnęli w końcu raz być tem, czem są rzeczywiście, przestać się wstydzić swego zawodu i pracy. Zrozumiano nareszcie, że podstawa szczęścia ludzkiego leży w cichej, wytrwałej pracy i w pewnej, prostej wygodzie domowego ogniska. To są bowiem dwa nieodzowne warunki, zapewniające pogodę życia. Z dążenia do osiągnięcia tych warunków powstały niebawem

miasta ogrodowe i racyonalne środowiska fabryczne. Rozwijają się one coraz bardziej tak w Anglii jak i na kontynencie, głównie w Niemczech. Przekonano się wkrótce o wielkiej praktyczności i dużym powabie takiego systemu życia. I dlatego dziś tworzą się przy wszystkich niemal większych miastach nowe dzielnice ogrodowe, o parterowych przeważnie domkach, przeznaczonych dla jednej, a najwyżej dwóch rodzin. Głównym ich celem jest właśnie wygoda i zaciszność, zdala od gwaru i zgiełku miastowego. Na nowo zaczęto odczuwać nieprzeparty wdzięk i piękno przyrody. Nawet w Krakowie stoimy już wobec dokonanego faktu: dzielnice ogrodowe są już w początkach swego rozwoju. Inna rzecz, czy powstałe tam już wille albo dworki spełniły swój cel. Bez względu na to, przyznać trzeba, że dążności ich były skierowane właśnie w tym kierunku.

Na taką to ciekawą chwilę przypada obecna wystawa architektury. I nie można jej bynajmniej uważać za przypadkową. Przeciwnie. Jest ona objawem tego nowego prądu, który u nas już od paru lat pomyślnie się rozwija. Wystawa jest niewielka, ale starannie dobrana. Od razu widać, jak wysoki census panował tu w przyjmowaniu prac. Złożyły się na nią dwa modele planowanych budowli i dwadzieścia kilka projektów rozwieszonych po ścianach. Już na pierwszy rzut oka uderza wszędzie tężyzna koncepcyi artystycznej i duża celowość.

Takim jest przedewszystkiem projekt kościoła w Orłowie Lubelskim przez Czesława Przybylskiego. Widzimy poważną, surową budowlę z kamienia łamanego wzniesioną, jakby z czasów romańskich, warowną, o wązkich niewielkich oknach, z paru przybudówkami na skarbiec i zakrystyę, z frontem o dwuszczytowem zakończeniu, przypominającem trochę przez pewną przysadkowatość muru, a wyniosłość dachu, jakby chaty polskie czy stodoły. Podobną jakby warowność i surową powagę ma model kościoła, projektowanego na konkurs do Warszawy przez prof. W. Ekielskiego. Arkadowy front ujmują dwie nizkie, okrągłe wieże czy baszty, na które spływają linie spadzistego dachu. Z niego wyrasta prześliczna, smukła sygnaturka barokowa. Nad całą budowlą zaś dominuje poważnie stożkowy szczyt czworobocznej potężnej wieży, wzniesionej na przecięciu naw. Kościół ten w mądrem, celowem rozłożeniu mas i w doskonałem zharmonizowaniu proporcyi wszystkich części składowych jest najlepszem dziełem wystawy.

Niezmiernie ciekawym jest także trzeci projekt kościoła, robiony

na konkurs dla Orłowa Lubelskiego przez O. Sosnowskiego. Widzimy tu bowiem typ drewnianych kościółków wiejskich, przeniesiony w kamień. To przeniesienie nie jest bynajmniej powierzchownem, ale przeciwnie, jako doskonała konstrukcya kamienna uwzględnia potrzeby materyału. A więc ogromne, pochyłe szkarpy ujmują ściany budowli nakrytej bardzo wysokim, spadzistym dachem łamanym, z maleńką sygnaturką. Spód kościoła zajmują nizkie, przyziemne »soboty«. Od frontu zaś wznosi się silna, czworoboczna wieża, o pochyłych liniach, ze spiczastym hełmem. W ten sposób skomponowany kościół ma dziwną spoistość jednej bryły, szerokiej w podstawach, a stopniowo zwężającej się ku górze.

Obok tych kościółków można postawić projekt na bożnicę A. Szyszki-Bohusza, której jeden bok nakryty baniastym dachem, ujęty jest w łamane półkole. Drugi rysunek podaje szkic bardzo pięknej polichronii wnętrza.

Ze świeckiego budownictwa wybija się na pierwsze miejsce doskonały model dworu Józefa Czajkowskiego. Był on przed paru laty wykonany na konkurs śp. Adama hr. Krasińskiego z Opinogóry. Widzimy tu typowy, rozległy dwór szlachecki parterowy, z piętrowemi skrzydłami, podjazdem, wspartym na kolumnach i ładną werandą z boku. Nakrywa go pochyły dach mansardowy, kryjący w sobie nizkie piąterko. Tu również należy dworek podmiejski Zdzisława Kalinowskiego, przeznaczony dla dwóch rodzin, celowy i miły, a także projekt dworku Romualda Gutta.

Drobną niejako grupę tworzą szkice rysunkowe Stanisława Nowakowskiego. Są to właściwie fantazye architektoniczne, świadczące jednak o wielkim talencie. Rysowane tuszem, mają w sobie dużo młodzieńczej siły i rozmachu. Przytem widać od razu, że autor ich doskonale umie się przejąć duchem dawnego budownictwa, na tem tle snując swoje fantazye. Tak np. projekt dworu litewskiego ma w sobie pewną wykwintną swojskość. Parterową jego fasadę, wspartą w środku na kolumnach, ujmują dwa piętrowe skrzydła. W inną zupełnie nutę uderza projekt na muzeum. Wyraża on monumentalną powagę w kolumnowym froncie, z silniej zaakcentowanemi wielkiemi bramami po bokach. Doskonale skomponowany, przypomina on nieco gmach giełdy w Antwerpii. Dobrze odczutą plastyką prostych, spokojnych form antycznych ma łuk tryumfalny, wzorowany na rzymskich pomnikach. Dwa szkice kościołów przynoszą znowu bardzo piękne i ciekawe kon-

cepcye. Jeden potrąca o nutę stylu romańskiego. Drugi natomiast jest zręcznem połączeniem gotyku francuskiego z krakowskim.

Poza tem dopełnia wystawę szereg szkiców i projektów, jak przebudowy pałacu XX. Jabłonowskich przez K. Wyczyńskiego i L. Wojtyczkę, dalej domu mieszkalnego Józefa Piątkowskiego, J. Odrzywolskiego, O. Sosnowskiego i plan przebudowy katedry ormiańskiej we Lwowie przez Fr. Mączyńskiego.

Wystawa ta niewielka, była bardzo udaną. Ukazała nam prawdziwą sztukę w postaci architektury. Przyniosła ona trzy doskonałe projekty kościołów, każdy o innym typie, jednę bóżnicę, kilka ładnych a celowych dworów wiejskich i domków podmiejskich oraz szereg różnych szkiców i rysunków. Nie powinna przejść niepotrzeżenie i pozostać bez echa, zwłaszcza przy powstających nowych dzielnicach Krakowa. Każdy bowiem w niedalekiej przyszłości może stanąć wobec sprawy budowy małego domku — dla siebie. Chodzi o to, by go zrobił przedewszystkiem ładnym i wygodnym. Bezpośrednim powodem urządzenia tej wystawy jest międzynarodowa wystawa w Rzymie dla której zebrany materyał, tu najpierw pokazano.

Franciszek Klein.

Druk ukończono 8 kwietnia 1911.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Praxis celebrandi missam aliasque functiones eucharisticas. Gatterer Michael S. J. Oeniponte 1910. Sumptibus Rauch. Pag. 340.

Nauka o cywilizacyi. II. Teorya człowieka i cywilizacyi. Majewski Erazm. Warszawa 1911. Nakład Wendego i Sp.

Nasz kruk. Filochowska-Żmigrodowa Helena. Łomża 1910. Str. 35.

Śluby panieńskie czyli magnetyzm serca. Hr. Fredro Aleks. Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 110.

Kościół i Cerkiew za Maryi Teresy. Napisał Kapłan Unicki. Ocena dzieła ks. Wł. Chotkowskiego Lwów 1910. Str. 70.

Ostatni!... Świerk Jan. Kraków 1910. Nakładem Drukarni Związkowej. Str. 31.

Jerejskij prowydnyk duchownyj. Mydejda Baryczko. Żółkiew 1910. Str. 556 + IX.

Kartki z pamiętnika Alkara. I. Gebethner i Sp. Kraków 1910. Str. 187.

Świątobliwe życie Przew. Jej I. M. C. I. Panny Zofii z Granowa Sieniawskiej, według rękopisu z r. 1630 wydał ks. Gajkowski Jan. Kraków 1911. Gebethner i Sp. Str. 194.

Czciciele tonów. Baranowski Rudolf. Lwów 1911. Str. 117.

Was ist die Cyrillo-Metodeïsche Idee? Jašek Adolph. Aus dem Bömischen übersetzt von Alois Schönbrunner. Velehrad 1911. Str. 79.

Biblioteczka Uniwersytetów ludowych i Młodz. szk. u Gebethnera. 152. Karpiński Fr. i Kniaźnin D.: »Wybór poezyi«; 153. Korzeniowski J.: »Mnich«; 154. Krasicki Ign.: »Satyry i listy«; 156. Calderon de la Barca: »Książę niezłomny«.

Biblioteczka młodz. szk. u Gebethnera. 132. Niewiadomska C.: »Legendy i obrazki historyczne«.

Teatr amatorski. U Gebethnera. 100. Heijermans: »Amnestya«. W 1 akcie.

Anegdoty z dziedziny duszpasterskiej. Ks. Makłowicz. Kraków 1911. Str. 64.

Cud Knehini. Korczak Stanisława. Warszawa 1911. Str. 48 in 16-o.

Zagadnienia postępu. Filipowicz T. Nakładem »Książki«. Kraków. Str. 210.

Barwy duszy. Kulikowska Marcelina. Nakładem »Książki«. Kraków 1911. Str. 180.

Pisma polityczne. Popławski Jan Ludwik. 2 tomy. Str. 344+448. Kraków 1910.

Żyć — nie umierać. Swett Marden. Przełożył Rościszewski M. Warszawa 1911. Str. 85.

Opowiadania z dziejów monarchii austryacko-węgierskiej w związku z historyą powszechną. Dr. Krotoski Kazimierz. Nakład autora. Kraków 1910. Str. 212.

Epos indyjskie: II Uyâsa, Mahâ-Bhârata. Ułożył A. Lange. Nakład Westa. Brody 1911.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Moderniści — modernizanci — antymoderniści, nasi i obcy. Ks. Charszewski I. Przedruk rozszerzony z »Słowa i czynu«. Płock 1910. Str. 127.

Nakładem Herdera we Fryburgu w Bryzgowii r. 1911:

Die italienische Literatur. Baumgartner S. J. Str. 944 in l. 8-o, opr. w półsk. 21 K. 60 h.

Accesus ad altare et recessus. Wydanie 5-te. Str. 192 in 16-o. Opr. 3 K.

Clericus devotus. Orationes, meditationes et lectiones sacrae. Wyd. 2-gie. Str. 572 in 32-o, opr. sk. 4 K.

Lose Bläter. Aphorismen zur Pädagogik der Familie, der Schule und des Lebens. Kellner Lorenz. Wyd. 2-gie. Str. 387 in 8-o. 4 K. 60 h.

Sturm und Steur. Holl Konstantin. Wydanie 3-cie i 4-te, str. 300 in 12-o. Opr. 2 K. 88 h.

Ergänzungsband zum Konversations-Lexicon. Wyd. 3-cie.

Pastoralmedicin. Von Olfers Dr. Ernst. Wydanie 3-cie. Str. 238. Opr. 5 K. 32 h.

Moralprobleme. Vorträge der Proffessoren: Maussbach, Mayer, Mutz etc. Str. 388. Opr. 7 K. 20 h.

Leitfaden der philosophischen Propädeutik (Logik u. Psychologie). Vogt Peter. 2 tomy. Str. 72 i 78. Opr. 3 K.

Führer durch die deutsche kathol. Missionsliteratur. Streit Robert O. M. I. Str. 140. Opr. 3 K. 60 h.

Das dritte Buch Esdras u. sein Verhältniss zu den Büchern Esra-Nehemia (Bibl. Studien. XVI Bd. 1 Hft. Beyer Edmund O. F. M. Str. 162. 5 K. 28 h.

Eine babylonische Quelle für das Buch Job (Bibl. Studien XVI Bd. 2 Hft.) Landesdorfer Simon O. S. B. Str. 138. 4 K. 80 h.

Über Doppelberichte in der Genesis. Allgeier Arthur. Str. 144. 3 K. 60 h.

Anleitung zur Verwertung der Jakobusepisteln in der Predigt. Belser Joh. Evang. Str. 104 in 12-o. Opr. 2 K. 40 h.

Opuscula ascetica selecta. Bona Card. O. Cist. Str. 386 in 12-o. Opr. 5 K. 16 h.

Der hl. Gertrud der Grossen Gesandter der göttl. Liebe, herausgegeben von Weissbrodt I. 3-cie wyd. Str. 620 in 12-o. Opr. 6 K.

Die Demut nach der Lehre des hl. Benediktus. Von einem Benedictiner von Ettal. Str. 166. Opr. 2 K. 40 h.

Das betrachtende Gebet. Maumigny René. Str. 236. Op. 2 K. 88 h.

Missale als Betrachtungsbuch. Reck Dr. Franz. 2 wyd. I tom. Str. 526. Opr. 8 K. 24 h.

Die selige Magdalena Sophie Barat und ihre Stiftung, mit einem Vorwort von Bischof Keppler. Str. 566.

PROBLEMY ARABSKIE

I SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE ARABÓW.

W ciągu ostatniego stulecia aż do najświeższych czasów uczeni badacze i nieustraszeni podróżnicy, jak Burckhardt, von Wrede, Arnaud, Wallin i Burton, słynny tłumacz »Arabskich nocy« w przebraniu derwisza, Żyd jerozolimski Saphir, Palgrave, Pelly i słynny oryentalista francuski Halévy w przebraniu ubogiego Żyda z Jerozolimy, von Maltzan, Dougthy, Renzo Manzoni, państwo Blunt, Glaser, Huber, Euting i oryentalista hr. Carlo Landberg, Müller i ks. Musil usiłowali, częstokroć, w wyprawach kilkakrotnie podejmowanych, przedrzeć się do wnętrza Arabii, by odsłonić jej tajemnicę i dotrzeć do serca Islamu i krain prastaremi ruinami zasłanych, z których bujne dziś wyrasta życie. Uczonym otworzyły się nowe drogi do poznania różnych odcieni starego języka, rozjaśniły się nieco mroczna przeszłość dziejowa różnych królestw i dynastyi starej Arabii i sporo szczegółów z historyi dawnej Żydów, ich religii i kultu. Wogóle jednak rezultaty tych śmiałych i mozolnych usiłowań są dość nikłe. We wszystkich prawie dziedzinach specyalnych dopiero pierwsze stawiamy kroki, mówi jeden z oryentalistów arabskich w pierwszem, zdaje się, zestawieniu bibliograficznem prac w tym kierunku z ostatniego dziesięciolecia. Badania nad językiem opornie bardzo idą naprzód. Słownictwo arabskie ogromne jeszcze okazuje luki. »Jak skąpe są nasze wiadomości o historyi arabskich państewek

południowych, w mroku też gubi się nasza znajomość religii arabskiej. Tylko niektóre śmiałe próby usiłują przedrzeć się poza imiona bogów i narzucające się ich znaczenie astralne«[1]. Dziś jeszcze Arabia jest jednym z krajów najmniej znanych i zbadanych świata całego, prawdziwy sfinks pustynny. I właśnie ten mrok tajemniczy, otaczający Arabię i jej dzieje i urok kilkudziesięciu stuleci, unoszący się nad krajem tym, sprawiły, że dziś wielu z pośród uczonych uważa kraj ten za praojczyznę i kolebkę pierwotną rasy semickiej wogóle.

O czterech grupach ludów semickich mówi nam filologia i historya Semitów, których dzieje rozegrały się nad Eufratem w ciągu kilku lat tysięcy, począwszy od najdawniejszych aż do czasów najświeższych. I wszystkie te ludy wyłoniły się, zdaniem Wincklera i jego szkoły, z wnętrza Arabii, z pustyni skalistej i koczowisk ludów pustynnych.

Ostatni wielki prąd dziejowy, ulewający się ze źródła tego, to światowładny ruch Islamu, który odbywał się w pełnem świetle historyi i służyć może za typ wzorowy podobnych ruchów. Preludyum jego to wytworzenie się państewek Hira i Ghassanidów na pograniczu Syryi i Mezopotamii.

Cofając się o 1500 lat wstecz przed Chrystusem spotykamy się z podobnym ruchem aramejskim, który rzekomo wziął początek w jakimś zakątku nieznanym Arabii i powoli ogarnia Syryę i Mezopotamię, wytwarza małe państewka, jak np. Damaszek, i od połowy VIII wieku wyciska pod nazwą prądu chaldejskiego charakterystyczne piętno na Assyryi i Babilonii.

W 2500 lat wstecz inwazya kananejska gwałtowna i potężna, zalewa Egipt cały i posuwa swoje zagony aż po Hiszpanię. To pierwowzór światowładnego ruchu zaborczego Islamu, podobnie jak 1000 lat wcześniej (od 3500 r. do 2500 r.) ludy assyryjsko-babilońskie, pierwsza i najstarsza fala prądu arabskiego, zalały prastarą cywilizacyę sumeryjską. Ale tu już gubimy się w mroku czasów historycznych.

---

[1] Otto Weber: *Studien zur südarabischen Altertumskunde. Mitteilungen der Vorderasiatischen Gesellschaft.* 1907.

Oto w najogólniejszych konturach synteza historyczna Winckiera o zawiłych i mrocznych dziejach ludów semickich, osnuta na tle tajemniczych pustyń arabskich.

Ale nie tylko problemy naukowe, w chwili obecnej i względy ekonomiczne i polityczne wysunęły Arabię na pierwszy plan akcyi i współzawodnictwa międzynarodowego.

Ćwierć wieku temu pisał wielki geograf Reclus, iż »Wielka droga handlowa z Europy do Indyi okazuje tendencyę coraz wyraźniejszą do zmiany kierunku poprzez dolinę Eufratu«. Bystra uwaga uczonego staje się obecnie z dniem każdym coraz bliższą urzeczywistnienia. Otóż świeżo doniosły dzienniki, iż budowa kolei bagdadzkiej po przezwyciężeniu najgłówniejszych trudności ze strony Rosyi, wkrótce na nowo zostanie podjętą. Co wpłynęło na tę zmianę kierunku w ruchu światowym?

Względy ekonomiczne przedewszystkiem i polityczne.

Kolej bagdadzka skróci niewątpliwie o dni kilka drogę, łączącą Europę z Indyami. Oczywiście główną drogą towarową będzie i nadal dużo tańsza droga wodna, ale poczta, niektóre towary i ruch osobowy skierują się zapewne na Konstantynopol i Wiedeń. Główna atoli myśl, która przyświecała inicyatorom i organizatorom tej kolei, to zbudzenie do bujnego i bogatego życia ekonomicznego krajów, ongi kwitnących bogactwem i gęsto zaludnionych a dziś nacechowanych martwotą i zamienionych w skwarną pustynię. Bagdad, kiedy był światowem ogniskiem handlowem i stolicą wielkiego kalifa Arun-al-Raschida, przyjaciela Karola Wielkiego, owiany czarem poezyi arabskiej, zdobny w meczety lśniące i kopuły o kształcie tyary i bazary i karawanseraje, stał przed oczyma dzisiejszych potentatów kupieckich, którzy myśl tę wcielają w życie, Bagdad i jego bogactwa snuły się po głowach już od połowy ubiegłego wieku, przedsiębiorczych kupców i polityków angielskich i stąd nazwa kolej bagdadzka. A obok Bagdadu Mezopotamia, kwitnąca bogactwem i dobrobytem milionowej ludności a dziś w ruinach i świecąca pustkowiem.

Otóż w te martwe, ale rodzajne i kryjące w łonie swojem bogactwa kopalniane kraje, zakląć nowe życie przemysłowe, za-

szczepić nowe siły kulturalne, kraje te zaludnić przedsiębiorczymi kolonistami, wydobyć z nich wszystko, co one dać mogą, i węgiel i naftę i bawełnę i owoce wschodnie i nieprzebrane bogactwa zboża: oto cele i zadania w rozumieniu Turcyi i Niemiec kolejowej polityki bagdadzkiej.

»Linia ta kolejowa, mówił w roku 1904 przedstawiciel sułtana Turkhan pasza, przerzynająca rozległe wilajety, których ziemia jest najurodzajniejszą w świecie, połączy dwa morza i rozwinie jak drzewo silne swoje konary we wszystkich kierunkach. W krajach położonych wzdłuż toru rozwinie się handel i pomyślność i szczęście i dobrobyt ludów wzrastać i rozwijać się będzie. Powstaną nowe ogniska cywilizacyi i bogactw i wszędzie zakwitną miejscowości, wzmagające się w dobrobyt«.

Podobne nadzieje kwitnące do kolei bagdadzkiej przywiązują młodoturcy, którzy nazywają ją »najważniejszym etapem w ewolucyjnym rozwoju młodej Turcyi«. Wielki wezyr Hakki, pasza, przy otwarciu obecnej sesyi parlamentu tureckiego, w mowie programowej wskazuje na kolej bagdadzką, jako potężny czynnik i jasną zapowiedź pomyślnego rozwoju państwa całego.

»Przyszłość naszego państwa, mówi on, w znacznym stopniu zależy od rychłego ukończenia kolei bagdadzkiej, która otworzy drogę dla przemysłu, rolnictwa i handlu do wielkiego kraju, od tysięcy lat będącego spichrzem ludzkości, kolebką jej cywilizacyi. Jeszcze w czasach Abbasydów Mezopotamia liczyła 20 milionów ludności. Dzisiaj zaś niema tam nawet dwóch milionów. Wielka arterya kolejowa, która połączy Konstantynopol z jednej strony z Zachodem, z drugiej zaś z Persyą i Indyami, ożywi ten zapomniany i zaniedbany dotychczas wielki kraj«.

Nadzieje te, które razem z Turcyą podzielają i inne państwa, zaangażowane finansowo przy budowie kolei, opierają się na naturalnem bogactwie krajów, przez które kolej przechodzić ma, ongi kwitnących pomyślnością i cywilizacyą rzymsko-grecką i chrześcijańską, a które Islam zamienił w pustkowia i ruiny. Ale czy bez pomocy kolonistów i robotników europejskich, nie mówiąc już o armii wykształconych robotników i majstrów fa-

chowych i inżynierów, Turcya zdoła wytworzyć wielki przemysł i stworzyć wielką kulturę przemysłowo-handlową?

Nam się zdaje, że w optymistycznych perspektywach tych Turcya jeden przeoczyła moment, mianowicie, że do umiejętnego wyzyskania sił i skarbów przyrody potrzeba przedewszystkiem pracowitej, wytrwałej i technicznie wykształconej ludności, a tych umiejętnych pracowników chyba Azya nie dostarczy i Islam nie wytworzy. Brak zupełny energii i jakiegokolwiek wysiłku umysłowego czy fizycznego, jakieś lenistwo, które często zapadającego się źródła lub walącego się domu nie chce naprawić, jakaś obojętność i opuszczenie rąk względem wszystkiego, z czego bezpośredniego niema pożytku, to znamienne wady właściwe wszystkim ludom oryentalnym. Ziemia tam mieści w swojem łonie nieprzebrane skarby kopalniane, niewyczerpane siły rodzajne, ale Wschód zapomniał o tem wielkiem prawie życiowem: »W pocie czoła będziesz pożywał chleb twój«, bez którego niema ani kultury ani bogactwa narodowego. W Persyi są ogromne obszary najlepszej ziemi zbożowej, nazwano kraj ten olbrzymim spichlerzem zboża. Widziałem ten spichlerz, mówi jeden z nowszych podróżnych, i kilkakrotnie go zwiedziłem, ale w tym spichlerzu trzeba często przebyć 4—5 mil geograficznych, ażeby napotkać na szmat ziemi uprawionej, należącej do jakiejś wsi lub miasta. Obszarów uprawnych pól, łąk i ogrodów bez przerwy się ciągnących, które w Europie w wielu napotykamy krajach, w Persyi i wogóle całej moslemińskiej Azyi nie znajdziesz [1]. I na tym momencie przedewszystkiem Niemcy budują swoje plany ekonomiczne i imperyalistyczne.

Ale z koleją bagdadzką łączy się jeszcze wzgląd polityczny. Jeżeli wogóle każda kwestya ekonomiczna ma swoją stronę polityczną, to dziś przedewszystkiem w szalonem współzawodnictwie narodów na rynku światowym kwestye ekonomiczne najczęściej służą do tego, żeby utaić plany ambitne i imperyalistyczne zapędy polityki światowej. I pod tym względem usiłowania Niemiec w sprawie kolei bagdadzkiej niewątpliwie nace-

[1] Ratzel: *Völkerkunde,* t. III, str. 156.

chowane są uświadomioną już od czasu Bismarcka tendencyą: *Drang nach Osten.* Potężne państwo niemieckie, rosnące z dniem każdym w liczbę i siły ekonomiczne, potrzebuje pola rozległego i świeżego do żywotnego i pomyślnego rozwoju swego. Wschód tedy ma dostarczyć dla przemysłu niemieckiego taniego surowca, bawełny przedewszystkiem, ma otworzyć swoje rynki dla handlu niemieckiego, swoje ogniska przemysłowe dla przemysłowej ludności i kolonistów niemieckich.

Może w planach tych taił się nadto zamiar zagrodzenia Rosyi drogi do zatoki Perskiej i do zawładnięcia dla prawosławia ziemi świętej? Ziemia święta, prawo do ziemi świętej, to rzeczy wielkie i cenne i dla polityki światowej — zdolne wstrząsnąć potężnie duszą ludu i światem Wschodu. Na Wschodzie religia tkwi w każdym problemie politycznym, jest żywotną sprężyną każdego ruchu politycznego. Ale dziś już kolej bagdadzka tradycyjne te marzenia Rosyi niepowrotnie rozwiała. Zresztą Rosya na Wschodzie nie stanęła w poprzek realnym interesom Niemiec.

Co innego Anglia, która współzawodniczy z Niemcami na wszystkich targach świata, która panuje niepodzielnie nad drogą handlową do Azyi i roztoczyła monopol nad handlem na oceanie Indyjskim.

Co więcej, ażeby obwarować sobie tę drogę i ten monopol, ona po części zajęła, po części rozpostarła swój protektorat i swoje wpływy na wszystkie kraje, leżące wzdłuż tej drogi lub łączące Europę z Azyą.

Ona roztoczyła swoje wpływy i kontrolę na Arabię od morza Śródziemnego do oceanu Indyjskiego, od Armenii tureckiej aż do płaskowzgórza Iranu. Całe obszary, łączące morzem i lądem Europę z Azyą, Egipt z Indyami już to kanałem Suezkim, już to szlakiem bagdadzkim są pod jej opieką lub protektoratem. Cała zatoka perska wraz z portami leży w sferze jej wpływów i jest morzem jakby angielskiem, obsługiwanem przez okręty angielskie. Wszystkie kraje pobrzeżne Arabii od strony oceanu i zatoki Perskiej, jak Koweit, Oman, Aden są albo pod protektoratem albo w rękach Anglii.

Ażeby więc przełamać ten monopol i przeciwdziałać tym

wpływom i odwrócić choć w części ruch handlowy od kanału Suezkiego, podjęły od szeregu lat dyplomacya i bank niemiecki natężoną i wytrwałą akcyę w sprawie budowy kolei bagdadzkiej. I sprawa ta, jakkolwiek w grze dyplomatycznej nie wysuwała się na pierwszy plan, zdaje się, była jedną z najgłówniejszych przyczyn groźnego zaostrzenia się stosunków pomiędzy Niemcami a Anglią w latach ostatnich i żywotną sprężyną, jak jeden z dyplomatów francuskich się wyraża, gorączkowej budowy dreadnoughtów niemieckich.

Ze sprawą bagdadzką łączy się powstanie Arabów w El Jemen przeciwko supremacyi politycznej Turcyi w Arabii.

Dwie rzeczy ukochał Arab całą namiętnością duszy swojej, dwie idee wielkie drgają żywo i dojmująco w duszy jego: idea wolności i sprawa kalifatu. Arabia, w której granicach mieszczą się miasta święte Mekka i Medyna, nie zrzekła się nigdy supremacyi duchowej nad Islamem i z niecierpliwym musem tylko znosi jarzmo polityczne, zgoła nie ciężkie zresztą, nałożone jej przez Turcyę. Serce i umysł dumnego ludu arabskiego nie może przenieść na sobie, oburza się na samą myśl, że ongi sułtan Selim I gwałtem wymusił na ostatniej latorośli Abbasydów i więźniu w Kairze zrzeczenie się prawa kalifatu na rzecz padyszacha w Konstantynopolu.

Ażeby załagodzić ferment wciąż burzący się, Turcya pozostawiła ludowi arabskiemu w dzielnicach przez siebie podbitych zupełną niezawisłość polityczną i zamianowała w Mekce szeryfa, zastępcą Mahometa, który miał stać na straży tradycyi i myśli islamskiej. Było to ustępstwo niemałe, bo szeryf miał być głową duchową Islamu a sułtanowi w Konstantynopolu pozostał tylko czczy prawie tytuł kalifa. W rozumieniu jednak Arabów sułtan był zawsze znienawidzonym uzurpatorem, który targnął się na niezawisłość narodu i choć obcy krwią, świętokradzką ręką sięgnął po dziedzictwo proroka.

Ideę kalifatu podjął na nowo w połowie XVIII wieku wielki i gorący patryota arabski i reformator Islamu, Mohammed Ibn Abd-el-Wahab. Celem jego było wznowić dawną wiarę i przywrócić pierwotny obrządek surowy Islamu. Blask i okazałość me-

czetów, wystawność nabożeństw, bogactwa i kosztowne tkaniny i sprzęty meczetowe, słowem wszystko co się rzuca w oczy było przedmiotem namiętnych ataków wahabitów. Zwalczali oni też namiętnie wszelkie pośrednictwo czy to za przyczyną kapłanów, czy proroka pomiędzy Bogiem a wiernymi i nałóg »próżny i brzydki« palenia tytoniu.

Pod względem politycznym usiłowali wahabici rozniecić pomiędzy plemionami arabskiemi wielką religijną walkę narodową przeciwko niewiernym i wznowić chwałę dawnego kalifatu prawowitego. Niebawem też całą Arabię ogarnął pożar powstania religijnego i socyalnego. W roku 1803 potężna armia, licząca przeszło 100 tysięcy wahabitów, zajęła Mekkę i Medynę. Krew zalała miejsca święte, profanowano meczety i cmentarze, nie oszczędzono nawet grobu proroka. Dopiero pasza egipski Mehemet-Ale położył koniec krwawej wichurze sekciarskiej, która szalała w Arabii aż do roku 1813. Groźne powstanie Turcy zatopili we krwi, ale ruchu religijnego nie stłumiono.

Wahabici i dziś jeszcze stanowią potęgę i dużo liczą zwolenników, rozrzuconych w Turcyi i Indyach a głównie na półwyspie Arabskim, którzy ustawicznie pomiędzy szczepami podtrzymują groźne zarzewie buntu. W roku 1904 wódz tych wahabitów właśnie emir Ibn-Send, władca w Nedjed rozpostarł swoje wpływy aż po Mekkę i rozniecił pożary buntu w Jemen razem z szeryfem Mahmud-Yahia, prawdziwym rzekomo potomkiem proroka, który rości sobie prawo do kalifatu. I przeciw temu ostatniemu wyruszyły wojska tureckie do kraju El Jemen i podobno — jak dzienniki doniosły — straszną poniosły klęskę.

Jakikolwiek będzie ostateczny wynik tej wyprawy, żadna rozprawa orężna nie ureguluje stosunków w Arabii. Pozostanie tam zawsze ów groźny ferment religijny i polityczny, który łatwo rozniecić w pożary. Arabia bowiem jest jedynym krajem na świecie, gdzie dziś jeszcze na rozległych stepach i wśród pustyni niedostępnej bezkarnie i bujnie krzewi się anarchia i dziki indywidualizm nawzajem zwalczających się szczepów i ten brak karności i jedności przedewszystkiem stanowi jej bezsilność i zna-

czenie zarazem wobec Turcyi i w polityce światowej chwili obecnej.

Dziś kraje pobrzeżne Arabii, łączące Egipt z Indyami, należą do sfery wpływów angielskich. I na tym szlaku konsul angielski w Bashir naprzeciwko Koweitu nad zatoką Perską i namiestnik angielski w Aden zapomocą złota, protekcyi, handlu, różnych traktatów z szeikami szczepów, zręcznych agentów i zręcznej polityki umocniłi przewagę ekonomiczną i znaczenie polityczne Anglii. I z tego terenu operacyjnego Anglia stale podtrzymuje ferment religijny i polityczny Arabów i wnosi zaburzenia w głąb pustyni, ażeby w chwili dogodnej rzucić na szalę swojej polityki światowej pożary powstania Islamu. Jutro może mocarstwo niemieckie z Syryi albo Mezopotamii na ruinach państwa Ghassanidów i Hira w szalonem współzawodnictwie nad zdobyciem supremacyi politycznej i ekonomicznej w przedniej Azyi podobną rozpocznie robotę pomiędzy tymi samymi szczepami od strony północnej i zachwieje się równowaga i przechyli szala polityki światowej na korzyść Niemiec i ich sojuszników.

* * *

Arabia co do obszaru »trzy razy mniejsza od Europy, leży w samym środku świata starego. Przyczepiona, że tak powiem, do kontynentu przez łańcuch górski, łączący Synai z Taurusem, należy ona jako szlak przejściowy do Azyi zarówno jak do Afryki. Kontury, kierunek gór, zjawiska klimatu nadają jej cechę przedewszystkiem afrykańską, kierunek zaś jej »uadi« i przestrzeń 1000-kilometrowa, granicząca z niziną Eufratu, łączą ją ściśle z Azyą. Choć wtłoczona pomiędzy dwa kontynenty, stanowi Arabia świat dla siebie całkiem odrębny. Drogi historyczne nie przechodziły przez jej wnętrze. Główna droga komunikacyi pomiędzy Azyą a Afryką, kędy od wieków odbywał się przypływ i odpływ ludności, kupców czy mas wojennych, idzie wzdłuż wybrzeża syryjskiego i szlakiem północnym jakby wyspy synajskiej. Otoczona z jednej strony drogą narodów, oblana ze wszech stron oceanem Indyjskim i zatokami, półwysep ten słusznie zowie się Djezireh-el-Arab, »wyspą arabską«. Mimo cech zewnętrz-

nych, większość rzeczywistych wysp w większej niż Arabia jest zależności od sąsiednich kontynentów« [1].

Wnętrze półwyspu składa się z dwu ogromnych obszarów pustynnych, wynoszących może $^1/_3$ część całej objętości i przedzielonych łańcuchem gór Dschebel Arad. W obrębie i na pograniczu pustyń są oazy i duże szmaty ziemi rodzajnej, gęsto zamieszkałe zwłaszcza na zachodzie i dostępne dla bogatej kultury. Północny obszar pustynny t. z. Skalista Arabia, to step rozległy, pokrywający się w porze deszczowej zielenią. »Prawie zupełnie niema, mówi Reclus, drzew w Arabii północnej, roślinność składa się z traw, z nizkich roślin drzewiastych i trwa tylko przez wiosnę. Pod koniec maja przyroda przybiera charakter posępnej, suchej przestrzeni. Rośliny zwiędły i barwą naśladują glebę«. Skalista Arabia jest tylko dalszym ciągiem tego samego szlaku pustynnego, który przerzyna pod wpływem tych samych czynników meteorologicznych całą Persyę, Syryę, Arabię północną, przerzuca się przez dolinę Nilu i idzie wzdłuż całego wybrzeża afrykańskiego aż do oceanu Atlantyckiego. Jest to ten stepowy szlak dziejowy, którym posuwały się naprzód ludy pasterskie ze wschodu na zachód, nie zmieniając sposobu życia i swoich organizacyi rodzinnych i plemiennych. Ostatnim takim najazdem był zwycięski pochód Arabów i Islamu poprzez kraje morza Śródziemnego o wysokiej cywilizacyi bizantyńskiej i rzymskiej.

Arabia środkowa, obejmująca Nedjed, stanowi już pustynię w ścisłem znaczeniu. Tu już jesteśmy wśród »morza piaszczystego« z nieodstępnym wielbłądem, »okrętem pustyni«, w krainie żaru i pragnienia pustynnego. »Na południu stepu syryjskiego leżąca Arabia środkowa stanowi część strefy pustynnej i również jest uboga w gatunki roślinne... Niektóre obszary pustyni są zupełnie obnażone i pozbawione krzewów i trawy. Jedynie mchy rozpostarły się na skałach, niby delikatna powłoka skalna. Nawet w Tehama, na wybrzeżu morskiem, roślinność jest nadzwyczaj uboga... Ogół roślinności nie różni się od roślin Sa-

[1] Élisée Reclus: *Nouvelle Géographie*, t. IX, str. 827.

hary« [1]. Pustynia ta powstała pod działaniem zimnych i suchych prądów powietrznych, które wieją od pustynnego wnętrza Azyi aż do Senegalu. Ostre zmiany temperatury, słoneczny żar pustynny na przemiany z dojmującem zimnem nocnem, wyżłobiły i wyrzeźbiły dla wichrów tych jakby olbrzymie łożysko piaszczyste w skalistem podłożu, poorane ostremi graniami, »nefuds«, idącemi w kierunku wichrów ze wschodu na zachód. Ażeby się uchronić od piasku i pyłu pustynnego, które wichry układają w ruchome fale, Beduini zwłaszcza podczas szybkich podróży, zasłaniają sobie usta i część twarzy. Więcej na południu pustynia ta »składa się prawie wyłącznie z grubo-ziarnistego, czerwonego piasku. Podróżnikowi na słońcu, gdy odczuwa już w ciele dreszcz febry, a nawpół oślepione oczy szukają nadaremnie punktu, na którym mogłyby spocząć bez cierpień, zdaje się, iż przepływa morze ze krwi lub ognia: to wichry pustynne, które uderzają jak »fale ogniste«. Faliste wzniesienia piasku, ciągnące się na powierzchni pustyni, dosięgają niekiedy wysokości stu metrów« [2]. To Dehna straszliwa i tajemnicza, bo najmniej znana, kędy hulają tylko wichury skwarne, »simoum«, z falami ruchomego piasku i mamią oczy zwodnicze widziadła pustynne.

Obie pustynie okalają kraje wybrzeżne, kwitnące urodzajnością i zamożnością, jak El Hedjas i głównie El Jemen na zachodzie, Hadramut na południu, Oman i El Hasa na wschodzie, znowu przeważnie od morza oddzielone wązkim pasem pustynnym. Jest to t. z. »Arabia szczęśliwa« starożytnych pisarzy. »Góry Jemenu np. wkraczają tu do strefy pod względem klimatycznym zgoła odmiennej od pustyń; główne płaskowzgórze, pokryte zielonością, zacienione drzewami, przypomina włoskie krajobrazy. W setkach dolin stokom nadano kształt uprawnych tarasów, które tworzą olbrzymi amfiteatr pogrążony w zieloności. W tej okolicy górzystej powierzchnia ziemi i klimat prawie uniemożliwiły pasterstwo. Zaludniona przez rolników, żyjących z uprawy gruntów, dostarcza najcenniejszych artykułów żywności w Azyi« [3].

[1] Reclus, str. 870.
[2] Reclus, str. 848 i 870.
[3] Reclus, str. 836.

Wśród mieszkańców Arabii trzy przedewszystkiem uderzają typy: 1) mieszkańcy miast, przeważnie kupcy i przemysłowcy, a zatem warstwa najwykształceńsza i pokojowo usposobiona.

2) Arab-Dire czyli Arabowie na pół koczujący i na pół osiadli, którzy na krańcu pustyni zamieszkują jużto namioty jużto marne lepianki.

3) Arab-Bedu czyli Beduini, którzy od lat tysięcy wiecznie tułają się po stepie pustynnym i wiecznie przenoszą swoje namioty na swieże pastwiska. Niekiedy Beduini na pograniczu pustyni mieszkają i w mieście, ale i wówczas nie rozstają się z nawyknieniami koczowników i tęsknią za życiem pustynnem. Janbo, miasto portowe Medyny, zamieszkałe jest przez osiadłych Beduinów, których ubranie składa się z płaszcza, turbanu i sztyletu. Wszyscy prowadzą życie próżniacze, choć surowe i proste, i robią wrażenie, jakby tylko z konieczności na chwilę osiedlili się w mieście. Wszyscy gardzą handlem i rzemiosłem a kto może wyrywa się na kilka przynajmniej miesięcy w głąb kraju, by oddychać orzeźwiającem tchnieniem stepu pustynnego. Wyborną charakterystykę Beduina podaje nam Pismo św., które mówi o Ismaelu: »on błąkać się będzie jak osieł pustynny i walczyć z wszystkimi i wszystkich będzie miał przeciwko sobie« (Gen. 16, 12).

Główną i najprzedniejszą zasadą życiową Beduina, to wolność na stepie bezgranicznym i niezawisłość osobista. Gdy młody Beduin rozbije swój namiot, »nie ścierpi żadnego rozkazu, nie usłucha niczyjej rady, prócz własnej woli«. Lud ten nigdy nie zaznał ani pańszczyzny ani niewoli, nigdy nie dźwigał obcego jarzma państwowego. On zawsze był wolnym od lat tysięcy, podobny do jeźdźca, który się upaja szalonym pędem na bezgranicznym stepie pustynnym. I dlatego dla Turków, którzy radziby go podbić w posłuszeństwo i zmusić do płacenia podatku, żywi głęboką nienawiść. Otoman to wróg największy.

Inną zasadą życiową Beduina to prawo wojny. Wszystkie szczepy beduińskie w nieustannej ze sobą są walce. Dla skostniałych w dumie rodowej szczepów drobna przyczyna wystarczy, żeby wywołać rozprawy wojenne, które co prawda nie trwają dłużej niż pokój obopólny. Jedne wojują o naruszenie pastwiska

plemiennego, inne o wodę, inne uwikłane są w niekończące się walki odwetowe [1], wszystkie zaś podejmują często wyprawy rabunkowe i kradną, gdzie mogą cudze trzody. W rozumieniu bowiem Beduina kradzież i rabunek zgodne są z honorem pustynnym i każdy zaprawia się pod tym względem od wczesnej młodości. »Rabuś arabski, mówi Burckhardt, wysoko ceni swój fach. Słowo »haramy« to tytuł zaszczytny, który daje się tylko młodym bohaterom. Arab obedrze swoich nieprzyjaciół i przyjaciół i sąsiadów, skoro tylko nie znajdują się w jego namiocie, gdzie własność cudza jest dla niego świętą«. Każdy szanujący się szeik co rok podejmuje jedną albo kilka wypraw łupieżnych, razzia, które trwają nieraz tygodnie albo miesiące całe. I podczas tych wypraw każdy czuje się uprawnionym obdzierać obcych i karawany, z którymi się spotyka. Rabunki te atoli, o ile możności, dawnym zwyczajem odbywają się bez rozlewu krwi, bo każda krew przelana początkuje zawsze krwawe walki odwetowe, w których są dozwolone podstęp i chytre zasadzki. I tych porachunków krwawych, tających się w nieokreślonej przyszłości lękają się najodważniejsi wojownicy. Straszliwe diyah stoi tu na straży pokoju.

Nad krwawymi zaś zatargami i porachunkami unosi się jak anioł pokoju prawo gościnności, jako instyucya prawna, torująca drogę stosunkom pokojowym. Kto dotknie się powrozu namiotowego lub dzieli się jadłem lub napojem jednego z członków jakiegoś szczepu, choćby nieprzyjacielskiego, już znajduje opiekę i ochronę przed wrogami, dopóki korzysta z gościnności. Żądzę zysku i zemsty pokonywa tu prawo miłości. I myliłby się, ktoby

[1] Jak głęboko zakorzenione jest w Arabii to prawo odwetu, znać to z przysłowia: »I choć miałbym palić się w piekle, nie poniechałhym krwawej zemsty«. Krwawy odwet zwraca się w niektórych szczepach przeciwko całemu rodowi mordercy, w innych obejmuje tylko ściślejsze koło krewnych aż do 5 stopnia. Prawo odwetu dopiero wchodzi w życie w 3 dni i 4 godz. po przelanej krwi, ażeby krewnym dać czas do emigracyi. (Burckhardt: *Bemerkungen über die Beduinen und Wahaby,* str. 252 i dalej). Inny uczony podróżny Maltzan pisze w *Reise nach Südarabien,* str. 263: »Każdy szczep odpowiada solidarnie za każdego członka i dla ekspiacyi wystarczy, że jakiś członek ze szczepu obwinionego polegnie w walce ze szczepem przeciwnym. Najczęściej wszelako szczep pierwszego mordercy znowu szuka odwetu i tak powstaje częstokroć łańcuch niekończący się krwawych porachunków«.

mniemał, że Beduin na pustyni, gdzie takie twarde warunki życia, tylko z wyrachowania jest gościnnym. Nie, on podejmuje z serdeczną uprzejmością każdego gościa i choćby ostatniego poświęcić miał barana, uraczy go hojnie i wystawnie, on częstokroć, ażeby uczynić gościnnym swój namiot, dopuszcza się kradzieży i rabunku.

Obok prawa gościnności służy nadto pokojowi prawo asylu i czas pokoju ogólnego, kiedy milknie szczęk broni i ustaje wszelka zemsta zdradliwa. Odpowiednio do surowego prawa odwetu w Arabii od najdawniejszych czasów rozległe istnieją przywileje asylu, w które zaopatrzone są świątynie i cmentarze. Na Synaju mordercy przysługuje prawo 30-dniowego asylum w domu jakiegokolwiek obywatela poważnego, ażeby miał czas pogodzić się z mścicielem, albo uchylić od zemsty. O czasie pokoju ogólnego będzie poniżej mowa.

Każdy szczep trzyma się swego terytoryum, które mu przypadło w posiadanie. »Nie trzeba mniemać, mówi Smith, że koczujący Arabowie zupełnie bezładnie wzdłuż i wszerz półwyspu się błąkają. Każda grupa albo związek grup ma swoje własne pastwiska i przedewszystkiem swoje stacye wodne, których trzymać się musi, jeżeli nie chce narazić się na nieprzyjacielskie napady«[1]. Zresztą nie cała Arabia jest zamieszkałą. Olbrzymia i straszliwa Dehna na południu i pustynia piaszczysta, oddzielająca Syryę od Djof, są wogóle, zdaje się, do nieprzebycia. Tylko syryjska pustynia stepowa i pustynia środkowa Nefud i Nedjed kryją w swojem wnętrzu koczowiska Beduinów. Z tego już wynika, że hipoteza Wincklera o wielkich zbiorowiskach mas ludowych na pustyniach arabskich, na kruchej opiera się podstawie, zwłaszcza, że za czasów historycznych wszystkie znane nam ruchy ludowe w Arabii wyłoniły się nie z namiotów pustynnych, lecz przedewszystkiem z nadbrzeżnego pasu Arabii zachodniej, kwitnącego handlem i rolnictwem, nie z koczowisk lecz z mieszkańców miast, z kupców i przemysłowców, do których przyłączyły się szczepy beduińskie. »Każdy szczep pustynny, opowiada Burckhardt, tworzy jedno albo kilka koczowisk, które posuwając

[1] Robertson Smith: *Kinship and Marriage in Early Arabia*. Str. 36.

się na swojem pastwisku, powoli je wypasają. Każda wybitniejsza rodzina tworzy tam odrębne koczowisko. Mniej liczne rodziny łączą się z większemi i tak połączone koczowiska składają się na ród, choć są i rody, które tylko z jednego składają się koczowiska. Rodom przewodzi naczelnik, który zowie się szeikiem. Zadaniem jego jest przewodzić w radzie i dzięki temu wyszczególnieniu ma on w wspólnych naradach większy wpływ, niż inni ojcowie rodzin. Z godnością bowiem szeika nie łączy się żadne przełożeństwo. Jego rozkazy odtrąconoby z pogardą, choć za dobrą jego radą, ufni w jego doświadczenie, idą chętnie Beduini«. Wyraźniej przedstawia nam wewnętrzny skład i urządzenie szczepu słynny podróżnik arabski, baron Oppenheim. »Ustrój szczepu u Beduinów, mówi on, jest patryarchalny i opiera się w przeważnej mierze na rodzinie. Szczep składa się w ogólności z mniej lub więcej licznych grup rodzinnych, związanych ze sobą powinowactwem krwi. Rodziny zowią się »achair« a na ich czele stoją »machaw«. Na czele grupy stoi szeik, dobrowolnie uznany przez wszystkich i wybrany z pośród ludzi najbogatszych szczepu. Szeik stanowi wraz z rodziną i krewnymi jądro koczowiska. Związek szeików różnych koczowisk, składa się na szczep i podlega rozkazom kierownika, który jest szeikiem całego szczepu, choć bez odrębnego tytułu. Szeik ten jest przedstawicielem szczepu na zewnątrz. Jego władza jest dosyć ograniczona: we wszystkich ważniejszych sprawach ma on zapytać się o zdanie najwybitniejszych członków szczepu, machitir'ów. On nie piastuje żadnej władzy, tylko przedkłada swoje zdanie. On nie decyduje ani o pokoju ani o wojnie a w razie wojny, w ciągu całej kampanii wodzem jest jeden z członków szczepu, którego uważają za najzdolniejszego.

Godność szeika jest wogólności dziedziczna, chociaż najstarszy syn niekoniecznie następuje po ojcu. Jeden z braci albo jakiś inny krewny może być następcą szeika, albo też jakiś inny członek szczepu, szczególnie uzdolniony. Gdzie różnią się zdania albo gdzie synowie wiodą ze sobą spory o następstwo, zdarza się często, że szczep rozpada się. Szeikowie zwyczajnie wywodzą swoje pochodzenie z rodów starożytnych. Obok szeika w każdym szczepie są inne stare rodziny, które, owiane urokiem wieków,

pragną być wyszczególnione wobec zwyczajnych Beduinów, »Nefär« [1].

Arabski szeik więc nie piastuje żadnej władzy, on spełnia tylko funkcye jakby sędziego polubownego. Rzeczywistym bowiem sędzią jest kadi, wybierany przez szczep, którego godność dla strzeżenia tradycyi prawnych jest dziedziczna i przywiązana do jednej rodziny. W czasie wojny władza szeika zupełnie ustaje, wówczas obejmuje rządy dyktatorskie agid, wybrany z pośród wojowników nieustraszonych i najdoświadczeńszych. Niektóre szczepy wogóle żadnego nie mają szeika. Beduini Dijabi np., rozpadający się na 7 gałęzi rodowych, mają na czele starszych (abu: ojciec), którzy w sprawach wspólnych rozstrzygają większością głosów. Niekiedy jednak szeik, gdy ma na oku dobro szczepu i rządzi się taktem i roztropnością, gdy jest majętny i z szlachetnego pochodzi rodu, staje się jakby księciem udzielnym z woli pokolenia, ale i wówczas szczep nie zapomina nigdy, że on sam się rządzi własnem prawem, a szeik jest tylko pierwszym w radzie. Władza książąt w osiadłych pokoleniach wyrosła raczej z dowództwa wojennego i karawanowego, niż urzędu pokojowego szeika, ale to nie ulega wątpliwości, że godność i znaczenie bez władzy rzeczywistej szeika arabskiego, opierająca się na roztropności i takcie i zaletach osobistych jest wyborną szkołą sztuki rządzenia. Z tej szkoły wyszedł Mahomet i Omar przedewszystkiem, ten wzór arabskiego władcy, obowiązkowy szeik, pełen prostoty i surowy dla siebie, który wspomagany radą starszych, układa się z plemionami, rozsądza spory i kojarzy małżeństwa a równocześnie waży w genialnym umyśle swoim kupieckim światowładne plany i rzuca fundamenta pod mocarstwo światowe, równające się pod względem objętości całej Europie. I dziś jeszcze z tej szkoły niejeden emir nauczył się sztuki rządzenia. »Emir (w Szammar), mówi Blunt, żyje w pokoju z sąsiadami, wyjąwszy Ruallitów i Sebaaitów. Podatki w Szammar są małe, służba wojskowa dowolna, rządy jego są najzupełniej popularne.

---

[1] *Voyage en Syrie et en Mésopotamie,* par Max d'Oppenheim, Le Tour du Mond, 1900. Str. 599 (600).

Nigdzie w Azyi niema szczęśliwszego społeczeństwa, niż w Dszebel Szammar« [1].

Arabskie rody czyli klany tak Beduinów jak patrycyatu miejskiego opierają się na zasadzie patryarchalnej i dumnem poczuciu arystokratycznem. Beduini z Nefud i Nedjed są z krwi i kości arystokratami i znają z zadziwiającą dokładnością i swoje i swoich koni genealogie aż do najodleglejszych rozgałęzień. Beduini w Janbo z rodu dumnych Limbauvi szczepu Dszehina, ażeby zachować czystość krwi, żenią się tylko w obrębie swego szczepu. W ich oczach związek małżeński z patrycyuszką z Mekki uchodzi za mezalians. Gdy uczony Maltzan wybrał się w przebraniu maghrebii z pielgrzymką do Medyny, podał się, ażeby uniknąć w drodze dochodzeń genealogicznych, za pielgrzyma z Philippeville, gdzie żadnego nie było Araba. W przeciwnym bowiem razie naraziłby się na natrętne badania każdego napotkanego kolegi, czy przypadkiem nie jest jakimś kuzynem jego w 20 stopniu pokrewieństwa.

I to dumne poczucie arystokratyzmu przedewszystkiem, skostniałe w kastowości i wyrażające się głęboką pogardą dla niższych i wszystkich, którzy są poza obrębem rodu, wykopało tę przepaść, dzielącą pojedyncze rody na wrogie sobie obozy.

Rzucające się w oczy prawa własności rodowej do rzeczy najniezbędniejszych do życia, pogłębiły jeszcze tę przepaść. Raz po raz na skałach, przy studniach i cysternach, na murach i kolumnach ruin, napotyka podróżny tajemnicze znaki »wesm«, pracowicie wyżłobione w kamieniu. To pieczęć rodowa na znak, że ta studnia i to pastwisko lub ziemia, leżąca odłogiem, należą do jednego lub kilku szczepów i że szczep tylko może pozwolić na osiedlenie się kolonistom na tej ziemi i na korzystanie z tej studni lub pastwisk. Oprócz rzeczy nieruchomych naznaczone są też znakiem rodu trzody, a więc owce, kozy, wielbłądy, konie, a na straży znaku stoi prawo odwetu, rzucające krwawy cień na tę własność wspólną. Najcenniejsze prawo w obrębie rodu to prawo solidarności, polegające na tem, że w obronie każdego

[1] Ratzel: *Völkerkunde*, t. III, str. 155.

członka występuje zawsze ród cały. Prawo to rozciąga się na mocy ugody częstokroć na obcych, którzy w przyjacielskie weszli porozumienie ze szczepem. Luźno z rodem związani są nieliczni zresztą wśród Beduinów i na ogół łagodnie traktowani niewolnicy, którzy żadnych nie mają praw, gdyż należą do rodzin i absolutnej podlegają władzy ojca rodziny.

Mahomet usiłował wprowadzić w miejsce wszechwładnej idei rodowej, rozbijającej cały naród na wrogie i nawzajem się zwalczające plemiona, ideę religijną Islamu. I w istocie Islam wstrząsnął narodem całym i przetopił dziki indywidualizm Araba w fanatyzm religijny, podszyty nadzieją zdobycia bogatych łupów i przemienił jego ekskluzywną dumę plemienną w dumę nacyonalną, podbijającą w niewolę obce sobie narody, ale nie złamał potęgi rodów, ani nie stłumił pogardliwie spoglądającej na innych dumy rodowej. I samemu Mahometowi mimo jego tendencyi demokratycznych duch właśnie arystokratyzmu rodowego torował drogę do zjednoczenia całego narodu i do kalifatu. Gdyby bowiem ród Korejszytów, do którego Mahomet się zaliczał, wskutek powierzonego sobie urzędu nad miejscem świętem całej Arabii nie miał takiego wpływu i znaczenia w całym kraju, Mahomet w swoich usiłowaniach nad zjednoczeniem Arabów dużo większe miałby do przezwyciężenia trudności i zawady.

Rody arabskie w obrębie swoim szerokie zostawiają pole wolności i indywidualności członków. Gdy Arab nie chce się nagiąć do zwyczajów ogółu i idzie przeciwko ustalonej opinii rodu, gdy chce żyć oddzielnie i na własną rękę borykać się z potęgami wrogiemi pustyni lub przyłączyć się do innego plemienia w charakterze klienta, nikt mu tego nie broni. Szablon zwyczajów rodowych nie łamie tu i zgoła nie ogranicza wolności osobistej. »Gdy plemię nie zgadza się na wyprawę wojenną, na zawarcie pokoju lub wybór nowego kierownika, mniejszość odłącza się po przyjacielsku i tak, ażeby ugrupować się według nowych swych powinowactw, miesza się ludność w nieskończoność: ojczyzna kolektywna, którą stanowi asocyacya interesów, zmienia się bezustannie, jak grupy namiotów; szczepy przenikają się jak fale morza; klan, który przebywał w dolinie Nedjed obecnie ko-

czuje nad górnym Eufratem albo w jarach Sindjaru. Setki, tysiące kilometrów rozdziela dwie grupy jednej i tej samej rodziny« [1]. I na tym momencie oparł Mahomet i przed i po nim niejeden twórca oddzielnego państewka w Arabii swoją politykę. Podobnie bowiem jak malkontenci albo mniej liczne rodziny wśród Beduinów szukają w charakterze klientów oparcia o rodziny potężniejsze, tak dzielny wódz i polityk skuwa niekiedy zręczną polityką i częściowo podbojem różne rodziny w szczepy lub ogólniejszy związek szczepów. I tak pod żelazną dłonią potężnego despoty powstają małe państewka, które jednak z biegiem czasu rozpadają się znowu na swoje części składowe, gdy zabraknie mądrego i potężnego władcy. W ten sposób powstał też związek szczepów za Mahometa, który był pierwszem jądrem nowej potęgi i nowego państwa światowego.

W starożytnej Arabii południowej królestwa Maan (około 1500 r. wzwyż przed Chr.) i Saba (około VII w. przed Chr.) odtworzone w ogólnych ale dość wyraźnych zarysach z ruin i tajemniczych napisów, również przedstawiają się jako związki plemion pustynnych. Około liczniejszego i potężniejszego szczepu, zwyczajnie w ognisku miastowem żywszego ruchu handlowego i religijnego, grupują się inne szczepy i wytwarza się organizm państwowy zapewne pod żelazną dłonią jakiegoś twórcy-despoty.

Na czele każdego szczepu stali naczelnicy (kail), którzy byli urzędnikami administracyjnymi i zarazem spełniali po części funkcye religijne. Wszyscy członkowie rodów równe posiadali prawa, choć dwa odrębne stanowili stany: posiadających i bezdomnych. Poszczególne rody albo członkowie tychże posiadali licznych klientów (adam) wieczystych albo czasowych, którzy według uznania rodu albo pana swego (mar) pełnili służbę wojenną i płacili podatki. Oprócz klientów byli i niewolnicy, z którymi różnie się obchodzono, zależnie od tego, czy w obrębie rodziny przyszli na świat (abd), czy też zostali nabyci (kani).

Ponad naczelnikami rodów stał król (malik) dziedziczny, który pierwotnie łączył w ręku swoim władzę świecką i du-

[1] Reclus, str. 880.

chowną. Najdawniejsi książęta Saby noszą nazwę mukarrib t. z. ten, co błogosławi. W królestwie Maan wszelako obok króla występuje kolegium musanidów, które zajmuje się sprawami religijnemi i administracyjnemi. Królowie w Maan pobierali podatki od szczepów za pośrednictwem namiestników swoich (kabir), mianowanych na czas pewien przez króla i arcykapłana. Dwoisty ten charakter tłumaczy się tem, że kabirowie równocześnie pobierali podatki kościelne a może byli zarazem kapłanami. W każdym razie inni urzędnicy królewscy, jak przyjaciele (muraddat) i naczelnicy (szaryk) mieli charakter wyłącznie świecki. Urzędnicy najwyżsi nosili tytuł kabir kainów albo kain kainów. Prawo bicia monety należało do króla, który nadto, opierając się na wasalach osiadłych w dobrach królewskich, prawem lennem nadanych, znaczną przedstawia potęgę w państwie. Ze złotych i srebrnych monet tych przedewszystkiem, przedstawiających wizerunki królów i emblematy religijne, wnioskujemy o charakterze i rozwoju historycznym i pokrewieństwie kulturalnem tych egzotycznych monarchii. Rządy w południowych królestwach arabskich spoczywają zwyczajnie w rękach dwu królów, i to stanowi ich cechę charakterystyczną. Sporów jednak tronowych o prawo następstwa z powodu tej dwoistej władzy niema, bo zwykle ojciec razem z synem dzierżą wspólne berło.

W późniejszych czasach za ery chrześcijańskiej w królestwie Saba władza królewska rozwija się w kierunku absolutyzmu. Nie chcąc dzielić się władzą swoją z urzędnikami, król mianuje odtąd jako zarządców w dzielnicach państwa swego chalifów, t. j. zastępców swoich i we wszystkich rozporządzeniach, gdzie mówi o swojej osobie, używa liczby mnogiej. Zapędy te absolutyzmu jednak znalazły zapewne, jak z charakteru ludności i ustroju politycznego wnioskować można, wielkie zawady w prawie zwyczajowem i ustawach państwowych (cf. ustawa Hammurabi'ego).

Taki był w najogólniejszych i przymglonych mrokiem historycznym zarysach ustrój polityczny prastarych monarchii Maan i Saba w południowej Arabii i prawdopodobnie we wszystkich innych państewkach, wyrosłych na południu i szlaku południowo-

zachodnim Arabii pod wpływem handlowym i kulturalnym tych monarchii.

Dziś wszystkie te kraje granitów i marmurów i grodów kamiennych i zamków obronnych zasłane są ruinami a z ruin tych bujne wyrasta życie, najbogatszej i najludniejszej prowincyi Arabii El Jemen. Odrosła też na nowo pierwotna organizacya rodowa, ale nieukrócona ani nieuszlachetniona w swoich egoistycznych zapędach przez żaden organizm państwowy ani religijny, wybujała pasożytnie i skostniała w ostrej kastowości, rozszczepiającej żywy organizm społeczny na wrogie sobie kasty.

W Hadramant wyodrębniła się kasta wojowniczych Beduinów od ludności rolniczej (Harrath) i kasty jakby paryasów Zabih. Potem idzie tłum uliczny Achdam (liczba mnoga od chadem, sługa), który obejmuje szereg rzemiosł, jak garbarzy, garncarzy, rzeźników, praczów. Wszystkie te rzemiosła są w pogardzie u Beduinów, a kto się niemi zajmuje jest nieczysty. Rzemieślnicy ci zamieszkują zwyczajnie osobną dzielnicę albo mieszkają poza miastem i nie płacą podatków, uczęszczają wprawdzie do meczetów, ale sumiennie omijają domy Arabów, by ich nie splamić, sami zaś pogardliwie stronią od niższej jeszcze kasty t. z. Szumr'ów.

W Jemen napotykamy nadto jeszcze dwie inne kasty prawdziwych paryasów, Szumr'ów i Szafedi'ów, którzy dla nizkich rzekomo zajęć są w pogardzie u Achdamitów i wykluczeni z meczetów i przeważnie zajmują się śpiewem, muzyką i kuglarstwem.

Na stopniu zaś najwyższym w hierarchii wszystkich tych kast w południowej Arabii stoi ród Amudi, urodzonych władców i sułtanów w Wadi-dô'an, który wywodzi swój początek od Isa ben Amud, i ród szeryfów, domniemanych potomków proroka.

O starożytnych organizacyach państwowych północnej Arabii jak Muzur, Midjan, Meluch prócz nazw nic prawie nie wiemy. Tylko z czasów późniejszych państewko Nabateów (200—100 przed Ch). i po jego upadku Palmira, zburzona w r. 271 przez cesarza Aureliana, osiągnęły w pełni czasów historycznych wysoki stopień rozwoju, kwitnącego handlem i bogactwem. Ustrój polityczny Nabateów, oparty jak wszystkie państewka Arabii na organizacyi rodów, wytworzył pomiędzy królem a społeczeń-

stwem taką przepaść, że królów stawiano na równi z bogami i czas liczono według ich panowania. Podobnie było w królestwie Lihjan. W Palmirze natomiast był ustrój republikański w najświetniejszych czasach rozwoju i lud i rada starszych przedstawiała władzę państwową. Ale i tu wytworzyła się niebawem monarchia, snać ustrój republikański nie przypadł do miary oświaty publicznej i do indywidualizmu Arabów.

W Skalistej Arabii starożytnej miejsce królów zajmują niekiedy królowe, które panują zjednoczonym plemionom. Instytucya ta wszelako nie wyrosła, jakby się zdawało, z prasemickiego matryarchatu, lecz jest prostem przeobrażeniem dziś jeszcze istniejącego zwyczaju wśród Beduinów, że wojownicy w ogniu bitwy kupią się koło kobiety, na wielbłądzie siedzącej (murajin), jakby swego znaku wojennego.

C. d. n.

Ks. Leonard Lipke.

PRZYSIĘGA ANTYMODERNISTYCZNA.

Kto nie tylko przeczytał ale także zrozumiał przysięgę żądaną od duchowieństwa katolickiego przez Piusa X, na mocy *Motu proprio* z dnia 1 września 1910, dziwić się musi, dlaczego ten krok papieża wywołał taką burzę w obozie liberalnym i częściowo także opozycyę rządów.

Geneza przysięgi jest bardzo krótka i jasna. Kiedy po publikacyi encykliki Piusa X *Pascendi* przeciw modernizmowi i po dekrecie *Lamentabili sane* w tym samym przedmiocie, machinacye modernistów zwłaszcza w szeregach młodszego kleru nie ustawały — Stolica św. posiadała nawet dokumenty stwierdzające tajną agitacyę modernistyczną w seminaryach francuskich — nie pozostawało nic innego, jak uroczystą przysięgą zmusić zarażonych modernizmem do uchylenia przyłbicy i pozostawić im do wyboru: albo zastosować się do nauki Kościoła albo opuścić szeregi kleru katolickiego. Taki był cel i słuszny powód głośnej przysięgi antymodernistycznej.

Trudno przedstawić i uzasadnić treść przysięgi, nie zatrzymawszy się choć krótko u źródeł i podstawowych zasad modernizmu.

Wiek XIX stał pod znakiem Kanta, filozofa protestantyzmu, za którego zasługę nieśmiertelną uważano, że raz na zawsze odłączył wiarę od wiedzy, przekazując tej ostatniej wszystko to, co doświadczeniem stwierdzić można, wszystko inne ogłaszając za przedmiot wiary. Na tejto podstawie oparł swą naukę o Bogu, któ-

rego istnienie rozumem udowodnione być nie może, lecz tylko jako postulat potrzeb praktycznych pewnej tolerancyi się domaga. Protestantyzm chciwie tę myśl pochwycił, uwalniając się tem od obowiązku odpowiadania na zarzuty niedowiarków.

Także na katolików Kant nie został bez wpływu. Czując potrzebę zastosowania się do wymagań czasu, szukali pewni apologeci innych dróg dla udowodnienia istnienia Boga. Niestety drogi były zwodnicze i stąd nieudane próby, jak ontologizm i tradycyonalizm a w najnowszej formie modernizm. Ostatni opierając się na zdaniu Kanta, że ścisłe dociekanie tylko doświadczeniem jest możliwe, chce doświadczyć Boga w świadomości swojej i w tem widzieć dowód przemawiający do psychy dzisiejszej. Usiłowania same w sobie sprzeczne, gdyż, według modernizmu, tylko świat zjawisk doświadczalnych dla zmysłów i rozumu jest dostępny. Agnostycyzmowi wszystkie drogi do poznania Boga są raz na zawsze zamknięte.

Z tego samego źródła, t. j. pragnienia zastosowania się do ducha czasu, wyszła druga próba, która z pominięciem cudów i proroctw, starała się wykazać fakt Objawienia. Apologeci, jak Brunetière, Fonsegrive, Olle-Laprune, Blondel i inni, ograniczyli się do tego, że usiłowali boski charakter Objawienia wykazać doświadczeniem, iż odpowiada on najgłębszym potrzebom duchowym człowieka i jego socyalnym aspiracyom, czyli chcieli wiarę katolicką psychologicznie umotywować, odsłonić niejako jej najgłębsze uzasadnienie w życiu duchowem każdego i życiu socyalnem dni naszych.

Ta apologetyka immanencyi, z pewnością dużo w sobie mieści pięknych spostrzeżeń, ale dowodem nadprzyrodzonego Objawienia nigdy nie będzie; owszem mieści w sobie niebezpieczeństwo błędu, który czyni znaczenie Objawienia zależnem od każdorazowych wymogów kulturalnych i zmiennych ludzkich aspiracyi. Dla modernistów i w tym przedmiocie jakieś wewnętrzne uczucie, tajemnicze doświadczenie wewnętrzne, zastępuje dowody na boże Objawienie, wzięte z proroctw i cudów. Hołdują skrajnemu immanentyzmowi, który dla samej wiary może mieć tylko najzgubniejsze następstwa.

Do tych zaliczyć trzeba pojęcie modernizmu o Kościele i jego powadze w prawdach objawionych. Według zasad katolickich, dzieło Chrystusa nie jest nauką, którą każdy przyswoić sobie może na sposób systemów filozoficznych, lecz Kościołem, założonym na Piotrze, któremu Chrystus swoje zasługi i swą naukę powierzył, i który w tym względzie jest najwyższą i nieomylną powagą. Powaga ta od dawna jest solą w oku wolnej wiedzy, stąd postulat, którego treścią i celem jest zastąpić powagę Kościoła powagą wiedzy współczesnej. Rywalizuje z tą powagą inna, więcej odpowiadająca psychologicznym marzeniom i demokratyzmowi doby obecnej; jest nią świadomość zbiorowa wiernych, która decyduje o tem, co wierzyć wypada. Oczywiście tą zbiorową świadomością nie kto inny kierowałby, jak modernistyczny internacyonał. Zresztą, niektóre smutne fakty czasów ostatnich jawnie udowodniły, że ta nauka modernistów jest tylko zręcznym wykrętem, pokrywającym negacyę prymatu. Wiadomo to z prac Schnitzera i Kocha, którzy po encyklice Piusa X jasno w tym względzie swoje zdanie wypowiedzieli.

Ponieważ zaś zbawienie świata w nauce i słowach Chrystusa leży, nie w mądrości tego lub owego nowoczesnego teologa, jasnem jest, że pomimo różnych metod naukowych i postępu nauk, treść nauki Chrystusa musi zostać tą samą. Można Jego naukę filozoficznie uzasadniać lub krytycznie rozbierać, ale zmieniać jej nie wolno. Mogło ziarnko gorczyczne nauki Chrystusowej rozróść się w rozłożyste drzewo wielkich systemów teologicznych wieków średnich, albo pod wpływem nowoczesnego krytycyzmu pokryć się nowem liściem i bujnym kwiatem, ale drzewo pozostaje to samo, bez zmiany prawd i treści nauki. Nauka zatem objawiona przypuszcza ewolucyę, staje się jaśniejszą, głębiej pojętą, wszechstronnie poznaną, lecz istotnie niezmienną, jak ziarno, które się w drzewo rozrosło. Inaczej tę ewolucyę pojmuje modernizm. U niego trwałem w wierze jest tylko pewne religijne uczucie, pojedyncze zaś prawdy wiary są produktem rozumowania, które nigdy całkowicie nie oddadzą wewnętrznego doświadczenia religijnego, lecz odpowiednio tylko do kultury współczesnej. Jasną jest rzeczą, że ten r e l a t y w i z m modernistów wypływa stąd, iż naturalną ewolucyę,

którą w innych naukach uważano za myśl zbawczą, przenieśli oni bez ograniczeń na grunt Objawienia. Lecz Objawienie nie jest naturalnem psychologicznem zjawiskiem, którego ewolucyjnymi objawami są Mojżesz, Chrystus może i Mahomet, Luter i inni, zależni w swych religijnych pojęciach od otaczającej ich kultury, lecz jest faktem nadprzyrodzonym, faktem bożym. Jako takie zaś, zawiera prawdę absolutną, która ani zmienić się może, ani tem bardziej tak się rozwijać, żeby z czasem wyraziła prawdę wprost przeciwną od dawniejszej. To są zboczenia, które najjaśniejszy swój wyraz znalazły w nowoczesnym s y m b o l i z m i e i p r a g m a t y z m i e i niczem innem nie są, jak sceptycyzmem w nowożytnej szacie, zrzekającym się możliwości poznania absolutnej prawdy.

Żeby zaś do reszty skorzystać z nowożytnych terminów naukowych, modernizm stosuje także do Objawienia i wiary naukę o podświadomości. Nowsza psychologia znalazła w niej krainę działań duszy ludzkiej; podług tej psychologii, podświadomość rozporządza własnemi siłami, nieraz wyższemi od sił życia świadomego, tak, że przechodzą one w intuicyę, inspiracyę artystyczną, religijne objawienia i mistyczne doznania; podlega ona wpływom innym, objawiającym się n. p. w telepatycznych zjawiskach, nieraz zaś na świadome nasze życie oddziaływa i wtedy sprawia wrażenie czegoś obcego, niezwykłego. Z tejto nauki o podświadomości skorzystali moderniści, twierdząc, że uśpiona ta podświadomość reaguje pod wpływem wybitnej osobistości, donioślejszego faktu lub wewnętrznego doświadczenia. Wtedyto w religijnie nastrojonej duszy z wyrobioną wolą moralną występuje uczucie religijne, które staje się wiarą i objawieniem, gdyż jego przedmiotem jest Boski pierwiastek w człowieku i w niem sam Bóg się udziela.

Trudno o tej podświadomości, jej funkcyach i przeznaczeniu coś bardziej określonego powiedzieć, gdyż dotychczas jest ona czemś tajemniczem i dlatego dla modernistów wymarzonym wynalazkiem. Dla nas wystarcza, gdyż burzy ona wszelką religię objawioną i degraduje ją do zjawiska naturalnego. Zresztą, religia, która tylko jest uczuciem, nie prawdą i na prawdzie opartą, nigdy religią być nie może i drogą do prawdy, bo uczucie samo przez

się ślepe jest. W tem postawieniu kwestyi, wiara modernistyczna staje w zupełnem przeciwieństwie do rozlicznych orzeczeń Kościoła, według których wiara jest cnotą nadprzyrodzoną, mocą której przy łasce bożej wierzymy, co Bóg objawił, nie dlatego, że wewnętrzną prawdę tych rzeczy naturalnem światłem rozumu przenikamy, lecz dla powagi Boga, który nikogo omylić nie może i nikogo omylić nie chce, i dlatego *fides ex auditu.*

Wszystkie te dotychczas omówione poglądy modernistów uwzględnione zostały w pierwszej części przysięgi i każdy łatwo spostrzeże, że tyczą się one podstawowych i głównych prawd wiary katolickiej. Przysięga sprowadza je do następujących pięciu punktów: Boga z danych przyrodzonych poznać można i jego istnienie da się ściśle udowodnić; jak dla wszystkich czasów i ludzi, tak i dziś są cuda i proroctwa zewnętrznymi dowodami objawienia; Kościół jest od Chrystusa ustanowiony jako nauczyciel i strażnik objawionej prawdy; nauka wiary jest niezmienna w swojej treści; prawdziwe pojęcie cnoty wiary nie zgadza się z religijnem uczuciem modernistów.

W dosłownem zaś brzmieniu ta pierwsza część przysięgi tak się przedstawia:

> Ja ..... niezachwianie przyjmuję tak w ogólności, jak w każdym szczególe wszystko to, co nieomylny nauczający Kościół określił, orzekł i oświadczył, a przedewszystkiem poddaję się tym orzeczeniom, które się wprost sprzeciwiają błędom obecnych czasów. Nasamprzód więc wyznaję, że Boga, początek i koniec wszechrzeczy, przyrodzonem światłem rozumu przez rzeczy uczynione, t. j. przez widzialne dzieła stworzenia, jako przyczynę przez skutki z pewnością poznać można, a zatem i dowieść jego istnienia. Powtóre: zewnętrzne dowody objawienia, t. j. sprawy Boże, przedewszystkiem zaś cuda i proroctwa przyjmuję i uznaję za całkiem pewne oznaki Boskiego pochodzenia religii chrześcijańskiej i mam je za najzupełniej odpowiednie do rozumienia wszystkich czasów i ludzi, nie wyłączając ludzi współczesnych. Po trzecie: mocno też wierzę, że Kościół, stróż i nauczyciel objawionego słowa, został wprost i bezpośrednio

założony przez samego prawdziwego i historycznego Chrystusa, kiedy pośród nas przebywał, i że tenże Kościół zbudowany jest na Piotrze, głowie hierarchii apostolskiej, i na jego po wszystkie czasy następcach. Po czwarte: naukę wiary od apostołów przez prawowiernych Ojców w tem samem zawsze rozumieniu i pojęciu nam przekazaną, szczerze przyjmuję; przeto jako herezyę całkowicie odrzucam zmyśloną teoryę ewolucyi dogmatów, które z jednego znaczenia przechodziłyby w drugie, różne od tego, jakiego Kościół trzymał się poprzednio; potępiam również wszelki błąd, który w miejsce Boskiego depozytu, wiary, jaki Chrystus powierzył swej Oblubienicy na wierne przechowanie, podstawia wymysły filozoficzne lub płody świadomości ludzkiej, które wysiłkiem ludzi z biegiem czasu zrodzone, nadal w nieokreślonym postępie doskonalić się mają. Po piąte: z wszelką pewnością uznaję i otwarcie wyznaję, że wiara nie jest ślepem uczuciem religijnem, wyłaniającem się z głębin podświadomości, pod wpływem serca i pod działaniem dobrze usposobionej woli, lecz prawdziwem rozumowem uznaniem prawdy z zewnątrz ze słuchania przyjętej, mocą którego wszystko, co Bóg osobowy, Stwórca i Pan nasz powiedział, zaświadczył i objawił, za prawdę uznajemy dla powagi najprawdomowniejszego Boga.

Cała ta pierwsza część jest właściwie tylko powtórzeniem dekretów ostatniego soboru watykańskiego, i dlatego też jego powagę w rzeczach wiary w sobie mieści. Zresztą i najmniej uświadomiony katolik rozumie, że człowiek, który wymienionych w tej części przysięgi prawd nie przyjmuje, kwituje tem samem ze swego katolicyzmu. Taka była co do tych prawd nauka katolicka wszystkich wieków.

Druga część przysięgi zaczyna się od słów:

Poddaję się też z należnem uszanowaniem i całą duszą wyrokom potępienia, orzeczeniom i wszystkim przepisom zawartym w encyklice *Pascendi* i w dekrecie *Lamentabili*, — osobliwie co się tyczy t. zw. historyi dogmatów.

Nowy ustęp zrobiony w przysiędze samej i inne zwroty używane na wyrażenie obligacyi zdań zawartych w drugiej części, wskazują już zewnętrznie na to, że ta część nie tylko co do treści, ale poniekąd i co do obligacyi różni się od pierwszej. O ile zawiera dogmatyczne orzeczenia, oczywiście nie inaczej, jak część pierwsza apeluje do wiary, o ile jednak wymienia tylko kościelne przepisy, żąda wprawdzie wewnętrznego posłuszeństwa i poddania się w słowach i czynach, ale wiary wprost nie nakazuje. Główną zaś treścią tej drugiej części jest historya prawd objawionych czyli historya dogmatów, która usiłuje zapomocą krytyki historycznej wykazać treść naukową zwłaszcza Pisma św. i Ojców Kościoła, przebieg tej nauki i rozwój historyczny. Wobec tego, druga część przysięgi zajmuje się stosunkiem wiary do historyi, wskazując i potępiając fałszywe zasady modernistycznej krytyki historycznej; omawia potem zastosowanie krytyki do Pisma św., wkońcu zastanawia się nad zastosowaniem tejże krytyki do tradycyi.

Zdrowa krytyka historyczna, stosowana także do źródeł wiary, nie tylko że nie znalazła opozycyi w Kościele, ale liczy nawet w szeregach kleru katolickiego znakomitych przedstawicieli i niejednokrotnie od samychże papieży została uznana jako znakomity środek do głębszego poznania prawd wiary katolickiej. Ale na terenie, na którym sobie podają ręce Objawienie i rozum, z natury rzeczy krytyka podlegać musi prawom i zastrzeżeniom, których nauki czysto świeckie nie znają. I w naukach świeckich ekskluzywność w stosowaniu krytyki historycznej wyrodzić się może w nieznośny hiperkrytycyzm, nierównie zgubniejsze skutki wydałby ten hiperkrytycyzm na polu Objawienia. Pod wpływem nowszych poglądów filozoficznych weszła krytyka na tory, które wywołać musiały opozycyę Kościoła. Coraz jaśniej bowiem opierać się zaczęła na uprzedzeniach wprost przeciwnych istotnym wierzeniom katolickim. Wszelka ingerencya boża w dzieje świata i ludzkości, nawet możliwość takiej ingerencyi zostały wykluczone i porządek nadprzyrodzony zaprzeczony. Zaczęto pojmować wszystkie zjawiska historyczne wyłącznie jako wynik pewnych konieczności i potrzeb czasu i dlatego usiłowano wszystko tłu-

maczyć naturalnym rozwojem sił doczesnych i fizycznych, — czyli, że negacya nadprzyrodzonego porządku stała się tutaj przyczyną i zasadą immanentyzmu i ewolucyonizmu. Pod wpływem tych zasad stoi cała krytyka biblijna i historya dogmatów w obozie protestanckim; z tej też szkoły wyszli także moderniści obozu katolickiego.

Moderniści także wykluczają wszelką ingerencyę bożą w dziejach ludzkości. Wszystko, co przekracza stosunki czysto ludzkie, co warunkami czasu i miejsca, albo charakterem psychologicznym wytłumaczyć się nie da, odsyłają do wiary. Stąd Chrystus przedstawia im się jako człowiek tylko — nauka Chrystusa, kult i sakramenty wyrastają na podstawie życiowej immanencyi z potrzeb religijnych, powstałych w przebiegu wieków; tak samo i źródła Objawienia, księgi święte są tylko produktem dłuższego naturalnego rozwoju. Stanowisko to nie tylko z pojęciami katolickiemi pogodzić się nie da, sprzeciwia się ono też wszelkiej zdrowej krytyce, która przecież z faktycznym stanem rzeczy liczyć się musi.

Więcej powiedzieć trzeba. Katolik w swoim akcie wiary zależny jest od historyi tylko co do tych faktów, które podstawę wiary stanowią. Wystarcza mu więc skonstatowanie autentyczności ewangelii i ich wiarygodności, aby na tej podstawie udowodnić zapomocą cudów i proroctw, w nich zawartych Bóstwo Chrystusa, ustanowienie boże Kościoła i jego naukę jako prawdę objawioną. Kościół zaś, jako boży stróż prawdy objawionej, daje mu wszelką gwarancyę co do reszty nauki objawionej i faktów ściśle z nią się łączących. Przez to zaś metoda historyczna na tem polu nie traci racyi bytu, owszem jako środek udowadniający jasno zgodę między wiarą a wiedzą, jest wspaniałą apologią Kościoła i znakomitą bronią przeciw niedowiarstwu.

Nawiasowo zaznaczmy, że kiedy mówi się o zgodzie i zależności wiedzy, w szczególności historyi dogmatów od wiary, jasną jest rzeczą, że rozumie się pod wiarą tylko prawdy objawione albo z niemi ściśle złączone, nie zaś zdania teologów, tem mniej zdania między samymi teologami sporne. Także i to zaznaczyć trzeba, że gdy Kościół żąda uznania bezwzględnego

swych prawd objawionych, wtedy domaga się, aby nie były tylko uważane jako wierzenia doby obecnej, lecz jako wiara wszystkich wieków chrześcijańskich; wykręt modernistów, jak gdyby im tylko chodziło o to, w co przedtem wierzono, nie zaś o to, co obecnie jest przedmiotem wiary, wobec tej zasady jest błędny. Tem samem upada także słynne twierdzenie modernistów, według którego prawdą być może we wierze, co fałszem jest w filozofii lub historyi, tak, że temu historya przeczy, czego na kazaniu uczą. Jest to tylko pokrywka niedowiarstwa i urąganie się z prawdy, która z jednego źródła Prawdy odwiecznej dwiema drogami, objawieniem i rozumem, do nas dochodzi. Stąd negacya prawd wiary przedstawia się jak logiczna konsekwencya twierdzeń modernistów, pomimo ich ustawicznego zapewniania, że ich nauka nie tyczy się wiary lecz historyi, że n. p. nietkniętym zostaje Chrystus wiary, choć zupełnie się nie zgadza z Chrystusem historyi. Słusznie więc żąda Pius X w przysiędze, aby co do stosunku wiary do historyi kler katolicki w następujących słowach zgodził się z nauką Kościoła:

> Również odrzucam błąd tych, którzy twierdzą, że wiara przez Kościół podana może się sprzeciwiać historyi i że katolickich dogmatów, tak jak je obecnie rozumiemy, nie można pogodzić z prawdziwemi dziejami początków chrześcijaństwa. Potępiam również i odrzucam zdanie tych, którzy mówią, że wykształcony chrześcijanin odgrywać musi podwójną rolę: jedną człowieka wierzącego a drugą historyka, jak gdyby wolno było historykowi trzymać się tego, co się sprzeciwia przekonaniom wierzącego, — albo stawiać przesłanki, z których wynikałaby konkluzya, że dogmaty są albo błędne albo wątpliwe, byleby im tylko wprost nie przeczył.

Wiadomą jest rzeczą, jak gorączkowo zajęła się nowsza krytyka historyczna Pismem świętem i historyą Objawienia, ale nie tajno też do jak zgubnych wyników tak w obozie protestanckim jak też częściowo w katolickim ta gorączkowa praca doszła. Dla krytyki racyonalistycznej tak jak dla modernistów Pismo św. ma tylko powagę dzieła ludzkiego, podległego jak każde inne niedokładnościom i błędom. Stąd odgrywa u nich

pierwszorzędną rolę przesadna krytyka tekstu, która przedewszystkiem stara się dojść do źródeł natchnionego tekstu, aby w ten sposób wykazać, że Pismo św. z inspiracyą nic do czynienia nie ma, lecz z naturalnych zupełnie wypłynęło źródeł. Posługuje się w tym celu modernizm wyłącznie krytyką wewnętrzną z wykluczeniem świadectw choćby najpoważniejszych. Przyczyną tej taktyki jest tendencya modernistów do wyrugowania wszelkiego pierwiastka nadprzyrodzonego i wstręt przed niewygodnemi świadectwami tradycyi.

W ten sposób stają moderniści w świadomej i skrajnej opozycyi do Kościoła. Dla nauki katolickiej Pismo św. nie jest ani jedynem ani pierwszorzędnem źródłem prawd wiary — jest niem powaga uczącego Kościoła czyli dogmatyczna tradycya. W kwestyach Kanonu, czyli które księgi za święte uważane być mają, jak we wszystkich kwestyach Pisma św., tyczących się wiary i moralności, kościelne magisteryum jest najwyższą i ostatnią instancyą. Jako źródło wiary, księgi św. pierwszorzędne swoje tłumaczenie i objaśnienie znajdują w tradycyi, która tę samą wiarę zawiera i którą przedstawiają przedewszystkiem Ojcowie Kościoła i orzeczenia Stolicy św. Zasadą zaś niezachwianą dla każdego katolika musi być przekonanie, że Pismo św. zawiera nieomylne Słowo Boże, że Słowo natchnione wolne jest od wszelkiego błędu i że absolutne przeciwieństwo między dwiema księgami Pisma św. albo pojedynczych części między sobą, jest z góry wykluczone. Dlatego mówi przysięga:

> Potępiam też ten sposób rozumienia i wykładania Pisma św., który, pomijając tradycyę kościelną, analogię wiary i normy podane przez Stolicę apostolską, polega na wymysłach racyonalistów i krytykę tekstu zarówno niedozwolenie jak nierozważnie uznaje za jedyne i najwyższe prawidło.

Wkońcu przechodzi przysięga do tradycyi, podając zasady katolickie i odrzucając teorye modernistyczne.

W ewolucyi dogmatów czyli dogmatycznej tradycyi modernistów odgrywa św. Paweł wielką rolę. Ewangelia Chrystusa jest, zdaniem modernistów, bardzo uboga, zawiera ona właściwie tylko oczekiwanie doskonalszego królestwa ziemskiej i niebieskiej spra-

wiedliwości, pewną solidarność dusz w dążeniu do tego wspólnego dobra i ufność w Ojca. Wszystko inne są to tylko dalszemi doświadczeniami wewnętrznemi, dokonywujące się na tle tej ewangelii w duszach uczniów a zwłaszcza w duszy św. Pawła. Proste opowiadania o życiu Chrystusa wnet ustąpiły miejsca wykładom doktrynerskim i parenetycznym, które są dziełem religijnego myśliciela św. Pawła, pod wpływem ówczesnej kultury i ewangelii. Także dalszy rozwój podlega prawom immanentyzmu i ewolucyonizmu, jest wypływem przyczyn naturalnych i modernista uważa ideę początkowego objawienia prawd absolutnych w Chrystusie, zawierających jakby w nasieniu naukę Kościoła wieków następnych, za stanowisko przesądzone. Chrześcijaństwo jest dla krytyki historycznej faktem jak każdy inny, tym samym prawom ewolucyi podlegający, a jako fakt religijny wyraża stopniowo duchową działalność człowieka. Dla modernisty zatem nie istnieją owe przyczyny wewnętrznego i zewnętrznego rozwoju chrześcijaństwa, które według nauki katolickiej są pierwszorzędne t. j. nadprzyrodzone Objawienie przez Chrystusa, Objawienie zdziałane przez Ducha św. w apostołach i nadprzyrodzona Opatrzność towarzysząca głoszeniu i rozszerzeniu ewangelii. Dlatego w teoryi modernizmu znika cały porządek nadprzyrodzony, co zaś ostaje, to wszystko naturalne, zmienne, zależne od otaczającej kultury i religijnego zmysłu każdego. Te błędy wyraża przysięga, gdy mówi:

> Odrzucam prócz tego zdanie tych, którzy twierdzą, że ten, co wykłada historyę teologii lub o tym przedmiocie pisze, powinien wprzód złożyć wszelkie uprzedzenia tak co do nadprzyrodzonego początku katolickiej tradycyi, jak co do obiecanej przez Boga pomocy w dziele przechowania wszelkiej objawionej prawdy; nadto że pisma poszczególnych Ojców należy wykładać wedle samych tylko zasad naukowych z pominięciem wszelkiej powagi nadprzyrodzonej i z taką swobodą sądu, z jaką zwykło się badać inne zabytki świeckie.

Nauka Kościoła stoi na stanowisku wprost przeciwnem, gdyż obok owego od Chrystusa ustanowionego magisteryum, które naukę Chrystusa głosi i niezmiennie zachowuje, przyjmuje za po-

zytywne normy wyroki soborów, definicye papieży i zgodność w ogólnej nauce i ogólnej wierze Kościoła. Stąd w historyi nauki objawionej te zasady ustawicznie uwzględniane być muszą, bo tylko ustawiczne uwzględnianie nadprzyrodzonego charakteru tej nauki umożliwia wierny obraz jej rozwoju. Gdyby zaś ktoś w celach apologetycznych albo polemicznych chciał postępować tylko według reguł krytyki historycznej, wtedy zasady owe pozostać muszą przynajmniej negatywną normą, t. j. zabraniającą stawiania twierdzeń, przeciwnych nauce objawionej. Niepodobieństwem jest przedstawić np. naukę pewnego Ojca Kościoła, nie uwzględniając, że jemu o nic innego nie chodzi, jak tylko o to, aby podać to, co objawienie przekazane zawiera, nie zaś o jakiekolwiek religijne przekonania swego czasu. Oderwać go od przeszłości i postąpić z nim, jak z każdym innym autorem, znaczyłoby osądzić go według zupełnie obcych jemu samemu kryteryów. Czyli, zrozumienie tradycyi domaga się wszędzie albo pozytywnie albo przynajmniej negatywnie uwzględnienia Boskiego w niej zawartego pierwiastka, przywileju nieomylności. Stąd przysięga mówi:

> Wkońcu ogólnie oświadczam, iż jestem zupełnie przeciwny błędowi modernistów, twierdzących, że w św. Tradycyi niema nic Bożego albo, co daleko gorsze, pojmujących pierwiastek Boży w znaczeniu panteistycznem, tak iż nic nie pozostaje z tradycyi katolickiej, jak ten goły i prosty fakt, na równi z innymi podległy dociekaniom historycznym, że byli ludzie, którzy swą przemyślnością, skrzętnością i sprytem szkołę przez Chrystusa i jego apostołów założoną, przez następne wieki rozwijali.

I tymto błędom przysięga wkońcu przeciwstawia zasady, które uczony katolicki, badając Dzieje tradycyi, zawsze przed oczyma mieć powinien:

> Przeto silnie się trzymam i do ostatniego tchu trzymać się będę wiary Ojców w niezawodny charyzmat prawdy, który jest, był i zawsze pozostanie w następcach apostołów na biskupim urzędzie; stąd wyznaję, że Kościół nie tego się trzyma, co może się wydać lepszem i odpowiedniejszem do stopnia kultury danego wieku, ale trzyma się absolutnej

i niezmiennej prawdy, od początku głoszonej przez apostołów, prawdy, w którą inaczej wierzyć, albo inaczej rozumieć jej nie wolno.

A zatem i druga część przysięgi antymodernistycznej nie sprzeciwia się zdrowym zasadom krytyki historycznej, lecz domaga się tylko od katolika, aby uwzględnione przy niej były najistotniejsze prawdy katolickiej wiary. Prawda zaś wolności badania nie krępuje, lecz jest i musi być wewnętrznem prawem każdej nauki i każdej metody naukowej. Im więcej prawd nieomylnych powoduje badaczem, tem więcej jest oddalony od błędu, im mniej, tem przystępniejszy jest dla zgubnych zboczeń pseudonaukowych. *Amicus Plato, sed magis amica veritas;* nikt nie przeczy zaletom dzisiejszej metody historycznej, choć ona jedyną metodą naukową nie jest, ale też nikt nie może żądać, żeby dla metody poświęcono prawdę i to objawioną. Kościół starszy jest od dzisiejszej kultury i przeżył rozkwit i upadek różnych kultur, historya też jasno wykazuje, że Kościół ze zdrowymi prądami każdej kultury, nawet starożytnej pogańskiej sympatyzował, owszem z nich w swoich celach korzystał. Z żadną jednak kulturą współczesną Kościół się nie identyfikował, bo stoi ponad wszelką zmienną kulturą doczesną. Dlatego też wita wszelkie dodatnie strony i trwałe zdobycze kultury dzisiejszej, ale nie myśli dla nich poświęcać swoich prawd odwiecznych, zwłaszcza, że żadna zdrowa kultura, jako urzeczywistnienie planów i idei Bożych tego się nie domaga.

Nieuzasadnione są więc wszelkie załamywania rąk wobec dobrze pojętej przysięgi antymodernistycznej, która niczego więcej od kleru katolickiego się nie domaga, jak tylko, aby się trzymał tych istotnych prawd wiary, na których katolicyzm się opiera. W tem świetle trzeba też rozumieć orzeczenie Piusa X, który dla ważnych względów profesorów teologii, uczących po uniwersytetach, od złożenia przysięgi uwolnił. Sami też profesorowie zrozumieli, że tem samem papież ich nie uwalnia i uwolnić nie może od trzymania się zasad w przysiędze wyrażonych, gdyż niejednokrotnie oświadczyli, że pomimo uwolnienia od przysięgi stoją na gruncie nauki w niej zawartej. I inaczej być nie może, gdyż

w przeciwnym razie przestaliby być katolikami. Wobec tego też niezrozumiałemi są obawy rządów, które w przysiędze nie wiedzieć jakie niebezpieczeństwa dla całości państwa widzą, gdyż przysięga nic więcej nad naukę katolicką nie żąda. Liberalnym zaś żywiołom nie chodzi o treść przysięgi, której nie rozumieją, ani o wolność nauki, której przysięga nie przeszkadza, lecz o agitacyę antykatolicką. Nie w smak im, że Kościół zawczasu się spostrzegł i podminowującej pracy modernistów w Kościele raz na zawsze położył koniec. Można tylko żałować tych katolików, którzy takim głosom dają wiarę i ukrytej ich sprężyny nie widzą.

Tem śmielej zaś idziemy za głosem Piusa X i ufni w posłannictwo Kościoła powtarzamy:

> Ślubuję, iż to wszystko wiernie, nieskażenie i szczerze zachowam i nienaruszenie tego przestrzegać będę, i że nigdy od tego nie odstąpię, czy to w nauczaniu, czy w jakikolwiek inny sposób mową lub pismem. Tak ślubuję, tak przysięgam, tak mi dopomóż Bóg i ta święta Boża Ewangelia.

Ks. A. Starker.

W SPRAWIE JEZUITÓW NA BIAŁEJ RUSI.

Z okazyi książki M. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II«.

Książka pod powyższym tytułem wyszła z druku w roku ubiegłym, jako XII tom »Monografii w zakresie dziejów nowożytnych«. Wyszła pod patronatem prof. Szymona Askenazego, który też na XI stronicach bardzo pochlebną dla autora zamieścił przedmowę, podnosząc i żmudność zadania, gdyż autor na tem polu nie miał »żadnych właściwie w znaczeniu ściśle naukowem poprzedników« (co nawiasem mówiąc, niezupełnie zgadza się z prawdą, a odnośnie do kwestyi jezuickiej jest nawet fałszywe) i drażliwość przedmiotu, który »nastręczał co kroku szczegóły nad wyraz smutne i opłakane, pod kątem widzenia najprostszych, najprawowitszych postulatów moralno-dziejowych ze stanowiska tyleż interesu Kościoła, co i Polski«.

Do takich objawów zaliczoną została sprawa Jezuitów na Białej Rusi, to jest ich »okres istności i działania wręcz zaprzeczony przez najwyższą w Kościele władzę«, a który to okres przedstawił autor »sposobem ściśle przedmiotowym, poruszając dotkliwe te komplikacye« — przyczem »ograniczył się do czysto rzeczowego stwierdzenia tego stosunku faktycznego (t. j. zaprzeczonego przez najwyższą w Kościele władzę) i płynących stąd niepożądanych konsekwencyi dla ówczesnej niezdrowej postawy Towarzystwa względem Stolicy apostolskiej oraz spraw polsko-rosyjskich«.

Zabrał się do pracy »bez żadnych powziętych z góry uprzedzeń«, — i dał w rezultacie »pracę spokojną i staranną, która utrafiając w naglącą na tem właśnie polu potrzebę naukową (tu następuje zestawienie tej pracy z dziełem ks. prałata Chotkowskiego: »Historya polityczna Kościoła w Galicyi za rządów Maryi Teresy«) stanowić będzie solidny punkt oparcia dla dalszych poszukiwań nad dziejami kościelno-politycznemi ziem polskich pod berłem rosyjskiem«.

Z tych dziejów dwie głównie sprawy starał się autor podnieść i oświetlić: tworzenie się nowej organizacyi kościelnej w zabranym kraju i sprawę Jezuitów na Białej Rusi. W tym celu badał zbiory archiwalne XX. Czartoryskich i Ossolińskich, a najwięcej materyału zebrał w Archiwum watykańskiem, który też w bardzo obszernych wyciągach dołącza przy końcu książki (str. 199—315).

Te właśnie »Zródła i przypisy« wraz z przedmową prof. Askenazego mogą oddziałać na wyobraźnię niedość obeznanego z temi sprawami czytelnika, a pośrednio wyrobić w nim przekonanie, że książka p. Loreta zasługuje istotnie na takie pochwały, jakich przedmowa jej nie szczędzi [1].

---

[1] Za dowód na to może posłużyć chociażby recenzya tej książki przez d-ra K. M. Morawskiego w *Przegl. Polskim* z grudnia 1910 (str. 396—399), której autor uległ widocznie bardzo silnemu wrażeniu tak przedmowy jak i samej książki, bo w ślad za przedmową uważa książkę p. Loreta »w każdym razie za książkę nieuprzedzoną, bo operującą objektywnie relacyami nuncyuszów«, a wartość jej zestawia z wartością naukową dzieła ks. prałata Chotkowskiego; podając zaś krótkie jej streszczenie, dodaje od siebie kilka parafraz, idących nawet dalej, niż orzeczenia p. Loreta.

Tak np. po przeczytaniu książki zaczął poważnie wątpić w prawdziwość podawanych przez historyę przyczyn upadku Polski i oświadczył, że kwestyę »czy Jezuici zgubili Polskę« uważa za nierozstrzygniętą dotychczas. Kasatę zakonu w Polsce uważa za moment dla narodu dodatni, bo Komisya edukacyjna (mimo że np. w r. 1775 na 308 profesorów utrzymywanych przez nią było aż 256 ex-Jezuitów!) mogła teraz zmienić duszę narodu (przepsutą chyba przez Jezuitów do tego stopnia, że Komisye rozdawnicze rozgrabiły dobra pojezuickie, by pracę Komisyi edukacyjnej utrudnić). Zachowanie natomiast Jezuitów na Białej Rusi uważa za moment ujemny dla narodu, a to wskutek roli, jaką tamże Jezuici odegrali. Zgorszył się przedewszystkiem »zupełnym zanikiem patryotyzmu« białoruskich Jezuitów, t. j. złożoną przez nich

Faktycznie książka p. Loreta taką nie jest, po części wskutek okoliczności od autora niezależnych, a w znacznej części z jego własnej winy. Nie możemy mu oczywiście brać za złe, że nie miał dostępu dajmy na to do archiwów rosyjskich i musiał się ograniczyć do czerpania ze źródeł już ogłoszonych, w znacznej części nie wystarczających; w każdym razie faktem pozostanie, że wskutek tego historya tworzenia się nowej organizacyi kościelnej w ziemiach zabranych musiała wypaść dość jednostronnie i nie może rościć sobie pretensyi do pełnego oświetlenia historycznego, — natomiast przedstawienie sprawy jezuickiej na Białej Rusi wypadło zupełnie fałszywie, i to już wyłącznie z winy autora. Autor bowiem »poruszając dotkliwe te komplikacye« wbrew temu, co wmawia weń prof. Askenazy, ani nie postąpił »sposobem ściśle przedmiotowym«, »bez żadnych powziętych z góry uprzedzeń«, ani nie »ograniczył się do czysto rzeczowego stwierdzenia stosunku faktycznego« Jezuitów białoruskich do Stolicy apostolskiej; a nadto wskutek przeoczenia wskazań krytyki historycznej przy opracowaniu materyału, jakim rozporządzał, dał obraz zupełnie fałszywy, i dlatego też wyniki jego dociekań historycznych nie mogą stanowić solidnego punktu oparcia dla dalszych poszukiwań.

Nie postępował w badaniu kwestyi jezuickiej na Białej Rusi »sposobem ściśle przedmiotowym«, skoro gotując się do wydania historycznego wyroku na białoruskich Jezuitów, nie chciał przesłuchać strony oskarżonej, żeby módz wziąć pod rozwagę cho-

przysięgą, którą złożyć musieli, i panegirykami na cześć Katarzyny, nad którymi oczywiście trudno się unosić, ale można je wytłumaczyć wyjątkowem położeniem, w jakiem się Jezuici znaleźli, a które bądź co bądź były drobnostką w porównaniu z potwornymi objawami braku patryotyzmu, a niestety dość powszechnymi u warstw wierzchnich doby rozbiorowej. Zgorszył się także ich stosunkiem do Stolicy Apost. i utrzymuje, że te »buntownicze mnichy« wywołały »faktyczną schizmę w zaborze rosyjskim«, słowem odsądza ich od czci i wiary i konkluduje, że »jest to bodaj najczarniejsza karta w dziejach zakonu Loyoli, karta, której nie wymażą retycencye urzędowych jego biografów«... Jakie właściwie dane historyczne miał dr. M. do zarzutów tak ciężkich i krzywdzących nie tylko Jezuitów polskich ale cały Zakon, nie wiemy — i dlatego zamiast osobnej odpowiedzi poprzestajemy na zaznaczeniu... zdziwienia nad ich treścią i formą.

ciażby okoliczności łagodzące; zbagatelizował a raczej zignorował zupełnie dowody, jakie historyozofia jezuicka przytacza na obronę legalnego i kanonicznego istnienia zakonu, orzekłszy krótko i węzłowato, że »bezpodstawność a zarazem zła wiara takich dowodzeń nie potrzebuje, jak się zdaje (tak!) komentarzy« (str. 187).

Mimo to wprost złej wiary autorowi nie chcemy zarzucać, natomiast czynimy mu zarzut z bezpodstawności wielu jego twierdzeń i nie tylko nie zgadzamy się ze zdaniem prof. Askenazego, jakoby autor »bez żadnych powziętych z góry uprzedzeń« zabrał się do badań, ale utrzymujemy, że w swej książce złożył bardzo nawet uderzające dowody tego uprzedzenia.

Jedynie za skutek tego uprzedzenia uważamy przytoczoną wyżej okoliczność że przed wydaniem potępiającego wyroku nie chciał dopuścić do głosu historyków, broniących sprawy Jezuitów białoruskich, zarzucając im z góry złą wiarę, odmawiając wszystkim świadectwom na korzyść zakonu podstaw prawdomowności i zaliczając je do kategoryi »plotek, rozpuszczanych na zamówienie z połockiego kolegium«, ale także dlatego, że czyniąc różne i ciężkie zarzuty Jezuitom białoruskim, nie zastosował historycznej podejrzliwości do źródeł, na których się zamierzał oprzeć, nie zastanowił się czy przypadkiem nie ma do czynienia z plotkami, rozpuszczanemi przez nieprzyjaciół zakonu i bez wielkiej trudności dawał im wiarę, wychodząc chyba z założenia, że prawda i dobra wiara takich dowodzeń jest widoczną bez żadnych komentarzy.

Samej podejrzliwości w wiarogodność przytaczanych przez historyografię jezuicką argumentów nie uważamy jeszcze za powzięte z góry uprzedzenie, owszem mogła to być nawet chwalebna podejrzliwość historyczna, chociaż może zbyt wygórowana czy to wskutek osadu pamięciowego po lekturze książek antyjezuickich, czy wskutek wczytywania się w korespondencye Siestrzencewicza i suggestyę jego wyrażeń o »nożach« przykładanych biskupowi do gardła lub o »pigułkach połockich« i tym podobnych figuralnych zwrotów. Nie dziwilibyśmy się wobec tego, gdyby autor z nader wysubtelnionem pojęciem o chytrości jezuickiej, o której nieraz w swej książce wspomina, z wielkiem

niedowierzaniem zabrał się do analizy argumentów przytoczonych na obronę Jezuitów białoruskich, ale musimy się dziwić, że historyk chcący się »ograniczyć do czysto rzeczowego stwierdzenia faktycznego stosunku« zakonu do Stolicy apostolskiej, nie chciał czy nie miał dość odwagi, uzbroiwszy się w oręż krytyki historycznej (żeby się nie dać »przechytrzeć«, jak się to miało przytrafiać Siestrzencewiczowi), zdemaskować naukowo tej chytrości i wykazać nicość przytaczanych argumentów zapomocą odpowiednich komentarzy, które w tym wypadku bezwarunkowo byłyby konieczne.

Historyografia jezuicka zwłaszcza ostatnich czasów, wchodząc w myśl Leona XIII, nie hołduje wcale zasadzie urzędowych retycencyi, ani nie pomija spraw, które w historyi zakonu mogły mieć chwilowo mniej dodatnie znaczenie, zatem i dla badacza historyi Jezuitów po kasacie mogło się w niej coś pożytecznego znaleźć. Oprócz monografii z różnych okresów historyi Jezuitów wyszły w ostatnich czasach różne wydawnictwa źródłowe, z uwzględnieniem wszelkich zasad krytyki historycznej. Tak np. od 1894 r. wychodzą w Madrycie *Monumenta historica Societatis Iesu*, obejmujące na razie materyały do początków Towarzystwa, a wyszło ich już 40 tomów. Gromadzi się materyały i do innych okresów, oczywiście, że także dla tak ważnego w historyi zakonu okresu kasaty. Bardzo obfity materyał miał już pod ręką ks. Załęski, bo Jezuici wypędzeni z Rosyi mogli część tego materyału ze sobą zabrać, ks. Załęski znał nadto osobiście trzydziestu kilku Jezuitów białoruskich, u których się informował przed napisaniem »Historyi zniesienia Jezuitów w Polsce i ich zachowania na Białej Rusi«, korzystając przytem także z innych bibliotek i z Archiwum watykańskiego.

Materyały te uporządkował i w części uzupełnił ks. Aleks. Vivier, tłumacz dzieła ks. Załęskiego *Les Jésuites de la Russie-Blanche*, wydanem w Paryżu 1886, do którego dołączył te dokumenta w tomie pierwszym str. 432—472 i drugim str. 353—488. Nadto mnóstwo materyału niewyzyskanego dotychczas, a rzucającego bardzo ciekawe a często nowe oświetlenie na okres kasaty, znajduje się po różnych archiwach, i to nie tylko mniej dostęp-

nych, ale i znanych archiwach włoskich i hiszpańskich, do których historyk piszący o Jezuitach tego okresu mógł i powinienby zaglądnąć. Wiemy np. o prywatnych odpisach z tych archiwów wynoszących przeszło 420.000 dokumentów. Ks. Załęski (jak sam zaznacza w przedmowie do V tomu »Jezuitów w Polsce«) także o tem wiedział i dlatego sprawę kasaty pominął, ograniczając się do skreślenia historyi Jezuitów na Białej Rusi, która w zasadniczych rysach zyskała tylko przez nowe dokumenty lepsze oświetlenie, a i tę część krócej przedstawił, nie chcąc zbyt rozszerzać i tak już wielkiego dzieła, nie zaś, jak się domyśla p. Loret, żeby nie narzucać zbyt apodyktycznie swych poglądów czytelnikom (str. 277).

Dzieło ks. Załęskiego, jak można wnosić z tej wzmianki, autor czytał, ale ani jego wywody, ani wywody innych autorów (także nie Jezuitów) broniących legalności Jezuitów na Białej Rusi nie znalazły nawet tyle uznania, żeby je przy swej konstrukcyi historycznej chociażby mimochodem poruszył, z wyjątkiem poselstwa Benisławskiego, który przyniósł Jezuitom ustną aprobatę Piusa VI, a którą to aprobatę uważa autor za tendencyjną plotkę, rozszerzaną przez Jezuitów i przy tej okazyi orzeka, że bezpodstawność a zarazem zła wiara takich dowodzeń nie potrzebuje, jak się zdaje, komentarzy (str. 187).

Tem »jak się zdaje« uprościł sobie autor w sposób bądź co bądź bardzo oryginalny badanie historyczne nad kwestyą Jezuitów białoruskich, zrywając równocześnie z dotychczasową metodą historyczną, która kazała zaczynać badania od zapoznania się z historyczną literaturą przedmiotu i z możliwie najszerszem uwzględnieniem źródeł historycznych do danej kwestyi, żeby nową konstrukcyę historyczną tem lepiej uzasadnić, czy to przez naukowe stwierdzenie fałszywych podstaw dawniejszych konstrukcyi, czy przez lepszą i dokładniejszą interpretacyę znanych a niedokładnie tłumaczonych źródeł.

Pan Loret od tej zasady odstąpił; na dzieło ks. Załęskiego w jednem tylko powołał się miejscu, mianowicie na dowód »rozprzężenia w zakonie«, jakie wskutek ogłoszenia kasacyjnego brewe objawiło się na Białej Rusi (str. 216), co do innych spraw zakon-

nych uznał go widocznie niekompetentnym, powtarzając za to bez zastrzeżeń to, co Siestrzencewicz o Jezuitach nuncyuszom donosił i wciągając to do tekstu książki, mimo że nad jego prawdomownością nie może się unosić i wie, jak był dla Jezuitów usposobiony. Co więcej, »brak uprzedzenia« i »sposób ściśle przedmiotowy« unosi go tak daleko, że na dowód rzekomej korrupcyi, jakiej się mieli dopuszczać Jezuici na Białej Rusi względem dygnitarzy rosyjskich, przytacza cytat aż z historyi powszechnej Lavisse-Rambaud: »même les Jesuites, abolis par le pape, obtinrent, à prix d'argent, l'autorisation de subsister en Russie« (str. 204).

Takiej metody historycznej za bezstronną i ściśle przedmiotową a tem samem za naukową uznać nie możemy, a wskutek tego i rezultatów taką metodą osiągniętych nie możemy uważać »za solidny punkt oparcia dla dalszych poszukiwań«.

Mamy jeszcze inny powód do tego, mianowicie niezachowanie przez autora wskazań krytyki historycznéj przy opracowaniu materyału, na którym się autor prawie wyłącznie oparł i w czem widzi główną siłę swych wywodów t. j. na urzędowej korespondencyi nuncyusza Garampiego i Archettiego. Nie chcemy twierdzić jakoby urzędowa korespondencya nuncyuszów miała małą wartość źródłową, owszem uważamy tego rodzaju korespondencyę i różne akta dyplomatyczne za materyał bardzo cenny i w wielu wypadkach pierwszorzędnej wartości, nie dlatego wszakże wyłącznie, że jest urzędowy. Zadaniem krytyki historycznej jest wyróżnić w tego rodzaju materyale urzędowym to, co właśnie dla swego urzędowego charakteru nabiera pierwszorzędnej wartości, od materyału urzędowego, który wskutek swej urzędowości staje się materyałem bardzo podejrzanym. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do rozmaitych oficyalnych aktów dyplomatycznych, do jakich należą między innymi różne oficyalne z a p r z e c z e n i a. Nawet w sprawach, które przez dostępne kryterya dadzą się sprawdzić, sama oficyalność takiego aktu nie nadaje mu tem samem charakteru zupełnej pewności, wskutek czego historyk, któryby wyłącznie na takim materyale chciał budować jakieś hipotezy, wystawiłby sobie tylko świadectwo wielkiej naiwności, a zamiast prawdziwego obrazu dałby jego karykaturę.

Mutatis mutandis należało te przepisy krytyki historycznej mieć na oku w tej części oficyalnej korespondencyi nuncyuszów, która się do Jezuitów białoruskich odnosi, skoro sprawa ta oprócz strony czysto kościelnej miała także swą stronę polityczną, a ta właśnie była dla dyplomacyi rzymskiej rzeczą bardzo drażliwą. Kasacyjne brewe Klemensa XIV nie mogło potępić zakonnej instytucyi Jezuitów jako takiej, skoro dziewiętnastu jego poprzedników instytut zatwierdziło; ale znosiło zakon pod naporem dyplomatycznym dworów burbońskich, jednakże nie jednym zamachem, tylko według oznaczonych form kanonicznych, których wypełnienie zależało i od woli panujących.

Zamiary dworów burbońskich względem Jezuitów nie odpowiadały ówczesnym zamiarom rządu pruskiego i rosyjskiego, stąd też wykonanie kasacyjnego brewe z dziedziny kościelnej weszło w sferę polityczną i stało się przez to dla kuryi rzymskiej sprawą wielce kłopotliwą.

Katarzyna II, przez wzgląd na ówczesne postulaty rosyjskiej polityki wewnętrznej, chciała utrzymać Jezuitów w takim stanie, w jakim byli przed kasatą, a z jej wymaganiami musiał się Rzym liczyć, żeby nie szkodzić bardzo żywotnym i doniosłym sprawom Kościoła w zabranym kraju Pod naporem dyplomacyi rosyjskiej poczynił też Rzym różne ustępstwa na rzecz Jezuitów białoruskich, ale musiał to czynić bardzo ostrożnie a przedewszystkiem nieoficyalnie, żeby się nie narażać na ataki dyplomatyczne dworów burbońskich. Gdy ataki te stawały się zbyt gwałtowne np. po otwarciu nowicyatu w Połocku lub za pobytu Benisławskiego w Rzymie, dyplomacya rzymska posługuje się zwykłym w takich razach dyplomatycznym środkiem urzędowego *dementi*, które mogło nikogo nie przekonać, ale na razie przeszkadzało dalszej presyi ministrów burbońskich.

Zato ustępstwa Rzymu z natury rzeczy musiały być dyskretne i ciche, i dlatego nie szukać ich w oficyalnej korespondencyi nuncyuszów, a nawet w sprawach, które z legalnością zakonu nie miały blizkiej styczności, nie można na tej korespondencyi wyłącznie się opierać, skoro i Garampi i Archetti mieli także swoje własne zapatrywania na sprawę jezuicką, a ostatni

mniej wytrawny dyplomata i nie bez animozyi do Jezuitów, mógł nawet w wykonywaniu wskazówek z Rzymu, układanych także przez kancelaryę rzymską, posunąć się dalej, niż to odpowiadało potrzebom dyplomatycznym, albo przez niezręczne ich przeprowadzenie jeszcze bardziej pogmatwać sytuacyę.

Dlatego bezkrytycznie opierać się na tego rodzaju materyale nie można, ale trzeba go kontrolować nawet w sprawach z legalnością kanoniczną zakonu luźniej związanych a kontrolować przez akta nieprzeznaczone dla użytku dyplomacyi, żeby wyrobić sobie zdanie o faktycznym stosunku Stolicy apostolskiej do Jezuitów białoruskich.

Pan Loret przeoczył te przepisy krytyki historycznej i dlatego zamiast dać obraz faktycznego stosunku, ograniczył się do pracy teoretycznej na temat: sprawa Jezuitów białoruskich w oświetleniu dyplomatycznej korespondencyi nuncyusza Garampiego i Archettiego, co do wszechstronnego przedstawienia kwestyi było wprawdzie potrzebne, ale wskutek pominięcia całej kategoryi źródeł, stojących z urzędową korespondencyą w sprzeczności, dało obraz zupełnie fałszywy.

Fałszywe przesłanki musiały doprowdzić do fałszywych wniosków, a wskutek tego i książka autora nie może stanowić solidnego punktu oparcia dla dalszych poszukiwań.

* * *

Zasadniczą rzeczą przy ocenie stanowiska Jezuitów białoruskich, to oczywiście sprawa faktycznego ich stosunku do Stolicy apostolskiej, bo bez jej wyjaśnienia ani ich obrona, ani potępienie byłyby zgoła niemożliwe.

Pan Loret tą sprawą nie miał ochoty się zająć; zastrzegł się nawet (str. 68), że się nie wdaje w krytykę legalności czy nielegalności ze stanowiska kanonicznych pojęć — ale już dwie strony niżej kwestyę tę rozstrzygnął. Powołując się mianowicie na uwagi nuncyusza Garampiego, przesłane 3 listopada 1773 sekretarzowi stanu, w których odradza groźby kar kanonicznych lub jakiegokolwiek formalnego orzeczenia, piętnującego Jezuitów jako opornych a doradza zyskiwać na czasie i przymykać oczy, twierdzi,

że »wynika stąd z całą jasnością, że milczenie Kuryi w następstwie, nie było jakąkolwiek sankcyą położenia«, ale zachowaniem na razie przymusowej neutralności; omawiając wreszcie protest nuncyusza Archettiego przeciw otwarciu nowicyatu połockiego przez biskupa Siestrzencewicza, utrzymuję, »że była to druzgocąca krytyka legalności pobytu Jezuitów na Białej Rusi« (str. 147).

Tak jasnego poglądu na kwestyę swej legalności Jezuici białoruscy snać nie mieli, a domyślić się tego nie trudno, jeżeli się zważy, jak się zachowali w tem bardzo przykrem a przymusowem położeniu.

W chwili ogłoszenia kasacyjnego brewe w Polsce, liczba Jezuitów białoruskich, rozmieszczonych w czterech kolegiach i kilku mniejszych domach, wynosiła 201 osób, w tem 97 księży; trzynaście lat później było ich 185, w tem 95 księży, zatem mimo wystąpienia pewnej części kleryków i wymierania starszych, ogół trwał w rzekomym oporze, narażając się na zarzut większej uległości dla niekatolickiej cesarzowej, niż dla Stolicy apostolskiej, której posłuszeństwo ślubowali; trwali w oporze chociaż wiedzieli dobrze, że ani Garampi a tem bardziej Archetti stanowiska ich nie pochwalał, a pośrednio przeciw nim występował, ganiąc Siestrzencewicza za ustępstwa im poczynione. Chociażby się miało nie wiedzieć jak wygórowane pojęcie o ich chytrości, to jednak takie stanowisko ogółu musi dziwnem się wydać, zwłaszcza, że połowę a później nawet większość ogółu stanowili księża, którzy mieli chyba tyle wiadomości z teologii moralnej i prawa kanonicznego, żeby zdać sobie sprawę z konsekwencyi tego rzekomego oporu.

O wyjście z fałszywej sytuacyi było przecież nie trudno, a dla wielu z nich same widoki korzyści materyalnych mogły być do tego pobudką, mimo to wszystko wytrwali, bo byli przekonani, że inaczej im postępować nie wolno, aż doczekali się formalnej sankcyi Stolicy apostolskiej dla swego postępowania.

Dla wykazania, że okres białoruski w historyi zakonu nie był wcale okresem »wręcz zaprzeczonym przez najwyższą w Kościele władzę«, że zatem Jezuici białoruscy nie byli »buntowniczymi mnichami«, a także dla przedstawiania faktycznego ich

stosunku do Stolicy apostolskiej, wystarczy chociażby w ogólnych zarysach najważniejsze momenta tego stosunku zaznaczyć.

Zaznaczamy więc, że byt Jezuitów na Białej Rusi od 1773 do 1801 był z punktu widzenia kanonicznego zupełnie legalny; legalny za panowania Klemensa XIV, bo brewe kasacyjne nie zostało ogłoszone na Białej Rusi a sam Klemens XIV nie tylko milcząco i ubocznie, ale zupełnie wyraźnie w liście do Katarzyny II zgodził się na ich pozostawienie *in statu quo;* legalny za Piusa VI, który stan ten zatwierdził naprzód bardzo ostrożnie w odpowiedzi na suplikę ks. Czerniewicza, ówczesnego przełożonego Jezuitów białoruskich, później wyraźnie ale ustnie *(vivae vocis oraculo)* w czasie pobytu Benisławskiego w Rzymie, wreszcie zgodził się na wydanie brewe z formalną sankcyą, ale śmierć go przedtem zabrała; legalny wreszcie za Piusa VII, który przez brewe *Catholicae fidei,* 7 marca 1801, naprzód tylko w Rosyi, ze względu na opór hiszpańskiego króla, zakon formalnie sankcyonował, później kolejno przywracał w różnych krajach, wreszcie bullą *Solicitudo omnium ecclesiarum,* 7 sierpnia 1814, na całym świecie go przywrócił.

Brewe kasacyjne Klemensa XIV nigdy na Białej Rusi nie zostało ogłoszone, zatem i mocy obowiązującej tamże nie miało, skoro do tego koniecznem było ogłoszenie przez władzę kościelną i ze względu na rodzaj tego brewe, nie należącego do tej kategoryi brewiów, które *ipso facto* przez ogłoszenie w Rzymie stawały się prawomocne, i ze względu na umieszczone w niem zastrzeżenie: »Vetamus, ne p o s t q u a m praesentes litterrae p r o m u l g a t a e fuerit, ac notae redditae, ullus audeat earum executionem suspendere«. Jak zaś ta promulgacya miała się odbywać, przepisywał okólnik wydany przez Kongregacyę dla sprawy jezuickiej 18 sierpnia 1773 do biskupów dyecezyalnych, zaznaczając, że trzeba Jezuitom poszczególnych domów i kolegiów razem zebranym brewe to ogłosić, »litteras apostolicas suppressionis rite dennunciet, publicet et intimet«.

Innego sposobu ogłoszenia kasacyjnego brewe nie było, skoro ani sam Klemens XIV innego sposobu nie wyznaczył, ani nie zgodził się na propozycyę biskupa praskiego, żeby bez ogłoszenia

brewe w każdem kolegium z osobna dekret stał się *ipso facto* prawomocnym. Takie też było powszechne zdanie kanonistów i kompetentnych sfer kościelnych, a ponieważ Jezuitom białoruskim brewe nie ogłoszono, żatem ani zakonu opuścić nie mogli ani nie zasłużyli na nazwę opornych, »i Gesuiti ivi esistenti non si posson a tutto rigore chiamar publici Refrattari«, jak to przyznawał w liście do sekretarza stanu kardynała Pallavicini mons. Monsagrati (11 luty 1777) i kardynał Carafa, jeden z członków Kongregacyi dla spraw jezuickich (Arch. Vat. Polonia n. 242).

Dla tej samej racyi ani nuncyusz warszawski, ani prefekt Propagandy, od którego jako od bezpośredniego zwierzchnika zależało kolegium papieskie w Brunsberdze, nie mogli tego kolegium w ciągu siedmiu lat rozwiązać, t. j. aż do czasu, gdy Fryderyk II zgodził się na ogłoszenie brewe; podobnie jak dla tejże racyi ani nuncyusz Garampi ani Archetti, nie dawali żadnej odpowiedzi tym z Jezuitów białoruskich, którzy zgłaszali się do nich o zwolnienie od ślubów zakonnych, mimo że byłby to sposób bardzo prosty i o wiele skuteczniejszy aniżeli nazywanie Jezuitów białoruskich *refrattari*, którym to epitetem Archetti dość często szafował.

Jezuitom białoruskim nie tylko brewe nie ogłoszono, ale bezpośredni ich zwierzchnik, biskup wileński Ignacy Massalski, w liście do przełożonych z dnia 29 września 1773 polecił im ze względu, iż brewe jeszcze nie zostało tamże ogłoszone, »nondum legaliter in regione nostra fuerit vulgatum«, żeby dla uniknięcia jakiegokolwiek zamętu aż do dalszych rozporządzeń, »usque ad ulteriora statuta«, na mocy władzy, jaką im nadaje, czuwali nad karnością zakonną, »conferrimus porro iisdem superioribus potestatem super personas in Congregatione manentes, qua consuetam disciplinam contineant, rationem alioquin ipsimet nobis reddituri«.

Od Massalskiego żadnych dalszych poleceń nie otrzymali, a stosując się do powyższego rozporządzenia, postępowali zupełnie legalnie, jak to przyznaje kardynał dziekan G. F. Albani w liście do nuncyusza apostolskiego w Wiedniu »i Gesuiti dell' Alba Russia non potevano senza culpa abbandonare il loro stato« (Arch. Vat. Nunziatura di Vienna n. 699. Cifra).

Siestrzencewicz, który po Massalskim został ich bezpośrednim zwierzchnikiem, poleceń poprzednika nie tylko nie odwołał, ale zatwierdził je i rozszerzył, wskutek zobowiązania się do zupełnej uległości względem woli Katarzyny II, zanim ukaz nominacyjny na białoruskie biskupstwo otrzymał.

W punktach przedłożonych mu przez generał-gubernatora Zachara Czerniszewa 8 listopada 1773, dwa odnosiły się do sprawy jezuickiej. W punkcie pierwszym oznajmiał mu Czerniszew wolę imperatorowej, że Jezuitów nie tylko unicestwić nie zamierza, ale będzie im udzielała wszelkiej możliwej opieki; dlatego też i biskup białoruski pod żadnym pretekstem do ich spraw i mienia wtrącać się nie może, na co ma wystawić zobowiązanie na piśmie, t. j. oświadczenie, że rozkaz cesarzowej przyjął do wiadomości i że bezwarunkowo go spełni. Według punktu czwartego nie mógł mieć rezydencyi w jezuickiem kolegium (na rezydencyę miał otrzymać dom murowany z kościołem albo w Mohilewie albo gdzieindziej, stosownie do porozumienia się w tej sprawie z generał-gubernatorem), nie mógł też mieszać się do ich klasztorów, ale zostawić ich w takim stanie, jak dotąd byli.

Sam akt, który Siestrzencewicz podpisał, składa się z dwóch części: z propozycyi, jakie mu Czerniszew przedłożył i z poświadczonej zgody na te propozycye. Czerniszew przedkłada mu wolę cesarzowej, która nie tylko chce zapewnić Jezuitom swobodę w pełnieniu obowiązków duchownych, ale i ochronę ich klasztorom, kościołom, szkołom, ruchomościom i nieruchomościom; dlatego żąda, aby ani od biskupa ani od podległego mu duchowieństwa zniesionymi nie zostali, na żaden ucisk nie byli narażeni, ale w gubernii białoruskiej swobodnie przebywać i osiedlać się mogli.

Rzeczą więc biskupa będzie, żeby ani on, ani nikt inny wbrew woli imperatorowej postąpić się nie odważył; sam zaś biskup, stosownie do znanych mu już rozkazów, nie może ogłaszać żadnej bulli papieskiej, jakiejkolwiek byłaby treści, dopóki generał-gubernator nie rozpatrzy jej w oryginale i dlatego też bulla taka nierozpieczętowana ma być mu wprzód oddana. Specyalnie winien tego przestrzegać co do bull znoszących Jezuitów i dlatego powinien uważać, żeby bez jego wiedzy w jaki inny sposób

jakiekolwiek pismo papieskie lub orzeczenie odnoszące się do Jezuitów nie mogło być ogłoszone. Na stwierdzenie zaś, że się dowiedział o rozkazie imperatorowej, jako też na dokładne i niezawodne wypełnienie tego rozkazu ma się podpisać własnoręcznie. Pod podpisem Czerniszewa zamieścił też następujący dopisek:

»Wyżej podany rozkaz Jej Imperatorskiej Wielkości przyjąłem do wiadomości (słyszał) i na jego wypełnienie podpisuję się.

Stanisław biskup«.

Działo się to albo 19 listopada 1773 r. albo raczej krótko przedtem, bo już 19 listopada przesyła Czerniszew do Tepłowa zawiadomienie o odebranym podpisie, dołączając kopię całego aktu, a następstwem tego był ukaz imperatorowej do Czerniszewa z 22 listopada, mianujący Siestrzencewicza biskupem Białej Rusi.

Niedługo potem wybrał się Siestrzencewicz do Petersburga, gdzie w sposób jeszcze dosadniejszy zapewnił imperatorowę o swej uległości, jak to sam w jednym z aktów obszerniej opisuje[1]. W Petersburgu otrzymał przez Czerniszewa ponowny rozkaz nieogłaszania kasacyjnego brewe, jednakże z pozwoleniem na poczynienie przedwstępnych kroków w Rzymie *(préalablement)* przez warszawskiego nuncyusza, co do wykonania tego rozkazu.

Na późniejszem posłuchaniu oświadczyła mu Katarzyna, że nie występuje przeciw żadnej religii w swem państwie, ani chce wchodzić w jego stosunki z Rzymem. Ponieważ jednak Kurya rzymska ma za wielkie uroszczenia *(prétentions fortes)*, wymaga, żeby biskup jej tylko słuchał, »je veux, que vous ne partagier pas votre obeissance, je le veux«. Na to biskup oświadczył, »że przepis św. Pawła: potrzeba słuchać panujących nie tylko i nie tyle z bojaźni, ile ze sumienia *(de conscience)*, jest zbyt jasnym, żeby jako dobry chrześcijanin mógł inaczej postąpić, i będzie też posłuszny wyłącznie jej imperatorskiemu majestatowi«. Był też

[1] Jest to rodzaj jakby pamiętnika, pisanego za panowania Pawła, gdy Siestrzencewicz nowych łask z Rzymu nie mógł się spodziewać, ani do zbyt wielkiej dyskrecyi nie był zobowiązany.

rzeczywiście posłusznym, ale — jak utrzymywał — potrafił pogodzić to posłuszeństwo ze swymi obowiązkami względem Rzymu, tak, że cesarzowa »była zawsze zadowolona z jego roztropności«.

Wskutek tych zobowiązań musiał Siestrzencewicz i Jezuitom robić kolejno różne ustępstwa, chociaż z pobudek osobistych i przez wzgląd na nuncyaturę warszawską nie miał wielkiej do tego ochoty; w wielu też wypadkach musiał się oficyalnie tłumaczyć, przyczem najczęściej zwalał winę na Jezuitów, którzy mu nóż do gardła przykładali.

Jako bezpośredni zwierzchnik Jezuitów zetknął się z nimi pierwszy raz w Petersburgu, dokąd ks. Czerniewicz, zaopatrzony w różne tabele i dokumenta wybrał się w połowie listopada wraz z OO. Lenkiewiczem i Kattenbringiem, wezwany przez Czerniszewa, żeby mu przedłożył stan majątków jezuickich. Ks. Czerniewicz przewidując, że wyjazd jego do Petersburga może wywołać różne komentarze uwłaczające Jezuitom, doniósł z drogi nuncyuszowi Garampiemu o swym przymusowym wyjeździe, zapewniając, że Jezuici nie tylko nie myślą o czemś przeciwnem posłuszeństwu dla Stolicy apostolskiej, ale są gotowi wyrzec się raczej potężnego orędownictwa, niż uchybić należnemu posłuszeństwu. W Petersburgu złożył też tego dowody, bo zamiast traktować o sprawach majątkowych z Czerniszewem, postanowił wbrew zapatrywaniom swoich dwu towarzyszy przedłożyć imperatorowej memoryał z prośbą o pozwolenie na ogłoszenie brewe kasacyjnego. Co skłoniło ks. Czerniewicza do takiego kroku, nie możemy na pewno wiedzieć; ponieważ jednakże właśnie w tym czasie zaniepokojenie między młodszymi Jezuitami było bardzo wielkie, tak pod wpływem wypadków w Polsce, jak i wskutek dość powszechnego gorszenia się z postawy Jezuitów na Białej Rusi — gorszenia się, które do tego dochodziło, że niektórzy duchowni piętnowali ich z ambon, jako wyklętych przez Kościół; przypuszczamy, że chciał w ten sposób przyczynić się do wyjaśnienia sytuacyi, bo mógł liczyć na to, że jeżeli Katarzyna istotnie zechce zachować Jezuitów, to stać ją będzie na poczynienie w Rzymie odpowiednich kroków. Memoryał zredagowany był krótko a najważniejszy jego ustęp był taki: »My Jezuici rzymskiego obrządku i wierni poddani

W. M. upadając przed najwyższym cesarskim tronem, na wszystko co jest święte prosimy W. M. uczynić to, abyśmy mogli okazać skore i jawne posłuszeństwo naszej władzy duchownej, spoczywającej w rzymskim papieżu i wykonać rozkazy, które on wydał celem zniesienia naszego Towarzystwa«.

Czerniszew kroku tego nie pochwalał, ale ostatecznie zgodził się przedłożyć memoryał cesarzowej. Na odpowiedź czekali Jezuici długo, bo prawie cały miesiąc, ale otrzymawszy ją z początkiem stycznia 1774 mogli być z niej zupełnie zadowoleni, skoro Katarzyna uwzględniając ich położenie, zapewniła, że da polecenie swemu ambasadorowi w Warszawie, żeby się w tej sprawie odniósł do nuncyusza i zaradził ich skrupułom (»Ma io m'accorgo che siete scrupolosi. Farò dunque scrivere al mio Ambasciatore a Varsovia, acciochè se l'intenda col Nunzio del Papa, e vi levi questi scrupoli«).

Pan Loret, który przytoczył memoryał ks. Czerniewicza wprawdzie nie na dowód legalnego postępowania, ale jako »zgoła jedyny w swoim rodzaju i zaprawdę bezprzykładny, jako misterny wytwór dyalektyki dyplomatycznej« (str. 67), a uczynił to oczywiście »bez żadnych z góry powziętych uprzedzeń«, uważa także zapowiedź nawiązania stosunków z Kuryą za dyplomatyczny i nie obowiązujący wybieg »dla zaokrąglenia powyższej odpowiedzi«, i utrzymuje, że w Petersburgu ani wtedy, ani długo potem nie pomyślano o takiem zbliżeniu się do Rzymu« (str. 69).

Utrzymuje tak bezpodstawnie i fałszywie, bo u nuncyusza poczyniono istotnie kroki w tej sprawie, a uczynił to i Siestrzencewicz i Stackelberg. Siestrzencewicz w liście do Garampiego, wysłanym z Petersburga 7 (18) stycznia 1774, w którym donosząc mu o rozkazie cesarzowej zachowania Jezuitów w stanie, w jakim są, prosi, żeby papież ulżył ich sumieniu i udzielił dyspensy na zachowanie nazwy i sukni jezuickiej, na spełnianie obowiązków kapłańskich i wspólne pożycie. »Suppliez, Mgr, Sa Sainteté, qu'Elle daigne soulager leur conscience (w odpowiedzi cesarzowej było »e vi levi questi scrupoli«) et accorder la dispense de porter le nom et l'habit des Jésuites, d'administrer le service spirituel aux Etranger, et de demeurer en commune; en un mot, en ce que

V. E. croit à propos selon les circonstances« (Arch. Vat. Polon. n. 119), przyczem dodaje, że Jezuici w Petersburgu zachowali się przytem biernie, »ils se sont conduit passivement«, i że w memoryale, który czytał, zaznaczyli swoje obowiązki.

Prócz listu od Siestrzencewicza, który przysłał mu także kopię memoryału ks. Czerniewicza, otrzymał Garampi także pismo w imieniu Katarzyny II, żeby uzyskał od Klemensa XIV pozwolenie na zachowanie Jezuitów w stanie, w jakim byli, pismo umotywowane trzema pobudkami: że cesarzowa obejmując w posiadanie Ruś Białą zobowiązała się zachować religię katolicką w takim stanie i z tymi zakonami, jakie tam były, że uważa utrzymanie Jezuitów za konieczne ze względu na wychowanie młodzieży i brak księży katolickich, że wreszcie jest bardzo z nich zadowolona i z ich postępowania [1].

W jakiem oświetleniu przedstawił Garampi te postulaty papieżowi, nie wiemy, to pewna, że Klemens XIV na postulaty się zgodził i w liście do Katarzyny zezwolił, żeby Jezuici pozostali w takim stanie, w jakim byli. Sam list Klemensa XIV dotychczas nie jest znany; ogólnikowo o jego treści wspomina Siestrzencewicz, który sobie przypisuje to ustępstwo papieskie. »Z piórem w ręku, którem dopieroco podpisał datę pod bullą, z piórem jeszcze mokrem papież Klemens XIV przyjmuje przedstawienia, które biskup, wierny swym zobowiązaniom, poczynił przez nuncyusza i Jego Świątobliwość ustępuje (capitule, pour ainsi dire, avec lui). Pozwala, żeby biskup posługiwał się Jezuitami, byle nigdzie i żadnej wzmianki nie czynił o ich Towarzystwie«.

Samo świadectwo Siestrzencewicza mogłoby się wydać komuś podejrzanem (chociaż wtenczas, kiedy to pisał, kwestya nie była już aktualną, bo ani Katarzyna, ani Klemens nie żyli) i dlatego przytaczamy także inne świadectwa.

Do świadectw tych należą między innymi różne dokumenta, które poprzedziły formalną sankcyę Jezuitów na Białej Rusi przez Piusa VII, ponieważ prośby o formalną sankcyę

[1] Panizzoni do Piusa VII. Arch. del Palazzo Corsini. Roma. 38 H. 21.

i cara Pawła i takież prośby Jezuitów opierały się na poprzednich zatwierdzeniach nieoficyalnych, a między niemi także na liście Klemensa XIV do Katarzyny, na które też się powoływano, a powoływań tych nie tylko ze strony urzędowej nie sprostowano, ale stanowiły one podstawę do ułożenia brewe Piusa VII.

Na list Klemensa XIV powołuje się (prócz innych także argumentów) prośba Jezuitów parmeńskich i księcia Parmy, przedłożona Piusowi VII w Wenecyi przez ks. Pannizoni, »Societatis Jesu ex concessione Clementis XIV, ...facta Catharinae II omnium Russiarum imperatrici in Alba Russia usque ad haec calamitosa tempora conservata... etc., uzasadnia zaś to twierdzenie w drugim punkcie dołączonych *Annotazioni*, w którym powiada, że list ten Klemensa XIV, przechowany w archiwum carskiem, pokazała Katarzyna cesarzowi Józefowi II w czasie jego pobytu w Rosyi, »Questa risposta... si conserva nell' archivio imperiale et fu dalla sovrana mostrata a Giuseppe II imperatore, quando fu nelle Russie« (Autogr. Arch. del Palazzo Corsini, Roma, 38, H. 21).

Ten zaś szczegół stwierdził własnoręcznym listem, przedłożonym Piusowi VII, szambelan arcyksięcia Ferdynanda, markiz M. Rosales, powołując się na słowa arcyksięcia, że cesarz Józef w czasie pobytu w Medyolanie oświadczył mu, iż czytał u Katarzyny ów list papieski, pozwalający na utrzymanie Towarzystwa w jej państwie, »perchè lo stesso Pontefice aveva scritto all' Imperatrice una lettera da esso veduta, colla quale accordavale le facoltà di retinere negli stati soggetti al suo Impero la Compagnia di Gesù« (Parma 3 kwietnia 1799. Autograf znajduje się we wzmiankowanych wyżej zbiorach prywatnych).

Na list Klemensa powołuje się w suplice o formalne uznanie zakonu także wikaryusz generalny ks. Kareu, prosząc o brewe apostolskie, któreby usunęło wszelkie dysputacye i zatwierdziło wyraźnie kanoniczną egzystencyę Jezuitów na Białej Rusi, jak to już uczynił w liście prywatnym do Katarzyny Klemens XIV, »che la S. V. voglia degnarsi accordarle un Breve apostolico, il quale togliendo ogni disputa approvi visibilimente la loro cano-

nica esistenza in Russia, comè già e con privata lettera diretta alla fu Augusta Imperatrice delle Russie Caterina II, Si degnò accordarla la Sa. Me. di Clemente XIV« (Połock 31 lipca 1800. Arch Vat. Polonia n. 345 i 344 V. Kopia i autograf).

Temu powoływaniu się na list Klemensa XIV ze strony kompetentnej kościelnej nie tylko nie zaprzeczono, ale suplikę księdza Kareu wzięto nawet za podstawę przy układaniu brewe *Catholicae fidei*, jak świadczy o tem kardynał Antonelli w liście do kardynała Gonsalvi, przesyłając mu breve do przejrzenia przed ostateczną redakcyą z dołączeniem wspomnianej supliki ks. Kareu: »Vi ho auche annessa la lettera del P. Kraeu (sic), ch'è il fondamento della petizione, et il piano di breve« (autograf z 31 stycz. 1801. Arch. Vat. Polonia, n. 344 V).

Innych dowodów, żeby się zbytnio nie rozszerzać nie przytaczamy, zaznaczamy tylko, że także ks. Gruber w liście do Aleksandra I, polecając mu Towarzystwo wspomina o tym fakcie. »L'existence des Jésuites dans l'Empire de Russie a été réconnue légitime par les deux derniers papes Clement XIV et Pie VI; le premier l'a déclarée dans une lettre particulière à la feue Impératrice« etc., a nie mógłby tak pisać, gdyby rzecz nie była pewną, bo Aleksander, jeśliby przedtem o tem nie wiedział, mógł z prostej ciekawości łatwo stwierdzić prawdziwość tego twierdzenia.

Wskutek uznania Jezuitów białoruskich przez Klemensa XIV, zostawiono ich oczywiście w spokoju, a milczenie to nie było ani zachowaniem przymusowej neutralności, a tem mniej nie wynika z niego »z całą jasnością«, jak się podobało wywnioskować p. Loretowi, że »milczenie w następstwie nie było bynajmniej jakąkolwiek sankcyą położenia« (str. 70).

Ze względu na dyplomatyczną stronę kwestyi jezuickiej na Białej Rusi jest to milczenie aż nadto zrozumiałe, natomiast bez listu Klemensa XIV nie bardzo byłoby zrozumiałe pominięcie tej kwestyi w obszernej instrukcyi dla kawalera Sagramosy (którą autor przedrukował str. 227—49), zwłaszcza że w rozdziale III, nr. 18 (str. 234), gdzie jest mowa o monarszem *exequatur* dla bull papieskich poruszenie tej kwestyi samo się nastręczało. Tymczasem kwestyi tej nie tylko nie tknięto w sensie dla Jezuitów

nieprzychylnym, owszem Stolica Apostolska wyjmując z pod owego *exequatur* tylko sprawy dogmatyczne i wyłącznie duchowne, »come son quelle di Dogma, di Dottrine e di materie puramente spirituali«, zgodziła się tem samem na stanowisko rządu wobec kasacyjnego brewe, które ani do spraw dogmatycznych ani do spraw czysto duchownych się nie odnosiło.

(Dok. nast.).

Ks. Józef Sas.

NASZA FILOZOFIA RELIGIJNA W XIX W.

Od dnia 28 sierpnia do 12 września 1910 r. obchodziła katolicka Hiszpania setną rocznicę urodzin Jakóba Lucyana Balmesa, jednego z najlepszych swych synów a przytem najwybitniejszego z pośród jej myślicieli. Od 7—12-go września odbywał się kongres naukowy w miasteczku Vich (starorzymski *Vicus ausonae)* w Katalonii, gdzie Balmes dnia 28 sierpnia 1810 r. ujrzał po raz pierwszy światło dzienne. O świetności i rozmiarach tego kongresu niech świadczy fakt, że miał on 139 protektorów z pośród najznamienitszych grandów Hiszpanii, a 12000 uczestników z najrozmaitszych sfer społecznych, jako też przedstawicieli kilku uniwersytetów zagranicznych. Co dziwniejsze, nie samo tylko społeczeństwo wzięło udział ochotny w uroczystościach dla uczczenia pamięci i zasług Balmesa, ale nawet rząd Canalejasa wysłał swego przedstawiciela w osobie ministra sprawiedliwości, Ruiza Valarino, a nadto infantka donna Izabella Franciszka z Burbonów pospieszyła do małej mieściny górskiej, aby w imieniu króla przewodniczyć uroczystościom, które zakończono wmurowaniem dwóch tablic pamiątkowych na domach, w których Balmes na świat przyszedł i żywota dokonał.

Hiszpania słusznie może być dumną ze swego filozofa-apologety, bystrego ekonomisty i polityka, którego sława daleko poza Pireneje, bo nawet do nas dochodziła; jeżeli zaś w tych uroczystościach nie brakło przedstawicieli katolickich sfer Niemiec, Włoch, Francyi, Anglii, a nawet Ameryki, poszło to stąd, że chciano pu-

blicznie oddać hołd zasługom Balmesa, którego »Filozofia fundamentalna« oraz *El Criterio* czyli Droga poszukiwania prawdy zapoczątkowała w szkołach katolickich ruch zbawienny w kierunku odnowienia i oparcia na zdrowych, a do potrzeb czasu przystosowanych zasadach studyum filozofii, a wiadomo, że ruch ten doprowadził w końcu do ukazania się za rządów filozofa-papieża Leona XIII słynnej encykliki *Aeterni Patris* z 4 sierpnia 1879 r.

Niestety. Opatrzność nie dała nam męża tak znakomitego, któryby nie tylko u swoich murem się stał ochronnym przeciwko rozpętanej pod koniec XVIII w. niewiary, ale któryby i wśród obcych zdołał wywrzeć wpływ tak daleko sięgający i tak się zaznaczający przy odrodzeniu religijnem w początkach wieku XIX, jak to było udziałem słynnego Katalończyka. Ale też i nie mamy powodu do narzekania, jakoby Opatrzność całkowicie o nas zapomniała. Nie mieliśmy wprawdzie myślicieli religijnych, którychby dzieła tłumaczono, jak dzieła Balmesa, na wszystkie języki wybitniejsze w Europie, za to mamy tych myślicieli zastęp wcale pokaźny, a co najważniejsze, spotykamy ich prawie w każdem dziesięcioleciu wieku ubiegłego rozsiewających zdrowe ziarno a nierzadko i perły wśród ziomków po wszystkich dzielnicach i ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Miał Kraków swego Jarońskiego, Trzcińskiego, Serwatowskiego i Morawskiego, w kolebce Piastów działał zbożnie Feliks Kozłowski i August Cieszkowski, gród syreni pochlubić się może Szaniawskim, Ziemięcką i Majorkiewiczem, Wołyń dostarczył Chołoniewskiego, Hołowińskiego i Jakubowicza, Litwa wydała Bochwica, nawet Ruś nie poskąpiła naszej literaturze filozoficzno-religijnej dzielnego pracownika w osobie Semeneńki.

Zastęp to, jak widzimy, wcale pokaźny, a chociaż nie wszyscy z nich posiadali wykształcenie filozoficzne jednakowo wysokie, aby trafnie rozwiązać problem, jeden z najtrudniejszych, bo problem zgody rozumu z wiarą objawioną, filozofii z teologią nadprzyrodzoną, za to wszyscy w imię hasła: dla wiary i ojczyzny z zapałem sypali wał ochronny, iżby skołatanych tylu innemi nieszczęściami ziem ojczystych nie zalała fala racyonalizmu

a umysłów polskich nie zatopił panteizm filozofii niemieckiej. Tem większe też wyrazić należy zdziwienie, że nasi historycy literatury, którzy tak skrzętnie zbierają najmniejsze szczególiki z życia naszych wieszczów, a radziby, gdyby to było możliwe, pod mikroskopem badać każde drgnienie na strunach ich duszy, nie zwrócili swej uwagi na dział, przecież tak ważny, twórczości umysłowej na polu dociekań filozoficzno-religijnych. Na szczęście historyk filozofii a badacz skrupulatny, prof. Struve, ocalił niektóre nazwiska naszych domorosłych Balmesów, inaczej ich dzieła pokrywałby dalej pył i kurz biblioteczny.

Pod wpływem jakich czynników rozwinął się u nas ten dział umysłowości polskiej? Czy powstał on samorzutnie jako wyraz potrzeby, czy może grały tu rolę i czynniki zewnętrzne, naśladownictwo obcych?

O ile z lektury dzieł filozoficzno-religijnych można dociec, należałoby wskazać trzy przyczyny tego ruchu umysłowego.

Pierwszą z nich, to przebudzenie się i spotęgowanie życia religijnego po strasznej burzy, którą rozpętała rewolucya francuska. Stan Kościoła katolickiego był prawdziwie rozpaczliwy w Europie pod koniec wieku XVIII-go. W samej Francyi biskupi prawowici i około 25000 kapłanów znajdowali się na wygnaniu, a ich miejsce w 83 dyecezyach, utworzonych przez »Konstytucyę cywilną kleru« w r. 1791, zajęli intruzi czyli biskupi konstytucyjni i tacyż kapłani, z których wielu się pożeniło; kościoły po największej części zamknięte lub oddane na użytek kapłanów złych; wśród ludności zdziczałej, nieodżywianej słowem Bożem, szerzył się ateizm i formalny poganizm; wiele dzieci nie otrzymywało chrztu, a starsi odwykali od wszelkich praktyk religijnych; związki tajne o najrozmaitszych nazwach podkopywały zapomocą pism ulotnych wszelkie znaczenie religii, natomiast pisma bluźniercze Voltaire'a rozchodziły się w milionach egzemplarzy: słowem niedowiarstwo było powszechne zarówno u mężczyzn jak i u kobiet warstwy wykształconej, u niedorostków jak i u starców siwowłosych. Do czego wówczas dochodziło, świadczy obok mordów masowych duchowieństwa, drobny na pozór fakt, że w wiosce Perigord zmusili parafianie swego proboszcza, żeby do

puszki z najśw. Sakramentem przypiął kokardę wolności i zostawił tabernaculum otwarte, »a to z tej przyczyny, że ponieważ teraz każdy jest wolny, więc i P. Bóg zamknięty być nie powinien« [1].

Kres złemu na razie położył Napoleon jeszcze w charakterze pierwszego konsula. Sam Napoleon był adeptem masoneryi i przyjacielem jakobinów z r. 1793 i nie bardzo się też troszczył o zasady katolickie, które dopiero na wyspie św. Heleny odnalazły się w jego duszy; lecz jako polityk bystry rozumiał on to dobrze, że żadne społeczeństwo nie ostoi się długo bez religii, oraz, że Francya pomimo strasznej zawieruchy na dnie swojem pozostała katolicką. Z tych powodów zawarł on dnia 15 lipca 1801 r. konkordat z papieżem Piusem VII [2], a dnia 19 kwietnia 1802 r., zatem po 10 latach zamknięcia kościołów, obchodzono pierwszy raz jawnie Wielkanoc przy niebywałym entuzyazmie tłumów. Dla uświetnienia nabożeństwa, odprawionego przez legata papieskiego, kardynała Caprarę, zajechał pierwszy konsul przy odgłosie 100 strzałów armatnich do katedry, gdzie legat powiedział do niego w swej przemowie te słowa: »Toż ramię, które wśród boju postrach miotało, które podpisywało pokój całego świata, toż samo ramię dzisiaj powraca świetność kościołom prawego Boga, dźwiga ołtarze, ustala na nowo cześć Jego« [3].

Na 5 dni przed Wielkanocą owego roku (14 kw. 1802) opuściło prasę dzieło Chateaubrianda: *Génie du Christianisme ou Beautés de la religion chrétienne,* które w tym samym roku rozeszło się w 4000 egzemplarzy, a w r. 1809 doczekało się już 5 wydania. Dzieło to, przetłumaczone i na polski język [4], przedstawia w barwny i porywający sposób wieloraką a dobroczynną

---

[1] Por. dr. Maryan Szyjkowski: »Génie du christianisme a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej«. Lwów 1908. Str. 7.

[2] Por. Biskup ks. dr. Józef Sebastyan Pelczar: »Pius IX i jego pontyfikat«. Wyd. II. W Przemyślu 1907. Str. 126, t. I.

[3] Por. Szyjkowski j. w. str. 13.

[4] »Duch wiary chrześciianskiey czyli iey piękność i zalety — wydanie skrócone do użycia młodzieży, przez T. A. Chateaubriand, przełożone z francuskiego przez ks. G. G. i Ga. B.«. Druk Wilh. Bogumiła Korna. Tomów 2. We Wrocławiu 1816 r.

działalność Kościoła na polu nauk, oświaty i sztuk pięknych i dlatego stało się ono źródłem dla ożywienia i pogłębienia uczuć religijnych.

Lecz i dalsze wypadki, szybko po sobie następujące, jak przybycie papieża Piusa VII do Paryża na koronacyę Napoleona, uwięzienie go przez Napoleona i gwałty zadawane jego swobodzie w Sawonnie, wyprawa na Moskwę, straszny powrót stamtąd, Elba, Waterloo, więzienie na wyspie św. Heleny, powrót Piusa VII do wiecznego miasta wśród tryumfu i radości całego świata, a nadewszystko szereg wybitnych pisarzy katolickich tak świeckich jak duchownych, wszystko to wpływało w większej lub mniejszej mierze na przebudzenie się z letargu sumień katolickich.

Aby odpierać pociski prasy liberalnej, powołano do życia kilka dzienników katolickich, jak np. *Le Conservateur*, *Le Défenseur*, *La Quotidienne*, *Drapeau blanc*, *Mémorial catholique*, w których Rohrbacher, Salinis, Gerbet, Haller i inni rozprawiali się bądź z dziennikiem masońskim *Le Globe*, bądź też z szerzonym przez Augusta Comte pozytywizmem. W celu położenia tamy powodzi złych książek, założył książę Mat. Montmorency towarzystwo: *Société catholique des bons livres;* biskup Frayssinous wydaje w r. 1825 słynną swą książkę apologetyczną: *Défense du Christianisme*, przyswojoną i naszej literaturze; przywódca ultramontanów hr. Józef de Maistre pisze swe pomnikowe dzieło: *Du Pape*, a później swe: *Soirées de St. Pétersbourg*, również na polskie przełożone; hr. Karol Montalembert wespół z ks. Lammenais i innymi wydają dziennik: *L'Avenir* pod hasłem: *Dieu et liberté*, a w grudniu 1830 r. tworzą oni związek *Agence générale pour la défense de la libertée religieuse*, aby wywalczyć Kościołowi całkowitą wolność we wszystkich jego sprawach [1]. Wreszcie Vicomte Ludwik de Bonald, Beautain i inni wykazywali w licznych swych pismach potrzebę wiary i religii objawionej.

Nie lepiej działo się w Niemczech. Lessinga: *Nathan der Weise* jest najlepszym wykładnikiem uczuć religijnych u przeważnej części Niemców wykształconych z końcem wieku XVIII.

[1] Por. ks. bisk. Pelczar, dz. w. prz. t. I, str. 146 nast.

Racyonalizm ogarnął umysły prawie na wszystkich polach działalności umysłowej; józefinizm krępował wszelką swobodę Kościoła, biskupi serwiliści i w znacznej liczbie pozbawieni ducha kościelnego; nad wyplenieniem zaś gorczycznego ziarnka wiary pracowały usilnie i z dobrem powodzeniem loże wolnomularzy i illuminatów. Zaranie wieku XIX przyniosło Niemcom klęski pod Marengo i Hohenlinden, zabór posiadłości po lewym brzegu Renu, konfiskatę i sekularyzacyę dóbr kościelnych, przy której to sposobności komisarze państwa bojaźni bożej dopuszczali się nadużyć tak ohydnych, że prześcignęli dzikich Tatarów. Druzgotali relikwiarze i monstrancye, pili z naczyń świętych w czasie swych uczt, nawet trumny ludzi bogatszych profanowali zdzierając z umarłych kosztowniejsze ozdoby; w Bambergu komisarz z ołtarza porwał monstrancyę, wystawioną ku czci wiernych, inny znów w Himmelspforten, wyrzucił kości świętych pod ściek rynny a relikwiarz zabrał do kosza.

W teologii katolickiej zaczął się panoszyć racyonalizm i krytycyzm Kanta, szerzony w pismach Jerzego Hermesa z Bonn i Antoniego Günthera z Wiednia, za nimi zaś poszli teologowie Braun, Achterfeld, Baltzer z Wrocławia, Biunde, Pabst, Veith, Fr. Schmid, Seb. Brunner i t. d. Filozofia niemiecka, pchnięta przez Kanta na tory idealizmu transcendentalnego, zabłąkała się z Schellingem, Fichtem i Heglem w kręty labirynt panteizmu, po to, aby wielkim pędem stoczyć się w przepaść materyalizmu Feuerbacha, Moleschotta, Czolbego, Büchnera.

W Prusach protektor lóż masońskich a wielki nieprzyjaciel Polaków i katolików Fryderyk Wilhelm III, nakładał pęta coraz ciaśniejsze na swobodę życia duchowego według przepisów Kościoła katolickiego.

Zwolna jednak i w Niemczech duch religijny krzepić się począł, a olbrzymie zasługi w tym względzie położył Jan Józef Görres (1776—1848), który w czasopiśmie *Rheinischer Merkur* (1814—1816), w *Katholik* (od 1821), w *Historisch-politische Blätter* (od 1838), już wreszcie w dziełach prawdziwie głębokich, jak np. *Deutschland und die Revolution, Die hl. Alianz und die Völker auf dem Congress zu Verona* 1822, lub *Christliche Mystik* 5 to-

mów 1836 wypowiadał z całą potęgą to przekonanie, że tylko z Kościoła katolickiego wyjść może odrodzenie społeczeństwa i tylko od niego narody mogą oczekiwać ratunku. Dzielnie mu pomagał w propagowaniu tych myśli Jan Adam Möhler († 1838), autor pomnikowego dzieła: *Symbolik* (1832); wystąpili też na widownię biskupi, pełni ducha Bożego, jak Klemens August baron Droste-Vischering, Ludwik Colmar, arcybiskup Dunin, uwięzienie zaś Klemensa Droste-Vischeringa w twierdzy w Hildesheim oraz wywiezienie arcybiskupa Dunina do Kołobrzegu zbudzić musiało i zszeregować nawet najospalszych katolików[1]. Rzeczywiście cały zastęp ludzi, jak Dezydery Chłapowski, Edward hr. Raczyński, August Cieszkowski, Stanisław Chłapowski, Antoni Małecki, jener. Franciszek Morawski, Celiński, ks. Jabczyński, ks. Janiszewski i inni rozpoczęli pracę gruntowną nad odrodzeniem duchowem Wielkopolski, która też niedługo światłem i pracą zaczęła przodować innym dzielnicom Polski historycznej.

Wiek bowiem XIX zastał i w Polsce stan niewesoły pod względem religijnym. Silnie uderzały w w. XVIII o Polskę fale zachodniego liberalizmu i racyonalizmu, a jeżeli skończyło się na deizmie i lekkim ateizmie u jednych, a na paszkwilach przeciw duchowieństwu u drugich, zawdzięczać to należy tradycyom katolickim, które weszły w krew narodu, brakowi zmysłu do badań abstrakcyjnych, któreby te prądy pogłębiały, a w znacznej części i tej okoliczności, że na czele ówczesnej literatury widniało sporo osób stanu duchownego.

Dużo złego i w Polsce robiły loże masońskie. W r. 1743 powstała pierwsza loża w Dukli, założona przez Mniszchów, a już w r. 1784 było 13 lóż; sam król należał do loży Karola pod 3 hełmami od r. 1777. Z filozofów znano Kartezyusza, Wolffa, Leibniza, Locka, Hobbesa i ich problemy roztrząsano; po szkołach posługiwano się logiką sensualistyczną Condillac'a; pisma Voltaire'a zaczęły się szerzyć od r. 1733, a 50 wydań tych pism w ciągu niespełna 50 lat świadczy nie tylko o poczytności

[1] Por. ks. bisk. Pelczar, dz. w. prz. t. I, rozdz. XI.

u nas tego ateusza, ale zarazem o tendencyach ówczesnych warstw oświeconych. Czytywano również chętnie pisma Rousseaua, Volney'a i wydawnictwa encyklopedystów, a skutki tej lektury są widoczne w »Odach« Naruszewicza, w utworach Krasickiego, Trembeckiego, a zwłaszcza Węgierskiego, w Staszica: »Przestrogach dla Polski« i w książce Kołłątaja: »Prawo polityczne narodu polskiego«.

Dopiero kiedy grom po gromie spadać zaczął na naród, kiedy straszna rzeczywistość pokazała, dokąd Polskę zaprowadził aksyomat: Polska nierządem stoi, kiedy nadeszły lata 1772, 1792 i 1795, kiedy Polskę wykreślono z rzędu państw na karcie Europy a jej ciało na trzy rozerwano części, kiedy jej dziećmi zaczęto zaludniać lodowaty Sybir i kazamaty państw rozbiorczych, przyszło opamiętanie, refleksya, wejście w siebie, uderzenie się w piersi, przyznanie się do win i skrucha. Woronicz w swej »Sybilli« pyta się:

Czem się dzieje? pytacie, że to nieszczęść brzemię,
Tak już dawno znękaną trapi naszą ziemię?

I daje odpowiedź:

Gdy na ojca i rządcę tu nie pada wina,
Między nami musi być źródło i przyczyna.

Dlatego też radzi powrót do Boga:

Skoro więc z Nim się nowem przymierzem złączycie,
I na wskrzeszenie Waszej sławy zasłużycie,
Nie zagrzebie Waszego rodu ta mogiła,
Troja na to upadła, aby Rzym zrodziła.

Jasno również wskazał przyczynę nieszczęść, które spadły na Polskę, Michał Jerzy książę Poniatowski, arcybiskup gnieźnieński w swym liście pasterskim do całego duchowieństwa polskiego (data 28 maja 1794 r.):

»Oyczyzna nasza niegdyś kwitnąca i można po stopniach do opłakanego przyprowadzona jest stanu. Stawszy się zaś z dawna siedliskiem nierządu, została następnie igrzyskiem i celem wszystkich nieszczęść. Nie taymy sobie tego przyczyny: Cnotą Rzeczypospolite stoią, przy osłabioney Religii, zepsutych obyczaiach

trudno im obiecywać szczęśliwości. Nawracaymy się tedy do Pana w poście, płaczu i iękach«.

Głosy te przedstawicieli Kościoła w Polsce widocznie nie były odosobnione, skoro jeszcze w r. 1792 ukazuje się w Warszawie 3-tomowe dzieło W. R. Karczewskiego, w Akademii krakowskiej doktora filozofii, p. t. »O prawach fizycznych i moralnych świata, czyli prawdziwe systema natury z dzieł francuskich zebrane«. Autor polemizuje w niej z zasadami moralności, głoszonemi przez encyklopedystów i materyalistów wieku oświecenia, i dowodzi, że moralność materyalistów usprawiedliwia wszystkie zbrodnie, a jako najlepsze lekarstwo na nędze ludzkie podaje »wyobrażenia prawdziwe, ugruntowane na rozumie i religii«, zwłaszcza, że »sama tylko religia daie nam prawdziwe wyobrażenia moralne« (str. 486).

Kiedy zaś nie tylko własne nieszczęścia przeżywać musiano, ale i patrzeć na orgie, których się dopuszczali rewolucyoniści francuscy, znów myśl kierowała się mimowoli w stronę religii, jako ostoi ładu i porządku w społeczeństwach. To też *Gazeta krakowska* 28 kwietnia 1802, nr. 34 pospiesza donieść swym czytelnikom o fakcie radosnym: o zawarciu konkordatu między Napoleonem a Piusem VII, podając przy tej sposobności w streszczeniu mowę francuskiego radcy rządowego Portalisa, wykazującej potrzebę religii dla zachowania spokojnych rządów. Szeroko tę samą myśl rozwinął ks. Feliks Jaroński, profesor filozofii w Akademii krakowskiej, w czasie swego kazania o Duchu św., wypowiedzianego na obchodzie jubileuszu Akademii. »Uczeni świata, tak on woła, nie macie uprzeymieyszey i dzielnieyszey opiekunki przedmiotów waszych badań, trudów i ich zasiłków, nad naukę Kościoła, ale weyźrzawszy szczerze w siebie, z pokorą uznać musicie, że wasza umiejętność z chrześciiańską z uszanowaniem przyiaźnić się i iey podlegać powinna«. W kilka lat później, bo 15 października 1810 ukazała się rozprawka tegoż profesora p. t.: »Jakiey filozofii Polacy potrzebuią?«, w której autor dowodzi, że w Akademii krakowskiej nie wylęgła się żadna herezya, i że filozofia źle pojmowana jest właśnie nauką, »którey nazwiska używano do zdziałania tylu scen nayokropnieyszych, łzy wyciskaią-

cych, co się za naszych czasów naydotkliwiey we Francyi odnowiły« (str. 3), a w końcu, zalecając studyum filozofii Kanta, dochodzi do wniosku, że prawdziwa filozofia pouczy Polaków, »iż potrzebuiemy od Religii dopełnienia i upowszechnienia Nauki o obowiązkach naszych, żeśmy z uszanowaniem pod iey rozkazy rozum poddawać i naydobroczynnieysze iey dary pokochać powinni, że tam dopiero Prawodawca i Teolog zaczynać powinni, gdzie Filozof moralny kończy« (str. 43).

Przedtem jeszcze, bo dnia 5 maja 1803 r., czytał J. Kalas. Szaniawski na publicznem zgromadzeniu Towarz. Przyj. Nauk w Warszawie swą rozprawę p. t.: »System chrystyanizmu«. Szaniawski wykazuje całą wyższość religii Chrystusowej nad innemi religiami świata, i dowodzi, że dopiero chrystyanizm potrafił »zwrócić w człowieku wszystkie władze, sprężyny i pochopy działania ku celowi udoskonalenia moralnego«, że »Chrystus uskutecznił na drodze serca owo szczęśliwie utrafione pojednoczenie religii i moralności«, oraz, że »Chrystyanizm uspokaia zupełnie wymagania rozumu i potrzeby serca« (str. 31) [1].

Nie potrzebujemy wkońcu dodawać, w jakim celu rządy za czasów Metternicha przychlebiały się religii, ani też nie będziemy się rozwodzić nad związkiem religii z budzącym się romantyzmem wieku ubiegłego, gdyż to są rzeczy już dobrze znane.

Drugą przyczyną, która wpływała na rozwój piśmienictwa filozoficzno-religijnego u nas, to walka z błędami wierze zagrażającymi. Płynęły one z dwóch źródeł: z jednej strony z lóż masońskich na początku wieku XIX, z drugiej strony od racyonalistycznej i panteistycznej filozofii niemieckiej.

Loże masońskie obumarły pod obuchem nieszczęść narodowych. Zaledwo atoli wrócił względny spokój, już w r. 1805 spotykamy lożę pod nazwą »świątyni mądrości«, a dwa lata później jenerał Wincenty Axamitowski założył w Warszawie lożę p. t. Bracia polscy zjednoczeni, której członkiem honorowym był książę Józef Poniatowski. W r. 1810 powstała w Warszawie loża kapitulna: »Gwiazda wschodnia« i ukonstytuował się W. Wschód na-

[1] Por. dr. Maryan Szyjkowski, dz. w. prz. str. 85 nast.

rodowy, mający pod sobą 6 lóż męskich i lożę adopcyjną Eden, utworzoną tegoż roku pod młotkiem Anny z Sapiehów Potockiej. W r. 1811 nastąpiło zawarcie związku z W. Wschodem francuskim, a w roku następnym wybrano w. mistrzem prezesa Rady Stanu: Stanisława hr. Potockiego, namiestnikiem zaś ministra skarbu Tadeusza Matuszewicza. Nadto istniała w Warszawie loża »zreformowanych Mopsów i Mopsic«, do której przyjmowano i kobiety po spełnieniu niebardzo estetycznego obrzędu [1]. Z czasem liczono około r. 1820 w królestwie 40 lóż, z czego 33 symbolicznych, a 7 kapitulnych czyli wyższych; na Litwie utworzono lożę w r. 1816 p. t. »Gorliwy Litwin«, a której pierwszym mistrzem był Nikodem Puzyna, członkami zaś wielu księży wileńskich. Równocześnie Tomasz Zan, członek loży prowincyonalnej, zorganizował w r. 1817 najprzód: »Towarzystwo Filantropów«, do którego i Mickiewicz należał, następnie zaś »Towarzystwo Promienistych«, a po rozwiązaniu tegoż utworzył związki »Filaretów« z tajemną (nawet dla związkowych) kapitułą dwudziestu: »Filomatami« zwanych [2].

W dosadny sposób wykpiwa robotę lóż ks. Karol Surowiecki w swych »Homiliach rymowanych [3]«. Pisze on:

Znane całemu światu owe nocne Loże
Czyli lochy podziemne, gdzie bracia spiskowi
Więcej knowali złego, niźli diabeł może,
Antychrystyańskiemu kwoli zamiarowi,
Mularze, Pilarze wraz z Dekarzami,
Kotlarze, Węglarze z Illuminatami,
Wszystko się za ręce wzięło,
By chrystyanizm zwaliło.

Z kuźni masońskiej wyszedł projekt nawiązania stosunków z założonem w Londynie w r. 1804: *The British and foreign*

[1] Por. ks. bisk. Pelczar, dz. w. prz. str. 205; ks. Stan. Załęski T. J.: »O masonii w Polsce«. Kraków 1886, str. 366 nast.

[2] Por. ks. bisk. Pelczar: »Masonerya«. Przemyśl 1906, str. 104 n.

[3] Ks. Karol Surowiecki: »Homilie rymowane, wyiaśniające mistyczne sensa II Psalmu Dawida, uiszczonego do litery pod panowaniem dzisieyszego Filozofizmu czyli bezbożniczey Oświaty — ogłoszone polskiej publiczności«, str. 44.

Bible-Society czyli z towarzystwem angielskiem dla wydawania i rozszerzania tłumaczeń Pisma św. we wszystkich językach żyjących. Projekt ten, dający nadzieję szerszego wpływu masonów na społeczeństwo, został uskuteczniony w Wilnie około 1816 r. a w Krakowie i Warszawie w roku 1817. Wyrzuca ten podstęp wolnomularzom Surowiecki pisząc:

Cóż robią Franc-Masońskie filuty?
Udaią się niby do pokuty,
Przyiąwszy świętą Biblią,
Formuią z niey Religią,
Czytelnik Pisma u nich Doktorem,
A iego tłumaczenie artykułem Wiary,
Ani mu trzeba mieć sprawy z żadnym Soborem,
Bo on łaknie rzeczy podług własnej miary.

W dopisku dodaje Surowiecki: »Nie mógł Diabeł ku sparaliżowaniu między pospólstwem chrześciiańskiey Religii dowcipnieyszego skoncypować manewru, iak gdy natchnął Masonów do ułatwienia temuż pospólstwu grzebania w Biblii Starego Testamentu; a co gorsza, z wykreśleniem Not i Przypisków, które do niey Oycowie i Nauczyciele Kościoła w katolickich exemplarzach przypieli« (str. 51)[1].

Przedewszystkiem sam Potocki nie ustawał w pracy destrukcyjnej, kierując swe ataki nie tyle wprost przeciw wierze, ile raczej ośmieszając duchowieństwo zapomocą pamfletów w swym słynnym: »Świstku krytycznym«, pomieszczonym w »Pamiętniku warszawskim«. Od roku 1816—1820 pomieścił ten w. mistrz W. Wschodu polskiego a zarazem minister oświaty Królestwa przeszło 20 pamfletów pod tak znamiennymi tytułami, jak np. »Traktat pokoiu zakonu niedźwiadka z Stanami mistyczno-romantycznemi«, »Loterya i order Niedźwiadka«, »Tayne Porady«, »Akademia pacanowska« i t. p., koroną zaś tej działalności, to sławna: »Podróż do Ciemnogrodu«, wydana w Warszawie 1820 roku w 4 tomach.

Zbliżone, a może i spokrewnione z lożami było »Towarzystwo Szubrawców«, którego organem były »Wiadomości brukowe«; oprócz satyry, nieraz bardzo ciętej i słusznej, spotkać się można

[1] Por. dr. Maryan Szyjkowski, j. w. str. 145 n.

w »Wiadomościach« z wycieczkami przeciw duchowieństwu, jak np. w mowie przy wprowadzeniu »szubrawca« Sotwarosa [1]:

Już sprawiedliwość między ludźmi kona,
Słowa Boga w pośmiewisku,
A moralność zasadzona
Na równych ludzi ucisku.
Tam świętey wiary opowiadacze
Nie uważaiąc, że niewinność płacze,
Zaprzedani iey tyranom,
Pochlebiaiąc dumnym panom,
Z niecności, z próżniactwa znani,
I na wszystko złe wylani,
Pełni piekielney obłudy,
W ślepocie trzymaiąc ludy,
Depcząc po równych sobie braci głowach,
Miłość bliźniego głoszą tylko w słowach [2].

Takich zaczepek strona napadana puszczać płazem nie myślała. Wspomniany Karol Surowiecki wydał w r. 1814 »Misyę lożów apostolskich« (w Berdyczowie), »Odpowiedź na bluźnierstwa Weishaupta«, »Cudowny schyłek wieku XVIII« (Wrocław), »Tragiczne śpiewy massońskie«. Dopomagał mu w tem hr. Antoni Ledochowski, który w r. 1815 wydał: »Rzut myśli o massonii«, »O starożytnej matce Babilonu i nieodrodnej córce Massonii« (r. 1816), w innych zaś pismach, skierowanych: »Do Biskupów«, »Do plebana«, »Do kanonika światowego« (r. 1816) wzywał ich do »pierwiastkowey« gorliwości, do zwalczania bezbożności i moralnego zepsucia. Przedtem jeszcze, bo w r. 1805 przetłumaczono dzieło ks. Barruel'a; *Mémoires pour servir à l'Histoire du Jacobinisme,* czemu polski tłumacz dał wymowniejszy tytuł: »Święte tajemnice massonii sprofanowane« (Lwów 1805), a w przedmowie do swego tłumaczenia twierdzi on z wielką ufnością i pewnością siebie: »iuż bestya owczą skurą *(sic)* pokryta okazała się wilkiem, iuż szarlatan, graiący rolę Chrześcianina wytrąbiony za Antychrystyańskiego oszusta, iuż święte taiemnice Massonii sprofanowane

[1] Por. *Tygodnik Wileński,* t. VII, str. 104.

[2] O towarz. Szubrawców zobacz J. Bieliński: »Szubrawcy w Wilnie (1817—1822). Zarys historyczny«. Wilno 1910. Nakładem Korwina.

czyli roztrząśnione między profanów« [1]. Na literaturę zaś »świstkową« odpowiedział ks. Bohusz artykułem: »O zakonie smorgońskim i o Świstku«; artykuł ten był nadesłany w formie listu do redaktora *Dziennika wileńskiego* 1817 (str. 158); autor wytknął Potockiemu naśladownictwo co do treści i formy francuskiego paszkwilu p. t. *Le Nain jaune* (Karzeł żółty), i nazwał zarówno ów paszkwil zagraniczny, jak i »Świstka« ramotami nikczemnemi. Oprócz Bohusza pospieszył z repliką »Świstkowi« znany nam już Surowiecki artykułem: »Do wielkiey kapituły zakonu smorgońskiego a w szczególności J. J. P. P. Mruczayłowi, mistrzowi wielkiemu wespół z Lisiłapami i Głupiewiczami« (1816, str. 77).

Drugie źródło, z którego popłynęła poważniejsza, naukowa akcya w duchu religijno-filozoficznym, to polemika z filozofią niemiecką, z którą nasza młodzież zapoznawała się na rozmaitych uniwersytetach Niemiec. Poglądy Kanta i szacunek dla jego filozofii szerzył u nas wspomniany już ks. Jaroński, Józef Bychowiec (1778—1845), Szymon Bielski (1745—1826), Jędrzej Śniadecki (1768—1838), Józef Hoene-Wroński (1778—1853), J. Kal. Szaniawski (1764—1843), Adam Ignacy Zabellewicz (1784—1831), zwany także Zubellewiczem, oraz Jan Henryk Abicht (1762—1816), profesor wileński [2]. Wszelako filozofia Kanta ze swym idealizmem transcendentalnym, a w dodatku pozornie teistyczna i kładąca nacisk na obowiązek moralności, nie wydawała się tak niebezpieczną dla wiary, ani też faktycznie silniejszych korzeni nie zapuściła w społeczeństwie polskiem.

O wiele więcej była szkodliwą filozofia Hegla, którą w społeczeństwo polskie usiłowały zaszczepić czasopisma: *Haliczanin*, *Przegląd naukowy warszawski*, *Roczniki krytyki literackiej* Lewestama, w części *Atheneum* J. I. Kraszewskiego w Wilnie, *Tygodnik literacki* A. Wojkowskiego oraz *Rok* i *Orędownik naukowy* w Poznaniu, wreszcie *Kwartalnik naukowy* A. Z. Helcla w Krakowie. Z rozmieszczenia geograficznego tych czasopism

---

[1] Por. dr. M. Szyjkowski, j. w. str. 153.

[2] Por. Henryk Struve: »Historya logiki jako teoryi poznania w Polsce«. Wyd. II. Warszawa 1911. Str. 218 n.

okazuje się, że filozofia Hegla posiadała we wszystkich dzielnicach polskich spore zastępy zwolenników w kołach inteligencyi. W czasopismach tych spotykamy wiele artykułów, pisywanych przez Edwarda Dembowskiego (1823—1846), który poległ w utarczce z Austryakami w Podgórzu, Jana Majorkiewicza (1820—1847), Feliksa Jezierskiego (1817—1901), Fryderyka Henryka Lewestama (1817—1878), Tytusa Szczeniowskiego (1808—1880), Józefa Kremera (1806—1875), Karola Libelta (1807—1875), Cieszkowskiego i Bron. Trentowskiego (1808—1869). W szczególności zaś poglądy Trentowskiego w jego »Myślini« i »Chowannie«, jako wprost godzące w dogmaty katolickie oraz nieprzyzwoite wycieczki przeciw hierarchii tego Kościoła musiały wywołać reakcyę w obozie katolickim. Przez lat 12 żył z nim w wielkiej i serdecznej przyjaźni Feliks Kozłowski, posiadający również indygenat badeński, jak i Trentowski; ale gdy przejrzał cele i robotę Trentowskiego, wystąpił przeciw niemu z całą energią, i zwalczał jego idee z wielką erudycyą. Toż i Eleonora Ziemięcka, pierwsza Polka filozofka, która zrazu dała się oszołomić blaskiem filozofii Hegla, zrozumiała dość szybko, że u Trentowskiego pod pokrywką terminologii chrześcijańskiej kryją się nie chrześcijańskie pojęcia, lecz błędy panteistyczne.

Wkońcu t r z e c i ą przyczyną ruchu umysłowego, o którym mowa, były wzory gotowe, których naszym pisarzom dostarczała zagranica, a w szczególności wspomniani już Lammenais i Bonald z pośród Francuzów, a Franciszek Baader (1765—1841, profesor honor. Uniwers. w Monachium), ks. Antoni Günther (1785—1863), Marcin Deutinger (1815—1864) i Jakobi (1743—1819) z pośród Niemców. Niech nam wolno będzie bodaj w krótkości naszkicować ich idee przewodnie, bo ten szkic da nam pogląd na naszych filozofów religii [1].

Ludwik Gabryel Ambroży de Bonald (1754—1840) wyszedł

[1] Por. dr. Albert Stöckl: *Geschichte der neueren Philosophie.* II Bd. Mainz 1883, str. 324—408; por. także artykuł H. Struvego p. t. »Filozofia«, w Książce jubileuszowej dla uczczenia 50-letniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1880, str. 280 nast.

z twierdzenia, że porządek społeczny powinien się opierać na poszanowaniu prawd religijno-moralnych, objawionych przez Boga w zaraniu istnienia rodzaju ludzkiego. Stąd też badania filozoficzne nie powinny rozpoczynać od podania w wątpliwość tego wszystkiego, co w jakikolwiek sposób wiemy, tylko za punkt wyjścia ma służyć wiara w te prawdy, które nam jako spuścizna objawienia pierwotnego zostały przekazane zapomocą nauki. Zadaniem filozofii jest stosować te prawdy ogólne do przypadków szczegółowych życia moralnego i społecznego. Że zaś dane było objawienie pierwotne, o tem, pomijając już Pismo św. i powagę Kościoła, świadczy ogólny ludzki rozum oraz ta okoliczność, że bez mowy myśleć nie można, a ponieważ do wynalezienia mowy już jest mowa potrzebna, zatem mowa zjawić się mogła tylko w ten sposób w rodzaju ludzkim, że ją Bóg wlał gotową w pierwszą parę ludzi, którzy też wraz z mową i przez nią odebrali całą sumę pojęć religijnych, moralnych, metafizycznych, a stanowiących wspólne dziedzictwo rodzaju ludzkiego.

Ks. Felicitas Robert de Lammenais (1781—1854) wykazuje w swem dziele: *Essai sur l'indifference en matière de religion* (1823), iż ani doświadczenie zmysłowe, ani oczywistość poznania, ani wreszcie wnioskowanie nie dają pewności niezbitej w poznawaniu naszem. Ponieważ zaś sceptycyzm jest przeciwny naturze naszej, więc jedynie w wierze szukać trzeba ostoi przeciwko zupełnemu zwątpieniu o wszystkiem. Lecz wierzyć, znaczy przyjmować coś za prawdę dla czyjejś powagi; ponieważ zaś Bóg nie objawia się każdemu z nas z osobna, przeto ową powagą, dla której ostatecznie wiele prawd za całkiem pewne uznajemy, może być tylko świadectwo ludzkiego rodzaju co do tych prawd. Poszukując bowiem przyczyn zgodności całego społeczeństwa co do wielu prawd religijnych i metafizycznych, napotykamy jako owo źródło tylko objawienie, w raju przez Boga dane pierwszym rodzicom.

Rozwijając te myśli Lammenaisa doszedł Ludwik Eugeniusz Marya Bautain (1795—1867) do tego wniosku, iż pewność co do prawd, będących wspólnem dziedzictwem rodzaju ludzkiego opiera się nie tyle na zgodności przekonań całego rodzaju ludzkiego,

jak raczej na powadze Objawienia Bożego w Starym i Nowym Testamencie, oraz na powadze urzędu nauczycielskiego w Kościele, założonym przez Chrystusa Pana, a w części także i na oświeceniach wewnętrznych przez łaskę Bożą.

Podczas gdy we Francyi wskazywano na Pismo św. i naukę Kościoła jako na jedyne źródła pewności w zagadnieniach religijnych i metafizycznych, postanowili w Niemczech Antoni Günther, Baader i Deutinger pójść inną drogą, poniekąd tamtej wręcz przeciwną, bo zamierzali zdobycze najnowszej filozofii zastosować do religii objawionej w tym celu, aby wykazać racyonalność dogmatów katolickich i ich zgodność z wymaganiami nowoczesnej filozofii. Zamiast tedy oceniać wartość rezultatów filozofii w świetle prawd od Boga objawionych, przeciwnie naginali oni znaczenie i treść dogmatów do wymagań filozofii idealistycznej. W szczególności dzieło Günthera: *Vorschule zur spekulativen Theologie* (Wien 1846) oraz Baadera pisma wywarły wpływ szkodliwy na Bochwica i Ziemięcką, a pośrednio i na Majorkiewicza, podczas gdy tradycyonalizm francuski oraz włoski O. Ventury odbija się w poglądach filozoficznych arcyb. ks. Hołowińskiego.

A jakie posiada cechy i czem się zajmuje nasza filozofia religijna wieku ubiegłego?

Przedewszystkiem skonstatować należy, że oba wspomniane przed chwilą kierunki zagranicznych myślicieli chrześcijańskich odnajdujemy i u naszych myślicieli, zajmujących się problemem zgodności wiary i filozofii. Podczas gdy Kozłowski, Ziemięcka, a nadewszystko Jakubowicz przedstawiają kierunek francuski w tym problemie, bo jako jedyne źródło filozofii wskazują tylko Pismo św. i naukę tradycyjną Kościoła, to przeciwnie Bochwic i hegelianin Majorkiewicz poszli raczej w kierunku, wskazanym przez Günthera i Hermesa z Bonn. Jakubowicz posuwa się w krępowaniu skrzydeł filozofii do takiego ostracyzmu jaskrawego, że nie pozwala jej zajmować się ani Bogiem, bo nie można poznawać Boga bez Boga czyli bez Jego objawienia, ani też naturą widzialną, bo już Mojżesz w Księdze Rodzajów wszystko jak najlepiej opisał. Natomiast Bochwic wierzy silnie w postęp i w taki rozwój dogmatów, że w przyszłości nie będzie możliwa niezgoda

między wiarą a filozofią, a cieszył się, że urzeczywistnienie tej zgody już za swoich dni może oglądać.

Nie potrzebujemy dowodzić, że obie drogi są skrajne i obie fałszywe. Często się słyszy narzekania na Kościół katolicki, iż nakłada ciężkie pęta na swobodę myśli u swych wiernych, że krępuje wolność badań okowami swych dogmatów, że filozofię pragnąłby zamienić w pokorną służkę teologii i jej interesów. Ci, którzy takie zarzuty podnoszą, zapominają lub też nie chcą wiedzieć o tem, że skrajność nie tylko na prawo jest możliwa, lecz i na lewo, że można nie tylko przeceniać rozum ludzki, lecz i niedoceniać go w jego prawach, tak, że w rzeczywistości tylko Kościół katolicki strzegł pilnie złotego środka, nie pozwalając ani ubóstwiać rozumu ludzkiego, ani też uszczuplać go w jego prawach przyrodzonych. Kościół potępił Lutra, który nauczał: »Von der Vernunft soll man halten und sagen, dass Frau Vernunft Gott nicht fürchtet, ihn nicht liebet noch ihm vertrauet, sonder ihn frei dahin ohne alle Scheu verachtet, sich weder an sein Dränen noch Verheissen kehret; dazu hat sie weder Lust noch Liebe zu seinem Worte und Willen, sondern murret und schnurret, zürnet und poltert, sonderlich wenn es übel zugeht, darüber« [1]; ale też odrzucił on i naukę Günthera, jakoby wskutek rozwoju filozofii możliwy był taki rozwój dogmatów, iż możnaby im z biegiem czasu inne nadawać znaczenie, aniżeli go miały w czasach apostolskich lub w okresie Ojców Kościoła. Jeżeli więc prof. Struve [2] w swej »Historyi logiki w Polsce« robi przycinek Kościołowi, że potępił naukę Günthera, a nauki Bochwica, Ziemięckiej lub Majorkiewicza na swym Indeksie nie postawił, bo zbyt małe posiadali znaczenie, to Struve zapomina z jednej strony, iż Kościół odebrał naukę swą od Boskiego Założyciela w celu jej opowiadania, rozszerzania i strzeżenia, a sam jej sobie nie wymyślał, zatem też i nie mógł przyjąć poglądów Günthera o takiej

---

[1] Por. *Luther's WW.* t. VIII, strona 2048. Por. dr. Franz Hettinger: *Lehrbuch der Fundamental-Theologie oder Apologetik.* Freiburg im Breisg. 1888, str. 147.

[2] Por. prof. H. Struve: »Historya logiki jako teoryi poznania w Polsce«. Wyd. II. Warszawa 1911, str. 346.

ewolucyi dogmatów, jaką on poczytywał za możliwą, a z drugiej strony przeocza Struve, że Günther był profesorem teologii w Wiedniu i jako taki przedstawiał naukę Kościoła; a ponieważ ta nauka była błędną, więc Kościół nie mógł jej nie potępić. Do tego nie potępienie błędu zewnętrzne w niczem nie zmienia wewnętrznej istoty błędu. Niemniej i to pewne, że duchowieństwo ówczesne wystąpiło dość ostro zarówno przeciw błędom w książce Bochwica, jak i przeciw Ziemięckiej, której filozofię poddał Jan Koźmian bardzo surowej krytyce. Nie spieszono zaś z donosami na tych autorów do Rzymu, bo jako od świeckich nie wymagano od nich gruntownej znajomości teologii a szanowano dobre ich chęci. To też takich błędów nie popełnili Chołoniewski i Hołowiński, którzy posiadali gruntowną wiedzę teologiczną; pierwszy nazywa filozofię drugiem okiem dla rozumu, bo pierwszem jest wiara; drugi, indukcyjnie postąpiwszy i wsparty na dziejach rozumu w ciągu istnienia rodzaju ludzkiego dochodzi do tej konkluzyi, że rozum dzierży berło niepodzielnie w dziedzinie umiejętności, a tylko w rzeczach teologii naturalnej musi się oglądać na wiarę, skoro dostatecznie w ciągu wieków wykazał swą niemoc w tym kierunku.

Innym problemem, który zaprzątał umysły naszych przedstawicieli filozofii religijnej, to kwestya postępu. Znów tutaj dwa się zarysowały poglądy. Jakubowicz pojmuje postęp nadzwyczaj ciasno, bo przyznaje jego możliwość tylko w jednym kierunku, mianowicie w kierunku osiągnięcia jak najdoskonalszej zgody m ędzy przepisami Ewangelii a życiem człowieka czyto indywidualnego czy też społeczności całej. Natomiast Bochwic i Majorkiewicz oświadczają się za możliwością postępu prawie bezgranicznego na wszystkich polach działalności ludzkiej. Jeden tylko Chołoniewski trafnie ten problem rozwiązuje rozróżniwszy postęp materyalny od postępu doskonalenia się w cnotach. Pierwszy postęp może się rozwijać niezależnie od drugiego, co do którego wcale nie widać w ciągu dziejów ludzkości jakiejś ciągłości nieprzerwanej; owszem biegnie on jakby po linii krzywej, gdyż po czasach rozkwitu i wzmożenia się uczuć religijnych następują dość często okresy upadku życia religijnego i zastoju pracy umysłowej.

Podnieść też należy, że Chołoniewski, Hołowiński oraz Se-

meneńko i Morawski domagają się od tych, którzy chcą uprawiać filozofię, przygotowania uprzedniego do takiej pracy, a to przez zaznajomienie się z innemi naukami. W szczególności Hołowiński kładzie bardzo wielki nacisk na to, że filozofia, jeżeli naprawdę ma być koroną nauk, powinna z nich organicznie wyrastać. Pochwytanie luźnych teoryi, przyswojenie sobie pewnej liczby frazesów filozoficznych nie tylko nie przynosi prawdziwej korzyści dla życia, lecz często jest w stopniu wysokim szkodliwe, bo takim filozofom się wydaje, jakoby mogli, a nawet mieli prawo decydować autorytatywnie o poszczególnych umiejętnościach. Taka znajomość filozofii, która chwyta tylko ostatnie wyniki cudzych pomysłów a unika metodycznego przebycia ścieżek, po których do owych wyników dochodzono, jest tylko blichtrem, kwiatem zagranicznym zapomocą sznura przymocowanym do drzewa, z którego on kwiat nie wyrósł samodzielnie.

Wielu też z naszych myślicieli cechuje miłość nadzwyczaj gorąca tego, co swojskie, co wyrosło na glebie polskiej umysłowości. Obok Cieszkowskiego prym dzierżą w tym względzie Chołoniewski i Hołowiński, a wtórują im Jakubowicz, Ziemięcka i Semeneńko, podczas gdy Majorkiewicz zżyma się wprawdzie na filozofię pruską, ale mimo to ubóstwia Hegla. Hołowiński w swej rozprawie: »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacyi naszej«, chłoszcze w sposób niemiłosierny tych Polaków, którzy zawsze mieli ucho otwarte na liche nowinki zagraniczne, a nie chcieli i nie umieli cenić skarbów ducha własnego narodu. Tak samo Chołoniewski w utworze: »Sen w Podhorcach« nie przepuszcza głównemu bohaterowi swemu, Zygmuntowi, jego zamiłowania kultury germańskiej, i usty Miecielskiego piorunuje za zaniedbanie kultury rodzimej.

Trzech autorów, a to Cieszkowski, Chołoniewski i Semeneńko zajęli się historyozofią. Cieszkowski zwalcza rozpowszechnione przekonanie, jakoby już minęły 3 epoki dziejów ludzkości, a natomiast stawia twierdzenie, że epoka trzecia, z przeważającym wpływem Słowiańszczyzny na losy ludzkości, dopiero nadchodzi, i że w niej spełnią się i urzeczywistnią owe 7 próśb, o które ludzkość się modliła w Ojczenaszu. Chołoniewski, przyjąwszy, że postęp

moralny w ludzkości nie był ciągły, przeprowadza analizę dziejów w tym kierunku, aby wykazać, że po każdym upadku i zastoju ludzkości wznosiła ją Opatrzność na wyższy szczebel rozwoju. Wreszcie Semeneńko przeprowadza analogię między epokami dziejów ludzkości a sześciu dniami stworzenia świata. Zastanawiając się zaś nad historyą polski i misyą, którą miała spełnić dla ludzkości, a której nie wykonała, tak przepięknie powiada Semeneńko o jej Konstytucyi 3 maja: »Bóg przez tę ostatnią łaskę, (tj. przez Konstytucyę 3 maja) daje jej łaskę do dobrej śmierci. Tym sposobem Polska ma śmierć szczęśliwą. Po długiem konaniu, w chwili jasnego widzenia przedśmiertnego, Polska przygotowała się do śmierci: uznała winę, uczyniła akt skruchy, przyrzekła poprawę, zapisała restytucyę; i kiedy oprawcy przyszli dać jej ostatnie pchnięcie, po chrześcijańsku Bogu ducha oddała. I dlatego zmartwychwstanie« [1].

Obok tego Semeneńko, sam mistyk, był powołany jak rzadko kto inny do pisania o mistyce chrześcijańskiej i do wyświetlenia błędów w mistycyzmie Towiańskiego. Kiedy zaś i u nas grasować poczęły wirujące stoliki i różne praktyki z t. zw. magnetyzmem zwierzęcym, wystąpił Semeneńko energicznie przeciwko tym zabawkom, pełnym zabobonu, a najbardziej dla samej nauki szkodliwym.

W czasach wreszcie nam najbliższych podniosło się niejedno pióro, aby uchronić społeczeństwo przed zgubnymi skutkami, które płyną w duszę ze zasad materyalizmu i pozytywizmu. Rektor O. Pawlicki rozprawiał się w swej broszurze: »Mózg i dusza« z materyalistami i bronił duchowości duszy, a w swych: »Studyach nad darwinizmem« walczył o należne człowiekowi stanowisko w hierarchii żywych jestestw materyalnych; przedwcześnie zgasły O. Maryan Morawski T. J. przeprowadził w swej książce: »Celowość w naturze« gruntownie obmyślany dowód istnienia Boga jako sprawcy ładu i porządku, które w świecie panują; inni znów autorowie zajęli się wykazaniem nieśmiertelności dusz ludzkich.

---

[1] Ks. Piotr Semeneńko C. R.: »Wyższy pogląd na historyę Polski«. W Krakowie. 1892. Str. 96.

Wszelako poza tymi problemami niemasz jeszcze ujęcia całokształtu objawów ludzkiego życia w jakiś system jednolity, a oparty na podwalinach religii objawionej. Jeden tylko Jaroński w zaraniu stulecia ubiegłego, a za naszych czasów Maryan Morawski dążyli do syntezy i wskazywali wytyczne, których się trzymać powinna myśl Polaka-katolika w badaniach, obejmujących wszystkie dziedziny, właściwe filozofii. Mimo to jednak, patrząc na dorobek naszych przedstawicieli na polu filozofii religijnej, trzeba z żalem powtórzyć słowo Pola: »Cudze chwalicie, swego nie znacie«.

Ks. dr. Fr. Gabryl.

EMIGRACYA POLSKA DO FRANCYI W NAJŚWIEŻSZEJ DOBIE.

(Dokończenie).

Środa 13 kwietnia. Wstaję o 5-tej rano, jadę do kościoła o 5 km. wśród ulewnego deszczu; dojeżdżam zmoknięty do nitki. Mam przynajmniej tę pociechę, że wszyscy robotnicy, których z wielkim trudem wyszukałem w wigilię, już na mnie czekają. Jest ich 11 z 6 folwarków; dwóch tylko nie przybyło. Spowiadam ich, potem msza św., kazanie po polsku, śpiewamy »Boże, coś Polskę« i trzy razy »Królowo korony Polskiej«. Nie chcąc ich puścić na czczo, bo prawie wszyscy z daleka przyszli, zabieram ich na śniadanie. Wszyscy wyrażają swą wdzięczność i radość, bo już ich wzgląd ludzki nie krępuje, skoro są ze mną sami.

O 6 km. od Arc znajduje się parafia Remilly, do której dojechałem około południa; parafia ta jest centrum zawziętego antyklerykalizmu; młody proboszcz od 6 miesięcy dopiero w parafii; gorliwie walczy przeciw temu prądowi i już dużo dobrego zrobił. Kościół dawniej pusty zupełnie, jest teraz więcej uczęszczany, założył różne bractwa i stowarzyszenia: gimnastyczne i sportowe i t. d. Proboszcz zaprosił mnie na śniadanie. W parafii swojej ma jednego Polaka, umieszczonego u najbardziej czerwonego antyklerykała, który się wyraża, że nie na to płaci robotnika, by miał czas wolny w niedzielę, ale aby pracował. Młody robotnik bardzo się czuje nieszczęśliwym, że nie ma wolnej niedzieli, że nie może bywać w kościele ani tak często ani tak długo, jakby sobie tego życzył, a co ma w kontrakcie zabezpieczone.

Mimo gróźb chlebodawcy, jednak regularnie co drugą niedzielę był na mszy, którą zawsze musiał opłacić awanturą ze swym panem. Powiedział mi, że wyspowiadałby się z ochotą, ale się boi, że pan go nie uwolni... »Zobaczymy, odpowiedziałem, ufaj — dam ci znać, jaka będzie odpowiedź«. Pytam się go o nazwisko i adres jego w kraju, to moje pytanie wznieca w nim podejrzenie, czy czasem nie jestem wysłańcem rządu rosyjskiego, bo ów robotnik uciekł od wojskowości. Uspokajam go. Pracodawca zapytany, mówi, że nic nie ma przeciw temu, aby się wyspowiadał ów robotnik, ale on pewnie tego nie zrobi, bo tak, jak jest nieufny względem niego, tak też i nie ma zaufania do księdza dobrodzieja. Rozstawszy się z owym panem, idę do proboszcza i tam spotykam mego Polaka, który mnie zapewnia, że chce się spowiadać i że jutro przyjdzie do Arc sur Tille. I stawił się, ale nie bez trudu, albowiem zaledwie odjechałem, gdy właściciel, u którego pracuje nasz Polak, oświadza mu, że go za drzwi wyrzuci, jeżeli pójdzie do spowiedzi i nazajutrz rano, gdy robotnik wybierał się do kościoła, pracodawca zapewnił go raz jeszcze, że jeżeli upiera się, aby iść do spowiedzi, to niema co do niego z kościoła wracać, bo go nie przyjmie. Robotnik, wierny swemu przyrzeczeniu, przyszedł mimo gróźb. Co tu począć? Telefonuję natychmiast do pana Marlot, agenta francuskiego. Ten mi odpowiada: »Niech robotnik każe się wypłacić i niech przyjeżdża do mnie, miejsce dla niego znajdę«. »Ale jeżeli pracodawca nie zechce go wypłacić?«, zapytuję. »Wtedy niech zamieszka w hotelu i powiadomi sędziego pokoju, ten zniewoli pracodawcę do wypłacenia wszystkiego, nawet 60 fr. kaucyi, a także rachunku hotelowego«. Wytłumaczyłem robotnikowi to wszystko, a także dałem mu kartkę do ks. proboszcza w Remilly, prosząc tegoż o pośrednictwo między robotnikiem a jego panem i o danie do zrozumienia temu ostatniemu, że jego strataby w tem była, gdyby wzbraniał się wypłacić robotnikowi należytości. Zobaczymy w dalszym ciągu, co z tego jeszcze wyniknie.

W Binges pytałem się pewnej młodej dziewczyny polskiej, czy chce się wyspowiadać. Powiedziała mi, że spowiadała się w kraju na dwa miesiące przed przybyciem tutaj. Zacząłem

nalegać, wtedy powiedziała, że chętnieby poszła, ale nie zna drogi do Binges. Jej chlebodawcy ułatwili jej drogę, radząc się przyłączyć do pewnej polskiej rodziny, która tam pójdzie. Nie zdawała się wcale na to mieć ochoty, lecz zgodziła się. Naturalnie nazajutrz nie przyszła, jak to przewidywałem. Przyjeżdżam do Binges. Idę do proboszcza, gdzie oczekuję dwóch księży, o których mi mówiono. Po godzinie przybyli i ułożyliśmy się co do zebrania Polaków na jutro. Urządzą mi miłe przyjęcie i ludzie będą już powiadomieni.

Jadę do folwarku Lamblin 3 km. drogi, własności p. Chambrette. Jest tam jedno młode małżeństwo z pod zaboru rosyjskiego, jeden młody człowiek nieżonaty i dwóch ojców rodziny, którzy zostawili żony i dzieci w kraju. Są oni bardzo uszczęśliwieni mojem przybyciem. Pani Chambrette chce, żebym poczekał na jej męża, który koniecznie chce się ze mną rozmówić. Czekam więc na niego — o godz. 7¼ przybył nareszcie. Przedstawiam mu cel przybycia mego. Chociaż nie wrogo usposobiony, jednak niereligijny; p. Chambrette nie mógł powstrzymać słów oburzenia, opowiadając mi o pewnym agencie francuskim, którego posłannikiem mnie być posądzał. Uspokoił się, skoro mu wyjaśniłem moją sprawę, i przeprosił za posądzenie. Powiedział mi, że wypowie wojnę agentowi francuskiemu, który bierze bajeczne sumy za sprowadzenie jednego robotnika (100 kilka fr. na koszta podróży i agencyi). Przed kilku tygodniami uciekło mu dwóch robotników, którym francuscy robotnicy dokuczali przez zazdrość, wyrzucił za to tych ostatnich i trzyma teraz samych Polaków. Rozmawialiśmy bardzo przyjemnie, służyłem za pośrednika w różnych delikatnych sprawach. Przyprowadził mi wszystkich swoich ludzi do kościoła. Rozstaliśmy się wieczorem w najlepszej zgodzie. Ale że deszcz lał jak z cebra, drogi rozmokły i ciemno było bardzo, p. Chambrette dał mi jednego Polaka za przewodnika aż do Binges, inaczej byłbym zabłądził. Przybyłem na miejsce o 9 wieczór i zastałem już wszystkich robotników na spoczynku. W jednym domu widać jeszcze światło; zamieszkuje go robotnik Polak. Wszedłem do niego i nawiązaliśmy rozmowę, wkrótce zeszło się ich więcej, ciekawych słyszeć polską rozmowę. Tutejszy

pan, jeden z małej liczby tych, którzy pozwalają swemu robotnikowi święcić niedzielę, obiecuje mi ich przysłać jutro rano. O $9\frac{1}{2}$ udaję się w dalszą drogę, wiatr i deszcz okropny; przemokłem do nitki; zziębnięty około 10-ej dojeżdzam do Éteveaux; wstępuję do oberży, prosząc, aby mi wskazano probostwo. Tam zostaję przyjętym przez matkę proboszcza, gdyż tenże udał się już na spoczynek. Mogłem się nareszcie ogrzać i wypocząć. Zdziwienie było ogromne, że na taki czas udałem się w drogę. Po kolacyi poszedłem spać o $11\frac{1}{2}$.

Piątek 15 kwietnia. Wstaję o 5, przejeżdżam przez Cirey, o 3 km. stąd oddalone, zapraszając wszystkich ludzi tu pracujących, aby się udali do Binges, gdzie będą wszyscy ich towarzysze. Jest ich tu daleko więcej, niż przypuszczałem. Następnie wyruszam do Bignes 4 km. stąd oddalonego, przybywam około 7-ej, zastaję tylko jednego robotnika, z nim obchodzimy kolejno innych. Wracamy wreszcie do kościoła, gdzie już zastaję dziewięciu z folwarku p. Chambrette i innych; spowiadam ich, wszyscy są w ubiorach świątecznych i zachowują się wzorowo. Księża z St. Léger-Triey i z Éteveaux przybyli, a także dość dużo kobiet, chłopców i dzieci tutejszych. Ks. proboszcz miejscowy też do nas przyszedł. Proboszcz z Éteveaux gra na organach w czasie mszy, którą rozpoczynam około 10. Po ewangelii przemawiam po polsku, szukając w duszy wyrazów, któreby najlepiej trafiły do serc tych biednych ludzi. Prawda, że niewiele potrzeba, aby wzruszyć wychodźców. Kobiety francuskie tam obecne, na sam widok tych biedaków popłakały się, a i księża proboszcze mówili, że z trudnością od łez się powstrzymywali. Jaka szkoda, mówili mi po skończonej ceremonii, że się to zebranie nie mogło odbyć w niedzielę! Jakiż przykład przepiękny mieliby parafianie nasi skupienia, szczerości i wielkiej wiary tych biednych Polaków! Ile dobrego możnaby zrobić takim widokiem duszom naszych ludzi, którzyby nie omieszkali przyjść, choćby tylko z ciekawości! Po mszy śpiewamy »Boże, coś Polskę« — wszyscy swe głosy jednoczą, choć na nieszczęście nie umieją dobrze wszystkich słów, ale za to zwrotkę »Przed Twe ołtarze« każdy całą duszą powtarza. Po nabożeństwie zaprowadziłem wszystkich do restauracyi, gdzie kazałem im po-

dać małe śniadańko. Tak bardzo są uszczęśliwieni swojem nabożeństwem, że jeden z nich powiedział, że gdyby mu dano do wyboru albo 400 fr. albo przybycie moje, bez wahania wybrałby to ostatnie. »Dzień dzisiejszy, mówili, jest dla nas dniem wielkiej radości, nie czujemy się tak bardzo osamotnieni... ach! żebyśmy tak od czasu do czasu mogli mieć podobne święto...« i wszyscy opowiadali, jakich smutnych rzeczy świadkami tu są we Francyi, ile bluźnierstw, szyderstw, wyśmiewań słyszą, jąki brak wiary, jaka praca w niedzielę, zamiast święcenia dnia bożego, ludzie tu nigdy do kościoła nie chodzą, i tyle innych rzeczy. Księża proboszczowie są ze mną w restauracyi; robotnicy nie wiedzą już, jak okazać im swoją radość za tyle dowodów współczucia i zainteresowania się ich losem. Jeden z młodszych księży powiedział jaką czuje odrazę do robotników francuskich, tchórzów i nieokrzesanych, odkąd poznał bliżej Polaków. »Bo wasi Polacy — mówi mi — gdyby byli naśladowani, wspomagani, mogliby wiele dobrego naszym zrobić, podczas gdy pozostawieni sami sobie, zgubią się...«

Na ulicach wszyscy mieszkańcy wyglądają z domów, widać u nich sympatyę. Żegnając mię moi robotnicy, kazali mi przyrzec, że ich nie opuszczę i nadal, i że do nich powrócę. Z rozrzewnieniem i łzami w oczach całowali mię w rękę po raz ostatni. Tutejszy proboszcz dziękował mi serdecznie za wszystko, co jego parafianom uczyniłem.

Udaję się w drogę z proboszczem do St. Léger Triey, który mi wskaże miejsce pobytu innych Polaków. W Trochére spotykam jednego Rusina, który ma już powracać do kraju za 12 dni, więc woli się wyspowiadać za powrotem. W Marandeuil (o 5 km.) mają się polscy robotnicy bardzo dobrze u niejakiego pana Fr. Chomel, gorliwego katolika. U niego nikt nie pracuje w niedzielę i wszyscy regularnie uczęszczają na nabożeństwa. Uderzyło mnie przyjemnie, że pan ten nie przejdzie nigdy koło krzyża z nakrytą głową. Jest tu czterech Polaków, dwie dziewczyny, Polka i Rusinka, jeden ojciec rodziny z pod zaboru rosyjskiego i jeden młody człowiek. Są zadowoleni ze swego chlebodawcy i on również z nich zadowolony.

Sobota 16 kwietnia. Jestem w kościele, od 5½ spowiadam ludzi pana Chomel, potem przychodzi młody robotnik i dziewczyna z miejscowości Drambon. Po spowiedzi odprawiam mszę św., na którą przybyli p. Chomel i inni ludzie miejscowi. Moi Polacy zachowują się bardzo budująco. Kazanie mówię po polsku. Po mszy śpiewamy, a potem udajemy się wszyscy na śniadanie do p. Chomel. Miałem zamiar spowiadać dziś jeszcze w Chatillon, ale nie dano mi stąd odjechać. Pan Chomel ofiarował mi swoje konie aż do stacyi kolejowej. Na odjezdnem zjawiają się dwie dziewczyny (Polka i Rusinka), które mi chcą koniecznie wręczyć 5 fr. Widząc, że nie chcę przyjąć ich ciężko zapracowanego grosza, proszą, abym za te pieniądze odprawił mszę św. na ich intencyę. Mszę św. obiecałem im, ale pieniędzy od nich nie przyjąłem. Biedaczki łzy miały w oczach, takie były wdzięczne. Wszyscy bardzo mi dziękowali i wołali »do widzenia« w przyszłym roku. Pan Chomel odwiózł mię do Mirebeau, gdzie wsiadłem na pociąg. Obiecał mi dopomagać swym wpływem, gdzie tylko będzie mógł, choć jeszcze nie jest bardzo znanym w okolicy, zamieszkując tu dopiero od 2 lat. Do Chatillon przybyłem o 11½ w nocy, gdzie zanocowałem w hotelu *De la Côte d'or.*

Niedziela 17 kwietnia. W Kościele St. Vorle oczekują mnie już Polacy w liczbie 8 a także widzę przybywających dwóch młodych robotników, którzy się już spowiadali w Coulmiers, lecz dowiedziawszy się o mającem się tu odbyć nabożeństwie, pospieszyli wziąć w niem udział. Jeden z nich przybył omnibusem, a drugi przejechał 19 km. na rowerze. Spowiadam moich ludzi, potem organizujemy sumę, gdyż ofiarował się ktoś grać na organach. Po ewangelii, jak zwykle, polskie kazanie, podczas sumy śpiewają »Chrystus zmartwychwstan jest, Alleluja«, co prawda trochę fałszywie, lecz ochoczo. Po mszy śpiewamy »Boże, coś Polskę«, to jest ludzie tylko powtarzają »Przed twe ołtarze«, a resztę sam śpiewam, gdyż oni na pamięć nie umieją wszystkich słów! Przed drzwiami kościoła zebrało się całe grono ciekawych, nie śmiejąc wejść do środka, gdyż byli w roboczych ubraniach, nie będąc przedtem powiadomieni o naszej uroczystości. Po skończonem nabożeństwie zapłaciłem organistę, a za-

krystyana, który nam zupełnie bezinteresownie ofiarował swoje usługi, zaprosiłem z nami na śniadanie, na które udaliśmy się do hotelu *De la Côte d'or*, gdzie zamieszkałem chwilowo. Gdyśmy wychodzili z kościoła, przybywa jeszcze jeden robotnik, Rusin, który za późno otrzymał mój list i nie mógł na czas zdążyć. Zaprosiłem go tymczasem na śniadanie, obiecując wyspowiadać. Na nieszczęście bardzo skromny, nie śmiał się udać na śniadanie, nie będąc na mszy św. i anim się spostrzegł, jak mi zniknął. Zapewne powrócił do domu, gdyż musiał o 1-szej dawać jeść swemu bydłu — jak mnie objaśnili towarzysze. Podczas śniadania przyszedł do nas zajrzeć ks. Naudet, wikary z Chatillon. Po jego odejściu, chłopak, który nam usługiwał, powiedział, że kazał nam podać szampana. Można sobie wyobrazić radość moich chłopców, którzy z pewnością go jeszcze w życiu nie kosztowali.

Po śniadaniu rozmawialiśmy przez chwilę, potem mnie odprowadzili aż do mieszkania ks. Naudet, gdzieśmy się rozstali. W Chatillon spotkałem też dwóch Rusinów, którzy przyjść nie chcieli, twierdząc, że mają zakazane spowiadać się u ks. Polaka, i gdyby to kiedykolwiek uczynić się ośmielili, przekleństwo Boże ściągnęliby na swoje głowy. Inny jakiś robotnik z Marigny (o 4 km. od Chatillon) tłumaczył się, że nie mógł przyjść, gdyż nie miał trzewików. Reszta z tych, którzy nie przyszli, nie otrzymali zawiadomienia na czas, lub też wcale go nie dostali. Ksiądz Naudet zaprasza mnie do siebie na kolacyę. Jest to młody ksiądz pełen poświęcenia, gorliwości i uprzejmości. Po kolacyi proponuje, abym się z nim udał na posiedzenie parafialne. Wszyscy są zaciekawieni moją osobistością. Ks. Naudet przedstawia mnie więc wszystkim wybitniejszym osobistościom z Chatillon. Panie żałują, że nie były powiadomione o naszem nabożeństwie. Sala przepełniona, posiedzenie zajmujące, dobrze się powiodło. Jest tu dość dużo gorliwych katolików i ludzi dobrze myślących.

Poniedziałek 18 kwietnia. Msza u Sióstr Miłosierdzia; bardzo są uprzejme. Dowiaduję się, że o 4 km. stąd znajduje się dwóch Polaków w Barotte, ale że mogę się spodziewać złego przyjęcia od dyrektora tamtejszego — masona. To jest tylko dla mnie jednym powodem więcej, abym się tam wybrał. Na nie-

szczęście nie będę miał zaszczytu poznać tego pana, gdyż już po drodze spotykam jednego Polaka przy pracy, potem drugiego, który już wczoraj był u mnie, więc rozmawiamy we trójkę. Przypuszczając, że jeszcze kilku robotników z rozmaitych stron się zbierze, naznaczyłem im zebranie w Chatillon na 1 maja w niedzielę, poczem jadę dalej do Villotte o 6 km. W tej wiosce znajduje się 2 Polaków u gospodarza, który każe im nieraz w niedzielę pracować do 11. Chodzą też z tego powodu tylko od czasu do czasu na mszę. Jadę dalej do Voulaines o 12 km. stąd oddalonego, tam zapytuję o drogę do Faverolles, gdzie mam trzech robotników. Proboszcza tej miejscowości zastaję w domu; rozmówiwszy się tedy z nim, postanowiliśmy iść razem do Faverolles na piechotę pomimo odległości 12-kilometrowej. Przybywszy dość późno, udało mi się jeszcze zawiadomić jedną Polkę i Polaka, zamieszkałego w Chaume, miejscowości, z której przed trzema laty wypędzono proboszcza. Nadzwyczaj też ciekawie przypatrywali mi się tamtejsi ludzie, podczas gdym rozmawiał z jednym Polakiem, lecz nie okazywali bynajmniej niechęci. Chłopak, z którym rozmawiałem, ma zaledwie 15 lat. Opowiadał mi, że owa dziewczyna, którą tu miałem zastać, pojechała przed 15 dniami, ukończywszy swój rok służby.

Powróciłem do Lucey, a stamtąd poszliśmy do Faverolles. Właściciel dóbr, p. Grapin, ma tu trzech Polaków, pozwala im od czasu do czasu chodzić na mszę w niedzielę, ale mówią, że jest przykry i ostry dla służby. Poszedłem do nich i zapytałem, czy chcą się spowiadać; z ochotą przystali. Jutro pójdą do Lucey. Była północ gdyśmy się rozeszli.

Wtorek 19 kwietnia. Spowiedź o 6 rano; wszyscy przyszli z wyjątkiem jednego, który się już wczoraj wahał, i który, jako powód podał ból zębów. Msza, śpiewy, kazanie, potem śniadanie w restauracyi, gdzie się za nami udaje ks. proboszcz, za powrotem zaprasza nas na kawę i chce zatrzymać wszystkich na obiedzie u siebie, ale robotnicy boją się powrócić za późno do domu, więc tylko porozmawiałem z nimi i zapisałem ich nazwiska, poczem rozeszli się. Czekałem jeszcze chwilę na p. Grapin, który miał przybyć, a ponieważ nie przyszedł, puściłem się w dalszą

drogę na rowerze, który już był w dość złym stanie a po drodze popsuł mi się zupełnie Co było robić? Musiałem dotrzeć do Préfontaine koniecznie, aby jeszcze dziś odjechać do Chatillon, więc poszedłem na piechotę mając 8—10 km. drogi przed sobą. Przechodzę przez Busserolles, do którego należy folwark Préfontaine. Niema tu proboszcza już od trzech lat. Spotkałem w Préfontaine jednego Polaka, przysłanego przez p. Skołyszewskiego. Jest on tu dopiero od trzech miesięcy, gdyż jego pan dawniejszy tak się z nim brutalnie obchodził, że uciekł od niego, albowiem tam wzięto mu nawet jego złoty zegarek. Mówi, że pochodzi z bogatej rodziny; spowiadać się nie chce. Przedstawiam mu, że zrobiłem 30 km. drogi bez żadnego pożytku, przypuszczając, że Polacy mają więcej wiary, siły charakteru i dobroci serca, ale że go bynajmniej do spowiedzi nie zmuszam, czynię tylko, co robić mi kazano a za powrotem do kraju przywiozę wszystkie wiadomości, jakie po drodze zebrałem. To go trochę zawstydziło. Pyta więc, czy to wszystko, co ja widzę i słyszę będzie publikowane w galicyjskich gazetach, a na moją odpowiedź, że prawdopodobnie to nastąpi, żałuje, że mi powiedział swoje nazwisko i adres. Próbowałem na niego wpłynąć, przedstawiając mu, że wszędzie jest ten sam Bóg i w Galicyi i we Francyi, że kto się mieni katolikiem, ten musi być nim wszędzie i nie wolno mu się tego wstydzić. Kościoła słuchać musi, gdziekolwiekby się znajdował. Pytam, czemu się nie chce spowiadać? spuszcza głowę i wzrusza ramionami. Lepiej mu pozostawić czas do namysłu. »Ja odjeżdżam«, mówię mu, »ale zaręczam, że kto przyjedzie na przyszły rok, nie będzie sobie zadawał tyle trudu, żeby aż tu przyjeżdżać, prosić was, czybyście nie byli tacy łaskawi wyspowiadać się. Szczęście tylko, że ludzi takich, jak wy, rzadko się spotyka«. Nie powiedziałem mu już nic więcej, choć w duszy byłem oburzony, że musiałem zrobić tyle kilometrów drogi nadarmo. Przed odjazdem powiedział mi jeszcze, że mu tu bardzo dobrze i że ma zamiar pozostać co najmniej trzy lata.

Środa 20 kwietnia. Mszę odprawiam u Sióstr Miłosierdzia. Ponieważ dawno już nie byłem w Dijon, udaję się tamże, aby

odebrać moje korespondencye i resztę dnia poświęcam na pisanie listów.

Tu przerywamy relacye ks. Lurat, które i tak dają nam dobry obraz tamtejszych stosunków.

Nabyte doświadczenie wskazało konieczność zorganizowania opieki nad polskim robotnikiem we Francyi, opieki, któraby przy pomocy Episkopatu naszego i krajowych władz świeckich mogła dojść do rozmiarów instytucyi narodowej, zapewniającej naszym wychodźcom wiarę i narodowość, a przyzwyczajającej ich do karności i porządku. W tym celu na wiosnę 1910 r., równocześnie kiedy ks. Lurat robotników objeżdżał, otwierało się w Paryżu Biuro »Opieki«, w porozumieniu z najszanowniejszą instytucyą francuską *Société des Agriculteurs de France*, która z całą znajomością rzeczy zajęła się sprawą. Z ramienia tego Towarzystwa powstał niebawem komitet, który przejął zadanie Biura »Opieki« nad polskim robotnikiem, tytułując się: *Comité d'Étude et de contrôle de la main d'oeuvre étrangére, section polonaise* i zawiązał stosunki z Wydziałem krajowym.

Ambasada i konsulat austryacki dowiedziawszy się o rozpoczynającej się akcyi opiekuńczej chwycili się wygodnego sposobu załatwiania interesów robotników włóczących się bezradnie po ulicach Paryża, odprawiając każdego z kartką, na której był tylko adres Biura »Opieki«, 6 Quai d'Orléans. Wskutek tego »Opieka« w krótkim czasie całą sytuacyę objąć mogła i skutecznie działalność swą roztaczać. Okazało się, że nie tylko kapłan może w tej sprawie oddać wielkie usługi; znaleźli się ludzie, jakoby świeccy misyonarze, którzy w porozumieniu z Biurem »Opieki« wywierali bardzo dobry wpływ na robotników, zwłaszcza w miejscowościach, gdzie była większa ich liczba. Zawiązywali wśród nich stowarzyszenia, prenumerowali ze składek pisma polskie, załatwiali korespondencye, służyli za tłumaczów i t. p., a zawsze w porozumieniu z biurem »Opieki«.

Bywało też, że panie Polki z Paryża, na wyraźne żądanie proboszczów lub pracodawców jeździły na niedziele do różnych miejscowości, miewały pogadanki, przewodniczyły w śpiewach

w kościele, załatwiały sprawunki robotników i t. p. Rozczulające były wyrazy wdzięczności biednych robotników przy rozstaniu.

Niebawem już nie tylko robotnicy odczuli nad sobą opiekę, ale i pracodawcy zaczęli rozumieć, że własny ich interes leży w tem, aby robotnikom polskim było dobrze pod każdym względem; zaczęli sobie cenić nie tylko »Opiekę«, ale i robotnika: okazali nawet gotowość do wspierania Biura »Opieki« w jego wysiłkach, zachodach i kontroli nad polskim robotnikiem, żądając jednak w zamian, aby im wskazano właściwą drogę, by mogli sprowadzać robotników uczciwych i zdolnych, unikając pośrednictwa wyzyskiwaczy. Stąd powstał Syndykat pracodawców francuskich, nazwany później *Syndicat de la main d'oeuvre agricole* czyli Syndykat dla dostarczania robotników rolnych z wykluczeniem agentów, mających spekulacyę na celu.

Syndykat składa się z członków Towarzystwa Rolników, *Société des Agriculteurs de France.* Wskutek porozumienia się z lwowskiem krajowem Biurem Pośrednictwa Pracy stanowi ten Syndykat rodzaj biura pośrednictwa pracy we Francyi, żąda od pracodawców zapłaty za ludzi dostarczonych, a czerpie swe fundusze u członków swoich i pracodawców, którym oddaje usługi.

Kwestya funduszów — nie tak łatwo daje się ona rozwiązać dla »Opieki«, której nie wypada żądać zapłaty od pracodawców francuskich za usługi moralne, oddane ich polskim robotnikom. To też żyje ona z dnia na dzień, tylko dzięki hojności osób prywatnych. Pomoc ich przychodzi zawsze opatrznościowo w chwili, gdy Biuro jest już na zamknięciu.

Do chwili zawiązania się komitetu, wpłynęło w ten sposób do kasy »Opieki« 3555 fr. To nie wystarczyło na pokrycie kosztów podróży misyjnej ks. Lurat, pomocy doraźnej w wielu wypadkach niezbędnej, utrzymania sekretarki i dwóch urzędników, poczty, podróży, druków i t. p.

Od chwili zawiązania Komitetu przybyło od Towarzystwa *Société des Agriculteurs de France* 500 fr, od pojedynczych osób 3641 K. 50 h., a Wydział krajowy dał jednorazową subwencyę wyłącznie na podróż misyjną ks. Lurat w kwocie 2000 K. Rachunki prowadzi biuro paryskie.

Pracodawcy przyczyniają się też nieraz do pokrycia w części wydatków, opłacając np. podróże ks. Lurat lub urzędników z nadwyżką. Sądząc po doświadczeniu tych kilku miesięcy, należy roczne wydatki Biura obliczyć jak następuje:

Utrzymanie księdza	2400 K
» sekretarki	2400 »
» dwóch urzędników	3600 »
Lokal	2000 »
Razem	10400 K

Nadto potrzebny jest fundusz na wspieranie datkiem lub pożyczką robotników, będących chwilowo bez zajęcia lub w nieszczęściu, na podróże księdza, urzędników i t. d.

Do tej pory lokal był bezpłatny, gdyż p. jenerałowa Zamoyska na czas swej nieobecności w Paryżu, użyczyła dwóch pokoi w swem mieszkaniu. Na dotychczasową hojną pomoc księcia Witolda Kazimierza Czartoryskiego liczyć na przyszłość nie można, bo się zajął wyłącznie opieką nad polskimi robotnikami pracującymi w kopalniach francuskich.

Poniżej podajemy streszczone sprawozdanie z działalności biura kontroli i opieki nad robotnikiem polskim we Francyi za czas od 1 lipca do października r. 1910.

»Trzebaby napisać tomy, pisze sekretarka Biura Opieki, żeby opowiedzieć wszystkie usługi, jakie ono codziennie oddaje licznie zgłaszającym się robotnikom. Co chwila przyprowadzają nam miłosierni przechodnie takich biednych ludzi, zabłąkanych w kraju, którego języka ani zwyczajów nie znają. Czasem chodzili oni całymi dniami o chłodzie i głodzie nim do nas trafili. Biuro stara się dla nich o chwilowy przytułek, niezbędne pożywienie i wreszcie o rekomendacyę, które pomogą im znaleźć zarobek«. Oto parę typowych wypadków, w których nasze Biuro przyszło z pomocą:

Pewien chlebodawca pisze do nas, że robotnik jego smutny jest i chory, nic jeść nie chce i prosi o radę i pomoc. Gdybyśmy mieli fundusze, bylibyśmy pojechali do tego biedaka osamotnionego, ale nie stać nas na to, więc piszemy list serdeczny z zachętą do wytrwania, załączając parę numerów *Głosów katolickich* z b. r.

To dziewczyna 17-letnia, która bez nas byłaby się znalazła w rękach niecnych towarzyszy-rodaków; dajemy jej przytułek u siebie aż do chwili, w której nasz Syndykat będzie mógł umieścić ją w domu godnym zaufania. To znów list od dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa, który prosi o pomoc księdza dla uspokojenia zbuntowanego robotnika. Dwóch robotników pobiło się do krwi wskutek różnicy wyznania; posyłamy księdza i tłumacza i wszystko wraca do porządku. Pewien robotnik przynosi nam swoje oszczędności, żeby je odesłać do kraju. Innemu zabrano jego papiery i nie może dostać metryki; czynimy wszystkie potrzebne zachody, ponieważ sam ani czytać ani pisać nie umie. Co więcej, dowiadujemy się od niego, że ma w kraju matkę wdowę, która od ośmiu miesięcy nie ma o nim wiadomości, a on się obawia, że jego matka może już nie żyje. Natychmiast piszemy list w jego imieniu. Dzięki więc biurowi nie tylko trochę pieniędzy zawita do tych biedaków, ale co więcej utrzymują się węzły, które zawsze powinny łączyć tych chwilowych wygnańców z ich ojczyzną. Ileż razy nasi tłumacze oddali prawdziwe usługi, gdy, wezwani przez pracodawców, udali się do ich folwarków, by tam zainstalować całe grupy robotników, przybyłych z Polski! Oni też usuwają pierwsze trudności, czuwają nad tem, by ci ludzie mieli wszystko, czego im potrzeba, a także by dobrze rozumieli, czego od nich żądają, i tym sposobem chronią robotników od zniechęcenia, spowodowanego pierwszemi trudnościami, a chlebodawcę od utraty robotników, którzy tak często skutkiem tego zniechęcenia zrywają umowy i uciekają.

Ale i działalność naszego księdza mogłaby być ogromna, gdybyśmy mu dostarczali odpowiednich środków. Wpływ jego jest tak niezbędny dla biura, że nie waham się twierdzić, iż bez niego nie mogłoby istnieć. Wpływ księdza na Polaków jest jeszcze, dzięki Bogu, bardzo skuteczny, nie może być niczem zastąpiony. Mogę zapewnić, opierając się na dotychczasowem codziennem doświadczeniu, że tu nie idzie tylko o zachowanie wiary ojców, ale wprost o przyszłość Polski. Robotnik pewien, wracający z Prus, gdzie niestety stracił wszystkie zasady, powiedział nam: »Ojczyzna jest

tam, gdzie człowiekowi dobrze się powodzi«; wraz z wiarą utracił i miłość ojczyzny, o której dzieci jego już wspominać nie będą.

Robotników do biura zgłosiło się przez te trzy miesiące przeszło 200. Listów od robotników pisanych do rodzin i do nich przysłanych było co najmniej 300.

Oto krótka charakterystyka działalności wszechstronnej Biura opieki nad robotnikiem polskim. Chodzi o to, by to Biuro znalazło odpowiednie poparcie u czynników krajowych, jeżeli ma w swej pełni działać korzystnie dla polskiej sprawy. Dlatego wzywa ono każdego do współdziałania z nim. We Francyi, Opieka już skutecznie działa; w Polsce, nie jest jeszcze zrozumiana, bo wiele osób widzi w niej rodzaj agencyi, która ostatecznie tak jak inne, ludzi wyprowadza z kraju. A to niesłusznie. Biuro Opieki nie werbuje, nie umieszcza, nie zachęca do opuszczania kraju, jedynie wyciąga rękę do tego, który już jest w drodze lub na obczyźnie. Ktoby chciał przyjść jej z pomocą, niech przyjmie na siebie obowiązki Straży opiekuńczej i zgłosi się do księdza Lurat, filia Biura Opieki, Zakopane III.

Oto projekt Straży opiekuńczej nad robotnikiem polskim, wyjeżdżającym do Francyi.

»Opiekunami byliby: W. Ks. Proboszczowie, o ile N. P. W. Ks. Biskupi na to się zgodzą; członkowie Towarzystwa rolniczego; panie Kongregacyi Maryańskiej na wsi; panie ze Związku kat. Niewiast polskich; panie ziemianki; obywatele i obywatelki dobrej woli.

Usługi, jakie mogą oddawać wyżej wymienieni »Opiekunowie«:

Wyprzedzać agentów i wyzyskiwaczy, ostrzegając przed nimi a otwarcie się oświadczając z gotowością służenia radą tym, którzy się noszą z myślą wyjazdu.

Posyłać do Biura »Opieki« nazwiska wyjeżdżających do Francyi, przydając krótką wiadomość o każdym z nich, i, o ile zechcą, swe życzenia, uwagi polecenia, n. p.: »ten a ten robotnik zostawia w kraju niezaopatrzoną żonę z dziećmi, proszę go skłaniać do jak najczęstszego posyłania zasiłków rodzinie«; albo: »ten a ten powinien zarobek swój składać do kasy oszczędności, bo potrzebuje grosza na wykupienie gruntu«; albo: »ten a ten słabego charak-

teru, proszę go uchronić od złego towarzystwa i blizkich szynków« i t. p.

Skierowywać robotników do Biura Pośrednictwa Pracy we Lwowie, Biuro to naznaczy dzień wspólnego wyjazdu robotników i wyśle ich do Syndykatu paryskiego, a ten emigrantom wskaże pracodawców, którzy robotników zamówili.

Pouczać: co mają uczynić robotnicy dobrowolnie wybierający się do Francyi:

Robotnik skoro tylko otrzyma wiadomość z Biura Pośrednictwa Pracy o dniu wyjazdu, ma natychmiast donieść o tem swym Opiekunom, którzy zawiadomią Biuro Opieki we Francyi; ma zabrać ze sobą od Opiekuna kartkę, polecającą go, z którą będzie się mógł śmiało zwrócić bądź osobiście bądź piśmiennie do Biura »Opieki nad polskim robotnikiem we Francyi«.

Wszelkie listy, przesyłki, telegramy i t. p. adresować: w Polsce: »Opieka«, Zakopane III, we Francyi: Secrètariat 6 Quai d'Orléans. Paris.

Na tem jednak opieka nad robotnikiem naszym nie jest bynajmniej wyczerpana. Opieka ludzi prywatnych w dzisiejszych czasach nie wystarcza, opieki tej w myśl zasadniczych ustaw konstytucyi winno dostarczyć państwo. Jakiej opieki dostarcza państwo austryackie wychodźcom w Austryi, to sprawa aż nazbyt znana. Wprawdzie dziś nieco lepiej, niż było dawniej; do wszechstronnej atoli i skutecznej opieki ze strony państwa jest bardzo a bardzo daleko. Przedewszystkiem austryacki konsul, Niemiec lub Węgier, czyż zajmie się *con amore* dolą i niedolą słowiańskiego lub polskiego paryasa na obczyźnie? A chociażby nawet chciał tej pomocy udzielić, czyż jej może udzielić, nie znając języka polskiego? Z tych względów, ponieważ głównego kontyngentu wychodźców robotniczych do Francyi dostarczają Polacy, koniecznie Polacy powinni być mianowani konsulami, by mogli obowiązki swego urzędu skutecznie wykonywać i udzielać obywatelom austryackim za granicą w tej samej mierze, w jakiej udzielają swoim ziomkom niemieccy, francuscy, angielscy lub amerykańscy konsulowie. Tu mają piękne zadanie do spełnienia nasi przedstawiciele w Wiedniu. Niejedno

w tym kierunku zdziałali posłowie Głąbiński, dr. German i inni: za ich sprawą ustanowiono nowego konsula austryackiego, Polaka, w Nancy. Czy jednak jeden taki konsul wystarczy wobec wzmagającego się ruchu emigracyjnego do Francyi? Sfery rządowe nadto winny postarać się, by robotnicy nasi, płacąc na zabezpieczenie od wypadków nieszczęśliwych, mogli korzystać z tego. Jeżeli Francya w układzie z Włochami zobowiązała się bez względu na miejsce pobytu robotnika włoskiego dopuścić go, względnie jego rodzinę do zupełnie równouprawnionego korzystania z dobrodziejstw ustaw ubezpieczeniowych na równi z robotnikami francuskimi, tedy to samo uzyskać powinna i może od Francyi także i Austrya. Koniecznem jest dalej zorganizowanie publicznego pośrednictwa pracy z wydawaniem zakazów prywatnego pośrednictwa pracy przy dostarczaniu robotników za granicę, a przedewszystkiem karno-sądowego ścigania agentów, trudniących się obok tego wyszynkiem, agentów wędrownych, wynagradzanych prowizyą od głowy a nie stałą pensyą. Nie tylko w Paryżu, ale i w innych miastach francuskich winny się utworzyć komitety opiekuńcze zwłaszcza w tych okolicach, w których zatrudniona jest większa ilość robotników polskich. Rząd austryacki winien upomnieć się we Francyi o ustawę ochronną dla robotników naszych na wzór duńskiej z r. 1908, wedle której kontrakt podpisuje dopiero robotnik na miejscu, po dokładnem poznaniu swych obowiązków. W czasie sporu między pracodawcą a robotnikiem ani pożywienia ani dachu pracodawca nie ma prawa odmówić robotnikowi, dopóki spór sądownie nie jest rozstrzygnięty; również robotnik przez nowego pracodawcę może być przyjęty, mimo że jeszcze wyrok w sprawie tej nie zapadł. Przedewszystkiem jednak episkopat nasz winien się porozumieć z francuskim co do udzielania naszym robotnikom najskuteczniejszej opieki duchownej. Prywatny kapelan Zakładu Kórnickiego nie wystarczy absolutnie dla tej fali robotników, liczącej w zeszłym roku około 4000 a w przyszłym może dwa razy tyle robotników. Kto wie czy Francya dziś chorująca na brak robotników, nie zapotrzebuje naszych rąk roboczych setki tysięcy. Jeżeli z rządem i sympatycznem nam społeczeństwem francuskiem uregulujemy pomyślnie sprawę naszych wychodźców, wtedy za tym

przykładem i Niemcy pójść muszą, gdyż bez polskiego robotnika przepadłoby ich rolnictwo, a poniekąd i wszechświatowy ich przemysł. Niesłychanej to doniosłości dla nas ta sprawa polskiej emigracyi robotniczej do Francyi ze względów narodowych, kto wie, czy nie doniosłości nawet międzynarodowej? Uregulować ją korzystnie dla naszych robotników, to święty obowiązek czynników miarodajnych w naszem społeczeństwie. Czy jednak te czynniki dorosły do tego zadania? Czy dojrzały do zrozumienia konieczności zorganizowania skutecznej opieki społecznej nad prostaczkami, nad maluczkimi, nad głodnymi i wyzyskiwanymi braćmi? *That is the question.* Od rozwiązania tej kwestyi zależy nasza dojrzałość narodowa, której brak ciąży klątwą na całej prawie naszej przeszłości. Całe wieki pozwoliliśmy ginąć i marnieć etnicznym podstawom naszego bytu narodowego. Czy polskie społeczeństwo ma nadal tylko służyć do rozwoju obcych, a często wrogich narodowości?...

Dr. K. Krotoski.

Scena z dramatu na tle czasów zygmuntowskich.

(Komnata na Wawelu — kirem obita, pomiędzy oknami portret Barbary Radziwiłłówny w perłowym stroju na głowie. Zygmunt August i Fabian Klicki, pokojowiec).

ZYGMUNT AUGUST

Jest tam gdzie Bekwark? Niech przyniesie lutnię.

(Klicki znika w drzwiach antykamery)

ZYGMUNT AUGUST

(powolnym, jakby sennym ruchem otwiera szkatułki na stoliku pod oknem; zatapia rękę w coraz to innej i przesypuje przez palce drogie kamienie, które w blasku zorzy wieczornej, padającej przez okno, grają światłami, skrzą się, połyskują, padając do szkatułek)

BEKWARK

(wchodzi z antykamery i skłania się w milczeniu, z lutnią w ręku)

ZYGMUNT AUGUST

Śpiewaj mi — pomnisz, jak wtedy, w ogrodzie,
W tę noc miesięczną...

BEKWARK

(w milczeniu stroi lutnię i próbuje strun)

ZYGMUNT AUGUST

Zle mi, gorzko, smętnie...

(po chwili — przesypuje znowu klejnoty)

Czasem nieszczęście tak człeku dobodzie
I tak mu serce piołunem przesyci,
Że niemasz po co żyć... Chyba — na brodzie
Iżby ci srebrnych przybywało nici
A lat na karku...

(przesypuje klejnoty)

BEKWARK
(śpiewa przy lutni)

Di tempo in tempo mi si fa men dura
L'angelica figura
E 'l dolce viso
E l'aria del bel riso
E degli occhi leggiadri meno oscura...

(Zygmunt August zasłania twarz i płacze)

BEKWARK
(śpiewa przy lutni)

Che fanno meco omai questi sospiri
Che nascean di dolore
E mostraran di fore
La mia angoscia e disperata vita...

KLICKI
(w drzwiach antykamery)

Jej Miłość Anna Królewna się pyta,
Zali wnijść może...

(Zygmunt August zezwala skinieniem ręki — wstaje. Klicki wprowadza Annę Jagiellonkę, która podchodzi do brata z głębokim ukłonem. Bekwark i Klicki wychodzą do antykamery)

ZYGMUNT AUGUST
(podaje Annie rękę i w czoło ją całuje)

Miałem w pewnej sprawie
Nawiedzić Twoją Miłość...

ANNA

Wiem-ci o tem
Od Jejmość Matki. Gwoli tej przyczyny
Przyszłam tu...

ZYGMUNT AUGUST

Siądźmy...

(siadają; chwila milczenia. Zygmunt August ukazuje ręką swe skrzynki z klejnotami)

Jak dziecko się bawię
Tęczowym drogich kamieni migotem.

(zapuszcza rękę i przesypuje klejnoty)

Lubię przez palce przesiewać rubiny:

Są, jak płacz krwawy za szczęściem straconem;
Albo szmaragdy — są jako nadzieje,
Co rozkwitały w sercu rozmarzonem
A tak opadły, jak jesienne liście;
Pojźryj Twa Miłość: deszcz pereł się leje,
Toczą się, płyną świetlano, rzęsiście,
Jak łzy, jak ciężkie łzy... A tu szafiry:
Taki w nich smętek ciemny i głęboki,
Jako bezsennych nocy mroczne kiry...

(po chwili)

Tak, ja się tymi kamykami bawię...
Siejąc przez palce płynnych skier potoki,
Gwiazd grady, świateł drżące błyskawice —
I zdaje mi się, że widzę na jawie
Wytryskające z każdego kamienia
Nadzieje zgasłe, bezbrzeżne tęsknice
I boleść moją i łzy i wspomnienia...
Owo — garść pełną... Bierz...

(nabrawszy garścią, wsypuje Annie do torbeczki wiszącej u pasa)

W złotej oprawie
Jaśniej ci jeszcze zagrają na czole —
Miłości Twojej daj to Bóg łaskawie,
Byś w nich przezierać lepszą mogła dolę,
Niźli ja...

ANNA

Nie wiem, jako się wypłacę
Za dar królewski a braterskie słowa:
Bóg niech Królowi błogosławi prace
I niech mi brata w dobrem zdrowiu chowa.
Co wiedzieć? Może z czasem się odmieni
Żałość i smętek w pociechę jakową...

ZYGMUNT AUGUST

(chwiejąc głową z niechętnem skinieniem ręki)

W pociechę?!...

ANNA
(nieśmiało)
Kiedyś może się ożeni
Wasza Królewska Miłość...

ZYGMUNT AUGUST
Choćbych iście
Małżonkę pojął — cóż z tego?!

ANNA
Na nowo
— Królu i Panie — żyć zaczęlibyście...

(Zygmunt August po chwili namysłu idzie do głównego stołu, wyjmuje z puzdra miniaturę i podaje Annie,

ZYGMUNT AUGUST
Pojźryj Twa Miłość...

ANNA
(z miniaturą w ręku)
Któż to zacz?

ZYGMUNT AUGUST
Królową
Niebawem ostać ma polską ta pani:
Siostra nieboszczki naszej pierwszej żony.

ANNA
(z radością)
Błoga i stokroć fortunna wiadomość...!

ZYGMUNT AUGUST
(z goryczą)
Tak! stadła tego nikt mi nie nagani
I nie zarzuci nikt, że uniesiony
Płochym popędem serca, Król Jegomość
Dla siebie żeni się — nie dla Korony!
Wzdy serce moje krwawe i rozbite
Z moją niebogą razem legło w trumnie
I szczęście moje pod grobową płytę
U świętej Anny pogrzebałem w Wilnie...
— Teraz małżonkę już pojmę rozumnie,
Senatu głosów przestrzegając pilnie!

ANNA
(wstaje)

Niech mi Królewska Mość wybaczy Wasza,
Że śmiem...
(urywa wzruszona — po chwili)
Ta mowa tak pełna goryczy
O przyszłą Waszą dolę mnie przestrasza...
...Jak to rzec — nie wiem...
(urywa)

ZYGMUNT AUGUST

Twa Miłość mów śmiele...

ANNA
(całuje go w rękę)

Z tem się Królewska Wasza Mość nie liczy,
Że to sakrament jest w Bożym Kościele,
Który na zawżdy, na pospólne życie
Węzły świętymi wiąże dwoje ludzi...
Wy, Panie, duszą Waszą frymarczycie,
Człowieczą duszą!...

ZYGMUNT AUGUST
(wzruszony)

Kto — i jaką siłą
Człowieka we mnie, żywym trupie, wzbudzi?!
(po chwili — poważniej)
Kiedy z Barbarą wstępowałem w stadło
Człowiek nad królem wziął górę... — Zle było,
Żem śmiał człowiekiem być... Gdy to przepadło,
Król jeno został! — Wiemci ja co czynię:
Koronie mojej, Rzeczypospolitej
Siebie samego chcę ponieść w ofierze,
A jeśli z męki mojego żywota
Ojczyzna dla się plon obfity zbierze
I przyszłość przed nią rozewrze się złota,
To we mnie duch się rozraduje szczerze
W godzinie śmierci...
. . . . . .

Lucyan Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Portrety polskie, wydane przez Maryę ks. Radziwiłłową, pod redakcyą d-ra Jerzego hr. Mycielskiego. Lwów, H. Altenberg.

Rozpoczęło obecnie wychodzić wspaniałe wydawnictwo »Portrety polskie«, wydawane przez księżnę Maryę z hr. Branickich Jerzową Radziwiłłową, pod redakcyą prof. Jerzego hr. Mycielskiego. Ukazał się właśnie pierwszy zeszyt, obejmujący czternaście portretów w dziesięciu tablicach, z doskonałym tekstem osób przedstawionych i fachowemi objaśnieniami obrazów i malarzy.

Skład pierwszego zeszytu jest doskonale dobranym i dowodzi, że redakcya wydawnictwa spoczęła w ręku mądrem i wytrawnem. Już pobieżne jego przerzucenie musi w każdym wzbudzić zainteresowanie. Umiano tutaj pogodzić wszystkie wieki, zaczynając od najdawniejszych zabytków malarstwa portretowego w Polsce. Umiano wybrać najmniej znane, a najbardziej zajmujące i najtypowsze postaci swego czasu. Więc najpierw złożono niejako hołd niewygasłej nigdy pamięci ostatnich Jagiellonów. Król Zygmunt Stary otwiera to wspaniałe wydawnictwo. Stoi przed nami w wielkiej szubie futrzanej, otoczony wieńcem herbów z ziem polskich. Jest to dużych rozmiarów portret monarchy, jedyny, jaki nas doszedł w całej postaci. Znajduje się od wieków w posiadaniu katedry na Wawelu i umieszczony jest nad wejściem do kaplicy zygmuntowskiej. Tam jednak, z powodu znacznej wysokości, jest trudno dla oka dostępny. Dopiero obecnie w mniejszej planszy, po raz pierwszy reprodukowany, ukazał cały majestat monarszy tej szlachetnej postaci. Następnie małżonka kró-

lewska, Bona Sforza, w dwóch niewielkich wizerunkach. Na obu widać królowę w późniejszym już wieku. Ale jeden niemiecki — pracownia Łukasza Cranacha młodszego — przypomina raczej typ mieszczek. Natomiast drugi, włoski, nieznanego pendzla, przedstawia rysy niby te same, a tak pełne godności, rasy i wielkiej niegdyś piękności. Należał on dawniej do sławnych zbiorów arcyksięcia Ferdynanda na zamku Ambras w Tyrolu. Obecnie oba są własnością Muzeum XX Czartoryskich w Krakowie.

Ostatniego Jagiellona pokazują nam również dwa małe portrety z tego samego muzeum. Na obu uderza zamyślone, nawet zasępione oblicze nieszczęśliwego króla Zygmunta Augusta. A przytem zwraca uwagę ogromna inteligencya, jaka z tych rysów przemawia. Patrząc na nie, poznajemy tę wykwintną i na wskróś subtelną naturę monarchy, o której opowiada historya. W pośrodku zaś nieszczęśliwa miłość króla, Barbara Radziwiłłówna, anielsko-piękna, w koronie z pereł i w białym welonie.

Następna tablica przynosi znowu portrety dwóch innych małżonek królewskich, dwóch arcyksiężniczek austryackich, Elżbiety i Katarzyny, znajdujące się w Muzeum germańskiem w Norymberdze. Nie są one oryginałami, jak tego dowiódł prof. Mycielski, w każdym razie pochodzą z trzeciej ćwierci XVI w., a sygnowane są monogramem nieznanego artysty, wiedeńskiego lub praskiego. Portret królowej Elżbiety jest nieco późniejszą repliką z jakiegoś nieznanego oryginału, malowanego napewne przed przybyciem do Polski w r. 1542, gdy acyksiężniczka miała lat 16. Portret królowej Katarzyny pochodzi z r. 1559, skoro ma na nim lat 24. Prawdopodobnie oryginał powstał już w Polsce, co także potwierdza monogram, trzymany w ręku, a złożony z liter obojga małżonków. Obie królowe występują we wspaniałych ówczesnych strojach renesansowych, bogato haftowanych złotem i suto przybranych klejnotami a zwłaszcza perłami. Przytem u królowej Elżbiety uderzają olbrzymie, bufiaste rękawy. Obie posiadają typowe, charakterystyczne rysy Habsburgów. Są one po raz pierwszy reprodukowane w polskiej literaturze. Wyszukanie ich, oznaczenie czasu powstania i zapoznanie z tymi portretami ogółu polskiego jest niezaprzeczenie wielką zasługą prof. Mycielskiego.

Dla siedmnastego wieku nie można było wybrać lepszych i bardziej typowych postaci, należących do dwóch jakby skrajnych obozów czy prądów. Jedna, to Jerzy Ossoliński, kanclerz w. koronny, przepyszny typ ówczesnej szlachty, hardy, nieustępujący nikomu, a co waż-

niejsza — mądry. Był gorącym stronnikiem królewskim, choć kto wie gdzie mógłby zajść w obronie »złotych wolności« szlacheckich. Portret ten ma duże znaczenie dla poznania kultury ówczesnej w Polsce. Przynosi bowiem typowy strój polski tego czasu, a nie zaś t. zw. szwedzki, który modą ówczesną tylu panów i szlachty nosiło. Prof. Mycielski wykazał, że malował go artysta niemiecki z Wrocławia, Bartłomiej Strobel. Istnieje bowiem rycina Wilhelma Hondiusa z r. 1642, wykonana z drobnostkową dokładnością wedle tego portretu, na której Strobel podpisany jako malarz.

W drugim poznajemy Andrzeja Morstina, podskarbiego w. koronnego. Był on najlepszym przedstawicielem coraz silniejszych w Polsce wpływów francuskich. Na takich wzorach wychowany, tak przesiąkł tą gallicką kulturą, że, zdaniem ówczesnem, »Polaka można w nim było poznać jedynie po przywiązaniu do pieniędzy i wina«. Obok bogatej spuścizny swego niepowszedniego talentu politycznego i poetyckiego, pozostawił jeszcze po sobie przepyszny portret, malowany przez nadwornego artystę »króla słońca«, Hyacynta Rigaud, w r. 1690. Poznajemy w nim człowieka, który mógł być istotnie szczytem ówczesnej kultury. W olbrzymiej peruce i połyskującym pancerzu, patrzy na nas z ledwo dostrzegalnym uśmiechem, nie wiadomo tylko czy drwiącym czy pobłażliwym.

I wiek ośmnasty jest dobrze reprezentowany przez dwa świetne portrety. Na jednym widzimy księżnę Izabellę z Flemingów Adamową Czartoryską, jenerałową ziem podolskich, przebraną za Rusinkę. Tu mimowoli odczuwa się cały wdzięk epoki pasterskich sielanek, bez zwykle w takich razach powtarzanych uśmiechów, a jednak o tej samej nucie i nastroju. Jest to niewielki ale doskonały obraz Jana de Prince, dotąd nieznany. Wydobyła go dopiero z ukrycia »Wystawa mistrzów francuskich XVIII w.«, urządzona w Berlinie w r. 1910.

Drugi portret przedstawia ks. Józefa Poniatowskiego, malowany przez J. Grassiego. Bohater, żyjący w pieśni i powieści, ideał zalet i wad narodu, stoi przed nami w mundurze podpułkownika swoleżerów cesarskich, wsparty na koniu. Jest tu przedstawiony jako uroczy młodzieniec. Z tego czasu pochodzą właśnie dwa portrety Grassiego, istniejące przytem w kilku replikach. Reprodukowany tutaj jest własnością ks. Stanisława Jabłonowskiego z Bursztyna i powstał prawdopodobnie jako studyum do większego portretu, nigdy — zdaje się — niewykonanego. Podpisany on nie jest przez Grassiego, ale istnieje w najdrobniejszych szczegółach identyczna z nim bardzo piękna ry-

cina w popiersiu i owalu, z nazwiskiem malarza, rysowana przez Kapellera, a rytowana przez Johna. Przytem jest dowodem wpływów angielskiego malarstwa ówczesnego, szczególniej największych portrecistów tych czasów, Jozuego Reynoldsa i Tomasza Gainsborough. Prof. Mycielski udowodnił właśnie, że jest niewolniczo wzorowany — prawie identyczny — na słynnym portrecie Jerzego ks. Walii, późniejszego króla Jerzego IV. Obraz ów, rozpowszechniony w ślicznych mezzotintach J. R. Smitha w Londynie, dostał się widocznie do rąk Grassiego i tak niewolniczo wpłynął na kompozycyę portretu ks. Józefa. Wreszcie niezwykły i nieznany dotąd portret Fryderyka Chopina z wyrazem tragicznego bólu, pendzla genialnego Eugeniusza Delacroix, nowy nabytek »Louvru«, i prześliczny portret Adamowej hr. Potockiej, malowany przez F. Winterhaltera, zamykają pierwszy zeszyt tego świetnego wydawnictwa.

Taką jest treść. Istotnie przyznać trzeba raz jeszcze, że trudno o lepszy wybór tak pod względem osobistości przedstawionych, a reprezentujących swoją epokę, jak również ze względu pierwszorzędnych dzieł malarskich. Przytem każdy portret ma jeszcze doskonały tekst historyczny, uwypuklający nam jego rysy. Złożyły się na to tak niepoślednie pióra naszego piśmiennictwa, jak hr. Stanisława Tarnowskiego, prof. Sz. Askenazego i prof. W. Czermaka, a dalej d-ra Z. Jachimeckiego, d-ra W. Konopczyńskiego i d-ra W. Kamienieckiego. Obok tego następnie dodano do każdej tablicy krótkie a bardzo zajmujące komentarze artystyczne prof. J. Mycielskiego. W nich umiał autor, czy to w zręcznych słowach podnieść wdzięk i wartość obrazu, czy też naszkicować tło, na którem silniej rysuje się talent malarza.

Pod względem zewnętrznym »Portrety polskie« mogą stanąć w rzędzie najwspanialszych wydawnictw Europy. W ogólnym zarysie i najdrobniejszym szczególe widać tutaj wszędzie tę wysoką miarę. Najpierw wydane są w dwóch językach: polskim i we francuskim. Następnie wybrano tutaj najlepszą i najsubtelniejszą technikę reprodukcyi mechanicznej t. j. heliograwurę. Pod względem drukarskim mogą być również chlubą Krakowa. Drukowane są bowiem pięknem, dużem pismem renesansowem. Także okładka zeszytu, ułożona przez artystę-malarza prof. W. Dębickiego, dostraja się swą poważną kompozycyą do tego wspaniałego dzieła. »Portrety polskie« są rzeczywiście monumentalnem dziełem. Tom pierwszy ma się składać z sześciu zeszytów, które ukazywać się będą w odstępach dwumiesięcznych. Spodziewać się wolno, że obudzą w całej Polsce najszersze zainte-

resowanie i zdobędą ogólne poparcie, tak przez swoją doniosłość, wspaniałość, jak również przez stosunkowo ogromną taniość. Podobne wydawnictwa za granicą, obliczone na parę razy większą liczbę nabywców, bywają znacznie droższe.

Księżnej Maryi Radziwiłłowej, gorliwej opiekunce zbiorów nieświeskich, która nie zawahała się poświęcić znacznych sum na rozpoczęcie wydawnictwa »Portretów« i prof. J. hr. Mycielskiemu, niezrównanemu redaktorowi, jak się pokazało już z pierwszego zeszytu, należy się szczera, prawdziwa wdzięczność.

Franciszek Klein.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydawane przez Gal. Kraj. Biuro statystyczne pod redakcyą *prof. d-ra T. Pilata.* Tom XXI, zeszyt 2. Lwów 1910.

Z żalem zauważyć należy, iż wydawnictwu temu poświęca zbyt mało uwagi prasa peryodyczna, jakkolwiek wśród lasu nieprzebytego cyfr przynosi ono niejednokrotnie prace, godne poznania przez szerszy ogół.

Za jedną z takich prac zasadniczych, zwłaszcza w dobie rozgorzałego sporu polsko-ruskiego, uważamy bezwarunkowo obszerne studyum prof. d-ra Józefa Buzka o rozsiedleniu ludności Galicyi według wyznania i języka.

Przedstawiwszy na wstępie pokrótce zasady, na jakich opierał się autor podczas pisania swojego studyum, przechodzi od razu do sprawy granic pomiędzy zwartemi siedzibami ludności polskiej i ruskiej. Sprawa ta, posiadająca wcale obfitą literaturę, była dotąd nierozstrzygnięta, zwłaszcza że uczeni ruscy przesuwać byli skłonni zawsze granicę rzeczywistą o wiele dalej na zachód, czyniąc to równie bezkrytycznie, jak zmanierowany polihistor lat czterdziestych Dyonizy Zubrzycki, który opierając się nie na etnografii, lecz na historyi, utrzymywał, iż granicę polsko-ruską tworzy nie San, ale aż Wisłok, a może nawet Wisłoka.

Do tak zwanych »ziem ruskich« należał w epoce przełomu z wieku XVI na XVII: 1) cały kraj na wschód od Wisłoka położony, z wyjątkiem obecnego powiatu strzyżowskiego i przyległych do niego gmin powiatu krośnieńskiego, które należały do województwa krakowskiego; 2) na zachód od Wisłoka wchodził w skład »ziem ruskich« cały dzisiejszy powiat leżajski oraz graniczące z nim gminy powiatów niskiego i sokołowskiego po miasteczko Sokołów włącznie, oznaczona

wyszczególnionemi wyżej gminami część powiatu głogowskiego i rzeszowskiego wraz z miastem Rzeszowem, wreszcie na samem południu położona pomiędzy Wisłokiem a Jasiołką część powiatów rymanowskiego i dukielskiego.

Skoro jednak zechcemy porównać tę historyczną granicę ziem ruskich z granicą etnograficzną, przekonamy się, iż pomiędzy temi obiema granicami brak wszelkiego związku wewnętrznego. Okaże się bowiem, że zamknięty obszar etnograficzny polski wrzyna się z jednej strony głęboko w terytoryum dawnego województwa ruskiego, z drugiej zaś zwarty obszar etnograficzny ruski wysuwa się dość daleko na terytoryum dawnego krakowskiego województwa, względnie sandomierskiego.

Ustalenie granicy pomiędzy zwartemi siedzibami ludności polskiej i ruskiej możliwe jest do przeprowadzenia na podstawie danych, jakie zawierają spisy ludności, czy to odnoszące się do języka towarzyskiego, czy do wyznania religijnego. Jeżeli tedy porównamy ze sobą spisy z lat 1880, 1890 i 1900, okaże się, że dane co do języka towarzyskiego *(Umgangssprache)* ulegają aż nadto częstym zmianom w licznych gminach na pograniczu językowem, tak, że każdy spis ludności wykazuje nieco odmienne granice językowe, podczas gdy daty, tyczące się wyznania religijnego ludności, zachowują znamienną stałość.

A zatem podług danych, wyjętych ze statystyki wyznaniowej, granica zwartych siedzib ludności polskiej i ruskiej zaczyna się na granicy węgierskiej tam, gdzie dział wód pomiędzy dopływami Popradu, Łomnicą i Wierchowlą przypiera do samego Popradu, który tworzy w tem miejscu granicę galicyjsko-węgierską, kończy się zaś w tym punkcie, w którym dopływ Sanu potok Złotoryszka wchodzi na terytoryum austryackie. Od tego punktu początkowego idzie granica wyznaniowa przez powiat nowosądecki w kierunku północnym, aż przy wsi Królowa ruska w powiecie grybowskim zwraca się na wschód i zatrzymuje jeden i tenże sam kierunek aż do gmin Odrzechowa i Pielnia w powiecie sanockim, następnie zwraca się na północny wschód, przerzyna powiaty: sanocki z brzozowskim i dochodzi do Radymna, gdzie zmienia swój kierunek na północno-zachodni, który zatrzymuje aż do wspomnianego już potoku Złotoryszka.

Uwzględniając taki stan rzeczy, słusznie twierdzi autor, że w Galicyi wschodniej granicę zwartych siedzib ludności polskiej i ruskiej stanowi rzeka San. Wszelako wobec tego, że rzeki raczej łączą, ani-

żeli dzielą poszczególne narody, nie należy dziwić się, że wzdłuż całej powyżej określonej granicy etnograficznej w Galicyi wschodniej dokonywała się nieustannie wzajemna wymiana ludności. Wzdłuż całej tej granicy, nawet sięgając daleko w głąb kraju, mieszkają w każdej niemal gminie ruskiej silne mniejszości polskie do tego stopnia, że gmin z ludnością ruską powyżej 90% znajdujemy bardzo mało. Zauważył tę właściwość już pierwszy badacz stosunków etnograficznych galicyjskich Czörnig, który wyróżniał w Galicyi wschodniej, oprócz terytoryów polskiego i ruskiego, jeszcze terytoryum mieszane polsko-ruskie.

Jeślibyśmy zaś chcieli ustalić granice zwartych siedzib narodowościowych na podstawie dat, tyczących się języka towarzyskiego ludności, okaże się od razu, że w Galicyi zachodniej granica ta jest zupełnie identyczna z granicą, wytyczoną na zasadzie statystyki wyznaniowej. W Galicyi wschodniej sprawy mają się odmiennie. Tutaj bowiem na pograniczu językowem używa znaczna część ludności greckokatolickiéj języka polskiego w życiu codziennem, skutkiem czego zwarty obszar narodowościowy polski powiększa się o całe terytoryum owych gmin, co daje zauważyć się na większą skalę w powiatach: Radymno i Sieniawa.

Ostatecznie okazuje się, że cyfry, podane przez Czörniga zmieniły się w Galicyi zachodniej po upływie tak licznych lat tylko nieznacznie. Natomiast, o ile chodzi o Galicyę wschodnią, rzeczy mają się w tej mierze zupełnie odmiennie. Sam Czörnig zresztą zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że nie stać go na zupełnie dokładne określenie granicy językowej, to też, idąc za przykładem Haina i Fickera, wyróżniał tutaj rozległe terytoryum mieszane polsko-ruskie, skoro zaś wliczał terytorya mieszane do obszaru etnograficznego ruskiego, nic tedy dziwnego, że granica językowa wypadła podług niego znacznie dalej na zachód w Galicyi wschodniej.

Celem uzyskania w możliwie największem skróceniu obrazu stosunków etnograficznych na terytoryum zwartych siedzib szczepu polskiego, względnie ruskiego, podaje autor tablicę, wykazującą, że obszar zwarty szczepu polskiego liczy 2506 gmin, ruskiego zaś 3734 gmin. Na obszarze zwartych siedzib szczepu polskiego mieszka mniej więcej dwie trzecie, bo tylko 63·7% ludności polskiej w Galicyi, podczas gdy więcej aniżeli jedna trzecia tej ludności (36·3%) mieszka na obszarze zwartych siedzib plemienia ruskiego. Na odwrót ludność ruska mieszka niemal w całości na terytoryum siedzib zwartych szczepu

swojego, skoro na obszarze polskim rdzennie mieszka tylko 1·7% ludności wyznania gr.-kat. całego kraju, a już tylko 0·9% ludności ruskiej. Z ludności rz.-katolickiej zamieszkuje obszar polski 70·2%, obszar zaś ruski 29·8%, co daje trzy dziesiąte tej ludności. W dodatku zważyć należy, iż ludność niemiecka, żydowska i wyznania ewangelickiego mieszka głównie na obszarze zwartych siedzib plemienia ruskiego, gdyż na obszarze polskim mieszka zaledwie 25·8% ludności wyznania mojżeszowego i 18·4% wyznania ewangelickiego.

Wyniki ostateczne badań swoich ujął prof. dr. Buzek w formy następujące: 1) obraz siedzib zwartych plemienia polskiego jest rzeczywiście obszarem polskim, albowiem ludność polska stanowi tutaj 97%, ludność zaś wyznania łacińskiego 90% ogółu ludności, ludność zaś izraelicka 8, a wyznania wschodniego zaledwie 2%; 2) terytoryum natomiast siedzib zwartych plemienia ruskiego, wyjąwszy część podgórską i kilka pomniejszych części tego obszaru, nie jest bynajmniej obszarem ruskim, lecz obszarem mieszanym polsko-ruskim. A to dlatego, że na całym obszarze plemienia ruskiego ludność obrządku rz.-kat. wynosi nie mniej, jak 21·2% ogółu zaludnienia, izraelicka 12·8%, polska 30·9% i grecko-kat. 65·1%, a ruska 65·2%. Jeżeli tedy wyłączymy z rachunku powiaty podgórskie — to na obszarze polsko-ruskim ludność ruska wynosi 60%, polska 36·6%, rz.-katolicka 26·3%, a wyznania mojżeszowego 12·7%. A zatem ostatnia stanowi tutaj nieco więcej, jak $^1/_8$, rz.-kat. zaś trochę więcej jak $^1/_4$ część ogółu ludności!...

Dr. St. Zdziarski.

Lubraniec (monografia) z dołączeniem 6 ilustracyi. Zebrał *ks. Stan. Muznerowski.* Włocławek 1910. Str. 160, w 8-ce.

Objąwszy zarząd parafii w Lubrańcu 1901 r., autor zastał tam wiekiem poważny, z końca XV wieku, ale skromny, ciasny a co gorsza ruiną grożący, parafialny kościółek. Zabrał się zatem energicznie do dzieła i przy ofiarności parafian a przedewszystkiem kolatorki, p. Piwnickiej, w ciągu dwóch lat (1905—1906) zbudował okazały kościół w kształcie krzyża, z wysoką wieżą na froncie, jakim każde większe miasto mogłoby się poszczycić. Ukończywszy to dzieło ku chwale Pana Zastępów, przeglądał pilnie przechowane stare akta i zapiski kościelne, a na ich podstawie wydał monografię miasteczka, gdzie jest duszpasterzem. Lubraniec jest jedną z najstarszych osad polskich. Do r. 1509 istniał jako wieś, dopiero za staraniem Jana Lubrańskiego,

biskupa poznańskiego, Zygmunt I mocą osobnego przywileju, wydanego na sejmie w Piotrkowie 14 kwietnia 1509, policzył go do rzędu miast z prawem magdeburskiem. Od XV wieku był Lubraniec własnością Lubrańskich, z pomiędzy których jedni na senatorskich zasiadali krzesłach, jak Bernard i Tomasz: kasztelanowie brzesko-kujawscy; drudzy piastowali dostojeństwa kościelne. Grzegorz z Lubrańca, kanonik krakowski, proboszcz skalbmierski oraz u św. Floryana na Kleparzu, od r 1490—1497 buduje kościół w Lubrańcu. W r. 1497 Jan Lubrański został mianowany biskupem płockim, konsekrowany w Krakowie przez kardynała Fryderyka Jagiellończyka. Niedługo potem przeniósł się z płockiego biskupstwa na osieroconą stolicę po Uryelu Górce do Poznania. W r. 1497, kiedy był jeszcze kanonikiem krakowskim i rektorem kościoła parafialnego na Kazimierzu, budował wraz ze stryjem Grzegorzem kościół w Lubrańcu, a w następnym klasztor dla Kanoników Regularnych, uposażywszy ich dostatnio. Upamiętnił się na zawsze założeniem szkoły w Poznaniu 1519 r., zwanej »Kollegium Lubrańskiego«. W r. 1537 przeszedł Lubraniec na własność Chlewickich, w r. 1593 nabyli go Modliszewscy, od r. 1648 należał do Dąbskich, później do Mirosławskich, Słubickich, Piwnickich, a od r. 1906 do Grodzickich. Oprócz tych wymienionych rodów, których genealogie i transakcye majątkowe, jakby w kalejdoskopie, przesuwają się przed oczyma naszemi, niemało miejsca poświęcił autor stosunkom kościelnym. Proboszczami miejscowymi byli Kanonicy Regularni Lateraneńscy od r. 1500 – 1818. Po wygaśnięciu rodu Lubrańskich, dobra lubranieckie przeszły w ręce Jakóba Chlewickiego. Ten będąc zagorzałym heretykiem, znieść nie mógł pod bokiem zakonników. Po śmierci prepozyta Hipolita Luboradzkiego 1568, rozpędza Kanoników Regularnych, napadając zbrojno na klasztor; kościół zamyka, zabierając papiery i dokumenty; zajmuje wsi i folwarki klasztorne, zabiera inwentarze, a prowianty rozdaje swoim poplecznikom. Usunąwszy zakonników, Chlewicki obsadza na probostwie jużto ludzi zupełnie świeckich, nie mających żadnych święceń kapłańskich, jużto apostatów zakonnych. Taki smutny stan trwał do końca XVI wieku, dopiero prymasowi Stan. Karnkowskiemu udało się zaprowadzić inny ład i porządek. Z biegiem czasu i w zakonnikach miejscowych ostygła gorliwość, zanikała karność zakonna, zwłaszcza pod koniec XVII a bardziej jeszcze w XVIII wieku, jak świadczą *Acta Capitularia Canonicorum Lateranensium Lubrascensium* od r. 1777—1819, kiedy nastąpiła kasata klasztoru tego. Chlubne wspomnienia znajdujemy o dawnych fundacyach, pobożnych zapisach i osobliwościach kościelnych. Pomiędzy

niemi zasługują na uwagę: przechowana infuła biskupia, monstrancya z XVIII wieku, srebrna taca, wspaniały kielich i ampułki, z daru biskupa Stan. Dąbskiego. Prócz tego piękne kielichy srebrne, całkowicie złocone, z lat 1715, 1716 i 1728, czwarty roboty augsburskiej pochodzi z XVII wieku. Rzecz cała napisana źródłowo, czyta się mile i z pożytkiem.

Ks. Jan Sygański.

I nie wódź nas na pokuszenie. *Józef Albin Herbaczewski.* Kraków. Gebethner i Spółka.

Książka ta w rodzaju *essais* literackich, pisana nadzwyczaj barwnie, czasem jaskrawie, z olbrzymią werwą, zwraca uwagę, dziwi i raduje stanowiskiem, z którego literaturę współczesną naszą odważa się sądzić, przykładając miarę etyczną i chrześcijańską, stwierdza bowiem, że »walka z Chrystusem to walka z sumieniem«. Podzielona jest na rozdziały, których tytuły dadzą pojęcie o sposobie pisania autora: Opętanie, Prowokacya w literaturze, Judaszowe srebrniki, Dyspensa wolnościowa, Konstytucya dla podłości, Dzierżawcy ducha, Mistyczna mistyfikacya, Patologia niewoli, Neo-Pankracy, Eksperymentomania czyli neohamletyzm, Antychryst. Autor, śmiało stojąc na swem stanowisku przy »p r a w i e prawdy«, bronią swoją — słowem, umie robić. Mówi to młoda Polska, bo do niej ma on pełny tytuł, przez młodą Polskę więc słuchanym i rozumianym być powinien, jak sam ich słyszał i rozumiał, będąc z nich, co i język jego zdradza. Pseudomistycyzm literacki nie może się kryć w mgły swoje, jak przed profanem. Pisze on o sobie: »W chwili gdy byłem już blizkim śmierci, zrozumiałem, że zwalczam nie Chrystusa, lecz moje prawo życia. Tem zrozumieniem odzyskałem prawo życia, wzbudziłem w sercu potężny akt pokory, bez której niema ani radosnego życia ani radosnej mądrości wiedzy... Z b u n t o w a ł e m s i ę p r z e c i w m o j e m u b ł a z e ń s t w u m i s t y c z n e m u«. Od zarzutu przesady broni się sam: »Dla obojętnego człowieka prawda, dla ignoranta nauka, dla obłudnika demaskowanie jest już przesadą«. Mogłyby niektóre zdania wywołać polemikę, ale duch świeży, wiejący z tej książki, wzbudzić musi oddźwięk w każdem uczciwem a chrześcijańskiem sercu — mogą niektóre obrazy razić drastycznością lub jaskrawością, ale prasa nasza za to nie grzeszy temperamentem, ani nazywaniem rzeczy po imieniu. Książka ma wszelkie szanse powodzenia, jako głos młody i doniosły

o młodych, reakcya literata, a więc kompetentnego, na literaturę. Z szansami powodzenia musi też iść najszczersze życzenie tegoż. Książka ta musi i powinna dużo dobrego zrobić.

Krystyna Saryusz-Zaleska.

Z piśmiennictw obcych.

Studien zu Hilarius von Poitiers. *Alfred Leonhard Feder S. J.* (Teil I. die sogenannten »Fragmenta historica« und der sogenannte »Liber I. ad Constantium imperatorem« nach ihrer Überlieferung inhaltlichen Bedeutung und Entstehung). Wydane w *Sitzungsberichte* der Kais. Akademie der Wissenschaften in Wien, Philosophisch-historische Klasse, 162 Band, 4 Abhandlung. Wien — Hölder (1910), 188 str.

W roku 1598 ogłosił w Paryżu Mikołaj Le Fèvre oparty na 2 rękopisach z XV wieku zbiór dokumentów, które wszystkie z IV wieku pochodzą i dla historyi aryanizmu są bardzo ważne. Są to bowiem listy papieża Liberyusza, listy cesarzy i biskupów, dekreta i akta synodów oraz wyznania wiary. W rękopisach podzielone są te dokumenty na 2 serye: jedna serya autorstwa św. Hilarego, biskupa z Poitiers, zaś druga przechowana jest bezimiennie. Le Fèvre zachował w swojem wydaniu ten podział. W r. 1693 Piotr Constant, Benedyktyn, zbadał gruntownie te rękopisy, wydał te dokumenta po raz wtóry i doszedł do przekonania, że te wszystkie dokumenta są urywkami z większego historyczno-polemicznego dzieła św. Hilarego. Wydanie sporządzone przez Constanta było kilka razy oddrukowywane, po raz ostatni w zbiorze Migne'a P. L. 10 (627—724) i służy do naszych czasów za źródło do historyi aryanizmu. W ostatnich latach zajął się na nowo tymi fragmentami ks. Alfred Feder T. J. Pracując w *Bibliothèque nationale* w Paryżu znalazł Feder rękopis z IX wieku, zawierający te same dokumenty. Badając dokładnie ten rękopis i porównując go z innymi, które dotychczasowym wydawcom za podstawę służyły, doszedł Feder do wniosku, że ten nowy rękopis jest typem, z którego inne rękopisy pośrednio lub bezpośrednio są odpisane i że zarówno Le Fèvre jak i Constant tego rękopisu nie znali. Wiedeńska akademia nauk upoważniła Federa, żeby na podstawie

tych nowo znalezionych źródeł przygotował do *Corpus* OO. łacińskich krytyczne wydanie tych dokumentów. Powyższe dzieło Federa jest to pierwsza część przedwstępnego studyum do samego wydania.

Autor daje możliwie wyczerpujący wykaz i dokładny opis rękopisów oraz tłumaczeń greckich i syryjskich, w których te dokumenty całkowicie lub częściowo są przechowane. Z mrówczą pilnością i znajomością paleograficzną zestawia i porównywa rękopisy ze sobą i wyciąga wnioski co do ich pochodzenia oraz wzajemnej zależności. Po krótkim, treściwym rzucie oka na przebieg walk aryańskich w IV wieku, rozbiera autor krytycznie każdy list z osobna; z treści i ze stosunku do innych dokumentów stara się odnaleźć autora, czas i bliższe okoliczności powstania. Co do powstania zbioru tych dokumentów ważne są następujące rezultaty: *a*) wszystkie te dokumenty, przechowane nam w rękopisach, są autentyczne (t. zn. nie podrobione); *b*) te dokumenty są wyciągami z trzech historyczno-polemicznych dzieł, które św. Hilary, biskup z Poitiers, w latach 356, 359 i 367 napisał. Dzieła te złączone zostały w jedno jako: *Opus historicum adversus Valentem et Ursacium* l. I, II, III. W drugiej połowie IV wieku było to dzieło ogólnie znane; później zaginęło. Ale jeszcze pod koniec IV wieku zrobił sobie jakiś uczony, którego zawieruchy aryańskie żywo interesowały, wyciąg z tego dzieła św. Hilarego i ten właśnie wyciąg mamy przed sobą w listach i dokumentach, których krytyczne wydanie ks. Feder przygotowuje. Już z tego, że te dokumenty są urywkiem większego dzieła historycznego, napisanego przez naocznego świadka walk aryańskich, wynika ich ważność i doniosłość zarówno dla dokładnego uchwycenia punktów spornych, jako też dla poznania historycznego przebiegu tych walk. W osobnym dodatku zastanawia się Feder nad zachowaniem się papieża Liberyusza względem aryanów oraz nad jego listami pisanymi z wygnania. Feder postępuje tu jako ostrożny historyk; na wstępie zaraz stawia sobie tę zdrową zasadę, że tak długo trzeba historyczne świadectwa uważać za autentyczne, dopóki poważne, zewnętrzne lub wewnętrzne przyczyny przeciw nim nie przemawiają.

Następnie rozbiera wszystkie zarzuty podnoszone przeciw autentyczności tych listów. Jasno i przekonywująco wykazuje Feder, że te wszystkie zarzuty są bezpodstawne i że przeciwnie, poważne, zewnętrzne i wewnętrzne dane przemawiają za autentycznością tych listów. Mimo to wstrzymuje się autor od wyciągnięcia ostatnich narzucających się wniosków, ich wyciągnięcie zostawia czytelnikowi.

Aczkolwiek rezultaty pracy Federa nie są zupełnie nowe, to jednak

Feder pogłębił je i ich dowody z większą precyzyą uchwycił i przedstawił. Natomiast nowem będzie to, co nam Feder ma dać i na co świat uczony czeka, t. j. sam tekst tych fragmetów zrekonstruowany na podstawie tych licznych i dobrych świadectw, które autorowi stoją do dyspozycyi. Z przedwstępnego studyum Federa można wnioskować, że ten tekst będzie się w wielu punktach różnił od tekstu wydanego przez Constanta i oddrukowanego u Migne'a.

Ks. Karol Ranoszek.

Die Heilslehre des hl. Gregor von Nyssa. *Dr. Johannes B. Aufhauser.* München, 1910. Str. 211.

Autor przedstawia nam w streszczeniu naukę tego neoplatońskiego filozofa i głębokiego teologa na stolicy biskupiej o usprawiedliwieniu i zbawieniu człowieka. Na wstępie daje autor krótką charakterystykę pojęć filozoficzno-teologicznych w czasach św. Grzegorza; następnie przechodzi po kolei pojedyncze punkta nauki tego Ojca Kościoła co do usprawiedliwienia i uświęcenia człowieka, jakim człowiek miał być według pierwotnego planu Boga; upadek i skutki jego, grzech pierworodny i jego istotę.

Odkupienie człowieka jest przedmiotową podstawą zbawienia *(Objektive Heilsgrundlegung);* człowiek sam musi się starać, żeby się stać uczestnikiem tego odkupienia; stanie się przez łaskę Bożą i przez dobrowolne współpracowanie. Owoc współdziałania człowieka z łaską Bożą to jego usprawiedliwienie, którego stopniami niejako są: uwolnienie i uleczenie go od grzechu, przeniesienie w stan synostwa bożego, zamieszkanie Boga w nim i ubóstwienie go nie tylko moralne ale i w jakiś sposób fizyczne, zwłaszcza przez komunię św. Jeżeli zaś człowiek zaniedba uświęcania się w tem życiu, to musi w przyszłem życiu ze swoich grzechów się leczyć; a zatem kary w przyszłem życiu mają tylko medycynalny nie zaś ekspiacyjny charakter, a zatem nie są wieczne; przyjdzie czas, w którym przez cierpienia wszystko zło zostanie »uleczone«, wyrugowane.

W przedstawieniu tej nauki przemawia autor prawie wyłącznie słowami samego Grzegorza; brak własnego, samodzielnego zgłębienia nauki tego Ojca Kościoła, wskutek tego praca ta ma wiele niejasnych punktów, niewiele daje nam nowych rezultatów. Mimo to ktokolwiek chce w krótkim czasie zapoznać się z nauką św. Grzegorza Nysseńskiego, temu praca d-ra Aufhausera odda bardzo wielkie usługi.

Ks. Karol Ranoszek.

Geschichte der Kreuzwegandacht von den Anfängen bis zur völligen Ausbildung. Von *Karl Alois Kneller S. J.* (Auch 98. Ergänzungsheft zu den »Stimmen aus Maria-Laach«.) gr. 8⁰ (X u. 216). Freiburg 1908, Herdersche Verlagshandlung.

Historya liturgii kościelnej ma dla katolika szczególniejszy urok, bo odsłania mu najczulsze i najwznioślejsze uczucia, które ożywiały serca jego przodków po wierze i skrystalizowały się w dzisiejszych praktykach i nabożeństwach. Zasłużony O. Kneller T. J. obrał sobie nabożeństwo »Drogi krzyżowej« za przedmiot historycznych swych badań. i skreślił na tle rozlicznych dokumentów cały rozwój tego na wskróś katolickiego nabożeństwa od zaczątków aż do zupełnego wykończenia. Nabożeństwo »Drogi krzyżowej« nie jest wymysłem jednostki, i nie pojawiło się od razu w dzisiejszej postaci. Najróżnorodniejsze wpływy przyczyniały się do jego rozwoju i setki rąk je kształtowały i doskonaliły. Krzyżowiec w pancernej zbroi i rozmodlony mnich w klasztornej celi, lud prosty i uczony badacz, gorliwy duszpasterz i kościelna władza, bezinteresowny trud św. Leonarda a Porto Mauricio i potężny, cały świat katolicki obejmujący wpływ zakonu św. Franciszka — wszyscy mają jakąś cząstkę w rozwoju tego nabożeństwa. Wspomnienia najpiękniejsze, odnoszące się do Jerozolimy i Rzymu, do historyi i legendy, do wypraw krzyżowych i odrodzenia ducha katolickiego po reformacyi, wiążą się tutaj w jednej zasadniczej myśli we wdzięcznej miłości ku P. Jezusowi, Odkupicielowi i w mocnej ufności w Tego, który jest jedynym zwycięzcą nad cierpieniem i śmiercią.

W pierwszej części śledzi O. Kneller rozwój idei, z których wyłoniło się nabożeństwo »Drogi krzyżowej«; znajduje je w szlachetnym zapale krzyżowców i w pielgrzymkach do Ziemi św., bądź rzeczywistych, bądź to duchowo tylko podjętych. Wierni po wszystkie czasy pamiętali o tem, że P. Bóg patrzy na serce, że zatem od ducha wewnętrznego, w jakim odbywa się pielgrzymkę, zależy jej wartość i skuteczność. Św. Hieronim wypowiedział tylko przekonanie wszystkich nauczycieli życia duchownego, pisząc do Paulina Mnicha: »Nie to, że się żyło w Jerozolimie, ale że się tam dobrze żyło, jest pochwały godnem. Miejsca ukrzyżowania i zmartwychwstania przynoszą pożytek tym, którzy dźwigają krzyż swój i codziennie zmartwychwstają z Chrystusem. Z Jerozolimy zarówno jak z Brytanii droga do nieba stoi otworem, albowiem królestwo Boże w was jest« [1].

[1] Epist. 58, n. 2—3 (Migne, Patr. lat. XXII, 580 ssqu.)

Nie wszyscy wierni, owszem stosunkowo nieliczni tylko, mogli brać czynny udział w pielgrzymkach do Ziemi św., inni w duchu odwiedzali święte miejsca i pamięcią bolesnej męki Zbawiciela zachęcali się do noszenia krzyża. Już od XV wieku posiadamy osobne książeczki, zawierające wskazówki dla pielgrzymek duchowych. Można w nich upatrywać właściwy początek nabożeństwa »Drogi krzyżowej«.

Drugim czynnikiem, prowadzącym do nabożeństwa Drogi krzyżowej, były naśladownictwa świętych miejsc w Palestynie, jakie na Zachodzie znajdujemy już od V wieku. Już wtedy istniały »Jerozolima« i »Betleem« w obrębie miasta Rzymu. W XV wieku widzimy na Zachodzie liczne Góry oliwne, Kalwarye i Groby Pańskie, świadczące o coraz rosnącej czci dla męki Zbawiciela. Od czasów św. Franciszka z Assyżu, cześć męki Pańskiej przybrała więcej charakter współczucia z P. Jezusem, podczas gdy dawniej w Ukrzyżowanym upatrywano chwalebnego zwycięzcę, który przez mękę i krzyż tryumfuje nad grzechem i piekłem. Zakon św. Franciszka roznosił ducha swego patryarchy w szerokie warstwy ludu i budził wszędzie żywe współczucie wiernych z cierpiącym Odkupicielem. Średniowieczne przedstawienia męki Pańskiej, odbywające się nie tylko na scenie, ale i po ulicach i placach miast, prowadziły powoli do nabożeństwa Drogi krzyżowej. Na końcu XV wieku widzimy je w najprostszej formie z oznaczeniem początku i końca drogi bolesnej. Wnet dodawano nowe stacye. Reformacya pociągała za sobą upadek stacyi Drogi krzyżowej, jużto z powodu wojny przeciw religijnym obrazom, jużto skutkiem reformatorskich poglądów na mękę Zbawiciela, według których nie należy współczuć z Ukrzyżowanym, lecz cieszyć się z jego Odkupienia. Reakcya przeciw reformacyi, zwłaszcza duch pokuty, który ją ożywiał na nowo, prowadziły do rozkwitu nabożeństwa Drogi krzyżowej. Największą zasługę dla ustalenia tej praktyki ma niewątpliwie św. Leonard a Porto Mauricio, który nie tylko w kazaniach i pismach ją zalecał, lecz także pośredniczył u Stolicy świętej w uzyskaniu odpustów za odprawianie Drogi krzyżowej. W XVIII wieku Klemens XII zatwierdził dzisiejszą formę 14 stacyi, stawiając ją za warunek uzyskania odpustów, przywiązanych do nabożeństwa Drogi krzyżowej.

Oto główne ramy, w których autor umieścił mnóstwo szczegółów archeologicznych i ascetycznych, opartych na dokumentach. Dzieło jego odnowi wśród szerokich warstw ducha czci i miłości Ukrzyżowanego, jeśli duchowieństwo skorzysta z tych cennych uwag dla pracy kaznodziejskiej i pisarskiej.

Żałować tylko należy, że uczony autor nie starał się o wyjaśnienie zawiłej kwestyi, tyczącej się odpustów, udzielonych za odprawianie Drogi krzyżowej. Wobec rozległej jego wiedzy można żywić nadzieję, że byłby i tę kwestyę trochę wyświetlił.

Ks. Ernest Małzel.

Féminités. *M. Prévost.* I vol. Paris. Alphonse Lemerre Ed. Str. 302, r. 1910.

Autor byłby śmiało mógł książkę swą zatytułować *Futilités.* Jest tam wprawdzie kilka myśli poważnych, ale trzeba je odgrzebywać z pod lśniącego pyłu. Doprawdy ma się już za dużo tych pism o kobietach a raczej o kobiecie pewnego rodzaju, niby nie zepsutej, niby nie szkodliwej, żyjącej w salonowej zgodzie z mężem-klubowcem lub bursistą a znającej jedno tylko poważne zajęcie — obmyślanie i przymierzanie sukien i jeden obowiązek — oddawanie wizyt. Co prawda życie takie lekkie nie jest, toż powiedziano, że ciężko pracujący wyrobnik nie zniósłby natężenia sił, do jakiego przeciętną elegantkę zmusza życie światowe. Na takie życie składa się tysiąc drobiazgów, tysiąc drobnych, z lubością heroiczną znoszonych udręczeń. Te zaś — pominąwszy długi a dość nudny rozdział o charakterystyce listów miłosnych — są przedmiotem omawianej pracy francuskiego autora. A więc metrowe kapelusze, gorsety, papierosy, walc, mania turystyczna, automobilowa i t. p. Automobil zyska tu ocenę bardzo pochlebną, nie już w stosunku do kobiet, ale do mężczyzn. M. Prévost twierdzi bowiem, że dzięki tej skomplikowanej maszynie niejeden bezczynny światowiec nabrał gustu do mechaniki, do świeżego powietrza, do ruchu, otrząsnął się z klubowej pleśni i zaczął pracować. Co do kapeluszy, niejedna z naszych panien, wzdychając do olbrzymiego grzyba lub dzwonu zdobiącego a raczej przygniatającego głowę chudej damy, wyglądającej z żurnalu mód, nie domyśla się, że takie nakrycie kosztuje nieraz 600 do 1000 franków a bywa przeważnie noszone przez żony wielkich przedsiębiorców i giełdziarzy, służące mężom za szyldy zdobytej lub zdobywanej fortuny, jest to jeden z ich sposobów zyskania kredytu... Lepiej przejść do »porządku dziennego« nad rozdziałami takimi jak *Pudeur* lub *Un couple*, których lepiej było nie pisać, niż gorszyć się papierosem w rękach niewieścich a bardziej jeszcze tańcem (zwłaszcza walcem), przeciw któremu p. Prévost prowadzi stale znaną już skądinąd kampanię. Żałuje za to tańca artystycznego (vulgo baletu), który według niego zanika; żałuje również (w ustępie Krach piękności) dotychczasowej czci składanej po

wszystkie czasy przyrodzonym wdziękom, ustępującym obecnie pierwszeństwa wykwintności strojów i szykowi obejścia.

Dział książki p. t. *Paradoxes* jest bardziej od poprzednich ciekawy. Autor rozpoczyna go znalezioną u jakiegoś niemieckiego doktora statystyką cnoty, twierdzącą, iż prym w niej trzymają niewiasty bułgarskie a już wkrótce po nich można zapisać Francuzki przed Niemkami i przed Angielkami. P. Prévost bierze stąd asumpt, aby się żalić na lekką belletrystykę francuską i obcą, rzucającą oszczerczy koloryt na rodzinę francuską, która, krom wyjątków, żyje w dożgonnej wierności i zgodzie. Jeżeli tak jest, to czemuż sam pod tąż samą okładką pisze pół tomu o listach miłosnych, czemu twierdzi, że treść kobiecego listu jest zawsze różną od jego przedmiotu? Że przeto każda z urzędu kłamie... Ale prawda — jest cały rozdział zatytułowany *La Menteuse*, tłumaczący ogólny brak szczerości u kobiet kodeksem napoleońskim, trzymającym je w ciągłej zależności a pod względem majątkowym niemal w niewoli. Pod tym względem ma słuszność — prawo francuskie jest miejscami straszne, dochodzące niemal do *absurdum*. Widzieliśmy damę, która mężowi wniosła przeszło milion intraty, a której mąż udzielał ledwie dosyć, by mogła obuć dzieci i siebie, i inną, której po śmierci męża dano według prawa drobną kwotę na suknię żałobną a odebrano wszystko, nawet pamiątki, które jej mąż dawał po urodzeniu każdego dziecka. Inna znów jest, zawsze według prawa, opiekunką dzieci z pierwszego swego małżeństwa, ale żaden jej podpis nie ma wartości bez podpisu drugiego męża. Pozostaje więc jako *l'éternelle mineure* i jako taka, musi — zdaniem autora — wywalczać sobie sztuką poczestniejsze miejsce wśród społeczeństwa. Zapewne walka o tę sprawę rozegra się na innem polu a tymczasem p. Prévost rozpoczął inną, w której niepodobna odmówić mu pełnej sympatyi. Jeden z ostatnich rozdziałów zatytułowany jest: *La table et les thérapeutes* a wart jest niemal aby dla niego samego książkę zakupić. Zaczyna się od krzyku radości na wieść o rehabilitacyi... pomidora! Przez ciąg ostatnich lat uczciwa ta jarzyna zapisaną była w czarnej księdze, wzbronioną przez lekarzy, unikaną ze strachem przez cierpiących na reumatyzmy i artrytyzmy — to jest przez wszystkie ludy romańskie i poniekąd słowiańskie (krew teutońska jest zda się na artrytyzm odporna). Dziś atoli nastał cudowny zwrot: pomidor wraca do swych praw i godności, uznany jest za pożywienie nie już niewinne, ale wręcz dla artrytyków zbawienne! — toż samo stało się (we Francyi) z winem, toż samo z wodą studzienną. Przez pewien czas wino było wyklęte, woda kryniczna sprawiała zapalenie

ślepej kiszki — fortuny fabrykantów sztucznych wód mineralnych rosły i rozkwitły na schwał. Aż potem nagle spostrzeżono nowe choroby wynikające z nadużycia napojów gazowych, czy też — jak przypuszcza autor, — publiczność uznała, że jest korzystniej napełnić karafkę wodą wprost z wodociągu, niż płacić 70 centymów za tąż samą wodę z przymieszką gazu, wróciła więc do wody zwykłej, do której za poradą lekarzy dolewa nieco lekkiego wina — jak dawniej. Wino bowiem dosięgło najwyższego w dzisiejszej mowie ludzkiej zaszczytu — uznano je antyseptycznem! *Habent sua fata victus* — dodaje autor. Wino, poziomki i pomidor, zaczynają odzyskiwać prawa obywatelstwa, natomiast traci je herbata, mleko i jaja. Co gorzej zaczyna się chwiać los soli i cukru: sól jest niepotrzebna a cukier powinniśmy w sobie wyrabiać sami. Tak więc hygiena odżywiania przybiera co dnia odmienną postać i skład obiadu uchodący w końcu XIX w. za zdrowy, odrzuconoby dziś jako stek trucizny.

»Wszystko to zaiste drobnostki i nie wartoby o nich mówić, gdyby nie fakt, że zdaniem mojem owe ślepe posłuszeństwo przepisom lekarzy, jest jednym z objawów absolutnej wiary w wyniki wiedzy, stanowiącej znamienny rys naszych czasów. Ale czyż lekarze nie nadużywają nieco swej przewagi, dodając nową dozę przykrości do życia ludzkiego. Dość spojrzeć n. p. na kółko znajomych otaczające stół obiadowy. Kobiety strojne w perły i jedwabie, stolik w srebra, cudne szkła i kwiaty. Wysilono się by ich ugościć wszystkiem, co wielkie miasto dostarczyć mogło najlepszego i najwykwintniejszego. Otóż ci wystrojeni ludzie, nie będą śmieli tknąć podawanych im potraw — pogryzą nieco jarzyn na wodzie, podzióbią nieco chleba i to jeszcze w jakimś osobliwym ościstym gatunku, wypiją trochę wody albo nie będą pić wcale a piękne pieczenie, piękne indyki lub bażanty wrócą nie tknięte do kuchni... Wszystko to dzięki dzisiejszym przepisom hygieny. Widziałem na własne oczy tę samą dyetę nakazaną osobie, która chciała schudnąć i drugiej, która pragnęła przytyć... Jeżeli ci pozwolą czemkolwiek się pożywić, to pod warunkiem, że ci nie będzie smakować, że nawet będzie ci wstrętne. Dadzą ci osobliwe makarony, od których twój pies odwraca się z pogardą, dadzą ci tarte jarzyny bez soli ni pieprzu, dadzą kompoty bez cukru, a broń Boże czemkolwiek popić te paskudztwa — pić wolno tylko kiedy się pić nie chce, o najdziwaczniejszych godzinach, ale wtedy w takiej ilości, że samo to picie staje się torturą... Jeśli zaś kto niewierzący usiłuje zachwiać wiernych adeptów przypominając im częste zmiany w przepisach: To może absurdum — odpo-

wiedzą szczerze — ale czuję, że mi pomaga! Autor próbował raz wybadać w tym względzie nie już pacyentów, ale lekarza. Ten był uczciwym człowiekiem. Wiem dobrze, odrzekł, że to wszystko jest niepotrzebne, ale ci ludzie są fanatykami, wiecznie szukającymi bożyszcza. Gdy im go zabraknie w kraju, jadą szukać go za granicą, wielu jeździ od jednego lekarza do drugiego, każdy z nich każe mu wytrącić z dyety coś, co mu jest przyjemne, zastępując je czemś niemiłem. Aż wkońcu z konieczności odżywiania robi się istna męczarnia. Inaczej jednak z nimi nie można sobie poradzić. Gdybym komu powiedział: Żyj normalnie a skromnie, używaj w miarę ruchu i powietrza, pracuj i czyń dobrze drugim choćby dla własnej satysfakcyi — wnet odwróciliby się odemnie z pogardą i poszli do innego lekarza, któryby im wymyślił chorobę i kuracyę, natężającą siły umysłu i ciała«.

Obraz przedstawiony przez p. Prévosta, wydaje się nieco przesadny — dość jednak przypomnieć sobie wiele się już samemu przeżyło różnych systemów hygieny, dość pomyśleć, że w samej Galicyi ludzie mający za co jeść, poddają się pokornie kuracyom głodowym, nie mówiąc już o suchych bułkach i innych torturach, aby uznać, że jest wiele prawdy w tem, co nam podaje. Dla wielu nabożeństwo do własnego zdrowia zastępuje nabożeństwo religijne, niejeden wzrusza ramionami nad umartwieniami świętych, a sam znosi męki, przez cześć dla nowożytnej wiedzy, która mu obiecuje nie wieczny odpoczynek, lecz chwilowe zdrowie. Ten rozdział książki p. Prévosta wartoby w całości przetłumaczyć i rozesłać lekarzom i ich mnogim pacyentom.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Kronika krakowska. Cz. III od roku 1832—1848. *Dr. Klem. Bąkowski.* Kraków 1909. Str. 244, 8-ka.

Jak poprzednie dwie części, tak i ta ostatnia stanowi zbiór wiadomości, podanych o Krakowie w ówczesnych dziennikach, zebranych i zestawionych w chronologicznym porządku. Trzeba tu podziwiać cierpliwość i pracę, jakiej dokonał autor, poszukując drobnych nieraz szczegółów, porozrzucanych w 300 blizko tomach rozmaitych dzienników. Po wypadkach 1831 r. cenzura rządowa nadzwyczaj obostrzoną była, dziennikarze musieli się z nią liczyć, tem więc większej wartości nabierają te lakoniczne nieraz zapiski, zebrane w jedną całość. Uwzględniono tu wszystko: literaturę, sztukę, teatr, rzeźbiarstwo, malarstwo, muzykę, handel, przemysł, szkoły, nekrologi różnych osobistości,

odnowienie zabytków kościelnych i świeckich. Do ważniejszych wyimków należy: odnalezienie grobu Bolesława Wstydliwego w kościele OO. Franciszkanów w r. 1834, zagłada kościoła W. Świętych w r. 1835, beatyfikacya błog. Bronisławy w r. 1840, i naprawa wyższej wieży kościoła Maryackiego w 1843. Dnia 20 lutego 1846 wojska austryackie zajęły Kraków, w marcu tego roku wkroczyły do miasta wojska rosyjskie i pruskie, wreszcie 17 listopada wcielono Kraków wraz z jego okręgiem do Austryi. Na dniu 14 października 1847 nastąpiło uroczyste otwarcie kolei żelaznej, łączącej Kraków ze Śląskiem i Wiedniem. Z powodu rozruchów rewolucyjnych 24—27 kwietnia 1848, komenderujący jenerał Castiglione kazał wojsku użyć broni palnej. Ustawione baterye na zamku, miotały przez 2 godziny ogień niszczący na miasto, na ulicach zaś strzelano z karabinów do tłumu, który tu i owdzie barykady ustawił. Przeszło 20 osób zabito a do 60 ciężko raniono. Dla tych, co się zajmują przeszłością Krakowa w XIX wieku, nieobojętne będą te *Miscellanea Cracoviensia*.

J. S.

Teologia a nauki przyrodnicze. *Ks. Idzi Radziszewski.* Włocławek 1910. Str. 40.

Broszura ta jest odbitką z »Ateneum kapłańskiego«; tezą jej — twierdzenie, że między wiarą i teologią z jednej strony, a naukami przyrodniczemi z drugiej nie zachodzą żadne sprzeczności ani powody do kolizyi Rozpatrzonemi zostały prawie wszystkie punkty, w których rzekomą kolizyę upatrywać lubią. Dowód indukcyjny przeprowadzony zdaje się bez zarzutu. Niepotrzebnem za to wydaje się na str. 6 zwracanie uwagi czytelnika na to, że gdyby nauka objawiona i nauki przyrodnicze stały we wrogim do siebie stosunku, to »należałoby zrobić przypuszczenie, że Bóg uzbroił przyrodę przeciwko sobie samemu i mimo to nieopatrznie zachęca do jej badania«. Cały ten dowód *ab absurdo* dlatego wydaje się niepotrzebnym, że niema w naszych czasach takich przeciwników, w których ugodziłby on mógł. Ci, co starają się udowodnić kolizye między przyrodniczą wiedzą a nauką chrześcijańską, czynią to w tym celu wyraźnie, by zakwestyonować wogóle wartość objawienia. Zwolenników »dwóch prawd« niezgodnych ze sobą nie napotyka się wcale.

J. U.

Pisma Aleksandra Jabłonowskiego. Warszawa 1910—1911. Księg. Wende i Sp. Tom I: Ziemie ruskie Rzeczypospolitej. Tom II: Kresy ukrainne. Tom III: Ukraina.

Podjęto staraniem J. Kochanowskiego wydanie zbiorowe pism znakomitego historyka, znawcy historyi Ukrainy i Rusi, mające się zawrzeć w 7 tomach. W pierwszych trzech tomach znajdujemy rozprawy, drukowane różnymi czasami w czasopismach, a dotyczące ziem ruskich Rzeczypospolitej i kresów ukrainnych. Najważniejsze z nich studyum o »siabrostwie«, rozprawy »Zasiedlenie Ukrainy«, »Ludność rolnicza Ukrainy«, »Kresy ukrainne od ‚Licholecia do Ruiny‘«, »Kozactwo«, »Kozaczyzna a Legitymizm«, »Trechtomirów«, »Handel Ukrainy«, »W sprawie akademii kijowsko-mohilańskiej«, jako odpowiedź na rosyjską recenzyę książki autora »Akademia kijowsko-mohilańska«, »Zaporoże«, wreszcie szkic historyczny »Z przeszłości Ukrainy«, przedstawiający dzieje od wybuchu kozactwa

pod Chmielnickim aż do zaniku onego na Przednieprzu. Zebranie tych cennych prac w jednem wydaniu powita z podzięką, ktokolwiek interesuje się dziejami ojczystemi. Wydanie staranne, druk piękny.

J. U.

Pisma polityczne *Jana Ludwika Popławskiego.* Wydanie pośmiertne z przedmową Z. Wasilewskiego. 2 tomy. Kraków—Warszawa. 1910.

W dwóch grubych tomach zawartą została zaledwie niewielka część wszystkich prac zmarłego przed 3 laty wybitnego publicysty Jana Popławskiego, który przez lat kilkanaście był duszą kierunku narodowo-demokratycznego. Wydawca umieścił artykuły o bardziej zasadniczej treści, drukowane przeważnie w *Przeglądzie Wszechpolskim.* Zdolny i niezmiernie płodny publicysta dotykał niemal wszystkich stron publicznego życia narodu, oświetlając je ze stanowiska obozu, do którego należał. Przedmowa Z. Wasilewskiego zaznajamia nas z kolejami życia zmarłego publicysty.

J. U.

Związek chłopski w Belgii i Holandyi. *Dr. A. Wóycicki.* Warszawa 1909. Księg. nakł. M. Szczepkowskiego. Str. 54.

Praca polityczno-społeczna katolików-niemieckich. *Tenże.* Warszawa 1910. Księg. nakł. M. Szczepkowskiego. Str. 86.

Dwie broszury nowego profesora socyologii w akademii duchownej petersburskiej zasługują na jak najszersze rozpowszechnienie. Na żywych przykładach pracy społecznej katolików za granicą wskazują one, ile tam Kościół zdziałał dla podniesienia dobrobytu materyalnego i dla kultury ludu. Broszura druga osnuta na szerszem tle warunków polityczno-religijnych i społecznych w państwie Niemieckiem. Treściwość opowiadania przy dokładności i potoczystości języka czynią obie broszury nie tylko pożytecznemi ale i zajmującemi. Nadają się doskonale do wszelkich parafialnych i związkowych bibliotek.

J. U.

Jeszcze o punktach spornych pisowni polskiej. *Oswald Balzer.* Lwów. Nakładem autora. 1910. Str. 102.

Rozprawka ta broni poważnymi argumentami pisowni, zatwierdzonej przez krakowską Akademię umiejętności w r. 1891, wbrew dążnościom reformatorskim wielu nowszych badaczy języka z prof. Kryńskim na czele. Dyskusya na ten temat jest zawsze pożądana aż do ujednostajnienia pisowni naszej we wszystkich dzielnicach polskich.

J. U.

Powieść nad powieściami. Opowiadanie o miłości Bożej względem rodzaju ludzkiego. Przez *Br. Honorata, Kapucyna.* Włocławek — Warszawa. 1909—1910. 3 tomy.

W postaci czytań popularnych przedstawia znakomity polski asceta miłość Bożą ku ludziom, jaka się objawiła w stworzeniu, odkupieniu i uświęceniu ludzi. Obszernie, bo aż w 2 tomach mówi o miłości ku ludziom Wcielonego Boga. W dziele tem mamy spopularyzowaną niemal całą teologię i mistykę. Styl równy, piękny, namaszczony. Dusze pobożne znajdą w tem dziele dużo duchowego pokarmu.

J. U.

Najświętsza Marya Matka Boża. Napisał *ks. Józef Pruszkowski.* 3 tomy. Warszawa 1908—1911.

Według trzech części Różańca podzielił autor swój wykład życia, za-

sług i chwały Bożej Rodzicielki na trzy dość duże tomy. Nie jest to jednak tylko wykład tajemnic Różańca, bo obejmuje całe życie N. Panny, o ile ono nam jest znane z Pisma św. lub tradycyi. W dziele znać wielkie oczytanie autora w literaturze maryologicznej i Ojcach Kościoła, ale tam, gdzie tradycya nie dostarcza szczegółów, autor nie waha udawać się po nie do mistyków i jasnowidzących: św. Brygidy, Maryi d'Agreda, Katarzyny Emmerich i innych. Oczywiście teolog będzie umiał rozróżnić powagę różnych części opowiadania, pobożni zaś czytelnicy, nie szukający ścisłości historycznej, znajdą wszędzie pożyteczną lekturę. Każdy rozdział kończy się odpowiednią modlitwą. Dzieło nadaje się jako materyał do kazań maryańskich, jak również jako czytania na maj lub październik.

J. U.

Żydowskie dusze. Przez *Stefana Coubé*. Tłumacz. Janusz Tarczyc. Warsz. 1911.

Autor na tle historyi, jak ją podają ewangelie, w formie powieści przedstawia życie Chrystusa ziemskie, uwzględniając w szczególniejszy sposób psychologię dusz osób, otaczających Zbawiciela lub działających współcześnie. Szczególniej postacie Chrystusa Pana i Najśw. Jego Matki wzniosłe, tchnące powagą i nadziemskim majestatem, a zarazem słodyczą i mocą w cierpieniu. Wiele ustępów i szczegółów istotnie pięknych, np. ustęp »Jasnowłosy prorok z Nazaretu«, »Wróżbiarka z Andory«, »Psalm tryumfalny«, »Nawrócenie Gamaliela«. Zarzucilibyśmy może, iż kilka scen jest zbyt naiwnie skreślonych, rzuconych zbyt samowolnie bez konsekwentnego psychologicznego przejścia. Nie każdy również zgodzi się na poglądy autora, że np. żydzi, o ile przechodzą na chrystyanizm, nie zmieniają wiary, ale właściwie w r a c a j ą do wiary swych ojców (str. XVIII). Ciekawe stąd dla nas chrześcijan byłyby konsekwencye. Tłumaczenie, prócz jednego drugiego błędu drukarskiego, np. »oczy« zamiast: losy (str. XIV), albo nieużywanego zwrotu »w cześć« zamiast: ku czci... bardzo dobre. Powieść czyta się wogóle miło i zajmująco i istotnie z pożytkiem.

W. W.

Z Bożej łaski. *Ottonówna*. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1911.

Cykl wielkopolskich szkiców, pisany jakby ciepłem serca i łzami. Szczególniej pełne głębokich myśli i trafnych uwag są poglądy autorki na kwestye społeczne, str. 84, 162 i następne. Rozległe wykształcenie i oczytanie pozwala autorce z całą swobodą potrącać o najrozmaitsze z różnych zakresów kwestye. Język wspaniały, wielkie bogactwo myśli, jakby jakaś smętna poezya przesłania opowiadania z czasów walki o ojczyste skarby: mowę i ziemię. Cała książka wygrywająca jakby na rogu jedną pieśń braterstwa i miłości i konsolidacyi narodowych sił, jest ze wszech miar godną, by ją wziąć do ręki i od deski do deski z prawdziwie dodatniem wrażeniem przeczytać.

W. W.

Praelectiones dogmaticae. *Chr. Pesch S. J.* Tom. I. Editio quarta. Str. 452. Tom. VIII edit. tertia. Freib. i. Br. Herder.

Znane dzieło, po raz czwarty wydane, nie potrzebuje długich pochwał, iż zachowało swoje zalety, dla których wypiera inne podręczniki z wykładów teologii. Ale właśnie dla po-

wagi, jakiej nabywa to dzieło, trzeba katolickiem piórem wytknąć jego braki; niektóre usterki z dawnych jego wydań w nowem zostały, a przeciwników Kościoła ośmielają do śmiechu z niewykończonych należycie podręczników teologicznych.

W rozprawie o Kościele ks. Pesch odpowiada troskliwie protestantom, ale na wywody odszczepionych Cerkwi wschodnich tak mało zwraca uwagi, jakby o nich nie wiedział. A odszczepione Cerkwie wiedzą o naszych dziełach teologicznych, odpowiadają na nie swoim sposobem, chlubią się zarzutami nieodpartymi przez teologów katolickich. Tak pod l. 297 dr. Pesch powtarza poczesne nazwy, dawane świętemu Piotrowi przez Ojców, łacińskich i greckich; z tych nazw wywodzi wnioski o prymacie; nie wie, co grecka teologia prawosławna uzbierała nazw równie zaszczytnych, którymi Ojcowie sławili innych apostołów; stąd prawosławie wnosi, że i nazwy dawane Piotrowi wynikły z krasomowczego zapału Ojców, a nie dowodzą nic ściśle dogmatycznego. Również pod l. 329 dokładnie o heretykach wywodzi, jak i kiedy ci przestają być członkami Kościoła, — ale o schizmatykach zapowiada coś ogólnie, a nic uchwytnego nie mówi.

Cała sprawa prymatu Stolicy rzymskiej z prawa boskiego a nie z politycznych względów znalazła u Pescha tak pobieżny wywód pod liczbami 299—301, że Grecy nie spojrzą nawet na tę półtorej strony. Ks. Pesch poprzestał na świadectwie dwu starszych Ojców łacińskich i na odsyłaczu do Passaglii i Knabenbauera. Nie wie, że Grecy w swoim czasie odpisali na Passaglię, — a pozostawieni bez nowej odpowiedzi widzą w swoich zarzutach prawdę niezbitą.

Również nie wystarczą wywody o znaczeniu »katolickości« w Kościele prawdziwym. Ks. Pesch widocznie nie wie, jak Grecy zmyślnie wykładają to znamię wiary prawdziwej i najchętniej znajdują u teologa katolickiego pojęcie katolickości przedstawione wieloznacznie. Boją się tylko jasnego, ścisłego pojęcia, wywiedzionego dobitnie z Ojców. I tego właśnie pojęcia ks. Pesch nie podał wyraziście. *K. C.*

Plan d'instructions pour la diocèse de Nevery. Deuxième édition revue et augmenté. Paris. P. Téqui. Rue Bonaparte. 82. 1910.

Nie wątpimy, że książka ta pożądaną będzie dla księży, którzy zajęci pracą parafialną chcą obowiązek nauczycielski względem swej parafii dobrze spełnić. Jest to doskonała pomoc w opracowaniu korzystnych dla ludu kazań. Zawiera ona cały zbiór szkiców do kazań, w których planowo rozłożono cały materyał nauki chrześcijańskiej na lat 4 (po 36 szkiców na rok), a nadto dodano jako rok 5-ty szkice, wykonane na podstawie ewangelii niedzielnych. Szkice krótkie, jasne, zwięzłe dają tylko przewodnie myśli i dowody potrzebne, resztę ma uzupełnić indywidualna praca kapłana, która stosując się do swych słuchaczów i do swego charakteru nada im odpowiednią ostateczną formą i wykończenie. By nawet to ostateczne wykończenie ułatwić kapłanom, przy każdym szkicu dodany jest spis najcelniejszych opracowań podanego materyału, do których w razie potrzeby z korzyścią może i powinien zaglądnąć. *L. R.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Położenie katolików w Szwecyi.

Rok 1910 przyniósł dla katolików w Szwecyi bolesną inowacyę. Od czasów zaprowadzenia reformacyi, albo raczej od słynnego edyktu w Norrköping z roku 1604, Kościół katolicki w tym kraju twarde bardzo przechodził koleje, a jednak pod niejednym względem los jego był znośniejszy aniżeli teraz po królewskiem rozporządzeniu z 23 grudnia 1910 r. Przypomnijmy główniejsze daty historyczne. Edyktem w Norrköping został Kościół katolicki z Szwecyi wygnany i za obcą religię ogłoszony, rzecz z pewnością dziwna w kraju, który tyle cennych posiada pamiątek ze swojej 700-letniej przeszłości katolickiej, ale protestanci znają tolerancyę, o ile chodzi o nich samych tylko w krajach katolickich. Bezwzględne to prawo zostało złagodzone edyktem tolerancyjnym Gustawa III z 24 stycznia 1781, mocą którego katolickie gminy wprawdzie istnieć mogły, ale kult publiczny był im wzbroniony, za to zaś przyznano im pewną choć szczupłą autonomię. Do r. 1860 jeszcze nie wolno było pod grozą kar przechodzić z protestantyzmu do Kościoła katolickiego; wolność religijna, zagwarantowana królewskiem rozporządzeniem z tegoż roku, była bardzo ograniczoną; niewiele też została rozszerzoną przez nowy reskrypt królewski z 31 października 1873.

Jeszcze dziś, na mocy tego reskryptu, przejście na katolicyzm obstawione jest licznemi formalnościami; urzędnika zaś państwowego, któryby porzucił protestantyzm, wprost naraża na utratę posady. Wyższe urzędy w Szwecyi są dostępne wyłącznie tylko dla protestantów. Ten sam reskrypt zabrania także Kościołowi i kościelnym instytucyom posiadania lub nabywania gruntu, jako też zakładania klasztorów i istnienia zakonów. Nie potrzeba dodawać, że dzieci z małżeństw mieszanych należą do protestantyzmu, jeżeli nie było przed zawarciem pisemnej umowy, żądającej katolickiego wychowania potomstwa.

Bardzo dotkliwą kwestyą dla katolików szwedzkich było zawsze prowadzenie ksiąg i wystawianie świadectw kościelnych. Trudność pod tym względem polegała na tem, że księgi metrykalne prowadzone są w Szwecyi nie przez urzędy świeckie, lecz przez pastorów protestanckich. W dekrecie tolerancyjnym z r. 1781 zostało prawo katolików do posiadania własnych ksiąg metrykalnych o tyle uwzględnione, że w miejscowościach, gdzie istniały większe gminy katolickie, księgi te przez katolików samych mogły być prowadzone, w innych zaś miejscowościach, gdzie katolików stosunkowo było za mało, zależeli oni pod względem metryk od magistratu lub władz okręgowych. To samo mniej więcej wyraża jeszcze reskrypt królewski z 23 października 1860, ale już reskrypt z 31 października 1873 czyni ten przywilej katolików zależnym od osobnego pozwolenia królewskiego. Stan ten zmieniło zupełnie rozporządzenie królewskie z 23 grudnia 1910 r. Teraz znowu księgi metrykalne przeszły wyłącznie do pastorów protestanckich. Wszystkie zatem świadectwa wystawiać ma katolikom pastor luterski. Stąd też i wszelkie formalności przy zawieraniu małżeństw także do niego należą, on wystawia świadectwo wolnego stanu, a ponieważ zapowiedzi mają być ogłaszane także i w zborze protestanckim, on także o ich ogłoszeniu świadectwo wydaje. Wreszcie pastor spisuje akt o zawarciu małżeństwa katolickiego. Katolicy więc pod tym względem zostali postawieni w zupełną zależność od pastorów luterskich. Jakie stąd wypłynąć może niebezpieczeństwo utraty wiary, między innymi i dla wychodźców polskich, których w Szwecyi niemało, łatwo sobie przed-

stawić. Zasługuje więc cała ta sprawa na szczególniejszą uwagę i duchowieństwa polskiego, które ma za zadanie zapobiedz niebezpieczeństwu, grożącemu z tego powodu tym Polakom, którzy do Szwecyi na zarobki się wybierają. Katolicy szwedzcy zwrócili się wprawdzie z prośbą do króla, aby nieznośnym tym stosunkom religijnym znowu koniec położył, ale dotychczas odpowiedzi żadnej nie otrzymali.

† Ks. Biskup Niedziałkowski.

Po ledwie dziesięcioletnich rządach dyecezyą łucko-żytomierską, więcej znany i ceniony z 20 letniej twórczości swojej literackiej, zgasł 7 kwietnia ks. biskup Karol Niedziałkowski, zajmujący w szeregu biskupów-literatów obok Kossowskiego i Nowodworskiego wybitne miejsce. Najchętniej przebywał na katedrze profesorskiej i przy biurku pisarskiem. Jeszcze nie mając święceń kapłańskich, dla braku kanonicznego wieku, objął w r. 1867 jako młody magister św. Teologii katedrę w seminaryum żytomierskiem, gdzie wytrwał aż do r. 1897, sprawując przy końcu także urząd rektora. W roku 1897 prekonizowany na biskupa i sufragana mohylewskiego, mianowany został rektorem akademii duchownej w Petersburgu, w r. zaś 1901 przeniesiono go na biskupstwo łucko-żytomierskie, z którem od r. 1867 połączona jest także dyecezya kamieniecka.

Ś. p. ks. biskup Niedziałkowski był wybitnie utalentowanym literatem, którego głównem polem była publicystyka i polemika. Nie należał on wprawdzie do tych, którym dano wskazywać współczesnym nowe drogi, albo wzbogacać badaniami naukowemi wiedzę ludzką, za to był bardzo bystrym obserwatorem wszelkich prądów umysłowych, które umiał sądzić w świetle starych prawd chrześcijańskich. Znakomity stylista, wypowiadał z humorem, wytworną ironią, a nierzadko i z ostrą satyrą myśli swoje, co niemało przyczyniło się do poczytności jego prac, jakkolwiek, z drugiej strony, jego ferwor polemiczny przysparzał mu i niechętnych. We wszystkich nieomal jego studyach przebija to spostrzeżenie, że przyczyną wszystkich dzisiejszych zboczeń i zwyrodnień cywilizacyjnych i kulturalnych jest zwrot do poganizmu, czyli neopoganizm, któremu zwłaszcza poświęcił ostatnie studyum swoje:

»Poganizm, jego istota i skutki«. Tym sposobem prace ś. p. biskupa Niedziałkowskiego noszą cechę wyraźnie apologetyczną, co stanowi wielką ich praktyczną wartość. Wypada wobec spuścizny literackiej ś. p. biskupa Niedziałkowskiego wyrazić życzenie, żeby jak najwięcej znalazło się podobnie utalentowanych pisarzy apologetycznych, którzyby jak on rozpatrywali prądy i usiłowania doby obecnej w świetle wiary i Objawienia, gdyż należy wyznać, że literatura polska w podobne prace nie bardzo obfituje. Tem więcej żałować trzeba, że śmierć przedwcześnie, bo w 65 roku życia, położyła kres tak cennej działalności ks. Niedziałkowskiego, zwłaszcza, że nosił się z myślą poświęcenia lat dalszych wyłącznie pracom literackim, uwolniwszy się od zarządu dyecezyi. Wspomnieć tutaj także wypada o gruntownych artykułach jego w znanej polemice, prowadzonej pod pseudonimem ks. Antoniego Rawicza, przeciw bałamutnym wywodom Antoniego Szecha i Andrzeja Niemojewskiego. Wszędzie przyświeca w pracach ks. biskupa Niedziałkowskiego głęboki szacunek dla prawdy objawionej i niezwykłe przywiązanie do Kościoła, jak też całe życie jego pełne pracy i trosk należało do Kościoła i jemu wyłącznie było poświęcone. Za to mu Bóg odda zasłużoną i hojną nagrodę, a naród w wdzięcznej przechowywać go będzie pamięci, jako jednego z najwybitniejszych swych biskupów-literatów.

Powstanie Mirydytów.

Młodoturecki rząd coraz więcej zdradza skrajny szowinizm, zawodząc tym sposobem wszelkie pokładane w nim nadzieje. Kto się spodziewał gruntownych a rozumnych reform w administracyi, w szkole i w życiu społecznem, ten miał w ostatnich czasach dość sposobności przekonać się, że Azya nigdy Europą nie będzie. Zamiary młodotureckie dziś są jasne, nie chodzi tu o rozwój duchowej i materyalnej kultury, lecz raczej o gruntowną i brutalną niwelacyę, której celem jest jednolite państwo otomańskie, narzucające wszystkim poddanym ludom kulturę i język mniejszości o kulturze niższej i młodszej. To zaniepokoiło Arabię i Macedonię, w ostatnich czasach też wyczerpała się cierpliwość katolickich Albańczyków, Mirydytów. W Albanii solą w oku młodej Turcyi są szkoły, które powstały pod

protektoratem i przy pomocy Austryi, częścią także i Włoch. Widocznie nie na rękę Turcyi szerząca się w tych szkołach obca kultura, nie licująca z azyatycką kulturą mniejszości, kiedy w ostatnich czasach domagać się poczęły sfery rządzące, aby na miejsce łacińskiego alfabetu zostało zaprowadzone pismo tureckie. Wyraźnie więc występuje silna i tendencyjna reakcya przeciw zachodniej kulturze, która dla europejskiej Turcyi może mieć tylko najzgubniejsze następstwa. Bo im więcej oddali się od cywilizacyi i kultury krajów i państw ościennych, tem więcej też Europa uważać ją będzie za organizm obcy, który z czasem musi być usuniętym; tem więcej także ludy europejskie, zostające pod władzą turecką, grawitować będą ku sąsiadom swoim o kulturze pokrewnej. Stara Turcya w każdym razie zostawiała pojedynczym ludom większą narodową i kulturalną swobę i większą okazywała tolerancyę dla religii chrześcijańskiej. Wobec wzrastającego nieładu i buntów w państwie tureckiem mowy być nie może o zniesieniu kapitulacyi zwłaszcza obcych urzędów pocztowych i sądów konsularnych i protektoratów nad chrześcijańskiemi wyznaniami, choć tego Młoda Turcya gorąco pragnie.

Zachcianki młodotureckie wywołały krwawe powstanie Albańczyków, między nimi także katolickich Mirydytów. Ci ostatni są najtęższem plemieniem albańskiem, które nieraz dało dowody swojej nieustraszonej waleczności i dlatego umiało sobie także wywalczyć pewną niezależność i samorząd w Turcyi. Dotychczas wierni sojusznicy Turcyi, w ostatnich czasach pod księciem swoim Prenk Bib Doda zajęli oni stanowisko więcej opozycyjne, gdyż Turcy sprofanowali grób ojca dzisiejszego księcia. Z tego powodu już w wojnie Turcyi z Czarnogórą 1878 odmówili pomocy Turkom. Od tego czasu stosunki są stale naprężone. Katolicyzm Mirydytów znalazł się wobec przeszkód, stawianych przez Turcyę i z powodu warunków geograficznych kraju, w bardzo smutnym stanie. Ustawiczna styczność z muzułmanami spowodowała różne zwyczaje i naleciałości, które z katolicyzmem wcale nie licują. Od 1888 misya OO. Jezuitów z osobnym przełożonym na czele stara się o potrzeby religijne tego plemienia, niosąc niemałe ofiary, gdyż lud nadzwyczaj jest ubogi a niedostępne góry, w któ-

rych mieszka, utrudniają bardzo systematyczną pracę pasterską. Protektoratowi Austryi zawdzięczają katoliccy Mirydyci, że można było więcej dla ich religijnych potrzeb uczynić zwłaszcza na polu szkolnictwa ludowego. Obecnie toczy się krwawa walka z Turcyą o stare przywileje i najwyższe dobra kulturalne, ale ingerencya Stolicy św. i Austryi z pewnością nie dopuszczą do tego, aby Mirydytom narzucono obcą kulurę i obcą religię. Azyatycka Turcya wprawdzie już ogniem i mieczem wyrządziła niemałe straty i krzywdy biednym góralom albańskim, lecz według najnowszych wiadomości lud ten waleczny pomyślnie się broni, tak, że i ze strony Turcyi straty są niemałe. Lud Skanderbega nie podda się, ale jeżeli szowinizm i mania wielkości Młodoturków nie zajmie innego stanowiska wobec bitnych plemion Albanii, może dojść do poważnych zawikłań między interesowanemi państwami Europy i Turcyą, zawikłań, które z korzyścią dla Turcyi z pewnościąby się nie skończyły.

Rozdział Kościoła od państwa w Portugalii.

Widocznie wyswobodziciele od jarzma klerykalizmu w Portugalii nie byli tak pewni swego, kiedy tak długo czekali z ostateczną separacyą Kościoła od państwa na wzór braci masonów francuskich. Nawet teraz, kiedy ponoś według sensacyjnych pogłosek gazet rządowych prawo to witano z entuzyazmem w całym kraju, rząd uważa za potrzebne, aby minister sprawiedliwości odprawił podróż po główniejszych miastach i tam w specyalnych konferencyach całą mądrość tego prawa przedstawił — widocznie więc entuzyazm nie jest zbyt wielki. Nowe to prawo separacyjne ma być rzekomo tylko urzeczywistnieniem znanego hasła liberałów: Wolny Kościół w wolnem państwie! ale jest niem tak mało jak prawo separacyjne francuskie. Wolność Kościoła bowiem według tych praw polega na tem, że Kościół raz na zawsze traci wszystkie prawa w państwie, majątek jego zabiera skarb, on sam skrępowany pod każdym względem ma się stać narzędziem służebnem w rękach rządu. Jest to więc najbrutalniejsze prześladowanie Kościoła, które z taką separacyą, jaką na przykład ma Anglia lub Stany Zjednoczone w Ameryce, nic wspólnego nie ma.

Prawo separacyjne w Portugalii, jak prasa donosi, nie zabrania wprawdzie katolikom wyznawać swojej wiary, wszystkie jednak koszta kultu zrzuca na barki samego ludu wierzącego. Nadto państwo zastrzega sobie nadzór nad Kościołem, mianowicie zatwierdzanie nominacyi kościelnych, wyznaczanie zabudowań na cele wyznaniowe i określa także dochody, które ksiądz mający beneficyum kościelne pobierać może. Nareszcie, aby miarę ironii dopełnić, pozwala także księżom na małżeństwo. Cele tego prawa są bardzo jasne. Rząd liczy na demoralizacyę kleru portugalskiego, że pozwoli on sobie najniegodniejsze warunki i obowiązki dyktować, aby za to otrzymać posadę kościelną i w razie chęci po temu, módz się ożenić. Całe dotychczasowe postępowanie rządu, każe się spodziewać, że uczyni on bardzo staranną selekcyę między księżmi i usunie tych, którzyby chcieli swój urząd w duchu Kościoła sprawować. Rząd liczy także na demoralizacyę ludu portugalskiego, nie bez podstawy się spodziewając, że do poniesienia kosztów kultu lud ten nie okaże się bardzo ochoczym. I tu jest poważna obawa, że stosunki w Portugalii ułożą się jeszcze gorzej aniżeli w Francyi, gdzie w niektórych dyecezyach już kler cierpi niedostatek z powodu obojętności religijnej katolików. W Portugalii dołącza się do tego jeszcze i ta okoliczność, że ludność jest mniej zamożną aniżeli we Francyi a w wielkiej części nie mniej od francuskiej ludności obojętną. Czy kler portugalski, według tego, co o nim wiemy, będzie miał tyle hartu duszy i tyle miłości dla Kościoła, aby na wzór kleru francuskiego raczej cierpieć, aniżeli sprzeniewierzyć się najświętszym swym obowiązkom, przyszłość pokaże, ale widoki tego są bardzo małe. Coraz więcej szerzące się niezadowolenie z obecnego rządu daje wprawdzie uzasadnioną nadzieję, że dni jego są policzone, ale czy reakcya zechce usunąć prawo separacyjne, to jest kwestyą wielką; może ograniczy się tylko do usunięcia najbardziej krzywdzących Kościół zarządzeń. Tak więc przyszłość Kościoła portugalskiego zapowiada się bardzo smutnie. Że zaś rząd nie cofnie się przed użyciem najradykalniejszych środków, pokazało jego postępowanie wobec misyi katolickich w koloniach portugalskich, które prawie do szczętu zruinowane zostały, pomimo że częściowo znajdowały się one pod

protektoratem państw innych i próba zniesienia starego biskupstwa Beji, którego pasterza brutalnie usunięto.

Jak się Kościół wobec tego nowego prawa separacyjnego zachowa, nie może ulegać wątpliwości. Wprawdzie prasa portugalska rozszerzyła wiadomość, że Stolica św. dała biskupom portugalskim wskazówkę, aby się prawu bez oporu poddali i minister Costa, pomimo *dementi* ogłoszonego w *Osservatore Romano*, twierdził, że wiadomość ta polega na prawdzie, ale z góry jest rzeczą jasną, że Rzym dla miłej Portugalii nie zmieni swego stanowiska, zajętego już wobec masonów francuskich i nie pozwoli na to, aby żydzi Kościołem rządzili. Dla katolików zaś wszystkich leży w nowem prawie separacyjnem ta wielka nauka, że program masoński we wszystkich krajach jest jeden i ten sam, choć różnemi drogami do jego urzeczywistnienia dążą. Nie stanowi i Austrya wyjątku pod tym względem i dlatego czas najwyższy, aby katolicy całej Austryi zrozumieli, że dalszym wichrzeniom liberalnym energicznie zapobiedz trzeba, łącząc się dla wspólnej akcyi w projektowaną Unię katolicką.

Ks. A. Starker.

Ze świata nauk i wynalazków.

Znaczenie lecznicze ciał promieniotwórczych, zwłaszcza radu. — Leczenie skira i wilka. — Ze świata zwierząt: szczury i dżuma, influenza między kotami i konkurs kwok.

II.

Z końcem lipca ubiegłego roku odbyło się w gmachach uniwersytetu londyńskiego siedmdziesiąte ósme zebranie doroczne słynnego British Medical Association, przy współudziale gości i delegatów ze wszystkich stron świata, a pod przewodnictwem sławnego chirurga Henryka Butlin. Stowarzyszenie to lekarzy angielskich, znajdujące się pod osobistym protektoratem króla, założone jeszcze w roku 1834, liczy obecnie dwadzieścia dwa tysiące członków, podzielonych na siedmnaście grup. W dwudziestu jeden sekcyach meeting ten objął całokształt najnowszych wyników zarówno teoretycznych poglądów jak i bogatych w doświadczenia praktyków lekarzy z całego świata, któ-

rzy bądź w oddzielnych odczytach, bądź w żywych i pouczających dyskusyach dzielili się ku dobru całej ludzkości swemi naukowemi zdobyczami. Wśród poruszanych licznych i ważnych tematów, jako to, szerzenie się przez zwierzęta chorób zaraźliwych, reforma urządzeń hygienicznych, przeciwdziałanie bakteryom gnilnym w organizmie czy to w jelitach grubych czy też w jamie ustnej — ważnością i świeżością wyróżniała się kwestya elektro- a zwłaszcza radyoterapii. Pomimo, że dla spraw tych utworzono osobną sekcyę, do której jako prelegenta zaproszono jednego z najsławniejszych obecnie żyjących fizyków, prof. J. J. Thomsona, poruszano je nadto często w wielu innych sekcyach, oczywiście przedewszystkiem w chirurgicznej. Tak z tych dyskusyi, jak i z wychodzących obficie wyczerpujących i obszernych dzieł o tym przedmiocie traktujących i artykułów w czasopismach naukowych, pokazuje się, że radyoterapia, to jest zastosowanie do lecznictwa własności ciał promieniotwórczych, niezmiernie szybkie czyni postępy. A postępy te przyniosły cierpiącej ludzkości wiele już ulgi, i niejednokrotnie zaradziły złemu tam, gdzie wszelka pomoc zdawała się być wykluczoną.

Zastosowanie zjawisk promieniotwórczych w medycynie dwoma niejako idzie torami. Pierwszy, to znakomita pomoc, jaką dają prześwietlające, przenikające promienie Röntgena, by wniknąć w ukryte tajemnice dotychczas przed okiem najbieglejszego dyagnostyka zjawisk i nienormalności we wnętrzu organizmu. Zastosowanie tej metody badania w chirurgii, przy rozpatrywaniu obrażeń systemu kostnego, zbyt jest już wszystkim znane, by o niem tu wspominać. Ciekawsze jest użycie fotografii zapomocą promieni X czyli Röntgena do badań medycyny wewnętrznej. Na pierwszy plan wysuwa się tu metoda przedstawiona przez dra Ortona i dra Jordana, i wiele na wspomnianych wyżej posiedzeniach dyskutowana, wykrywania wczesnego tuberkuł płucnych, jako też rozległości i położenia zaatakowanego miejsca w płucach. Że zapomocą promieni Röntgena, czy to przez fotografowanie klatki piersiowej, czy też przez przepatrywanie jej na ekranie fluoryzującym rozpoznać można pierwsze już początki rozkładu, na to zgadzają się wszyscy lekarze, mający z tym przedmiotem do czynienia. Sporną jest natomiast kwestya pierwszeństwa niejako. Już po kongresie ogłosił znowu w tej sprawie rozprawę w piśmie medycznem angielskiem niejaki dr Minor, który utrzymuje, że jednak lekarz praktyk, specyalista, który wprawny jest w dyagnozie suchot, nie da się nigdy w rozpoznaniu tej choroby uprzedzić scyografii,

czyli fotografii za pomocą promieni X. Na to odpowiada mu bezimienny krytyk, który widocznie jest specyalistą w röntgenografii, że już niejednokrotnie zdarzyło mu się, iż posyłał chorych do pierwszorzędnych lekarzy, i ci po ścisłych badaniach orzekali, iż pacyent nie ma żadnych fizycznych symptomów, któreby wskazywały na istnienie suchot. Röntgenograf ów pokazał im na to zapomocą promieni X, dokładnie położenie i rozległość uszkodzeń w płucach — a wtedy lekarze dopiero po dokładnem zbadaniu tego miejsca odkrywali w niem rzeczywiście na pewne oznaki choroby. Gdy się zważy, jak ważną jest rzeczą w przypadku suchot zapobiegać ile możności samym początkom tej strasznej choroby, to uznać trzeba, że nowa ta metoda badania przy pomocy ciemnych lecz przenikających organizm promieni niezmierne terapii oddać może usługi.

Inny przypadek, w którym zastosować można z pożytkiem badania zapomocą promieni X jest chroniczna konstypacya. Pacyenta nakarmiono potrawami, zawierającemi domieszkę nierozpuszczalnych soli bizmutu dla promieni X nieprzenikliwych i następnie przy pomocy tych promieni przeglądano jego jelita grube. Metodą tą można śledzić przenoszenie się pokarmu od przełyku, przez żołądek i kiszki, aż do końca. Przy tej sposobności wyłoniły się także sporne poglądy na zadanie i znaczenie zawartości tych jelit dla organizmu. Wiadomo, że Miecznikow utrzymuje, iż w kiszce odchodowej nagromadzone materyały są wylęgarnią bakteryi, które produktami swymi zakażają i rujnują powoli cały organizm. Jako zaś antydotum przeciw nim uważa Miecznikow laktobakcelinę, substancyę zawierającą bakcyle mleka kwaśnego. Otóż nie wszyscy chcą zgodzić się na ten pogląd, a dr. Goodhart wystąpił przeciw niemu otwarcie; jako główną przyczynę obstypacyi u osób starszych uważa on brak dobrowolnego wysiłku, lenistwo woli, podobnie jak u dzieci to samo lenistwo sprawia często skutek przeciwny. Przeciw tym wywodom Goodharta wystąpił jednak lekarz Lane, który z praktyki swojej przytoczył przykład jednego pacyenta, u którego tak obficie w kiszce odchodowej wydzielały się produkty trujące, że życie pacyenta z powodu doznawanych cierpień stawało się nieznośne. Koniec dolegliwościom położył dopiero zabieg chirurgiczny i po wycięciu części jelita grubego nastąpiła zupełna ulga.

Drugi i ważniejszy jeszcze sposób zastosowania ciał promieniotwórczych w medycynie to użycie tajemnych własności tych promieni wprost jako zabieg leczniczy. Że promienie Röntgena działają na

tkankę żywego organizmu, o tem niestety przekonano się w sposób bardzo tragiczny dosyć wcześnie, bo w pierwszych zaraz latach odkrycia promieni X. Cały szereg badaczy zapadł na ciężkie bardzo choroby skórne, i niektórzy przypłacili nawet poświęcenie swoje życiem. Nie dalej jak kilka miesięcy temu, 9-go lipca ubiegłego roku, zmarł w Londynie po wieloletnich strasznych cierpieniach jeden z takich pionierów nauki, w sile wieku, bo w 46-ym roku życia. Był to fabrykant przyrządów do röntgenografii, Harry Cox. Skoro tylko dostrzeżono ważność i wartość nowych promieni dla medycyny, Cox poświęcił się cały budowaniu nowych do tego celu przyrządów, udoskonalaniu metod, a pracując ustawicznie z promieniami X, nabawił się bardzo ciężkiej choroby skórnej, która powoli, lecz bez przerwy przez kilka lat toczyła jego organizm i wreszcie sprowadziła zgon. Z pośród licznych jego wynalazków najważniejszym może jest wprowadzenie i udoskonalenie metody stereoskopowej w scyografii. Zapomocą niej nie tylko odkrywa się obecność obcych przedmiotów w ciele, ale nadto z łatwością, co przedtem było niemożliwe, oznacza się dokładnie ich położenie. Bo zwykłą metodą, na płycie fotograficznej czy na ekranie, widzi się wszystko, co jest wewnątrz, na jednej płaszczyźnie, i bardzo trudną jest rzeczą oznaczyć dokładnie rozłożenie przedmiotów w przestrzeni.

Dzisiaj jednak, po tylu doświadczeniach, tak badacze, jak i lekarze, przy stosowaniu w celach leczniczych nowych promieni, są ostrożniejsi. Operator ma odpowiednie ekrany, które go od zgubnych wpływów chronią, chorego zaś przy dyagnozach, wystawia się na promienie przez czas bardzo krótki, zupełnie nieszkodliwy, zaś przy zabiegach leczniczych dawki niejako promieni bardzo starannie się mierzy i reguluje.

Że promienie nowe na organizm ludzki, na tkanki, silnie działają, jest faktem stwierdzonym niezliczonemi doświadczeniami. Jak jednak to działanie do skutku przychodzi, jakie przemiany i procesa promienie te w komórkach wywołują, o tem nie wiemy nic. To tylko pewne, że podczas gdy organizm zdrowy, na ich działanie wystawiony, może wielkie odnieść szkody, to znowu promienie te, w sposób umiejętny kierowane, mogą ciężką nawet chorobą dotknięte miejsca i tkanki, doprowadzić w znacznej części a nawet w zupełności do stanu normalnego, do zdrowia.

Jedną z chorób, przeciw którym ciała promieniotwórcze najwalniejsze oddać mogą i oddają już usługi, to jest rak czyli skir, wobec którego medycyna, mimo niesłychanych wysiłków i nakładu pracy i kosztów, dotychczas jest prawie bezsilną. Otóż właśnie co do tej choroby, ogłaszają na pomienionym zjeździe dwaj lekarze paryscy, Dominici i Wickham, bardzo pocieszające wyniki. Według nich skir, który zaatakował wierzchnie części ciała, tak, że można z łatwością do miejsca zepsutego dostąpić, zapomocą radu można w znacznej części zmniejszyć, a w niektórych wypadkach udało się go całkowicie wyleczyć. W wypadkach natomiast, w których rak rozrósł się szeroko, i zajął głębsze części organizmu, wyleczenie nie jest możliwem; udało się natomiast znacznie go zmniejszyć i choremu wielką sprawić ulgę. By módz zastosować rad także w miejscach mniej przystępnych, jak przełyk, żołądek, gardło, wymyślono cały szereg odpowiednio zbudowanych przyrządów, których konstrukcya obchodzić oczywiście może stosujących je lekarzy. Ogół czytelników powinien sobie natomiast dobrze zapamiętać przestrogę, wyrażoną na zjeździe, że najważniejszą, najdonioślejszą rzeczą w kuracyi raka jest wczesne rozpoznanie tej strasznej choroby i natychmiastowe zastosowanie przeciw niej kuracyi radowej.

Metody zastosowania tej kuracyi, jako też i kuracyi elektrycznej przeciwko rakowi są już bardzo liczne. Opisuje je obszernie w swem dziele prof. E. Gaucher, z którego przytoczymy parę więcej zajmujących szczegółów. I tak celem leczenia raka promienie radu, które, jak wiadomo, nie są jednorodne, lecz składają się z całego szeregu bardzo różnych promieni, filtruje się niejako, przepuszczając je przez mniej lub więcej cienkie płytki ołowiane. Przeciw rakowi, który się rozszerza, używa się promieni bardzo przenikliwych, odpowiadających promieniom γ radu i tak zwanym bardzo twardym, to jest o bardzo silnem przechodzeniu rurek Crookesa, promieniom X. Promienie takie mają, jak się przekonano, tę ciekawą własność selekcyjną, że na tkankę zdrową nie wywierają prawie żadnego wpływu, natomiast działają niszcząco na komórki raka. Naświetlanie takiego rozległego raka trwa czas rozmaity, odpowiednio do choroby, od 24 do 120 godzin. Już po niedługim czasie, w trzy do ośmiu dni, chore miejsce zaczyna się zmniejszać, następnie zabliźniać, a po dwóch do czterech tygodni proces ten się kończy. Wogóle, twierdzi Gaucher, zgodnie z przytoczonymi wyżej lekarzami, przez zastosowanie kuracyi radowej, miejsce zaatakowane rakiem można zawsze zmniejszyć i sprowadzić ulgę,

a wypadki mniej złośliwe można zupełnie uleczyć. Gdy jednak choroba przybrała już formę złośliwą, to polepszenie, spowodowane tą kuracyą, jest tylko chwilowe, i wkrótce skir zaczyna dalej swą destrukcyjną robotę.

Dalszą chorobą, przeciw której już od dłuższego czasu używa się działania nowych promieni, to tak zwany lupus, czyli wilk, tuberkuliczne zmiany skóry. Stosuje się tu metodę Finsena, mianowicie miejsce chore oświeca się promieniami fiołkowymi, które czerpie się zapomocą soczewek z bardzo silnych elektrycznych lamp łukowych.

Metoda ta jednak kosztowna, dlatego zastąpiono ją tańszą i równie skuteczną, w której źródłem kuracyjnych promieni jest światło słoneczne. Skupia się je na zaatakowane miejsce skóry zapomocą wielkiej, do trzydziestu centymetrów średnicy liczącej soczewki płasko wklęsłej, tem różnej od zwykle używanych, że jest ona wewnątrz próżna a wypełnia się ją siarkanem miedzi, który przepuszcza promienie aktyniczne, czyli czynne, a pochłania promienie cieplne. Łatwo bowiem sobie wyobrazić, że skupienie światła słonecznego przez tak olbrzymią soczewkę szklaną byłoby zbyt radykalną kuracyą. W ostatnich czasach używa się w tych samych celach jeszcze innego, stosunkowo taniego, a bardzo obfitego źródła światła, to jest tak zwanej lampy rtęciowej, gdzie łuk elektryczny powstaje nie pomiędzy elektrodami węglowemi, lecz rtęciowemi. Lampa taka, zwłaszcza gdy zrobiona jest z kwarcu, który promienie pozafiołkowe przepuszcza, jest szczególnie skuteczną. Dodać trzeba, że jak się przekonano, promieniami leczniczymi przeciwko wilkowi są nie tylko promienie pozafiołkowe, dla oka niewidzialne, ale także i promienie fiołkowe. Używano też przeciw wilkowi promieni X i radu, jednak kuracya świetlna wyżej opisana, jest zdaniem autora najodpowiedniejszą.

Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły dotyczące wielu innych chorób — dość wiedzieć, że w ciałach promieniotwórczych i promieniach Röntgena medycyna zdobyła nowy, znakomity środek leczniczy, którego doniosłość trudno jeszcze obecnie nawet ocenić. Zwrócić należy uwagę na jedną jeszcze okoliczność.

Na zakończenie kilka nowin ze świata zwierząt, a zaczniemy od najnieszczęśliwszych. Takimi są obecnie szczury. Pomijając okoliczność, że i swym zewnętrznym wyglądem i sposobem zarobkowania, od natury im wskazanym, nie są zdolne budzić sympatyi, i zawsze tak w człowieku, jak i w wielu zwierzętach, jak kotach i psach, zażar-

tych i nieubłaganych znajdowały wrogów, to czasy obecne są dla nich wprost straszne i tylko nadzwyczajna ich płodność i niewybredność w wymaganiach życiowych ratować je może od zupełnej zagłady. Warunki niehygieniczne, w jakich żyć są zmuszone, narażały ich zawsze na wszelkiego rodzaju choroby zakaźne, a teraz i dżuma panuje między nimi endemicznie, stale, podobnie jak np. między ludźmi zamieszkującymi niektóre okolice Indyi. Choroba ta wybucha od czasu do czasu między biednymi szczurami silnie, szerząc między nimi straszne spustoszenia a nadto wywołując z tego powodu u ich dziedzicznych wrogów, ludzi, prawdziwy paroksyzm nienawiści i, co za tem idzie, szał eksterminacyjnej wojny. Nienawiść ta ludzi do szczurów w ostatnich czasach jeszcze bardziej, jeżeli to było możebne, się zwiększyła, gdy przekonano się, że dżuma za pośrednictwem pcheł szczurów, przenosi się na ludzi. Pchły te u szczurów w Indyach noszą nazwę Loemopsylla cheopis, bardzo są podobne do pcheł ludzkich i łatwo rzucają się na człowieka, zwłaszcza gdy są głodne. W Anglii natomiast znaleziono dotychczas jeden tylko okaz tego gatunku pchły, za to tam szczury mają pchły podobne do pcheł kur, zwane Ceratophyllus fasciatus, które nie atakują tak łatwo człowieka. Tem się też zapewne tłumaczy, że chociaż między szczurami angielskimi także panuje dżuma, to przecież nie przeniosła się ona dotychczas na ludzi.

Ogromne znaczenie zwierząt w rozszerzaniu chorób zakaźnych między ludźmi, jak np. malaryi, tyfusu, śpiączki i wielu, wielu innych poznano dopiero w latach ostatnich, to też lekarze i przyrodnicy, wspomagani hojnie przez państwa i zasiłki prywatne, nie szczędzą trudów i życia nawet, by kwestye te coraz głębiej zbadać. Nic też dziwnego, że gdy chodzi o tę najstraszniejszą plagę ludzkości, jaką jest dżuma, usiłowania te prowadzone są z prawdziwie bohaterskiem zaparciem. Gdy po odkryciu w r. 1894 przez Yersina i Kitasato bakteryi dżumorodnej stwierdzono, że bakterye dżumy ludzkiej są zupełnie identyczne z bakteryami dżumy szczurów, szczególną uwagę poświęcono tym czworonogom, ich systematyce, biologii i fizyologii. W Bombaju, siedlisku zarazy, gdzie ilość szczurów dochodzi niesłychanych rozmiarów, rozróżniają dwa gatunki: Mus decumanus, szczur brunatny, od którego roi się w gnojowiskach, kanałach i rozmaitych szopach i Mus rattus, czarny szczur, który ma szczególne znaczenie w szerzeniu dżumy, gdyż przemieszkiwa on masami w domach ludzkich i bezpośrednio, niejako jakby zwierzę domowe, styka się z ludźmi.

Jak wiadomo w ostatnich latach w Indyach szalała straszna

dżuma, która wytraciła przeszło jedenaście milionów ludzi. To też w r. 1905 wysadzono komisyę, mającą za zadanie czynić badania nad dżumą, a zwłaszcza nad jej etyologią, to jest sposobem jej powstawania. Po odkryciach wspomnianych już Yersina i Kitasato zwrócono baczną uwagę na epidemię panującą u szczurów i przekonano się, że między epidemią u tych zwierząt a dżumą ludzką ścisły zachodzi związek, i że wybuch dżumy ludzkiej zawsze o jakie dziesięć do czternastu dni następuje po wybuchu tej choroby u szczurów. Jak zaś dżuma ogólnie prześladuje szczury, to widać z niektórych cyfr. Łapano i badano bakteryologicznie te zwierzęta i pokazało się, że na 71 tysięcy badanych w ten sposób szczurów szarych, Mus decumanus, znaleziono zarazek dżumy przeszło u trzynastu tysięcy osobników, a więc przeszło ośmnaście na sto. Zbadano również przeszło 46 tysięcy okazów szczura domowego i pokazało się, że z tej liczby przeszło cztery tysiące, a więc dziesięć procent jest zarażonych dżumą.

W Anglii żyje obecnie masami przeważnie szczur szary, M. decumanus, który tam przybył z Persyi około r. 1725. Przedtem w Anglii był tylko szczur domowy M. rattus, który jednak przez nowego przybysza został wyparty, tak, że M. rattus znajduje się tylko w portach. Jest to zjawisko częste dosyć między zwierzętami, że jeden gatunek wypiera drugi. Można to zauważyć często w naszych kuchniach, gdy do kamienicy zawleką karaczana, owego wielkiego, ciemnego owada, to po pewnym czasie wypiera on znajdujące się tam poprzednio szwaby, czyli prusaki.

Nic dziwnego, że wobec powyższych faktów oburzenie na nieszczęśliwego szczura w Anglii wzrosło w ostatnich tygodniach, a tak dżuma zamiast wzbudzić politowanie dla nieszczęśliwych zwierząt, jeszcze podnieciła przeciw nim nienawiść. Zabrano się tedy do tępienia szczurów wszystkimi sposobami: użytemi zostały trucizna, szczepienie i szerzenie zarazy, mord, słowem wszystkie znane środki eksterminacyjne, z wyjątkiem chyba zaszczepiania zarazy moralnej i szczurzej młodzieży i subwencyonowanie odpowiednich stronnictw. Dość powiedzieć, że w samym Londynie zabito w roku 60 tysięcy szczurów. Mimo to, jak fachowi znawcy wyznają, nadzieja zwycięstwa jest bardzo mała, ubytek szczurów wcale niewidoczny. Na przeszkodzie stoi płodność i tężyzna gatunku — a i troskliwa o zachowanie równowagi między zwierzętami przyroda w ostatnim czasie przybywa im z pomocą.

Donoszą mianowicie z Anglii, że w południowych okolicach kraju a także obecnie już i w Londynie, panuje między owymi naj-

zajadlejszymi wrogami prześladowanych szczurów, kotami, których całe armie trzymają w portowych szopach i składach, rozległa i wiele ofiar porywająca epidemia, którą rozpoznano jako kocią influenzę. Zaczyna się ona, jak mówią sprawozdania, od ogólnego osłabienia, czasami od zaburzeń żołądkowych, potem przychodzi katar narządów oddechowych, brak apetytu, ogólna apatya i zniechęcenie do życia i wreszcie, jeżeli się zaraz z początku nie zawezwie fachowego weterynarza, następuje niechybnie katastrofa. W jednym folwarku w Kent zginęło w ten sposób 16 kotów. Na przedmieściach Londynu potworzyli weterynarze domy zdrowia dla zarażonych kotów, gdzie śmiertelność jest prawie nieznana, gdyż wszystko zależy od należytej fachowej pomocy. Zwracają przytem uwagę na niezwykle małą wogóle odporność kota na choroby, którą charakteryzują zapomocą następującego aforyzmu: życie kota jest dziewięciokrotne, gdy chodzi o pokonanie codziennych wstrząśnień i ataków świata, ale ten sam kot ma tylko dziewiątą część życia, gdy go zaatakuje choroba. Podczas gdy chory pies walczy o swe życie prawie z ludzką wytrwałością, kot nie ma siły do opierania się chorobie. Upada i ginie prawie bez walki.

Ale prócz tych smutnych faktów z obecnego życia zwierząt domowych t. j. szczurów i kotów, kronikarz ma do zanotowania i bardziej pocieszające — a odnoszą się one do kur. W Londynie zakończono właśnie rozdaniem sześciu medali złotych i dziewięciu srebrnych, jako też wielu nagród pomniejszych, 13-te doroczne współzawodnictwo w znoszeniu jaj, urządzone przez »Utility Poultry Club«, stowarzyszenie, którego celem jest popieranie hodowli użytecznego drobiu. Do konkursu stanęło 448 kokoszy, podzielonych na 112 kurników, a czas popisu trwał 16 tygodni. Kurniki, każdy złożony z czterech kwok, stawały do konkursu wspólnemi siłami, a najwyższe cyfry osiągnięte przez pojedyncze kurniki, były 305, 301, 293, 282 jaj zniesionych w ciągu tych 16-tu tygodni. Na każdą liczbę tych jaj składały się cztery osobniki. Jedna kura rasy Buff Orpington, zniosła podczas 16-tu tygodni, t. zn. przez 102 dni, aż 103 jaja. Oceniając wagę jednego jaja na 50 gramów, widzimy, że wyprodukowała ona przez ten czas przeszło 5 kilo jaj, a więc znacznie więcej, niż waga jej ciała. Można sobie wyobrazić, jak szybką musi być w takim organizmie przemiana materyi. Ciekawe jest w tym konkursie i to, że płodność kur należących do tej samej rasy jest bardzo różna. Tak np. jeden kurnik, złożony z osobników rasy Buff Orpington, zniósł w cza-

sie trwania konkursu jaj więcej niż za 60 koron, a inny tej samej rasy tylko za koronę. Znaną jest zresztą rzeczą, że na płodność wpływa nie tylko rasa, lecz w wielkiej części sposób karmienia. U kur, podobnie jak i krów, przez sztuczne karmienie, zmusza się organizm do wysiłku w jednym kierunku. Czy jednak takie jajo nienormalnie płodnej kury, podobnie jak mleko nadzwyczaj mlekodajnej krowy, jest jako pokarm bardzo wartościowem, — o to się oczywiście hodowca nie pyta — bo konsument zapłacić musi jednako.

Ks. F. Hortyński.

Z wydawnictw katolickich.

Ósmy tom Encyklopedyi amerykańskiej katolickiej jest bez wątpienia jednym z najbardziej ciekawych a najbogatszych w informacye ze wszystkich wydanych po dziś dzień części wielkiego dzieła. Zaczyna się wyrazem *Infamy* a kończy na *Lapparent,* obejmując najbogatszą może literę J, a więc Jehovah, Jesus, John, James (Jakób), Judea, Jerusalem, Josaphat, Joseph, Jericho i t. d. i t. d. Zawiera zwłaszcza więcej artykułów przystępnych dla szerszego koła czytelników. Na wstępie prawie wśród życiorysów papieży Innocentych wita nas portret Innocentego X według przepięknego obrazu Velasqueza, przechowanego jako portret rodzinny w pałacu Doria w Rzymie. Ludzie za mało o tym obrazie gadają. Jeżeli bowiem uznanem jest, że możnaby wpatrywać się godzinami w tajemniczy uśmiech Leonardowej Giocondy, to przyznać trzeba, że subtelne oblicze Gianbaptista Pamphili tchnie o wiele bystrzejszym a bardziej skomplikowanym wyrazem. Chciałoby się w lot schwytać myśli tryskające z tego czoła, z tych bystrych oczu, z tych ust nieco odchylonych przebłyskiem dowcipnego uśmiechu. Taż sama twarz w biuście Berniniego przedstawiającym nie już kardynała lecz papieża, nosi już tylko cechy wielkiej powagi i siły, jest może sympatyczniejszą, ale z punktu artystycznego o wiele mniej charakterystyczną.

Artykuł *Italy* choć obszerny, jest raczej statystycznym, niż opisowym, i nie dziw, skoro prawie każde poszczególne miasto włoskie opisanem być musi z osobna. Dla nas bardziej zaciekawiającym jest opis corocznego cudu, dokonywującego się z krwią św. Januarego. Autor widocznie badał sam naczyńka osłonięte podwójnemi ścianami grubego szkła, uniemożliwiającemi wszelkie oszukaństwo; przytacza

wszystkie hipotezy uczonych za i przeciw cudowi; opowiada, że nie tylko w naczyńkach krew staje się płynną, ale i kamień, który według podania miał być zroszony krwią świętego męczennika, staje się równocześnie wilgotnym i przybiera barwę rudawą. Autor jednak pisze dalej, że cud ma się dokonywać dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, ale że w jesieni rzadko kiedy do likwefakcyi dochodzi. Co dziwniejsze a mało komu znane, to fakt, że tenże sam cud dokonywa się z krwią św. Jana Chrzciciela, św. Szczepana, św. Pantaleona, św. Mikołaja z Tolentino, św. Patrycyi, św. Alojzego Gonzagi i innych, których relikwie przechowywane są w okolicach Neapolu albo też z nich pochodzą. Dlaczego tylko cud krwi św. Januarego jest głośnym? Jeden jeszcze ciekawy szczegół, to że gdy krew zakipi napełniając całą objętość naczynia, waga tegoż wzmaga się o 26 gramów, co jest ogromnem, zważywszy stosunkowo drobny rozmiar całości.

Niemniej ciekawą jest rzecz o Dolinie Jozafata, podająca wiadomości dobrze znane uczonym, ale nowe dla tysięcy naiwnych chrześcijan, kłopocących się zagadnieniem, jak cała ludzkość zdoła w dzień Sądu pomieścić się na tem jednem miejscu. Autor tłumaczy, że nazwa doliny Jozafata przylgnęła do doliny Cedronu, dzięki istniejącemu tam długo grobowcowi króla Jozafata, który to grobowiec sami żydzi ongi zniszczyli, włączając go w jeden z murów swoich cmentarzy. Z mnogości grobów na tejże dolinie i z samego znaczenia imienia Jozafat: Jahwe sądzi, powstało mniemanie, że Pan Bóg tę miejscowość przeznaczył na widownię Sądu Ostatecznego. Słowa zaś proroka Joela, zapowiadające pomszczenie przez Jehowę na poganach krzywd ludu bożego możnaby odnieść do wielkiego zwycięstwa króla Jozafata nad bezbożnymi mieszkańcami krain Moab, Ammon i Elom. Niemniej przeto piękną jest myśl ukryta w *vox populi*, a naznaczająca dolinę Cedronu na miejsce Sądu bożego: aby tam, gdzie Chrystus cierpiał, tam też ukazał się w chwale i pogromem bezbożnych pomścił wyrządzone Mu zniewagi. W gruncie zaś obojętnem jest czy sąd odbędzie się na ziemi, nad ziemią czy też gdzieś w obłokach, byle nam miłosierdzie Boskie po prawej ręce wyznaczyło miejsce...

Z opisanych krajów największe po Włoszech zajmują miejsce Japonia a zwłaszcza Irlandya. Aż zazdrość bierze widząc bogactwo szczegółów historycznych, geograficznych, literackich i innych, mnogość rycin i portretów pisarzy irlandzkich (między tymi śliczny portrecik słynnej niegdyś Miss Edgeworth). Snać Irlandczycy w Encyklopedyi blizko są, jak to mówią, wielkiego ołtarza i korzystają skwa-

pliwie z hojnych przywilejów. I znów bierze strach o artykuł *Poland* na widok tego, co się stało z życiorysem św. Jozafata Kuncevyć'a! Podpisanym jest Josafat Markevyć, który może nie chciał uczynić ujmy swemu patronowi, ale bądź co bądź zgrzeszył więcej niż nieświadomością. Przy kilku słowach opisujących Unię w Berest *(sic)*, tak jak w całym artykule niema wzmianki o prawdziwych twórcach Unii, a więc o Skardze, o Zygmuncie III, wogóle niema wzmianki o Polsce. Trzeba się domyślać, gdzie leży miasto Volodymir i pokornie przyjąć do wiadomości, że św. Jozafat został zabity przez »przeciwne mu stronnictwo«, co dalibóg nie stanowiłoby jeszcze prawa do palmy męczeńskiej. Szkoda, tysiąc razy szkoda, że św. Jozafata nie wliczono między pisarzy polskich, których losy w Encyklopedyi uratowało niezmordowane pióro Stanisława Tarnowskiego i przekład na angielskie p. Dziewickiego. Dzięki tym panom Kochanowski, Krzycki i wielu innych zyskało życiorysy jasne, zwięzłe a prawe. Jagiełły za to próżno się szuką pomimo ochrzczenia Litwy! Ale dość już skarg — powinniśmy przecież być do wszelkiego rodzaju lekceważenia przywykli. Lepiej o niem zapomnieć, zwracając oczy na seryę rysunków, przedstawiających Pana Jezusa, od najstarszych, nawpół zmazanych malowideł z katakomb aż do nowszych malarzy. I tu jednak zadziwia pominięcie dwóch wizerunków niemal najpiękniejszych, t. j. Tycyana i Carla Dolce. To jednak jest rzeczą osobistego upodobania. Święty Jakób Większy i Mniejszy, św. Jan Chrzciciel i Ewangelista obszernie i pięknie opracowani, podobnie św. Jan de la Salle, Lacordaire, Lamennais, Lamartine i wielu innych. Raz jeszcze jednak uderza błąd w konstrukcyi dzieła: napróżno bowiem szuka się artykułu: *Jesuits* — toż powinna być choćby nazwa z odsyłaczem do odpowiedniego miejsca. Co prawda krytykować łatwo a samemu zrobić trudno, ale mimo to czytający ma prawo żądać jasności w ugrupowaniu przedmiotów.

Pomiędzy tymi przedmiotami jednym z najbystrzej i najstaranniej obrobionych jest *Kulturkampf* pruski. Widzimy jasno jego genezę, wzrost, wybuch i skutki. Autor jednak widzi w Prusach i w ich wcieleniu t. j. w Bismarcku tylko dłoń wykonawczą, co prawda odpowiedzialną przed Bogiem i ludźmi, ale nie siłę twórczą systemu. Twórcą tym był od końca wojen napoleńskich wzrastający szowinizm niemiecki, podsycany choć nie zmieszany z nim przez prąd liberalizmu. Tak jeden jak i drugi upatrywał w katolicyzmie bezpośredniego wroga, to też Prusy chcąc zawładnąć hegemonię niemiecką, musiały wkupić się w jej łaski, zadając temu wrogowi śmiertelny cios. Sam Bismarck

po ustanowieniu cesarstwa i zwalczeniu Francyi stał nawpół upojony a wpół wystraszony ogromem dokonanego dzieła w przewidywaniu możliwych tegoż skutków w formie nowych wojen lub wiążącej mu ręce wielkiej opozycyi parlamentarnej. Katolicyzm zdał mu się możliwem jądrem tej opozycyi, zaporą, której usunięcie uczyniłoby go wszechwładnem bożyszczem tak szowinistów jak i liberałów i zaczął walkę. O wydalaniach Polaków oczywiście niema wzmianki, cudzoziemcowi bowiem trudno sobie zdać sprawę, iż wypędzając ich, chciano się pozbyć znacznej części żywiołu katolickiego, który tępiono.

Innym jeszcze ciekawym artykułem jest *Labour,* zawierający w skróceniu dzieje klas pracujących od najdawniejszych czasów: srogi ucisk w Egipcie, stosunkowo lżejsze stosunki w Grecyi i w krainie żydowskiej pomimo rozporządzeń Salomona, zwalających na obcokrajowców wszelką pracę, do której nie powinny się były zniżać ręce Hebrajczyków, następnie wzrastające wraz z potęgą i oświatą niewolnictwo u Rzymian, skupianie ziemi w wielkie latyfundya, wobec których za czasów Pliniusza znikli wszyscy drobniejsi właściciele wiejscy a pozostali tylko magnaci, niewolnicy traktowani gorzej od bydła, nieco rzemieślników, przywiązanych przemocą prawa do raz obranego rzemiosła i motłoch uliczny, wołający *panem et circenses!* Zwolna przenikający duch chrystyanizmu rozluźnił z czasem więzy krępujące liczniejszą od ludzi niepracujących część społeczeństwa; więzy te jednak zacieśnił na nowo zalew ludów barbarzyńskich, wszystkich, krom Wizygotów, uznających tylko prawo pięści. I tak dalej snują się przed czytelnikiem losy pracowników niewolnych i wolnych aż do naszych czasów, przyczem uwzględnione są zwłaszcza stosunki W. Brytanii i Ameryki, rozbierane dobre i złe strony związków robotniczych, prawo do strajku i do lokautu, słowem, wszystkie zagadnienia obecnej kwestyi socyalnej. Trudno iść w trop za autorem, trudno wogóle omówić lub nawet zaznaczyć wszystkie ciekawe ustępy ogromnego tomu Encyklopedyi zwłaszcza w przewidywaniu, że tych tomów jeszcze okaże się siedm — zapewnie równie treścią bogatych.

T. W.

Kilka słów w ważnej sprawie.

Wiele jest zadań w społeczeństwie naszem nie zaczętych, wiele pól pracy odłogiem leżących. Przyczynę tego zjawiska upatrują jedynie w braku ludzi, w braku sił do pracy społecznej; a brak ten spowodowany jest obojętnością ogółu na różne ważne zagadnienia bytu, nie jednostek, lecz ogółu. Winien tu może także pośpiech, z jakim się żyje dzisiaj, nawał obowiązków, walka szerokich mas o naukę, o wykształcenie zawodowe, o warunki możliwe istnienia. Jednak — i twierdzę to stanowczo — są jeszcze całe legiony tych, co nie myślą i nie pracują wcale, ani zarobkowo, ani dla celów idealnych.

Nie robią nic.

W ostatnim czasie brałam udział w organizowaniu dwóch ankiet: wychowawczej i naukowej. Jedna była przeznaczona dla rodziców, druga dla młodych, uczących się kobiet. Obydwie nie dały wyników pozytywnych żadnych, bo nie można się było oprzeć na ilości odpowiedzi, tak ilość ta była minimalną.

O czemże świadczyła? O tem, że nie zdaje sobie sprawy nikt prawie z doniosłości wszelkiej statystyki; że nie poczuwa się do żadnej wspólności z ogółem, że nikt nie jest dojrzały do pojęcia ważnego zadania, jakiem jest (czy tylko powinno być?) życie.

Otóż, aby nie popaść w krańcowy pessymizm, próbujemy znowu. Może przecież trafimy na tętno, na serce i może potrafimy teraz, jeżeli nie potrafiliśmy raz i drugi; może wysłucha nas ten i ów, a tamten i inny — pomogą.

Mniej więcej od roku grono osób dobrej woli zorganizowało pogadanki dla kobiet, odbywających karę w tutejszem więzieniu. Z początku była to praca luźna, bez żadnej nazwy, nie ograniczona żadnym statutem, nie określająca żadnych norm.

Jedynie w porozumieniu z władzami, które z całą gotowością służyły wskazówkami i ułatwieniami, kilka pań chodziło w oznaczone dnie do domu karnego, a opuszczającym więzienie starały się wyszukać pracę czy zapewnić powrót do domu.

Praca ta szybko przywiązać potrafiła inicyatorki do dzieła i w konsekwencyi zbudziła pragnienie, aby przecież nie ustała w przyszłości, lecz zyskała z czasem warunki rozwoju, celowego przystosowania i miała pewny byt, jako korporacya, stowarzyszenie, czy związek.

I tak stało się, że pomyślano o organizacyi regularnej, a by uni-

knąć tworzenia nowego towarzystwa, postanowiono poszukać analogicznego lub w już istniejącej jakiej korporacyi utworzyć sekcyę.

Ponieważ myśl wyszła od kongreganistki tutejszej kongregacyi nauczycielek, inicyatorkom wydało się najodpowiedniejszem zwrócenie się do tej właśnie Sodalicyi.

Lecz praca wydała się zbyt ciężką, zwłaszcza, że Kongregacya ma już pewną liczbę agend własnych. Wtedy zwrócono się do żywotnego bardzo i czynnego Polskiego Związku niewiast katol. z prośbą o przyjęcie »Kółka opieki nad więźniami« w szereg swych sekcyi. Związek odmówił, dysponując siłami ledwo wystarczającemi na prace w Tanich kuchniach, Stow. św. Zyty, św. Antoniego, Koloniach wakac. dla seminarzystek, Sekcyi bibl., odczytowej i t. d. i t. d.

Co robić? Była chwila beznadziejna. Szczęściem istnieje w Krakowie Stowarz. opieki nad uwolnionymi więźniami i to przewidziało w swym statucie działalność t. zw. Komitetu dam. Pracujące w więzieniach panie weszły tam zatem i od razu zajęły stanowisko odpowiednie, w zakres swej działalności wciągając nie tylko opiekę nad opuszczającymi więzienia, ale właśnie pracę nad uwięzionymi.

Stało się zatem najlepiej, i dziś pracy tej zapewniony jest normalny i pewny ciąg dalszy, bez względu na to, czy inicyatorki dzisiejsze żyć będą czy nie.

A jak wygląda praca sama?

Wydaje mi się pożyteczną.

Pogadanki są najprzystępniejsze, czytanie głośne zajmujące a pouczające. Unikanie morałów, a ogólna treść podniosła, to byłby ideał książek czy rozprawek, któreby tam opublikować potrzeba. Od paru miesięcy zaprowadzono podczas czytania roboty ręczne. Szycie i krajanie koszul, fartuchów, cerowanie pończoch, robienie nowych na drutach, proste szydełkowe wstawki, mają wielkie powodzenie, zwłaszcza, że jedną z wykonanych robót robotnica, przy opuszczaniu więzienia, otrzymuje na własność.

Tylko rzecz ma jedną ujemną stronę: jest kosztowna. Dziesięć osób, stanowiących »Komitet dam«, z wkładką miesięczną hal. 60, nie może nastarczyć materyału pracującym nieraz dzień cały w kaźni 20—24 kobietom!

Jak radzić? Starać się o coś, coby robić umiały i mogły: o łatanie worków, cerowanie bielizny dla terminatorów, naprawianie bielizny szpitalnej?

Praktyka pokaże, co się da zrobić w tym kierunku, a może Liga

przemysłowa dopomoże i stworzy warsztaty, do którychby można kierować ludzi, opuszczających dom karny.

Bo o ile trudno dziwić się tym, którzy pracy takim właśnie odmawiają, o tyle pracę tę stworzyć im trzeba. Inaczej wszystko jest na nic, i za miesiąc będziemy miały w więzieniu słuchaczki — te same, co przed miesiącem. »Dom pracy« kalkulowany na opłacenie siebie samego, »Dom pracy« oparty na zasadzie, że nikt nie może odejść od jego drzwi, lecz każdy zarobek znaleźć musi, to cel ostateczny »Komitetu dam«.

Nie dajmy mu być zbyt długo muzyką przyszłości. Dopomóżmy. Na razie sił odwiedzających więzienia więcej nie trzeba; te co są, wystarczają — a chętne niech przyjdą spróbować i ćwiczyć się. Ale zapisujmy się na członków i kiedyś setką podpisów stwierdzimy, że rzecz jest potrzebna i że leży nam na sercu.

Obudźmy się z apatyi same i obudźmy innych.

Marya Ruszczyńska.

Druk ukończono 9 maja 1911.

O POTRZEBIE
POPIERANIA KATOLICKIEGO PISMIENNICTWA.

Referat wygłoszony na zebraniu Tow. im. Piotra Skargi.

Towarzystwo imienia Piotra Skargi jest tak młode i mało znane, że ośmielając się wystąpić publicznie, apelować może, nie tyle do swej przeszłości i dzieł dokonanych, ile do wielkiej idei, jaka mu przyświeca. Ta idea jednak jest tak wielka i tak doniosła, że nie możemy nie wierzyć w jej przyszłość i dlatego z pełnem zaufaniem wołamy do ludzi dobrej woli: zechciejcie nas poprzeć i przyłożyć z nami rękę do pracy, u samych podstaw katolickiego odrodzenia kraju.

Chcę mówić o popieraniu katolickiego piśmiennictwa. Dlaczego ono ma być katolickiem? Dlaczego będąc katolickiem, potrzebuje poparcia?

Na dwa te pytania niech przedewszystkiem odpowie potężna mowa żywych przykładów.

Biorąc do ręki wydany niedawno *Kirchliches Handbuch für das katholische Deutschland*[1], nie można się obronić uczuciu podziwu i pewnej szlachetnej zazdrości. Jak w gęstym lesie u stóp wysokich pni drzewnych wiją się tysiące krzaków i krzewów, tak pod skrzydłami oficyalnej organizacyi kościelnej wyrastają

[1] Freiburg im Breisgau. Herder 1909.

na gruncie katolickich Niemiec setki i tysiące stowarzyszeń ludzi świeckich, z których każde we własnym stanie i zawodzie pracuje nad urzeczywistnieniem idei katolickiej, pod znakiem uspołecznienia. I jeżeli się przegląda, nie puste panegiryki, ale szeregi cyfr i faktów, którymi te związki dokumentują dokonane przez siebie dzieła, podziw rośnie, bo widzi się naocznie, że to wszystko rusza się i żyje, pełne zdrowia i siły, świadome swych zadań, wierne wytkniętym kierunkom.

Kiedy się patrzy na tę mrówczą pracę i jej owoce, mimowoli nasuwa się pytanie: Skąd to mnóstwo ludzi tak wybitnie uświadomionych o kwestyi katolickich zasad i zadań, skąd zasoby tej niespożytej energii i wytrwałości, jaka z tych dzieł przebija, skąd ta atmosfera czystego i zdrowego katolicyzmu, jaką te stowarzyszenia tchną i wokoło siebie szerzą?

Odpowiedź na te pytania daje rozdział tej samej książki, opisujący co robi się w Niemczech dla poparcia katolickiego piśmiennictwa.

Na dokładny opis tej pracy czas nie pozwala, ale wymieńmy przynajmniej kilka dat i nazwisk.

Istniejące od lat 65 stowarzyszenie św. Karola Boromeusza dla rozpowszechniania dobrych książek liczy dzisiaj 151.000 członków a 3.265 filii związkowych, utrzymuje z górą 3.000 bibliotek ludowych, łoży na cele propagandy około pół miliona marek rocznie, wydaje peryodycznie prócz własnego organu, dwa katalogi służące katolikom za drogowskaz w wyborze literatury na wszystkich polach.

Założone lat temu 17 bractwo św. Józefa, o podobnym celu, liczy dziś członków z górą 200.000; w przeciągu lat 10 rozrzuciło po kraju przeszło 5 milionów egzemplarzy poważnych dzieł katolickich, utrzymuje dla celów propagandy dwa własne organa.

Inne stowarzyszenie św. Józefa istniejące od lat 5, ma za wyłączny cel obznajamianie katolików z dobrą literaturą i pośredniczy w nabywaniu dobrych książek.

Centralny związek katolickiego kolportażu z siedzibą w Düsseldorfie, prowadzi księgarnię dla łatwego zaopatrywania stacyi kolportażowych i wydaje w tym celu odpowiedni katalog. Inny

podobny związek z siedzibą w Neunkirchen, prócz znacznej liczby agencyi utrzymuje z górą 50 wędrownych kolporterów i wydaje własny organ oraz zdrowe belletrystyczne produkty.

Katolicki *Pressverein für Bayern*, dla popierania prasy codziennej, zdobył sobie w ciągu 5 lat 10.000 członków, założył z górą 100 czytelń i 55 bibliotek z 44.000 tomów.

Poważne, od lat blizko 40 istniejące stowarzyszenie św. Augustyna wzięło za pole pracy wyłącznie dziennikarstwo katolickie i w trojaki sposób dopomaga tysiącowi z górą związkowych dziennikarzy. Najpierw utrzymuje dla nich biuro pośrednictwa pracy, które katolickim dziennikarzom wyrabia odpowiednie pomieszczenie. Powtóre prowadzi biuro literackie, zaopatrujące czasopisma w katolicki materyał belletrystyczny. Po trzecie, zorganizowało kasę zapomogową, która dziennikarzom niezdolnym do pracy wypłaca wsparcia a w razie ich śmierci zaopatruje wdowy i sieroty.

Pomijam cały szereg drobniejszych instytucyi i związków mniej bezpośrednio skierowanych do poparcia piśmiennictwa. Już i to jednak, co wymieniłem, pokazuje, że dziennikarz i literat katolicki w Niemczech nie potrzebuje z obawy głodu wypierać się swych zasad i sprzedawać swego pióra, że wydawca nie potrzebuje się bać by katolickie książki zalegały mu darmo półki księgarskie, że katolik nie potrzebuje czerpać wiedzy i rozrywki ze źródeł mętnych lub wrogich Kościołowi, bo na każdem polu znajdzie wybór dzieł zdrowych i pełnego zaufania godnych.

I pytać się należy czy *post hoc* czy *propter hoc* w jednych tylko Niemczech istnieje 520 katolickich czasopism (w r. 1890 było ich 275), z tych 255 codziennych; czy *post hoc* czy *propter hoc* posiadają Niemcy na każdem polu tak dzielną katolicką organizacyę; czy *post hoc* czy *propter hoc* rozwija się tam, jak może nigdzie indziej, nie bezbarwna, nie na cudzych fundamentach dorywczo klecona, ale z gruntu katolicka wiedza; czy *post hoc* czy *propter hoc* kwitnie tam życie katolickie tak intensywne, jak tego dowodem są ich doroczne *Katholikentagi*.

O tem co się robi dla poparcia piśmiennictwa katolickiego

w Austryi, Francyi, Belgii, nawet Czechach, Chorwacyi, Slawonii — nie chcę wspominać.

Jakże rzecz stoi u nas?

Po długich latach spokojnego snu zaczęto wreszcie i u nas oryentować się w potrzebie organizacyi katolickiej. Ta oryentacya może jeszcze nie jest całkiem spóźniona, ale w każdym razie czas na nią ostatni. Świeżo ubiegłe lata pokazały, że oprócz wrogich katolickiemu i narodowemu życiu potęg: żydostwa, socyalizmu i masońskiej wolnej myśli zaczyna w katolickiej Polsce, nie tylko wśród inteligencyi, ale po trochu i wśród ludu rozpierać się szeroko światopogląd, w którym naprawdę niema miejsca dla Chrystusa i Kościoła, światopogląd oparty na zasadach, jeśli nie niechętnych sprawie katolickiej, to najzupełniej obojętnych. Jeśli ten światopogląd nie ma zapanować na dobre w ogromnej większości naszego społeczeństwa, jeśli w nim niema utonąć nasza kultura katolicka, a z nią najświętsze tradycye narodu — trzeba nam imać się organizacyi we wszystkich stanach i na każdem polu społecznego życia, bo w organizacyi jedyna dziś rękojmia trwałego zwycięstwa.

I przyznać trzeba, że nie zbywa na usiłowaniach w tym kierunku.

Szeregują się po trochu katolicy nasi począwszy od czeladników i terminatorów, skończywszy na obywatelach ziemskich. I Bogu dzięki za to, co jest, za to, co już się zrobiło i co się zrobić pragnie! Od zgubnego pessymizmu i nieubłaganej krytyki rzeczy naszych, niechaj nas Bóg zachowa. Jeżeli jednak szczerze, poważnie zestawimy to, co robi się u nas, w kraju przecież rdzennie katolickim, z tą pracą organizacyjną, jaka wre i tętni, choćby tylko w Austryi, Belgii, Niemczech — musimy powiedzieć sobie bez ogródki, że daleko, daleko pozostaliśmy w tyle. Ze stowarzyszeń katolickich, jedne bardzo szczupłe zakreślają koła, inne zaledwie wegetują, inne jeszcze istnieją tylko na papierze, gdy w rzeczywistości nie odpowiada im prawie nic. Organizacyi wybitnie katolickiej w większym stylu niema ni śladu.

Dlaczego tak jest? Dlaczego te sieci organizacyi rwą się u nas tak rozpaczliwie? Dlaczego ginie tyle pięknych myśli i szla

chetnych porywów? Dlaczego tak trudno natchnąć ludzi tym potężnym, tym zdrowym duchem uspołecznienia?

Niewątpliwie grają tu rolę różne czynniki naszej polskiej naturze właściwe, gra rolę nasz zmysł anarchii, nasza lotność w planach, a brak wytrwania w ich wykonaniu, nasza niezdolność do stałej a cichej ofiary z własnego indywidualizmu. Grają rolę te stare nasze wady narodowe, które nigdzie może nie występują tak jaskrawo, jak na polu pracy społecznej. Ale w głębi popod tem wszystkiem inny jeszcze czynnik wchodzi w rachubę i decydująco waży na szali: My nie dosyć rozumiemy, że katolicka organizacya to owoc silnych i jasnych katolickich przekonań i głęboko tkwiących w sercu katolickich zasad; my nie pojmujemy, że zdrowie tych przekonań i zasad z nieubłaganą konsekwencyą stoi w prostym stosunku do zdrowia strawy duchowej, którą karmimy nasz umysł i serce.

Bo i cóż jest materyałem do organizacyi?

Oczywiście jednostka, uświadomiona o doniosłości wspólnej sprawy i przejęta dla niej takim zapałem, by zdolna była ponieść tę odrobinę ofiary i wysiłku, jakiej łączna praca wymaga. A jeśli takim musi być materyał do organizacyi w ogólności, to organizacya k a t o l i c k a suponuje uświadomienie k a t o l i c k i e i szczery, żywy interes dla katolickiej sprawy.

Tymczasem cóż widzimy naokoło siebie?

Pominąwszy już całkiem obojętnych, widzimy całe szeregi katolików mniej więcej wierzących, mniej więcej praktykujących, żyjących tak, jak na inne, mniej groźne czasy wystarczyć mogło, a nie dających się wciągnąć w tę intensywną pracę wspólną, która na porę dzisiejszej, rozpaczliwej nieomal walki jest wprost nieodzowna.

Skąd to pochodzi?

Bo w duszy tych ludzi jest może odrobina troski o własne zbawienie, ale niema interesu dla katolickiej sprawy, owszem jest nieraz zupełna ignorancya w kwestyi katolickich dzieł, walk, potrzeb, niebezpieczeństw, i więcej jeszcze — gruba ignorancya w przedmiocie bardzo zasadniczych katolickich dogmatów i poglądów.

I nie trudno odgadnąć dlaczego tak jest. Dość spojrzeć na to, co oni czytają, czem karmią umysł i serce. A nie myślę przy tem o pismach i książkach wprost antyreligijnych, *ex professo* podkopujących wiarę. Wystarczy stale czytać pisma dla Kościoła i wiary o b o j ę t n e, wystarczy nigdy nie brać do ręki książki prawdziwie i szczerze katolickiej, wystarczy nie stykać się nigdy z katolicką intellektualną atmosferą — a wnet wytworzy się ten nastrój umysłu i serca, w którym nie znajdzie echa najgorętszy nawet apel do katolickiego czynu. Wiadomości o wierze i Kościele powoli zasnują się mgłą, zaniknie po trochu pewien zmysł czy instynkt katolicki, opanują umysł niekatolickie poglądy, a w sercu zagnieździ się tysiąc nie całkiem uświadomionych, ale głębokich uprzedzeń — przejdzie lat kilka a dusza uczuje się obcą i zobojętniałą dla wszystkiego, co wychodzi poza sferę kilku zewnętrznych praktyk religijnych. Tak jest; na to ustawicznie patrzymy wokoło siebie; tak być musi, bo trzebaby cudu, żeby rzeczy katolickie znał i cenił, kto o nich nigdy nie czyta i nie słyszy. Jak zasób sił fizycznych zależy od materyalnego pokarmu, tak rodzaj strawy duchowej, którą się żyje, rozstrzyga o duchowem ukształtowaniu umysłu i serca. Bez prawdziwie katolickiego piśmiennictwa nie dojdziemy nigdy do wyrobienia uświadomionych i gorliwych katolików, a gdzie ich niema, tam nie może być mowy o tem intensywnem katolickiem życiu, którego wyrazem i owocem jest organizacya. Nie można czekać plonu nie rzuciwszy w ziemię ziarna i próżno się spodziewać, że coś z niczego wyrośnie.

Ale jeżeli piśmiennictwo katolickie ma istnieć, to nie może obejść się bez p o p a r c i a.

Są ludzie, którzy kupiliby katolicką książkę i trzymaliby katolickie pismo, ale pod warunkiem, żeby ono od pierwszej chwili było świetne, interesujące a nie drogie, żeby najzupełniej wchodziło w ich kąt widzenia polityczny i społeczny, żeby ton, ba nawet format zewnętrzny ściśle odpowiadał ich gustom i wymaganiom. A ponieważ taki ideał się nie pojawia i jak *deus ex machina* pojawić się nie może, rzekomo z konieczności, rezygnując ze swego *pium desiderium*, posługują się piśmiennictwem

pół-katolickiem lub zupełnie bezbarwnem, wspomagając się zresztą produktami zagranicy, Niemiec lub Francyi. A jeśli tu i ówdzie urodzi się i u nas pismo szczerze katolickie, które poparte, mogłoby rozwinąć się i ulepszyć, kiedy od razu nie odpowiada rzeczywistemu, a często subjektywnemu ideałowi, pada ofiarą nielitościwej krytyki lub zupełnej obojętności.

Że przy podobnem usposobieniu ogółu inteligencyi wierzącej o stworzeniu prawdziwie katolickiej literatury mowy być nie może, to zdaje się być oczywistem. Pismo i książka daje pokarm społeczeństwu, ale daje go jak roślina, która, żeby oddać ziemi nasienie, musi wpierw przez korzenie życiodajne soki z ziemi odebrać. A jeśli rozwój każdego pisma zależy od poparcia, jakiego mu własne jego środowisko udziela, to przedewszystkiem rozwój pisma katolickiego, które z wielu względów trudniejsze ma warunki bytu. Pismo katolickie wyznawać musi zasady nie zawsze sympatyczne, bo nie zawsze łatwe i miękie; dla niego zamknięte są różne drogi efektownej sensacyi i schlebiania zmysłom; ono musi z konieczności często wdawać się w walkę z niejednym popularnym przeciwnikiem; jego losem — nazwijmy rzecz po imieniu — to służba pod znakiem, »któremu sprzeciwiać się będą«. Więc szczerze katolickie pismo, zwłaszcza w początkach, dopóki się nie wzmocni i nie wydoskonali, na nic innego liczyć nie może, jak na praktyczne, nie czysto platoniczne uświadomienie wierzącej inteligencyi, że bez katolickiej literatury, nie dojdziemy do żywszego katolickiego życia, a katolicka literatura, nie powstanie bez wysiłku i ofiary. O ludziach, co pragnęliby piśmiennictwa katolickiego a nie umieją się zdobyć na to, by jedno z istniejących pism prenumerować i energicznie szerzyć, mówił już stary Horacy: *Rusticus exspectat dum defluat amnis, at ille labitur et labetur in omne volubilis aevum.*

Z głębokiego odczucia potrzeby katolickiego piśmiennictwa i jego poparcia zrodziło się lat temu kilka Towarzystwo imienia Piotra Skargi.

Czem ono chce być i czemu służyć?

Ono nie chce być stowarzyszeniem oświatowem, stąd, lubo może im dopomagać w swoim zakresie, ani na jednym punkcie

nie wejdzie w drogę Towarzystwom oświaty czy szkoły ludowej. Ono nie chce być związkiem naukowym dla rozwoju jakiejkolwiekbądź gałęzi wiedzy. Tem mniej żywi jakiekolwiek aspiracye w kierunku pracy społecznej ściśle wziętej, a kwestye polityczne z założenia swego wyklucza poza nawias. Ono chce służyć sprawie popierania i rozpowszechniania zdrowego w duchu katolickim i narodowym piśmiennictwa[1]. Piśmiennictwo to jedyne pole, na którem Towarzystwo Skargi pracować pragnie, by krzewić i rozpowszechniać co dobre, by w miarę możności zwalczać co złe, lub uzdrawiać co niewyraźne. Wpoić w wierzącą część naszego społeczeństwa głębokie przekonanie, że my katolicy-Polacy możemy i musimy mieć własną katolicką literaturę, rozbudzić w tym kierunku energiczną wolę, ująć wreszcie dobre zamiary jednostek w ramy silnego, systematycznie działającego związku — oto cel, w imię którego związaliśmy się pod nazwiskiem wielkiego Skargi.

Do tak rozległego celu prowadzi oczywiście wiele, bardzo różnorodnych środków. Nasunęło się więc poważne pytanie, czy wszystkich wysiłków nie ograniczyć zasadniczo do jednego, ściśle określonego sposobu popierania dobrego piśmiennictwa n. p. do kolportażu, zakładania bibliotek stałych i okrężnych i t. p. Za tego rodzaju ograniczeniem przemawiał przykład stowarzyszeń zagranicznych, przemawiała i obawa zbytniego rozstrzelenia sił a przez to nieskuteczności pracy. Po poważnym namyśle jednak postanowiono z jednej strony nie wykluczać zasadniczo żadnych środków, które do osiągnięcia ogólnego celu prowadzić mogą, z drugiej strony wszakże nie prędzej imać się dzieł większych i bardziej skomplikowanych, niż na to siły stowarzyszenia pozwolą[2].

---

[1] Statut. § 2. »Celem stowarzyszenia jest krzewienie i popieranie polskiego, katolickiego piśmiennictwa«...

[2] Za tego rodzaju postawieniem kwestyi przemawiały następujące racye: Lubo w zasadzie, środki działania im ściślej określone, tem lepsze. w naszem społeczeństwie, do pracy związkowej mało wdrożonem, zbyt ciasna sfera działania odbiera stowarzyszeniu tak siłę atrakcyi, jak pewną, koniecznie potrzebną wziętość i ważność. Powtóre, obejmując różne dziedziny pracy, może Towarzystwo Skargi wciągnąć i wyzyskać ludzi najrozmaitszych sfer

W myśl tej zasady uważa Towarzystwo Skargi za własne następujące szczegółowe zadania, które w miarę sił chce przeprowadzić bądź to zaraz, bądź w przyszłości po odpowiednim przygotowaniu gruntu:

Po pierwsze, pragniemy oryentować katolików, zwłaszcza rodziny i działaczy ludowych, w nowej literaturze naszej, segregując przez wydawanie rozumowanego katalogu, pisma i książki prawdziwie polecenia godne od złych lub wątpliwych.

Powtóre, pragniemy wszelkiemi siłami przez reklamę, kolportaż, kramy księgarskie, biblioteki okrężne i kolejowe rozpowszechniać pisma i książki katolickie przez kogokolwiek wydawane.

Po trzecie, przez porozumienie z wydawcami dążymy do zaopatrywania na łatwych warunkach w dobre wydawnictwa czytelń i wypożyczalni publicznych, zwłaszcza ludowych, a ewentualnie i do zakładania nowych.

Po czwarte pragniemy ułatwiać pracę dziennikarzom katolickim przez zakładanie biur inseratowych, korespondencyjnych lub informacyjnych w pewnych zakresach, przez doprowadzanie do skutku wzajemnego ich porozumienia czy to zapomocą zjazdów, czy komunikatów i t. p.

Po piąte, chcemy pisarzom i dziennikarzom katolickim służyć i materyalnem poparciem przez pośrednictwo w uzyskaniu zajęcia, przez wyjednywanie zapomóg u władz, przez premie i konkursy, przez zaopatrzenie na wypadek starości lub choroby.

Po szóste, pragniemy we własnych organach i w innych, o ile w myśl Towarzystwa Skargi wejść zechcą, wypowiedzieć wojnę literaturze złej, przedewszystkiem pornograficznej, by dążyć w ten sposób do wyrobienia zdrowej katolickiej opinii.

---

i zawodów, bo dla każdego znajdują się, jemu właściwe sposoby działania. Po trzecie, nie da się zaprzeczyć, że różne środki służące do tego samego ogólnego celu są tak ze sobą związane i tyle mają punktów stycznych, że pracę w jednym kierunku bardzo wspomaga praca w drugim kierunku, o ile obie stoją pod wpływem jednego głównego zarządu. Pomyślmy np. jak bardzo ułatwia kolportaż biuro pośredniczące między wydawcami a sprzedającymi i naodwrót jak kolportaż ułatwia zaopatrywanie bibliotek i kramów i t. d. Niebezpieczeństwu rozstrzelenia sił skutecznie zapobiegnie podział pracy na sekcye w sposób, o którym niżej.

Po siódme, ewentualnie tylko i w miarę potrzeby, gotowe jest Towarzystwo wydawać we własnym nakładzie katolickie pisma peryodyczne, broszury, ulotne publikacye, a nawet prowadzić księgarnie i drukarnie.

W takiem pojęciu rzeczy byłoby Towarzystwo imienia Skargi rodzajem centralnej organizacyi dla popierania dobrego piśmiennictwa, organizacyi jednoczącej poszczególne zadania, którym służą zagranicą odrębne związki.

Jakże się przedstawiają sposoby wprowadzania w życie tych wielkich zamierzeń?

W tego rodzaju instytucyach jak Towarzystwo Skargi grają rolę dwojakie siły. Jedna, to siła masy, która waży, nie tyle jakością i pozytywnem współdziałaniem, ile liczbą jednostek poddających się wpływom związku. Druga, to siła inteligencyi i dobrej woli jednostek mniej licznych, ale wybitnych, które chcą i mogą nad urzeczywistnieniem ideałów Towarzystwa pracować. Na pierwszych spoczywa przeważnie materyalna, na drugich, moralna siła instytucyi.

Zaczynając od pierwszych, dąży Towarzystwo Skargi przedewszystkiem do tego, by zyskać materyalną podstawę przez wciągnięcie jak najliczniejszych członków, czy to zwyczajnych, z minimalną wkładką 6 halerzy miesięcznie, czy wspierających, z roczną wkładką dwóch koron, czy dobrodziejów, z podobną wpłatą 100 koron, czy założycieli, którzy jednorazowo, lub ratami w ciągu jednego roku, tysiąc koron na cele Towarzystwa składają. Wszystkie te kategorye członków, jako takie, oprócz powyższej wkładki, nie biorą na siebie innego obowiązku, jak ten jeden, by w swojem osobistem i rodzinnem życiu strzedz się literatury złej a utrzymywać i popierać dobrą. Przez nich więc Towarzystwo rozszerza się wszerz i zdobywa potrzebne do działania środki. Członkowie ci grupują się w kołach, rozsypanych po wioskach i miastach kraju, do kasy tych kół uiszczają swe wkładki, w nich gromadzą się na zebrania, by przez wymianę myśli oraz odpowiednie wykłady czy odczyty co jakiś czas, nowej nabrać pobudki i nowe odebrać wskazówki.

To wszystko jednak to czynnik bardziej materyalny. Czyn-

nik, z którego wychodzi właściwa działalność Towarzystwa, to zarząd główny, rezydujący we Lwowie i zarządy Kół miejscowych, otoczone ewentualnie sztabem przeróżnych sekcyi.

Zarząd główny ma w ręku, w sposób statutem bliżej określony dyrektywę wszystkich kół miejscowych, a nadto sam prowadzi dzieła, z natury swojej wymagające centralnego organu. I tak — do zarządu głównego należy wydawanie peryodycznych publikacyi całego Towarzystwa, jak np. własnego czasopisma, rozumowanych katalogów i innych tym podobnych wydawnictw; zarząd główny zajmie się zwoływaniem zjazdów pisarzy katolickich; przy nim istnieć będą biura informacyjne lub inseratowe oraz kasy zapomogowe dla katolickich dziennikarzy i t. d. Naodwrót sekcye, przy zarządach kół miejscowych ustanowione, podejmować się będą prac, które centralizacyi nie wymagają, a celom Towarzystwa w swoim zakresie skutecznie służyć mogą. Liczba i jakość tych sekcyi zależy najzupełniej od siły tak umysłowej jak finansowej i liczebnej każdego koła miejscowego. W jakiemś małem miasteczku może istnieć sekcya dla zakładania i prowadzenia w okolicy kramów z dobremi wydawnictwami, gdzieindziej np. w miejscach odpustowych może być teren podatny dla kolportażu. Jeszcze indziej może mieć warunki powodzenia sekcya biblioteczna dla tworzenia lub zaopatrywania bądź to stałych bądź okrężnych bibliotek po szkołach, szpitalach, więzieniach, tanich kuchniach i innych publicznych, zwłaszcza ludowych lokalach. Bardzo wskazaną będzie, przedewszystkiem w większych miastach, osobna sekcya antypornograficzna. Gdzie jest pod dostatkiem ludzi o wybitnej inteligencyi i w literaturze obytych, powstać może sekcya do tworzenia rozumowanych katalogów książek w różnych dziedzinach, albo sekcya prasowa, której zadaniem byłoby zwalczanie na polu publicystyki poglądów obrażających lub bałamucących katolickie sumienie. Przy każdem kole pracowałaby z pożytkiem sekcya propagandy dla pozyskiwania Towarzystwu nowych członków i przyjaciół, oraz sekcya gospodarcza dla pomnażania jego funduszów przez odczyty, przedstawienia, koncerty i inne tym podobne sposoby.

Bliższe określenie regulaminu sekcyi, ich stosunek do za-

rządu koła i zarządu głównego, sposób porozumiewania się ich między sobą dla osiągnięcia jednolitej akcyi w całym kraju — są to kwestye podrzędne, które po części już znalazły, po części znajdą bez trudności praktyczne rozwiązanie. Myśl zasadnicza jest ta, by każde koło Towarzystwa było ogniskiem, z którego, pod kierunkiem zarządu głównego, promieniowałaby praca w duchu Towarzystwa, a to w sposób tak różnorodny a gibki i nie obciążony martwym szablonem, że każdy znaleźć może odpowiedni sobie, a bardzo pożyteczny rodzaj zajęcia.

Oto najogólniejszy zarys planu działania i organizacyi Towarzystwa Skargi.

Cóż w tej mierze stało się już konkretną rzeczywistością?

Że w ciągu lat niespełna dwóch, wśród wielu trudności, przedewszystkiem wśród walki z apatyą i nieuświadomieniem katolickiem społeczeństwa naszego, nie można było dokonać wielkich rzeczy — to rzecz oczywista. Stąd, tylko w tym celu dajemy pogląd na skromny dorobek pracy naszej, by dać dowód, że w maleńkim zarodku wielkiego dzieła, mimo wszystko, pulsuje życie, które żąda ekspanzyi i tę ekspanzyę, jak ufamy, znajdzie.

Kół miejscowych po różnych miastach naszego kraju zawiązano dotąd dwadzieścia kilka, łączna suma członków wynosi około 2000.

W dziale wydawniczym założono przedewszystkiem tygodnik literacki i społeczny p. t. *Kronika powszechna,* wydano szereg broszur popularnych, które rozeszły się po kraju w blizko 100.000 egzemplarzy, puszczono w świat kilka ulotnych pisemek w aktualnych sprawach.

Dział bibliotek ruchomych stworzył kilkanaście biblioteczek okrężnych w postaci t. zw. kufrów Skargowskich, które obiegając wsie i miasteczka roznoszą zdrową a umiejętnie skombinowaną literaturę. W kilku miejscach nadto pozakładano stałe wypożyczalnie oraz kramy z książkami treści apologetycznej, społecznej i religijnej, oraz oczyszczono i uzupełniono biblioteki szpitalne i więzienne.

Dział rozumowanego katalogu przygotował już do druku

około 1000 krótkich recenzyi o książkach i broszurach, głównie z zakresu piśmiennictwa ludowego.

Dział walki z pornografią, dla uświadomienia w tej mierze opinii publicznej urządził szereg wieców i wykładów, nadto przez odniesienie się do władzy i osobistą interwencyę skutecznie zatamował niejedno źródło zgnilizny.

Dział kolportażu postarał się u lwowskiej Dyrekcyi kolejowej o prawo wystawiania na stacyach t. zw. koszyków Skargowskich z literaturą przez Towarzystwo poleconą i takowe już na kilku stacyach zaprowadził.

W obecnej chwili dochodzi do skutku ruchoma wystawa wydawnictw katolickich naszego kraju, która przenosząc się z miasta do miasta, przy pomocy odpowiednich wykładów szerzyć będzie znajomość katolickiego piśmiennictwa.

Nakoniec we Lwowie, skąd wyszedł główny impuls do pracy i gdzie dokonano przeważnej części wymienionych dzieł, powstała w łonie Towarzystwa jeszcze jedna, bardzo pożyteczna instytucya. Zawiązało się t. zw. koło prelegentów, w którem około 40 młodych akademików kształci się systematycznie w wymowie, deklamacyi, sztuce prowadzenia dyskusyi, by uzdolnić się do skutecznej propagandy na rzecz idei Skargowskich.

Oto maleńki dorobek pracy, tylko na dowód, że Towarzystwo imienia Skargi, lubo dotąd szczupłe i fazę pierwszej formacyi przebywające, nie jest w stagnacyi, wróżącej zgon rychły, ale żyje.

My jednak nie chcemy jakkolwiek żyć czy wegetować — chcemy wzrosnąć na siłach, i dojść do tej pełni rozwoju, by zaważyć istotnie w sprawie katolickiego odrodzenia naszego kraju.

Zbliża się już Skargowska rocznica, gotują się dzieła i obchody, które przez pamięć wielkiego miłośnika Boga i Ojczyzny, chcą wskrzesić jego ducha w sercu tych pokoleń, do których on sięgał poprzez wieki wieszczem swem okiem i płomienną miłością.

Gdyby on dziś stanął wśród nas i złotem, natchnionem swem słowem zaczął nam głosić nasze błędy i wskazywać na środki zaradcze, niewątpliwie uderzyłby w tę strunę, która ustawicznie dźwięczy na ustach papieży i biskupów i najwybitniejszych przy-

wódców akcyi katolickiej: Starajcie się o dobre piśmiennictwo! Chcecie mieć dzielnych katolików, nie tylko do kościoła i procesyi, ale do katolickiego czynu, dajcie im w rękę zdrową literaturę!

Do pracy w tym kierunku wzywamy ludzi dobrej woli.

Gdy przejdzie Skargowska rocznica, niechże wśród innych trwałych śladów pozostawi po sobie w miastach i wioskach kraju liczne koła Towarzystwa naszego, by z tych drobnych ziarn, pracowicie rzucanych na twardą rolę, wyrósł kiedyś plon lepszej katolickiej przyszłości narodu.

Ks. Jan Rostworowski.

CZWARTY MIĘDZYNARODOWY KONGRES FILOZOFII

W BOLONII.

I.

Charakter nowożytnej pracy naukowej jest tego rodzaju, że wymaga nie tylko znacznych środków materyalnych, ale także współdziałania większej liczby zarówno umysłów jak rąk ludzkich. W pojedynkę i w odosobnieniu niewiele dzisiaj na polu badań naukowych zdziałać można, a nawet wielkie i ważne odkrycia lub wynalazki wymagają rozgłosu, potwierdzenia, uzupełnień i t. d., to wszystko bez wzajemnego porozumiewania się i współpracownictwa uczonych nie byłoby możliwe. Krótko mówiąc, praca naukowa współczesna wymaga organizacyi. Taka organizacya zaś znowu wymaga nie tylko odpowiednio urządzonych zakładów, bibliotek, zbiorów w różnych ogniskach nauki, ale także wzajemnego wspierania się uczonych, dalekiemi nieraz od siebie oddzielonych przestrzeniami. Spełnia to ostatnie zadanie dzisiejsze ogromnie rozwinięte peryodyczne piśmiennictwo naukowe. Ilość wychodzących teraz na świecie pism naukowych, poświęconych najrozmaitszym działom nauki, jest tak wielka, że nawet specyaliści w swoich zakresach nie są w stanie wszystkiego ogarnąć. Jednakże pisma peryodyczne przecież nie mogą jeszcze podołać wszystkiemu, czego wymaga dzisiejsza pracy naukowej organizacya. Najlepsze czasopismo nie zastąpi osobistego zetknięcia się i ustnej wymiany myśli, zapatrywań, wskazówek i t. d. Od ludzi pracy

trudno wymagać, aby się ciągle między sobą odwiedzali, chociaż trzeba przyznać, że w ostatnich dziesiątkach lat podróże naukowe weszły bardzo w zwyczaj, odbywają je jednak przeważnie uczeni młodsi, szukający dopełnienia zarówno swojej wiedzy teoretycznej jak i nabycia możliwie największej praktycznej wprawy badawczej u różnych światowych znakomitości. Natomiast środkiem, który się najlepiej przyjął i w ostatnich kilkudziesięciu latach do tego stopnia rozpowszechnił, iż stał się niemal potrzebą nieodzowną współczesnego życia naukowego, to są wszelkiego rodzaju zjazdy i kongresy naukowe. Odbywa się ich co roku ilość wielka. Zaledwo wiosna nadejdzie aż do późnej jesieni czyta się ciągle po gazetach wiadomości o najrozmaitszych zjazdach naukowych, od najbardziej specyalnych poczynając, a kończąc na najogólniejszych, obejmujących wielkie działy nauk i umiejętności. Mają takie zjazdy wartość niemałą, chociaż z drugiej strony nie należy znowu ich znaczenia dla postępu nauki zbytnio przeceniać. Niewątpliwie największą korzyścią, wynikającą z wszelkiego rodzaju kongresów naukowych, to jest wzajemne zapoznawanie się i osobiste zetknięcie się znakomitości naukowych, nieraz wiedzących o sobie, ale nie znających się osobiście. Liczne nieporozumienia i drażliwości spowodowane wzajemną krytyką lub polemiką, bywają w taki sposób usuwane. Nawiązują się nowe stosunki, przyjaźnie, w osobistej rozmowie otrzymują jedni od drugich cenne wskazówki i podniety do nowych prac. Zebranie się większej ilości osób w jednym pracujących kierunku a na znacznych nieraz rozproszonych przestrzeniach, podnieca tętno twórczości. Z wykładów i z referatów, wygłaszanych na zjazdach, wychodzą często nowe hasła, rozbrzmiewające potem szeroko po świecie. Także dla warstw wykształconych wogóle posiadają zjazdy naukowe pewne znaczenie. Zwykle w miejscowościach, gdzie się takie zjazdy odbywają, ludność żywo się nimi interesuje, dzienniki podają sprawozdania, niejeden, któryby zresztą o wynikach i rodzaju badań w tym lub owym kierunku nic nie wiedział, dowiaduje się o nich, rozszerza więc swój widnokrąg umysłowy. W taki to sposób rosa twórczości duchowej, wykształcająca się na szczytach, przesiąka w głąb i coraz szersze przenika warstwy. Ze zjazdami łączą się zwykle

także rozmaitego rodzaju uroczystości, przyjęcia, uczty, wygłaszane bywają mowy, toasty, to wszystko zaś zwraca uwagę i przyczynia się do tego, że świat naukowy wychodzi ze swojego odosobnienia, zespala się z ogółem i oddziaływa bezpośrednio na życie społeczne, coraz bardziej gorączkowym i wartkim płynące strumieniem.

Wszelkie zjazdy i kongresy naukowe, których każdy rok coraz więcej nam przynosi, dadzą się podzielić na dwie grupy główne, a mianowicie na zjazdy zamknięte w granicach jednego kraju lub narodu i na zjazdy międzynarodowe. Szczególnie te ostatnie posiadają, mojem zdaniem, znaczenie wielkie, a to dlatego, że obok celów naukowych służą także wzajemnemu zbliżaniu, zapoznawaniu się i brataniu narodów. Kto zdaje sobie z tego sprawę, jak bardzo zwiększa się podniecana przez rządy wzajemna zawiść, nieufność i współzawodnictwo między narodami, to taki tylko zdoła należycie ocenić wartość wszelkich zjazdów międzynarodowych. Oczywiście ludziom nauki najłatwiej jest między sobą się porozumieć i do siebie się zbliżyć, to też jest w tem jakby jakieś instyktowe odczuwanie potrzeby wzajemnego zbliżania się narodów ku sobie, że opinia publiczna wita wszędzie międzynarodowe zjazdy naukowe z wielką życzliwością i sympatyą.

II.

Zdawaćby się mogło, że dziedziną twórczości naukowej najmniej nadającą się do wspólnych narad na kongresach jest filozofia. Lekarze, technicy, albo np. uczeni pracujący w zakresie nauk fizycznych czy chemicznych, wreszcie przyrodnicy wogóle mają sobie wzajemnie bardzo wiele do udzielenia. Ważne odkrycie przyrodnicze lub techniczny wynalazek jest zwykle faktem, słowami nikt faktu nie obali, ale doświadczeniom można inne przeciwstawić doświadczenia, przyrząd mniej dokładny zastąpić przyrządem dokładniejszym, nad tem też mogą się toczyć rozprawy, oddające postępom nauki nieraz usługi wielkie. Filozofowie natomiast stanowią rodzaj ludzi, chodzących dosyć samopas. Każdy snuje swój własny wątek myśli, zagadnienia filozoficzne są tak różnorodne i taki jest ich ogrom, że filozofowie często-

kroć nie mogą porozumieć się między sobą dlatego, że jeden nie zna dostatecznie tego, czem się inny zajmuje. Twórczość na polu filozofii jest więcej indywidualistyczną, twórczość na innych bardziej szczegółowych polach naukowych jest więcej organiczną i może być zbiorowemi podejmowana i prowadzona siłami. Oto na czem polega różnica główna. Wprawdzie tymi, którzy pierwsi dali podnietę do organizowania się uczonych między sobą i do podejmowania prac badawczych siłami zbiorowemi byli filozofowie. Na dowód przytoczę jedno tylko nazwisko, to jest Leibniza. Stało się to jednak dlatego, że filozofowie nie zamknięci w ciasnem kole pewnych zagadnień specyalnych, będący obserwatorami życia naukowego wogóle, najprędzej zrozumieli, czego nowożytnej nauce potrzeba. Pomimo tego indywidualizm nie przestał cechować nowożytnej pracy na polu filozofii. Co więcej, można nawet stwierdzić, że rozwój nowożytnych badań szczegółowych i rozwój rozmyślań filozoficznych szły w odwrotnym kierunku. Gdy w naukach szczegółowych dokonywało się coraz większe skupienie sił, coraz dalej sięgająca organizacya, a praca naukowa przybierała w coraz wyższym stopniu charakter zbiorowy, to w filozofii przeciwnie, zaczęło rozgaszczać się coraz dalej posuwające się rozstrzelenie.

Jeżeli kiedy można mówić na polu filozofii o organicznem zespoleniu się wszystkich wysiłków do wspólnej pracy, to w wiekach średnich. Wówczasto tworzyli filozofowie europejscy jak gdyby jedną wielką umysłową rzeczpospolitą. Wszyscy wiedzieli o sobie, posługiwali się jedną wspólną mową, na licznych uniwersytetach odbywały się dysputy, których echa następnie po całym rozchodziły się uczonym świecie, istniały też zorganizowane i około wybitnych osobistości grupujące się szkoły. Wystarczyło wymienić nazwę szkoły, do której się ten lub ów filozof zaliczał, aby wiedziano, co on znaczy i co z sobą przynosi. To wszystko poszło w zapomnienie z upadkiem filozofii scholastycznej i z upadkiem znaczenia uniwersytetów. Przestała też od XVII w. istnieć ogólno-europejska filozofia, jej miejsce zajął chaos kierunków częstokroć nie znających się wzajemnie i nie wiedzących o sobie. Do tego zaś dołączyło się jeszcze dalsze zróżniczkowanie

się twórczości filozoficznej pod względem narodowym. Na tę ostatnią okoliczność wpłynął szczególnie fakt, że język łaciński, jako wspólny język uczonych, musiał ustąpić miejsca językom narodowym. W następstwie tego myśliciele każdego narodu zwracali przeważnie uwagę na dzieła i pracę w ich ojczystej pisane mowie, skutkiem czego zaczęła też wykształcać się coraz większa wyłączność, zaczęły powstawać filozofie o zabarwieniu narodowem, jak np. francuska, angielska, niemiecka, szwedzka, polska i t. p. Niewątpliwie wszystkie te objawy wpłynęły na bogactwo i różnorodność kierunków, twórczość filozofii wzmogła się pod względem obfitości, ale równocześnie wzrosła w jej łonie chaotyczność, okazał się ogromny brak wzajemnego zrozumienia. Jeżeli zaś zgodzimy się na to, że filozofia jest przedewszystkiem dążeniem do jasności, do syntezy, do objęcia myślą i zrozumienia całości świata, to w takim razie wypadnie zgodzić się i na to także, że zamęt w jej własnej objawiający się twórczości musiałby się stać dla niej wprost zabójczy. Nadeszła też chwila, że filozofowie sami zaczęli odczuwać niebezpieczeństwa grożące filozofii z powodu takiego zarówno osobistego jak narodowego odosobniania się.

Największy chaos panował na polu filozofii w połowie XIX w. Filozofowie np. niemieccy nie troszczyli się wcale o to, co się współcześnie działo na polu filozofii we Francyi, w Anglii, we Włoszech, w Szwecyi; znali oni tylko filozofię niemiecką, reszta była dla nich obojętną; to samo można powiedzieć o Francuzach. Nic też dziwnego, że w tych właśnie czasach doszła filozofia do największego lekceważenia i upadku. Gdy praca badawcza na polu nauk szczegółowych już się organizowała na wielką skalę w instytutach naukowych, w akademiach i w różnych stowarzyszeniach, w zbiorowych wydawnictwach, wreszcie w najrozmaitszych zjazdach i kongresach, to filozofowie chodzili ciągle jeszcze luzem i wałęsali się, jak błędne owce.

Nadeszła nareszcie chwila, że pracownicy na niwie filozofii zaczęli sami odczuwać to swoje upośledzenie. Skutkiem ułatwień komunikacyjnych i wzmożonego ruchu księgarskiego, także pod wpływem szerzącej się znajomości języków zaczęła literatura filo-

ficzna jednego narodu wywierać wpływ na inne. Najpierwej Hegel stał się filozofem, którego znaczenie zaczęło międzynarodowe zataczać kręgi, po Heglu przyszła kolej na Augusta Comte'a, potem na Herberta Spencera, wreszcie z dawniejszych myślicieli zwrócił na siebie uwagę myślicieli całego świata i stał się filozofem międzynarodowym w najpełniejszem tego słowa znaczeniu Kant. Zaczęły także w ósmym dziesiątku zeszłego stulecia wychodzić w Niemczech, we Francyi i w Anglii czasopisma filozofii poświęcone, w nich zaś literatura krajów ościennych zyskiwała powoli coraz więcej na znaczeniu, mnożyły się artykuły krytyczne, sprawozdania i t. d. Filozofia, matka wszech nauk, która pierwsza dzieciom swoim wskazała drogę do wzbijania się na coraz wyższy stopień rozwoju, odczuła wreszcie sama potrzebę wstąpienia w ich ślady. Co jest jednak bardzo charakterystyczne i ciekawe, to okoliczność, że potężniejąca i wzmagająca się po roku 1870 twórczość na polu filozofii nie odczuwała potrzeby zespalania swoich sił i porozumiewania się najpierwej na gruntach narodowych z osobna, jak to się stało np. z innemi naukami, (pierwsze zjazdy naukowe były zjazdami krajowymi i narodowymi, jak np. od wielu lat co rok odbywający się zjazd niemieckich przyrodników i lekarzy) lecz od razu powstała myśl urządzania międzynarodowych zjazdów. Stało się to w roku 1900 podczas ostatniej w Paryżu wystawy światowej, gdy w celu podniesienia tej wystawy skierowano wszystkie światowe zjazdy do Paryża. Projekt wyszedł z redakcyi filozoficznych czasopism francuskich, a szczególnie z redakcyi tak świetnie prowadzonej *Revue de metaphisique et de moral.*

Pierwszemu kongresowi filozofów przewodniczył głośny w świecie myśliciel francuski Emil Boutraux. Zaraz ten pierwszy kongres wydał tak pomyślne owoce, tyle zdziałał dobrego w kierunku wzajemnego zbliżenia się i zapoznania między sobą myślicieli różnych krajów i przedstawicieli różnych kierunków, że z powszechnego uczucia zadowolenia zrodziła się myśl, aby próbę zamienić w instytucyę stałą. Postanowiono więc, że odtąd międzynarodowe kongresy filozofii mają odbywać się co cztery lata pod przewodnictwem i w miejscowości z góry przez poprzedni kongres

wyznaczonej, wybrano wreszcie stały międzynarodowy komitet, w którego skład weszli na niwie filozofii pracujący przedstawiciele wszystkich narodów.

Drugi kongres odbył się istotnie w cztery lata później w Genewie nad brzegami uroczego jeziora Lemanu, w r. 1904, pod honorowem przewodnictwem sędziwego Ernesta Naville, a rzeczywistem zmarłego niedawno genewskiego profesora Gourd. Poczem znowu po latach czterech przyszła w roku 1908 kolej na Heidelberg w Niemczech. Kongresowi temu przewodniczył znany myśliciel niemiecki Windelband.

Co do czwartego kongresu zachodziły pewne trudności, wprawdzie nie co do miejsca, wszyscy bowiem byli zgodni, że ten kongres czwarty ma się odbyć we Włoszech, ale co do jego terminu. Chodziło o usunięcie stałego spotykania się w tym samym roku z kongresem także międzynarodowym matematyków. Było takie odbywanie się obu kongresów w ciągu tego samego roku dla wielu uczestników i jednego i drugiego uciążliwe. Stały przeto komitet przedstawił kongresowi w Heidelbergu wniosek, aby następny zjazd przyspieszyć o rok i odbyć go po dwóch i pół latach na wiosnę 1811 w Bolonii, jako w siedzibie najstarszego ze wszystkich europejskich uniwersytetów. Wniosek ten kongres heidelberski uchwalił, wybierając równocześnie profesora bolońskiego uniwersytetu Fryderyka Enriques'a, matematyka i filozofa, prezydentem zjazdu przyszłego. Prace organizacyjne postępowały szybko, tak, że ten czwarty kongres międzynarodowy, filozofii poświęcony, mógł się odbyć w dniach od 5 do 12 kwietnia.

III.

Obrady Kongresu bolońskiego zorganizowano w ten sposób, że toczyły się na dwojakiego rodzaju posiedzeniach. Pierwsze z nich były to posiedzenia ogólne, na które zbierali się wszyscy członkowie Kongresu, odbywały się one w wspaniałym starym gmachu uniwersytetu bolońskiego na piazza Galvani, w tak zwanym »Archiginnasio«. Drugie zaś były to posiedzenia sekcyjne. Sekcyi tych było osiem, a wszystkie obradowały w nowym uniwersytecie na via Zamboni.

Rozpoczynam od krótkiego poglądu na treść obrad posiedzeń ogólnych, jako tych, które całemu kongresowi nadały właściwą cechę, później podam nieco szczegółów o obradach sekcyjnych. Od poprzednich kongresów wyróżniał się Kongres boloński tem, że więcej uwagi zwrócono właśnie na posiedzenia ogólne, gdy tymczasem na poprzednich większy nacisk spoczywał na sekcyach. Zmiana ta była niewątpliwie korzystną. Kongres bowiem zyskał przez to na jednolitości, uczestnicy jego mieli więcej sposobności zetknięcia się ze sobą i wspólnego przysłuchiwania się rozważaniu zagadnień w filozofii najżywotniejszych. Posiedzenia takie ogólne odbywały się codziennie. Całkowicie były im poświęcone pierwszy i ostatni dzień zjazdu, w ciągu zaś trzech dni środkowych t. j. w piątek, sobotę i w poniedziałek czas tak był rozłożony, iż rano toczyły się obrady w sekcyach, po południu zaś na ogólnych zebraniach. W czwartek rano dokonał książę Abruzzów w imieniu króla uroczystego otwarcia Kongresu. Uroczystość ta miała charakter urzędowy i dworski, była więc sztywna i sucha. Prezydyum nie dopuściło wcale do głosu (ze względu na etykietę dworską, jak twierdzono) przedstawicieli różnych narodów i stowarzyszeń naukowych; w imieniu wszystkich wygłosił parę słów powitalnych Oswald Külpe, profesor z Bonn, jako wysłannik towarzystwa Kanta. Wykład zaś inauguracyjny odczytał w języku włoskim prezydent zjazdu Enriques. Już w tym pierwszym wykładzie zarysowały się pytania, które miały na Kongresie bolońskim główną odegrać rolę. Enriques mówił o zagadnieniu rzeczywistości, nie postawił on jednak tego zagadnienia na gruncie krytycznym, nie szukał odpowiedzi na pytanie co właściwie może w nas i w otoczeniu naszem uchodzić za rzeczywistość i czy wogóle filozofia zagadnieniem rzeczywistości zajmować się powinna, lecz przyjmując z góry fakt, że umysły ludzkie poszukują od wieków rzeczywistości, zwracał uwagę na objawiające się tu przeciwieństwa między teoryą a praktyką, między rozumem a wiarą, między nauką, filozofią a religią. Wszystkie te jednak przeciwieństwa dadzą się sprowadzić, zdaniem Enriquesa, do jednego najbardziej zasadniczego między nauką a religią. Obie te dziedziny zajmują się rzeczywistością, obie jej szukają, ale każda

inaczej. Nauka zajmuje się opisywaniem faktów zjawiskowych i tę zjawiskowość uważa za rzeczywistość, religia zaś kładzie główny nacisk na pewne wartości dla doświadczeń zmysłowych nieprzystępne. Usiłowano przeciwieństwo zagodzić, wyznaczając nauce wszystko, co doświadczeniu przystępne, całe zaś państwo tego, co niepoznawalne, oddając w posiadanie religii. Taki jednakże rozdział obecnie już się utrzymać nie da. Myśl naukowa i filozoficzna obecna coraz częściej wkracza w krainę niepoznawalnego, coraz większe czyni tam zdobycze i dochodzi na tej drodze do uznania prawa bytu metafizyki obok fizyki; z drugiej zaś znowu strony religia nie może ograniczyć się do uczucia i wyobraźni, lecz apeluje także do rozumu. A więc przeciwieństwo między określaniem rzeczywistości przedmiotowo-rozumowem w nauce a podmiotowo-uczuciowem w religii teraz już — zdaniem Enriques'a — nie jest na miejscu. Pogląd taki ma niewątpliwie za sobą wiele słuszności i dowodzi, że pierwiastek religijny zaczyna w współczesnych rozważaniach filozoficznych przychodzić do pewnego znaczenia. Czy jednakże myśliciel włoski znalazł jakiś punkt wyjścia, czy znalazł drogę do załagodzenia walk i różnic między nauką a religią? Mnie się wydaje, że nie znalazł. Przyznaje on, że nauka opisuje i — domaga się, aby jej rzeczywistość była sprawdzalną w świetle rozumowego doświadczenia, religia zaś kładzie główny nacisk na wartości i poszukuje trwałego dobra. Że jednak te dwa sposoby ujmowania świata wcale się sobie nie sprzeciwiają lecz tylko się dopełniają i prowadzą dopiero do całkowitego i wszechstronnego ujęcia rzeczywistości, tego Enriques nie wykazał. Ograniczył się tylko do stwierdzenia, że nauka jest także wartością, że pierwiastki uczuciowe odgrywają w niej także pewną rolę, nauce przyświeca zawsze ideał wiedzy doskonalszej, gdy znowu religia uważa siebie również za wyraz wiedzy doskonałej, którą posiądziemy kiedyś. Nauka szuka harmonii, ładu w wszechświecie, a więc jakiejś wartości religijnej, a posługując się nieraz natchnieniem, przez to samo zbliża się do religii, polegającej całkowicie na natchnieniach. Wiara i wiedza, zakończył Enriques, to tylko dwojakie przejawy tego samego jednolitego ducha ludzkiego, dwa sposoby ujmowania tej samej rzeczywistości. Na czem

jednak ta rzeczywistość polega, czy strona jej przedmiotowa jest dla ducha ludzkiego dostępna i czy oba sposoby jej ujmowania są czemś więcej aniżeli tylko kręceniem się w błędnem kole podmiotowości, tego prelegent wcale nie powiedział. Postawionem jednak zostało przez niego zagadnienie, które odegrało na Kongresie bolońskim rolę najważniejszą, słusznie można powiedzieć, że głównie około niego obracały się obrady. Kto im się przysłuchiwał z uwagą, mógł stwierdzić, że interes powszechny skierował się ku pytaniom zajmującym się z jednej strony stosunkiem naukowych badań do filozoficznych spekulacyi, z drugiej stosunkiem myśli naukowej i filozoficznej do religii. Tu zaś z góry należy stwierdzić objaw ciekawy i bardzo znamienny dla charakterystyki ducha czasu t. j., iż zarówno czynnik spekulacyjny jak religijny spotykał się z oceną taką, jakiej trudno było spodziewać się lat temu trzydzieści wstecz.

Wybitną rolę pierwiastka spekulacyjnego w filozofii podniósł zaraz w następnym wykładzie, wygłoszonym w języku francuskim a mistrzowskim pod względem formy, Emil Boutroux. Mówił on o stosunku filozofii do nauk szczegółowych. Wyszedł ze spostrzeżenia, że począwszy od XVI wieku nauki usuwają na bok filozofię. Comte uczynił z niej tylko rodzaj syntezy wiedzy szczegółowej. Obecnie jednak nauki domagają się dla siebie także prawa syntezy. Nauką fachową w odrębnym zakresie filozofia również nie jest. Jakże więc wobec takiego położenia stoi właściwie teraz sprawa filozofii, czem ona jest, czem nadal być powinna? Odpowiedź na te pytania wypadła tak, iż, zdaniem Boutroux, nauki zajmują się przedmiotami szczegółowymi bez względu na poznający podmiot, dla filozofii zaś właśnie podmiot stanowi punkt wyjścia, rozum jest dla niej źródłem, z którego czerpie, rozum ma jej dostarczyć materyału do ujęć wyższego rzędu. Filozofia odnajduje swoje stanowisko rozpoznając granice nauk szczegółowych. Granice te leżą tam, gdzie uprzedmiotowienie i zmatematyzowanie świata musi mimo wszystkiego zwrócić się do podmiotu. Otóż tu zaczepia filozofia i szuka związku między faktami, a życiem ludzkiem i jego potrzebami. Wewnętrzna logiczna i psychologiczna konieczność zastępuje filozofii to, czem dla nauki jest przedmio-

towość. Ale z drugiej strony należy pamiętać, że nawet ta naukowa przedmiotowość nie jest wolną od pierwiastków podmiotowych, pojęcia takie, jak pojęcie nieskończoności w matematyce, jakości w chemii, jak pojęcie wysiłku i przystosowania w biologii, to wszystko są pojęcia z podmiotu przenoszone na przedmiot. Filozofia więc rozpatruje z wyższego stanowiska związek naukowego myślenia z życiem i z czynem, ona wartościuje, gdy nauki opisują. Żywotność filozofii polega na tem, że jest ona dążnością z potrzebami życia najistotniej związaną, że jest, krótko mówiąc, wyrazem dążenia do coraz doskonalszego, coraz pełniejszego rozwoju życia duchowego. Wykład ten był bardzo zajmujący, zawierał wiele świeżych podniet i świetnych powiedzeń, w gruncie rzeczy jednak nie wyczerpał zagadnienia filozofii do głębi, nie uchwycił go krytycznie w jego najpierwotniejszych podstawach. Odwołanie się do podmiotu nie rozstrzyga sprawy stosunku filozofii do nauk, owszem wzajemne przeciwieństwo tylko zaostrza. Gdyby bowiem filozofia sprowadzała wszystko do czysto podmiotowych wartości, to nauka za nią nie poszłaby w te ślady. A zresztą cóż właściwie ma być przedmiotem filozofii, czy świat z punktu widzenia podmiotowego w przeciwieństwie do świata przedmiotowego nauki? Gdyby tak było, to przyszłość filozofii byłaby przesądzoną. Ona jeżeli chce utrzymać się wobec nauk, musi mieć swój właściwy zakres i swoją dziedzinę faktów i to faktów nie tylko natury uczuciowo-podmiotowej, ale faktów naprawdę przedmiotowych, realnych.

Na tem samem ogólnem posiedzeniu, t. j. we czwartek po południu, wygłoszono jeszcze dwa dalsze wykłady, a mianowicie profesor Oswald K ü l p e mówił o historyi pojęcia rzeczywistości, zaś Giacomo B a r z e l o t t i o filozofii i historyi filozofii. Pierwszy z tych wykładów nie przedstawiał nic tak dalece zajmującego. Külpe mówił o przeciwieństwach racyonalizmu i empiryzmu, z których to kierunków każdy pojmuje rzeczywistość po swojemu. Głębszych jednakże przyczyn tych przeciwieństw nie wyjaśnił, tak samo jak nie wskazał, czy jest możność wyjścia z tego błędnego koła, powołał się tylko na dzisiejszy woluntaryzm i doma-

gał się zbudowania krytycznej teoryi nauk zajmujących się rzeczywistością, takiej, jaką dla nauk formalnych dał Kant.

Natomiast dla piszącego te słowa bardzo zajmującym był wykład wygłoszony przez profesora rzymskiego uniwersytetu, Barzelottiego, autora najlepszej monografii o Hipolicie Tainie. Z wywodów Barzelottiego bowiem przekonałem się, że poglądy na dziejowy stosunek filozofii i religii, które ja w słowie i piśmie wygłaszam już od lat 25, teraz zaczynają sobie torować drogę. Barzelotti wywodzi podobnie jak ja, z potrzeb głównie religijnych początki filozofii, wielka spekulacya filozoficzna zmierzała zawsze do przeobrażenia się w religię, a życie religijne wykształcało filozofię, jako swoje dopełnienie. Nie przewiduje on również w przyszłości krystalizowania się filozofii w pewne stałe szkoły. Filozofia nie przybierze już więcej charakteru szkolarskiego, pozostanie raczej wyrazem coraz potężniej pulsującego życia, tudzież czynnikiem zespalającym nauki szczegółowe, ideały i działalność praktyczną. Nie miałem sposobności przekonania się czy Barzelotti czytał moje prace ogłoszone po niemiecku, na wszelki sposób to spotkanie się wzajemne w poglądach na te same zagadnienia było dla mnie dowodem, że ten sposób patrzenia na dzieje filozofii i na jej stosunek do religii, na jej przyszłość, jaki ja sobie wyrobiłem, nie jest odosobniony. Systemy filozofii są, zdaniem Barzelottiego, środkami do wznoszenia coraz doskonalszego gmachu wiedzy, według coraz obszerniejszego planu.

Trzecie z rzędu posiedzenie ogólne odbyło się w piątek po południu. Przypadały na to posiedzenie znowu trzy wykłady, z których trzeci miał być połączony z rozprawami. Jednakże pierwszy z prelegentów, Anglik Stout z uniwersytetu St. Andrews w Szkocyi, nie przybył, wykład więc jego rozdano uczestnikom kongresu w druku. Treścią jego jest znowu stosunek myśli do rzeczywistości. Po odpadnięciu wykładu Stout'a mówił znakomity włoski znawca Platona, Feliks Tocco, profesor we Florencyi, o kwestyi platońskiej. Stanął on na stanowisku zbliżonem do tego, jakie u nas w sprawie dyalogów Platona zajmuje Lutosławski, uznaje więc Theaeteta, Parmenidesa i Sofistesa za dya-

logi późne, upiera się przytem bezpodstawnie przy wczesnej dacie powstania dyalogu Fedros.

Główną atrakcyę dnia w piątek stanowił wykład francuskiego socyologa Emila Durkheima; mówił o sądach wartości i o sądach rzeczywistości. Pod dosyć niepozornym tytułem kryła się tu treść istotnie ważna i zajmująca, a dostrajająca się świetnie do tych kierunków, które na kongresie przeważały. Durkheim wyróżniwszy dwojakiego rodzaju sądy, to jest jedne stwierdzające rzeczywistość, a drugie oceniające ją, zapytuje jakie może być źródło sądów przypisujących pewnym rzeczom, faktom, czynom wartość lub odmawiających im wartości. Możnaby przypuszczać, że sądy tego rodzaju są wypływem uczuciowych nastrojów jednostki i że wypadają na modłę jednostki. W rzeczywistości okazuje się jednak, że jest inaczej. Przeważna ilość sądów etycznych, estetycznych, religijnych nie zależy od uczuciowych upodobań jednostki, lecz wyrasta z jakiegoś podłoża zbiorowego, tkwi w naszem otoczeniu społecznem, narzuca się jednostce, jako siła z zewnątrz pochodząca. Oto pierwsze spostrzeżenie, jakie Durkheim czyni. Drugie dotyczy probierza wartości, który to probierz w rzadkiej tylko liczbie wypadków jest indywidualny, przeważnie zaś bywa nam także narzucany przez ogół, przez sumienie lub opinię powszechną, za którą idziemy nieraz może bezwiednie, popychani siłą rzeczy. Gdyby ktoś przypuszczał, że źródłem takiego probierza powszechnego jest użyteczność społeczna, ten pomyliłby się; powszechność wyróżnia przecież wartości użyteczne ekonomiczne od takich, jakiemi są np. arcydzieła sztuki, nadzwyczajne cnoty, bohaterskie poświęcenia i t. d. Skądże więc biorą się takie wartości? pyta Durkheim. Odpowiedź zaś brzmi, że mają one źródło w kształtowaniu się ideałów. Cóż to jest ideał? Ideał jest to myśl o rzeczy, która nie istnieje. To rzeczywistość przyszła, jutrzejsza, to natura na wyższym stopniu rozwoju. Powstają takie myśli w chwilach wielkiego napięcia duchowego, chwile te w życiu społecznem szybko przemijają, pozostaje jednak wspomnienie, pozostaje myśl o tem, ku czemu się zmierzało. Otóż te właśnie myśli usiłują późniejsze pokolenia odtworzyć, ożywić, wskrzesić;

natchnienia przeszłości stają się myślami o przyszłej rzeczywistości i według nich dokonywa się ocena.

Referat Durkheima wywołał bardzo ożywioną dyskusyę. Valli zarzucał mu lekceważenie pierwiastka indywidualnego w kształtowaniu ideałów; Lutósławski dowodził, że powstawanie w społeczeństwie ideałów przekraczających zdolności jednostek nie da się wyjaśnić inaczej, tylko musi się przyjąć wpływ nadprzyrodzony; Kozłowski przypomniał, że myśl Durkheima znajduje się już u polskiego myśliciela niedawno zmarłego, Kazimierza Krausa; wreszcie Barzelotti usiłował pogodzić stanowisko Durkheima ze stanowiskiem Valliego, wykazując, że ideały powstają w natchnieniach jednostek genialnych, z czasem zaś stają się ideałami zbiorowymi. Zarówno referat jak i rozprawy nad nim wzbudzały żywe zainteresowanie, a pod wpływem uwag Berzelottiego i Lutosławskiego doprowadziły istotnie do pewnego rozjaśnienia zagadnienia. Ideały niewątpliwie powstają w natchnieniach jednostek, źródłem ich głównie religia, jak słusznie podniósł Lutosławski; pogląd zaś Durkheima, jakoby ideał był tylko wspomnieniem przeszłości w przyszłość przenoszonem, utrzymać się nie da, mimo to wywody jego, dotykając znaczenia religii dla sądów o wartości, odpowiadały ogólnemu kierunkowi wykładów i rozpraw wygłaszanych na kongresie.

Sobota była dniem dla ogólnych zebrań feralnym, z trzech bowiem wykładów zapowiedzianych przyszedł tylko jeden do skutku. Znakomity francuski astronom, matematyk i filozof Poincaré nie przyjechał a wykład jego o rozwoju praw, przeczytany przez jednego z członków kongresu, rozdano w druku, drugi francuski uczony Langevin spóźnił się tak, że na placu pozostał tylko pragmatysta Schiller ze swoim wykładem o błędzie.

Rozwinął on znany pogląd pragmatyzmu, streszczający się w twierdzeniu, że różnica między prawdą a błędem jest właściwie różnicą wartości czyli użyteczności danego sądu dla danego celu. Wyróżnił Schiller aż ośm rodzajów błędów czyli raczej fałszu. Nad referatem, czytanym po angielsku, a zrozumiałym dla niewielkiej tylko liczby słuchaczy, wywiązały się pomimo tego ożywione rozprawy. Większość mowców występo-

wała silnie przeciw pragmatyzmowi, najostrzej zaś zaczepił go Lutosławski, tak, że mu wkońcu nawet Włosi przerwali i przemówienia dokończyć nie dali, biorąc w obronę swojego angielskiego gościa.

Punktem kulminacyjnym obrad na zebraniach ogólnych był poniedziałek. Wprawdzie pierwszy wykład wielkiego przyrodnika szwedzkiego Svante Arrheniusa znowu nie przyszedł do skutku z powodu nieobecności prelegenta, rozdano go tylko drukowany, ale za to wykład drugi Henryka Bergsona, najświetniejszego niewątpliwie z współczesnych filozofów francuskich, twórcy dzisiejszego kierunku intuicyjnego w filozofii, skupił w wspaniałej renesansowej sali starego uniwersytetu olbrzymi zastęp słuchaczy i stanowił dla wszystkich istną biesiadę duchową.

Tematem wykładu Bergsona było zagadnienie filozofii.

Rozpoczął Bergson od wyjaśnienia stosunku filozofii do nauk szczegółowych. Gdy nauki zajmują wobec przyrody stanowisko niedowierzające w tem znaczeniu, że myśl nie zanurza się tu w rzeczywistość, ale staje niejako przeciwko niej, usiłuje ją opanować, podbić, to w filozofii natomiast myśl idzie niejako w ślad za biegiem rzeczywistości, żyje poniekąd życiem rzeczy, znajduje się w stanie bezpośredniego stosunku z wszechświatem. Filozofia rozbudza w człowieku ufność do rzeczywistości, prowadzi go do odczuwania bezpośredniego związku z przyrodą. Nauki dają nam budowy złożone, rozczłonkowują i schematyzują rzeczywistość w formach przestrzennych, filozofia zaś jest wiedzą prostą, a raczej prostoduszną, sięgającą za granice wiedzy szczegółowej, skierowaną do pochwycenia intuicyjnego i bezpośredniego istoty życia powszechnego. Krótko mówiąc, nauka rozważa świat jako różnorodny, filozofia jako tworzący jedność i całość.

W dalszym ciągu rozwinął Bergson pogląd na dziejowy rozwój filozofii i usiłował wykazać, że filozofia posługuje się do swoich celów naukami, to znaczy zużytkowywa materyał dostarczany jej przez nauki szczegółowe. To też litera filozofii czyli poszczególne systemy w dziejach filozofii występujące, opierają się zwykle na wynikach naukowych swojego czasu, szczególnie do wyników matematyki miała zawsze twórczość filozoficzna po-

ciąg szczególny. Filozofia w pewnej chwili dziejowej nie jest czem innem, jeno rozszerzeniem pojęć naukowych danej epoki na całość wszechświata. W filozofii greckiej poczynając od Platona (właściwie już od Pytagorasa) mamy geometryę zastosowaną do pojęcia świata, w XVII wieku szczególnie u Spinozy stało się to samo z algebrą, materyalizm XVIII wieku stosuje mechanikę. To wszystko jednak jest tylko literą, jest stroną zewnętrzną i nie stanowi istoty filozofii. Aby zaś ocenić prawdziwą wartość systemów filozoficznych, to do tego potrzeba uprzytomnić sobie, że wielka ich różnorodność i cały ich wir jest wytworem mnogości materyałów naukowych każdej epoki, ale poza tem wszystkiem znajdujemy zwykle jakąś myśl nad wyraz prostą i osobistą, przeciwstawiającą się szczegółom, a będącą niejako rzutem osobistości w wszechświat. Filozofia więc chwyta niejako rzeczywistość w jej rozpędzie życiowym *(élan vital)*. Czem bezpośredniejsze jest zetknięcie myśliciela z rzeczywistością, tem większą jest wartość jego systemu. Tak pojętą filozofię można uważać za sztukę objęcia wszechświata jako całości w jego rozpędzie życiowym; w jego różniczkowaniach, wobec których umysł nasz zajmuje stanowisko wyczekujące, nie powinien też ten umysł kusić się o kreślenie z góry i wskazywanie *a priori* form, jakie całość w ostatecznym rozwoju przybrać może.

W taki sposób filozofować, to znaczy pójść dalej, niż szkoły i systemy, to znaczy żyć życiem pełniejszem i doskonalszem, to znaczy wytwarzać w sobie »przewyżkę żywotności« *(surcroit de vitalité)*. Prawdziwa filozofia jest zawsze i wszędzie intuicyą związku wszechrzeczy.

Forma i treść wykładu Bergsona sprawiły, że wywarł na słuchaczach wrażenie głębokie, słuchano go w ciszy ogromnej, w nastroju niemal religijnym. Przewodniczący Külpe dziękując Bergsonowi odezwał się: »Słyszeliśmy mistrza, byliśmy świadkami ewolucyi twórczej«. Słowa ostatnie były nawiązaniem do tytułu głośnego dzieła Bergsona *Evolution créatrice*.

Wykład był istotnie bardzo podniecający i wiele nasuwał myśli. Był on przytem znamiennym wyrazem przeważającego w obecnym ruchu filozoficznym kierunku. Nie na wszystkie wszakże

poglądy Bergsona możnaby się zgodzić. Przeciwstawienie nauk filozofii nie jest słuszne, ani prawdziwe. Nauką niewątpliwie rozczłonkowywa rzeczywistość, aby jednak stanowisko jej było wobec przyrody stanowiskiem nieufności i sztucznem, to nie wydaje mi się słusznem. Przeciwnie, jeżeli kto, to nauka właśnie podsłuchuje i podpatruje rzeczywistość i wydobywa na jaw jej tajemnice. Nikt nie czuje się w bliższym związku z przyrodą, jak właśnie badacz-przyrodnik, gdy w jego pracach odsłaniają mu się strony rzeczywistości dla oka zwykłego śmiertelnika wcale nieprzystępne. Aby filozofia posiadała jakieś osobne sposoby przenikania porządku wszechrzeczy, na to trudno się zgodzić. Sam Bergson temu zaprzecza dowodząc, że systemy filozoficzne są przeważnie rozszerzaniem pojęć naukowych na całość wszechświata, a więc nie osobno, ale z pomocą nauk filozofia wznosi się coraz wyżej. Co do intuicyi twórczej, to ta w naukach odgrywa rolę niemniej ważną jak w filozofii. Natchnienie, bezpośrednie odgadywanie tajemnic, oto cecha geniuszu zarówno naukowego, jak filozoficznego. Pomimo tego należy przyznać, że powiedział Bergson wiele rzeczy głębokich; pojęcie filozofii jako dążenia do ujęcia całości wszechświata jest niewątpliwie prawdziwe, tak samo jak prawdziwą jest myśl, że twórczość na polu filozofii jest najpełniejszym wyrazem żywotności i potęgi ducha ludzkiego.

Po Bergsonie przemawiał jeszcze w poniedziałek fizyk francuski Paweł Langevin, który w sobotę nie przyszedł do głosu, poruszył on zagadnienie względności pojęcia czasu i przestrzeni, skutkiem czego zmienia się także pojęcie przyczynowości.

Wtorek 11 kwietnia był ostatnim dniem narad kongresu, poświęcono go zaś w całości posiedzeniom ogólnym.

Dwa piewsze wykłady wypisane w programie, t. j. wykład głośnego niemieckiego chemika Wilhelma Ostwalda i nowokantysty Vaihingera nie przyszły znowu do skutku. Rozdano oba drukowane. Ostwald miał mówić o woli i jej fizycznem uzasadnieniu. Jest to bardzo naiwny, materyalistycznie a raczej energetycznie pojęty monizm. Wykład Vaihingera zawierał streszczenie systemu filozoficznego, powstałego przed 35 laty, którego on ma być teraz wydawcą, zdaje się jednak, że jest sam jego

autorem. System nosi dziwaczną nazwę: »*Die Philosophie des Als Ob*« (Filozofia »jakoby«); rodzaj idealistycznego pozytywizmu.

Zresztą przemawiali we wtorek Aleksander Chiapelli z Florencyi na temat monizmu i pluralizmu. Wystąpił on przeciw skrajnym pluralistycznym teoryom, a oświadczył się za pluralizmem monadologicznym, przyczem nie zupełnie słusznie przedstawił swoją teoryę, jako coś całkiem nowego. To samo uczynił młody junker inflancki Herman Keyserling, podając w wykładzie *Die metaphysische Wirklichkeit* swój pomysł, iż życie jest bezpośrednio nam daną metafizyczną rzeczywistością, jako jakieś niezwykłe odkrycie. Widocznie nie wie ten pan o tem, że już półtora tysiąca lat temu wyraził tę samą myśl w sposób niezrównanie głęboki i genialny św. Augustyn, w najnowszych zaś czasach podnieśli ją także różni myśliciele jeszcze zanim wystąpił Bergson. Nie trzeba daleko szukać, bo ja sam w różnych pracach moich zaczepiając o Augustyna, przedstawiam życie jako bezpośrednio oczywistą, metafizyczną rzeczywistość. Jako ostatni przemawiał Leonard Nelson z Getyngi, który zwalczał pojęcia teoryi poznania jako nauki o przedmiotowej wartości poznania, sprowadza on teoryę poznania do psychologii i krytyki rozumu; przyjmuje psychologiczną możliwość bezpośredniego metafizycznego poznania (intuicya u Bergsona). Na tem zakończyły się zebrania ogólne a z niemi razem i obrady kongresu.

IV.

Przechodzę teraz do krótkiej charakterystyki obrad sekcyjnych. Odbywały się one w piątek, w sobotę i w poniedziałek zawsze przed południem; zakończyły się zaś we wtorek także przed południem. Sekcyi było ośm (na kongresie genewskim było ich pięć, a na heidelberskim siedm) a mianowicie:

I. Filozofia ogólna i metafizyka. II. Historya filozofii. III. Logika i teorya nauki. IV. Etyka. V. Filozofia religii. VI. Filozofia prawa i socyologia. VII. Estetyka. VIII. Psychologia.

Posiedzenia sekcyjne bolońskie odróżniały się tem od posiedzeń sekcyjnych na kongresach poprzednich, iż przewodniczący wygłaszali na początku przemówienia inauguracyjne, trwające

nieraz bardzo długo, skutkiem czego rozprawy niepomiernie się przeciągały.

Ilość zgłoszonych referatów była znaczna, ale nie wszystkie doszły do skutku, wiele odpadło z powodu nieprzybycia referentów. Największe zajęcie budziły obrady w sekcyi pierwszej (metafizyka) i w piątej (filozofia religii), szczególnie ta ostatnia była najliczniej odwiedzaną i najżywsze, nieraz wprost gorące toczyły się tam rozprawy. Charakterystyczne to znamię czasu!

W sekcyi pierwszej do najciekawszych należały referaty wygłoszone w piątek przez Abla Rey, profesora w Dijon i przez Franciszkanina ks. Augustyna Gemelli. Rey, przedstawiciel realistycznie ujmowanego pozytywizmu, określił naukę jako wiedzę o stosunkach stanowiących właściwą przedmiotową rzeczywistość. Po ożywionych rozprawach zabrał głos ks. Gemelli, postać niezwykle charakterystyczna i interesująca, jakby wykrojona z jakiegoś obrazu średniowiecznego. Mówił z wielką swadą i siłą przekonania o koniecznej potrzebie zbliżenia się ku sobie nauki i filozofii w duchu Arystotelesa. Metafizykę można, jego zdaniem, tak tylko pojmować, jak ją pojmował Arystoteles, zwrot do niego oznaczałby równocześnie powrót do metody indukcyjnej w metafizyce i w filozofii wogóle. Po referacie bardzo jasnym wywiązały się rozprawy, dowodzące do jakiego stopnia potrafił O. Gemelli słuchaczy zainteresować. Oprócz tych dwu zasługuje jeszcze na wzmiankę referat Benjamina Gottesmanna, docenta z Kijowa, o przyczynowości w świetle wiedzy nowoczesnej, w którym przedstawił się słuchaczom jako zwolennik Bergsona i jego »życiowego rozpędu«.

W następnych dniach przemawiali jeszcze w tej sekcyi Hans Driesch (znany niemiecki witalista, który obecnie z biologa przeobraził się na filozofa) o stawaniu się i jego możliwych formach, wykształcających się na podstawie naszych własnych doznań. Referat był zajmujący. W rozprawach zabrał między innymi głos piszący te słowa, wskazując w jakim kierunku wywody Driescha dałyby się uzupełnić. Bernard Varisco z Rzymu i Antoni Aliotta mówili o zagadnieniu prawdy, obaj oświadczyli się przeciw pragmatyzmowi, uznając go za kierunek jednostronny.

W sekcyi dla historyi filozofii najważniejszymi były dwa referaty: De Wulfa, profesora uniwersytetu katolickiego w Lowanium, który mówił o scholastyce i filozofii średniowiecznej, dowodząc, iż filozofia scholastyczna nie jest identyczną z teologią i że liczne jej pojęcia posiadają obok zależności od pojęć religijnych także swoje odrębne piętno. Drugim godnym uwagi referatem był referat Deussena, znakomitego historyka filozofii indyjskiej, który mówił o nowem krytycznem wydaniu dzieł Schopenhauera.

W sekcyi trzeciej (logika i teorya nauki) odezwały się echa różnych przestarzałych kierunków, jak np. w referacie Dinglera o związku mniemanych praw apriorycznych z doświadczeniem, albo w wywodach Ruggiera z Neapolu, który zalecał heglowską metodę dyalektyczną w filozofii. Także Hiszpan Eugeniusz d'Ors próbował wskrzesić pojęcie ciekawości jako pobudki do szukania przyczyn w naukach. Zresztą w sekcyi tej nie wystąpiły na jaw jakieś dążności świeższe, trudno się tam było doszukać pomysłów, któreby w czemkolwiek oświetliły zagadnienia logiczne z nowego stanowiska.

Także sekcya etyczna nie przedstawiała wiele interesu, obrady nie odpowiadały wcale tej roli, jaką odgrywają obecnie zagadnienia etyczne w zakresie filozofii.

Natomiast powszechna uwaga skierowała się na sekcyę piątą, poświęconą filozofii religii. W piątek wygłosił w tej sekcyi przewodniczący Chiapelli z Florencyi mowę inauguracyjną p. t. »Religia i filozofia ducha«; była to próba jakiejś psychologii religii, która nie przedstawiała się zbyt jasno. Tego samego dnia wystąpił Lutosławski z referatem o mesyanizmie polskim. Referat mógł być istotnie zajmującym gdyby był miał charakter informujący słuchaczy o tym kierunku myśli polskiej. Lutosławski przedstawił jednak tylko swoją własną doktrynę, podając ją za ogólną polską filozofię, której hołduje cały naród. Obecni oczywiście nie-Polacy, nie wiedzący o co tu chodzi, byli istotnie niepomiernie zdziwieni słuchając wywodów Lutosławskiego. Należało je więc uzupełnić podaniem niektórych dat. Uczynił to piszący te słowa wymieniając głównych przedstawicieli mesyanizmu polskiego,

tudzież wskazując na jego dwa kierunki, jeden o zabarwieniu rozumowo-filozoficznem (Wroński, Cieszkowski), drugi o zabarwieniu mistyczno-religijnem (Towiański, Mickiewicz, Lutosławski sam). Na pytanie jak się godzi u Polaków mesyanizm przez Lutosławskiego wyłożony z katolicyzmem, prelegent nie dał odpowiedzi wyraźnej. Rozdano również tego dnia w tejże samej sekcyi zajmujący referat Leona Bouillon p. t. »Filozofia idealistyczna Nowego Testamentu«. Jest to próba ujęcia wszystkich myśli, stanowiących podstawę chrześcijaństwa w syntezę filozoficzną.

Następnego dnia, w sobotę, wystąpili Hindusi ze swoimi referatami a mianowicie Prabhu Dutt Szastri, profesor w Lahore, mówił o teoryi *Maja* w indyjskiej filozofii, zaś Bhagawan Das Sahab z Madras o metafizyce w teozofii i w starożytnej psychologii. Pierwszy dał zarys systemu Vedanty, zalecając Europejczykom pogrążonym w empiryzmie, aby się do tej prastarej filozofii zwrócili, drugi podniósł zasadniczą metafizyczną myśl w indyjskiej teozofii. Indyami zajął się jeszcze także Karol Formichi z Pizy i starał się, zupełnie zresztą słusznie, dowieść, że buddyzm pierwotny był więcej filozofią niż religią. Niepotrzebnie tylko wskazał na buddyzm, jako na wzór religii przyszłości, która, zdaniem jego, podobnie jak to się już stało w buddyźmie obejdzie się bez dogmatów i bez obrzędów. Mówił również tego dnia Rudolf Steiner z Berlina o poznawczem stanowisku teozofii i dowodził, że odpowiednie ćwiczenia duchowe dają możność poznania świata pozazjawiskowego.

Najważniejsze w tej sekcyi referaty przyszły na porządek dzienny w poniedziałek. Albert Leclérc z Fryburga przedstawił referat o bilansie filozofii religijnej, Robert Benzoni z Genui mówił o granicach i wartości religijnego doświadczenia, wreszcie Giovanni Amendola z Florencyi wystąpił z zajmującą rozprawą »o logice życia religijnego«, biorąc słowo »logika« nie w znaczeniu przenośnem ale w znaczeniu istotnem. Życie religijne — mówił Amendola — ma swoją logikę i domaga się logiki bytu, której jest dalszym ciągiem. Logika ta obejmuje także logikę abstrakcyjną, ma też na celu krytykę filozofii, która to krytyka doprowadziła już do uznania niedostateczności pojęć naukowych dla

poznania świata. Logika życia religijnego przenosi nas z dziedziny myśli w dziedzinę rzeczywistości, z zakresu stosunków formalnych w zakres stosunków realnych. Chodzi naturalnie w tym wypadku o rzeczywistość religijną a nie zjawiskową. Aby módz do niej dotrzeć potrzeba przyjąć zasadę jedności i ciągłości życia osoby wolnej i moralnej. Ta wolność nosi na sobie cechę dowolności, będącej właściwie nadprawidłowością, która uzyskuje znowu wyraz najjaskrawszy w działaniu łaski. Łaska to nie coś poza logiką, prawidłowość świata, która nie jest narzucana, ale ze zjawisk wyczytana jej się nie sprzeciwia. W przejściu od konkretnej rozmaitości do abstrakcyjnej jednostajności jest *hiatus*, jest przerwa, w której właśnie mieści się znakomicie dziedzina religijna. Tchnienie religijne nie sprzeciwia się życiu myśli, przeciwnie ożywia je i kieruje ku temu, co dla wszelkiego myślenia musi być przedmiotem najbardziej zasadniczym i upragnionym, to jest ku pierwszej i ostatecznej racyi wszechrzeczy. Wywodu Amendoli słuchano z wielkiem zajęciem i żywo je oklaskiwano. Posiedzenie zakończył komunikat Meyera z Berlina p. t. »Zagadnienie religijne obecnej doby«. W sekcyi szóstej zajmowano się filozofią prawa i socyologią. Tu były wygłoszone trzy polskie referaty.

Dr. Kazimierz Lubecki mówił o jednym z czynników postępu. Jego zdaniem stanowisko Kanta, iż kategorye czasu i przestrzeni są konieczne dla umysłu ludzkiego, zostało najdawniej i najsilniej zachwiane przez filozofię polską. Już Krasiński wzbija się nad czasu i przestrzeni »sidła«, obecnie zaś dowodzi Straszewski, iż są możliwe syntetyczne ujęcia następczości nie w formie czasu lecz w formach innego rodzaju doznań, n. p. następczość zmian ujawnia się w treściach zmysłowych jako barwa, ton i t. p. Zdaniem prelegenta, jedną z cech postępu wogóle jest właśnie przezwyciężanie czasu i przestrzeni czyli dążność do uwieczniania i rozpowszechniania. Tak postępują w sztuce i nauce artysta i uczony, ujmują mianowicie szereg zjawisk w syntezę, dążą do trwałości i powszechności. Także wynalazki techniczne opanowują czas i przestrzeń. Z roztrząsania różnych dziedzin cywilizacyi i kultury okazuje się, iż taka właśnie dążność jest jednym z czynników postępu. Zajmujące i cenne wywody d-ra Lu-

beckiego spowodowały ożywione rozprawy, w których brali udział tylko Włosi.

Drugi polski referat był Lutosławskiego »O metafizycznej rzeczywistości narodu«. Oparł Lutosławski tę rzeczywistość na zasadzie nieśmiertelności osobistej duszy. Skoro dusza jest nieśmiertelną, to dusze należące do tego samego narodu będą zawsze stanowiły zespoloną ze sobą grupę. Zbijali poglądy Lutosławskiego W. M. Kozłowski, Uhlíř i Benedykt Croce.

Trzecim był wreszcie referat Kozłowskiego »Rzeczywistość społeczna i prawda socyozoficzna«; usiłował on wyjaśnić dwa zasadnicze dla każdej nauki pojęcia, a mianowicie »rzeczywistość«, czyli pewne dane fakta, jako punkt wyjścia badań, i »prawda«, jako ich cel, a to w zastosowaniu do nowej nauki syntetycznej o społeczeństwie i jego dziejowym rozwoju, której pomysł naszkicował Kozłowski na kongresie w Heidelbergu.

Oprócz powyższych miał jeszcze zajmujący referat w sekcyi estetycznej p. Kazimierz Wize z Wielkopolski. Mówił o pięknie i jego rodzajach. Było to streszczenie książki wydanej przez referenta w r. 1909 w Berlinie po niemiecku p. t. *Abriss einer Wissenschaftslehre der Aesthetik.* Pan Wize jest uczniem berlińskiego estetyka Dessoira i określa piękno jako sąd pozytywny, wyłaniający się z czynności duchowej wolnej, stanowiącej rodzaj psychicznej gry. Nie wytyka sobie ta czynność jakiegoś celu, nie przeprowadza doświadczeń w sposób ścisły i nie wytwarza pojęć dokładnie określonych.

V.

Na zakończenie powiem jeszcze słów parę o zewnętrznej stronie kongresu tudzież o ogólnem wrażeniu, jakie po sobie pozostawił. Przedewszystkiem należy stwierdzić, że poziom naukowy Kongresu genewskiego i heidelberskiego był niewątpliwie wyższy. Do Bolonii nie przybyło wielu najznakomitszych uczestników, kilka odczytów głośnych powag, na które wszyscy byli bardzo ciekawi, musiało odpaść z powodu nieobecności prelegentów. Sprawiła to pora bardzo niekorzystna i zimno wprost we Włoszech niebywałe. Dosyć powiedzieć, że w sobotę 8-go kwietnia

cała Bolonia i jej okolice były przykryte białym całunem śniegu. Mniejszym był także udział narodowości, n. p. z Anglików i z Amerykanów przybyło wszystkiego 13. Szwedów, Duńczyków, Holendrów prawie że nie było, Szweda spotkałem tylko jednego a Holendra także jednego. Był nim znany historyk filozofii arabskiej de Boer. Czwarte miejsce co do liczby zajmowali Polacy. Było ich razem 18. Liczba Włochów oczywiście największa wynosiła 163, potem szli Niemcy (61), Francuzi (53) wreszcie Polacy 18.

Pomimo, że Niemców było więcej to jednak przewodnią na Kongresie rolę odegrali myśliciele francuscy. Natomiast Anglicy i Amerykanie, którzy w Heidelbergu szczególnie się uwydatniali, tu prawie znikli. Nie przeszkodziło to, że Kongres boloński uchwalił odbycie następnego Kongresu za cztery lata w Londynie.

Nie ze wszystkiem też zasługuje na uznanie zewnętrzna Kongresu organizacya. Na posiedzeniach, szczególnie sekcyjnych, panował wielki nieład, nie przestrzegano dostatecznie ograniczeń pod względem czasu, mowcy i prelegenci w wielu wypadkach przemawiali jak długo chcieli. Wchodzenie i wychodzenie w czasie posiedzeń powodowało hałas i zamęt, odwracające uwagę. Natomiast znowu strona przyjęć wypadła świetnie. Przyjęcie w Palazzo comunale, wycieczka do Rawenny, uczta w hotelu Italia pozostaną na zawsze w pamięci uczestników. Gościnność i uprzejmość mieszkańców Bolonii dla Kongresistów była nadzwyczajna, wszędzie przy zwiedzaniu miasta mieli oni wstęp za darmo, wszędzie witano ich z wielką sympatyą. Wspomnieć wreszcie muszę na zakończenie, że w niedzielę wieczór w jednym z hoteli na via Independenza odbyło się zebranie słowiańskich uczestników Kongresu, do którego pobudkę dali Czesi. Zebrało się osób 25. 11 Polaków, 5 Czechów, 4 Rosyan, 2 Bułgarów, 2 Kroatki, 1 Słoweniec. Postanowiono dążyć do zwołania Kongresu filozoficznego słowiańskiego o ile możności już w roku 1912 podczas wystawy w Pradze. Wnioski co do utworzenia sekcyi słowiańskiej na Kongresie międzynarodowym i co do dopuszczenia języków słowiańskich do rozpraw Kongresu nie otrzymały większości; nie można było zgodzić się, który język słowiański ma być tym uprzywilejowanym. Odbyło się także zebranie myślicieli katolickich, o którego

przebiegu nie dowiedziałem się jednak bliższych szczegółów. Ogólne wrażenie z Kongresu można pomimo wszystko nazwać dodatniem. Dokonało się zbliżenie wzajemne, a tego właśnie filozofowie dzisiejsi więcej potrzebują, niż dawniejsi. Jeżeli takie zbliżanie się pójdzie dalej, to może niedługo przyjdzie czas, że będzie można mówić nie o filozofiach niemieckiej, francuskiej lub angielskiej, ale o filozofii wogóle i to już nie tylko europejskiej ale nawet światowej. Czy to spowoduje nowy wielki rozkwit twórczości filozoficznej, to się w przyszłości pokaże. Na Kongresie bolońskim można się było przekonać, że zagadnienia metafizyczne i filozoficzno-religijne wracają i znowu wysuwają się na pierwszy plan, objaw zaś taki był zawsze dobrą dla przyszłości filozofii zapowiedzią. Muszę również zaznaczyć wybitną rolę, jaką na Kongresie odegrali myśliciele katoliccy, było znać, że ruch filozoficzny na gruncie katolicyzmu się wzmaga, natomiast, że dążności pozytywistyczne słabną. Niemniej dawał się stwierdzić fakt, że przeważała na bolońskim Kongresie skłonność do indywidualizmu i do pluralistycznego pojmowania świata w przeciwieństwie do monizmu. Dwaj Hindusi, tradycyjni monizmu głosiciele, nie mieli »chóru, któryby odpowiadał«. Także zagadnienie wolności woli zyskało uwzględnienie w kierunku potwierdzającym wolność. Głównie zaś ujawniało się szukanie punktów stycznych między nauką, filozofią i religią.

Dr. M. Straszewski.

Z POWODU BROSZURY „PLEMIĘ KADŁUBKA".

Prawie wszystkim uczestnikom dyskusyi w sprawie św. Stanisława użyczyła już Redakcya miejsca w odpowiedzi prof. Wojciechowskiemu. Nie z mojej winy spaźniam się, w czem jednak pocieszam się tem, że kwestya ta zawsze jest otwartą.

Zaszczycony tyle niezaszczytnemi wzmiankami przez prof. Wojciechowskiego w jego polemicznej odpowiedzi p. t. »Plemię Kadłubka«, uważam za konieczne w obronie własnej, w obronie prawdy i nauki polskiej odpowiedzieć co następuje:

W pierwszej części swej odpowiedzi plemieniu Kadłubka, którego najpodlejszym członkiem uznać mię raczył p. Wojciechowski, rozwodzi się p. Wojciechowski szeroko nad ustępem Galla: »Non debuit christianus in christianos czy »in christianum« peccatum quod libet corporaliter vindicare«.

Wbrew wszystkim wydawcom kroniki Galla prof. Wojciechowski tak samo, jak Lelewel, a zwłaszcza Skórski, Stefczyk i t. d. swego czasu, podobnymi tylko zręczniejszymi argumentami broni wersyi »christianus in christianum«, aby obalić twierdzenie przeciwników, iż »tradycya Kadłubkowa z wyjątkiem dworskiego poglądu o przeniewierstwie biskupa zgadza się z tradycyą u Galla«, o ile wyraz »christianos« oznacza poniewieranych przez króla poddanych, za którymi się biskup ujął. Nad całym tym wywodem obecnie można przejść do porządku dziennego, o ile nie prof. Wojciechowski, ale prof. Krzyżanowski w swej rozprawce »Na marginesie Galla« tekst ostatecznie ustalił, podając faksymile rękopisu

»non debuit christus in christum etc.«. Jedno tylko chciałbym wyrazić zdziwienie, iż odwagę ma mi zarzucić, jakoby filologia czy konjektury czy emendacye nie były moją rzeczą. P. Wojciechowski, który jako prof. uniwersytetu i członek Akademii umiejętności, mając bez porównania większą łatwość do zbadania rękopisów ode mnie zwykłego nauczyciela gimnazyalnego na prowincyi i kwestyonując tekst, przyjęty przez dotychczasowych wydawców, nie pokwapił się, aby zajrzeć do rękopisów ani, jak to sam ze wstydem przyznaje, nie uwzględnił waryantów w wydaniu Bandtkego. Zaiste nie wysilałem się zrzucić grzechu biskupa, jak twierdzi p. Wojciechowski, na karb chrześcijańskich poddanych Bolesława, ale przez wydawców przyjęta wersya »christianus in christianos« zmusiła mnie po prostu do mojego zapatrywania. Gdyby prof. Wojciechowski zamiast ludziom wmawiać, że »christianus« znaczy pomazaniec, powołał się był na autentyczny przekaz rękopiśmienny, niktby mu nie był zarzucił dowolnej emendacyi, projektowanych przecież już przez Lelewela, Skórskiego, Stefczyka i innych. Nie wchodzę w drobiazgi, nie prostuję takich przesadnych w części zarzutów, jakobym twierdził, że, co Kadłubek pisze o św Stanisławie, to wszystko jest u Galla, albo żebym był tyle naiwnym twierdzić, jakoby Kadłubek i Gallus to jedno; stwierdzam, że to tylko przez p. Wojciechowskiego malowane dyabełki na ścianie w tym celu, aby tem widoczniej nad nimi tryumfować. Nie kwestyonuję odkrycia p. Wojciechowskiego, jakoby Gall był wychowawcą Mieszka Bolesławowica, aczkolwiek dwa lata przed »Szkicami« to odkrycie publikowałem (»Św. Stanisław w świetle źródeł«, str. 34).

Zastanowić chciałbym się nieco nad drugą emendacyą tekstu przez p. Wojciechowskiego proponowaną, a wprowadzającą do tragicznego dramatu między królem a biskupem królewskiego brata Władysława Hermana. Że ustęp ten jest zepsuty w rękopisie, o tem najwymowniej świadczy fakt, że zarówno wydawcy Galla, jak prof. Wojciechowski, prof. Smolka, prof. Miodoński, wreszcie Saenger, każdy inną konjekturę proponuje, *Quod capita, tot sensus.* Oświadczyć się za jedną z tych konjektur, gotowo narazić badacza, jeżeliby wszyscy uczeni posiadali krewkość prof.

Wojciechowskiego, na możliwy zarzut »plemienia jaszczurczego« ze strony któregoś z spostponowanych. Jestże w tym ustępie mowa o Władysławie Hermanie czy nie? Wyraźne »deferre» zarówno w rękopisie Zamoyskich, jak i Sędziwoja, utrudnia ogromnie zrozumienie ustępu. Tak samo, jak p. Wojciechowi Kętrzyńskiemu, także i mnie wydaje się konjektura nie prof. Wojciechowskiego z cudaczną konstrukcyą »deferre dolet«, ale Saengera »de fratre Wladislao«, dość prawdopodobną choć bynajmniej nie pewną. Dajmy więc na to, że ustęp rzeczony zawiera rzeczywiście wspomnienie o nieprzyjaźni polskiego Władysława Hermana! Czy jednak ten Władysław Herman rzeczywiście ciąży ołowiem zdrady i grzechu nad biskupem i wraz z dwoma fatalnemi słowy »peccato peccatum adhibuit« zawiera ostateczny sąd nad królem i biskupem? Przedewszystkiem nie może p. Wojciechowski zaprzeczyć, że jeżeli Gallowe »peccatum« i »traditorem episcopum« potępia w Gallowych oczach biskupa, to niemniej Gallowe »peccato« i »turpiter se vindicantem« ciąży ołowiem na królu. To jedno.

Powtóre, któż przeczy, że bunt miał miejsce przeciwko królowi? Nikt dalej nie może zaprzeczyć, że bunt się odbył na rzecz następcy Bolesława, t. j. Władysława Hermana? Ta tylko jest różnica między mną a p. Wojciechowskim, iż twierdzę nie na podstawie przypuszczeń lub niecałkiem jasnego ustępu, lecz na podstawie całej kroniki Galla, przedstawiającego Władysława Hermana jako skończonego niedołęgę, iż on chyba inicyatorem zegnania Bolesławowego być nie mógł. Był nim zapewne ten, kto Władysławem rządził, wojewoda Sieciech, jak to już przed kilkunastu laty trafnie zauważył prof. Smolka. O biskupie z Galla wiemy, że popełnił zdradę na królu, nic więcej. Ja twierdzę, uwzględniając tradycyę późniejszą Kadłubka i żywotów, że tę Gallową zdradę popełnił biskup przez rzucenie na króla klątwy, najbardziej rewolucyjnego środka, jakim średniowiecze rozporządzało. P. Wojciechowski twierdzi, ignorując tradycyę, na podstawie przypuszczeń, że biskup popełnił zdradę polityczną, bez jakiejkolwiek przymieszki kościelnej, na rzecz juniora. Prof. Wojciechowski, ścigając z fanatyczną pasyą Kadłubka, pierwszego naszego uczonego pochodzenia polskiego, jednego z najświatlejszych mężów

swego czasu w Polsce, jednego z najszlachetniejszych pod względem charakteru biskupów, nie tylko pomawia między liniami o pobożne oszustwo w »Szkicach«, ale go czyni wprost niepoczytalnym! (»Plemię Kadłubka«, str. 16). Natomiast zwalczane przez prof. Wojciechowskiego plemię Kadłubka nie przechodzi z lekkiem sercem nad tradycyą, zgodnie z postulatami umiejętnej metody historycznej. Dopóki bowiem nie wykaże się wszechstronnie, jasno i niezbicie fałszu świadectwu źródłowemu, nie wolno go na podstawie nieusprawiedliwionych wymyślań odrzucać. Dopóty nie będziemy mieli o kronice Wincentego choćby takiego rozbioru krytycznego, jakiego nam dostarczył do kroniki Długosza p. A. Semkowicz, nie wolno nam nad faktami przez Kadłubka podanymi laski łamać. Jakie skarby zawiera kronika Kadłubka wykazal nam najlepiej nie kto inny, jak prof. Wojciechowski w swej pracy o Kazimierzu Mnichu. Jak zaś nawet z bajek Kadłubkowych, zaczerpniętych z bestyaryuszy średniowiecznych, zręczna krytyka wydobyć potrafi szczery kruszec prawdy, to wprost genialnie wykazał taki znawca średniowiecza, jak Łaguna w swej pracy p. t. »Dwie lekcye«. Fanatyczne poniewieranie późniejszą tradycyą jest przeciwne wszelkiej metodzie historycznej. Toć przecież dzisiaj jeszcze, w warunkach dla tradycyi ustnych daleko mniej korzystnych, wypadki dziejowe, a nawet jaskrawe fakta z życia codziennego żyją wieki całe niezamącone w tradycyi ustnej. Piszący, z tradycyi rodzinnej zna cały szereg faktów z wojen napoleońskich, wypadki z życia młodzieży w dawnych szkołach pijarskich z przed r. 1800, ba nawet z ust sędziwego starca słyszał opowiadanie o straceniu Patkula w r 1706, na który to fakt dziadek jego informatora własnemi oczyma patrzył. Z końcem XII wieku przy katedrze krakowskiej nie miałoby być żywej tradycyi o takim fakcie, jak o zabiciu biskupa krakowskiego przez króla, kiedy dziś od chłopów wielkopolskich słyszy się dokładne opisy o zabiciu jakiegoś zakonnika lubińskiego przez dziedzica sąsiedniej wioski w r. coś 1770. Przechodzenie do porządku dziennego nad tradycyą późniejszą jest dziwne, tem bardziej u tego historyka, który niejednokrotnie w swych pracach z tradycyi XVII wieku wysnuwał wnioski i to trafne wnioski o faktach XI wieku. To pomiatanie niewygodną tradycyą

przypomina mi tych burzymurków francuskich, którzy przed wielkim architektem Viollet le Duc z istnym wandalizmem wspaniałe gotyckie świątynie francuskie przy restauracyi puryfikowali od rzekomych naleciałości późniejszych, na podstawie fantastycznego wyobrażenia o pierwotnym stylu tych świątyń. Hiperkrytycyzm racyonalistyczny słusznie dziś potępia metoda naukowa, albowiem całą tradycyę historyczną stawiając na ławie oskarżonego, nie troszczy się wcale o to, co się stało w rzeczywistości, stosującej się, jak wiadomo, mało do logicznego schematyzmu, lecz z góry wie, co się stać musiało. Nie przez pyszałkowate potępianie źródeł, lecz przez serdeczne wnikanie w nie wydobywa się z nich złoto prawdy, tak uczą koryfeusze metody historycznej.

Drugim zasadniczym błędem metodycznym u prof. Wojciechowskiego i jego adherentów jest ta okoliczność, iż chcą koniecznie oddzielić kloszem Polskę XI wieku od wpływów zachodnio-europejskich. W chwili gdy na całym Zachodzie nie tylko we Włoszech ale Francyi, Anglii rozlegają się hasła walki o niepodległość Kościoła między gregoryanami a regalistami, w tej chwili w Polsce, nieodrodnej przecież córze kultury zachodniej, wszelkie echa tej walki mają być wykluczone, a tragedya między królem a biskupem wyłącznie ma mieć tło polityczne na tej podstawie, że jeszcze w Polsce XII w. nie było miejsca dla walki kościelno-politycznej? Czy to jednak dowód dostateczny? Czy nie mamy i gdzieindziej podobnych przedświtów wielkich prądów dziejowych, które nagle zanurzały się w mrokach reakcyi, by następnie ostatecznie zwyciężyć? Że w Krakowie była reforma kościelna przez leodyjskich reformatorów już w XI wieku zaszczepiona, o tem szerzej rozpisałem się w mej pracy »Święty Stanisław i jego zatarg etc.« (str. 14, 16, 23, 30—31, 58—59, 65 i t. d.) Śladów tej protoreformy kościelnej w XI wieku w Krakowie nikt już dzisiaj zatrzeć nie zdoła i ignorować nie powinien. Nad sprawą św. Stanisława bez uwzględnienia ówczesnej walki kościelnej, jak to już swego czasu Roepell podniósł, nie można dziś już naukowej prowadzić dyskusyi.

Przy innej sposobności zamierzam wszyskie kwestye, poruszone w ostatnich czasach przez najnowszą krytykę w sprawie

św. Stanisława krytycznie omówić. Tu chciałbym jeszcze odpowiedzieć na zarzuty, uwłaczające mej czci osobistej. Chcąc wykazać chwiejność sądu prof. Wojciechowskiego co do prawdomowności Galla, przytoczyłem sześć ustępów, wyjętych z jego »Szkiców«. Najlojalniej przyznaję, że wskutek tego, iż podając cytaty na podstawie notatek, przed trzema laty robionych, przez pomyłkę podałem zdanie, odnoszące się nie do Galla lecz do Kadłubka: »Nie odważył się ani jednem słowem wspomnieć o buncie dziada«. Lojalnie też wyznaję, iż niczego więcej nie żałuję, jak, że memu przeciwnikowi, w środkach chyba nie przebierającemu, ułatwiłem tak tani i tak łatwy sukces. Pomyłek podobnych w cytatach popełnił prof. Wojciechowski sam nie jednę, jak to sam stwierdza w swojem »Plemieniu Kadłubkowem«, str. 22. Nikt z tego powodu nie czyni mu zarzutów nielojalności lub zuchwałości, jakimi moją osobę zaszczycić raczył prof. Wojciechowski. Ponieważ tedy wbrew oczekiwaniu prof. Wojciechowskiego lojalnie uznałem moją pomyłkę, nie wątpię, że i p. Wojciechowski lojalnie przyzna, iż wszystkie inne 5 cytatów, podanych na dowód chwiejności jego sądu o prawdomówności Galla odnoszą się rzeczywiście do Galla. Zatem »Gall miał odwagę pisać prawdę«. (Szkice 256), »Z uczestników buntu wymienił tylko Stanisława, bo ten widocznie nie miał tak potężnych krewnych, iżby się potrzebował obawiać zemsty (str. 255). Był człowiekiem sumiennym, kiedy nie mogąc napisać całej prawdy, przynajmniej nie starał się zakryć jej« (str. 245). »Gallus milczy przez dwanaście lat o jakichbądź sprawach dlatego, bo to były dzieje haniebne, których nie dałoby się skoloryzować jakąbądź frazeologią« (str. 317), »Gall nie chciał zataić prawdy, ale ją zakrył« (str. 338). Zamiast błędnego cytatu dołączam jeden jeszcze ze »Szkiców«, a dwa z »Plemienia Kadłubka«. Gallus dopisał wiadomość czy anegdotkę, że Bolesław nie chciał zsiąść z konia, aby tamtego powitać, dołączył jeszcze drugą, że z tego powodu spotkała go rychła śmierć. Nie umiem tego wyjaśnić, trzebaby wiedzieć na kogo Gallus miał wzgląd albo kogo się obawiał, że i tutaj nie opowiedział szczegółów, które widocznie znał (»Szkice« str. 283). Gallus powiedział niewiele, tylko tyle, ile rozumiał, że »wolno powiedzieć«, ale co

uważał, że wolno, to też wypowiedział jasno i nie dwuznacznie, bez żadnej ogródki, a dodajmy z niezwykłem, jakby ponadgallowem (!) poczuciem sprawiedliwości (»Plemię Kadłubka«, str. 17). Że Gallus nie pisał o buncie Hermana wyraźnie a tylko pośrednio i ubocznie, to łatwo wyrozumieć ze względu na Krzywoustego, syna i spadkobiercy szczęśliwego buntownika Hermana. Należało to bowiem do rzędu tych prawd, o których »długo byłoby mówić« a nie wchodziło w zakres tego, co wolno powiedzieć, a jednak Gallus, jako sumienny kronikarz, chociaż okrył prawdę osłoną, to przecież nie zataił« (»Plemię Kadłubka«, 24).

Sądzę, że »odwagę Galla« w pisaniu prawdy cytaty przytoczone z dzieł p. Wojciechowskiego aż nazbyt charakteryzują. Jestem przekonany, że Gall, gdyby powyższe pochwały swej prawdomowności był usłyszał, powiedziałby bez namysłu: »Panie, chroń mię od podobnych pochwał i podobnych przyjaciół«!

»Ten p. Krotoski jednak nie zawahał się na mnie — powiada wkońcu p. Wojciechowski — rzucić jeszcze jednego pocisku szczególnie jadowitego, pisząc o mnie: »Uległ suggestyi literatury antykościelnej, która jedynie w szkalowaniu Kościoła i jego urządzeń widzi prawdę historyczną«. Przyznaję, że jadowitość jest w całem tem zakończeniu p. Wojciechowskiego, tylko nie po mojej stronie. Że ten zarzut p. Wojciechowskiemu uczyniłem, to nie moja wina, lecz p. Wojciechowskiego, który swojemi pracami i swojem postępowaniem piszącego do podniesienia tego zarzutu wprost zmusił.

W pracy swej, przed trzydziestu laty napisanej, p. t. »O rocznikach polskich X—XV wieku« (Pamiętnik Akademii umiejętności, wydział fil.-hist. t. IV, str. 167) twierdzi prof. Wojciechowski, że już około r. 1088 duchowieństwo krakowskie powzięło zamiar starania się o kanonizacyę Stanisława, czego translacya była niejako początkiem. W r. 1898 pojawił się w pracy *Zur Geschichte Polens im Mittelalter* w ustępie *Boleslaw II und der heil. Stanislaw* głośny swego czasu pamflet historyczny d-ra M. Gumplowicza przeciwko kultowi św. Stanisława, który poważna krytyka scharakteryzowała mianem *Dichtung und Warheit* lub samej *Dichtung*. Tłumaczenie tego pamfletu już po wydaniu oryginalnego dziełka w języku niemieckim, pojawiło się w *Kwartalniku*

historycznym, przyznaję nie z winy redakcyi, lecz wskutek niesumienności autora, który dawszy redakcyi tekst polski do publikowania, przed publikacyą polskiego tłumaczenia wydał oryginał niemiecki swej fantastycznej pracy. Kiedym z powodu tego pamfletu zabrał się do przestudyowania »z niemałym nakładem trudu i pracy«, jak to przyznaje łaskawie sam prof. Wojciechowski, kwestyi św. Stanisława na tle dziejów XI wieku i drugą część moich studyów referowałem w r. 1902 na posiedzeniu Akademii Umiejętności i zacytowałem opinię prof. Wojciechowskiego co do zamiaru kanonizacyi Stanisława już przez współczesne duchowieństwo w r. 1098, prof. Wojciechowski publicznie zaprzeczył, by coś podobnego kiedykolwiek był napisał. Kiedy jeden z obecnych wówczas członków Akademii kazał przynieść odnośny tom Pamiętnika Akademii i wykazał czarno na białem, że taki sąd przed 30 laty o św. Stanisławie wydał był prof. Wojciechowski, oświadczył tenże, iż o tem zupełnie zapomniał. Przyznam się, że całe to zajście, które z pewnością niejednemu z obecnych wtedy na posiedzeniu utkwiło w pamięci, dało mi wiele do myślenia. Kiedy zaś pojawiły się »Szkice historyczne z XI wieku« w r. 1904 i powtórzyły bez najmniejszego przypisku szereg najbardziej fantastycznych ekspektoracyi Gumplowicza, mianowicie tezę, że biskupi współcześni Gallowi tak samo się patrzyli na św. Stanisława jako na zdrajcę, jak i Gall, że Wratysław czeski panował szereg lat w Krakowie, że św. Stanisław był przeciwnikiem św. Grzegorza w sprawie celibatu, a może tak samo, jak Czesław, późniejszy biskup krakowski, żonaty, że pochodząc z rodu Turzyńów, zostawał w jakich związkach rodzinnych z Magnusem, komesem wrocławskim i matką Zbigniewa, syna Władysława Hermana, późniejszym biskupem krakowskim Czesławem i t. d. Prof. Wojciechowski znał pracę Gumplowicza, przecież tak wysoko podnosi zalety swego ucznia, »będącego materyałem na niepospolitego badacza« (»Szkice«, str. 290). Jak sobie tedy wytłumaczyć tę zależność prof. Wojciechowskiego od Gumplowicza? Prof. Wojciechowski powtarzając za Gumplowiczem cały szereg jego fantazyi, nie zaznacza wcale, że fantazye te były już publikowane przez Gumplowicza. Jak takie postępowanie nazwać? Jeden z najbliż-

szych przyjaciół prof. Wojciechowskiego w prywatnym liście starał się wyjaśnić mi tę zagadkę. Nie mając jednak ani prawa ani obowiązku ani nawet chęci wyzyskiwać prywatne uwagi do publicznego użytku, muszę na podstawie danych wyciągnąć wniosek nieunikniony, że prof. Wojciechowski uległ suggestyi literatury antykościelnej, tem bardziej, że się ze sympatyami do swego ucznia Gumplowicza wcale a wcale nie tai.

Stwierdzając ten faktyczny stan rzeczy, tak dalece oburzyłem prof. Wojciechowskiego, że ten się dziwi, iż redakcya *Przeglądu Powszechnego* »temu p. Krotoskiemu« powierzyła nie tylko zagajenie, ale zdaje się całą organizacyę dyskusyi. Chyba życzliwość dla redakcyi *Przeglądu Powszechnego* tego zdziwienia ze strony prof. Wojciechowskiego nie wywołała! Przyzwyczajony tyloletniem powodzeniem do wynoszenia pod niebiosy wszelkich swoich odkryć naukowych, sędziwy profesor spotkał się pierwszy raz z bezwzględną, przyznaję, krytyką swych wywodów i hipotez. To w zupełności wyjaśnia niezwykłą animozyę nie tylko przeciwko mojej krytyce, ale przeciwko osobie krytyka, dlatego to widoczną pomyłkę w cytatach mianuje prof. Wojciechowski mianem zuchwałości, dlatego to zarzuca mi z lekkiem sercem nielojalność. Daremny jednak trud. Te osobiste, uwłaczające czci przeciwnika wycieczki, najwymowniej dowodzą, że kuso musi być tam z argumentami rzeczowymi, skoro tak poważny badacz do osobistych wycieczek zniżyć się nie waha. Wychowany w kulturnych stosunkach, przyzwyczajony do kultu prawdy, a nie do kultu choćby najbardziej renomowanych osób, do kultu połączonego z reguły pogardliwem lekceważeniem osób niżej rangą lub stanowiskiem postawionych, które się jako *une quantité négligeable* traktuje, z prawdziwym żalem przychodzi mi już trzeci raz podnieść protest przeciw niekulturalnemu poniewieraniu czci cudzej, poniewieraniu osobistości w polemice naukowej w poważnem piśmie naukowem, jakiem jest *Kwartalnik historyczny*. Polemika tego rodzaju nauce polskiej tylko ujmę przynosi. Jeżeli bowiem koryfeusze naszej wiedzy tego rodzaju broni walki użyć się nie wahają, tedy i w dziedzinie naukowej dojdziemy do tych brutalnych stosunków, jakie dziś widzimy na wyżynach naszej

polityki galicyjskiej. Przyznaję wszakże, że niniejszy spór o św. Stanisława nie był tak bezowocny, jak dawniejsze. Ustalił nam nie bez przyczynienia się prof. Wojciechowskiego dzięki prof. Krzyżanowskiemu ostatecznie tekst Galla, którego błędne wydanie było powodem szeregu pomyłek. Nie ulega żadnej wątpliwości, że kronika Galla jest św. Stanisławowi stanowczo wroga, ale też coraz bardziej ustala się przekonanie, że Gall zdecydowany regalista i antygregoryanin, jak to w moich pracach dowieść usiłowałem. Nikt dalej dowodzić świętości biskupa Stanisława na podstawie Galla, jak to twierdzi prof. Wojciechowski, nie myślał; z drugiej strony twierdzenie p. W., że *traditio* i *peccatum* w połączeniu z Władysławem Hermanem dowodzi niezbicie zdrady politycznej biskupa bez jakiejkolwiek przymieszki kościelnej, jest tylko subjektywnem przypuszczeniem bez dowodów, temu się sprzeciwia teza, oparta na najstarszych naszych zapiskach rocznikarskich, teza postawiona przed trzydziestu laty przez samego p. Wojciechowskiego, że już współcześni uważali biskupa Stanisława za świętego, robiąc starania o kanonizacyę, czego translacya była niejako początkiem. Mimo to prof. w trzydzieści lat później uznał sprawę św. Stanisława za straconą (»Szkice histor.« str. 249 przyp.) Obecnie stwierdza prof. Wojciechowski, że sprawę św. Stanisława uważa za straconą tylko w odniesieniu do tych źródeł, jakie obecnie posiadamy, a zwłaszcza w odniesieniu do stanowczo wrogiej biskupowi kroniki Galla (»Plemię Kadłubka«, *Kwart. hist.* str. 24, zeszyt 1—2, str. 3).

Wobec tej kilkakrotnej zmiany stanowiska w sprawie św. Stanisława u prof. Wojciechowskiego, co bynajmniej ujmy mu nie czyni, jest nadzieja, że i dalszej zmiany frontu możemy się u niego doczekać i to pod wpływem spostponowanego plemienia Kadłubkowego. Co do mej osoby, aczkolwiek prof. Wojciechowski za najgorszego wśród tego plemienia uznać mię raczył, rzeczonej obelgi do serca zbytnio sobie nie biorę. Gdybym chciał prof. Wojciechowskiemu odpłacić pięknem za nadobne, mógłbym plemieniu Kadłubkowemu przeciwstawić plemię Gallowe. Prof. Wojciechowski w tej Gallowej armii na prawym flanku pierwszym stał się obecnie grenadyerem. Jeżeli zaś zważymy, kim był

Kadłubek, ten pierwszy po europejsku wykształcony Polak i literat, pierwszy w XIII wieku gregoryański biskup, który z najbogatszego biskupa dobrowolnie staje się mnichem, a kim Gall anonim, piszący na chwałę książąt ku oburzeniu wielu współczesnych, w tym celu, aby otrzymać nagrodę ziemską za ten panegiryk na cześć juniora Bolesława, tedy zaiste wolę być najpodlejszym z plemienia Kadłubkowego między Roepellami, Szujskimi, Kalinkami, Liskimi, Kętrzyńskimi, Prohaskami, Miodońskimi, Smolkami i t. d., niż pierwszym w plemieniu Gallowem, między Komarnickimi, Skórskimi, popisującymi się w *Naprzodzie* swemi naukowemi rewelacyami, Świeżawskimi, Gumplowiczami, Angersteinami, Pichlerami i całą tą młodzieńczą plejadą badaczy, istnem plemieniem Chanteclera (Gallus), które koniecznie chce udowodnić, że tradycyę na chwałę Stanisława stworzyli księża w rodzaju Kadłubka, który »już wierzył w krzywdę Stanisława i jego świętość«, a »przynajmniej rozumiał, że tak jest dobrze i to pomaga do wiary«. Zaszczytu przodownika i koryfeusza w plemieniu Gallowem p. Wojciechowskiemu bynajmniej nie zazdroszczę. Jednego tylko w interesie nauki polskiej i kultury polskiej domagać się muszę, by w polemice naukowej umiano szanować cześć cudzą i osobę przeciwnika przestano traktować pogardliwie przez »taki pan« lub »ten pan«, jak to się praktykuje w *Kwartalniku historycznym*. Powadze naukowej autora »Roczników polskich«, »Kazimierza Mnicha«, »Chrobacyi«, »Katedry na Wawelu« nie zaszkodziło tyle plemię Kadłubkowe, ile raczej autor plemienia Kadłubkowego nieodpowiednim tonem i sposobem swej polemiki.

Dr. K. Krotoski.

ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA.

Leży przede mną na stole dzieło, które ledwie kilka tygodni temu opuściło prasę drukarską, dzieło, obejmujące tomów 28 i osobny tom z indeksem, a tom każdy, 30 cm. wysoki i 23 cm. szeroki, liczy stron blizko 1000. Prócz tych 26 tysięcy stron tekstu i 7000 rycin w tekscie zajmuje ono nadto 450 pełnych kart z rycinami i 417 niezmiernie starannie i przeważnie w kolorach wykonanych map geograficznych. Jest to jedenaste wydanie dokonane nakładem Uniwersytetu w Cambridge sławnej na świat cały encyklopedyi angielskiej, noszącej monumentalny napis: *Encyclopaedia Britannica.* Egzemplarz, jaki mam przed sobą, nie jest egzemplarzem recenzyjnym, nie myślę też pisać recenzyi w ścisłem tego słowa znaczeniu, to jest podawać treść i krytykę tekstu, bo na to potrzeba byłoby kilkudziesięciu krytyków, z których każdy zająćby się mógł swoim tylko działem. Ale cała ta książka jest zewnętrznie i wewnętrznie tak ciekawa, tyle nastręcza refleksyi, że zająć ona musi niechybnie każdego, kto bodaj trochę interesuje się tem, co się dzieje poza jego własną strzechą.

Kiedy po sześciu latach niesłychanych wysiłków i ciężkiej pracy ukończono roku zeszłego redakcyę tego dzieła, zebrali się na zaproszenie kanclerza Uniwersytetu w Cambridge najznakomitsi i najwybitniejsi uczeni i mężowie stanu Anglii, wśród których nie brakło nawet ambasadora amerykańskiego, by wspólną ucztą uczcić ten wielki dla świata anglo-saksońskiego ewenement. Czczono zjawienie się dzieła, jakie dumą napełnia każdego An-

glika, a przyznać trzeba, że po większej części mają się czem szczycić, i taka encyklopedya, tak pojęta i w ten sposób wykonana, na każdym, chociażby najbardziej uprzedzonym, wycisnąć musi wyznanie, że dziś rasa anglo-saksońska na świecie prym trzyma, i że żaden inny naród, prócz angielskiego, nie mógłby się zdobyć na takie wydawnictwo. Że w tych słowach niema przesady, to przyzna może łaskawy czytelnik z faktów, które przytoczymy.

Na samym już wstępie przestrzedz musimy przed nieporozumieniem, jakie łatwo wyniknąć może z tego tytułu »Encyklopedya«, a które łatwo na myśl nasunąć nam może owe znane wydawnictwa, często liche kompilacye, jakie niestety, nawet nie w naszym języku, zapychają nasze szafy z książkami, a za które setki tysięcy idzie do kieszeń obcych wydawców, gromadzących często grosz nasz za to, że nas poniewierają i krzywdzą. »Encyklopedya brytańska« to raczej zbiór większych i mniejszych a zawsze oryginalnych prac półtora blizko tysiąca najwybitniejszych uczonych i fachowców całego świata, prac uporządkowanych według alfabetycznego porządku, a nadto zredagowanych, ile możności, w jedną ścisłą, organiczną całość.

Nie od razu wydawnictwo to doszło do tej doskonałości i formy, w jakiej je obecnie widzimy, a historya jego charakterystyczną stanowi ilustracyę rozumnego konserwatyzmu z jednej strony i ciągłego dążenia do prawdziwego postępu z drugiej — tych dwóch przymiotów, które społeczeństwo angielskie do lat ostatnich w wielu rzeczach tak świetnie umiało łączyć, tej właśnie umiejętności zawdzięczając swą obecną potęgę. Pierwsze wydanie Encyklopedyi sięga dalekiej stosunkowo przeszłości, bo aż roku 1678, w którym zjawił się pierwszy zeszyt Encyklopedyi, wydawanej przez grono szkockich nakładców a redagowanej głównie przez wydawcę edynburskiego Smellie, który sam jeden wziął na siebie przedstawienie w Encyklopedyi 15 głównych nauk, co oczywiście naówczas nie było niemożliwe. Dzieło wychodziło przez cztery lata i objęło trzy wielkie tomy in 4-to. Była to oczywiście kompilacya ze wszystkich dziedzin wiedzy, ugrupowanych w pojedynczych artykułach w alfabetycznym porządku,

z wyjątkiem historyi i bibliografii, które uważano wówczas za ubliżające godności encyklopedyi. Książka ta tak wielką zyskała sobie od razu popularność, że wkrótce zabrano się do nowego, na większą znacznie skalę zakrojonego wydania, do którego wraz z wszystkimi działami wiedzy ludzkiej dopuszczono i historyę. Ośm lat ciągło się wydawnictwo (1777—1784), dostarczane prenumeratorom zeszytami, które razem uczyniły dziesięć wielkich tomów, o półdziewięta tysiąca stronach i 340 rycinach. Ale i to dzieło, mimo swej obszerności, było tylko kompilacyą. Przełom i istotny postęp stanowi dopiero wydanie trzecie (od r. 1788 do 1797), gdyż do współpracownictwa nad niem zaproszono najwybitniejszych specyalistów z grona szkockich uczonych. Po wydaniu czwartem (1801—1810, tomów 20) następowały szybko wydania dalsze pod egidą i jako własność wielkiego i sławnego ze swej hojności dla autorów wydawcy, Archibalda Constable'a, któremu dano przydomek »Napoleona w królestwie druku«, mianowicie piąte tomów dwadzieścia (1815—1817), i szóste także tomów 20 (1816—1824), ukoronowane sławnym supplementem, złożonym z sześciu tomów, w którym prace swoje umieścili uczeni najwybitniejsi już nie tylko Szkocyi, lecz Anglii i całej Europy. Pisał tam Walter Scott Leslie, Davy, Arago, Biot, a jak wydawca nie szczędził niczego, by dzieło uczynić znakomitem, widać choćby z tego, że filozof Duglas Stewart za jeden artykuł otrzymał honoraryum tysiąc funtów, czyli 24 tysiące koron. Wskutek zbytniej spekulacyi przyszedł jednak krach na wielkiego Constable'a, zakończony godnym mu deficytem, bo wynoszącym sześć milionów koron (ćwierć miliona funtów), w którym uczestniczył także i wspólnik Constable'a, Walter Scott. Encyklopedya jednak rozwijała się dalej mimo klęski właścicieli, a prawo jej wydawnictwa nabył Adam Black, który puścił w świat wydanie siódme (tomów 21, 1830—42) i ósme (tomów 22, od r. 1853 do r. 1860). Gdy jednak przyszło do wydania dziewiątego, rzecz zakroiła się na tak wielką skalę, a wydatki żądane na nakład tak się wzmogły, że ostrożny Black, bojąc się tego szalonego ryzyka i przewidując krach, wycofał się ze współudziału. Mimo to wydanie dziewiąte do skutku przyszło, a obawy Blacka okazały się płonne. Bo choć Encyklo-

pedya objęła 24 tomy (od r. 1875 do 1889), o 21:572 stronach i 302 wielkich ilustracyach, to sukces był tak znakomity, że rozeszło się blizko pół miliona egzemplarzy. Dalsze wydawnictwo wziął na siebie znany, największy na świecie dziennik *The Times*, który w r. 1902 wydał suplement, złożony z 11 tomów, przedrukowawszy przedtem (1899) dosłownie wydanie 9-te, które wraz z tym suplementem stanowiło wydanie 10-te Encyklopedyi.

Zaraz w maju następnego roku (1899) zabrano się do układania nowego, 11-tego wydania, którego początkowo podjęła się redakcya *Timesa*. Umyślono jednak zaprowadzić nowość, na jaką dotychczas nikt zdaje się na świecie się nie odważył, a mianowicie postanowiono całe dzieło, zakrojone na większą jeszcze skalę niż 35-tomowe wydanie dziesiąte, puścić w świat naraz, wszystkie jego tomy, a nie jak dotychczas, peryodycznie. Korzyści z tego dla samej wewnętrznej wartości Encyklopedyi byłyby niesłychane, gdyż w ten tylko sposób można zapewnić całemu wydawnictwu jednolity kierunek i uchronić od koniecznych dawniej nie tylko powtarzań, ale sprzeciwiań się sobie. Bo weźmy np. wydanie dziewiąte, którego tom pierwszy pokazał się w r. 1875-tym a ostatni, to jest dwudziesty piąty w r. 1889-tym, a więc w czternaście lat później. Łatwo sobie wyobrazić, jakie musiało nieraz panować pomiędzy pojedynczymi autorami pomieszanie pojęć, a dzieło jeszcze do połowy nie doszło, gdy jego początek uważać trzeba było za przestarzały. Wszystkie te trudności i niedogodności, stanowiące niesłychanie ujemną stronę całego dzieła, znikały zupełnie, gdyby udało się całość wydać za jednym zamachem.

Każdemu, kto chociaż zdala miał do czynienia z jakiemś wydawnictwem, sama myśl takiego przedsięwzięcia musiałaby się wydać szaleństwem, a jednak Anglicy podjęli ją śmiało i wykonali świetnie. Zawdzięczać to jednak muszą istniejącej już organizacyi olbrzymiej redakcyi *Times*'a, która nie tylko dostarczyła lokalu, dalej najwybitniejszych i doświadczonych wydawców z grona swego personalu, ale przedewszystkiem dała kapitał nakładowy, o którego wielkości można nabrać pojęcia z faktu, że gdy redakcya Encyklopedyi obecnej była już gotową, lecz zanim

jeszcze jedną literę wydrukowano, włożono w wydawnictwo półszosta miliona koron (230 tysięcy funtów).

Rzeczą jest interesującą i pouczającą, w jaki sposób zabrano się do wykonania tego planu. Przedewszystkiem więc utworzono osobną redakcyę pod kierunkiem naczelnym znanego angielskiego wydawcy i dziennikarza, Hugh Chisholma, męża w sile wieku (ur. 1866), który do przedsięwzięcia prócz wyższego wykształcenia wniósł swe bogate doświadczenie, jakiego nabrał, biorąc wybitny udział w układaniu 10 wydania Encyklopedyi, gdzie pracował jako wydawca i autor. Prócz niego do redakcyi weszło przeszło 60 członków, między nimi najwybitniejsi uczeni przedstawiciele rozmaitych działów nauki, którzy podzielili się na grupy, według fachowych przedmiotów i przy pomocy współpracowników, rekrutujących się z najznakomitszych uczonych całego świata, z którymi opracowywali tematy i którym podawali plany napisać się mających artykułów, przez lat siedm poświęcili dziełu cały swój czas i energię. Współpracowników tych jest przeszło półtora tysiąca, przedstawiają oni oczywiście wszystkie wybitniejsze zawody: 599 profesorów uniwersytetu, 57 członków akademii angielskiej British Academy, 126 ministrów i dyplomatów, 327 historyków, 161 teologów, 107 przyrodników, 75 lekarzy, 73 przemysłowców, 93 matematyków i fizyków, i t. d. i t. d. Jak zaś reprezentowane są tam liczne narody, to widać ze statystyki współpracowników, będących członkami uniwersytetu lub kolegiów: Z Ameryki jest ich 123, z Niemiec 31, z Austryi 7, z Japonii 6, Serbii 1, Turcyi 1, podczas gdy głównego kontyngensu, bo blizko 500 dostarczyła Anglia. Niestety wśród spisu tego nie znaleźliśmy ani jednego Polaka.

Jak widzimy, naukowy autorytet Encyklopedyi jest taki, że o większy chyba trudno, bo grono współpracowników składa się z najwybitniejszych mężów nauki z całego świata, i to nie tylko utytułowanych, lub spoczywających na laurach zdobytych minionemi już zasługami, lecz aktualnie przodujących nauce. Autorytet zaś ten zwiększyła jeszcze inna okoliczność. Oto w r. 1909 cała Encyklopedya przechodzi na własność sławnego Uniwersytetu w Cambridge, który też figuruje jako urzędowy i rzeczywisty

jej nakładca. Moralne znaczenie tego faktu, jak je rozumieją w Anglii, najlepiej może uwydatniają słowa, jakie na wyżej wspomnianym bankiecie wypowiedział członek parlamentu i prezes British Academy, najwyższej instytucyi naukowej Anglii, Samuel Henry Butcher: »Co do Uniwersytetu nie mogę obronić się przed uczuciem, że jest to organizm żyjący; jego korzenie są daleko w przeszłości; jest on przedmiotem stopniowego wzrostu; patrzy na dziś i na jutro, a jego nadzieja rozciąga się w przyszłość. Funkcyami jego bez wątpienia są badania naukowe i wychowywanie tych, którzy są mieszkańcami i pobierającymi nauki w Cambridge. Lecz w dodatku do tego ma on pomiędzy swymi innymi obowiązkami, funkcyę rozsiewania wiedzy w możliwie najobszerniejszem znaczeniu pośród wszystkich klas. Gdy te myśli stają mi w duszy, pytam: czyż Encyklopedya nie pomoże Uniwersytetowi wykonywać tych rzeczy, które stanowią jego wpływ żywotny? Spodziewam się, że tak. W Encyklopedyi tej macie nie tylko gruntowne wyniki ubiegłych dziejów i ukończonych badań, lecz macie także nowe teorye postępu i macie w artykułach pisanych przez rodzaj mężów, o których mówiłem, pewien bodziec i pewne niejakie kierownictwo do przyszłych odkryć. Wyrażam nadzieję, że posiadając i dozorując taką książkę, jak ta Encyklopedya brytańska, Cambridge może się stać czemś więcej, niż był kiedykolwiek w przeszłości, nowe idee wzniecającym środkiem rozciągającego się na świat cały intellektualnego życia, i zdolnym do wykonywania swej funkcyi nie tylko narodowej lecz międzynarodowej«.

Przytoczyliśmy dosłownie te wyrazy męża stojącego na czele najwyższej instytucyi naukowej w Anglii, bo one nagrodzone tam ogólnym poklaskiem, malują najlepiej stanowisko, jakie Encyklopedya zajmuje w życiu umysłowem narodu angielskiego, dają poznać poglądy, jakie na uniwersytet i ludzi nauki mają Anglicy. W kraju, gdzie nauce poświęcają się członkowie najbogatszych i najznakomitszych rodów, gdzie najgłębsi uczeni nie wahają się poświęcać długiego czasu na pisanie dzieł zupełnie popularnych, przeznaczonych dla warstw najszerszych, uwa-

żają też logicznie uniwersytet nie za izolowaną wyspę, oddzielającą się szczelnie od szarych lądów, lecz za ognisko, którego światło ma spływać przedewszystkiem na swych wychowanków, lecz prócz tego także obejmować rzesze jak najdalsze.

Nie trzeba jednak sądzić, że ta Encyklopedya idealnie spełni swe zadanie — bo właśnie największy zarzut, jakiby jej można postawić, jest ten, że pisana jest dla ogółu nawet wykształconych zbyt trudno. Gdybyśmy zebrali w jedną całość treść wszystkich specyalnych wykładów, ze wszystkich fakultetów, jakie na uniwersytecie dzisiejszym się wykładają i uporządkowali je według przedmiotów alfabetycznie, dodając do tego artykuły i wiadomości ze wszystkich innych możliwych dziedzin życia, jak sztuki, przemysłu, sportu, mielibyśmy dokładny obraz Encyklopedyi. A dodać trzeba jeszcze, że nieraz to streszczenie wykładów tak jest obszerne i tak głębokie i ścisłe, że z pewnością przedstawiałoby trudności nawet dla umysłowości średniego uniwersyteckiego ucznia studyującego dany przedmiot fachowo. Dla ilustracyi tego parę przykładów.

W tomie 11-ym znachodzimy artykuł znakomity pod tyt. *Function*, traktujący o funkcyach matematycznych, obejmujących ni mniej ni więcej jak 56 kolumn bardzo drobnego druku, które ułożone czcionkami i w formacie niniejszym *Przeglądu Powszechnego*, zajęłyby stron przynajmniej 150. Artykuł ten rozpada się na dwie części: jedna traktuje o funkcyach zmiennej rzeczywistej, druga o funkcyach zmiennej zespolonej, a każda z nich napisana przez innego specyalistę-matematyka, profesora uniwersytetu, którzy w wywodach swych używają swobodnie wyższej matematyki, różniczek i całek nawet podwójnych. Oczywiście rzecz o wysokiej wartości, lecz dla średniego »intelligenta«, któryby chciał z encyplopedyi dowiedzieć się coś o funkcyach, zupełnie niezrozumiała. W tym samym tomie spotykamy dalej między innymi artykuł z zoologii ścisłej, *Gastropoda*, głowonogi, 40 kolumn druku i 62 rycin obejmujący, napisany przez profesora zoologii J. T. Cunninghama, bardzo ściśle i bardzo fachowo. Odsyłając kwestyę pokrewieństwa ślimaków z innymi mięczakami do arty-

kułu *Mollusca,* traktuje gruntownie i całkiem fachowo anatomię i systematykę ślimaków, używając oczywiście terminów fachowych zupełnie swobodnie i bez podawania objaśnień. Dla porównania dodam, że ta sama rzecz zajmuje w podręczniku zoologii Clausa-Grobbena, używanym przez uczniów uniwersyteckich specyalnych kursów zoologii, stron 22, co równa się zaledwie trzeciej części artykułu w Encyklopedyi. Artykuł o geologii, napisany przez jednego z najsławniejszych żyjących obecnie geologów, Archibalda Geikie, na 72 kolumnach (koło dwustu stron przeglądowych, traktuje w sposób mistrzowski samą tylko geologię ogólną, po szczegóły odsyłając do licznych artykułów specyalnych, rozsianych po Encyklopedyi. Charakterystycznym dla wartości i głębokości Encyklopedyi jest artykuł: *Geometry,* gdzie na 120 kolumnach, w siedmiu częściach traktowany jest całokształt dzisiejszej geometryi. Autorami są sławni matematycy, profesorzy uniwersytetu i członkowie Akademii brytyjskiej: Whitehead, Russel, Everitt, Elliot, Grace i Henrici, z których każdy opracowuje swoją tylko specyalność. To są tylko niektóre przykłady z jednego tylko na chybił trafił wziętego tomu. Zanim go jeszcze odłożymy na bok, niepodobna nie wspomnieć o trzech artykułach, poświęconych językowi, literaturze i historyi Niemiec, a równych samym tylko obszarem dosyć znacznej książce, bo obejmujących 250 kolumn, a więc przeszło 500 stron formatu niniejszego artykułu.

Odpowiednio do Niemiec traktowane są też i inne wielkie narody i kraje. Np. w tomie 9-ym Egipt, stary i nowy, z uwzględnieniem ostatnich odkryć i archeologicznych zdobyczy, zajmuje 220 kolumn, t. j. około 500 stron naszego *Przeglądu.* W tym samym tomie artykuły *England, English History, English Language,* 470 kolumn, a więc w zwykłej ósemce pokaźna dwutomowa książka, oczywiście pisana przez wielu autorów. W t. 15-m *Italy* 96 kolumn, w duchu oczywiście przychylnym dla »młodych Włoch«, *Japan* (Japonia) 236 kolumn, artykuł obejmujący w dziesięciu sekcyach geografię, statystykę, literaturę, historyę i t. d. Japonii. Ciekawa jest sekcya 10-ta: »Dążenia Japonii«,

napisana przez wybitnego japońskiego męża stanu, Baroma Dairoku Kikuchi, prezydenta cesarskiej akademii japońskiej [1].

Podobnie gruntownie i obszernie (136 kolumn) traktowane są Chiny. Austryi *(Austria-Hungary)* poświęcono szpalt 74, a historyę państwa doprowadzono aż do ostatniej reformy wyborczej włącznie, podając statystykę reprezentowanych na mocy nowej ordynacyi stronnictw. Artykuł *Russia* rozciąga się na sto kolumn, a prócz tego widzimy bardzo dokładny opis wojny rosyjsko-japońskiej (24 kolumn) i rosyjsko-tureckiej (12 kolumn).

Na zakończenie tego opisu zewnętrznego raczej Encyklopedyi podnieść należy jedną jeszcze ciekawą nowość, którą wydawnictwo zaprowadziło. Oto dzieło wydrukowano na papierze indyjskim, mocnym i bardzo mało przeźroczystym, a tak cienkim, że tom każdy o tysiącu blizko stronach ma grubości zaledwie dwa i pół centymetra, a więc trzy razy jest cieńszy, niż gdyby był drukowany na papierze zwykłym. W ten sposób ma się na półce zaledwie 70 cm. długiej bibliotekę, wydaną przez półtora tysiąca najwybitniejszych uczonych świata, którą gdyby wydrukowano zwykłemi czcionkami w formacie np. *Przeglądu Powszechnego*, zapełniłaby przeszło 300 tomów. Dodając do tego piękną, miękką, skórzaną oprawę, z przyszytym grzbietem, tak, że każdy tom, ważący zaledwie trzy funty, można zgiąć i jak zeszyt trzymać w ręce; widzimy, że mamy tu prawdziwie ostatni, nawet w dalekiej chyba przyszłości nieprześcigniony produkt drukarskiej techniki.

* * *

Powiedzieliśmy wyżej, a każdy z tego krótkiego opisu przyznać nam musi słuszność, że nie można w jednym artykule pisać

[1] Kończy się ona następującym ustępem: »Zawsze było ambicyą narodu japońskiego stanąć w rzędzie wielkich mocarstw świata i mieć głos w radzie narodów, żądają, by nie uprzedzano się przeciwko nim z powodu barwy ich skóry, lecz żeby ich raczej sądzono z ich czynów. Z tym zamiarem robili wielkie wysiłki: gdzie zarzuty przeciw nim podniesione miały swe uzasadnienie w faktach, usiłowali poczynić reformy; gdzie one były fałszywe lub pochodziły z nieporozumienia, usiłowali przeżyć je, ufając, że czas im wymierzy sprawiedliwość. Oni pragną chętnie być sądzeni przez świat inteligentny i bezstronny, słuszności, a nie łaski domagają się, i sądzą, że mają prawo domagać się od świata«.

recenzyi Encyklopedyi, dzieła tak olbrzymiego i wszechstronnego. Ale choć w paru słowach pokusimy się odpowiedzieć na pytanie, które z pewnością nasuwa się wielu z naszych czytelników: jaki mianowicie z tych licznych kart wieje prąd co do dwóch najbardziej nas obchodzących kwestyi, to jest w kwestyi religii katolickiej i w sprawie polskiej.

Co do punktu pierwszego uprzytomnić sobie przedewszystkiem trzeba, że Encyklopedya, chociaż używa w miarę potrzeby współpracowników z całego świata, jest jednak rdzennie dziełem i produktem ducha i społeczeństwa angielskiego, jest też jego wiernem odbiciem. A to społeczeństwo, przynajmniej na zewnątrz, jest bardzo religijne — lecz oczywiście anglikańskie, protestanckie. Wprawdzie wydawca mówi w przedmowie, że »Encyklopedya brytańska sama w sobie nie ma przekonania, ani żadnego stronnictwa; usiłuje ona dać przedstawicielstwo wszystkim stronnictwom, sektom i przekonaniom«, ale zaraz dodaje: »z pewnością, że w dziele, które wogóle zajmuje się opiniami i kontrowersyą, jest oczywiście rzeczą niemożebną dla krytyki być bezbarwną; jego wartość jako źródła autorytatywnego wykładu byłaby całkiem różną od tego, czem jest, gdyby poszczególni współpracownicy nie mieli możności przedstawić swych poglądów całkowicie i bez obawy... Pośród rozmaitości wierzeń, które ze szczerem przekonaniem wyznawają te lub owe ludy, bezstronność nie zasadza się na ukrywaniu krytyki, albo na powstrzymywaniu wiadomości o różniącej się opinii, lecz na stanowisku naukowego szacunku, który właśnie leży w wypowiedzeniu przekonania w wyrazach, i zgodnie z tłumaczeniem, przyjętem przez tych, którzy je wyznają. By dać jak najpełniejszy wyraz temu objektywnemu traktowaniu kwestyi, które w swej istocie są dogmatyczne, w pracy nad jedenastem wydaniem Encyklopedyi Brytańskiej współdziałali autorowie wszystkich odcieni opinii... Stosunek miejsca przeznaczonego na te przedmioty jest z konieczności wielki, bo tkwią one szeroko w umysłach myślących ludzi«.

I rzeczywiście, sprawom religii, a zwłaszcza wszystkiemu, co odnosi się do chrystyanizmu, poświęcono miejsce z ogromną hojnością, a do współpracownictwa zaproszono tu uczonych najroz-

maitszych przekonań. Chociaż jednak w liście współpracowników spotykamy kapłanów katolickich, między nimi kilku Jezuitów, jak np. bolandysta Delehaye, prof. Braun i inni, to przecież wszystkie najważniejsze artykuły, czyto historyczno-religijne, czy dogmatyczne, oddano teologom protestanckim, którzy też z tolerancyą, ale po swojemu rzeczy te przedstawiają.

Wiadomo, że w Anglii niezmiernie wiele zajmują się Pismem świętem, które jest tam po prostu księgą narodową. Gdy kilka tygodni temu święcono z wielką uroczystością trzechsetną rocznicę urzędowego tłumaczenia Biblii na język angielski, *Times* w artykule wstępnym, jubileuszowi temu poświęconym, nie wahał się nazwać Biblii angielskim Homerem, narodową epopeą, drogą wszystkim, chociażby niewierzącym Anglikom, a premier angielski, Lord Asquith, właśnie tłumaczeniu temu i rozpowszechnieniu Biblii w Anglii przypisał rozszerzenie się i ugruntowanie protestantyzmu w narodzie angielskim. Odpowiednio też do tego zainteresowania i czci, jakich przedmiotem jest Biblia, także i w Encyklopedyi poświęcono tak artykułowi traktującemu o Biblii wogóle jak o poszczególnych jej księgach wiele miejsca.

Artykuł p. t. *Bible*, na 90 kolumnach traktuje Pismo św. tak Starego jak i Nowego Testamentu jako całość, więc jego historyę powstania, kanon ksiąg świętych, krytykę tekstu i chronologię, oczywiście wszystko w duchu zupełnie obcym Kościołowi. »Żadna cała księga nie składa się z pojedynczego, oryginalnego dzieła, lecz starsze pisma albo źródła złożone zostały przez kompilatora« (str. 851). Odpowiednio do tego i autorem Pentateuchu nie był Mojżesz, który, według autora, żył około r. 1230 przed Chr., bo na ten rok przypada, zdaniem jego, Exodus czyli wyjście Izraelitów z Egiptu, lecz jakiś prorok, żyjący w Judah w X lub IX wieku przed Chr. Podobne zapatrywania wyrażone są też na księgi Nowego Testamentu. Ewangelie powstały wprawdzie wszystkie w pierwszym wieku, lecz »wartość czwartej Ewangelii (tak oznacza autor Ewangelię św. Jana) jako opowiadanie zdarzeń, podlega dyskusyi« (str. 887), pisma zaś Janowe, t. j. Ewangelię św. Jana, listy i Apokalipsę, »należy połączyć więcej lub mniej ściśle z Janem z Efezu, który był figurą wybitną przy końcu I wieku.

Z drugiej strony największe różnice (w zapatrywaniach) byłyby: 1. Co do tożsamości osobowej tego Jana, czy on jest tym »ulubionym uczniem«, czy on jest apostołem, synem Zebedeusza, albo ktoś inny? Czy mógł pisarz Apokalipsy być tym samym, co pisarz Ewangelii i Listów?« (str. 875). Wątpliwości takich, jak wiemy, Kościół katolicki nie dopuszcza, ale odpowiadają one zupełnie stanowisku autora, który lawirując zręcznie, wypowiada się jednak od czasu do czasu mimochodem rzucanemi zdaniami, jak np. że kanoniczność całego Nowego Testamentu jest wytworem teologów średniowiecznych (str. 886) lub gdy rzuciwszy zdanie: »lecz jeżeli Nowy Testament nie jest sam w sobie bezpośredniem Objawieniem bożem w sensie wieku XVIII, pozostaje jeszcze kwestya, jak mamy sobie odmalować prawdziwą historyę powstania chrystyanizmu«, przytacza teorye Lessinga, Straussa i profesora tübingskiego Baura, oświadczając się z pewnymi dodatkami za tą ostatnią.

Ale zaglądnijmy jeszcze do innej materyi. Artykuł o papieżu (*Pope*, tom 22-gi) pisany jest przez Augusta Boudinhon, profesora prawa kanonicznego w katolickim uniwersytecie paryskim, a pisany w duchu całkiem katolickim, gdzie autor przyznaje papieżowi władzę nad całym Kościołem i nieomylność w rzeczach wiary. Do tej samej materyi odnosi się jeszcze cały szereg innych artykułów, jak *Infallibility* (nieomylność), *Papacy, Conclave, Curia romana* i t. d. Ciekawy jest artykuł *Papacy*, gdzie kilku autorów na stu blizko kolumnach kreśli ogólną historyę papieży i papiestwa od samego początku aż do dni ostatnich. Autorowie usiłują, jak wszędzie, być bezstronnymi, odpowiednio jednak do swego usposobienia. Interesujące rzeczy opowiada znany katolicki uczony francuski ks. Ludwik Duchesne o początkach papiestwa, któremu redakcya Encyklopedyi powierzyła autorstwo historyi papiestwa od początku do r. 1087. Autor mówi tam wyraźnie, że już »w drugim wieku całe chrześcijaństwo skupiało się naokoło Rzymu; tam dążył ustawiczny potok ludów — biskupi z odległych okolic, apologeci lub herezyarchowie. Wszystko, co czyniono i uczono w Rzymie, rozchodziło się natychmiast echem po wszystkich innych Kościołach« (str. 687). I znowu: »Ze wszystkich punktów widze-

nia zarówno religijnego jak i politycznego, papież był największym człowiekiem Zachodu, idealną głową całego chrześcijaństwa. ...Ta idea nadto, że biskupi rzymscy byli następcami św. Piotra wyrażoną była bardzo wcześnie — jeszcze w drugim wieku«. Początek zaś władzy doczesnej papieża kładzie autor na wiek VIII. Chociaż to autor katolicki, ale to właśnie, że redakcya Encyklopedyi tę ważną epokę powierzyła katolikowi, musi się jej poczytać za dowód pewnej szlachetności. W odmiennym za to duchu napisany jest ustęp ostatni tego artykułu, w którym niejaki pan Walter Phillips, widocznie protestant, kreśli poglądy swe na okres od r. 1900—1910. Krytykuje on tu ostro stanowisko obecnego Ojca św., zwłaszcza w stosunku do protestantów i modernistów, wytykając encykliki o mieszanych małżeństwach *Ne temere* i przeciw modernistom *Pascendi gregis.*

Zadziwić jednak musi każdego nieuprzedzonego czytelnika, że w dziele tak poważnem, jak obecna Encyklopedya, znachodzimy artykuł pisany bardzo seryo przez doktora teologii i profesora historyi kościelnej w Marburgu, Karola Teodora Mirbta, pod humorystycznym nieco napisem: *Ultramontanism,* o którem p. Mirbt umie rozprawiać aż przez całe 6 kolumn. Idąc za Franciszkiem Krausem, wylicza pięć grzechów głównych, to jest cech ultramontanizmu.

»Pierwsza i fundamentalna cecha charakterystyczna ultramontanizmu, woła nasz autor, jest jego występowanie w obronie logicznego przeprowadzenia tak zwanego »systemu papistycznego«, mianowicie skupienia wszelkiej władzy kościelnej w osobie rzymskiego biskupa. Tę tendencyę pomiędzy dzierżycielami rzymskiej stolicy biskupiej do wywyższenia siebie ponad wszystkich innych biskupów i do zagarnięcia części wyższej powagi w porównaniu z nimi, wyśledzić można już w starożytności. Nie dalej jak przy końcu drugiego wieku biskup Wiktor usiłował ustalić to stanowisko podczas dyskusyi, odnoszącej się do daty świąt wielkanocnych«. Bardzo to przyjemnie usłyszeć z ust nieprzychylnego dla papiestwa protestanta wyznanie, że akcentowania prymatu sięgają dalekiej starożytności. Autor gdyby chciał, mógłby znaleźć do-

wody i ślady historyczne, że sięgają one nawet Piotra świętego i Chrystusa.

»Drugą właściwością ultramontanizmu jest jego pomieszanie religii z polityką. ... Ultramontanizm uważa państwo nie za porządek od Boga ustanowiony, lecz, podobnie jak jego dawny prototyp, za instytucyę świecką, i z tego powodu, nie równorzędną, lecz podrzędną Kościołowi«. Z innych stron słyszymy, że klerykali zanadto popierają władzę państwową, uważając ją za pochodzącą wprost od Boga — nasz autor obecny stawia zarzut przeciwny. Jak wygodniej.

Grzech trzeci: »Usiłuje on (t. j. ultramontanizm) rozciągnąć sferę swego wpływu we wszystkich kierunkach na kulturę, naukę, wychowanie, literaturę i formy pobożności. ... Rozwój tych usiłowań łatwo da się wyśledzić w decyzyach Kongregacyi Indeksu i św. Oficyum w Rzymie. Ultramontanizm pracuje także systematycznie, by całą organizacyę wychowawczą zagarnąć pod nadzór i kierunek kościelny; i objawia największą niechęć w dozwalaniu przyszłemu kapłanowi na wejście w styczność z nowszym duchem. Stąd usiłuje swe wzrastające zastępy wychowywać w rządzonych przez księży konwiktach i trzymać je oddzielone od zewnętrznego świata w seminaryach duchownych, nawet w miejscowościach, w których są uniwersytety«.

»Na czwartem miejscu ultramontanizm jest wcieleniem nietolerancyi względem innych wierzeń«. Następuje biadanie na inkwizycyę, na pretensye papieża, że uważa się za przełożonego wszystkich chrześcijan, wreszcie na żądania Kościoła przy zawieraniu małżeństw mieszanych, by wszystkie dzieci wychowywano po katolicku.

»Na ostatku, ultramontanizm jest nieprzyjacielem unarodowienia katolicyzmu«, i tu przeciwstawia autor katolicyzm protestantyzmowi, gdzie często, jak sam wyznaje, »nastąpiło zlanie się wierzenia ewangelicznego z uczuciem narodowem«, — z jakim skutkiem dla obu, to każdy nieuprzedzony widzi. Długie jeszcze wywody swoje kończy autor nieoczekiwanym zwrotem: »Czy potężne stanowisko tego ruchu wewnątrz rzymskiego Kościoła katolickiego jest korzyścią dla tego Kościoła samego, nie może tu

być dyskutowanem. Odpowiedź na ten problem zależeć będzie głównie od oceny, jaką sobie wyrobimy o Towarzystwie Jezusowem i jego całej działalności«. W bibliografii, która umieszczona jest na końcu artykułu, podaje autor oczywiście Döllingera, Krausa, Hoensbroecha i siebie.

O Jezuitach jest także obszerny artykuł (20 kolumn), napisany w połowie przez Rev. Littledale, a w drugiej połowie przez Jezuitę Tauntona. Streściwszy instytut Towarzystwa, poddaje autor pierwszej części krytyce surowej, niesprawiedliwej nawet miejscami, ustrój i działanie zakonu. To jednak podnieść trzeba, że nie przyznaje prawdziwości zdania, iżby Jezuici nauczali, że cel uświęca środki.

Wogóle sprawy religii wszelkich, jako też i religii katolickiej i historya kościelna, traktowane są bardzo obszernie — w jakim zaś duchu, to zależy oczywiście od autora. Mając jednak na względzie stanowisko protestanckie całego społeczeństwa angielskiego, z uznaniem podnieść trzeba gotowość redakcyi Encyklopedyi, że przynajmniej do niektórych kwestyi użyła współpracownictwa uczonych katolickich i pozwoliła im się w ten sposób przed światem całym, zwłaszcza protestanckim, wypowiedzieć. Oczywiście ze stanowiska teologicznego zaznaczyć trzeba, że artykuły, traktujące o sprawach religii i zwłaszcza Pisma św., czy to całego, czy poszczególnych ksiąg, o ile napisane są przez autorów protestanckich, i szerzą poglądy z nauką Kościoła katolickiego niezgodne, podpadają pod reguły Indeksu i bez pozwolenia władzy duchownej przez katolików czytane być nie mogą.

A teraz zwróćmy się do kwestyi drugiej, to jest do spraw polskich.

Udamy się więc przedewszystkiem do artykułu *Poland*, traktującego zbiorowo o historyi i literaturze polskiej. Autorowie (Dawid Hannay, dziennikarz i b. konsul angielski w Barcelonie, Robert Bain, znany pisarz, zajmujący się ludami północnej Europy, William Morfill, b. profesor literatur słowiańskich na Uniwersytecie w Oxfordzie) odnoszą się do spraw naszych dosyć

objektywnie i nawet życzliwie. Historya jednak Polski prowadzona jest tylko do powstania r. 1863 włącznie, a kończy się zdaniem, na które oczywiście żaden Polak zgodzić się nie może: »Narodowa historya Polski zamyka się powstaniem z r. 1863«. Nie można się też zgodzić na pogląd autora, ze »jedna część środków, użytych przez rząd rosyjski po r. 1863 do ukarania starej partyi rządzącej ludności w Polsce, była bardzo korzystną dla większości. Usamowolniono wieśniaków na Litwie a w Polsce właściwej wiele uczyniono celem poprawy ich położenia«. Uwolnienia włościan dokonaliby Polacy dawno, gdyby nie mieli rąk skrępowanych; jak zaś wygląda to, co uczyniono dla poprawy położenia ludu w Królestwie, wiemy o tem dobrze wszyscy. W artykule o literaturze polskiej mamy przegląd dziejów tej literatury od zamierzchłej przeszłości do czasów najnowszych. Z historyków naszych autor wysoko podnosi Szujskiego [1], Zakrzewskiego, Liskego, Bobrzyńskiego [2]. Z literatów wspomniany jest między innymi Bentkowski, Wiszniewski, Małecki, Estreicher, Nehring, Spasowicz, z archeologów Tyszkiewicz i Łepkowski [3]. Krócej natomiast traktuje autor historyę filozofii w Polsce [4].

Z nowszej literatury wzmiankę otrzymała Drużbacka [5], Hoffmannowa, Asnyk, Konopnicka i t. d. Z uwag, jakie tu napoty-

---

[1] O »Dziejach Polski« mówi: Wartość tej książki jest wielka zarówno ze względu na badania, jakie przedstawia, jak i na jej filozoficzny i nieuprzedzony ton.

[2] »Dzieje Polski w zarysie« M. Bobrzyńskiego, urodzonego w r. 1849 w Krakowie (profesora polskiego i niemieckiego prawa), jest bardzo głębokiem *(spirited)* dziełem i dało pochop do wielu sporów, z powodu, że wiele jego poglądów stoi w sprzeczności z poglądami szkoły Lelewela.

[3] Bardzo wzbogacił muzeum archeologiczne swego rodzinnego miasta.

[4] W filozofii Polacy (jak wogóle Słowianie) wydali tylko niewiele wybitnych nazwisk. Gołuchowski, bracia Andrzej i Jan Śniadeccy, z których ostatni zyskał prawie europejską reputacyę, Bronisław Trentowski, Karol Libelt i Józef Kremer zasługują na wzmiankę. August Cieszkowski pisał o przedmiotach filozoficznych i ekonomicznych. Maurycy Straszewski, prof. filozofii na uniwersytecie krakowskim, wydał także kilka wybitnych dzieł.

[5] Dodano przytem zdanie: »pisarze-kobiety nie są bardzo częste u narodów słowiańskich«.

kamy, widać, że autor dobrze się oryentuje w naszem położeniu narodowem [1]. Wspomina także o Papéem, Czermaku, literaturze Chmielowskiego i Tarnowskiego, które są »dziełami wysokiej wartości; pierwsze zajmuje się więcej stroną estetyczną literatury, drugie historyczną«.

Cały ten artykuł o Polsce obejmuje 53 kolumny, w porównaniu więc do tego, co poświęcono innym narodom, nie mającym własnego państwa, stosunkowo bardzo wiele [2]. Zaraz po artykule *Poland* następuje drugi p. t. *Poland Russian*, »terytoryum składające się z dziesięciu gubernii, które dawniej stanowiły królestwo polskie«. Autorowie, książę Kropotkin i J. Bealby, na 7 kolumnach zajmują się opisem tych ziem pod względem geograficznym, ekonomicznym i etnograficznym, przyczem mimochodem rzucają następującą charakterystykę Polaków: »Polacy właściwi są wogóle średniego wzrostu (5 stóp, 4,6 cala), pięknie zbudowani, ciemni na południu, blondyni na północy, bogato obdarzeni przez przyrodę, skłonni do czynów heroicznych, lecz może brak im tej energii, która cechuje północne rasy Europy, i tego poczucia jedności, która była siłą ich obecnych władców«.

Możnaby mieć żal do redakcyi Encyklopedyi, że do grona swych współpracowników nie zawezwała polskich uczonych. Sądząc

---

[1] Cztery centra literatury polskiej — pisze on — która mimo zapędów czynionych celem wynarodowienia kraju, jest bardzo czynną, są Kraków, Poznań, Lwów i Warszawa... Nie tylko profesorowie Uniwersytetu krakowskiego należą do najwybitniejszych żyjących Polaków, lecz (Kraków) wybrany został za rezydencyę przez wielu polskich mężów nauki. Akademia umiejętności, założona w r. 1872, obchodziła dwóchsetną rocznicę uwolnienia Wiednia od oblężenia przez Sobieskiego, przez wydanie cennych *Acta Ioannis III regis Poloniae*. Niektóre dobre dzieła polskie wyszły w Poznaniu. We Lwowie, stolicy austryackiej Galicyi, jest czynna prasa polska. Tu wyszły *Monumenta Poloniae historica* Bielowskiego, wzmiankowane wyżej; lecz Polacy w tej prowincyi muszą walczyć z Czerwono-Rusami albo Rusinami, językiem, czyli dyalektem, który pod każdym praktycznym względem jest ten sam, co południowo albo małorosyjski. W Warszawie od ostatniego powstania uniwersytet całkowicie zrusyfikowano, a jego Sprawozdania wychodzą po rosyjsku; lecz wybitne dzieła polskie mimo to wychodzą z pod prasy.

[2] Czechom np. dano tylko szpalt 28 (»Bohemia«), a Rusinom (»Ruthenians«) tylko pół szpalty.

jednak rzeczy całkiem bezstronnie, co do nauk ścisłych, trudno im brać za złe, że mając tak wielu własnych uczonych, im dali pierwszeństwo; zaś co do spraw naszych, polskich, to może i lepiej dla nas, że przedstawili je sami Anglicy, naogół dosyć życzliwie i bezstronnie, aniżeli sami Polacy, którychby obcy łatwo posądzić mogli, że mówią *pro domo sua.* Tego tylko zarzutu redakcyi oszczędzić nie można, że prawie zupełnie pominięto milczeniem nasze dzieje najnowsze, wspominając tylko o nas jak gdyby przygodnie, owszem odmawiając nam faktu istnienia obecnie naszej narodowej historyi, co z cytowanego wyżej zdania wynika.

Dodać jednak trzeba, że wogóle jesteśmy w Encyklopedyi traktowani ze sprawiedliwością, tak, jak nigdzie może przez obcych. Oto parę jeszcze przykładów w kwestyach najbardziej drastycznych. »Kościuszko, ciężko ranny i bezprzytomny, wzięty został do niewoli na polu bitwy. Przez długi czas za prawdziwe uważane opowiadanie, że zawołał »Finis Poloniae!« gdy upadł, jest bajką«. (t. 15, strona 915). W artykule o Koperniku czytamy: »Kopernik, polski astronom, ur. 19-go lutego 1473, w Toruniu, w Polskich Prusiech, gdzie jego ojciec, z pochodzenia Krakowianin, osiedlił się jako hurtowny handlarz« (t. 7, str. 100). A więc przyznają Kopernika Polakom. W obszerniejszym artykule o Sobieskim (t. 15, str. 442), zwycięstwo pod Wiedniem przypisuje autor Sobieskiemu: »Sobieski, oparłszy się wszelkim zakusom dworu francuskiego, by go wciągnąć do ligi antyhabsburskiej, podpisał sławny traktat przymierza z cesarzem Leopoldem przeciwko Turkom (marzec 31, 1683), który był przygrywką do najsławniejszego epizodu jego życia, odsieczy Wiednia i uwolnienia Węgier od jarzma ottomańskiego. Epokowe zwycięstwo z 12-go września 1683 było ostatecznie rozstrzygnięte przez atak kawaleryi polskiej, którą prowadził Sobieski we własnej osobie. Nieszczęściem Polska mało, albo nic nie zyskała przez ten świetny tryumf«.

Cechą charakterystyczną obecnego wydania Encyklopedyi jest wielka obfitość bibliografii czasów dawnych i obecnych. W tej obfitości, przyznać trzeba, stosunkowo wiele miejsca po-

święcono znakomitym osobistościom polskim. Królowie nasi mają tam wszyscy swoje własne biografie, dosyć stosunkowo obszerne, a prócz nich, wymieniając najważniejsze: Kopernik (przeszło 1 kolumna), Jan Karol Chodkiewicz, J. Kraszewski, Kościuszko (3 kolumny), Sienkiewicz, książę Józef Poniatowski (1 kolumna), Stefan Czarniecki, książę Adam Czartoryski (2 kol.), książę Fryderyk Michał Czartoryski (1 kol.), jenerał Dąbrowski (pisane Dombrowski), Mickiewicz (tylko półtorej szpalty, podczas gdy Goethemu poświęcono szpalt szesnaście a Schillerowi pięć, nie mówiąc już o Szekspirze, któremu oddano 52 kolumny).

Lecz już dosyć cytat i szczegółów, które i tak wobec ogromu materyału nie wiele pomogą. Redakcya tego dzieła wzięła sobie za zadanie stworzyć encyklopedyę, któraby służyła nie tylko za podręczne źródło drobnych i dorywczych wiadomości, ale jako książka do czytania, *the book to be read*, i trzeba przyznać, że z zadania tego wywiązała się znakomicie. Rozejdzie się więc po świecie całym pół miliona egzemplarzy jedynej tej książki, będącej kwiatem i esencyą nauki i cywilizacyi dzisiejszej. Czy z pożytkiem ludzkości i czytelników? Na to pytanie trudno odpowiedzieć ogólnie. Są tam rzeczy, które mogą niejednemu słabemu duchowi szkodzić, jest wiele, które, przeciwnie, mogą być pożyteczne i uszlachetniające, tak, jak w każdej dzisiejszej bibliotece, jak w każdem prawie czasopiśmie poważnem. Jest to zresztą głównie Encyklopedya ludzi uczonych, a ci umieć winni czerpać ze źródeł nauki tak, by duszy nie sponiewierać — ci wiedzieć powinni, że nauka sama nie uszlachetnia i że ideałów etycznych nie można budować na kruchych i z założenia swego już zmiennych hipotezach naukowych, zastępować niemi to, co człowiek ma najdroższego i najpewniejszego w swej jaźni, to jest wiary.

Czy pragnąć mamy posiadać dzieło takie w ojczystym pisane języku? Powiedzmy szczerze, że byłaby to mrzonka, bo na takie wydawnictwo pozwolić sobie może tylko naród, którego językiem włada przeszło pół miliarda ludzi, a na pokrycie takiego wydawnictwa, potrzeba też sprzedać przynajmniej, jak zdaje się na to liczą nakładcy, pół miliona egzemplarzy. Ale przykro to

trochę, że w języku naszym nie posiadamy właściwie żadnej nowszej encyklopedyi. Dzieło takie na skromniejsze zakrojone rozmiary powinno znaleźć nakładców, bo dziś encyklopedya, w szlachetnej choć nie tak kosztownej, a prostej formie i gruntownie pod względem naukowym a jasno i zrozumiale napisana, podobnie jak dobra gazeta i dobre czasopismo, niezmierną społeczeństwu oddać może usługę. Tymczasem posługiwać się musimy obcemi — obyśmy przynajmniej w ich doborze byli ostrożniejsi i wybredniejsi.

Ks. F. Hortyński.

W SPRAWIE JEZUITÓW NA BIAŁEJ RUSI.

Z okazyi książki M. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II«.

(Ciąg dalszy).

Zanim kwestya Jezuitów w Rzymie rozstrzygniętą została, ułożył się Siestrzencewicz z ks. Czerniewiczem w Petersburgu 1 lutego 1774 r. co do spraw najbliższych i najbardziej aktualnych, normujących stosunek Jezuitów do biskupa a ujętych w pięć punktów.

W punkcie pierwszym zatwierdza pozwolenia dane im przez biskupa Massalskiego, w drugim zatwierdza rozporządzenie co do zarządu kolegiów i domów, w punkcie trzecim nie zgadza się na propozycye ks. Czerniewicza, żeby dopóki cesarzowa nie pozwoli ogłosić bulli *(tantisper dum Augustissima Imperatrix non permittit promulgari bullam)* w braku prowincyała (bo ks. Czerniewicz był wiceprowincyałem na podstawie nominacyi przez ostatniego swego prowincyała Sobolewskiego 25 październ. 1773), biskup naznaczył kogoś dla pełnienia obowiązków prowincyalskich, a nie zgadza się dlatego, bo cesarzowa kazała mu zostawić wszystko po dawnemu *(nova officia... creare non audeo)*, przyczem powołuje się na rozkaz Czerniszewa z 18 stycznia. Nie zgadza się także w punkcie 4-tym, żeby taki delegat w porozumieniu z czterema konsultorami ustanawiał rektorów, natomiast na trzy miesiące naznacza ks. Czerniewicza jako swego zastępcę z obowiązkiem, żeby mu o każdem przeniesieniu osób, o ich stanie i stanie

kolegiów donosił; nie zgadza się wreszcie, by wolno było komukolwiek z Jezuitów opuścić jego dyecezyę. (Arch. Vat. Polonia. Vescovadi To. I, nr. 136).

Punkt czwarty tych paktów był w sprzeczności z zobowiązaniem się Siestrzencewicza, że się nie będzie mieszał w sprawy wewnętrzne zakonu; to też gdy później przedłużył ks. Czerniewiczowi władzę prowincyalską tylko na siedm miesięcy (1 grudnia 1774. Autograf. Arch. Vat. Polon. nr. 119) a nadto chciał sam przenosić osoby z jednego kolegium do drugiego, Czerniszew, otrzymawszy skargę ks. Czerniewicza z 31 października i pokazawszy ją cesarzowej, wystosował do Siestrzencewicza pismo z przypomnieniem danych zobowiązań w sprawie Jezuitów i wyraził nadzieję, że biskup wszelkich starań dołoży, »żeby prawa i przepisy Jezuitów nie były gwałcone a przyczyny do skarg usunięto« (Arch. Vat. Polonia Vescovadi n. 141).

Biskup musiał się do tego zastosować a chociaż odtąd był dla ks. Czerniewicza niedobrze usposobiony, policzył go jako prowincyała w poczet kleru zakonnego swej dyecezyi i nie wtrącał się czas jakiś do jego zarządzeń.

Tymczasem umarł Klemens XIV a wybranym został Pius VI (15 luty 1775), osobiście życzliwy Jezuitom, ale wskutek warunków, w jakich się odbyła jego elekcya, zmuszony liczyć się z drażliwością dyplomatyczną burbońskich dworów, dobrze poinformowanych o dotychczasowych ustępstwach na rzecz Jezuitów białoruskich (Conf. Arch. w Simancas. Estado nr. 6637 i 6638).

Na osobistą życzliwość Piusa VI dla zakonu a równocześnie na wielką jego ostrożność i obawę, żeby dworowi hiszpańskiemu nie dać okazyi do skarg, rzuca bardzo ciekawe światło jego korespondencya z Ferdynandem I, księciem Parmy, który domagał się przywrócenia u siebie Jezuitów a nie chciał się zgodzić na warunki i ograniczenia papieskie. W jednym np. z listów (9 sierp. 4179, autograf) odpowiadając na zarzut księcia, że nie chce na seryo sprawy traktować, nazywa papież ów zarzut fałszywym i oszczerczym *(falsa et calumniosa)*, zapewnia, że pragnąłby gorąco przywrócenia Jezuitów, ale nie należy rozgłaszać tego jego usposobienia, bo pozorna obojętność może być bardziej pożyteczna

dla sprawy: »e vero, che intimamente lo desideriamo, e perciò ad ogni richiesta ci prestaremo quanto mai potiamo. Bisogna però non esternare questo Nostro sentimento, perchè comparendo in stato d'indifferenza potremo essere tanto piu utile«. (Arch. prywatne książąt Parmy).

Że takie usposobienie wykazywał nie tylko w ostatnich latach pontyfikatu świadczą słowa innego listu, w którym zapewnia księcia, że nigdyby zakonu Jezuitów nie zniósł: »mai avressimo soppresso quello (ordine) dei Gesuiti« (list z 27 czerwca 1797), ale też licząc się z dworem hiszpańskim nie mógł się zdecydować na jakiś krok bardziej stanowczy, dopóki książę nie pozyska chociażby sekretnej zgody dworu hiszpańskiego; a czyniąc Jezuitom ustępstwa, np. zatwierdzając konwikty jezuickie (23 maja 1793), wyraźnie się zastrzega, żeby to zezwolenie pozostało w sekrecie a ewentualnie, żeby książę wziął na siebie trudności, jakieby z tego wyniknąć mogły.

Ta sama życzliwość dla zakonu obok ostrożności i obawy przed hiszpańskim dworem cechuje także stanowisko Piusa VI do Jezuitów na Białej Rusi. Ks. Czerniewicz znając to usposobienie papieża a licząc się z jego trudnem położeniem, zwrócił się doń już 15 października 1775 za pośrednictwem kardynała Rezzonico, przesyłając mu memoryał o stosunkach kościelnych a specyalnie o położeniu Jezuitów na Białej Rusi, którym bez ich winy z woli cesarzowej i za zgodą władzy kościelnej brewe kasacyjne nie zostało ogłoszone, »quod ex parte nostra innocentissime, ex parte autem Augustissimae Imperatricis clementissime, ex parte denique potestatis Ecclesiasticae permissive acciderit«. Pozostali więc w dawnym stanie, przekonani, że im inaczej postąpić nie wolno, dopóki bulla ogłoszoną nie zostanie.

Pełnią więc dalej obowiązki swego powołania i chcą je pełnić, jak długo najwyższa władza kościelna na to zezwoli, »quoad supremae in Ecclesia potestati id nobis permittere placuerit«, i łaskawie nie zarządzi, żeby przez ubytek osób czyto wymierających czy też, jak się zdarzało zwłaszcza między młodszymi, opuszczających dla skrupułów zakon, nie stało się to niemożliwe. Dlatego prosi o jakiś znak woli papieskiej, z którego możnaby

wnioskować, że przynajmniej papież nie jest przeciwny, iżby Jezuici białoruscy dalej swój stan zachowali, a prosi o to dla uspokojenia młodszych i dołącza prośbę o pozwolenie na przyjmowanie ex-Jezuitów z innych krajów, którzyby mogli wypełnić braki w zakonie, zwłaszcza że nowicyatu na Białej Rusi niema: »Sinat igitur Sanctitas Sua... ut ad eximendum reliquis, qui nobiscum sunt iuvenibus scrupulum, haberi a nobis possit iudicium aliquod, ex quo intelligatur saltem non displicere Sanctitati Suae, quod nostri in his regionibus... pristinum Societatis Iesu statum retineant«.

Kardynał Rezzonico przedłożył memoryał ks. Czerniewicza Piusowi VI i jak donosi w krótkim liście z 13 stycznia 1776, zyskał przychylną odpowiedź: »Libellum tuum pro munere meo Sanctissimo Dno N. Pontifici Pio VI ostendi et perlegi. Precum tuarum exitus, ut auguro et exoptas felix«.

Komentarz do słów »wynik prośby twojej pomyślny« dawał sekretarz kardynała w liście do ex-Jezuity Benvenutti a przez niego do ks. Czerniewicza, zaznaczając, że memoryał został przez papieża przyjęty z wielką łaskawością, »fu accolto con somma clemenza«, a chociaż odpowiedź może się wydać zbyt jałowa (ben sterile), innej w danych warunkach nie można się było spodziewać. »Il fondo et l'intenzioni sono ottime; ma le vie sono le stesse di prima, cioè troppo umane.. Intelligenti pauca. Ma la sperienza unita a la propria virtù e divozione, suggerirà un giorno o l'altro, per quanto è da sperarsi, migliori consigli«.

Oficyalnie zostało więc wszystko po dawnemu, ale ks. Czerniewicz, uspokojony co do zamiarów Piusa VI, zaczął się energiczniej krzątać około rozwoju zakonu a przedewszystkiem o powiększenie liczby jego członków. Na razie najpilniejszą sprawą było wyświęcenie kleryków, do czego Siestrzencewicz, urażony na prowincyała nie miał wielkiej ochoty; a chcąc u nowego nuncyusza Archetti zyskać opinię lojalności względem Rzymu, sprzeciwił się święcenia kleryków tytułem »ubóstwa zakonnego«, coby zbyt wyraźnie podkreślało zakonny charakter zgromadzenia Jezuitów. Ostatecznie wyświęcił w listopadzie 1776 dwudziestu kleryków na podstawie wymyślonego tytułu utrzymania cesarskiego, *impe-*

ratoriae provisionis, a tragicznem przedstawieniem sprawy przed nuncyuszem zyskał tyle, że i wyświęcenia kleryków nie wzięto mu za złe, a kardynał Pallavicini zasięgnąwszy rady swego sekretarza Monsagratti i kardynała Carafy, którzy oświadczyli, że Jezuitów białoruskich nie można w ścisłem znaczeniu uważać za opornych a zatem niema racyi święceń im odmawiać, pozwolił ze względu na wielki brak kleru na Białej Rusi i dla uspokojenia Siestrzencewicza na przyszłość także kleryków jezuickich święcić, z zastrzeżeniem, jakich ówczesne względy dyplomacyi rzymskiej wymagały (Arch. Vat. Polonia, nr. 242 i 46).

Trudniejsza o wiele była sprawa otwarcia nowicyatu, którą ks. Czerniewicz w suplice do Piusa VI ubocznie poruszył, a konieczna, jeśli Jezuici białoruscy mieli się doczekać »migliori consigli«, a nie uschnąć przedtem, jak podcięta łodyga, wedle wyrażenia Siestrzencewicza. Na tę możliwość zwrócił ks. Czerniewicz uwagę Czerniszewa, gdy tenże zwiedzał w lecie 1776 r. szkoły jezuickie w Połocku; później uczynił to samo listem z Mohilewa 29 września, w którym zaznaczył, że utrzymanie szkół na czas dłuższy będzie niemożliwe bez otwarcia nowicyatu, dodając prośbę, żeby cesarzowa znalazła jakiś sposób uzyskania na to przyzwolenia Rzymu. »Si plait seulment a Sa M. Imperial de trouver quelque expediant pour nous en faire avoir la permission de Rome«.

Tym zwrotem o potrzebę zezwolenia Rzymu zgorszył się p. Loret i podobnie jak w pierwszym memoryale, przedłożonym cesarzowej przez ks. Czerniewicza, widzi w nim »ten sam kazuistyczny i dwojaki sposób wyrażania się, w jakim O. Czerniewicz był niedoścignionym mistrzem«, składając dowód posłuszeństwa dla papieża, któremu zatwardziała cesarzowa stawała w poprzek (str. 135), i tak samo jak przy omawianiu pierwszego memoryału zapomina ten akt oskarżenia uzasadnić.

Odpowiedzią na list ks. Czerniewicza było polecenie cesarzowej z 16 lutego 1777, żeby Jezuici poczynili przygotowania do otwarcia nowicyatu i zapewnienie od Czerniszewa, że Stackelberg ma polecenie traktowania o tej sprawie z nuncyuszem.

Uzyskanie formalnego pozwolenia na otwarcie nowicyatu nie było łatwem, bo takie pozwolenie równałoby się oficyalnemu

uznaniu Jezuitów na Białej Rusi a nawet mogłoby być uważanem za krok przedwstępny do przywrócenia zakonu w innych krajach. Nic też dziwnego, że wobec zaniepokojenia wrogiej Jezuitom dyplomacyi na pierwsze pogłoski o nowicyacie, jakie dostały się do prasy europejskiej, Pius VI otwarcie takiego pozwolenia dać nie mógł, i dlatego też nuncyusz Archetti na postulat rosyjski odpowiedzi nie otrzymał. Dopiero po upływie kilkunastu miesięcy otrzymał Siestrzencewicz dekret Kongr. Propagandy z 17 sierpnia 1778, nadający mu na trzy lata nadzwyczajną jurysdykcyę nad zależnymi od niego zakonami, a zredagowany tak, że biskup mógł sam sprawę jezuicką załatwić i ewentualnie wziąć na się całą za to odpowiedzialność.

Na mocy tego dekretu mógł w miarę potrzeby przeprowadzić w sprawach zakonów mu podległych różne zmiany, poprawki, odwołania; mógł także stosownie do okoliczności wprowadzić coś nowego, »reformare, mutare, corrigere ac de novo condere valeat; condita sacris canonibus et concilii Tridentini decretis non repugnantia confirmare, publicare et executioni mandare« etc., a wszystkie tego rodzaju rozporządzenia miały taką samą moc obowiązującą, jakby od Stolicy Apostolskiej pochodziły, »quidquid inde statuerit et ordinaverit tanquam ab Apostolica Sede statutum sedulo observari faciat, quibuscunque in contrarium non obstantibus«.

Ponieważ zaś jedynem ograniczeniem tej nadzwyczajnej jurysdykcyi były tylko przepisy św. Kanonów i dekrety trydenckie, zatem otrzymał możność działania także w sprawie jezuickiej. Po dekrecie Propagandy otrzymał też ukaz ministeryalny z 8 czerwca 1779 (st. st.), żeby na podstawie tej nadzwyczajnej jurysdykcyi pozwolił Jezuitom otworzyć nowicyat.

»L'évêque ne hésita pas d'obeir«, jak pisze o tej sprawie, a to dlatego, iż znając życzliwość Piusa VI dla kilku ex-jezuickich prałatów w najbliższem swem otoczeniu i wiedząc o faworyzowaniu przez papieża kroków księcia Parmy na rzecz Jezuitów, przypuszczał, że posłuszeństwo jego dla cesarzowej w tej sprawie spodoba się papieżowi a na niego samego nie sprowadzi żadnych nieprzyjemnych następstw.

Po naradzie z kapitułą udzielił też 30 czerwca pozwolenia

na otwarcie nowicyatu, ale uczynił to w formie tak nieodpowiedniej, że zamiast milczącej tolerancyi tego aktu przez Rzym, naraził się wobec ówczesnych stosunków na oficyalne protesty.

List pasterski Siestrzencewicza mówi wyraźnie o ustępstwach Klemensa XIV, który przez wzgląd na cesarzową zgodził się na niewykonanie kasacyjnej bulli w jej państwie; wspomina następnie o podobnem usposobieniu Piusa VI, wskutek czego klerycy regularni Towarzystwa Jezusowego w krajach cesarzowej mogli nadal zachować swój stan, habit i nazwę (Pii Papae VI voluntas in non prohibendo, ut clerici regulares Societatis Iesu non obstante memorata bulla, in regionibus Maiestatis Suae statum, habitum et nomen retineant); powołuje się wreszcie na rozporządzenie cesarzowej, żeby zakon otaczał opieką i zapewnił mu możność istnienia, co bez nowicyatu byłoby niepodobne, i dlatego na podstawie dekretu Piusa VI (cały dekret przytacza) pozwala Jezuitom otworzyć nowicyat i udziela im swego pasterskiego błogosławieństwa.

List pasterski, według przepisu zamieszczonego przy końcu, miał być przez trzy pierwsze niedziele miesiąca odczytany z ambony, wytłumaczony w języku krajowym (patrio idiomate) i przybity do drzwi kościelnych.

Uroczysta forma publikacyi i wyraźne powołanie się Siestrzencewicza na pozwolenie Piusa VI wywołały nielada wrzawę dyplomatyczną. Sekretarz stanu, kardynał Pallavicini, nie widział innego na jej uśmierzenie sposobu, jak oficyalne dementi, przesłane dworom burbońskim; nuncyusz Archetti miał poczynić odpowiednie przedstawienia rządowi rosyjskiemu, a Siestrzencewicz miał otrzymać naganę za swój postępek, przeprosić papieża za przykrość, jaką mu sprawił krokiem »tak nierozważnym i fałszywym« i naprawić złe przez ogłoszenie nowego listu pasterskiego.

Brakowało tylko, jak pisze biskup, klątwy kościelnej, ale mimo to ani nowego listu pasterskiego nie ogłosił, bo na to nie mógł się zgodzić rząd rosyjski, ani nawet przed papieżem prywatnie się nie usprawiedliwił. Przesłał tylko dłuższe usprawiedliwienie na ręce Stackelberga, który miał dać odpowiedź nuncyuszowi (21 września 1779), a krótsze do nuncyusza, tłumacząc się,

że w liście pasterskim ani konstytucyi ani przywilejów jezuickich nie pochwalał, ani zakonu aprobować nie zamierzał, chciał tylko dla dobra Kościoła powiększyć liczbę pracowników tolerowanych przez Kościół (minime videor intendisse dictam Societatem re ad probare, sed solummodo operariorum, quos nostra Ecclesia tolerat numerum augeri) i dlatego na naganę nie zasłużył.

Zresztą zachował się cicho, czekał dopóki burza dyplomatyczna nie przeminie i pocieszał się zapewnieniem Stackelberga, »iż papież wie, że biskup był tylko narzędziem woli imperatorowej i że nie powinien wątpić w dalszą życzliwość dla siebie Jego Świątobliwości«.

Także w oficyalnej odpowiedzi na exposé nuncyusza nie było wzmianki o odwołaniu pasterskiego listu Siestrzencewicza; cała ta sprawa występuje w niej jako sprawa czysto wewnętrzna z zakresu wychowania publicznego, zatem i rozporządzenie biskupa, wydane za wiedzą i z polecenia cesarzowej nie powinno być uważane jako ubliżające interesom Stolicy apostolskiej.

Dla samych Jezuitów obrót, jaki wzięła sprawa listu pasterskiego nie mógł być oczywiście pożądanym. Zyskali wprawdzie nowicyat (wiedzieli z Rzymu od ex-Jezuity Włodka jeszcze przed ogłoszeniem listu Siestrzencewicza, że nowicyat może być otwarty na podstawie dekretu Kongregacyi Propagandy), ale wskutek oficyalnych protestów przeciw biskupowi nie mogli myśleć na razie o poczynieniu dalszych kroków o wyraźniejsze uznanie nad to, jakie przez kardynała Rezzonico w 1776 otrzymali.

Dopiero po pierwszej generalnej kongregacyi połockiej, odbytej w październiku 1782 r., na której ks. Czerniewicz wybrany został wikaryuszem generalnym, miano wznowić w Rzymie starania o wyraźną aprobatę dla Jezuitów białoruskich, a to przy okazyi poselstwa Benisławskiego do Rzymu.

Omawiając sprawę tej legacyi utrzymuje p. Loret, że właściwym jej celem było »wymódz na papieżu uznanie zakonu Jezuitów w Rosyi«, za pozór zaś miała służyć prośba o paliusz dla Siestrzencewicza i o koadjutorstwo dla Benisławskiego (str. 185). Dwie stronice niżej modyfikuje ten swój pogląd i twierdzi, że »cała misya Benisławskiego nie miała nic innego na celu, jak

tylko nie dopuścić Archettiego do Petersburga«, przyczem Benisławski miał wprowadzić w błąd papieża i wyzyskać tę chwilę »dla wymuszenia niedopuszczalnych kiedyindziej ustępstw w sprawie Jezuitów«.

Jakkolwiek rzecz się miała z »właściwym celem« misyi Benisławskiego, nie ulega wątpliwości, że miał się starać także o zatwierdzenie Jezuitów, która to sprawa t. j. »approbatio factorum, expresso iussu Augustissimae Imperatricis, a Iesuitis in partibus Rossiacis existentibus et eorum confirmatio«, zajmuje trzecie miejsce w memoryale przedłożonym papieżowi, a jej uzasadnienie więcej niż połowę memoryału wypełnia, mimo że wchodzi także w uzasadnienie pierwszego postulatu t. j. prośby o paliusz dla Siestrzencewicza.

W prośbie o paliusz zbija memoryał zarzut czyniony biskupowi, jakoby nadużył władzy danej mu przez dekret Propagandy, bo dekret dawał mu władzę nad zakonami, a Jezuitów wszyscy w Rosyi a także i dwór carski za zakonników uważają; nie wykroczył zaś przeciw dekretom trydenckim, bo sobór trydencki zatwierdził i pochwalił cały instytut Jezuitów, zatem i ich nowicyat.

Sam postulat o zatwierdzenie Jezuitów uzasadnia memoryał trzema argumentami. Papież przez zatwierdzenie Jezuitów białoruskich nie naruszy w niczem praw monarchów zachodnich, tak jak kasaty zakonu, którą ci monarchowie na Klemensie XIV wymogli, nie uważała cesarzowa za naruszenie swych praw.

Nie ubliży sobie, godząc się na słuszny i korzystny dla Kościoła postulat cesarzowej, podobnie jak Klemens XIV nie uważał sobie za ujmę ustępstwa wobec nalegań panujących zachodnich.

Nie ubliży pamięci swego poprzednika zatwierdzając Jezuitów w Rosyi na prośby cesarzowej, skoro i ten, działając pod wpływem czterech panujących, nie uważał kasaty zakonu za ubliżenie pamięci dziewiętnastu swoich poprzedników, między nimi także bezpośredniego swego poprzednika Klemensa XIII, którzy zakon i jego konstytucye zatwierdzili; a nawet nie stanie w sprzeczności z dekretem Klemensa XIV, skoro tenże zostawił monarchom

możność nie zastosowania się do brewe kasacyjnego, które też w Rosyi nie zostało ogłoszone.

W końcowej argumentacyi przytacza cztery powody, dla których brewe nie mogło być ogłoszone, a mianowicie wskutek zobowiązania się cesarzowej po zajęciu Białej Rusi, że nie wprowadzi tam żadnych zmian na niekorzyść religii katolickiej, — wskutek konieczności zachowania Jezuitów ze względu na potrzeby szkół i dobro katolickich poddanych, — wskutek dobrej opinii, jaką mieli u mieszkańców, za co nie mogła ich spotkać kara wypędzenia, — wreszcie dlatego, że Klemens XIV znosząc zakon pod naciskiem czterech królów, nie pytał się o zgodę cesarzowej, która uznaje zwierzchność duchowną papieża nad swymi katolickimi poddanymi, ale uważałaby za ujmę dla swej godności i praw uleganie naciskowi zewnętrznemu na sprawy swego państwa. (Arch. Vat. Polonia nr. 344, V).

Prócz tego memoryału przedłożył Benisławski na audyencyi 12 marca sprawozdanie o ówczesnych stosunkach Jezuitów białoruskich i o wyborze wikaryusza generalnego, prosząc dla niego także o zatwierdzenie. Pius VI, po poprzedniem porozumieniu się z kardynałami Contim, Negronim i Antonellim, zatwierdził, według świadectwa Benisławskiego, i »stan ich (Jezuitów) i wybór wikaryusza generalnego, powtórzywszy trzy razy: potwierdzam, potwierdzam, potwierdzam«.

Dwa inne postulaty t. j. postulat o paliusz dla Siestrzencewicza, o sakrę i koadjutoryę dla Benisławskiego miały być załatwione przez nuncyusza Archettiego, na którego legacyę do Petersburga zgodziła się tymczasem Katarzyna II listem datowanym 1 marca.

Aprobata Piusa VI, *Vivae vocis oraculo*, nie znajduje wiary u p. Loreta; wspomniał o niej wprawdzie, bo trudno było legacyę Benisławskiego całkiem pominąć, tak, jak pominął inne akty papieskie uznające Jezuitów, ale twierdzi, że »była to tendencyjna plotka, szerzona przez Benisławskiego i Jezuitów, której po kilkakroć musiano z Rzymu zaprzeczyć«, i lituje się nad historykami, »którzy w następstwie powołując się na te fikcyjne słowa papieża, wznieśli na nich kruchą budowę argumentacyi, mającą na celu

udowodnić legalność istnienia zakonu OO. Jezuitów w okresie pokasacyjnym«. Wyprowadza wreszcie ogólny z tego wniosek, »że bezpodstawność a zarazem zła wiara takich dowodzeń nie potrzebuje, jak się zdaje, komentarzy« (str. 187) i istotnie żadnych komentarzy na swe twierdzenie nie przytacza.

Pomijając złą wiarę napiętnowanych historyków, musimy zaznaczyć, że Jezuici białoruscy uwierzyli Benisławskiemu, a wikaryusz generalny w dobrej wierze wydał okólnik 13 sierpnia 1783 r., w którym zawiadomił białoruskich Jezuitów o ustnej aprobacie papieża, nakazał odprawić dziękczynne nabożeństwo i przy tej sposobności wezwał Jezuitów do tem usilniejszej pracy nad zbawieniem bliźnich i do wzajemnej miłości.

Jezuici z dobrą wiarą przyjęli oświadczenie Benisławskiego, bo nie mieli żadnej słusznej racyi podejrzywać jego prawdomowności, miał bowiem opinię prawego kapłana, o czem i w Rzymie dobrze wiedziano, skoro papież bez trudności zgodził się na jego koadjutoryę, a że mu nie bardzo na godności biskupiej zależało, złożył później tego dowód, wstępując napowrót do zakonu, gdzie też życie zakończył.

Jezuici zresztą dla »umocnienia« swej dobrej wiary zażądali przed drugą kongregacyą połocką od Benisławskiego, podówczas już biskupa, zaprzysiężonego poświadczenia tej aprobaty, co też uczynił, wystawiając odpowiedni dokument 13 lipca 1785 [1].

---

[1] Ex audientia SSmi Dni Nostri Pii PP. VI habita anno 1783 die 1/12 mensis Martii.

Cum ab Augustissima Imperatrice totius Rossiae Catharina II ad tractanda negotia, Archi-Episcopatum Mohiloviensem, Coadiutoriam Eiusdem Archiepiscopatus, et approbationem Iesuitarum concernentia, Romam ad SSum Dnum Nostrum Pium PP VI missus fuissem: exposui Sanctitati Suae statum Iesuitarum conformiter Instituto suo viventium, et quod sibi ad statum hunc suum conservandum de mandato eiusdem Augustissimae Imperatricis Praepositum Generalem elegerint. Quibus auditis SSmus Dnus Noster et statum illorum et electionem Praepositi Generalis factam benigne confirmavit, repetitis ter vicibus dicendo: Approbo, approbo, approbo.

De hoc vivae vocis oraculo fidem plenissimam facio, manumque meam et sigillum appono.

Datt. Polociae, mensis Iulii die 13/24 anno 1785.

Ioannes Benisławski, Episcopus Gadarensis etc.

Oryginał z pieczęcią przechował się w posiadaniu Zakonu.

Zarzutu krzywoprzysięstwa biskupowi uczynić nie mogli, bo nie pozwalała na to prosta uczciwość, obowiązująca także każdego historyka przynajmniej o tyle, żeby bez bardzo przekonywujących komentarzy takich zarzutów nie czynił, — uwierzyli więc Benisławskiemu, a wnosząc później suplikę do Piusa VII powoływali się na tę aprobatę, jako na rzecz zupełnie pewną, o której chyba i Pius VII przedtem już musiał wiedzieć.

Powoływał się na nią w swej suplice ks. Kareu: »Papa Pio Sesto... diede in voce la facoltà a Monsignior Benisławski... di riferire a S. M. l'Imperatrice, che approvava l'esistenza della Nostra Società in Russia, e ordinò di comunicare a noi questa sua volontà per quiete delle nostre conscienze«. (Arch. Vat. Pol. nr. 344, V). Powoływał się także ks. Ponnizoni w czwartym punkcie swych Annotationi, dołączając także poświadczenie zaprzysiężone Benisławskiego, jakie od ks. Lenkiewicza, ówczesnego wikaryusza generalnego przy wyjeździe do Włoch otrzymał.

Wiedział o tej aprobacie między innymi także kardynał dziekan G. F. Albani — a przypuszczamy, że wiedział nie na podstawie »plotek rozpuszczanych tendencyjnie z kolegium połockiego«, bo w liście do nuncyusza wiedeńskiego, omawiając sprawę wprowadzenia Jezuitów do Austryi, między pięciu punktami, jakie przytacza na dowód kanonicznego istnienia Jezuitów białoruskich, wymienia (punkt piąty) także aprobatę Piusa VI, dodając, że się to działo w obecności wielu poważnych osób: »Benisławski ebbe da Pio VI dell' approvazione Vivae vocis oraculo in presenza di molte persone di rispetto« (Arch. Vat. Nunziatura di Vienna n. 699).

Aprobatę Piusa VI uważał więc kardynał dziekan za rzecz pewną i powoływał się na nią, mimo że wiedział także o oficyalnych zaprzeczeniach, wydanych wskutek alarmu dyplomatycznego na samą wieść, że Benisławski jedzie do Rzymu. Tym razem pisma uspokajające sekretarza stanu Pallavicini do dworu hiszpańskiego i francuskiego (identyczne z 17 i 18 lutego) nie były przeznaczone dla publicznej wiadomości a kardynał Pallavicini, przesyłając je nuncyuszowi madryckiemu Colonnie, wyraźnie zaznacza, żeby o brewe do króla hiszpańskiego prócz króla i jego

ministra nikt się nie dowiedział, i żeby nikt nie mógł dostać kopii tego pisma przez wzgląd na carową: »che non solo sia conservato così gelosamente, che niuno possa averne copia, ma che sentore nemmeno ne giunga alla mentovata Sovrana« — racya zaś przestrzegania tego sekretu, to obawa, żeby ustępstwa poczynione Katarzynie nie stały się zupełnie bezużyteczne z wielką szkodą sprawy Kościoła: »acciochè le sinistre, non meno che erronee interpretazioni, che vi si darebbero, non rendano onninamente inutile la condescendenza, che verso della Czara appunto si usa in persona del Mallense da sua Beatitudine« (Arch. di Simancas: Estado, nr. 4997).

Wskutek aprobaty *Vivae vocis oraculo* nie mógł też nuncyusz Archetti, który chyba z kurtoazyi dla burbońskich ministrów przed wyjazdem do Petersburga odgrażał się Jezuitom a po drodze aż nazbyt jaskrawo niechęć swą ku nim zaznaczał, traktować o ich sprawach, bo nie miał do tego upoważnienia papieża, który w liście polecającym do Katarzyny z dnia 26 kwietnia 1783 r. tylko o sprawie arcybiskupstwa i koadjutoryi wspomina. (Sbornik I, 537).

Siestrzencewicz, urzędowy winowajca w sprawie otwarcia nowicyatu, wskutek tej legacyi Archettiego otrzymał paliusz z wyrazami uznania »za prawdziwe zasługi« i zapewnienie, że także na przyszłość może być pewny życzliwości papieża w popieraniu jego dążeń. Otrzymał paliusz, mimo że nie złożył deklaracyi, jakiej się od niego jeszcze niedawno domagano za to, że zamiast w liście pasterskim powołać się wyłącznie na rozkaz cesarzowej, powołał się na upoważnienie papieża, któremu to na południu za wielki występek poczytano (»au lieux de s'en supporter uniquement aux ordres de Votre Majesté Imperiale il avail employé l'autorisation du Pape, auquel dans le midi on en faisait un crime«. Stackelberg do Katarzyny 19 (30) listopada 1782. Sbornik I, 527).

(Dok. nast.).

Ks. Józef Sas.

PROBLEMY ARABSKIE

I SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE ARABÓW.

(Ciąg dalszy).

Genezę i znaczenie ludów koczujących i pasterskich w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości różni różnie tłumaczą.

Ludy koczownicze, mówią jedni, to tylko jeden ze stopni na drodze cywilizacyjnego rozwoju ludzkości. Najprzód ludzkość, wychylając się z dzikości, żyła z łowiectwa i rybołowstwa, następnie przechodzi w stadyum życia pasterskiego i koczowniczego, a wkońcu osiedla się i zajmuje rolnictwem. Takie jest prawo rozwoju ekonomicznego ludzkości, ujawniające się wszędzie, gdzie tylko ten rozwój śledzić można.

Inni trzymając się powyższego schematu wyjmują wszelako z pod ogólnego prawa rozwoju ludy koczownicze. Jeden z najnowszych socyologów zamyka swoje w tym kierunku wywody następującą konkluzyą: »Pasterstwo i koczownictwo nie stanowią odrębnego stopnia o ogólnem znaczeniu w cywilizacyjnym rowoju ludzkości, lecz tylko nader doniosłe i szeroko rozpowszechnione zjawisko miejscowe. Do życia pasterskiego różne prowadzą drogi: ludy niektóre wzniosły się na stopień ten rozwoju bezpośrednio z okresu łowieckiego; inne z okresu łowieckiego przerzuciły się od razu do rolnictwa i dopiero zapędzone do nowego milieu, na stepy, jęły się koczownictwa. I z tych ludów znowu niektóre powróciły do rolnictwa, gdy w nowem, odpowiedniem znalazły się

otoczeniu. Jakiemi tedy drogami w poszczególnym wypadku odbywał się rozwój, częstokroć trudno rozstrzygnąć« [1].

Inni usiłują wykazać, że przez długie wieki i dziś jeszcze w znacznej części wśród ludów pierwotnych była i jest w użyciu uprawa ziemi zapomocą motyki i że w ciągu tego właśnie okresu dokonało się oswojenie zwierząt domowych. Uprawa zaś ziemi pługowa i dużo późniejsze gospodarstwo pasterskie ludów koczujących i osiadłych dopiero później wyłoniły się po przebyciu powyższego okresu. Nie łowiectwo tedy, ale pierwotna uprawa ziemi motyką poprzedzała gospodarstwo pasterskie. Taka jest teza Edwarda Hahna [2], którą dziś wielu wybitnych podziela socyologów.

Na poparcie jej przytacza się następujące powody:

1) Gospodarstwo pasterskie suponuje już oswojone zwierzęta domowe. Oswajanie zaś zwierząt zawsze z wielkiemi połączone jest trudnościami, które tylko ludność osiadła przezwyciężyć potrafi.

2) Trudno sobie wytłumaczyć jakie korzyści ekonomiczne miałyby popchnąć ludy łowieckie do hodowli zwierząt. Używanie mleka w każdym razie dopiero później mogło wchodzić w rachubę.

3) Ludy pasterskie oprócz mięsa potrzebują nadto pokarmów roślinnych. A więc muszą albo same trudnić się po części uprawą ziemi, albo podbić w zależność ludy rolnicze albo też z nimi wejść w stosunki handlowe. »Ludy łowieckie nigdzie nie zajmowały się hodowlą bydła, wiadomo atoli, iż ludy afrykańskie i amerykańskie, trudniące się za czasów historycznych uprawą ziemi zapomocą motyki nauczyły się hodowli bydła rogatego i innych zwierząt. Z tego, że ludy aryjskie, na pół pasterskie i na pół rolnicze po okresie wędrownym osiadły na stałe i zajęły się uprawą ziemi, nie wynika, iż ludy naprawdę koczujące zapoczątkowały uprawę ziemi zapomocą pługa i bydła. Dzisiaj nam znane, mongolskie ludy koczujące środkowej Azyi, zupełnie odmienne od aryjskich ludów wędrownych, wyjątkowo tylko posia-

[1] Müller-Lyer: *Phasen der Kultur*. München 1908. Str. 72.

[2] Hahn: *Die Haustiere in ihren Beziehungen zur Wirtschaft des Menschen*. 1896.

dają bydło rogate, które zresztą nie nadaje się do życia koczującego. Najdawniejszemi zwierzętami koczowniczemi są kozy i owce, konie natomiast, osły, muły i wielbłądy w stadach albo jako zwierzęta juczne są w posiadaniu późniejszych ludów koczowniczych. W jaki sposób teraz miałyby te ludy koczownicze oswoić mało ruchliwe bydło rogate, które prawdopodobnie dużo wcześniej niż wszystkie inne większe zwierzęta użytkowe dostały się w służbę człowieka? Przynajmniej to pewna, że koń dopiero w okresie 2000—1700 za panowania królów pasterskich dostał się do Egiptu, do Arabii dopiero w pierwszych stuleciach po Chrystusie, do Germanów w czasie wędrówek ludów« [1].

Inni wreszcie sposób życia i cechy charakterystyczne ludów koczowniczych radziby sprowadzić do czynnika dziedzicznego rasowości. To nieodmienna i niespożyta siła czynnika rasowego, mówią oni, że Arab i inne ludy wędrowne od wieków koczują pod namiotem i wałęsają się po pustyni.

Wobec tych poglądów różnych, nawzajem uzupełniających się i częstokroć wykluczających a najczęściej przepojonych szablonem ewolucyonizmu apryorycznego i monistycznego, przypatrzmy się raczej warunkom klimatu i przyrody pustynnej i czynnikom politycznym, które kształtują i rzeźbią życie koczownicze Beduinów i na ich duszy i formacyach społecznych charakterystyczne wyciskają piętno. Świeże i bystre w tym kierunku spostrzeżenia uczonych podróżników a przedewszystkiem ks. Musila [2] dostarczą nam bogatego materyału w tej mierze i rzucą dużo światła nie tylko na charakter i przeszłość dziejową wszystkich krajów pustynnych, zamieszkałych przez ludność koczowniczą, ale i na zwycięski pochód Islamu i rozwój cywilizacyi arabskiej wogóle.

---

[1] Schmoller: *Allgemeine Volkswirtschaftslehre*, t. I, str. 196. — Bücher: *Entstehung der Volkswirtschaft*. Tübingen 1904, str 50. — Bos: *Jagd, Viehzucht und Ackerbau als Kulturstufen. Internat. Archiv f. Ethnographie.* X, str. 187.

[2] *Kusejr Amra* von Alois Musil. Wien 1907. 2 tomy, cena 210 mk. Dzieło to pod względem etnologicznym i historycznym mnóstwo bystrych i nader cennych zawiera spostrzeżeń nowych. Od czasu Burckhardta nikt więcej nie rzucił światła na życie pustyni arabskiej, niż autor czcigodny, który przez dłuższy czas przebywał w Skalistej Arabii, jak Bdui pomiędzy Beduinami.

Istota życia koczowniczego polega na regularnych migracyach i periodycznem przenoszeniu się z miejsca na miejsce. Dwa zaś szeregi czynników składają się na te migracye: jedne są stałe i nieodmienne, jak klimat i przyroda, inne są zmienne i w części albo zupełnie zależne od woli ludzkiej.

Ludy koczownicze muszą przenosić się z miejsca na miejsce, bo na olbrzymich pustynnych obszarach stepowych nie wszędzie jednakie są warunki klimatyczne i nie wszędzie równa ilość znachodzi się opadów atmosferycznych. Życie zaś roślin, zwierząt i ludzi w Skalistej Arabii zależy przedewszystkiem od ilości rosy i deszczów i stąd już wynika konieczność dla Beduinów szukania coraz to innych i świeżych wypasów, stosownie do wielkości stada wielbłądów i pory roku.

Step w północnej Arabii, mówi Oppenheim, nadałby się pod uprawę, gdyby mu nie zbywało na potrzebnej wilgoci. Dowodem tego bujna zieleń, którą na wiosnę pokrywa się step i małe oazy, otaczające rzadkie źródła. Tylko tam, gdzie grunt jest zbity i wapnisty albo gipsowaty, lub gdzie nagromadziły się piaski, syryjska pustynia świeci martwotą [1].

Pora deszczowa, w ciągu której w dłuższych lub krótszych odstępach czasu padają deszcze, trwa wprawdzie kilka miesięcy, od listopada do marca. Ale to są przeważnie nawalne deszcze, częstokroć z burzami połączone. Cała okolica wówczas w kilku minutach zapływa wodą, która nie mogąc przeniknąć zbitego gruntu wapnistego równie prędko odpływa. Gdy jednak wskutek dłuższych deszczów trochę rozmoknie górna warstwa ziemi, niebawem niziny i doliny świeżą pokrywają się trawą. Takie deszcze łagodne zowie Beduin »trajja«.

Step wówczas licznemi pokrywa się koczowiskami i stadami antylop. Powoli jednak wskutek skwarów letnich trawa poczyna więdnąć i wysychać i wówczas znikają antylopy a za niemi podążają Beduini na pogranicze pustyni w strony pół-uprawne lub nad Eufrat, gdzie i w skwarnem lecie znaleźć można wodę

[1] *Le tour du Monde.* 1899, str. 382.

i pastwiska dla koni i wielbłądów. Stosunek ten lotnych antylop do Beduinów znalazł wyraz w licznych przysłowiach arabskich.

Gdy zaś wskutek skąpych lub nawalnych deszczów step nie porośnie trawą i nie wytworzy się pastwisko wiosenne, »rabi«, Beduin żali się, że w zimie żadnego nie było deszczu i dlatego głód daje się we znaki i ludziom i wielbłądom i step martwą przedstawia pustynię, nawiedzaną niekiedy przez wyprawy wojenne Beduinów, trzymających się skąpych źródeł.

Oprócz opadów atmosferycznych decydują nadto o regularnych migracyach Beduinów rozmieszczenie wodopojów pustynnych i wytrzymałość wielbłądów na pragnienie. Wytrzymałość ta jest różna, stosownie do pory roku i rasy.

Na wiosnę po obfitych deszczach, gdy wielbłądy jedzą tylko świeżą i słodką trawę, pisze ks. Musil, mogą obejść się bez wody często 20—30 dni i wówczas mogą Beduini zająć pastwiska więcej odległe od wody.

Wczesnem latem, w maju i czerwcu, wytrzymałość wielbłądów na pragnienie nie przekracza 10 dni.

Podczas skwarnego lata pastuch, as-sabi, poi wielbłądy co piąty dzień. Jom al-hames ala l'ma, brzmi reguła: co piąty dzień do wodopojów. Rośliny bowiem jak hegine, rite i inne, któremi karmią się wielbłądy, są słone bardzo, a »kto sól je, czy może obejść się bez wody«, mówi Beduin. Zdaniem jego też tylko sól spiekłych od słońca traw pustynnych przynagla wielbłąda do ugaszenia pragnienia. Cztery więc dni wielbłąd znajduje się na pastwisku a piątego dnia idzie do wodopojów. Dlatego też w ciągu lata muszą Beduini takie zajmować wypasy, które od wody nie są więcej odległe, niż 30—40 klm. Z dnia wodnego korzysta też zawsze pastuch, który wówczas znowu raz do syta może się napić i to na czas dłuższy i zaopatrzyć się w potrzebną wodę na dni następne.

Oczywiście wytrzymałością taką na pragnienie odznaczają się tylko wielbłądy pustynne. Inne bowiem, oazowe albo z nad Eufratu lub z wybrzeży, zaledwie dwa dni obejdą się bez wody.

Z wytrzymałością wielbłądów na pragnienie łączą się ściśle wyprawy wojenne, które Beduini najchętniej podejmują w odle-

glejsze strony na wiosnę lub wczesnem latem. Zwyczajnie bowiem na wyprawach takich trzeba starannie omijać znane wypasy i wodopoje, ażeby nie popaść w zasadzkę i dlatego wielbłądy długo częstokroć obywać się muszą bez wody. A gdy przyjdzie pościg zdobyć się muszą niekiedy na nadzwyczajną wytrzymałość, na głód i pragnienie, które im daje się częstokroć tak we znaki, że tracą garb i kałdun [1].

Tak tedy opady atmosferyczne, wodopoje i wielbłądy są te stałe czynniki, około których obraca się życie koczujących plemion pustyni i które normują ich peryodyczne migracye i wyprawy wojenne po pustynnym stepie. Oczywiście migracye te wobec koniecznych potrzeb egzystencyi i gospodarstwa pasterskiego, przenoszenia się te z miejsca na miejsce całych pokoleń w okresach ściśle oznaczonych, odnoszą się tylko do Beduinów w ścisłem znaczeniu, którzy żyją we wnętrzu pustyni stepowej i utrzymują się wyłącznie z stad wielbłądzich. »Prawdziwe bowiem szczepy beduińskie, mówi ks. Musil, nie hodują wogóle bydła drobnego lecz żyją wyłącznie z tego, co im wielbłąd daje«, i co sobie za wielbłąda kupują [2].

Ale obok Beduinów w ścisłem znaczeniu są i tacy, którzy trzymają się uparcie krajów kulturalnych i ustawicznie krążą wraz z trzodami koło oazy lub okolic uprawnych i żyją ich kosztem, i tacy, którzy przez cały rok na tem samem posuwają się terytoryum, obfitem w trawę. Są to Beduini na pół osiadli, którzy nie znają peryodycznych migracyi ani nie zrośli się z życiem pustyni.

Ale nie tylko warunki przyrody kształtują życie Beduinów, ich egzystencya zależy nadto od sąsiednich krajów kulturalnych. Na stepie pustynnym nie wyrośnie samodzielna formacya społeczna, bo ani step ani pustynia nie dają tego, co jest konieczne do egzystencyi i samodzielnego rozwoju ludu. Dlatego też Beduini, ażeby mogli wyżyć, zawsze oprzeć się muszą o jakiś kraj kulturalny. Potrzeba im przedewszystkiem jęczmienia dla siebie i koni,

[1] Ks. Musil: *Kusejr Amra.* 1907, str. 34 i 35.

[2] Str. 37.

broni i amunicyi, siodeł na konie i ubrania. Wszystkich tych artykułów życia codziennego dostarczają im za wielbłądy kupcy wędrowni, którzy raz po raz ze swoimi towarami nawiedzają plemiona. Kupiec taki, »alkeli«, za pewną opłatę, składaną naczelnikowi poszczególnych plemion, ubezpiecza się od rabusiów pustynnych i na terytoryach zaprzyjaźnionych sobie szczepów załatwia nawet wśród zamieszek wojennych wszelkie interesy handlowe, jak w kraju cywilizowanym.

Oprócz stosunków handlowych istnieje jeszcze pomiędzy Beduinami a sąsiednią ludnością osiadłą inny stosunek, zwany braterstwem, khii, a który w gruncie rzeczy polega na zależności pańszczyźnianej tych okolic od pańskich rabusiów pustynnych. Ażeby mieć spokój i ubezpieczyć się od łupieskich najazdów, ludność osiadła na pograniczu pustyni i brzegu oaz, ludność całych osad mniejszych i wiosek i miast nieraz większych płaci Beduinom coroczny haracz. »Pokolenie Beni Sahr pobiera haracz od mieszkańców al-Kerak, Senfhe i Selfhe, as-Soubak, Ejme i Dana. Od każdego namiotu płaci się z góry oznaczony podatek. Pod zwierzchnictwem pokolenia Shur jest też cały kraj Hawran wraz z licznemi wsiami. Te jednak, podobnie jak dużo innych beduińskich szczepów zależnych, nie płacą sumy ściśle określonej, lecz co roku wymierzano im haracz dowolnie. Również kupcy z Damaszku, as-Sawam, al-Hadarme i Jerozolimy płacą im haracz. Za to oni i ich towary na wszystkich drogach prowadzących przez terytoryum Shur, są pod opieką księcia«[1].

Tak narzucając swoje braterstwo khii kupcom i karawanom i ludności osiadłej na oazach i pograniczu pustyni, stwarzają sobie szczepy koczownicze źródło dochodów, które zwyczajnie równają się wielkości szkód, jakieby wyrządzić mogli.

Głównem zadaniem szejka ludności osiadłej jest właśnie nawiązać takie stosunki braterstwa z różnemi plemionami, które w zamian za haracz zobowiązują się do strzeżenia własności i życia swoich sprzymierzeńców. I pod tym względem Beduini spełniają

[1] Ks. Musil: *Kusejr Amra.*

rolę wojska i policyi i stoją na straży bezpieczeństwa publicznego, haracz zaś im płacony jest rodzajem podatku wojskowego.

Haracz taki na rzecz pokoju i bezpieczeństwa publicznego płaciły Beduinom w ciągu wielu wieków i państwa potężne, usiłując w zamian nad nimi rozciągnąć panowanie swoje.

W tym celu usiłowano pozyskać sobie naczelników szczepów i pokolenia, mianując ich urzędnikami państwa z roczną pensyą i darami dla ich poddanych. Tak czyniły mocarstwa światowe, jak Persya i Bizancyum i państewka arabskie i obecnie Turcya i owe mocarstwa światowe, którym zależy na wpływie w Arabii. Tylko Roma światowładna odtrącając wszelkie układy braterskie z niespokojnymi mieszkańcami pustyni, żelazną ręką ukróciła i powstrzymała łupieskie ich najazdy na sąsiadujące z nimi kraje kulturalne. Pod ich panowaniem pogranicze pustyni pokryło się niebawem siecią grodów i obozów obronnych i wież strażniczych, »castris oppleta validis et castellis« [1], które stanowiły nieprzebytą zaporę i broniły dostępu ruchliwym rabusiom pustynnym do krajów, kwitnących kulturą. Cel ten miały obozy obronne, jak al-Mdejbia w kierunku północno-zachodnim od Mhajj i al-Leggun, na północy fortece Ksur Bsejr, al Kastal w pobliżu Ziza, al Libben i Nefa, nie wspominając licznych strażnic pustynnych [2]. Znać, że Rzymianie z północnej Afryki dobrze byli obeznani ze stepem pustynnym i metodą walki z ludami koczującymi.

Obecnie rząd turecki corocznie składa w ręce książąt pokoleń zapasy zboża, broni, ubrań i pieniądze, które oni następnie rozdzielają pomiędzy naczelników i członków szczepów. Książęta pokoleń i naczelnicy rodów pobierają nadto osobne pensye jako urzędnicy państwowi, ażeby w imię rządu panowali nad Beduinami według odwiecznego prawa zwyczajowego. Tak Sliman ibn Refade, książę Hwetat at-Tihama ma rangę paszy, Arar, książę Hwetat ibn Gazi oraz Talal, książę Shur mają rangę kajmakanów.

W rzeczywistości atoli droga pielgrzymkowa do Mekki jest granicą władzy państwowej w Arabii a wpływ Turcyi nie sięga dalej,

---

[1] Amm. Marcell. 1, 14.

[2] *Kusejr Amra*, str. 122.

jak jej kule karabinowe i armatnie. Rząd turecki wie o tem dobrze i zwyczajnie wówczas tylko hojną ręką rozrzuca dary, gdy w jakiejś dzielnicy olbrzymiego państwa groźne gotują się zamieszki. Ale o tem wiedzą też dobrze Beduini i umieją wybornie wyzyskać każdą okazyę dogodną, ażeby wymusić na rządzie przyobiecane im zaległości. A taką dogodną okazyą w tej mierze jest zawsze doroczna karawana pielgrzymkowa, urządzona i prowadzona z ramienia rządu tureckiego do Mekki.

Pasza, który przewodzi karawanie, musi wówczas wyrównać wszystkie zaległości, jeżeli chce mieć dostęp do stacyi wodnych i uchronić pielgrzymkę od łupieskiego najazdu.

Ongi w Syryi i Mezopotamii i Arabii wśród pustyni i na jej pograniczach były bogate miasta i sioła i kwitnące ogrody i łany zboża, wrzynające się głęboko w step pustynny.

Dziś tam nasypy piasku, z których przeświecają szczątki wspaniałych częstokroć kolumnad i wodociągów a zamiast uprawnej ziemi, sztucznie nawodnionej, rozciąga się martwy step piaszczysty. Kraje całe o wysokiej ongi kulturze i gęsto zaludnione świecą dziś martwotą i piaskiem pustynnym.

Skąd ta zmiana?

Przecież klimat i przyroda się nie zmieniły, w każdym razie nie w czasach historycznych. To skutki najazdów łupieskich Beduinów, których mocarstwa lub państewka kulturalne nie umiały utrzymać w ryzach pokoju i porządku lub zaniedbały zjednać sobie wyż wspomnianymi układami braterskimi.

Ludy koczownicze stepów pustynnych stanowiły zawsze i wszędzie w ciągu historyi groźne niebezpieczeństwo dla sąsiednich krajów, kwitnących kulturą. One przywykły do przenoszenia się z miejsca na miejsce z nadzwyczajną chyżością zapomocą wielbłądów wraz z łupami i całem mieniem; one są zawsze w pogotowiu wojennem, bo koczownicze ludy stanowią przedewszystkiem dobrze wyćwiczoną potęgę i organizacyę militarną; one zawsze z góry patrzą się z pogardą na ludność przytwierdzoną do gleby i mieszkającą w lepiankach lub murowanych domach i od wieków uważają za swoje dzierżawy wszystkie ziemie uprawne, graniczące z pustynią.

W razie więc uchylenia się ludności osiadłej od płacenia haraczu, lotna jak wicher konnica pustynna wiecznie niepokoić będzie mieszkańców i pustoszyć pola i uwozić ze sobą na wielbłądach bogate łupy i podbijać w moc posłuszeństwa osady i wsie i miasta całe. I tak wrzynające się głęboko w pustynię, kwitnące życiem i dobrobytem okolice i kraje całe pustoszeją, osady ludne idą w ruiny, ludność emigruje lub wraca napowrót do życia koczującego, ziemia pozbawiona wody zamienia się w step pustynny, gdzie Beduini tylko z trzodami swemi koczują.

Taki los spotkał wszystkie kraje kulturalne w północnej Afryce i przedniej Azyi, graniczące z pustynią, Persyę, Mezopotamię i w części Syryę, w których rządy nie umiały czy zaniedbały otoczyć czujną i żywotną opieką swoich poddanych i nie stały na straży bezpieczeństwa publicznego.

Utarło się mniemanie, że dopiero inwazya arabska wprowadziła do Afryki północnej ludy koczujące i zamieniła kwitnące ongi bogactwem kraje wybrzeżne morza Śródziemnego w części w pustynię.

Mniemanie to jest niezgodne z prawdą historyczną.

Wszystkie te kraje składają się w części ze stepów pustynnych, gdzie od wieków koczowały ludy pasterskie. Tylko ludy te trzymała żelazna ręka Rzymu zapomocą pasma obozów obronnych i fortec i strażnic w ryzach porządku i pod osłoną tej ręki kultura rzymska wrzynała się coraz głębiej w pustynię i wydzierała piaskom coraz większe szmaty rodzajnej ziemi. Pisarze pierwszych wieków chrześcijaństwa wyraźnie wspominają o nomadach maurytańskich. Z upadkiem dopiero państwa rzymskiego wynurzają się znowu z głębi pustyni ludy koczujące i zamieniają w pustkowie to, co praca i umiejętność ludzka pustyni wydarła. I odtąd pustynia poczęła rozszerzać się kosztem gruntów uprawnych a klęski wojenne i bezustanne walki wzajemne i najazdy rabunkowe plemion koczujących i przedewszystkiem nowy najazd olbrzymi w wieku XII Beduinów do północnej Afryki z stadami wielbłądów, kóz i baranów, wlokących, że tak powiem, pustynię za sobą, zamieniły całe kraje kulturalne w stepy pustynne.

Zresztą »w krajach suchych, położonych wzdłuż morza

Śródziemnego, a więcej jeszcze w stepach i na Saharze nie potrzeba spustoszenia wojennego, ażeby ziemia zamieniła się w pustynię i lasy zanikły i życie koczownicze zyskało na terenie. Wystarczy tu akcya negatywna, wystarczy opuścić ręce, i nie podtrzymywać prac nawodniających pola i nie zajmować się wodą ani lasami« [1].

Chcąc tedy wydrzeć znowu pustyni to, co w pustynię zamieniono, trzeba przedewszystkiem silnej i sprężystej administracyi państwowej, któraby zapewniła bezpieczeństwo publiczne i trzymała ludność koczowniczą z dala od gruntów uprawnych. Tylko tam bowiem, gdzie ludność ma pewność, że jej praca nie pójdzie na marne, że nad jej mieniem czuwa potężna ręka państwa, żyzna i bezwodna pustynia, o ile na to warunki geograficzne pozwolą, pod bujnem niebem znowu zakwitnie życiem i kulturą i skurczy się panowanie Beduinów.

Ale jest to tylko połowiczne rozwiązanie tego socyalnego problemu pustyniowego, który już od lat tysięcy trapi wschodni głównie świat kulturalny i nad którego rozwiązaniem pracowały daremnie wszystkie prawie mocarstwa światowe począwszy od Asyryjczyków i Persów aż do Rzymu, Bizancyum i świeżo Turcyi. Bo nie idzie tu o pozyskanie pod osłoną karabinów piasków pustynnych dla kultury, lecz o przeobrażenie i wychowanie kulturalne ludu całego, który od tysięcy lat w tych samych trwa przywarach i pierwotnych formacyach społecznych. Czy charakter społeczny ludu pustynnego podlega wogóle zmianom i przeobrażeniom? I jakie czynniki początkują i potęgują te zmiany?

Odpowiedź na te pytania, tak doniosłe dla rozwoju kulturalnego olbrzymich obszarów i luźnych krajów koczowniczych dają nam płaskowzgórza Algeryi, gdzie w ostatnich lat dziesiątkach pod tym względem doniosłe dokonywują się zmiany i przeobrażenia.

Otóż dwa przedewszystkiem rodzaje czynników kształtują i rzeźbią życie pustynnych ludów koczujących: czynniki nieod-

---

[1] Augustin Bernard et N. Lacroix: *L'évolution du nomadisme en Algérie.* Paris 1906. Str. 29.

mienne przyrody i czynniki zależne od woli ludzkiej. Do ostatnich należą przedewszystkiem koń i wielbłąd i społeczno-ekonomiczny rozwój sąsiadujących z pustynią państw kulturalnych.

Najprzód życie Beduina zależne jest i jakby organicznie zrosło się z koniem i wielbłądem. Koń jest dumą i chwałą i, jak poniżej zobaczymy, głównym czynnikiem potęgi bojowej ludów koczowniczych. Ale koń nie wyrósł na stepie pustynnym, jego ojczyzną są stepy trawiaste. Na pustyni jego utrzymanie kosztuje dużo i dużych wymaga ofiar i zabiegów. Konia trzeba codziennie napoić. Gdy więc wody niema w pobliżu, co tylko wyjątkowo się zdarza, trzeba ją przynieść na grzbiecie wielbłąda. Konia trzeba karmić na jałowym stepie codziennie zbożem, które trzeba z daleka sprowadzać. Rodzina beduińska zaledwo raz na miesiąc je chleb lub strawę jęczmienną a dla klaczy musi się znaleźć codziennie porcya jęczmienia. Koń potrzebuje ciągle starannej opieki i w ciągu pory zimowej on najwygodniejsze zajmuje miejsce w namiocie, gdy Beduin z rodziną zadawalnia się lada kącikiem. Utrzymanie konia na stepie pustynnym jest kosztowne bardzo i dlatego zwyczajnie kilku Beduinów wspólnie posiada jedną klacz, której wartość równa się przeciętnie 20 wielbłądom. I właśnie te koszta i zabiegi i ofiary, łączące się z utrzymaniem konia, są przyczyną, że tam, gdzie posiadanie jego nie przynosi dużych korzyści wojennych, chów koni stale się zmniejsza na rzecz mułów i bydła rogatego.

Po zajęciu i pacyfikacyi Algeryi przez Francyę liczba koni wkrótce tak się pomniejszyła, że koń stał się zwierzęciem luksusowem i rzadkością prawie. »Przed kilku laty, mówi sprawozdanie rządu z okręgu Khenchela, łatwo było znaleźć w Algeryi 20.000 koni pod wierzch, które można było od razu zmobilizować. Była to cenna rezerwa dla państwa, która obecnie niestety, już nie istnieje i jeżeli rząd przez odpowiednie zarządzenia w tym kierunku nie powstrzyma eksportu źrebiąt, nie ulega wątpliwości, że wkrótce zabraknie koni niezbędnych dla konnicy w Algeryi« [1]

[1] Bernard et Lacroix, p. 116.

Razem z końmi i chów wielbłądów ogromnie podupadł. Ciekawe w tej mierze są sprawozdania rządowe. »W okręgu Marnia, czytamy tam, kraj jest bezpieczny, mieszkańcy nie potrzebują już zwijać szybko swojego gospodarstwa i uciekać przed wrogiem sprawnym i licznym; wielbłąd więc jest im mniej potrzebny«; »w okręgu Mecheria wielbłądy dla tubylców są mniej potrzebne, bo oni coraz mniej się przenoszą z miejsca na miejsce i kolej żelazna współzawodniczy z transportami karawanowymi. Zresztą niema co żałować wielbłądów, których miejsce zajmują dobrze wół i baran«.

Uwagi te wszelako odnoszą się, zdaje się, wyłącznie prawie i przedewszystkiem do ludności na pół osiadłej, bo we wnętrzu pustyni i w części na jej pograniczu odbywają się nadal i peryodyczne migracye i chów wielbłądów i wre w całej pełni życie pustynne według odwiecznych praw zwyczajowych.

Zmiany te i przeobrażenia potęguje jeszcze wrzynająca się w piaski pustynne kolej żelazna, która ruguje wszędzie transport karawanowy i nawiązuje stosunki handlowe. Dziś już w niejednej miejscowości targi roczne zastąpiły targi tygodniowe, powstały różne składy i ogniska handlowe. Dziś już widać kupców i różnych agentów kupieckich, żydów i mozabitów, wciskających się wraz z towarami do namiotów mieszkańców pustyni. »Kawa, cukier, herbata upowszechnia się nie tylko w domu bogatego, lecz stała się niezbędnym przedmiotem w domu średniej zamożności«. Miejsce grubej materyi namiotowego wyrobu zastąpiły łechcące oko materye europejskie, tkaniny, różne makaty. Wielu też krajowców poczęło używać obuwia na sposób europejski« [1].

Razem tedy z towarami budzą się nowe potrzeby i wytwarzają nowe nawyknienia, słowem, zmiany w dziedzinie świata ekonomicznego wywołują zmiany i przeobrażenia w życiu i formacyach społecznych Beduinów: »zmniejsza się liczba migracyi i wielbłądów a powiększają się stada bydła, w uprawie ziemi znać postęp i okazuje się tendencya budować domy, postęp też

[1] Bernard et Lacroix, str. 226.

widać w wystawności i w życiu indywidualnem w rodzinie i w wyzwalaniu się rodziny i duaru z pod wpływu rodu« [1]. Pustynia na krańcach przedewszystkiem zakwita kulturą, która rozsadza stare i tworzy nowe formy życia.

C. d. n.

Ks. Leonard Lipke.

[1] Bernard et Lacroix, p. 302.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z niwy poetycznej.

1. Ks. Franciszek Nawarra: »Ideały mistyczne« (Misterya). Kraków 1910, str. 201. — 2. Franciszek Ks. Pusłowski: »Wigilia«. Kraków 1910, str. 39. — 3. Józef Anatazy Rogron: »Wieczne nowiny«. Poezye religijne. Tarnów 1909, str. 148. — 4. Gabryel Tadeusz Henner: »Resurrectio carminis«. Poezye. Kraków 1911, str. 71. — 5. Janusz Bednarski: »Wiersze i proza«. Wydał i wstępem zaopatrzył dr. Józef Ujejski. Kraków 1910, str. XXVI, 335. — 6. Krystyna Saryusz-Zaleska: »Poezye«. Kraków 1910, str. 272.

I.

Kiedy lat temu bez mała sto zabłysła w Wilnie dzięki Mickiewiczowi poranna zorza romantycznej poezyi, początkowe jej dzieła nie miały charakteru chrześcijańskiego. Mickiewicz, biorąc od ludu ornament poetyczny w postaci guseł i wierzeń, nie zatroszczył się o ich religijny charakter. W »Grażynie« wojsko litewskie rozpoczyna wprawdzie bój okrzykiem »Jezus, Marya«, lecz bohaterkę palą na stosie wedle pogańskich obrzędów. Dopiero przez ciotkę w uczuciach katolickich zaprawiony Zaleski w programie swym »Śpiew poety«, a jeszcze wyraźniej we wierszyku »Ze snu« uważa poetę za pośrednika pomiędzy Bogiem a ziemią. Najlepsi krytycy romantyzmu, Mochnacki i Grabowski, określają jeszcze poezyę, jako tęsknotę do nieskończoności. Rękojeść kordów powstania listopadowego nie miała kształtu krzyża, jak to już Słowacki w »Kordyanie« zauważył. Dopiero klęska 1831 roku skierowała zbiorową duszę polską ku Bogu, a po tym roku ze zmianą uczuć ulegają zmianie i pojęcia estetyczne, ze

zmianą twórczości poetyckiej przeistacza się teorya poezyi. »Poezya — pisze Zygmunt Krasiński w 1834 do Gaszyńskiego — wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje, i dlatego właśnie była zawsze i być zawsze musi religijną, to jest mówić o zagadce wielkiej, którą Bóg zadał ludzkości: o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i o bojaźniach, o tem wszystkiem, co się zowie uczuciem istoty żyjącej w granicach, a przeznaczonej kiedyś do życia bez granic. Inszem słowem zowie się to wszystko religijnością; a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie« [1]. Parę miesięcy przedtem dodaje, zachwycając się Rzymem: »Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata! Żebyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś! Poeto, wstydź się nie być katolikiem« [2].

Czyż cała paryska działalność Mickiewicza nie była rezultatem jego głębokiej religijności? Czy twórczość Słowackiego w okresie mistycyzmu nie wypłynęła ze serca spragnionego widoku Boga? Czy wybitni poeci polscy XIX wieku: Ujejski, Pol, Lenartowicz, Zaleski, Goszczyński, Romanowski nie pisali utworów religijnych? Czy jeden z poetów najnowszych nie powiedział tak samo wyraźnie, że każdy wielki poeta był religijnym? [3]

W istocie ktokolwiek pojmuje poezyę jako tęsknotę do nieskończoności, jako rozmyślanie o wiecznej i nieśmiertelnej duszy, musi w swej twórczości spotkać się z Bogiem. I w owem ku wzniosłym zagadnieniom dążeniu, skutkiem »zbytniego zamyślenia się o rzeczach duszy«, staje się melancholikiem »z mocy« lub »ze słabości«. W tym jednak procesie duchowym, który Schelling nazywa *die unmittelbare Anschauung Gottes, bei der nicht die Vernunft des Menschen sondern das Auge Gottes sehend geworden ist,* dla człowieka leży niemałe niebezpieczeństwo. Bo według Philona z Aleksandryi duch, który chce Boga ujrzeć, sam musi się przebóstwić (θεοῦσθαι). Osiągnąć to zdoła przez wiarę, nadzieję i miłość: one — te trzy chrześcijańskie Charity — zaopatrzą go w skrzydła, które Słowacki nazywa »skrzydłami ludzi wysokich«. Ale w tym samym duchowym procesie nastąpić może

[1] Krasiński: Listy t. I, str. 45—6.
[2] T. s. str. 37.
[3] Kasprowicz w swem studyum o Lenartowiczu.

zatrata owych mocy, unoszących ducha ku wyżynom, a wtedy »zamyślenie się o duszy« staje się dla człowieka »kamieniem ludzi topiących się«. W nim to właśnie tkwią pierwiastki, obniżające polot ducha: duma i egoizm. Duma nie pozwala mu ukorzyć się błagalnie przed Bogiem, pogrążyć się w Nim niepodzielnie i wyłącznie, oddać się Mu na własność, a przecież poeta pięknie powiedział, że

nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory.

Egoizm każe człowiekowi własne dobro, własne powodzenie, własne ziemskie szczęście ponad wszystko traktować. Stąd niedola ziemi i życia zbyt przygnębia, stąd śmierć staje się straszliwem złem, stąd na usta płyną żartkim strumieniem z głębi wzburzonego i rozgoryczonego serca, jak ogień, palące słowa skarg, jęków, czasem złorzeczeń i bluźnierstw. Rezultatem — czołobitny pokłon przed materyą:

Łamiąca myśl jest, że ludzie tak muszą
Ginąć, jak ginie zwierzę i roślina,
Że to, co we mnie nazywa się duszą,
To jest czująca i myśląca — g l i n a[1].

A jeżeli tak, to

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi tak i w niebie
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przede mną bożyszcza i ołtarze
Nirwano![2]

Bo też niekiedy i szara pyszka, nieodrodne dziecię egoizmu, nie pozwala poecie iść w poszukiwaniu Boga szlakiem utartym przez ludzkość, przez zamierzchłe wieki, przez Kościół. Sam Go znajdę, sam zdobędę dla siebie męką i znojem ów czarodziejski zdrój wiekuistego życia. I brnie nieszczęsny pątnik wśród niezwyciężonych trwóg, katuszy i obłędów ku wymarzonemu przez siebie mirażowi światła. Mętnieje wówczas i mgłą niby welonem powleka się ludzka dusza; może staje się głębszą, lecz niestety niebiańskie sny przestają ją nawiedzać. Czyż

---

[1] Kaz. Tetmajer: Poezye I, 48, »Wszystko umiera ze smutkiem i żałobą«.

[2] Tenże: Poezye II, 42—3: »Hymn do Nirwany«.

my tego nie wiemy doskonale, jak można przefilozofować Boga? Wtedy niedola srożej gniecie, zwłaszcza, że naokół, jak w owem przedpieklu dantejskiem,

westhnienia, płacz, lament chorałem
Biją o próżni bezgwiezdnej tajniki...
Okropne gwary, przeliczne języki,
Jęk bólu, wycia to ostre, to bledsze
I rąk klaskania i gniewu okrzyki...

Czyż bowiem nie powiedział i nasz Słowacki w chwili rozgoryczenia, że hymnem tego świata są »głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery«? Ale ten hymn wpada »między grające przed Jehową sfery, jak dźwięk niesfornej struny« [1]. Nic nie zależy Bogu na tem, żeby człowiek cierpiał i nic Bogu na tem nie zależy, iżby inny, wyższy człowiek, poeta — uświadamiał sobie i niższym swym braciom nędzę ziemi. Ilekroć ziemskie tylko sprawy otoczą nas i troską napełnią, tyle razy wyda się cięższym los nasz na ziemi. Ile razy narzekaniami na niedolę ziemską echa naokół wywołamy, tyle razy zgoła nie przyczynimy się do uczynienia lżejszem brzemienia. »Wszakoż z tego się nie weselcie, iż się wam duchowie poddają; ale się weselcie, że imiona wasze napisane są w niebiesiech« [2]. Nie przyczynia to Bogu chwały, że świat jęczy z bólu i że poeci jęki te potęgują. Przychodzą mi na myśl słowa Staffa:

A którzy się weselą — beztrudem nie tracą...
Nie spadną ptacy, którzy pod niebem zawiśli...
Zasiądźcie stoły wasze, bądźcie dobrej myśli!
Szczęście jest także plonem a radość jest pracą [3].

Nieraz dziwiłem się, dlaczego uczucie religijne bywa smutne i dlaczego poezya religijna ma być smutna? Słowacki w »Anhellim« mówi o Ellenai umierającej: »serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków«... Dlaczego? Czytam modlitwy Krasińskiego, tworzone dla Bobrowej — smutne są grobowo!

Od letargu duszy — uchroń mnie, Panie!
Od zwątpienia — wyratuj mnie, Panie!
Od pustyni serca — ocal mnie, Panie!
Oddal puhar goryczy od ust moich! [4] i t. d.

---

[1] »Godzina myśli« — początek.
[2] Ew. św. Łukasza, x, 20.
[3] »Ptakom niebieskim«, str. 212.
[4] »Pisma«, wyd. Piniego, t. I, str. 224.

Religijne poezye Zaleskiego, Lenartowicza, a osobliwie Ujejskiego jakże pełne są łez prawie beznadziejnych. W nielicznych religijnych wierszach Asnyka dźwięczą uczucia serca, które ciężką przebyło Golgotę. »Moja księga« Konopnickiej dyszy nieraz pretensyami do Boga, nieraz gniewem na Boga, tak, że ją nie bez słuszności Marya Grossek w artykule »Interpretacya »Duchów« Świętochowskiego« nazywa »talentem antyreligijnym« [1].

A cóż dopiero mówić o niektórych »Hymnach« Kasprowicza, który gromowym głosem Bogu urąga, jęczy szlochaniem, jak rozełkane dzwony donośnem, wstrząsa lamentacyami niebios sklepienia!

Czemuż uczucia religijne nie mogą z duszy wysłać na oblicze uszczęśliwienia uśmiechów, gdy zdrój łaski zaleje piersi i ukaże człowiekowi niebo? Czyż Chrystusa nie nazywamy najsłodszym, źródłem wszelkiej pociechy, życiem i zmartwychwstaniem naszem, rozkoszą świętych? Czy dusza, przesiliwszy wszystkie ziemskie smutki i pokonawszy je, nie może zapłonąć na śmiertelnem obliczu światłem nieśmiertelności? A jednak są dusze ludzkie czyste, jasne, proste, pokorne i ciche...

Może zatem i poezya religijna brzmieć różnymi tonami, i na jej harfie w zgodny akord spłynąć mogą tony głębokie, słodkie, pełne uniesień, nadziei, czasem rozkoszy...

II.

Przede mną kilka tomików poezyi religijnych. Zawsze lubiłem ten właśnie dział liryki. Zachwycałem się mocną i energiczną, szczerą a tak pełną ufności w ojcowską dobroć Boga, liryką religijną Mickiewicza. Jego dzielne i stanowcze twierdzenie w »Mędrcach«: Jest Bóg, tylko umarł w mędrców duchu! jego pojęcie wiary, niby promień światła przenikający głębie oceanu, krzepiły mię, umacniały i podziw budziły. Z ochotą otwieram książkę ks. Fran. Nawarry p. t. »Ideały mistyczne«. Po dedykacyi św. Janowi Kantemu na str. trzeciej »Kryteryologia«. A więc aprobata kieleckiego cenzora ksiąg duchownych, list Adama Pługa, komentarz do autora tego listu. W zwięzłym liście zacnego Adama Pługa jest znamienne zdanie: »jakże tu komuś, kto w pracę swoją całe serce swe włożył, kto ją przeniknął dążnością najpoczciwszą, ożywił uczuciami wzniosłemi, wzbogacił erudycyą głęboką: teologiczną, filozoficzną i klasyczną — powiedzieć, że ta praca jego

[1] *Sfinks*, zesz. 30, czerwiec 1910, str. 427.

umiłowana, przy całej podniosłości natchnienia, przy bogactwie pięknych i głębokich pomysłów, grzeszy nieudolnością formy, która się mową bogów nazywa«. Pług pisał to w 1893 t. j. przed wzbogaceniem się poezyi naszej nowemi formami ostatniej doby. Sam ks. poeta wyznaje, że starał się »więcej o treść i charakterystykę przedmiotową i podmiotową, niż o formę«. »Ja piszę tylko sielanki dla owiec, gram im na ligawce wierzbowej, aby poznały pasterza swego po głosie i poszły za jego przewodnictwem«. Autor ma przeświadczenie, że forma ważną stanowi cząstkę poematu. Sięga po nakazy w tym względzie do starożytności: błędy gramatyczne poprawia podług nakazu Arystarcha, wymowę podług Cycerona, zwroty poetyczne podług Horacego. Szkoda. Są to przystarzy prawodawcy dla dzisiejszego twórcy, a poematy ks. Nawarry, pisane przed ćwierćwiekiem, dziś czytają się niby sympatyczna, stara, z lamusu rzeczy zapomnianych wydobyta książeczka, dla której trzeba mieć dużo pobłażliwości, jak dla dobrych starych dziejów i poczciwych starych ludzi. Poemat »Hosanna« pisany w 1885 r., »Alleluja« w 1886, »Emanuel« w 1887 i t. d. Nie o wiele młodsze są: »Triduum«, epopeja mistyczna, »Messyada«, misterya, oraz »Anagogia«. Choćbyśmy jednak i wiek tych utworów poczytali za okoliczność łagodzącą, poezyi w nich ani odrobiny znaleźć niepodobna. I trzeba to mimo żalu bez ogródki powiedzieć. Istotę poezyi stanowi namiętna i żywotna myśl lub potężne i porywające uczucie, które (jedna i drugie) posiadają własną architekturę i wzbogacają ziemię nowem zjawiskiem. Myśl lub uczucie i forma są sobie równe, lecz pierwsze wyprzedza formę. Na usługi twórczego procesu, w którym żywotna myśl i głębokie uczucie przeobraża się w kształtny poemat, przyroda dostarcza twórcy symbolów, a on je wybiera, jak bogacz w skarbcu klejnotów, szlifuje i układa z nich lśniące, stubarwne, melodyjne arcydzieło. Niepodobna oddzielać treści od formy; nie można wyobrazić sobie, aby dla wzniosłej treści prawdziwy poeta użył lichej formy; któż brylanty oprawia w ołów lub żelazo? »Rym sonetu — powiada Emerson — powinien być niemniej wdzięczny, jak regularnie po sobie następujące skręty muszli«. Chociaż tedy zacne intencye towarzyszyły ks. Nawarra, to jednak ani »ideały« nie mają intensywności i głębi mistycznej, ani też oprawa nie jest kosztowną. Zacna intencya nie czyni poety, gdy się rymuje tak:

... będę błagał Najwyższego Dobra!
Aby zastąpił moje niedostatki;
By Jego ręka w dobrodziejstwa szczodra,

Obsypała Go w jak najlepsze datki.
A będę sławił Jego piękne czyny,
Z nich się ułożą zwrotki poezyi;
Potem ten wieniec dam na imieniny!
W hołdzie należnym dla Excellencyi.

Czyż trzeba tu jeszcze dodawać, że błagać w języku polskim rządzi przypadkiem czwartym, nie drugim, że pierwsze Jego odnosi się do Boga, drugie do Biskupa, skąd powstaje nieporozumienie, że obsypywać kogoś w datki nawet we wierszach nie uchodzi, że dobra wcale nie rymuje się z szczodra, ani też poezyi nie rymuje się z excellencyi, że we wierszu polskim akcent rytmiczny musi się godzić z akcentem wyrazowym, gramatycznym, w przeciwnym bowiem razie powstaje taka kakofonia, jak poezýi i excellencýi. Jeżeli dodamy do tego, że ks. Nawarra bez skrupułu rymuje gramatycznemi końcówkami, jak: przypomniała — umiała (str. 14), dyktuje — winszuje (15), nakazują — powodują (15), miłości — prawości (15), mają — znają (34) i tak dalej bez końca, że dowolność posuwa do rymowania: Mojżeszem — z kretesem (35), ministrze — w taitrze (93), że cebulę nazywa poranną, a chłód letargicznym, jakoby to były epitety ozdobne, że zamiast rzeczownika okrucieństwo używa okrutność (34), zamiast grzebią używa grzebają (67), zamiast trzy dni uroczyste pisze trzy dni uroczystych i t. p., — to nie zawahamy się wydać o tej poezyi surowszego wyroku, niż sąd Adama Pługa. Czytam np. w »Messyadzie« kuszenie szatana, który mówi:

Iszkarioto, powolny Judaszu!
Biedny, biednego Chrystusa ministrze,
Niemasz podobno pieniędzy w taitrze.
Słuchaj mię — jeno nie trać chwili czasu;
Wydaj mym sługom twego Uczyciela,
A będziesz ze mnie miał powierzyciela.

Lat temu dwieście przezacny katolicki poeta, Wespazyan Kochowski, w swoim poemacie p. t. »Chrystus cierpiący«, któryto poemat także niczem innem nie był, jak jedną z messyad polskich, w tych słowach zwracał się do ludzi, utyskując nad nędzą Chrystusa a wygodami życia ludzkiego:

O delikacie,
Za cię to, za cię
W tych Jezus szrankach;

A ciebie nęci
Piernat łabęci
W złotych firankach,
Dla twojej dumy
Takie perfumy
Znosić obiera;
Twój przy żybetach, (wonności)
W miękkich się betach
Ścierw rozpościera i t. d.

Każdy mi przyzna, że dopóki nasze religijne uczucia i myśli w taką się przystrajają szatę, jak w wymienionych dwóch messyadach, nie porwą one, nie zachwycą i nie zbudują nikogo.

W zupełnie innym rodzaju jest liryczny obrazek poezyi Franciszka Ksawerego Pusłowskiego p. t. »Wigilia«. Składa się on z kilku nokturnów, kolędy, kilku psalmów i niezatytułowanych poemacików, a największym ich brakiem jest to, że »posągom jego myśli braknie ciała«, i to, że szereg tych myśli wbrew zapewne zamiarowi poety, nie układa się w spójną całość, i to, że w nagromadzeniu abstrakcyjnych niby-symbolów gubi się doszczętnie klucz do zrozumienia całości. Po dedykacyi i przedśpiewie w poemacie niezatytułowanym, maluje duszę, która klęka w prochu i we łzach trwogi przesuwa przeszłość winy, opłakuje grzechy młodości wobec siebie i wobec narodu. Nokturn pierwszy — to niby zeznanie winy, niby echo skargi; nokturn drugi już zawiera akcenty uczucia gniewnego względem Boga. W trzecim nokturnie informuje, że stracił łaskę Bożą, że wyciąga dłonie do Boga, gdy w słońcu monstrancyi obchodzi włości, ale dwie strofy kończy za pytaniem: »Panie i kędyż się kwapisz?«, a to zapytanie nie wiąże się logicznie ze wskazaną treścią, zwłaszcza w ostatniej strofie, boć trudno wyrozumieć, dlaczegoby Bóg w monstrancyi skwapliwie od grzesznika uciekał.

Wogóle, wyłączywszy piękny piąty nokturn i kolędę, liryka religijna tego poety, zebrana w tomik »Wigilia«, czyni wrażenie uczuć niedość jasno uświadomionych i myśli niedość wyraźnie skrystalizowanych.

Myśli znów zebrać trudno — wiry, prądy,
Przepadające, wznoszące się lądy,
Gwiazdy toczone na warsztatach mgławic...

Owóż ta trudność zebrania myśli powoduje wszystkie następujące czasem nader dziwne zjawiska. I jeszcze jedno. Poezye Pusłow-

skiego starają się nie o to, żeby były jasne dla czytającego, lecz o to, żeby jak najmniej ludzi zrozumiało je. Dla przykładu biorę jeden z ładniejszych i łatwiejszych »Przedśpiew«:

Jak powrót do domu ojców,
Gdzie czeka matka
I sen młodych lat —
Jak chwała srebrnych ogrojców,
Gdy okiść rzadka
Dzierzga baśni świat;
Jak biały kołysze kielich
Strojniejsza lilia
Nad blask świetnych miast;
Wśród chóru kolęd anielich
Idąca wilia
Strząsa szrony gwiazd...

To cały wiersz. Zasadniczy obraz, jak to łatwo każdy spostrzeże brzmi: wilia strząsa szrony gwiazd. I to jest przenośnia zawiła. Kiedy Słowacki w »Kordyanie« powie:

Ten staw odbite niebo w sobie czuje
I myśli nieba błękitem;

kiedy Tetmajer powie:

Nad trupem krąży krzyk, wskróś nieba wbity,

to są również zawiłe przenośnie. Lecz ci poeci, doskonale zdając sobie sprawę z ich zawiłości, nie gromadzą koło nich nowych porównań, przenośni i symbolów. Przeciwnie Pusłowski. Zgrupuje koło wilii jeszcze trzy złożone porównania: wilii do domu ojców, gdzie czeka matka i sen młodych lat, wilii do wyśnionych srebrnych ogrojców, wilii do lilii, strojniejszej nad »blask świetnych miast«. Piętrzy się zatem potrójna piramida porównań — i gaśnie bez śladu kaganek myśli czy uczucia. Jeszcze to dobrze, gdy przenośnie i porównania wzięte są ze sfery przyrody, lecz gdy się porównują w taki nastrzępiony sposób abstrakty, wówczas nieodbicie nasuwają się pamięci karcące przestrogi Mickiewicza: gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur nic nikt nie znajdzie [1]. Gorzej jeszcze niestety z rymami. P. Pusłowski rymuje: żużel — użal, gość ją — miłością, szarpiesz — farbierz, o grób — pokrop, oprą — dobro, oścież — moździerz, tra-

[1] Korespondencya M. t. III, str. 148.

kty — jak ty i t. d. Czyż nie lepiej pisać wierszem tylko rytmicznym, niż tak kaleczyć i naciągać rymy?

Toż samo nieraz mozolne uświadamianie stanów duszy i taż sama niedbałość formy z tą różnicą, że jest zapewne bezwiedna, cechuje zbiór Józefa Atanazego Rogrona p. t. »Wieczne nowiny«, księga pierwsza religijnych poezyi, pod których tytułem już zapowiedziane są dalsze księgi: »Ciernistą drogą« i »W progi wieczności«. W poemacie »Baal-szem« chór jezior i rzek żali się:

Jak trudno głąb zbadać własną!
Jak trudno treść pojąć ziemi!
Blaski co chwila w nas gasną,
Mrok skrzydły skryje nas swemi! (75)

Ale p. Rogron z pewnością łatwo pisze i rymuje. Nie brak mu swady, choć często brak ścisłej kontroli nad potokiem słów, przeznaczonych na szatę dla myśli i uczuć. Myśli i pomysły przeważnie pospolite, uczucia nie głębokie i nie silne. Jeżeli zdrój poezyi sięga głębokich nurtów duszy, to nie rozpływa się na mieliznach, błyszczących dnem żółtego żwiru i symbole cudowną w blaskach gromadą narzucają się wyobraźni i pamięci twórcy, który starannie dobiera z nich najpiękniejszych i najpodatniejszych. Lecz Rogron nie dobiera. U niego pospolitość zwrotu odejmuje myśli siłę i wyraz; u niego niedbałość rymu graniczy z trywialnością:

Czy mię dreszcze światłości, ciarki przeogniste
Chcą już spalić i stopić serce moje czyste?

Jak mogły z gwary pożyczone ciarki w »Nowinach wiecznych« nie ukazać poecie swego banalnego brzmienia? W sonecie »Zorze« mówi o Matce Boskiej:

Wieczorem, świtem lśniące arabeski
Na płótno — niebo nakłada: tła miąsz;
O duchu! koło Madonny tej krąż,
Z której się Oczął leje czar niebieski!

Jak mógł poeta religijny zgodzić się na poufałość ostatniego wiersza? Książka jego dowodzi znacznego oczytania. Zapewne też zna poemat Lenartowicza p. t. »Błogosławiona« i pamięta, z jak subtelnem poczuciem tego, co się godzi a co się nie godzi, prawdziwy poeta w obrazie wędrówki świętych z Błogosławioną do niebiańskiego przybytku Bożej Matki powstrzymał się od materyalnego opisywania Jej,

mówiąc tylko o blasku i o przeczuciu. Tymczasem p. Rogron nawet może w dobrej wierze prawi o czar lejących oczętach, przez zdrobnienie ostatniego wyrazu trywializując i gasząc poczucie świętości. Jak może religijny poeta godzić się na takie igraszki i figle, jak np. »Modlitwa« na str. 93, lub »Z systemu płanetarnego«? (str. 54) Mogłoby się zdawać, że uczucie religijne nie znosi bawidełek; p. Rogron atoli w dobrej wierze i przy pewnej łatwości konceptu nie zadaje sobie trudu surowej samokrytyki, uważając każdy pomysł za dobry. Typowym przykładem tego zaniedbania może być wiersz »Święty«, »Zgubiony kluczyk«, »Iluminacya«, »O duszy mojej i duszy bliźniego mego«. Oto sonet »Wschód słońca«:

»Ja pierwszy dzisiaj zejdę«, rzekł Promyk-Aniołek,
»Ja pierwszy«... »Nie... ja pierwszy«... krzyczy inne bobo.
»Ja dzisiaj mam pierwszeństwo kochanku przed tobą«,
Woła inny, Słoneczku skacząc na podołek.

»Cicho .. Cicho Aniołki, bo Noc zaraz kołek
Jak smoła czarny wzniesie... zbije... tknie chorobą...
Może znowu na przekór Bóg chmurek żałobą
Zamknie ziemię. Noc idzie!! Widać jej tobołek...

Wy Aniołki, co w ludzkie wpadacie okienka,
Idźcie najpierw! Wy polne — później odrobinę
Zejdźcie na dół w tęcz awan i aryengardzie.

Lecz źle mówię: rozkazu mego treść mię nęka:
Razem. huczną gromadą, jasną strojąc minę,
Hurmą zlecieć ulewną, mroki mając w wzgardzie.

Mniejsza już o banalność i dziecinne wyobrażanie sceny niebieskiej, w której Bóg przekornie chmur żałobą okrywa ziemię, autor zaś radzi aniołom w wzgardzie mieć tę akcyę Boga. O wiele gorzej jest, że myśli nie można wykrzesać z sonetu; o wiele gorzej, że piękna brak sonetowi; o wiele gorzej, że rymy: podołek — kołek — tobołek są ordynarne; o wiele gorzej, że nie rozkazu treść nękać powinna poetę, ale sensu brak, ale malowniczości brak w takich przenośniach, jak podołek słońca, tobołek nocy, czarny kołek nocy. Trzeba jeszcze wiele, wiele pracy włożyć w wewnętrzne wyrobienie uczuć i myśli, trzeba jeszcze wiele trudu włożyć w ukształcenie i uszlachetnienie formy, zanim poezye p. Rogrona będą mogły stać się godnemi tych aspiracyi, jakieby osiągnąć pragnęły.

III.

Pierwszy tomik Gabryela Tadeusza Hennera p. t. »Resurrectio carminis« pozwala dobrze wróżyć o poecie. Jest myśl w układzie książki: na czele idą miłosne marzenia i śpiewy; za nimi smutki i wątpliwości. We wierszu, matce poświęconym, pyta żalu pełen: dla czego giną sny złote? Szedł szukać zaczarowanej królewny, a znalazł zawód, ból i tęsknotę. To też skarży się:

Przede mną leżą zwiędłe kwiaty —
siedzę i płaczę...
Za oknem nuci wichr skrzydlaty
piosnki tułacze...
Za chwilę wspomnień blade roje
znowu obaczę...
Znużony biorę skrzypki moje
i gram i płaczę...

Oto smętna dusza prawdy łaknie. Oto przejmujące jej westchnienia i szlochy. Nie są to pozy pełne, sztucznie robione nastroje, lecz szczere i proste zwierzenia duszy. Nawet wówczas gdy poeta mówi:

Bom ja jest dzwon
w opuszczonej wiszący wieżycy,
bom ja jest dzwon,
co ma kiedyś zwać lud do świątnicy —

nawet wówczas nie pozuje. Stąd wcale nie wypływa, aby w tych p. Hennera pierwszych próbach nie było pewnego wzniesienia się na koturny (W a m...); jednak naogół młody poeta uświadamia i ocenia własne religijne porywy wiernie a wyraża je pięknie. Nawet nie tylko własne. O ile śliczne są w swej cichej, rozjaśnionej i radosnej wierze takie poemaciki, jak IV, V z cyklu »Ave crux«, o tyle objektywne przeniesienie się w duszę inną, jak np. w lirykach »Mnich mówi« lub »Mniszki« świadczy dodatnio o talencie odtwórczym poety. Wynalazczość i misterność techniki wierszowej jak na pierwsze próby nie pozostawiają wiele do życzenia i wróżą jeszcze wyższy lot z czasem w miarę pogłębienia się myśli i uczuć oraz wzbogacenia się pamięci doświadczeniami przeżycia.

Książka, do której lubię często wracać, nie celuje również skarbami przeżytych uczuć, jest bowiem zbiorem »Wierszy i prozy« szesnastoletniego poety, Janusza Bednarskiego. Chociaż zgasł przedwcześnie,

to jednak plon jego ducha uwięziony w kartach książki z pietyzmem przez rodziców i ułożony nader starannie przez d-ra Józefa Ujejskiego, pozostanie wiekom idącym na świadectwo, jak cudownie wyszlachetnieć może w toku lat niewielu dusza ludzka, gdy dąży wciąż bez zboczeń i obłąkań się ku wyżom ideału. A dusza ta od zarania pogrąża się w rozumieniu siebie, swego stosunku do świata i do Boga; surowa w samokrytyce, wytwarza w sobie miłość ku ludziom i Bogu, usiłuje rozszerzać wciąż koło umiłowań, napawa się ambrozyą myśli wielkich i uczuć szlachetnych. Odkrywa w sobie coraz więcej duchowych skarbów, które pragnie z dna własnej indywidualności na jawę wywieść i do działania nakłonić. »Mam już taką naturę — pisze młodociany apostoł — że jak cokolwiek dobrego się nauczę, to tak długo nie mam spokoju, aż kogoś nie nauczę tego samego«. »Jakaż to rozkosz — pisał na krótko przed śmiercią — odkrywać coraz nowe stany duszy, rozumieć zawsze swoje uczucia, umieć wyrażać myśli, umieć patrzeć i umieć widzieć, umieć kochać i umieć czuć, a wreszcie umieć napisać wszystko to, czego się doznało«. Wie, do czego dąży, czego pragnie. Nawet z chłodnym nieco krytycyzmem — jak się wydawca bardzo trafnie wyraził — obserwuje duszę własną. I ten dziennik, po części doskonale wyzyskany przez d-ra Ujejskiego, musi zawierać niezawodnie rozleglejszy materyał do poznania niezwykłej natury poety. Jeśli porównamy młodzieńcze listy Zyg. Krasińskiego, który do Gaszyńskiego zaczął pisać w wieku o kilka lat starszym, znajdziemy ten sam ton poważnie uduchowiony, ten sam krytycyzm spokojny i głęboki. Krasiński wnet w genewskim swym okresie zapłonie namiętnemi uniesieniami i zaleje karty listów potokiem wrzącej lawy. Słowacki w latach dwudziestu pięciu życia określi swój ideał słowami:

Serce mieć pełne ognia, zimne jak grób lice
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

Janusz Bednarski, duch wysokiego lotu i do wielkich powołań przeznaczony, jeszcze nie przeżył żadnych namiętnych uniesień. Wrota wieczności otwarły się przed nim, zanim rozkosze i cierpienia duchowych przełomów zdołały mu pobróździć i poorać duszę, przekroczył bramę śmierci czysty, piękny, jednolity, choć nie tak bogaty zasobem doświadczeń życiowych, jak tamci. Dlatego lubię wracać często do tej książki, gdyż obcowanie z anielskim jej duchem przenosi mię w krainę ciszy, światła i duchowej pogody. Nie przeczę, że w lirykach znajdują się tu i ówdzie jakieś skargi, że nawet w »Trzech strunach« zapewnia, iż nigdy nie pęknie struna, która »łzami śpiewa i o łzy woła«,

chcę atoli zaznaczyć niepokalaną jasność uczuciowych walorów tej poezyi, brak zgrzytów, zwątpienia, niewiary, rozigranych namiętności, bluźnierczych okrzyków. Z poezyi lirycznych za najpiękniejsze uważam »Pieśń nieznaną«, »Miałem ja ciszę«, »Lecące liście«. We wszystkich wyobraźnia tworzy cuda barw i kształtów; we wszystkich uczucie żywotne i silne przejmuje czytelnika. Nadewszystkie jednak pięknym jest poemat »Młodość«. W żywym, rytmicznie pięknym wierszu opiewa szczęście »jasnej i cichej« młodości, burzliwe swe marzenia późniejsze kończy modlitwą:

A chcecie widzieć kościół mego Pana?
Spójrzcie! Filary — to dębów gromady,
Posadzka z kwiecia utkana,
Z tęczy — arkady;
Lampy z korali, na każdym filarze
Z kryształu szyba barwiona,
Z róż baldachiny, a z głazu ambona,
Ze słońc ołtarze!
W tym najpiękniejszym kościele
Modlę się często i wiele!
Dzięki Ci, Panie, za młodość tak świętą
I taką szczytną,
I za pieśń każdą, ze serca wyjętą,
Co lśnią i kwitną.
Dzięki Ci, Panie, za natchnień potęgę
Wielką i ciemną,
Dzięki Ci, Panie, żeś przyrody księgę
Otwarł przedemną,
Żeś mię na wielkość stworzył i śpiewanie
Dzięki Ci, Panie!

Ale największe są i najoryginalniejsze trzy utwory: »Wawel«, »Litania do św. Stanisława« i »Trzy Hostye« — misteryum. »Wawel« jest rojeniem o Polsce w katedrze św. Wacława, jest szeregiem modłów za Polskę śród jej świętości, jest stwierdzaniem wiary w zmar twychwstanie Polski. W »Litanii« bogobojna dusza młodzieńcza tworzy patryotyczno-religijne wizye i snuje na kanwie litanijnego akordu modły za ojczyznę.

»Trzy Hostye« jest to misteryum z prologiem, intermedyami, posłtudyum, na dni i zmiany podzielone, z uwagami poety na końcu. Rzecz dzieje się w 1443 r. Historyczne tło tworzy legenda o powstaniu kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu. Żyd namawia sługę Magdę do kradzieży Hostyi św.; kłują je w piwnicy, a gdy krew się z nich

sączyła, zakopali na łące. Wybucha straszliwa burza, trzęsienie ziemi które niszczy żydowskie domostwa. W czasie procesyi Magda publicznie zeznaje zbrodnię. Równocześnie przybywa do klasztoru król Władysław Warneńczyk i błogosławiony przez kardynała — jedzie na Turków.

Wyobraźnia poety nader zręcznie splata materyał legendarny i ludowy z wymyśloną tkaniną śmierci wiedźm i czarów; poeta umie rozwinąć akcyę żywą i dramatyczną, umie kreślić wydarzenia silnie i plastycznie, n. p. burzę i zniszczenie dzielnicy żydowskiej; umie także z wdziękiem namalować idylliczny obrazek igraszek dziecinnych na kwieciem tkanej łące lub czarujące dyskusye babuni z wnuczką; lecz także, gdy potrzeba, umie nadać uczuciom i myślom brzmienie podniosłego hymnu, n. p. w drugim lub ostatnim chórze intermedyalnym. Rozmaitość odtwarzanych nastrojów, szczęśliwe przeplatanie tego, co jest »buffon« z tem, co jest »sublime«, świadczy bardzo dodatnio o skali niepospolitego talentu. Dość przeczytać rozmowę śmierci na kościelnym chórze przed katastrofą, aby nabrać przekonania, że się ma do czynienia z dużym talentem. W drobnych rysach tu i ówdzie wzorował się poeta na Słowackim czy na Kasprowiczu; jakiś drobny szczególik formalny mógłby być tu i ówdzie udoskonalony. Natomiast pomysł całości, układ jej, główne dzieła sprężyny, zasadnicze jego motywy pomimo znacznych rozmiarów dzieła (str. 165—282), składają się na całość głęboko pojętą, malowniczą i urozmaiconą, na tle kulturalnem XV wieku szczęśliwie, umiejętnie i stylowo malowaną. Jest to dzieło trwałej wartości w literaturze naszej. Zamykają tę piękną książkę: rozprawka o zabytkach, dziecinne wierszyki i młodzieńcze listy.

Była w tej niezwykłej głowie młoda erudycya podziwu godna. Był on z tych, o których wiemy, że w latach ośmnastu posiedli taką pełnię nauk, do jakiej inni nie dochodzą nieraz w dojrzałym wieku. Czyż dwudziestoletni Mickiewicz nie był profesorem, czy dwudziestoletni Krasiński nie stworzył »Nieboskiej«, Słowacki »Kordyana«, a Ujejski »Maratonu«? Gdy człowiek wcześnie w sobie jedną myśl wielką roznieci, gdy wcześnie znajdzie cel życia i poświęci wspinaniu się ku szczytom każdy życia moment, to mu z młodych źrenic bije blask powagi nad wiek promieniejącej i stworzy z młodu dzieła wiekuistego piękna. Przetrwa też w naszej literaturze i książka Janusza Bednarskiego.

Kilka miesięcy temu wyszedł tom lirycznych poezyi Krystyny Saryusz-Zaleskiej.

Była chwila w naszej literaturze, że ten dział poezyi gorzał blaskami i raz w raz pojedyncze promienie, jak lśniące meteory, za chwytem napełniały serca. Mówili nam o dziejach swojej duszy Miriam, Tetmajer, Rydel, Żuławski, Staff, a przedewszystkiem Kasprowicz. Dzisiaj milknie chór śpiewaków duszy. Ozwie się nieśmiało w odstępach dwuletnich jeden głos lub drugi, ale jakby w pustkę płynął, gaśnie niebawem. Nowi śpiewacy nie bogacą chóru. Cóż za echo wywołać może Makuszyński lub Huskowski?

Nie dziwmy się, że w miarę ubywania dźwięcznych i donośnych głosów z chóru, rzesza słuchaczy maleje i ci, których do głębi poruszał interes dla lirycznego śpiewu, tracą dlań złotą nić zrozumienia. Trzeba często w strunę serc uderzać, trzeba wołać żywych, budzić martwych, kruszyć gromy, aby drętwość dusz ustępowała głębokiemu wzruszeniu.

A p. Zaleska talentem należy do owego chóru i tom jej najnowszy — to skarbiec przepięknych klejnotów liryki.

Na czele tomu cykl: »Z naszego kraju«. Wśród przygodnych i rodzajowych wyróżnia się poemat »Rezurekcya na Wawelu«. Jest to symfonia uczuć i myśli uroczystych, głębokich, rzewnych i radosnych, obudzonych w bogobojnem sercu tokiem wspaniałej uroczystości katolickiego obrzędu. Oto idzie procesya:

Ku nam łuny się zbliżają, pełzną na sklepienie,
I po stropach gdzieś kolebią kolumn wielkie cienie
I lunęła nam pod stopy światłości ulewa —
Niesie ku nam świętość światów, ów tłum, który śpiewa,
W szarej szacie pokutniczej średniowieczni święci,
Już pod nimb swój pochyleni idą wniebowzięci.
Idą młodzi akolici, w złotogłowiach księża,
Idzie złoty, podniesiony krzyż, który zwycięża,
Idą srebrne kadzielnice, idą kadzidł dymy,
Idą na twarz upadając w proch, cienie olbrzymy.
A nad wszystkiem i nad wszystko wyniesiona płonie
Biała hostya, podniesiona w monstrancyi koronie.

Prawda, że rytm przypomina cokolwiek »Pogrzeb Kościuszki« Ujejskiego; niemniej atoli poetka, nadzwyczaj czuła na melodyjność rytmiki, doskonale stosuje zmiany rytmu wierszowego do zmieniających się stanów uczuciowych, które obejmują rozległą skalę. Drugą część tego cyklu tworzą krajobrazy rodzinne, a nad nie nic piękniejszego nie znam. Pani Zaleska po mistrzowsku wyczuwa i odtwarza nastrojowe momenty życia przyrody naszej tak, że w wyobraźni i uczu-

ciu czytelnika budzi owe tęsknoty, owe nieujęte smutki i żale, jakiemi jej pierś oddycha.

Oto »Wigilia« we wsi ukraińskiej czy podolskiej z rzędami nizkich chat, tonących w śnieżnej bieli i w modrych, śnieżnych cieniach. A pod milczącą tajemnicą cienia wigilia oczekiwań. Po nocy w radosny ranek Bożego święta spostrzega dziecię wyrzeźbione szyby okien, w których migoce złoty blask słońca. Albo inny poemacik »Sad«. Wpółsenne jabłonie, ciężarem bujnym kwiecia zalane stoją. Rój pszczelny osnuwa je gędźbą. W dole opar kwietny pełen promieni, ułowionych w krople rosy, mieni się cieniem spadających płatków i lżejszym cieniem skrzydełek lecącej pszczoły.

Po dniu słonecznym pracy złotą pszczołę czeka
W cieniu lip rosochatych bezpieczna opieka.
A twój ul? gdzie jest twój ul? gdzie z chwilą zachodu
Złożyć możesz bezpiecznie swoją kroplę miodu?

Albo inny jeszcze poemacik »Echo dnia«.

Szczyty topoli i lip już w sinej pomroczy, gwiazd tylko co nie widać, a echo dnia jeszcze błąka się po lesie. Zorza przedwieczorna trzyma jeszcze w drżących dłoniach ostatki dnia i tuli je do siebie. Zebrała gdzieś na rzecznym ostrowie wilgotną woń mięty, stoi i patrzy zlękłemi oczami. W nizkich haszczach przyczaił się słowik...

odezwie się... zmilknie i nuta za nutą
Z ciszy podnosi, liczy, jak rosę rozsnutą
Lśniące pieśni perełki, zgubione w czas maja.

To są wprost śliczne obserwacye i wyczucia naszej natury, pełne umiłowania i niezgłębionego wdzięku. Do takich utworów należą »Cisza«, »Jar mroczny«, »Zmrok«, a zwłaszcza »Piękność«, cudnie pomyślane wyobrażenie mgłą osnutej łąki, wezbrania wodnych zórz, duszy, idącej przez tę łąkę i rzekę, a dochodzącej do morza — nieskończonej piękności.

Owóż cały ten cykl to szereg przez subtelną naturę poetyczną wynalezionych i w artystyczny kształt ujętych nastrojów naszej przyrody, czasem nie poddających się prawie zwykłej obserwacyi dostrzeżeń, czasem pomyśleń, czasem snów, czasem wrażeń, zawsze indywidualnych ale z tą siłą wymowy, z tą plastyką rzeźby, z tą brawurą kolorytu przez poetkę oddanych, że muszą właściwe echo znaleźć w duszy czytelnika.

W następnym cyklu »Z obczyzny« przeważają efekty malarskie i muzyczne — bez takiej jak wyżej, skłonności serca i umiłowania.

Są to wrażenia z południowej Europy. Nazwałbym je pastelami, które jaśnieją pełnią gorących barw i tonów. Oto w »Ciszy słonecznej«, czarne cyprysy, złote słońce, giętkie pędy róż, włoski ciemno-lazurowy błękit, w oddali morze a nad niem korowód białych chmur. Pięknym obrazem jest »Ogród«, cudny muzykalnymi efektami wiersza jest »Porzućmy wiosła«, ale najmisterniejszym wydaje mi się poemat »Burza« — oczywiście na morzu.

Wir bezprzytomny, gdzie wszystkie zbiegły szały, wichru pęd, pogwizd, szum, jęk i dzika wściekłość — to akt pierwszy burzy.

Rozbici na morzu i zatopieni w nocy; towarzyszą im: ból, przekleństwo, gniew, bluźnierstwo, wściekłość, prośby i modlitwy. Łodzie strzaskane, żal, nienawiść, wołania o litość — to akt burzy drugi.

Chrystus idzie zbierać i liczyć trupy: jeden podarty o skały, drugi siny i przeźroczysty, inny biały, jak morska piana. Chrystus każdemu usta święte przykłada do czoła. Taki trzeci akt burzy.

Dzień świta zimny, blady. Wschód nasiąka seledynem. Czasem załka rozżalona fala: Pokój im...

Bogata treść i potok wydarzeń dyszy grozą dramatyczną. Forma zaś celuje głębokim rozmysłem artystycznym. Wszystkie środki skupione w tym celu, aby zjawisku natury nadać potęgę olbrzymią. Więc najpierw wiersz odznacza się w miarę potrzeby rozmaitością rytmicznego taktu. Znajdują się tu kombinacye amfibrachicznych czternasto, trzynasto, dwunasto i jedenastozgłoskowych wierszy z różnemi cezurami. Największa atoli część stanowi kombinacyę z dwóch siedmiozgłoskowych amfibrachów i dwóch trochei:

Gdzie gromu | grzmot się | kończy | gdzie grzmot się | fal za | czyna.

Powtóre umiejętne zastosowanie dźwięków natury, spływ twardych lub miękkich spółgłosek, długich lub krótkich samogłosek nadaje wierszowi brzmienie podobne do odgłosów zjawiska w przyrodzie. Onomatopeiczne traktowanie burzy przez Mickiewicza w »Panu Tadeuszu« i przez Słowackiego w »Ojcu zadżumionych«, bardzo piękne opisy burzy Reymonta w »Chłopach« (Jesień) wcale nie ujmują piękności obrazowi p. Zaleskiej.

Po trzecie subtelne przejścia od piana do fortissima, umiejętne stopniowania podnoszą muzykalną wartość obrazu, podobnie jak wrażenie wzmacnia się przez refrenowe powtórzenie czterowiersza:

A wir ten bezprzytomny, gdzie zbiegły wszystkie szały...

Uważam ten poemat za jeden z najpiękniejszych w książce.

Następują bardzo ładne »Królewny«: »Ciekawa«, »Pyszna«, »Biała« i »Dalekie«. Pierwsza grzeszna, druga zła i szkodliwa, trzecia nie dla świata. »Dalekie« te, które ofiarowały żywot doczesny dla przyszłego. Wszystkie pełne niezgłębionej poezyi, urocze jak marzenie. Natomiast poemat »Joanna d'Arc« zawiódł. Zimny jest, ani w odpowiedniej mierze dramatyczny w swym pierwszym akcie. Z »Refleksyi« najcudniejsza refleksya »A to jak się nazywa«, tak podobna w swym smętnym wywodzie czy zawodzie do wierszyka »Sad«. I znów powiem, że rozmyślania na motywy psalmów nie wzruszyły mnie: zarzuciłbym im chłód, zbyteczną abstrakcyjność, jak gdyby przymus rozesnucia tych myśli świętych, którym w ich zwięzłem, orzekającem, nakazowem skróceniu najlepiej.

Ale oto niepodobna bez zachwytu odczytywać cyklu »Ad Te levavi oculos meos«. Najpiękniejsze z tego cyklu są te religijne poematy, w których poetka niczego się nie domaga, o nic nie prosi, na nic się nie żali, słowem jak najmniej wkłada w utwór pierwiastku osobistego, lecz objektywnie przenosi się myślą i wyobraźnią

w odległejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu,

i tam z bogactwem szczegółów, przekazanych chrześcijanom przez ich świętą księgę, przeżywa wyobraźnią, myślą, uczuciem, całą duszą — jakąś chwilę z życia umiłowanego Zbawiciela lub Niepokalanej Jego Matki. Któż z nas nie zachwycał się niektóremi *Méditations* Lemartine'a lub jego *Harmonies réligieuses*. To samo tchnienie melancholijnego rozmarzenia, te same uczucia duszy, próbującej wysokich lotów idealizmu i brzmiącej tonami podniosłej religijnej ekstazy, żywo tętni w tym cyklu. Nie znam w poezyi naszej piękniejszych utworów maryańskich nad te: »Zacznijcie wargi moje«, »I odszedł od Niej Anioł«, »Więc usłyszawszy«, a zwłaszcza prześliczne: »Śpi Józef«, »Z Krzyża odjęte«, »Zmartwychwstanie«, »Roztworzone nad światem są upusty chwały«.

W tym przeglądzie kilku zbiorów lirycznych, w przeważnej części uczuciami religijnemi powołanych do istnienia, z rozmysłu ostatnie miejsce dałem książce p. Zaleskiej. Zgoła nie wyłącznie dlatego, że uważam ją za strumień szlachetnych uczuć, płynących ze szlachetnej polskiej duszy, nie otrutej żadnym niedokwasem jadów obcych, aczkolwiek widocznie i oczywiście oswojonej z wykwintnemi formami liryki swojskiej i europejskiej. Dałem ostatnie miejsce dla zaakcentowania

tego pocieszającego zjawiska w naszej literaturze, że oto wracamy od zgrzytów, okrzyków nienawiści i bluźnierstwa, od litanii szatańskich i apostołowania różnych Prometeuszów — Lucyferów — do Boga swego i potrafimy Go uwielbiać nie tylko nieudolnym, częstochowskim rymem, lecz potrafimy ku Jego czci tworzyć arcydzieła, pełne kunsztu formalnego, pełne ogromnej radości i zbożnego zachwytu. Książka Janusza Bednarskiego i książka Krystyny Saryusz-Zaleskiej pozostaną w literaturze, jako piękne dokumenty tego znamiennego zwrotu naszej liryki.

Antoni Mazanowski.

Z piśmiennictw obcych.

Beati Petri Canisii S. J. Epistulae et Acta. *Otto Braunsberger.* B. Herder. Friburgi Brisgoviae. Vol. V. 1565—1567. (LXXX et 938).

Błogosławionego Piotra Kanizego nazywano często, i bardzo słusznie, drugim Apostołem Niemiec. Zgadzają się w tem zarówno tak przyjaciele, jak i nieprzyjaciele zakonu, że on z pomiędzy Jezuitów niemieckich najwybitniejszą odegrał rolę. Ten wielki rozgłos zjednała mu przedewszystkiem jego wszechstronna działalność. W wielu bowiem krajach z wielkim skutkiem głosił kazania, pilnie i praktycznie wykładał katechizm, długie lata rządził prowincyą Jezuitów niemieckich, bez odpoczynku i wytchnienia wydawał gruntowne i pożyteczne pisma. Papieże, kardynałowie, biskupi, książęta obierali go za swego poufnego doradcę i pośrednika. Do tego przyczyniły się jego świetne obyczajowe zalety: łagodność i stałość, gorliwość o zbawienie dusz, poświęcenie dla Kościoła i papieża, a przy tem wszystkiem roztropność i umiarkowanie. Protestanci ogłosili już dawno autentycznie i krytycznie zebrane listy i dzieła swych rzekomych wielkości, jak Lutra, Melanchtona, Kalwina, Brenza i t. d.; było więc naglącą i pożądaną rzeczą także ze strony katolików, ażeby skromnemu, a tak zasłużonemu Kanizemu naukowy wystawiono pomnik, tem bardziej, że w licznych i dziś dostępnych archiwach znalazło się wiele cennego materyału odnośnie do działalności jego. Jaka jest więc geneza powstania tak monumentalnego dzieła?

Znany historyk Jan Janssen zachęcał gorąco Jezuitów niemieckich do zupełnego i gruntownego wydania wszystkich listów i aktów

Kanizego, bo takie jedynie wydawnictwo może się przyczynić nie tylko do napisania obszernego życiorysu Kanizego, ale i do wyjaśnienia historyi kościelnej, oraz pedagogii XVI wieku. Opracowane i wydane dotąd przez O. Ottona Braunsbergera T. J. ogromne tomy *Epistulae et Acta,* obsypał uczony świat wielkiemi pochwałami, a to uznanie głównie na tem polega, że Braunsberger stanął na wyżynie nowoczesnych naukowych i sumiennych wymagań. »Wydanie to uskuteczniono z chwalebną starannością, tak pod względem samego tekstu, jak i licznych objaśnień w notach. Wydawca opanował doskonale swój przedmiot. W obecnej epoce trudno napotkać drugą osobistość, której biografia opierać się może na tak gruntownych przygotowawczych pracach« [1]. Całe wydawnictwo ma obejmować 8—9 tomów. Od r. 1896—1910 wyszło 5 wielkich tomów, każdy z nich przeciętnie zawiera 1000 stronic druku, a wogóle ukazało się dotąd na widok publiczny 1469 listów Kanizego i 910 dokumentów. Jest to po większej części materyał nieznany i niedrukowany. A cóż dopiero powiedzieć o notach i wyjaśnieniach, nieraz bardzo obszernych? Ileż tam materyału rękopiśmiennego, pochodzącego wprost z pierwszej ręki! Uczone przedmowy i cały krytyczny aparat świadczą o zdumiewającem oczytaniu i niezrównanej pilności badacza. Indeksy alfabetyczne ułatwiają czytelnikowi nie tylko odszukanie miejsc i osób, lecz także wielu innych rzeczy. Nie potrzebuję dodawać, że wszystkie wyjaśnienia w wymienionem dziele są po łacinie pisane. Listy od i do Kanizyusza, jak również dokumenta, podano w oryginale. Najwięcej listów jest łacińskich, wiele włoskich, mało niemieckich. Dzieło to zatem przygotowane jest do użytku uczonych całego świata.

Do wydania 5 tomu, który właśnie pod ręką mamy, spożytkowano 132 rękopisów z 45 rozmaitych archiwów i bibliotek [2]. Między innymi korzystano też z 1 kodeksu Bibl. Jagiell. i z 3 kodeksów Bibl. Czartoryskich w Krakowie. W tej epoce, od lutego 1565 do lipca 1567, był Kanizyusz prowincyałem Wyższych Niemiec, prócz tego kaznodzieją katedralnym w Augsburgu, a w r. 1567 kaznodzieją w czasie wielkiego postu w Würzburgu. Brał udział w drugiej generalnej kongregacyi w Rzymie; wydał w Kolonii swe dzieło: *Summa doctrinae christianae* w poprawnej formie; załatwił z księciem biskupem Fryderykiem w Würzburgu wiele trudnych spraw, dotyczących założenia tamże jezuickiego kollegium; oddał walne usługi w Dylindze kardy-

[1] *Revue historique,* t. 106, p. 367.
[2] *Descriptio Codic.* p. LXVII.

nałowi Truchsessowi na synodzie dyecezalnym, na którym ogłoszono dekreta Trydenckiego Soboru. Dwie następne sprawy są jeszcze donioślejszego znaczenia. W celu ogłoszenia i wprowadzenia w życie uchwał Soboru Trydenckiego, jak niemniej obrony spraw katolicyzmu na najbliższym sejmie w Augsburgu, papież Pius IV w r. 1565 wyznaczył Kanizego, jako tajnego nuncyusza, do różnych książąt i biskupów niemieckich. Wprawdzie śmierć Piusa IV przerwała tę podróż, jednakowoż następny papież Pius V, uradowany z relacyi Kanizego, oświadczył wyraźnie, że takie stanowisko wobec Niemiec zajmie, jak Kanizy proponował. Na sejmie w Augsburgu 1566, zasiadał Kanizy, jako teolog papieski Piusa V, obok Ojców Ledesmy i Natalisa, tudzież księży świeckich: Lancellottego i Saundersa, teologów delegata kardynała Commendoniego. Położenie na tym sejmie nie było łatwem. Stany katolickie, chcąc się zabezpieczyć przeciwko protestantom, domagały się potwierdzenia augsburskiego religijnego pokoju. Pius V polecił Commendoniemu, aby nic nie przyznano, coby sprzeciwiało się Soborowi Trydenckiemu. Czyżby to potwierdzenie, jakiego domagali się katolicy, miało być przeciwnem uchwałom Soboru? Pius V obawiał się; Lancellotti twierdził, że tak. Ale gdyby kardynał Commendone zaprotestował, mogłoby przyjść do zerwania między cesarzem i papieżem, katolikami i protestantami, a nawet do wojny domowej. Przez 14 dni trzech Jezuitów, a między nimi Kanizy, studyował tę kwestyę dzień i noc, z wszelaką starannością i gruntownością, nakoniec przedłożono wszystko na piśmie kardynałowi. Zawyrokowano, że takie potwierdzenie nie jest przeciwnem dogmatom Soboru Trydenckiego, więc obecnie protestu zaniechać należy. Tak się też stało, pokój na razie był zapewniony, przynajmniej aż do wojny 30-letniej. Był to pierwszy sejm od dłuższego czasu, na którym nic nie ucierpiała katolicka sprawa, owszem zyskała wiele wskutek zgody i odwagi.

Cały ten tom zawiera mnóstwo interesujących rzeczy. Wystarczy rzucić okiem na tablicę chronologiczną[1], albo w rejestrze osób na Fran. Borgiasza i Piusa V, a można sprostować niejedno zdanie o tych dwóch wielkich mężach. Zwracam jeszcze uwagę na starania Kanizego w celu nawrócenia hrabiego Ulrycha von Helfenstein i całej okolicy von Wiesensteig, które pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem; dalej na nieznany biografom szczegół, że Kanizy odwiedził w rzymskiem inkwizycyjnem więzieniu protestanckiego studenta, Filipa Camerariusa;

[1] Cf. pag. XLI—LXI.

pokazuje się z tego, że życie w tem więzieniu nie było wcale tak strasznem, jak je przedstawiano nieraz.

Nie była też obcą Kanizemu Polska. Poloni et Polonia spotykamy w rejestrze tego tomu, podobnie jak i w poprzednich wielokrotnie. Z rozkazu papieża Pawła IV towarzyszył Kanizy nuncyuszowi Kamilowi Mentuati z Włoch do Polski, a potem w Krakowie miał mowę łacińską do kleru i Akademii. Odwiedził w Łowiczu prymasa gnieźnieńskiego, był wreszcie na sejmie w Piotrkowie. Uwagi godne są jego sądy o królu Zygmuncie Auguście, o królowej Katarzynie, oraz o episkopacie polskim. Popierał przytem gorąco sprawę kolegium w Brunsberdze, które dla Polski miało wielkie znaczenie. Jezuitów polskich, a nawet synowca prymasa Uchańskiego, napotykamy na studyach w Dylindze. Ścisły węzeł przyjaźni istniał między Kanizym a dwoma znakomitymi biskupami polskimi, mianowicie ze Stanisławem Hozyuszem, biskupem warmińskim, nuncyuszem wiedeńskim, potem kardynałem i przewodniczącym na Soborze Trydenckim; tudzież z Marcinem Kromerem, sekretarzem królewskim, kanonikiem krakowskim, a wreszcie następcą Hozyusza na stolicy warmińskiej. Obydwaj korespondowali z Kanizyuszem, jak to widzimy także w tym piątym tomie. W r. 1555 wydany przez Kanizego Katechizm, drukowano w Polsce aż do r. 1567 przynajmniej 3 razy.

Dzieło O. Braunsbergera, odpowiadające wszelkim warunkom umiejętnych badań, wyjaśnia na szeroką skalę stosunki Niemiec, i wypełnia ważne luki w historyi kościelnej, naprawdę zasługuje na nazwę *monumentum aere perennius*. Samemu zaś autorowi, który z mrówczą pilnością tyle nagromadził szczegółów, szczerze życzymy, żeby jego dzieło znalazło się w rękach wielu uczonych i dotarło do każdej większej biblioteki. W pewnej fabrycznej miejscowości proboszcz, widząc te spore tomy w rękach recenzenta, zapytał go, co z nimi robić zamyśla. Otrzymał odpowiedź: »Gdy zaczynam upadać na duchu a chcę się rozweselić nieco, zabieram się do czytania owego dzieła. Przeczytałem je już od deski do deski i cieszę się naprzód z wydania następnego tomu« [1]. Bądź co bądź »ktokolwiek chce się zajmować historyą Jezuitów i historyą kościelną XVI wieku, nie może pominąć dzieła O. Braunsbergera« [2].

Ks. Jan Sygański.

---

[1] Amicus cf. *Pastor bonus* 1910—1911, p. 369.

[2] *Histor. pädagog. Literatur Bericht.* (Berlin).

Das Gottesbedürfnis als Gottesbeweis den Gebildeten dargelegt von *Otto Zimmermann S. J.* 8-vo (VIII und 192). Freiburg, 1910. Herder.

Potrzeba nam Boga, więc jest Bóg. — Kwestye psychologiczne, to kwestye na czasie. Obijają się o uszy najrozmaitsze doznawania Boga w duszy własnej, wewnętrzne postulaty Boga, potrzeba wiary i t. d. Nic tedy bardziej nowoczesnego, jak chcieć poznać Boga z potrzeb samej duszy ludzkiej. A jednak myśl to nie nowa. Napotyka się na nią niejednokrotnie w dziełach Ojców Kościoła, a św. Tomasz z Akwinu, opierając się na niej, dowodzi jasno z wrodzonej nam potrzeby najwyższego dobra rzeczywistego istnienia tegoż dobra. Ale co nowego w tem dziełku, to ujmujący, nowoczesny sposób przeprowadzenia tego dowodu, to forma dostosowana do ducha czasu. Człowiek upadający niech spoglądnie w duszę własną, a spostrzeże w sobie potrzebę, wskazującą mu źródło szczęścia i podwalinę obowiązku moralnego. Siłą natury dążymy do zupełnego, niczem niezamąconego szczęścia — »czują i mówią to ci najbardziej, co najbardziej ludźmi są i co przemawiają najotwarciej głosem natury«. Ten popęd nie zwodzi nas. Inaczej bowiem przyznaćby trzeba, że innym istotom żyjącym dała przyroda popędy, odpowiadające rzeczywistości, człowieka jeno oszukała, pchając go siłą nieprzezwyciężoną do czegoś, co w rzeczywistości wcale nie istnieje. Lecz bez Boga potrzeby tej nie można w zupełności zaspokoić.

Tak samo wrodzoną mamy potrzebę obyczajności. Najszlachetniejszy to w całej przyrodzie popęd. Lecz jeśli nie istnieje nieskalana świętość, która sama tylko ma prawo zobowiązać mnie do życia moralnego, jeśli niema absolutnej sprawiedliwości, którąby potrafiła przywrócić równowagę w porządku moralnym przez dostateczną sankcyę, to skąd i na co mi popęd do obyczajności? W braku absolutnej a żywej świętości i sprawiedliwości, cała moralna tendencya u ludzi jest tylko nonsensem.

A więc jest Bóg, dawca i źródło szczęścia, jest Bóg, świętość i sprawiedliwość absolutna.

Oto wniosek, wynikający z logiczną koniecznością z przesłanek, które autor po mistrzowsku rozprowadza i uzasadnia, opierając się na licznych świadectwach, wyznaniach i zeznaniach osób o najsprzeczniejszych poglądach. Zarazem wykazuje błędne kroki nowszych filozofów, nie zbywając żadnego z nich półsłówkiem.

Życzyćby należało ściślejszego uzasadnienia niektórych twier-

dzeń filozofii scholastycznej, dziś może nie wszystkim nawet wykształconym całkiem zrozumiałych.

Drobne te usterki nie obniżają niezwykłej wartości tego dziełka, napisanego z ujmującą życzliwością, językiem świetnym, pełnym życia i trafnych porównań i obrazów, ułatwiających uchwycenie oderwanych prawd.

Kogokolwiek zajmują zagadnienia apologetyczne, ktokolwiek pragnie utwierdzić się w ufności do pewnych, niezachwianych podwalin życia, niech bierze i czyta, niech czyta i rozważa, a rozpozna brzmiące w duszy dźwięki z zapomnianej może dawno ojczyzny.

Bruno Wolnik.

Geschichte des Bernardiner-Klosters zu Bromberg. *Ks. K. J. Kantak.* Posen 1909.

Na podstawie wyżej wspomnianej kroniki oraz innych niedrukowanych i drukowanych źródeł, uwzględniając przytem odnośną literaturę, podaje ks. K. pierwszą monografię klasztoru mendykantów polskich i to jednego z ważniejszych klasztorów. Niestety źródła są stosunkowo skąpe, to też czytelnik dozna może pewnego rozczarowania spodziewając się w tej monografii zaczerpnąć wiadomości szerszych, bo klasztor, istniejący od 1480-go do 1829-go roku, niewątpliwie był świadkiem różnych ciekawych zdarzeń życia publicznego, tem więcej, że Bernardyni należą do tych zakonów, które się i na zewnątrz udzielają, wskutek tego mogło się niejedno o ich uszy obić. Pomimo, że według wiadomości nam pozostałych, nie odgrywali oni żadnej wybitnej roli ani w historyi kraju ani też Kościoła, pomimo, że się też i na polu nauki niczem nie odznaczyli, to jednak dowiadujemy się, że mężnie dążyli do wypełnienia swych zadań. Celem zaś ich było pomagać duchowieństwu świeckiemu w duszpasterstwie. Aby temu zadośćuczynić, musieli się zakonnicy starać o mieszkanie, utrzymanie i wykształcenie oraz wychowanie. Stąd też, zdaniem autora, zakres ich działania obejmuje: »duszpasterstwo, studyum i staranie około budowli i utrzymania«. Poszczególne te czynności uwydatniają się mniej lub więcej zależnie od czasu i stosunków. To też w XV i XVI wieku przeważa staranie około wzniesienia i utrzymania budynków klasztornych, w XVII w. zaś praca duszpasterska (r. 1679 obejmują w kościele św. Egidyusza nabożeństwo dla Niemców) i nauka, która w krótkim czasie licznym podlega zmianom. W następnym zaś okresie znów

wypadnie troszczyć się o budowle, które wskutek wojen szwedzkich i północnej znacznie ucierpiały.

Mamy więc przed sobą typ klasztoru i jako taki, przedstawiający różne zdarzenia godne uwagi, które o tyle plastyczniej występują, że znajdują się na odpowiednio podmalowanem tle ogólno-historycznem. Niewątpliwie powinien ten, kto się zajmuje historyą polską, to dziełko przeczytać, aby i na tem polu poznać życie polskie. Ale też i miłośnik zabytków sztuki znajdzie kilka może cennych wzmianek z tej dziedziny; np. na str. 22 jest mowa o antyfonarzu z r. 1499-go pisanym na pergaminie i ozdobionym pięknymi inicyałami. Kronika zaś wspomina, że w 1506 umarł brat Aleksy, który napisał wiele antyfonarzy.

Wobec jasnego i bezstronnego przedstawienia tak dodatnich jak ujemnych stron z życia Bernardynów, możemy wyrazić życzenie, aby autor wytrwał na polu tych badań i obdarzył nas historyą całego Zakonu. — Język niemiecki, użyty przy pracy, tłumaczy się tem, że praca ta jest dyssertacyą.

Ks. J. Kozłowski

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Proces kryminalny Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu. *Prof. dr. Piotr Stebelski.* Lwów 1909. 8 ka. Str. 221.

Na podstawie aktów, zawartych w kilkunastu fascykułach, postanowił prof. Stebelski, jako że sam jest kryminalistą-teoretykiem niepospolitym, odtworzyć tak mało znany proces Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zdradę stanu.

Jakkolwiek rząd austryacki cierpiał stale na deficyt kieszeniowy, przecież nie szczędził grosza na kosztowną akcyę szpiegowską, skierowaną głównie przeciwko przywódcom emigracyi polskiej we Francyi. Tajni agenci uwiadamiali rząd austryacki szczegółowo, ba, nawet drobiazgowo, o stronnictwach emigracyjnych, ich wzajemnym stosunku do siebie, kierownikach akcyi powstańczej, planach na przyszłość i t. p. Skutkiem tak dokładnych raportów był w stanie rząd austryacki sparaliżować od razu zamierzony ruch w roku 1846, który stłumiony w zarodku nie ziścił nadziei w nim pokładanych, t. j. nie zdołał rozprzestrzenić się na całą Polskę, ani nawet bodaj na zabór austryacki. Na podstawie relacyi paryskich uwięziono też rychło widomą głowę powstania — Teofila Wiśniowskiego.

Nie miejsce tu streszczać obfity materyał dokumentarny. To jednakowoż stwierdzić musimy, iż z pośród średniej warstwy narodu rekrutowali się najliczniej ochotnicy-powstańcy, a więc przedewszystkiem oficyaliści

prywatni, młodzież uniwersytecka i robotnicza. Szlachta, zniechęcona radykalnym programem Towarzystwa Demokratycznego paryskiego, trzymała się na uboczu, lud zaś, trzymany dotąd w ciemnocie, podjudzony przez wszechwładną biurokracyę, łudzącą go obiecankami, niemożliwemi do spełnienia, wystąpił wrogo przeciwko ruchawce.

Co gorsze?... To, że tylu zdrad, tylu denuncyacyi haniebnych, czynionych z prostej chęci schlebiania rządowi absolutnemu, zdrad podłych i brzemiennych w skutki, napróżnobyśmy szukali w całych dziejach naszych porozbiorowych. A z powodu tych fałszywych donosów zmarniało niejedno życie ludzkie!... Wprost wstręt ogarnia człowieka na widok tak strasznej deprawacyi moralnej, gdzie nie za miskę soczewicy chociażby tylko, ale całkiem za darmo i najniesłuszniej w świecie »brat zabił brata«... Przechodząca pojęcie zdrowego człowieka okropność!...

Ale też mamy tutaj błysk jasny, jaśniejszy, niźli gwiazdy wieczornej, śmiałe, prawe, męskie, niekłamane zeznania Teofila Wiśniowskiego, wobec których sama komisya śledcza, złożona z zdeklarowanych wrogów wszystkiego, co polskie, zamilkła z uszanowaniem, skoro wyraziła się o Wiśniowskim, iż jest on »człowiekiem niezwykłych zdolności, o bystrości i darze oryentacyjnym, przechodzącym zwykłą miarę... i sile woli, łamiącej wszelkie przeszkody«. Tak chlubne świadectwo wydali o bohaterze polskim zdecydowani jego wrogowie.

Dla nich musi się mieć szacunek, bodaj jako dla wrogów otwartych. Nie byli Polakami, nie mogli wniknąć w pobudki czynów Wiśniowskiego! O ile szlachetniejsi są oni od tych »braci-rodaków«, którzy zdradzili incognito Wiśniowskiego lub plwali przed sądem nie-polskim na to, co wówczas było ideałem najszlachetniejszych synów Polski. Mimowoli cisną się pod pióro słowa Jeremiego: »Mnóstwo Kainów jest pośród nas!«

Dr. St. Z.

Lwów w roku 1809. *Dr. Bronisław Pawłowski.* (»Biblioteka lwowska«, tom III). Lwów 1909.

W setną rocznicę zajęcia stolicy Galicyi przez wojska polskie W. Ks. Warszawskiego opublikowano rozprawę, napisaną na podstawie źródeł archiwalnych. Autor miał już poprzednika w tym kierunku. Przed laty dwudziestu, w wydawnictwie im. St. Staszica, ukazał się był tomik niewielki pod analogicznym tytułem pióra St. Kunasiewicza. Ale podczas gdy Kunasiewicz, jako dyletant, popełnił mnóstwo niedokładności i błędów, znany z prac swoich młody historyk dr. Pawłowski nie tylko ich uniknął, ale, co ważniejsze, nie poprzestał na źródłach drukowanych, lecz sięgnął do tyle ważnych aktów, przechowywanych w archiwach c. k. Namiestnictwa, do dokumentów i relacyi urzędowych. Na ich to podstawie skreślił barwny obraz wypadków, które do głębi wstrząsnęły mieszkańcami Lwowa na widok orłów polskich i wojska polskiego, które miało ich uwolnić z pod presyi germanizmu.

Wartość tomiku tego podnoszą wielce liczne i udatnie wykonane illustracye widoków ówczesnego Lwowa oraz wybitniejszych osobistości, żołnierzy polskich i t. d., reprodukowane ze sztychów, dziś będących rzadkościami.

S. Z.

Sztuka życia czyli rady przeciwko śmierci. Napisał *Prentice Mulford.* Tłumaczył i przedmową zaopatrzył Tadeusz Zubrzycki. Lwów 1910. Maniszewski. 8-ka. Str. 136.

Książka ta powinna się według życzenia tłumacza stać dla społeczeństwa polskiego »niejako dogmatem wiary w lepszą przyszłość«. Dziwnie oczarował go autor, dziennikarz amerykański, skoro jego wywodom przyznaje tak doniosłe posłannictwo. Prentice Mulford należy do marzycieli, którzy suggestyi i marzeniu przypisują zasadniczą rolę w odrodzeniu społeczeństwa i zdobywaniu nieśmiertelności ciała. Jego książka jest mieszaniną poglądów materyalistycznych i spirytualistycznych (w znaczeniu medyumistycznem), chaotycznem zestawieniem zdrowych myśli i niedorzecznych przesad, budzących uśmiech politowania u ludzi, którzy zachowują jeszcze chłodną rozwagę. Zapatrywania Mulforda mają wielkie podobieństwo z amerykańskim ruchem religijnym, znanym pod nazwą *Christian Science,* i otwarcie zdradzają tendencyę religijną. Wystarczy przeczytać tylko ustęp o »kościele milczącego pożądania«, by poznać całą karykaturę religii, jaką stanowi zalecany przez Mulforda surrogat prawdziwej wiary. Ten kościół ma być »domem zdrowia, potężnym przewodnikiem duchowych prądów, miejscem napełnianem wciąż najwyższym duchowym eterem, który wytwarzają myśli zostawione tam przez modlących się« i t. d.

Wierzący katolik z boleścią spostrzega w książce Mulforda usiłowanie zastąpienia wzniosłych idei chrześcijańskich przez mgliste marzycielstwo. Dusza ludzka z natury swej jest chrześcijańską — to udowadniają zapożyczone z religii chrześcijańskiej motywy Mulforda,— ale czemuż mamy się zapalać do tak niedorzecznej karykatury prawdy, skoro Chrystus pełną prawdę złożył w Kościele katolickim?

Wzmaga się boleść, kiedy widzimy, że książka Mulforda została jeszcze w innym przekładzie wydaną w Warszawie przez Stanisława Michalskiego. Ostatni przekład właśnie doczekał się już trzeciego wydania (11 tysiąc). Ten fakt świadczy wymownie, jak dalece już w sferach inteligencyi zaginęła prawdziwa wiara, skoro się tak chciwie uganiają za nędznym surrogatem.

Siłę woli, o którą walczy Mulford, zdobywa się twardą pracą nad sobą, nie marzeniem. Pomijam dziwaczne spirytystyczne pomysły o prawie małżeństwa. Narodowi życzę z głębi duszy, by nie zapomniał o zdrowym rozsądku i nie popierał zabobonu Mulforda.

Pod względem językowym przekład A. Zubrzyckiego nie przedstawia się lepiej od treści.

E. M.

Czy będziemy żyli po śmierci? Napisał *dr. Angelo Brofferio,* prof. filozofii na uniw. w Medyolanie. Kraków 1908. 8-ka, str. 28.

Wydawca bezimienny tej broszury dodaje od siebie sympatyczną uwagę, że nie godzi się bezwarunkowo z odpornem stanowiskiem autora względem katolicyzmu i dogmatów naszego Kościoła, ale przyznaje dziełku miejscami wielką trafność sądu obok oryginalności poglądów. Ocena taka jest słuszna, bo jakkolwiek zjawiska spirytystyczne nie dowodzą naukowo nieśmiertelności duszy, to jednak nie można zgoła zaprzeczyć, że istnieją także fakty ukazywania się zmarłych, oczywiście nie na zawołanie medyów, lecz dla celów wyższych i za pozwoleniem Bożem. Brofferio porusza także

szereg rozumowych racyi, które dowodzą, że bez życia po śmierci niepodobna sobie zdać sprawy z celu i warunków ziemskiego istnienia, np z niesprawiedliwego na pozór podziału uciech i cierpień. *E. M.*

Książeczka o życiu pośmiertnem. *Gustaw Teodor Fechner.* Z VI wydania niem. przełożył B. Mączewski. Przekład przejrzał i wstępem zaopatrzył Kazimierz Twardowski. Lwów — Warszawa. 1907. 12-ka. Str. 114.

Mamy tu przed sobą przekład książeczki o życiu pośmiertnem, napisanej przez twórcę psychofizyki, Fechnera. Cenne to dziełko, nie dlatego, że, jak mniema prof. Twardowski, »podaje wykształconemu ogółowi zaokrąglony, wiedzę i wiarę godzący pogląd na świat«, ale dlatego, że jest nowym dowodem starej prawdy, znajdującej się w nieskazitelnej czystości tylko w wierze chrześcijańskiej. Fechner zbliża się do tej prawdy, do osiągnienia jej brak mu było podstaw dogmatycznych. Psychofizyka Fechnera wykrzywia idee życia pozagrobowego i nie wytrzymuje krytyki naukowej. Stąd też prof. Billroth, któremu zawdzięcza Fechner pierwszy pomysł do idei tu wyłożonych, konsekwentnie »zwrócił się w nauce o nieśmiertelności w kierunku, który bezpośredniej łączy się z dogmatami kościelnymi« (str. 111).

E. M.

Czy człowiek żyje po śmierci? Według *dr. F. Hartmanna* streścił S. B. Kraków 1907. 12-ka, str. 48.

Książka na tle okkultyzmu podaje zresztą piękne myśli, zaczerpnięte z wiary chrześcijańskiej. Najwznioślejsze prawdy nadprzyrodzone o naszej łączności z Bogiem i Jezusem za życia i po śmierci wciąga autor w niziny natury ludzkiej, ale tem samem pozbawia je właściwych ich podstaw i skuteczności. Mile porusza tęsknota za Bogiem, która przepełnia duszę błądzącą wprawdzie po manowcach, ale, jak się zdaje, szczerze szukającą prawdy. Wobec ślepego materyalizmu, w którym duszą się t. zw. klasy inteligentne, autor słusznie nawołuje do powrotu do odwiecznych prawd i ideałów, ale głębsze studyum katolickiej dogmatyki pouczy go o rzeczywistych podstawach tychże w wierze katolickiej i zamiast zabobonnej »magicznej« siły znajdzie uzdrawiającą słabości ludzkie łaskę Bożą.

E. M.

Louis XVI. Étude historique. *M. Sepet.* Paris 1910. P. Tequi. Str. 494. 12-a.

Wyczerpująca i krytyczna historya Ludwika XVI obejmowaćby właściwie powinna większą ilość tomów; ale celem autora było napisać studyum historyczne, przystępne dla wszystkich, przedstawiające Ludwika XVI i całe jego panowania dzieje w świetle właściwem, począwszy od wstąpienia na tron aż do egzekucyi królewskiej; dzieło to choć o skromnym zarysie, lecz wystarczająco traktowane, bo opiera się na poprzednich pracach tegoż autora o rewolucyi francuskiej. Jest ono uzupełnieniem niejako tychże prac i wraz z niemi tworzy jednolity obraz tej ruiny, w jaką rozsypała się rewolucyjna Francya.

K. K.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres maryański w Przemyślu.

Dostojny Arcypasterz dyecezyi przemyskiej zwołuje do swojej stolicy, w ostatnich dniach sierpnia, Kongres Maryański łącznie ze zjazdem stowarzyszeń katolickich. Tkwi w tem zwołaniu trafne odczucie chwili. Powstało tyle nowych spraw, tyle nowych zagraża niebezpieczeństw, że porozumienie się sfer katolickich jest niezbędne.

Odkładając bliższe omówienie kwestyi do chwili zjazdu, podajemy dzisiaj sam tenor odezwy:

»Siedm prawie lat upłynęło od pierwszego Kongresu Maryańskiego polskiego, który z wielką okazałością i z niemałym pożytkiem duchownym odbył się w r. 1904 we Lwowie. W tym czasie wśród społeczeństwa polskiego nowe wyłoniły się potrzeby i walki, tak, że zwołanie drugiego Kongresu stało się wielce pożądanem.

Wskutek obchodu 50-tej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi i kilku kongresów Maryańskich międzynarodowych cześć Najświętszej Panny gdzieindziej wspaniałym zajaśniała blaskiem; możnali tedy dopuścić, aby naród nasz dał się tu wyprzedzić innym narodom katolickim, — ten naród, który przed 255 laty osobnym ślubem oddał

się w poddaństwo N. P. Maryi, jako Królowej Korony Polskiej, a przez wieki chlubił się szczególnem do Niej nabożeństwem, iż słusznie nazwaćby go można narodem Maryi?

Uznał to sam Ojciec św. Pius X; wszakże przemawiając w r. 1904 do pielgrzymki polskiej, tak się wyraził: »Zaiste, gdy myśl Naszą ku ojczyznie waszej zwracamy, słodkiej doznajemy pociechy z przeświadczenia o gorącej żarliwości, z jaką ojcowie wasi starali się okazać w szczególny sposób cześć Matce Bożej, zowiąc ją przepięknem imieniem »Królowej Korony Polskiej«.

Chcąc tę cześć w narodzie polskim spotęgować, Ojciec św. nie tylko na odprawianie Mszy św. i pacierzy kapłańskich o N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej najchętniej pozwolił, ale dwie cenne korony dla uwieńczenia obrazu częstochowskiego miłościwie podarował

Ponownej koronacyi tegoż obrazu dokonano uroczyście w czerwcu r. z.; ale czyż nie słuszna, by powtarzając ten akt w sposób duchowny, nowy zgotować tryumf Niebieskiej naszej Królowej i nowy przed światem dać dowód, że Ją czcimy tak pobożnie, jak ojcowie nasi, że Ją gorąco miłujemy, że się z ufnością dzieci i z pokorą poddanych do Niej tulimy.

Któż z nas od Najmiłościwszej i Najmożniejszej nie wygląda pociechy i wstawienia się do Serca Jezusowego, gdy w każdem sercu tyle bólów, gdy w każdej rodzinie tyle trosk, gdy na ziemi polskiej coraz nowe utrapienia, jak np. ten maryawityzm, czy ta zbrodnia jasnogórska, a wśród narodów, nawet katolickich, coraz nowe prześladowania Kościoła. Oto sam Ojciec św., acz anioł pokoju i miłośnik ludzkości, nowych doznał udręczeń i zniewag od swoich wrogów, między którymi są także zbuntowani jego synowie!

Potrzeba nam tedy modlić się o nawrócenie błądzących, o zwycięstwo Kościoła, o zupełną swobodę Ojca św., o nowy tryumf Imienia Jezusowego, — a przytem zamanifestować naszą stałość w wierze świętej katolickiej, nasze przywiązanie do Kościoła i Stolicy Apostolskiej, nasze oburzenie z powodu nowych zamachów ludzi bezbożnych.

Ale czy poprzestać na modlitwie i manifestacyi? Nie; — są

inne jeszcze sprawy, które stają przed nami, jako postulat naszych czasów.

W społeczeństwie polskiem niemałe pod względem religijnym, moralnym i społecznym widzimy braki i niemoce, cięższych zaś walk lękamy się na przyszłość; bo złe wciska się do nas z różnych stron, jakby wojsko uszykowane, tymczasem w obozie katolickim wiele rozbicia, nieporadności i apatyi! Potrzeba tedy ścieśnić szeregi, czyli przeprowadzić lepszą organizacyę i radzić nad tem, jak złemu stawić tamę, a natomiast przysporzyć społeczeństwu ducha religijnego, cnoty, światła i chleba.

Oto jest drugie zadanie Kongresu; ponieważ zaś spełnienie tego zadania zależy w znacznej części od rozwoju i działalności stowarzyszeń katolickich, przeto z Kongresem łączymy wiec czyli obrady delegatów tychże stowarzyszeń.

Niechże tedy Sodalicye Maryańskie i stowarzyszenia katolickie polskie przyślą do Przemyśla swoich delegatów; niech też ci, którzy gorącem sercem pragną dobra Kościoła i Ojczyzny, przybędą tu osobiście, by z Arcypasterzami kraju, którzy współudział swój zapowiedzieli, modlić się i radzić; albo przynajmniej niech się w domu pomodlą o błogosławieństwo Boże.

Drugi Kongres Maryański i wiec polskich stowarzyszeń katolickich odbędzie się w dniach 26, 27, 28 sierpnia według załączonego programu.

Wszystko ku chwale Bożej, ku uczczeniu Bogarodzicy i ku pożytkowi społeczeństwa polskiego.

Przemyśl, 3 maja 1911.

Imieniem Komitetu urządzającego

† *Józef Sebastyan Pelczar*
biskup przemyski o. ł.

PROGRAM

drugiego Kongresu Maryańskiego i zarazem wiecu stowarzyszeń katolickich polskich, mającego się odbyć w Przemyślu w dn. 26, 27, 28 sierpnia 1911 r.

Dzień 26 sierpnia (sobota).

O godzinie 5-tej po południu zebranie wstępne w sali »Sokoła« przemyskiego.

Odśpiewanie hymnu Ad. Mickiewicza »Pokłon Przeczystej Dziewicy« przez chór amatorów.

Przemówienie powitalne.

Wybór prezesa, czterech wiceprezesów i dwóch sekretarzy Kongresu i wiecu.

Odśpiewanie dwóch zwrotek pieśni »Bogarodzica Dziewica«.

Wieczorem tegoż dnia i rano w niedzielę będą kapłani słuchać spowiedzi w katedrze łacińskiej; ale poleca się uczestnikom Kongresu, aby się wyspowiadali w domu i przystąpili nazajutrz w katedrze ł. do wspólnej Komunii św. wynagradzającej.

Dzień 27 sierpnia (niedziela).

O 7-mej rano w katedrze ł. Msza św. cicha, a wśród niej rozdawanie Komunii św. przez dwóch XX. Biskupów.

Po Mszy św. przemowa z ambony Najprzewielebniejszego Józefa Bilczewskiego, Arcybiskupa lwowskiego o. ł.

O $9^1/_4$ Msza pontyfikalna w katedrze ł., a po niej kazanie Najprzewielebniejszego Józefa Teodorowicza, Arcybiskupa lwowskiego ob. orm.

Po 11-tej, w razie pogody, procesya do kościoła Najśw. Serca Jezusowego, ze statuą N. P. Maryi, łaskami słynącą, a w r. 1766 uroczyście ukoronowaną. Statuę nieść będą kolejnie przedstawiciele różnych stanów.

W kościele N. Serca Jezusowego, a w razie niepogody w katedrze ł., Najprzewielebniejszy Biskup Władysław Bandurski, sufragan lwowski, po stosownej przemowie, odczyta z ambony akt poświęcenia się całego społeczeństwa polskiego Najśw. Sercu Jezusowemu.

O 3-ciej po południu w sali »Sokoła« referat d-ra Stanisława hr. Tarnowskiego, na temat: »Jakie niebezpieczeństwa grożą obecnie społeczeństwu polskiemu pod względem wiary i obyczaju i jak im zapobiedz«.

Uwagi koreferentów: p. Teod. Jeske-Choińskiego (o zgubnych skutkach nowoczesnej dekadenckiej literatury), p. Stan. Białego (o powstrzymaniu pijaństwa i pieniactwa), p. Adama Konopki (o zapobieżeniu pornografii).

Dyskusya. Uchwalenie rezolucyi, proponowanych przez referentów.

O godzinie 5-tej referat p. Antoniego Kościńskiego, na temat: Jakich zasad należy się trzymać w wychowaniu domowem i szkolnem pod względem religijno-moralnym i jakich wad unikać.

Uwagi koreferentów: d-ra Kaz. Krotoskiego (o wychowaniu relig.-moralnem w szkołach), pani Wandy Hamerskiej (o relig.-moralnem wychowaniu dziewcząt). Dyskusya. Uchwalenie rezolucyi.

Przemowa Najprzewielebniejszego Biskupa Anatola Nowaka, sufragana krakowskiego.

O godzinie 5-tej obradować będzie w sali »Gwiazdy« Związek robotników chrześcijańskich nad referatami ks. d-ra Wojciecha Szmyda i Stanisława Zgórniaka.

Dzień 28 sierpnia (poniedziałek).

O $6^1/_2$ Msza św. cicha jednego z XX. Biskupów w katedrze ł.

Od 8-mej do $10^1/_2$ obradować będą osobno stowarzyszenia katolickie.

I tak: 1) Sodalicye Maryańskie w sali »Gwiazdy« pod przewodnictwem Przew. ks. Prowincyała Włodz. Piątkiewicza T. J., a referować tu będzie ks. J. Rostworowski T. J.

2) Bractwo Najśw. P. Maryi Królowej Korony Polskiej i połączony z niem Związek katolicko-społeczny — Towarzystwa św. Wincentego a Paulo — Stowarzyszenia opieki nad terminatorami i nad zaniedbanymi chłopcami w sali »Sokoła«; a referować tu będą dr. Stanisław Angermann, Maryan Bartynowski, ks. Kuznowicz T. J. i dr. Bronisław Olearski. Zakończy te obrady przemowa Najprzewielebniejszego Biskupa Karola Józefa Fischera, sufragana przemyskiego.

3) Stowarzyszenie im. X. Piotra Skargi — Towarzystwa kat. oświaty ludowej — katolickie Związki młodzieży akademickiej w lokalu biblioteki dyecezyalnej (przy kościele N. Serca Jezusowego); a referować tu będą hr. Stanisław Henryk Badeni, p. Władysław Rellinger i akademicy pp. Czuruk i Mikułowski.

4) Stowarzyszenia opieki nad służącemi i nad opuszczonemi dziewczętami, jako też Stowarzyszenie »ochrony kobiet«, w sali domu pod św. Józefem (»Przyjaźń«), przy ulicy Grodzkiej; a re-

ferować tu będą pod przewodnictwem ks. Prałata Jana Krupińskiego: O. Stanisław Sopuch T. J., pani Stanisława Rychłowska, pani Helena Czapelska i pani Jadwiga Paparowa.

O $10\frac{1}{2}$ na ogólnem zebraniu w sali »Sokoła« referować będą: dr. Włodzimierz Czerkawski na temat: »Przyczyny niedomagania akcyi katolicko-społecznej i środki zaradcze« — i książę Paweł Sapieha o Unii katolickiej w Austryi.

Uwagi koreferentów. — Dyskusya. Uchwalenie rezolucyi.

O $2\frac{1}{2}$ po południu zebranie w sali »Gwiazdy« Pań z Kongregacyi Maryańskich, Towarzystwa Matek chrześcijańskich, Związku niewiast katolickich i Kół Ziemianek, a referować tu będą panie: Marya Straszewska, Celina Przetocka, Cecylia Kaczkowska i Wanda Drużbacka.

Równocześnie w sali »Sokoła« obradować będą członkowie Bractwa N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej i zarazem Związku katolicko-społecznego nad referatami »o pracy katolicko-społecznej na polu ekonomicznem« i »o wychodźtwie za robotą«.

Wybory Rady dyecezalnej.

O godzinie $4\frac{1}{2}$ w sali »Sokoła« odczytanie i uchwalenie rezolucyi, powziętych na zebraniach pojedynczych stowarzyszeń, i przemowa prezesa Kongresu.

Zakończenie w katedrze łacińskiej. Przemowa z ambony Najprzewielebniejszego Leona Wałęgi, biskupa tarnowskiego. Wystawienie Przen. Sakramentu na wielkim ołtarzu. Te Deum. Benedykcya. Ofiarowanie całego społeczeństwa polskiego opiece N. P. Maryi Królowej Korony Polskiej. Udzielenie błogosławieństwa przez wszystkich Arcypasterzy. Odśpiewanie pieśni »Serdeczna Matko«.

Wskazówki praktyczne.

Wstęp na wszystkie uroczystości i posiedzenia będzie bezpłatny; każdy atoli, kto chce wziąć udział w posiedzeniach, ma się pierwej zgłosić ustnie lub pisemnie po kartkę wstępu do księdza d-ra Teofila Chciuka, sekretarza Komitetu urządzającego (kancelarya Konsystorza o. ł.); ci zaś, którzy pragną nabyć »Pamiętnik« tegoż Kongresu, złożą naprzód 4 kor.

Ponieważ w Przemyślu niewiele jest hoteli, a i te podczas

Kongresu będą zajęte, przeto Komitet urządzający może na żądanie pośredniczyć w zamówieniu mieszkania.

Część uczestników może znaleźć pomieszkanie czyto w klasztorach przemyskich, czy w seminaryach (duchownem i małem), czy w bursach (dla mężczyzn), czy w dwóch internatach (dla niewiast). Trzeba jednak o to wyraźnie prosić w piśmie do sekretarza Komitetu urządzającego.

Pewną liczbę gości przyjmą także na nocleg OO. Jezuici w Chyrowie i okoliczne dwory w Krasiczynie, Prałkowcach i Ostrowie; kto zatem na tę gościnność reflektuje, zechce się zawczasu tamże zgłosić«.

Kremacya zwłok w sejmie pruskim.

Ponieważ sporadycznie także i u nas odzywają się głosy za kremacyą i stałym ona jest punktem programowym lig wolnej myśli, także lwowskiej, jak wogóle hasłem wolnomularskiem oczywiście z tendencyą przeciw katolicyzmowi, dlatego nie bez szerszego interesu i dla nas były długie i ożywione dyskusye w sejmie pruskim nad prawem o kremacyi, które też uchwalone zostało większością dwóch głosów. Prawo to pozwala na kremacyę w koncesyonowanych przez policyę krajową krematoryach; koncesyę zaś na nie otrzymać mogą tylko gminy czy też związek gmin albo też publiczno-prawne korporacye, na których ciąży obowiązek starania się o publiczne cmentarze, pod warunkiem, że na ich naradach wniosek o krematoryum przejdzie większością dwóch trzecich głosów. Różne warunki i zastrzeżenia ograniczają dowolność używania kremacyi. Kwestya wielka, czy prawo, które przeszło tak drobną większością głosów w sejmie i to tylko z powodu nieobecności niektórych posłów opozycyi, przejdzie także w Izbie Panów; ale i tak już sam fakt, że kremacya zdołała dosięgnąć do połowy głosów, przedstawia pewne zwycięstwo idei wolnomyślnej. Można nawet wyrazić obawę, że w razie, gdyby prawo w Izbie panów zostało przyjęte, tem samem byłby pierwszy krok zrobiony, aby powoli zamienić prawo fakultatywnej kremacyi na przymusową, bo w przemówieniach posłów liberalnych ta myśl dość wyraźnie przebłyskiwała. Dla katolika nie może być żadnej wątpliwości, że

kremacya nie zgadza się z jego pojęciami religijnemi. Nie sprzeciwia się ona wprawdzie wprost ani wierze w zmartwychwstanie ciał, ani kultowi relikwii, ani żadnym innym prawdom dogmatycznym, ale wobec wymienionych prawd kremacya musi się przedstawić katolikowi jako profanacya zwłok, pomijając całą wiekami uświęconą tradycyę i wzniosłe obrzędy pogrzebowe. Jest to myśl duchowi chrześcijaństwa zupełnie obca i wstrętna, choć wyraźnego przeciwieństwa do prawd objawionych nie przedstawia. Ponadto dla katolika normą do oceny, co sądzić o kremacyi będą jasne orzeczenia Kościoła, jak dekret Kongregacyi św. Officyum z 19 maja 1886 roku, który mówi: że kler ma odmówić modlitw publicznych i przystępu do Kościoła zwłokom tych, którzy za życia wyrazili wolę, aby ich ciała spalono. Nie wolno ani dla siebie ani dla kogo innego żądać spalenia zwłok. Zabronione mu także należenie do stowarzyszenia o celach popierania kremacyi. Wola zatem Kościoła jest wyraźna i dla katolika zaprzestała być kremacya kwestyą sporną.

Warto tu także zwrócić uwagę na orzeczenie prawowiernych rabinów z r. 1904, w którem oświadczają, że według żydowskiej religii niema innego sposobu chowania zwłok, jak tylko grzebanie takowych. Nawet zarządzenie kremacyi przez nieboszczyka nie pociąga za sobą religijnego zobowiązania. Na cmentarze żydowskie nie należy dopuszczać popiołów, palonych w krematoryum, i rabin takiemu pogrzebowi uczestniczyć nie może — czyli że także wierzące Żydowstwo uważa kremacyę za profanacyę zwłok. Tylko głównie wolnomularskim liberalnym mózgom, które w człowieku poza szlachetnem zwierzęciem niczego więcej nie odnajdują a z każdej rzeczy starają się skorzystać przeciw Kościołowi, może się uśmiechać myśl i pogański zwyczaj palenia zwłok.

Kościół w Portugalii i Hiszpanii.

Nie ziściły się obawy, które nie bez podstawy żywiono względem kleru portugalskiego, że bez wielkiego oporu podda się rozporządzeniom nowego rządu, że nawet zechce skorzystać z opieki rządu przeciw biskupom i prawu kościelnemu. Prześladowanie i tutaj wywołało przeciwny skutek;

kler portugalski ocknął się z letargu i biernej bezwładności wobec rządu i stanął wiernie przy swoich biskupach w obronie najświętszych praw Kościoła, bezczelnie znieważonych i naruszonych przez masonów i żydów. W protestach swoich zaznacza on, że prawo separacyjne niezgodne jest z sumieniem katolickiem, że bezwarunkowo poddaje się rozporządzeniom i orzeczeniom Stolicy św. i swoich biskupów i zrzeka się wszelkich korzyści, rzekomo ofiarowanych przez nowe prawo. Jest to jedyne stanowisko, które zająć może kler katolicki wobec prawa, które Kościół chce przemienić w służebnicę państwa, proboszcza poddaje kontroli zakrystyana i najświętsze funkcye oddaje swawoli pospólstwa. Oburzyć to musi nie tylko kapłana katolickiego ale nawet każdego uczciwego człowieka, choćby niekatolika, gdy się dowiaduje, że rząd masoński chce i przypisuje sobie prawo określania, co i jak z teologii ma być wykładane w seminaryach duchownych, nie pozwala kapłanom bez osobnego upoważnienia nieboszczyka odprowadzić na cmentarz, znosi wszelkie stowarzyszenia pobożne, zabrania umieszczać krzyża lub obrazów świętych nawet na własnym domu i tak postępuje sobie w kraju katolickim wobec poddanych katolików.

Wobec tych niesłychanych gwałtów i zuchwałego bezprawia Ojciec święty nie mógł dłużej milczeć. Osobną encykliką zwraca się do wszystkich biskupów całego świata chrześcijańskiego i z wszelką objektywnością, ale dobitnie piętnuje niegodziwe postępowanie republiki względem Kościoła i protestuje przeciw niemu. Zaznacza w niej, że wobec pierwszych napaści nowego rządu na Kościół, Stolica św. zachowała się spokojnie, spodziewając się, że jak tylko kraj się uspokoi rząd zechce się upamiętać i uszanuje prawo. Ale oczekiwania były daremne. Ogłoszona separacya Kościoła od państwa wydziera Kościołowi wolność, nakłada pęta i każe się obawiać najcięższych klęsk. Nie zostawiono Kościołowi nawet tej wolności, która przysługuje każdemu obywatelowi i obywatelskiemu stowarzyszeniu; pozbawiono go wszelkich środków, potrzebnych dla wykonywania swego posłannictwa w przyszłości, nie przyznano hierarchii kościelnej żadnych wpływów i żadnej powagi, oddając zarząd Kościoła w ręce ludzi świeckich, życie

religijne utrudniono wszelkimi sposobami a co najgorsze, prawnie bierze się w obronę gorszące postępowanie kleru w celach jego demoralizacyi i deorganizacyi hierarchii. Wkońcu odrzuca papież prawo separacyjne i odmawia mu wszelkiej mocy obowiązującej, chwali zaś episkopat i kler portugalski, że pomimo ofiar stoi mocno przy Kościele i Stolicy św.

Z góry jest rzeczą pewną, że rząd portugalski z encykliką Piusa X liczyć się nie będzie, bo też i ogłoszenie jej w Portugalii natychmiast zostało zabronione, ale świat teraz oficyalnie poinformowany jest o wandalizmie żydowsko-masońskim a rząd portugalski wie, czego w przyszłości od Kościoła spodziewać się może. Rzeczą ludu portugalskiego będzie iść ręka w rękę w silnej organizacyi katolickiej ze swymi pasterzami i udowodnić rządowi masońskiemu, że Portugalia jest krajem katolickim. Czy tak się stanie, trudno dziś już orzekać; wypadki dokonane wskazują, że demoralizacya ludu już daleko postąpiła, ale obawy reakcyi monarchicznej, szczególnie w północnych prowincyach, niemniej dowodzą, że usposobienie w kraju jest bardzo różne i że nie brak także konserwatywniejszych elementów.

Zaostrzają się także coraz więcej stosunki kościelno-polityczne w Hiszpanii. Prawo stowarzyszeń Canalejasa jest niczem innem jak zamachem na zakony w Hiszpanii i bezczelnem zgwałceniem konkordatu. Aby znieść większość placówek zakonnych prawo żąda w każdym domu zakonnym najmniej 12 członków. Artykuł 3 w łagodnej formie nic innego nie wyraża, jak tylko niezgodność ślubów zakonnych z obywatelskiemi i politycznemi prawami Hiszpana i tem samem przynajmniej wobec prawa publicznego odbiera im moc obowiązującą, ale paragraf w ostatniej swojej konsekwencyi dałby także państwu moc zakazania ślubów zakonnych i widocznie Canalejas do tego dąży. Prawo zaprowadza najściślejszą kontrolę rządową nad osobami, sprawami majątkowemi zakonów, poddaje zakłady przemysłowe i naukowe przez zakony prowadzone pod nadzór rządu, określa i ogranicza liczbę obcokrajowców w każdem zgromadzeniu zakonnem do jednej trzeciej części i to nawet wtedy, gdyby już otrzymali prawo obywatelstwa. Prawo to, wchodzące w zakres czysto kościelny i ułożone

bez zniesienia się ze Stolicą apostolską, sprzeciwia się konkordatowi, który w takich sprawach żąda wyraźnie porozumienia się wspólnego. Dlatego też episkopat hiszpański wspólnie wystosował protest przeciw temu prawu do parlamentu, aby mu przyjęcia odmówiono. Biskupi zwracają w proteście szczególniejszą uwagę na mieszany charakter prawa i pominięcie Stolicy św. Niema nadziei, żeby prośba i protest episkopatu znalazły uwzględnienie u liberalnej większości parlamentu, lecz z pewnością nie pozostaną bez głębokiego wrażenia u ludu katolickiego. Widocznie też Rzym jedynie ufa jeszcze wierności ludu hiszpańskiego, gdyż niedawno kardynał sekretarz Stanu w osobnym liście z polecenia Ojca św. do prymasa Hiszpanii przesłał nakaz papieża, aby katolicy hiszpańscy, rozbici na trzy obozy, połączyli się dla obrony interesów katolickich na podstawie wspólnych swych przekonań religijnych. Będzie to rzecz trudna zwłaszcza wobec rozdwojenia politycznego na Karlistów i Alfonsistów, ale stosunki dzisiejsze domagają się tego koniecznie — i to nie tylko w Hiszpanii!...

Te zawikłania kościelno-polityczne rzucą zapewne niemały cień na tegoroczny, tak świetnie się zapowiadający kongres eucharystyczny w Madrycie. Już to samo, że Ojciec św. z powodu naprężonych stosunków między Madrytem i Watykanem nie wysyła kardynała Kuryi jako delegata swego na Kongres, lecz zamianował nim prymasa Hiszpanii, kardynała arcybiskupa z Toledo, będzie dla katolików hiszpańskich wcale niemiłą przyprawą do tak rzadkich uroczystości. Trudno także, żeby obecne położenie, pomimo czynnego i żywego udziału dworu przy uroczystościach, nie wpłynęło na cały nastrój i ton przemówień i kazań. Canalejas z pewnością będzie tem więcej starał się zewnętrzną formą osłonić wewnętrzne swoje zamiary a okazać się, wobec obcych zwłaszcza uczestników, gorliwym katolikiem. Jest on w tem mistrzem i dobrym psychologiem, który wie, że ludzi się zwyczajnie sądzi według zewnętrznych pozorów.

Ks. A. Starker.

Z życia i prasy.

Towarzystwo dziennikarzy polskich wobec Kongresu rzymskiego. — »Kronika powszechna«. — Nowy konkurs na rocznicę Skargi.

Towarzystwo dziennikarzy polskich postawiło krok, który długo będzie z czcią wspominany. Enuncyacya, jaką uchyliło się od udziału w międzynarodowym Kongresie dziennikarskim w Rzymie, mającym pośrednio uświetnić antypapieskie obchody Włoch, enuncyacya pełna godności a uzasadniona katolickim charakterem narodu polskiego, nie tylko że zwróciła na siebie powszechną uwagę europejskiej prasy, ale i stawiana była za granicą, jako wzór konsekwencyi i szlachetnej odwagi przekonań. Okazało się najpierw, że była krokiem mądrym i przewidującym przyszłość, bo właśnie jednym z pierwszych objawów tego Kongresu był głęboki ukłon w kierunku loży masońskiej. Zaskoczeni tym krokiem przedstawiciele prasy umiarkowanej znaleźli się w położeniu nie do pozazdroszczenia. I wtedyto stanowisko polskiego dziennikarstwa wyszło na pierwszy plan.

W niewesołych stosunkach współczesnych, objaw taki, jak jednolity charakter katolicki tak wpływowej instytucyi, jak Towarzystwo dziennikarzy, jest jasnym promieniem i skrzepieniem otuchy. Jest on, w pierwszym rzędzie, chlubnym dokumentem dla samego Towarzystwa i jego obecnych przedstawicieli. Zasadniczo zaś rzeczy biorąc, biorąc zwłaszcza pod uwagę te lata, w których dziennikarstwo polskie innemi drogami chodziło, objaw ten świadczy o wzroście żywotności katolickiej w kraju, żywotności, która nie tylko każe ze sobą się liczyć, ale już i ożywia tak wpływowe stanowiska.

* * *

Przybył nowy posterunek katolickiej prasy. Jest nim tygodnik społeczny, literacki i naukowy, wychodzący we Lwowie już rok drugi, pod redakcyą tak wybitnego pisarza, jak Teodor Jeske-Choiński, pod tytułem *Kronika powszechna*. Kto wie, jak trudnem jest skrystalizowanie się nowego pisma, jak często najlepsze początki pod najpiękniejszemi auspicyami zawodziły pokładane w sobie nadzieje, ten nie będzie się dziwił, że dopiero dziś wpisujemy w rubrykę stałą istnienie tego pisma. Dziś twierdzić można, że pismo przeszło próbę ogniową.

Hasło, pod którem tygodnik stanął, brzmiało: »Za wiarę, za tra-

dycye narodu polskiego i za dobra idealne człowieka. Jesteśmy Polakami-katolikami i pragniemy dorzucić skromną cegiełkę do odbudowy ideału chrześcijańskiego, narodowego i społecznego«.

Już od pierwszych zeszytów tygodnika znać było lwi pazur naczelnego redaktora. Umiał zgromadzić ludzi, zapewnić sobie informacye z wszystkich dziedzin i stron, nadać pismu wyraz i mądry układ. W kategoryi naszych tygodników pismo to zajęło od razu jedno z pierwszych miejsc; od razu dawało jasny pogląd na ważniejsze myśli i zdarzenia tygodnia, i to w tym stopniu, jak mało który inny tygodnik.

Z natury rzeczy najtrudniejszą do wprowadzenia w życie jest technika programowa pisma; najłatwiej udaje się część informacyjna. W tym wypadku technika programowa polegała na celowo skierowanej pracy ku odbudowie »ideału chrześcijańskiego, narodowego i społecznego«. Na tę chwilę, w której ta technika udoskonali się, czekaliśmy. Rzecz jasna, bo w tem tkwi duch i istota pisma i bez tego ducha pismo nie miałoby racyi bytu i upadłoby.

Zwolna ale stale i coraz wyraziściej ta idea programowa wysuwała się na czoło pisma. Dziś może być tylko mowa o coraz wyższym stopniu rozwoju — ale już tak jak jest, jest dobrze. Cały szereg zagadnień i spraw, związanych najbezpośredniej z chrystyanizacyą społeczeństwa, a poruszonych śmiało, głęboko, z siłą przekonania, pismo to omówiło i rozjaśniło. Rolę tę spełniają przedewszystkiem wstępne artykuły redaktora naczelnego.

O szerokich wpływach tego młodego pisma świadczy liczny poczet autorów, jaki stanął do konkursu *Kroniki* na utwór beletrystyczny z dziedziny religijnej. Konkurs ten, cieszący się względnie dość dobrym plonem, ma u nas w Polsce nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Oby tylko konkursy takie powtarzały się najczęściej. Faktem jest, że Polską rządzi literatura piękna. Kto w Polsce literaturę piękną schrystyanizuje, ten uchrześcijanił społeczeństwo.

* * *

Nadzwyczaj szczęśliwym i doniosłym jest konkurs *Prądu* na rocznicę Skargi. Tenor konkursu brzmi jak następuje:

»Pragnąc przyczynić się do uczczenia jubileuszowego roku (1912) Piotra Skargi, który był w dziejach naszych przepotężnym i natchnionym rzecznikiem urobienia społecznego ducha obywatelskiego — ducha, wypływającego z zasad religii, niniejszem ogłaszamy konkurs na ele-

mentarny katechizm religii rzymsko-katolickiej z jedną nagrodą niepodzielną wysokości rubli 1000 (tysiąc).

Warunki konkursu są następujące:

Jako metodę przy opracowaniu przyjąć należy rozkład materyału wykładowego na rozdziały, stanowiące odrębną całość, przyczem każdy rozdział winien się składać z 3-ch następujących części:

I. Wyjaśnienie treści danego rozdziału w sposób zrozumiały dla umysłu dziecka. Wykład ten ma naprowadzić ucznia na kwestye zasadnicze, formułowane ściśle w części III-ciej. Wskazać wzory w życiu Chrystusa. Przykłady objaśniające należy brać ze środowiska dobrze znanego tym, których się ma pouczyć.

Treść tego punktu będzie jednocześnie materyałem i przykładem metodycznym dla wykładającego.

II. Systematyczny szereg pytań, które, zadawane kolejno dziecku, zmuszą je do zastanowienia się nad zagadnieniami danego rozdziału, do wyrobienia pewnego swojego poglądu, do samodzielnego wypowiedzenia się. Pytania te mają pogłębić wykład i sprawdzić jego zrozumienie przez ucznia; mają ułatwić wszechstronne rozpatrzenie przedmiotu i zmusić dziecko do syntetycznego ujęcia zagadnień danego rozdziału.

U w a g a. Obie części zostaną złożone w książce drobnemi czcionkami.

III. Sformułowanie jasne i dokładne zasad i dogmatów wiary, omawianych w częściach poprzednich ściśle według nauki Kościoła, poparte, w miarę potrzeby, przytoczeniami słów Pisma św.

Pierwsza część każdego wykładu ma przeto dostarczyć dziecku materyału do rozumowania i odczucia, — druga przez pytania ma kierować jego rozumowaniem i pobudzić do uświadomienia sobie pewnych uczuć, — trzecia ma wreszcie tylko właściwie ściśle formułować to, co dziecko już samo odczuło, zrozumiało i po swojemu, językiem dziecinnym, wypowiedziało.

Rozmiary pracy konkursowej winny obejmować 4 arkusze druku zwykłej 16-ki.

Z pomiędzy istniejących elementarnych katechizmów, pomimo braków, najbliższy zamierzonemu celowi jest może: »Katechizm rzymsko-katolicki do początkowej nauki dziatek«, ułożony przez X* (Lwów, 1877). System układu poleca się uwadze biorących udział w niniejszym konkursie.

Termin ostateczny nadsyłania prac 1 czerwca 1912 roku.

Prace konkursowe, przepisane na maszynie, winny być zaopatrzone godłem, które ma się również znajdować na zapieczętowanej kopercie, dołączonej do rękopisu, a zawierającej imię, nazwisko i adres autora.

Wydawnictwo *Prądu* zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonego katechizmu, po uprzedniem zatwierdzeniu przez władze duchowne.

Prace nadsyłać należy pod adresem redakcyi *Prądu,* Warszawa, Warecka 10.

Sąd konkursowy stanowią: ks. dr. Jerzy Matulewicz, profesor Akademii duchownej w Petersburgu, ks. Jan Gralewski, Cecylia hr. Plater-Zyberkówna i dyr. Władysław Wóycicki«.

Uzasadnienie zaś konkursu podaje Redakcya *Prądu* następujące:

»Doświadczenie życiowe stwierdza smutny fakt, że żaden z istniejących licznych katechizmów elementarnych nie odpowiada całkowicie wysokiemu swemu przeznaczeniu: jasnego a treściwego podania niewzruszonych dogmatów religijnych w sposób ściśle zastosowany do intelektualnego poziomu mniej rozwiniętego umysłu i uwzględniający rozwój jego pojęć.

Istniejące elementarne katechizmy właśnie dlatego nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, że piszący je jakby zapomnieli, jaką drogą doszli do zrozumienia pewnych najprostszych choćby prawd, nie uprzytomniali sobie dostatecznie, że z katechizmów ich uczyć się mają umysły nie rozbudzone, które myśleć abstrakcyjnie jeszcze nie zaczęły i zaledwie zdolne są zwrócić uwagę na najelementarniejsze zjawiska.

Podając tylko suche i zwięzłe definicye, nie zdolne dość jasno i obrazowo przemówić do pojęcia, nie pobudzają one do głębokiego ukochania wzniosłych zasad Chrystusowych.

A tymczasem katechizm winien być najdroższym, nierozłącznym, treściwym kodeksem życia ku wszechstronnemu rozwinięciu zasadniczego przykazania Chrystusowego (Mat. XXII, 37—40, Mar. XII, 29—31), które Kościół przy chrzcie każe nam wziąć za stały wskaźnik życia.

Katechizm winien więc dokładnie wyjaśnić zasady religii, winien rozwijać uczucia miłości Boga i bliźniego, powinien przyczynić się do wyrobienia siły moralnej dla praktykowania wiary żywej.

Dobrze wyłożona, dobrze pojęta nauka religii jest dla ludzi tą

opoką, na której wzrastać powinno życie indywidualne i jako dalszy jego rozwój życie społeczne.

Jeżeli u nas taki brak poczucia zespołu, — jeżeli u nas ludzie nie odczuwają, że każda niedbała praca jest nieuczciwością; że wady w wykonaniu pracy krzywdzą ciężko bliźnich, odbijając się tak fatalnie i na całości ładu społecznego; że nie obowiązkowość, nieterminowość, wyzysk pracy cudzej, bezkrytyczność w stosunku do siebie, napastliwość względem innych i zwalanie na nich win naszych — wszystko to są grzechy śmiertelne pychy, lenistwa, zawiści, braku czystości intencyi, grzechy śmiertelne, — zabijające całą naszą przyszłość, — grzechy przeciw podstawowym nakazom dekalogu; jeżeli w sennem bytowaniu zarówno jak i w bezładnem szamotaniu się tak mało istotnego trwałego i owocnego twórczego Dobra, — tak mało Piękna duchowego, — tak mało Prawdy w życiu, a tak wiele okłamywania i łudzenia siebie samych; jeżeli w tym omanie mirażowym niezrozumienia życia idzie wszystko na zgubę, — to w znacznej części przypisać to należy brakowi uświadomienia religijnego. Nie zdajemy sobie sprawy, że prawdy harmonijnej w życiu być nie może bez zgodności zasad i czynów; a do wszystkiego tego przyczynia się w niemałym stopniu brak odpowiedniego wykładu podstawowych zasad religii — brak katechizmu, któryby był praktycznym wskaźnikiem, w jaki sposób należy religię praktykować, — jak w różnych pracach życiowych należy być wiernym wierze.

Widzimy wszyscy, że straty i szkody, wynikające z niewłaściwego rozumienia metodyki wykładu katechizmu są wprost nieobliczalne. Braki dotychczasowych opracowań katechizmu elementarnego dosadnie zostały podchwycone i scharakteryzowane nie tylko przez przeciwników ale i przez obrońców religii, że wymienimy tylko głosy Sempołowskiej, Moszczeńskiej, Witkiewicza, Adama Szymańskiego (Kraków), ks. kan. Ślepickiego (Kraków), ks. Bielawskiego (Kraków), Marciszewskiej (Warszawa). Kwestye te podnoszone również bywały nieraz przez księży katechetów i tych wszystkich wogóle, co mają do czynienia zarówno z uczeniem religii jak i ze skutkami jej niewłaściwego wykładu. Czas więc te braki usunąć!«

Myśl tego konkursu jest jedną z najdonioślejszych, jakie się w ostatnich czasach pojawiły. Redakcyi *Prądu* za samą tę myśl należy się najgłębsze uznanie.

Ks. J. Pawelski.

Christliche Kunst.

14 kwiecień 1911. Monachium.

Naśladownictwo natury nie stanowi najwyższego celu sztuki.

Gdyby cały wysiłek artysty miał się ograniczyć do naśladowania przedmiotów, bylibyśmy z konieczności zmuszeni do wniosku, że rola sztuki już się skończyła, gdyż, z tego punktu widzenia, żadne naśladowanie nie może mieć uroszczeń do ścisłości wyższej nad fotografię, tem bardziej, że i dotychczasową wyższość malarstwa — kolorystykę, postęp w dzisiejszej chemii już i ten problem rozwiązał.

Więc nie chodzi o naśladowanie natury, która jest tylko środkiem, albo raczej okazyą i pretekstem dla artysty.

Nieraz widok ohydny w rzeczywistości, staje się pięknym na płótnie. Pascal woła: »Co za dziwne to malarstwo! Wywołuje podziw podobieństwem rzeczy, których oryginału nie podziwia się wcale!«

Zażądajmy od artysty portretu najwstrętniejszego człowieka, np. Quasimoda. Portret tak strasznie brzydkiego mężczyzny pozostanie brzydkim, jeżeli odtworzenie jest wiernem. Podobnie dokładne przedstawienie Adonisa lub Antinousa da nam z konieczności wrażenie figury pięknej. A jednak, zupełnie jest możliwem, że portret Quasimoda, jakkolwiek brzydki, będzie nieskończenie piękniejszym, jako dzieło sztuki, niż postać Adonisa, pomimo całego podobieństwa.

Jest to fakt, na który nie zwracają uwagi ci, którzy wyobrażają sobie, że naśladownictwo i ścisłość jest nieomylną miarą zasługi dzieła. (Wyjątek tu mogą stanowić tylko portrety ludzi, którzy zajmują wielkie miejsce w historyi, gdyż podobizny Richelieu'go, Ludwika XIV lub Napoleona są to dla nas dokumenty historyczne).

Gdy Michał Anioł w kaplicy Sykstyńskiej zamierzał przedstawić nam oddzielenie światła od ciemności, naśladowanie przecież nie mogło grać żadnej roli. Nikt nie był przy stworzeniu światła. Wyobraźnia artysty miała zatem pole zupełnie swobodne, bo nawet Biblia nie mogła, co do naśladowania, przyjść mu z pomocą.

Jehowa rzekł: »Niech się stanie światło — i stało się światło«. Jakże na obrazie przedstawić potęgę słowa twórczego, — oddać ideę o widowisku, którego pierwiastki znaleźć można tylko w swojej duszy?!

Zrozumiał Michał Anioł, że środki malarza są zupełnie inne, jak środki poety. Zastąpił słowo — gestem, i niemniej, jak autor Genezy,

umiał oddać wrażenie wielkości i królewskiej potęgi, jaką wywołał w jego wyobraźni czyn, który chciał uwiecznić.

Gdy wielki Flamandczyk Ruysdael przedstawia nam krzak miotany wichrem, czyż interesuje nas indywidualność krzaka? Czyż musimy być ściśle pewni, że namalowany przezeń — istotnie przypomina realny krzak, który mu służył za model? Cóż nas to obchodzi? Nam wystarcza, że to jest krzak, a to co nas porusza — jest to charakter, odbity w tem dziele, który nam udziela wrażenia autora.

Moglibyśmy powiedzieć to samo o Iliadzie, Odyssei, o tragedyach Eschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, o dramatach Szekspira, o »Boskiej komedyi«, o wszystkich wielkich dziełach geniuszu ludzkiego. Któż, czytajac je, pyta, czy zgadzają się one z rzeczywistością faktów?

Naśladowanie więc nie stanowi celu sztuki, podobnie jak cel autora nie zasadza się na gromadzeniu liter i sylab, lecz na wyrażeniu zapomocą słów, jakie w ten sposób formuje, swych myśli, uczuć, wrażeń, — pokazać publiczności swą duszę, samego siebie.

Przy wejściu na wystawę *Christliche Kunst,* przyciąga oczy tym razem szerszej publiczności duży, naturalnej wielkości portret: J. E. Dr. Wilhelm Schneider, biskup z Padernborn — pinx. H. I. Sinkel.

Patrząc na ten portret, bardzo żałowałem Sinkela, wiedząc, ile przykrych chwil, ile hamowań artystycznej duszy i hamowań artystycznych pociągnięć pendzla musiał ten artysta przeżyć przy tak niewdzięcznej pracy, jak reprezentacyjny portret, przeznaczony do ozdobienia salonu we wspaniałych ramach pałacu biskupiego.

Że będzie wspaniale ozdabiać salon — to pewna, — że wszystkie dyecezyanki będą się zachwycać podobieństwem swego pasterza, to już ręczy fotograficzne prawie oddanie twarzy, choć artysta zrobił wiele, by to mdłe fotograficzne podobieństwo uszlachetnić artyzmem i wlać w nie życie i nadać tym oczom, prócz wrodzonej łagodności, odzwierciedlenie umysłu, jakim się odznacza dostojny model tego portretu.

Jednakże, mojem zdaniem, H. I. Sinkel już przesadził chęć podobania się portretującemu się i szerokiej publiczności.

Rozumiem, że Ekscellencya, jadąc do atelier, świeżutko był ogolony i, prawdopodobnie, w najparadniejszej, świeżutkiej sutannie, z bardzo błyszczącym biskupim krzyżem. O ile jednak pod względem artystycznym zyskałby portret, gdyby artysta tę twarz nie był tak starannie ogolił na płótnie, że aż się błyszczy w niektórych miejscach, jak gdyby od mydła źle obmytego.

Albo ta sutanna! Toż pierwszy lepszy krawiec oceni metr sukna tak świeżutkiego, tak ślicznie odprasowanego, tak jeszcze nigdzie najmniejszego fałdu nie robiącego, z temi czyściutkiemi, równiutkiemi wypustkami purpurowemi. Przecież to mógł był sobie artysta oszczędzić, zostawiając te subtelności fachowym rysownikom żurnali mód.

A ten łańcuch i krzyż! Prawda, widać, że wenecka robota i dobra, ale jednak wątpię, by jakiś znajomy złotnik chciał za wzór wziąć te misterne łączenia ogniw lub te emalie, tak starannie obrysowane na krzyżu. Wątpię też, by artyście chodziło o zachwyt kumoszek nad tysiącznymi błyskami tych różnych złotości – przecież to są tak tanie efekciki, że nawet dyletanci zaczynają je zarzucać.

To wszystko Sinkel musiał czuć i tylko z powodów dalekich od sztuki tak musiał malować — to widoczne, bo umyślnie umieścił tuż przy biskupie, by złagodzić sąd artystycznej braci, przepyszny portret swego przyjaciela, proboszcza T. B. ze Starenbergu.

Tym portretem artysta kompletnie zmazał swą winę, rehabilitował się wobec sztuki i jej znawców.

Tu nam pokazał, że dla przedstawienia indywidualności człowieka, to jeszcze nie tylko sama twarz wchodzi w rachubę. Właśnie twarz zdradza jak najmniej człowieka! Najwięcej o nas mówią, to właśnie ci wszyscy fałszywi przyjaciele, których my za mało pilnujemy! Chód, postawa, ubranie, one to nam pokazują ukradkiem indywidualność człowieka, zdradzają go na każdym kroku.

Ileż ponurych zmartwień opowiada nam pochyły grzbiet, skrycie wystający na plecach, — jaki brak hygieny, ten brzuch, nie dający się ścisnąć i marszczący pokryjomu naszą kamizelkę, — ile mimowolnie tchnącej pospolitości ten węzeł przesadzony w krawatce lub ten surdut zanadto obfity, albo, przeciwnie, za obcisły i krótki...

To są wszystko bezcenne informacye, których artysta nie spuszcza z oka. My je też widzimy, ale spostrzegamy i dopiero w obrazie zachwycają nas one: — jakie to świetne, jakie charakterystyczne, jak nam dobrze malują prawdziwego człowieka, tego codziennego, nie zaś tego endimanchowanego, który z anglezem ubiera i imponującą postawę i bez trosk minę ze stereotypowym uśmiechem.

Ten poczciwy proboszcz, to żywcem wzięty z życia, siedzący sobie *sans façon* na jakimś parafialnym zydelku z buteleczką tabaki w ręku, z której za chwilę, tutejszym zwyczajem, nasypie sobie dobrą porcyjkę na mięśnie między dużym a wskazującym palcem lewej ręki —

zaś na stołku przy nim — brewiarz, wymęczony szeregiem lat używania.

A ten surdut, rodzaj tutejszej sutanny, jaki to stary przyjaciel, ile to on *intime* zwyczajów zdradza swego właściciela! Ile to razy on musi przyjmować na siebie resztki tabaki z ręki, bo świeci na lewej piersi dość dużą brunatną plamą, a pewno nieraz i obetrzeć niejedną kroplę bawarskiego piwa. A i te strzępki podszewki, które z rękawa wyłażą, jak one szydzą z proboszcza, który ciągle zajęty sprawami parafii o nich pomyśleć nie ma czasu, lub też, rozdawszy ubogim pieniądze, *ad Calendas graecas* odłożyć musi kupienie nowej sutanny.

Z tą głową zmęczoną troskami, spadającą w zadumie na piersi, z obwisłą trochę dolną wargą, jak gdyby ze zniechęcenia, że ciągle gromiąc w parafii błoto ludzkości, wykorzenić go nie może, — to wszystko razem wzięte, te wszystkie charakterystyczne cechy życia codziennego robią z tego przepysznego portretu rzeczywiście podobiznę *des gens reflétés non dans leur glace bienveillante, mais dans le farouche miroir de la Vérité,* jak mówi zawsze świetny Honoré de Balzac.

Przed ośmiu laty rozeszła się pogłoska po ateliach monachijskich, że Gebhard Fugel zwrócił swój dar kompozycyjny w stronę chrześcijańskiej sztuki i że pracuje nad dużem płótnem »Pogrzeb Chrystusa«.

Obraz ten w swoim czasie zwracał ogólną uwagę w Glaspalascie oryginalnem pojęciem tematu, szaloną malowniczością i poezyą, jaka biła z całego obrazu.

Tą swoją kompozycyą Fugel od razu stanął na czele kiełkującego ruchu towarzystwa niemieckiego *Christliche Kunst* i postawił sobie za zadanie życia religijną sztukę naszych czasów, bezgranicznie zubożałą, wprost zeszłą do poniżającego rzemiosła, podnieść na nowo i przywrócić jej świetność dawnych czasów.

Chociaż Fugel ma swoją, sobie właściwą, artystyczną mowę i swoje religijne uczucia z silnym realizmem odtwarza, przykuwa jednak do siebie i robi wrażenie imponujące i rozrzewniające nawet na najskromniejsze umysły.

Widzimy obecnie w *Christliche Kunst* czternaście obrazów »Krzyżowej drogi«. Temi bolesnemi scenami z męki Chrystusa Gebhard Fugel znowu powołał do życia duszę tej chrześcijańskiej sztuki,

z której cała powaga, podpora i pociecha religijna przechodzi na nasze codzienne, szare, cierniste życie.

Patrzmy na »Pochód na Kalwaryę«.

Właśnie przed chwilą Piłat zdecydował się ustąpić Żydom. Umył ręce — ostatnie jego świadectwo niewinności Jezusa, ale zarazem — ostatnie świadectwo jego własnej zbrodni. Tchórzostwo przed Tyberyuszem przemogło uczucie sprawiedliwości. Wydał Żydom Chrystusa, gdy lud rozwścieczony zawołał: »Krew Jego na nas i na syny nasze«! Żołdactwo, ukoronowawszy na nowo cierniem Chrystusa, zaczęło wyprowadzać Go za miasto na Kalwaryę — »miejsce czaszek«.

Jezus, wychodząc z sądu, musiał nieść swój krzyż. Skazani na śmierć, szli obciążeni narzędziem swej kary. Do tego pochodu dołączono i dwóch złoczyńców, skazanych na tęż samą śmierć. Tłum wielki ludzi towarzyszy strasznemu pochodowi. Jedni w milczeniu, inni z okrzykami śmierci i urągania.

Chrystus, widząc grupę płaczących kobiet, wstrzymał się i z wyciągniętą prawą ręką, wolną od trzymania krzyża, woła do nich: »Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale nad sobą i synami waszymi«...

Z grupy kobiet wysuwa się jedna i w przepysznym ruchu, rzuca kwiaty pod stopy niewinnie skazanego, z twarzą tak zapłakaną i zbolałą, że z pewnością Chrystus litościwym wzrokiem na nią popatrzał i przeszedł po tych różach. Dzieciak jej, widocznie sądząc z wrzawy, że coś wielkiego, strasznego się dzieje, płacząc i tupiąc nóżkami, tuli swą główkę w matki sukni fałdy. Inne kobiety, przejęte mową Chrystusa, uginają pod ciężarem proroctwa swe głowy lub wznoszą niemowlęta, by zobaczyły raz jeszcze Jezusa. — A jedna, w jakiejś nędznej płachcie, powiedziałbym, typ jakiejś Słowianki z jasno-blond włosami, tarza się w szalonym ruchu u stóp przechodzącego Odkupiciela. Nie może znieść widoku nieszczęścia, serce jej pęka z bólu, patrząc co robi z Jezusem podłość stworzenia Jego...

...Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham — że cię o tej chwili
Niebo odbiegło - i ludzie zdradzili! (Krasiński).

Młody chłopak, który był zmuszony przed Chrystusem nieść tablicę z nadpisem do przybicia na krzyżu, wskazuje ręką Jezusowi na tę rozpacz — sam zrozpaczony, słaniający się z bólu i płaczu...

Cała ta grupa taka jest przepyszna, taka jest żywa w ruchu

i wyrazach twarzy — tak pochłania uwagę, serce i wszystkie szlachetne uczucia patrzącego, że wprost nie widzi się ani przepychu najharmonijniejszych kolorów, wzajemnie się podnoszących, ani subtelności rysunku w wspaniałych postaciach Chrystusa i kobiet, — nic się nie widzi... tylko oddycha poezyą — dramatem, odgrywającym się przed naszemi oczyma.

To wspaniałe Fugela uwielbienie Męki Pańskiej wzmacnia nas w *Credo*, napomina do *Miserere* i krzepi na widok dzieł odkupienia — do *Alleluja* chrześcijańskiej nadziei.

Gebhard Fugel tymi czternastu obrazami stanął stanowczo na gruncie nowożytnym, by do współczesnych sobie przemówić językiem malarstwa dzisiejszego.

Z tego powodu od razu został zrozumianym, polubionym i wysoko cenionym.

Prawdziwie religijne pojęcie, silna charakterystyka, umiarkowany realizm, łatwa i swobodna kompozycya, olśniewający, silny koloryt, subtelny rysunek — na tym polega sztuka Fugela i wzniosłe znaczenie w sztuce religijnej, — *c'est l'art savoureux et delicat du maître nourri, documenté, dirigé par la vie et la foi*, jak powiedziałby Henri Lavedan *de l'Academie Française.*

Maryan Strzembosz.

Druk ukończono 15 czerwca 1911.

IDĄCA ROCZNICA SKARGI.

Na rok następny, 1912, przypada 300-letnia rocznica śmierci Piotra Skargi.

Już z kilku stron padło hasło, by rocznicę tę obchodzić w rozmiarach godnych Skargi, a zatem, by rok następny był w Polsce całej jego rokiem.

Wielki mowca i wielki pisarz, wielki obywatel i wielki kapłan, jeden z duchów przewodnich narodu, jeden z tych kilku, z których nazwisk symbol Polski się składa — ma dość danych i do wdzięcznej pamięci potomnych i do żywotności tej pamięci, żywotności wskrzeszającej z dawnych wieków nowe dzieje.

Tę żywotność — rodzicielkę nowych czynów, rzadko która z rocznic polskich posiada w tym stopniu, co idąca rocznica Skargi.

Znaczenie rocznic narodowych w Polsce jest sprawą zbyt blizką pojęciu i odczuciu każdego, ażeby je uzasadniać trzeba. I zadzierzgający się przez nie węzeł między przeszłością a dniem dzisiejszym — i uszlachetniające podniesienie myśli i uczucia ku idealnej wyżynie — i uświadomienie narodowe szerokich warstw — i szereg nowych dzieł, których rocznice są bodźcem — te i tym podobne objawy zbyt wymownym są dowodem doniosłości żywotnej każdej rocznicy. Ale są stopnie tej żywotności w jednych rocznicach wyższe, w innych mniej doniosłe.

Mniej praktycznej żywotności mają rocznice sercu polskiemu najmilsze, glorya wielkości historycznej wspaniałe, rocznice wielkich królów, wielkich bitew, wielkich czynów politycznych. Na

widnokręgu narodowego życia zjawiają się one jak uroczy, srebrzysty obłok poranny, w którego fałdach kilka jasnych gwiazd świeci przez chwilę — po chwili jednak, wobec rzeczywistości idącego dnia, obłok się rozpływa, gwiazdy blednieją i nikną. W rzeczywistości tej niema ani tronu dla króla, ani broni do bitwy, niema gruntu realnego, na którymby tradycya przeszłości mogła budować dalsze dzieje Rzeczypospolitej. Jest tylko serce jednostek, które urok przeszłości tem intensywniej odczuwa, im silniejszym jest kontrast teraźniejszości.

Donioślejsze żywotnym wpływem są rocznice wielkich ludzi, wielkich charakterem, działalnością, potęgą słowa czy pisma. Ludzie ci, idealne, a w każdym razie wyższe typy ludzkości, całym łańcuchem węzłów plemiennych spowinowacone z następnemi pokoleniami i stąd im blizkie, świecą stale jako wzory życia czy działalności, jak gwiazdy wskazujące drogę. Typy bohaterskiej cnoty i wielkiego charakteru roztaczają urok najszerszy, tak szeroki, jak szeroko dobro i życie sięga — przedstawiciele politycznego czynu, potęgi słowa czy pióra, czy innych zawodowych zakresów, wywierają wpływ silniejszy na koła zamknięte, na następców swojej spuścizny.

Rocznica Skargi łączy w sobie jedne i drugie wpływy. Rocznica ta, jak będzie miała sposobność, w monografiach i pracach naukowych, w nowych edycyach jego dzieł i w studyach te dzieła roztrząsających, w odczytach i literackich zjazdach uprzytomnić i rozjaśnić działalność zawodową Skargi, działalność kaznodziejską, literacką, polityczną i społeczną, a rozjaśniwszy, zasilić nowem światłem odnośne zakresy dzisiejszych zawodowych prac — tak, z drugiej strony, na szerokiem forum, w obchodach uroczystych całego społeczeństwa, pod sklepieniami świątyń i stropami sal, ukaże w pełnym blasku dostojny ideał świętości życia i niezłomnego charakteru. Rzadko zdarza się wspomnienie taką tęczą barw opromienione.

Jakiż doniosły wpływ na pokrzepienie myśli i serca, na wzrost dobra, cnoty i poświęcenia może mieć rocznica, co między dzisiejszych pogrobowców wprowadza tego natchnionego proroka, który ich przewidział, który z narażeniem się własnem a dla

oszczędzenia im bolu i wstydu, lepsze ścieżki przodkom wskazywał słowem, piórem, czynem i życiem — a którego wzniosłe słowa i czyny i wzniosłe życie w tak potężną i w tak pociągającą jednoczą się postać, że i dziś ku lepszym drogom i wyższym światom wzywają i górniejszą przyszłość budować każą.

Niewiele rocznic tak blizko dotyka serca polskiej sprawy i serca polskiej duszy i lepszej przyszłości dla obojga.

To mówi idąca rocznica, o ile wspomina na zewnętrzną fizyognomię Skargi, której rysy przechowały się po części w jego dziełach i czynach. Dużo więcej mówi, o ile wskazuje na to, co było duszą działalności Skargi, a co po dziś dzień żyje w naszej społeczności.

Skarga, przedewszystkiem, jest w wielkim stylu personifikacyą katolicyzmu społecznego w narodzie.

Przy określeniu tem nie mamy na myśli katolicyzmu społecznego w dzisiejszej fazie rozwoju, choć pewne szczegóły działalności Skargi, jak to, że brał w obronę lud i upośledzonych, lub że założył Bank Pobożny, zbyt wymownie wskazują na zasadniczą tożsamość kierunku. Mamy na myśli tę szerokość i wewnętrzność idei Chrystusowej, która nie tylko jednostkę i rodzinę chce przeniknąć swoim duchem, ale i całe i społeczeństwo, której żaden objaw życia narodowego, społeczny, cywilizacyjny, polityczny czy orężny, żaden bezwzględnie nie jest obcy. Idea Chrystusowa chce być duszą narodowego życia, chce być sercem, z którego arteryami rozpływa się krew po całym organizmie — jako etyka i religia, ona musi chcieć stać się sumieniem, wierzeniem, przekonaniem, wyznawstwem i życiem narodu.

Taka idea duchem swoim wypełniała całą istotę Skargi. Ale, jak ukochał całem sercem tę ideę, tak kochał i całem sercem naród, w który chciał tę ideę tchnąć. Czy, gdy z piorunami w oczach zastawia się huczącej nawale innowierców, — czy, kiedy z tryumfalnem upojeniem serca wita zwycięskie zastępy, wracające ze słusznej wojny, — czy wreszcie, ze śmiertelną trwogą w twarzy, patrzy na rozsypujące się w proch spójnie obyczajowe i społeczne Rzeczypospolitej — zawsze miłość Chrystusa i miłość

Polski w jedno stapiają się uczucie i wypełniają po brzegi wielkie serce proroka.

W sercu Skargi dopełniła się ta nierozerwalna spójnia katolicyzmu i polskości, która po dziś dzień istnieje.

Nie twierdzimy, że w sercu Skargi poczęła się ta spójnia, lub, że ono samo jej dokonało. Na tak doniosłe dzieło składają się wieki, składają się czyny pokoleń. Ale twierdzić można, że w tej górnej formacyi wysiłków ku temu celowi Skarga jest najwyższym szczytem.

Trzy szczyty widnieją w tej formacyi. Na jednym jej krańcu staje olbrzymia postać świętego Biskupa, który w obronie społeczeństwa przed despotycznym królem kładzie u stóp ołtarza życie w ofierze. Na drugim krańcu bieleje habit mnicha, który sam jeden staje w obronie narodu przed zewnętrznym wrogiem. Wszystkie pośrednie ogniwa spraw narodowych, między groźbą od tronu a groźbą od zewnętrznych wrogów, wypełnia Skarga.

I w tem wiekopomnem, nieobliczalnem w doniosłe następstwa dziele, tkwi najważniejszy moment idącej rocznicy.

Rocznica ta nastręczy najpierw sposobność do rozważań, czy dzieło to utrzymało się po dziś dzień w niespożytej swojej czerstwości, czy, przeciwnie, może zaszły skazy, i to może znaczne? Czy dość częste zarzuty cudzoziemców, co do tej spójni katolicyzmu z polskością, płyną tylko z nierozumienia odrębności idei, czy mają może rzeczywistą podstawę? Czy nie stało się w rzeczywistości z tem dziełem to, co z każdem ludzkiem dziełem się dzieje, że, po pewnym czasie, pozostaje wprawdzie forma, ale ubywa treści? Czy polskość nie bywa często stawiana dzisiaj za synonim katolicyzmu po to, by pokryć brak katolicyzmu w życiu — i czy nie trzeba stwierdzić, że katolicyzm coraz mniej jest duszą spraw narodowych?

Odnowienie tego dzieła, a więc odnowienie w całem społeczeństwie ducha Skargi, górnej miłości Chrystusa i Polski, jest piekącą potrzebą dzisiejszych czasów.

Jak się to odnowienie ma dokonać, czy przez żywsze omawianie tej sprawy w druku i prasie, czy przez zjazdy cząstkowe, czy przez ogólny wiec katolicki, czy przez cykle konferencyi po

kościołach, czy przez ćwiczenia duchowne do tego celu dostosowane, czy przez nowe dzieła społeczne, czy przez wszystko razem — nie do nas rozstrzygać należy.

To jedno stwierdzamy, że wszak zbliża się krytyczna chwila, w której katolicyzmowi polskiemu przyjdzie przejść przez próbę ogniową, i, że przejdzie ją tylko wtedy, gdy wskrześnie w nim duch Skargi.

I otóż — rocznica Skargi przychodzi w porę.

Ks. J. Pawelski.

KONKURS „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

Zbliżająca się rocznica Piotra Skargi, która z pewnością pozostawi po sobie niejedno doniosłe dzieło, skłania nas do skromnego udziału w przygotowawczych pracach. Jednym z przejawów tego udziału jest niniejszy konkurs.

Przedmiotem konkursu jest praca literacka na temat: »Rodzaj twórczości Skargi«.

Celem pracy ma być określenie działalności kaznodziejskiej i pisarskiej Skargi pod względem artystyczno-literackim, a więc określenie indywidualności twórczej, jej podstawowych uzdolnień i przejawów tych uzdolnień w słowie mówionem i pisanem.

Rozmiary pracy dowolne.

Nagroda konkursowa wynosi 800 koron.

Czas konkursu kończy się z dniem 15 października 1911 r. Wynik będzie ogłoszony w zeszycie styczniowym *Przeglądu Powszechnego* na rok 1912.

Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszego druku utworu nagrodzonego, za co zapłaci zwykłe swoje honoraryum.

W wypadkach, tenorem niniejszym nieprzewidzianych, rozstrzygnięcie należy do sądu konkursowego.

Sąd konkursowy składają PP. Kazimierz Morawski, Ignacy Chrzanowski, Lucyan Rydel, Antoni Mazanowski, ks. Jan Pawelski T. J.

Rękopisy, zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą temże godłem naznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcya »Przeglądu Powszechnego«, Kraków, ul. Kopernika 26.

Wszystkie pisma uprzejmie upraszamy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Redakcya Przeglądu Powszechnego.

„PODZIEMNE DROGI".

Represye, spadające nieustannie na kler katolicki i instytucye kościelne w Rosyi z powodu różnych niezgodnych z widokami rządu działań, nastręczają postawienie kwestyi, jak się zapatrywać z katolickiego punktu widzenia na te przejawy i metody działalności katolickiej, które przez władze świeckie uważane są za nielegalne. I otóż na ten temat, z okazyi ostatnich wypadków moskiewskich, wypowiedział *Przegląd katolicki*[1] szereg twierdzeń, godnych rozważenia jużto ze względu na powagę organu, jużto ze względu na doniosłe praktyczne znaczenie poruszonych pytań.

Zabierając głos, możemy prawie zupełnie pominąć kwestye osobiste, dotyczące ks. arcybiskupa Szeptyckiego i wydalonego z Moskwy ks. Wiercińskiego, przeciwko którym ostrze *Przeglądu katolickiego* głównie się zwraca. Ks. Metropolita bowiem w rozmowie z pewnym dziennikarzem lwowskim sam oznajmił, że udział jego w próbach organizacyi obrządku grecko-katolickiego w Rosyi ograniczał się do osobistych sympatyi dla tej sprawy i do prywatnych stosunków z konwertytami rosyjskimi. Zaś w sprawie ks. Wiercińskiego zabrała głos jego władza zakonna, wyjaśniając w jakich okolicznościach i jakie obowiązki przyjął on na siebie w Moskwie i w jakim stosunku pozostawał do miejscowej władzy

[1] Zob. *Przegląd katolicki* nr. 15 i 16, w rubryce: Z tygodnia.

kościelnej [1]. Dlatego tem łatwiej nam ześrodkować naszą uwagę na pytania bardziej ogólnej i zasadniczej natury.

Takie pytania nasuwają nam się dwa:

Po pierwsze, czy godzi się wogóle obchodzić krępujące przepisy państwowe lub uchylać się od nich w celu rozwinięcia działalności katolickiej, rozleglejszej od tej, na jaką owe przepisy zezwalają?

Powtóre, czy w szczególności możliwą jest w Rosyi w obecnych warunkach jakaś praca nad pozyskiwaniem dla Kościoła jużto prawosławnych, jużto staroobrzędowców i innych innowierców i czy wskazanem jest czynić jakieś pod tym względem próby?

Drugie z postawionych pytań dotyczy stosunków w głębi Rosyi i w krajach zabranych; pierwsze natomiast da się odnieść do wszystkich dzielnic cesarstwa rosyjskiego, nie wyłączając i ziem czysto polskich.

Przegląd katolicki na obydwa te pytania odpowiedział przecząco. Przytem snać pod świeżem wrażeniem ciosów, jakie uderzyły w instytucye katolickie z powodu moskiewskiej sprawy, *Przegląd* wypowiedział się z naciskiem, z twardą bezwzględnością. I otóż ta bezwzględność jego przeczeń, ta pewność siebie i ta powaga z jaką je wygłasza, zmusza zastanowić się nad niemi obszerniej, zmusza mianowicie do zapytania, czy nie mieści się w nich niedokładność, przesada, czy nie należy je przeto sprowadzić do słusznej, przedmiotowo prawdziwej miary.

»Nie jest to zgoła w duchu i tradycyi katolicyzmu używać dróg podziemnych i jakoby konspiracyjnych: nie tylko bowiem poszanowanie praw państwa we wszystkiem, w czem nie sprzeciwiają się prawu Bożemu, jest powinnością chrześcijanina, ale wszelka akcya tajemna w praktyce doprowadza zawsze prawie do szkodliwych wyników, łamiąc naturalny i niezbędny w Kościele hierarchiczny porządek, zmuszając do wykrętnych ścieżek i otwierając szerokie pole do nadużyć i intryg«. Oto teza i jej dowód podwójny: ze szkód płynących z tajemnej akcyi i z obowiązku lojalności względem przepisów państwa.

---

[1] Zob. *Czas* z dnia 25 kwietnia b. r.

Gdyby *Przegląd katolicki* był wypowiedział zasadę, że Kościół nie żywi jakiejś szczególnej predylekcyi do chodzenia »drogami podziemnemi«, że owszem przekłada nad nie drogi jasne, legalne do osiągnięcia swych celów tam gdzie legalnymi środkami dopiąć ich może, oczywiście trzeba byłoby pisać się bez zastrzeżeń na taką zasadę. Autor atoli przytoczonych powyżej słów powiedział coś więcej. Zasadę lojalności przedstawicieli Kościoła względem przepisów państwowych wygłosił bezwzględnie, bez rozróżnienia warunków, w jakich Kościół tu i owdzie znaleźć się może; zasadę tę wzmocnił takimi wyrazami jak »we wszystkiem«, »wszelka«, »prawie zawsze«, z lojalności zrobił kwestyę chrześcijańskiego sumienia, i stało się, że tak mocno akcentując swoją awersyę do wszelkiej tajemnej akcyi, przesadził i dopuścił się błędu, który wykazać nietrudno.

W czem tkwi ten błąd?

Najpierw, zestawiając obok i przeciwstawiając jedno drugiemu prawo państwowe i prawo Boże, dziwnym trafem zapomniał, że *datur tertium:* prawo kościelne. Przeoczając tę ważną okoliczność, wygłosił zasadę, jakby wyjętą z jakiegoś józefińskiego podręcznika prawa kanonicznego. Wiemy o tem, że jeszcze sto lat temu w wielu katolickich szkołach, zwłaszcza w Austryi, wpajano w duchowieństwo tę zasadę, iż Kościołowi ponad prawo Boże naturalne i pozytywne wolno dążyć do swych celów i stanowić dla siebie prawa tylko w tym zakresie, jakie mu państwo pozostawi i używać w swej działalności metod jedynie takich, jakie państwo za dobre uzna, — lecz wiemy, że najwyższa powaga Kościoła potępiała stale tę teoryę i w praktyce usiłowała wywalczyć sobie niezależność w swoich dążeniach i używaniu metod. Wiemy o tem, że wygłoszona w *Przeglądzie katolickim* zasada przenika całe prawodawstwo rosyjskie w stosunku do Kościoła katolickiego, ale byliśmy przekonani, że nie tyle teologia katolicka, ile »Swod Zakonow« czyni z niej kwestyę chrześcijańskiego sumienia: »nie tolko za strach, no i za sowiest'«. Dość uprzytomnić sobie, do jakich konsekwencyi ona prowadzi. Niedawno, jak wiadomo, wydanem zostało oświadczenie p. Stołypina, w myśl którego tylko te dekrety Stolicy św. będą miały znaczenie w Rosyi, które władze

rządowe raczą pozostawić w egzemplarzu *Acta Apostolicae Sedis*, doręczanym biskupom przez ministeryum. Czy jednak katolik zgodzi się na to, że rozporządzenia Stolicy św., stanowiące prawo kościelne, w odróżnieniu od prawa Bożego, przestaną go obowiązywać w sumieniu dlatego, że zostały wykreślone w Petersburgu z egzemplarza oficyalnego watykańskiego organu? Być może, że redakcya *Przeglądu katolickiego* nie myślała o takiej rozciągłości swoich słów; fakt jednak, że wygłosiła zbyt ogólną zasadę, sprawdzając na sobie prawdziwość łacińskiego przysłowia: *dolus latet in generalibus*.

Wejdźmy w szczegóły. Potępiając tajemną akcyę, *Przegląd katolicki* miał bez wątpienia na względzie takie jej formy i objawy, jak rozszerzanie wiary katolickiej wbrew zakazom państwa lub środkami przez nie nie uznanymi (choć objektywnie z natury swej dobrymi), jak zakładanie i prowadzenie kongregacyi zakonnych, bractw i innych zrzeszeń religijnych, jak wreszcie wjazd w granice Rosyi osób należących do zakonów, którym pobyt tam jest przez prawo państwowe wzbronionym. I *Przegląd katolicki* nie postawił żadnego pytania o sprawiedliwości przepisów tego rodzaju, o tem czy państwo ma prawo krępować pod tym względem działalność Kościoła, lub choćby o celowości podobnych zarządzeń ze względu na prawdziwe dobro samego państwa. Zasada warszawskiego kościelnego tygodnika brzmi krótko, twardo i bezwzględnie. Czy jednak potwierdzi ją historya Kościoła i współczesna nam praktyka?

Powołajmy na świadectwo pierwsze wieki Kościoła, czyż nie literalnie »podziemnemi drogami« (katakumby) wymijał on szkopuły, jakie mu stawiało owoczesne prawodawstwo świeckie? Ale owe starorzymskie zakazy rozszerzania wiary świętej, zawiązywania gmin i t. d. »sprzeciwiały się prawu Bożemu«! Tak, lecz czyż nie sprzeciwia się w równej mierze temuż prawu zakaz nowoczesnego »tolerancyjnego« państwa, zabraniający wojskowym lub cywilnie niepełnoletnim przyjmować wiarę katolicką? lub ustawy, które uniemożliwiają spełnianie rad ewangelicznych w stowarzyszeniach zakonnych? Przenieśmy się w inne czasy i miejsca. Pomimo najsurowszych zakazów państwowych, misyonarze kato-

liccy w przebraniu, kryjąc skrzętnie swój stan duchowny czy zakonny, przedzierają się w dzierżawy Elżbiety angielskiej. Niektórzy z nich, ozdobieni koroną męczeńską, wyniesieni zostali na ołtarze, a wszak to byli ludzie, którym zarzucano »konspiracyę« przeciwko prawom świeckim, ludzie którzy chadzali »drogami podziemnemi«.

Lecz może zwrócą naszą uwagę na to, że pierwsi chrześcijanie żadnego innego sposobu szerzenia się i istnienia nie mieli. Anglia zaś czy inne podobne kraje były pozbawione prawidłowo urządzonej hierarchii. Weźmy zatem bliższe przykłady. Oto mamy Podlasie. Jest to kraj, gdzie funkcyonuje prawidłowo urządzona hierarchia kościelna. Pomimo to przez lat 30 wyruszają do tego kraju misyonarze zagraniczni pomimo surowych zakazów państwa, by krzepić lud unicki we wierze, ten lud, który — absolutnie mówiąc — mógł może zbawić duszę swoją i bez tego, chrzcząc swoje dzieci w domu, spowiadając się w odleglejszych kościołach lub wzbudzając tylko akt doskonałej skruchy. Misyonarze jednak spieszą, by owe opuszczone owce miały nieco obfitszy pokarm i spiesząc do tego kraju nie porozumiewają się nawet z odnośnemi miejscowemi władzami kościelnemi i nie uważają tego za łamanie koniecznego w Kościele hierarchicznego porządku. Dlaczego? przyczyny zrozumiałe. Niektórych z tych misyonarzy gościły więzienia Siedlec, Lublina i Warszawy. Czy spotkać ma ich w dodatku jeszcze nagana *Przeglądu katolickiego* za nielegalność, za używanie podziemnych dróg?

Nie podnośmy policyjnych, paszportowych sekatur do godności jakiegoś moralnego dogmatu.

Istnienie tajnych zgromadzeń i bractw oczywiście połączone jest z ujemnemi następstwami i to większemi dla samego Kościoła, niż dla państwa, boć naprawdę nikt rozsądny nie zaliczy tego rodzaju nielegalności do czynów »konspiracyjnych« we właściwem tego słowa znaczeniu. Mimo jednak tych niebezpieczeństw i szkód, jakie dla Kościoła płyną z takiej tajemnej działalności, nie rzucajmy na nią kamieniem potępienia, bo zapoznamy istotę Kościoła, w którym duch a nie litera rządzi. Kościół, choć skrępowany paragrafami, nie przestaje żyć swojem wewnętrznem

życiem, które skądinąd, niż z paragrafów płynie, i jeśli temu życiu zewnętrzna siła nie pozwoli wylać się w formy właściwe warunkom normalnym, wyleje się ono w inne formy, będzie nurtowało »drogami podziemnemi«, ale zupełnie zamrzeć nie może. Tylko organizm martwy nie rwie pęt nałożonych; organizm żywy rozsadzać ich nie przestanie, choć może dużo krwi przytem z ran swoich utoczy. Z braku kontroli i innych sprzyjających warunków niejeden grzyb trujący zrodzi się na tem polu (mamy na myśli maryawityzm), ale zaprzeczyć się nie da, że i owoców dobrych dużo się przytem zbierze. W takich nienormalnych warunkach Kościół znajduje się w wielu krajach. Wiek XIX był świadkiem niejednokrotnego kasowania klasztorów i całych zgromadzeń zakonnych przez rządy antyreligijne; mimo to zwalczając olbrzymie trudności, życie zakonne wciąż się odradzało, jak nie w tej to w innej formie pomimo wszelkich usiłowań władz państwowych. Zakazano zakonnikom pracować wspólnie, idą w rozsypkę, ale pracują. Wykluczono jakiś zakon zupełnie, odmówiono jego członkom prawa obywatelstwa czy gościnności? — to wracają jako księża świeccy i pracują. I przy tem wszystkiem nie robi im nikt kwestyi sumienia z nieuszanowania niesprawiedliwych, policyjnych przepisów. W Rosyi fakty takie są bez porównania rzadsze, więc w razie rozgłosu większe wrażenie wywołują, natura ich jednak przez to się nie zmienia.

Hierarchiczna zależność we wszystkiem, w każdej pracy, w każdem przedsięwzięciu jest rzeczą niezmiernie chwalebną i pożądaną, nikt temu nie zaprzeczy. Ale pamiętajmy, że nie zawsze posiadamy prawo do sądzenia, czy w tym lub owym wypadku takiej zależności brakło, choć jej może nie spostrzegaliśmy. Pamiętajmy i to drugie, że bywają takie warunki, w których niewolnicze przestrzeganie litery zabija życie. Wreszcie żądać oficyalnych odnoszeń się do władzy wyższej w każdym wypadku i w każdej działalności jest często zbyt niewygodną i niepożądaną rzeczą dla samychże tych władz, w czasach, kiedy biskupa katolickiego karze się za to, że poświęca portatyle dla ruchomych kaplic lub że pozwala na założenie jakiegoś stowarzyszenia pobożnego paru ubogich dziewcząt. Oszczędzanie

władz duchownych w takich wypadkach jest obowiązkiem, zwłaszcza jeśli tegoż samego celu można dopiąć innemi nie mniej prawnemi z kościelnego punktu widzenia drogami. Powoływanie się pod tym względem na zmienione rzekomo przez ukaz tolerancyjny warunki w świetle rzeczywistości okaże się niezbyt zręcznym manewrem.

Większe dobro Kościoła! Że mniejsze dobro ustąpić musi wobec większego w tymże rodzaju, jest to zasada, której kwestyonować nikt nie może. Nie można również przeczyć, że kary i represye, jakie na Kościół spadają, same przez się dobremi nie są. Ale w stosowaniu tych widocznych pryncypiów również można przekroczyć miarę. Gdybyśmy chcieli dobro Kościoła mierzyć miarą »świętego spokoju«, podobno zaryzykowalibyśmy zbyt wiele: zapomnielibyśmy bowiem o tych moralnych korzyściach, w jakie bogaci się Kościół, kiedy zewnętrznych ucisków doznaje, a nadto, sprzedając swoją wewnętrzną wolność za marną cenę spokoju, czy nie upoważnialibyśmy i nie ośmielalibyśmy wrogich Kościołowi czynników do dalszych na jego niezależność zamachów? Ostatniego pytania nie rzucamy bez pewnych podstaw.

W r. 1902 ogłoszono w prasie wskazówki centralnych petersburskich władz generał-gubernatorowi Czertkowowi. Ci i owi podejrzewali autentyczność owych instrukcyi, treść ich jednak doskonale harmonizowała ze stałą polityką rządu rosyjskiego wobec Kościoła. Autor owych wskazówek wielki tryumf polityki rosyjskiej nad Kościołem widzi właśnie w tem, że kler katolicki pogodził się z tym zakresem działania, jaki mu rząd pozostawił. »Wtłoczyliśmy, powiada, ustrój Kościoła w kluby ściśle dostosowane, które już nie popuszczą, a poddają każdego z osobna księdza surowej władzy świeckiej i to w takim stopniu, w jakim żadne państwo nie nałożyło wędzideł na Kościół. Otóż w tych klubach Kościół polski, wogóle bezwładny i bezczynny, przestał walczyć: ogromna większość duchowieństwa pogodziła się ze swojem położeniem osobistem; masa katolickiej ludności czuje się pod religijnym względem wogóle zadowoloną, prawie nie uciskaną. Słowem, walka doprowadziła do tego wogóle wyniku, że Kościół w Polsce, jako wróg pozbawiony swobody, ruchu i chęci

do walki, przestał Rosyę niepokoić«. Niczego tak się nie boi autor instrukcyi, jak wszelkich ze strony rządu kroków nieroztropnych, któreby mogły wzbudzić na nowo »fanatyzm« katolicki. On radzi powoli choć bezustannie zaciskać nałożoną na kler obrożę i przyzwyczajać go, by się ograniczał do zewnętrznej służby obrzędowej, aż zupełnie straci wpływ wszelki na masy katolickie. Recepta *Przeglądu katolickiego* w sam raz dostosowywa się do tych zamiarów polityki rządowej może w złudnej nadziei, że lojalnością rozbroi przeciwnika i wyżebrze u niego ustępstwa, podczas gdy w rzeczy samej, mrożąc ducha gorliwości kapłańskiej, przyczynić się może tylko do ułatwienia rządowi jego roboty.

Kończymy tedy refleksye nad wygłoszoną przez *Przegląd katolicki* zasadą lojalności następującą uwagą: Obowiązek stosowania się do ustaw państwowych i przepisów policyjnych aż nazbyt często przypominają, nie tylko słowami ale bardziej przekonywującymi sposobami, inni stróże legalnego porządku i dlatego pomoc pod tym względem ze strony organów prasy katolickiej wydaje się nam zgoła zbyteczną.

Rozpatrzmy teraz drugą kwestyę, kwestyę »propagandy« wiary katolickiej.

Od czasu do czasu obiegają prasę doniesienia o rzekomo wielkich zdobyczach katolicyzmu wśród Rosyan i o większych jeszcze widokach na przyszłość. Gdybyśmy dodali jedne do drugich owe wszystkie tysiące nawróconych, o jakich nam gazety tak często donoszą, wynikłoby, że owczarnia katolicka w ciągu paru ostatnich lat zwiększyła się w Rosyi o całe miliony. Jeszcze tryumfalniej brzmią częste obietnice gotującego się jakiegoś masowego połączenia Rosyan, zwłaszcza staroobrzędowców, z Kościołem katolickim. Wiadomości te, powtarzane bezkrytycznie nawet w pismach kościelnych, nie odpowiadają rzeczywistości. Często podaje się, jako nowe, cyfry nawróconych lub odzyskanych dla Kościoła w pierwszych dniach po wyjściu tolerancyjnego manifestu. Humbugiem są i zapowiedzi masowej unii. Każdy o tem wie, kto się z tą sprawą trochę zetknął, i *Przeglądowi katolickiemu* należy przyklasnąć, kiedy nazwawszy rzecz po imieniu, grzmi lekkomyślność szerzenia tego rodzaju plotek i wska-

zuje na szkodliwość ich dla sprawy katolickiej. Plotki te, o ile nie polegają na głoszeniu jako wciąż nowych — tych samych starych faktów, są fabrykowane zwykle przez kogoś, komu są potrzebne. A komu one są na rękę? Najpierw nacyonalizmowi rosyjskiemu, który niemi alarmuje opinię publiczną i powołuje się na niebezpieczeństwo katolickie, by wymódz nowe represye względem katolików, zwłaszcza Polaków; są one na rękę rządowi, bo usprawiedliwiają przedsiębrane przezeń środki w celu ujarzmienia Kościoła, a jednocześnie rozchodząc się echem po Europie, urabiają przekonanie, że w Rosyi istnieje szeroko idąca tolerancya i wielkie dla katolicyzmu sympatye; są wreszcie na rękę garstce pseudo-konwertytów, w rodzaju osławionego Tołstoja i Storożewa, bo czynią z nich w oczach wielu jakichś opatrznościowych mężów, a przytem przynoszą im i pewne materyalne korzyści w formie ofiar na »misyę«. Wiemy, że taki np. Tołstoj przez szereg lat otrzymywał z Francyi pokaźne zapomogi. Chętnie tedy popieramy przestrogę, daną prasie naszej przez *Przegląd katolicki*, by zaprzestała powtarzać niesprawdzone i szkodliwe plotki. Należy raz zoryentować się w sytuacyi. Oprócz owych 200 z górą tysięcy zarejestrowanych po ukazie tolerancyjnym katolików w Chełmszczyznie i na Litwie, o których »nawróceniu« właściwie mowy być nie powinno, gdyż oni byli zawsze katolikami, — właściwych nawróceń z prawosławia były setki, może parę tysięcy na całym obszarze imperyum i to nie wskutek jakiejś specyalnej *ad hoc* propagandy, lecz przeważnie wskutek zawierania przez katolików małżeństw z Rosyanami. Z tegoż i innych jeszcze powodów pozyskuje zresztą i prawosławie prozelitów na szkodę katolicyzmu. O jakichkolwiek większych widokach na niedaleką przyszłość w obecnych warunkach mowy być nie może.

Pomimo jednak całej iluzoryczności marzeń o jakiejkolwiek akcyi na szerszą skalę w kierunku unii, pomimo ciągłych ograniczań przez rząd ukazu tolerancyjnego, pomimo ciągłego ścigania »propagandy« katolickiej, czy można się pisać na normę, jaką postępowaniu kleru katolickiego nakreślił *Przegląd katolicki*?

Norma ta brzmi, jak następuje: »Duchowieństwo katolickie... dostatecznie wykonuje swe posłannictwo, utrzymując ojczyste wy-

znanie u własnych swych w katolicyzmie urodzonych owieczek«. Gdyby przez te słowa chciała redakcya powiedzieć, że miejscowe siły tak są obarczone pracą nad »owieczkami w katolicyzmie urodzonemi«, że absolutnie czasu na pracę inną nie mają, możnaby się było jeszcze łatwiej na to zgodzić. Ale nie, autor tych słów musiał mieć co innego na myśli. Wszak on ich użył, jako argumentu przeciwko pomocy, z jaką pospieszyćby chcieli obcy misyonarze; chciał zatem powiedzieć, że w Rosyi w obecnych warunkach wszelka praca kleru, poza utrzymywaniem we wierze katolików z urodzenia, winna być wykluczoną. Potwierdził to sam *Przegląd kotolicki* w tydzień później, usiłując włączyć Rosyę do liczby tych krajów, w których Kościół zrzeka się jakoby wszelkiego prozelityzmu.

Tej zasady uznać nie możemy dla wielu powodów. Zasada ta jest sprzeczną z istotną cechą Kościoła — uniwersalnością, z istotnem przeznaczeniem Kościoła — zbawiać wszystkie narody, a zatem z istotnem prawem głoszenia swej nauki wszędzie i zawsze. Po drugie, zasada ta przyjęta w tej formie, w jakiej została wygłoszona na łamach warszawskiego pisma, doprowadziłaby logicznie do wniosków, ubliżających najgorliwszym kapłanom w Rosyi. *Przegl katolicki*, uznając oczywiście w teoryi prawo Kościoła do ekspansyi, usiłuje jednak dowieść, że w praktyce Kościół sam wykonywanie tego prawa zawiesza w wielu krajach. Rozumowanie to chybia celu już dlatego samego, że autor nie umiał przytoczyć żadnego dokumentu, któryby zmuszał odnieść właśnie Rosyę do tego rodzaju krajów. Autor wnioskuje z analogii. Lecz i ta zawodzi. Same przytoczone przezeń przykłady nie sięgają tak daleko i głęboko, jak wygłoszona zasada. Przypuśćmy bowiem, że Kościół nie wysyła specyalnych misyonarzy do Meklemburga i Brunszwiku dla nawracania protestantów, — czyż jednak zabrania kapłanowi katolickiemu, który tam stale przebywa lub przygodnie się znajdzie dla obsługi katolików, dopomódz protestantowi zostać katolikiem, jeśli do tego sposobność się nadarzy? Czy głosi się zasadę, że dosyć ksiądz czyni, obsługując tylko katolików z urodzenia? A zauważmy, że z tych fanatycznych księstewek protestanckich łatwo udać się protestantowi do sąsiednich krajów dla złożenia

wyznania wiary katolickiej, czego o znajdujących się w analogicznym wypadku Rosyanach powiedzieć nie można. Przypuśćmy, że w krajach muzułmańskich nie czyni się wysiłków w celu nawrócenia czcicieli fałszywego proroka; ale czy nie dlatego nie czyni się tych wysiłków, że tam skrajny fanatyzm wyznawców Mahometa po prostu odgradza misyonarza od zetknięcia się z nimi? Wątpię jednak, czy pomimo to odmówiłby misyonarz chrześcijański udzielenia chrztu muzułmaninowi, któryby był do tego przygotowany, a nie miał możności udać się gdzieindziej. Co najwięcej przedsięwziętoby wszelkie środki ostrożności, by nawrócenie pozostało w tajemnicy i nie wywołało zemsty fanatyków.

Żądanie, czy choćby rada, by kler katolicki w Rosyi ograniczył się do religijnych posług, udzielanych katolikom z urodzenia, uwłacza, powiedzieliśmy, najlepszym kapłanom. Nie chcemy potępiać tych księży, którzy w trosce jużto o swój osobisty spokój, jużto o bezpieczeństwo swoich własnych parafii, wystrzegają się nawet cienia »propagandy« i postępują ściśle według rady *Przeglądu katolickiego*. Pozostawiamy ich własnemu ich sumieniu. Ale z drugiej strony czy można zganić kapłana, który przekracza podaną z Warszawy radę i obok obsługi swoich w katolicyzmie urodzonych owieczek, korzysta z wszelkiej sposobności, by i »inne owce przywieść do owczarni«?

Czy źle czyni kapłan, który chętnie podaje rękę innowiercom, zbliżającym się doń ze swemi wątpliwościami, który ich pouczy prawd naszej wiary i przyjmie na łono Kościoła? Czy nie lepiej jeszcze czyni ten, który przez wpływ osobisty, przez stosunki towarzyskie zjednywa serca obcych wyznawców dla katolicyzmu? Czy nie zasłuży na uznanie poświęcenie tego księdza, który naraz swoje własne bezpieczeństwo, by pośpieszyć z pomocą duchową nawet tym, co oficyalnie i głośno czy to dla wieku, czy dla stosunków rodzinnych lub służbowych przyznać się do katolicyzmu nie mogą, w duszy jednak są katolikami i z dóbr Kościoła korzystać pragną?

Mówiliśmy wyżej o misyonarzach podlaskich. Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy im wyłącznie zasługę utrzymania tam wiary przypisali. Dużo obok nich zdziałało tam i duchowieństwo

krajowe. Wprawdzie byli księża, którzy unitów uważali za owieczki obce, ich pieczy nie powierzone i którzy ściśle trzymali się zasad nie wtrącania się w »cudze« sprawy. Nie śmiemy powiedzieć, że powodował nimi jedynie wzgląd na osobisty spokój: wielu zapewne nie chciało narażać swoich parafii. Lecz byli i inni, którzy inaczej pojmowali swoje stanowisko. Śpieszyli z pomocą opuszczonym, lub przyjmowali ich, gdy z daleka do nich przychodzili. Niejeden z tych kapłanów poszedł na wygnanie; niejedną nawet świątynię katolicką zamknięto w odwecie za obsługę unitów, nikt jednak nie potępi owych kapłanów za to, że wykraczali poza obręb powierzonych sobie oficyalnie obowiązków z narażeniem nawet swoich własnych parafii. Pomimo ukazu tolerancyjnego, są jeszcze grupy ludzi i pojedyńcze jednostki, do których te same zasady stosować trzeba, co do ówczesnych unitów.

Nie ulega wątpliwości, że trudną jest dzisiaj wszelka praca kapłańska poza oficyalnym zakresem obowiązków; ale były czasy jeszcze od dzisiejszych trudniejsze, a mimo to znajdowali się kapłani o szerokiem sercu, o duchu apostolskim, którym było za ciasno we własnej zakrystyi. Imiona ich z chlubą powtarzać będzie historya. Na tem miejscu przypominamy imię ks. Konstantego Łubieńskiego, późniejszego biskupa w Sejnach, który jeszcze w czasach Mikołaja I upatrywał opatrznościowość naszego polskiego rozproszenia po obszarach Rosyi i widział posłannictwo naszych kapłanów, dobrowolnych czy przymusowych wygnańców, w zjednywaniu słowem i cnotą umysłów i serc odszczepionych od Kościoła braci. I działał dużo w tym kierunku, nosząc się nawet z zamiarem stworzenia osobnego *ad hoc* zrzeszenia kapłanów świeckich. Myśl jego po części zrealizowano dużo później. Przed kilkunastu laty, kilku kapłanów archidyecezyi mohylewskiej, pod wodzą znanego ze świątobliwości ks. Łomsargisa, związało się prywatną obietnicą, że nikomu posług religijnych nie odmówią, ktokolwiek się do nich o nie zwróci. Wiele osób pochodzenia rosyjskiego im zawdzięcza swoje nawrócenie do wiary katolickiej. I kapłani owi cudów dokazywali, by ślubu swego dopełnić. Kiedy trzeba było przygotować na drogę wieczności pewną Rosyankę tajną katoliczkę, do której przystęp dla kapłana był

absolutnie niemożliwy, jeden z owych »Łomsargistów«, o delikatnych rysach i cerze twarzy, przebrał się za kobietę, by dotrzeć do łoża umierającej. Inni innych sposobów szukali, by w granicach roztropności jednak obietnicy swej dotrzymać. Czy mielibyśmy te piękne przykłady poświęcenia, gdyby się wszyscy trzymać byli chcieli zasady obsługiwania urodzonych w katolicyzmie owieczek?

Przegląd katolicki, wygłaszając zasadę, którą krytykujemy, miał zdaje się na myśli głównie kraje »zabrane«, gdzie nacyonalistyczna heca tak powaśniła ludzi, iż przy wielkiem ryzyku niema prawie żadnych widoków powodzenia jakakolwiek próba pozyskania prawosławnych dla katolicyzmu. Cokolwiekby się dało powiedzieć o tych okolicach, nie zapominajmy, że przynajmniej w głębi Rosyi warunki są bardzo odmienne. Według zapewnień, jakie słyszeliśmy nie od jednego kapłana, który tam pracował, nawet dziś można tam niemało zrobić, poza wykonywaniem oficyalnych swoich obowiązków. W miejscowościach, gdzie ludność niekatolicka nie jest tak fanatycznie wrogą Kościołowi, gdzie nacyonalistycznej hecy nie uprawia się *ex professo*, jedno okolicznościowe zetknięcie się z ludem prawosławnym, jedno ciepłe słowo, zwrócone do niego zwłaszcza w jego języku, często zdolne jest, jeśli nie przysporzyć Kościołowi formalnych wyznawców, to przynajmniej stopić lody niechęci i uprzedzeń i zbliżyć serca do katolicyzmu. I to kapłani gorliwsi czynią. Czy nie zaboli ich sąd tak poważnego organu, jakim jest *Przegląd katolicki*, według którego wynika, że wdają się w nie swoje rzeczy, że postępują nieroztropnie, a nawet szkodę Kościołowi przynoszą? Czy tenże sąd nie zmrozi nadto gorących porywów niejednego młodego kleryka, pragnącego w przyszłym swym zawodzie nie tylko iść na oficyalną służbę, ale dla zbawienia jak największej liczby dusz wydać się na większe trudy i ofiary?

Temi pytaniami kończymy drugą część naszych refleksyi.

Przygotowani jesteśmy na zarzut, że myśli swoje wypowiadamy jednak zbyt otwarcie, odkrywając karty wobec przeciwnika przy nierównych siłach grających. Na to mamy tylko tę odpowiedź: Ci, o których chodzi, nie są na tyle naiwni, by wierzyli

w naszą bezwzględną lojalność wobec wszystkich, nawet wrogich Kościołowi, ustaw i zarządzeń. I jeśli kiedyś zdołamy przekonać sfery wrogie Kościołowi o takiej lojalności, to będzie dowód chyba zupełnego ich nad nami zwycięstwa. Wiarę w nasze zapewnienia kupimy tylko ceną kapitulacyi z niezależności Kościoła. O »konspiracyi« przeciwko istotnym interesom jakiegokolwiek państwa czy narodu Kościół nigdy nie myśli i my, pisząc te uwagi, bynajmniej do żadnej konspiracyi nie chcemy nikogo zachęcać, ale pamiętajmy znowu, że Kościół żąda też i dla siebie prawa do życia i do swobodnej pracy na dobro dusz ludzkich i jeśli świeckie ustawy krępują go na każdym kroku niesprawiedliwie i bezcelowo, to same pchają go na »podziemne« drogi.

Redakcya.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Idąca rocznica Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—5*
Konkurs »Przeglądu Powszechnego«	6*
Zepsucie dzisiejszej młodzieży gimnazyalnej i środki zaradcze. Przez *Antoniego Mazanowskiego*	1
Emigracya polska do Francyi w najświeższej dobie. Przez *d-ra K. Krotoskiego*	26 231
Kopernik w świetle nowych szczegółów. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	46
Byzantynistyka i Krumbacher. (Dok.) Przez *ks. Karola Ranoszka T. J.*	60
Ks. Patron Wawrzyniak. (Dok.) Przez *ks. d-ra Kazim. Zimmermanna*	73
Nieznany dokument Władysława IV. Przez *ks. K. Konopkę T. J.*	90
»Podziemne drogi«. Przez *Redakcyę*	1*—14*
Problemy arabskie i siły społeczne i kulturalne Arabów. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	153 382
Przysięga antymodernistyczna. Przez *ks. A. Starkera T. J.*	175
W sprawie Jezuitów na Białej Rusi. Z okazyi książki M. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II«. Przez *ks. Józefa Sasa T. J.*	189 369
Nasza filozofia religijna w XIX wieku. Przez *ks. d-ra Fr. Gabryla*	209
Scena z dramatu na tle czasów zygmuntowskich. Przez *Lucyana Rydla*	248
Na przyszły wiec katolicki. O potrzebie popierania katolickiego piśmiennictwa. Referat wygłoszony na zebraniu Tow. im. Piotra Skargi. Przez *ks. Jana Rostworowskiego T. J.*	299
Czwarty międzynarodowy kongres filozofii w Bolonii. Przez *prof. d-ra M. Straszewskiego*	313
Z powodu broszury »Plemię Kadłubka«. Przez *d-ra K. Krotoskiego*	337
Encyklopaedia britannica. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.*	349

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z LITERATURY HOMILETYCZNEJ. (Dok.) *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* 97

Z LITERATURY KRYTYCZNEJ: Z. Wasilewski: »O sztuce i człowieku wiecznym«. — K. Makuszyński: »Dusze z papieru«. *(Adam Stodor)* 109

MEDYCYNA PASTORALNA. Podręcznik dla kleru katolickiego. Opracował dr. Julian Czarnecki. Wyd. drugie. *(Ks. J. Dragosz T. J.)* . . . 111

PORTRETY POLSKIE, wydane przez Maryę ks. Radziwiłłową, pod redakcyą d-ra Jerzego hr. Mycielskiego. *(Franciszek Klein)* . . . 253

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE O STOSUNKACH KRAJOWYCH, wydawane przez Gal. Kraj. Biuro statyst. pod redakcyą prof. d-ra T. Pilata. Tom XXI, zeszyt 2. *(Dr. St. Zdziarski)* 257

LUBRANIEC (MONOGRAFIA). Ks. Stan. Muznerowski. *(Ks. Jan Sygański T. J.)* 260

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE. J. A. Herbaczewski. *(Krystyna Saryusz Zaleska)* 262

Z NIWY POETYCZNEJ. Ks. F. Nawarra: »Ideały mistyczne«. — F. K. Pusłowski: »Wigilia«. — J. A. Rogron: »Wieczne nowiny«. — G. T. Henner: »Resurrectio carminis«. — J. Bednarski: »Wiersze i proza«. — K. Saryusz-Zaleska: »Poezye«. *(Antoni Mazanowski)* 396

Z piśmiennictw obcych.

THEOLOGIA DOGMATICA ORTHODOXA (ECCLESIAE GRAECO-RUSSICAE) AD LUMEN CATHOLICAE DOCTRINAE EXAMINATA ET DISCUSSA. A. Palmieri. Tomus I. Prolegomena. *(Ks. J. Urban T. J.)* 113

DIE WIEDERKUNFT CHRISTI nach den paulinischen Briefen. Von Dr. Theol. F. Tillmann. *(Ks. L. Bolesławski T. J.)* 121

RÉDEMPTION. A. Lichtenberger. *(T. W.)* 122

STUDIEN ZU HILARIUS VON POITIERS. A. L. Feder S. J. Theil I. *(Ks. Karol Ranoszek T. J.)* 263

DIE HEILSLEHRE DES HL. GREGOR VON NYSSA. Dr. Joh. B. Aufhauser. *(Ks. Karol Ranoszek T. J.)* 265

GESCHICHTE DER KREUZWEGANDACHT von den Anfängen bis zur völligen Ausbildung. Von K. A. Kneller S. J. *(Ks. E. Matzel T. J.)* 266

FÉMINITÉS. M. Prévost I. vol. *(T. Wodzicka)* 268

BEATI PETRI CANISII S. J. EPISTULAE ET ACTA. Otto Braunsberger. *(Ks. Jan Sygański T. J.)* 415

DAS GOTTESBEDÜRFNIS als Gottesbeweis den Gebildeten dargelegt von Otto Zimmermann S. J. *(Bruno Wolnik T. J.)* 419

GESCHICHTE DES BERNARDINER-KLOSTERS ZU BROMBERG. Ks. K. J. Kantak. *(Ks. J. Kozłowski T. J.)* 420

Zapiski bibliograficzne.

O KOŚCIÓŁ W OPOLU. Rozprawy w Izbie państwowej petersb. Wyd. Br. Szlubowski. CHOŁMSKIJ WOPROS (Kwestya chełmska). L. Dymsza. *(J. U.)* 124

KRÓTKI ZARYS RZEK POLSKICH. Radwański J. W. *(St. Z.)* 125

MISCELLANEA HISTORYCZNE. XXXV. Kartka z życia N. Żmichowskiej. A. Kraushar. *(St. Z.)* 125

OSTATNI HAMLET. A. Schröder. ROMANTYCZNE HISTORYE. K. Makuszyński. *(a. st.)* 126

Str.
Kesa. Utwory dram. i obrazy niknące. J. Jankowski. *(a. st.)* . . . 126
Mieczysław Romanowski. Stud. ideowe i literackie. G. Baumfeld. *(A. B.)* 127
Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. *(W. B.)* 127
Z dziejów współzawodnictwa Anglii, Niemiec, Rosyi i Polski. A. Szelągowski. *(W. B.)* 127
Historya kościołów Michałowskiego i Obiechowskiego. Ks. Fr. Nawarra *(W. B.)* 127
Przygody kijowsko-sybirskie od wiosny 1892 do jesieni 1900 r. St. Kądzielski. *(W. B.)* 127
Dwa pokolenia. Marya Bielińska. *(W. B.)* 128
Z przeszłości 1861—1862. M. Dubiecki. *(W. B.)* 128
Katalog rozumowany wydawnictw »Bibl. dzieł chrz.« *(W. B.)* 128
Katalog wydawnictw Drukarni i księgarni św. Wojciecha. *(W. B.)* 128
Kronika krakowska. Cz. III od r. 1832—1848. Dr. Kl. Bąkowski. *(J. S.)* 271
Teologia a nauki przyrodnicze. Ks. I. Radziszewski *(J. U.)* . . 272
Pisma Aleksandra Jabłonowskiego. Tom I—III. *(J. U.)* 272
Pisma polityczne Jana L. Popławskiego. 2 tomy. *(J. U.)* 273
Związek chłopski w Belgii i Holandyi. Dr. A. Wóycicki. Praca polityczno-społeczna katolików niemieckich. Tenże. *(J. U.)* 273
Jeszcze o punktach spornych pisowni polskiej. O. Balzer. *(J. U.)* 273
Powieść nad powieściami. Br. Honorat, Kapucyn. *(J. U.)* 273
Najświętsza Marya M. B. Ks J. Pruszkowski. 3 t. *(J. U.)* 273
Żydowskie dusze. S. Coubé. *(W. W.)* 274
Z bożej łaski. Ottonówna. *(W. W.)* 274
Praelectiones dogmaticae. Christian Pesch S. J. Tom. I. ed. quarta. Tom. VIII ed. tertia. *(K. C.)* 274
Plan d'instructions pour la diocèse de Nevery. *(L. R.)* 275
Proces kryminalny Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu. Prof. dr. P. Stebelski. *(Dr. St. Z.)* . . . 421
Lwów w r. 1809. Dr. Bronisław Pawłowski. *(S. Z.)* 422
Sztuka życia czyli rady przeciwko śmierci. Napisał Prentice Mulford. *(E. M.)* 423
Czy będziemy żyli po śmierci? Napisał dr. Angelo Brofferio. *(E. M.)* 423
Książeczka o życiu pośmiertnem. Gustaw Teodor Fechner. *(E. M.)* 424
Czy człowiek żyje po śmierci? Według dr. F. Hartmanna. *(E. M.)* 424
Louis XVI. Etude historique. M. Sepet. *(K. K.)* 424

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Tegoroczne imieniny Piusa X. — 40-letni jubileusz niemieckiego Centrum. — Nowa gałąź wiedzy katolickiej. — Głos biskupi o prasie. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 129
Ze świata nauk i wynalazków. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* . 137
Przegląd artystyczny. Przez *Franciszka Kleina* 145

MAJ.

Sprawy Kościoła. Położenie katolików w Szwecyi. — † Ks. Biskup Niedziałkowski. — Powstanie Mirydytów. — Rozdział Kościoła od państwa w Portugalii. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 276

Str.
Ze świata nauk i wynalazków. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 283
Z wydawnictw katolickich. Przez *T. W.* 292
Kilka słów w ważnej sprawie. Przez *M. Ruszczyńską* 296

CZERWIEC

Sprawy Kościoła: Kongres Maryański w Przemyślu. — Kremacya zwłok w sejmie pruskim. — Kościół w Portugalii i Hiszpanii. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 425
Z życia i prasy. Towarzystwo dziennikarzy polskich wobec Kongresu rzymskiego. — »Kronika powszechna«. — Nowy konkurs na rocznicę Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 436
Christliche Kunst. Przez *Maryana Strzembosza* 441

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.